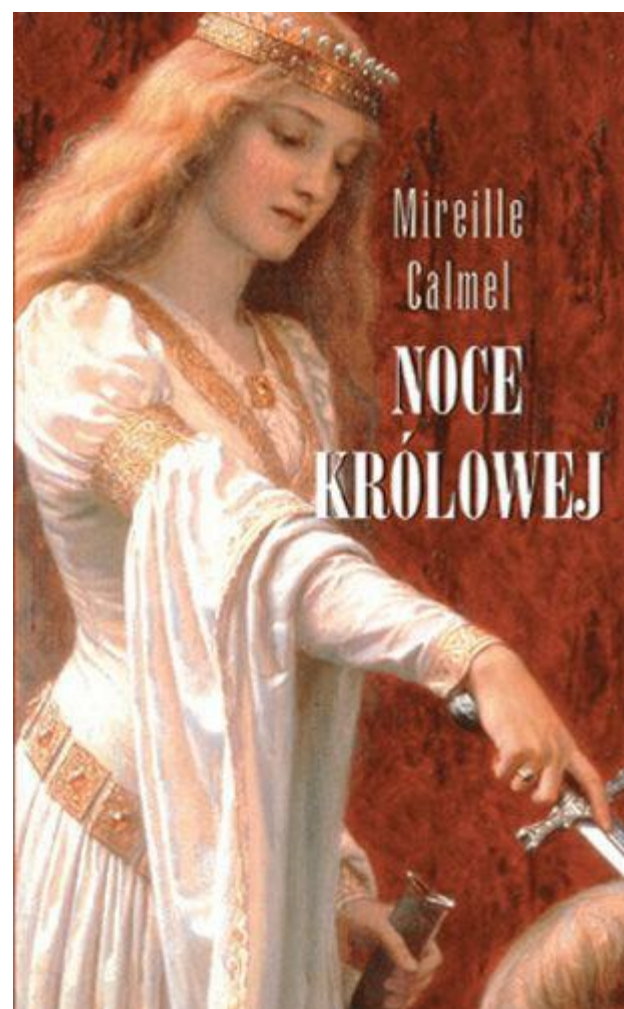




Mireille  
Calmel

**NOCE  
KROLOWEJ**



*Calmel Mireille*

*Noce królowej*

**Alienor, młodziutka księżniczka Akwitanii, wyjątkowa piękność i silna osobowość, w wyniku układów politycznych zostaje żoną niekochanego przez nią króla Ludwika VII.**

**Druidzka wróżba mówi jednak, że to ona i potężny władca Anglii, Henryk II, będą w przyszłości stanowili parę, która zapoczątkuje dynastię Plantagenetów.**

**Misją połączenia tych dwojga zostaje obarczona dama dworu i przyjaciółka Alienor, Loanna de Grimwald, ostatnia z rodu druidzkich wieszczek. Dopóki nie wypełni swego zadania, nie wolno jej myśleć o własnym szczęściu i ukochanym trubadurze Jaufrem. Przeszkód do pokonania jest wiele, jak również bez liku niebezpiecznych sytuacji i pułapek...**

**CZEŚĆ I**

**1**

Nie lubiłam siebie samej - zwłaszcza tej nocy, szesnastego maja Roku Pańskiego 1133, czułam się nikomu niepotrzebna.

Choć uwielbiałam oczekiwanie, teraz wsłuchiwałam się niecierpliwie w docierające z korytarza

odgłosy szybkich kroków, skrzywienie rozeschniętych klepek, strzępy rozmów dochodzące przez zamknięte drzwi lub przez przewód kominka i szumiące w wygaszonym palenisku.

W coraz bardziej dojmującej samotności czekałam na „właściwą chwilę” - gdy zadźwięczą dzwony katedry Angers, tak blisko i donośnie, że zadrżą kamienne mury zamku.

Pani Matylda, księżna Normandii, hrabina andegaweńska, wnuczka Wilhelma Zdobywcy i prawowita pretendentka do korony angielskiej, rodziła w mfirmierii znajdującej się na dole, tuż przy drewnianych schodach. Ja byłam nieopodal -

niepotrzebna, odrzucona. Drżałam na samą myśl o tym, że za chwilę przyjdzie na świat dziecko. Moja matka wyprosiła mnie jak jakąś służącą. Była w tym domu wszystkim: akuszerką, doradczynią, astrologiem, pigularzem, zarządzającą...

Czarownicą. A ja nie nadawałam się do niczego! Byłam chudziutką dwunastoletnią dziewczynką o nogach cienkich jak patyki. Nie lubiłam tych nógjeszcze bardziej niż całej reszty: rudoblond włosów, zbyt dużych oczu wyzierających z podłużnej, upstrzonej piegami twarzy. W przeciwieństwie do mojej matki byłam brzydka i bezużyteczna.

Wysłała mnie do lasu po zioła, których rzekomo potrzebowała. Teraz leżały na stoliku w moim pokoju. Dumna z wykonanego zadania, podeszłam do drzwi infirmerii, zza których rozlegały się krzyki pani Matyldy. Matka pogłaskała mnie po głowie, przyglądając niesforne loki wymykające się z warkoczy.

- Nie teraz, kochanie. Hrabina jest słaba, dziecko urodzi się z nastaniem pełni.

Będzie duże i silne, choć tak trudno mu przyjść na świat. Wszyscy są tu zajęci, więc taka mała wścibska osóбка jak ty zawadza. Idź już.

- Mamo, co mam z tym zrobić? - nalegałam, wskazując na koszyk z ziołami.

- Później, później.

Zanim drzwi się zamknęły, zdążyłam dostrzec panią Matyldę. Była blada i spocona, twarz miała wykrzywioną od wysiłku. Stała na szeroko rozstawionych nogach, trzymała się stołu. Wokół niej krzątały się trzy zaaferowane akuszerki. Dół jej białej koszuli splamiony był krwią. Poszłam na górę, do swojego pokoju. Dygotałam na całym ciele, przerażona sceną, jaką przed chwilą zobaczyłam. Z silnej damy, budzącej respekt i wyniosłej, nie pozostało ani śladu. Ta, która była moją matką chrzestną, wydawała się odrażającym potworem opętanym przez wierzgającego diabła.

Może trzeba się pomodlić? Modlić z całego serca, aby pozostawił ją w spokoju. Co za głupota! Co za niedorzeczność! Bóg ma ważniejsze sprawy! A poza tym cóż może wiedzieć o bólach porodowych? Nie, lepiej pomodlić się do naszej wspólnej matki.

Spojrzałam przez okienko przesłonięte naoliwionym papierem. Niebo brzemienne było chmurami zwiastującymi burzę. Spoza obłoków wylaniał się chwilami księżyc, okrągły i pełny jak brzuch

Matyldy, płaski jak stół, który stał na honorowym miejscu, odkąd król Artur objął w posiadanie Anglię, okrągły jak oczy czarnoksiężnika Merlina - mojego przodka... Okrągły niczym mój koszyk.

I raptem przestałam się bać.

- Dzięki ci! - szepnęłam w stronę uśmiechniętego księżycyca.

Czcze były starania Kościoła - należałam do rodu wielkich kapłanek, druidów i wieszczek. Smętny i obłudny Bóg nie zastąpi dawnych obrzędów i wierzeń. Znadto kochałam życie, zbyt wiele przyswoiłam sobie nauk zakazanych przez księży.

Przez chwilę szperałam w kredensie, by wreszcie wydobyć zeń drżącą ręką moździerz z czereśniowego drewna, do którego prze-sypałam zebrane zioła.

- Skoro moja matka ich nie chce, to ja, Loanna de Grimwald -poprzez moc trzech kręgów życia - daję im wodę, ogień i ziemię, aby tchnienie wszechświata miało moc kojącą i uzdrawiającą.

Ujęłam pałkę moździerza i z poczuciem ogarniającego mnie czaru mocno roztarłam zioła, aż zmieniły się w brązową papkę pachnącą lasem. A teraz najważniejsza czynność: uniosłam moździerz wysoko ponad głowę i podeszłam z nim do okna.

W oddali, za murami zamku, wieś pogrążała się we śnie, płomyki świec w domkach rozsianych wzdłuż wału obronnego rzucały migotliwe światło rozpraszające wieczorną mgłę. Porykiwanie bydła, parskanie koni, chrząkanie świń na dziedzińcu folwarcznym tworzyły zgodny chór. Z gołębnika słychać było trzepot skrzydeł i lęklive gruchanie, łączące się z ostrym pokrzykiwaniem sokołów.

- Ta noc jest inna niż wszystkie - szepnęłam. - Nawet zwierzęta to czują. Już niedługo, już wkrótce! Zniosę hrabinie maść i utulę dziecko - gdy tylko dotknie mnie promień księżycyca w pełni!

Oparłam się łokciami o parapet i z uśmiechem zadowolenia pochyliłam nad drewnianym moździerzkiem.

W infirmerii rozległ się ostatni krzyk rodzącej. Ginewra odcięła delikatnie pępowinę. Złapała noworodka za nóżki, główką w dół, i klepnęła w pośladki. W

pokoju rozległ się głośny płacz.

- To syn! Trzeba zawiadomić Gotfryda Pięknego!

Drzwi do mojego pokoju otworzyły się ze znajomym skrzypnięciem, którego wyczekiwałam od wielu godzin.

- Chodź - powiedziała Ginewra.

Ostrożnie wzięłam moździerz i bez słowa minęłam moją matkę, przytrzymującą ciężkie dębowe drzwi.

Ciasną izbę wypełniał gęsty biały dym, ale nie zwracałam na to uwagi. Byłam w komorze przylegającej do mojego pokoju, gdzie oddawałam się moim ulubionym praktykom magicznym. Gotfryd zwany Pięknym, hrabia Andegawenii i Maine, nie znosił kotar między pokojami. Część mieszkalna była więc podzielona wewnętrznymi ścianami, wzniesionymi z kamieni zmieszanych z wapnem i piaskiem. Życie na zamku Angers stało się z tego powodu bardziej intymne, a to mi bardzo odpowiadało. Oprócz obszernej sali na parterze, w której podawano posiłki, na piętrze znajdowały się pokoje: każdy miał swoją izdebkę, oczywiście małą i wąską, ale wygodną.

Był to luksus, który pani Matyllda doceniła, gdy po śmierci pierwszego męża, cesarza niemieckiego, powtórnie wstąpiła w związek małżeński.

Dym szczypał mnie w oczy i drapał w gardle. Mimo to, zdecydowana doprowadzić swoje przedsięwzięcie do końca, wrzuciłam do ognia wyschnięty mech, który skruszyłam w palcach. Płomień przygasł, z paleniska uniósł się cierpki zapach.

Czułam ociężałość w całym ciele, skronie ścisnęła mi jakby obręcz, w dole brzucha pulsował ból pełnący ku górze. Padłam na kolana, nie odwracając wzroku od paleniska.

Nagle dym zgęstniał jeszcze bardziej i pojawiły się dziwne kształty, które splątały się, by w końcu zmienić się w wyraziste obrazy. Wszystko wokół mnie kołysało się w tańcu cieni i światła. Patrzyłam na to widowisko, nie widząc go, przeniknięta wizjami z innego wymiaru. Ściany chwiały się jak w konwulsjach. A może ja tak to odczuwałam? Otworzyłam szeroko oczy i dziwiąc się własnej mocy, chłonęłam woń tajemnej wiedzy, która mnie upajała.

Nie wiem, jak długo byłam w transie. Nagle dym się rozproszył, jakby ustępował

pod naporem świeżego powietrza napływającego od strony pokoju. Drzwi się otworzyły i jakby z oddali usłyszałam głos, odbijający się echem w moich uszach.

Wracałam do przytomności.

- Loanno! Na moc trzech kręgów! Ile razy mam ci powtarzać, że jesteś za młoda na takie doświadczenia?

Uchwyciłam się ręki wyciągniętej w moją stronę. Matka wyglądała na zagniewaną.

Chciałam ją uspokoić, pocieszyć uśmiechem, ale nie miałam siły, tak bardzo czułam się wyczerpana swoimi wizjami. Pomogła mi wstać. Zdołałam utrzymać się na drżących nogach. Nie chciałam jej martwić. Uniosłam dumnie brodę i wytrzymałam gniewne spojrzenie szmaragdowych oczu.

Matka była niewysoka. Miała okrągłą, puciołowatą twarz i gęstą czuprynę przypominającą kłębek rudej wełny. Gdy wyprostowałam się z dziecięcą dumą, niemal dorównywałam jej wzrostem.

- Jesteś tak samo uparta jak ja w twoim wieku, Canillette! Przez chwilę, widząc moją determinację, patrzyła na mnie łagodniej, lecz trwało to mgnienie.

- To może być niebezpieczne dla kogoś, kto nie jest do tego przygotowany. Loanno, musisz zachować

jasny umysł. Jeśli moce, które

nieumiejętnie wywołasz, wymkną się spod twojej kontroli, nie zapanujesz nad nimi.

Nie zapominaj o tym, Loanno.

- Tak, matko. Ale nie gniewaj się, proszę! Musiałam wiedzieć! Henryk jest taki śliczny, taki malutki.

Jej krągłe ramiona objęły mnie czule. Kołysała mnie, przytulając do swej obfitej piersi.

- Henryk ma dopiero kilka dni - westchnęła z rezygnacją - a ty chcesz już znać jego przyszłość? Czy to rozsądne? Jesteś blada jak wosk, masz podkrążone oczy.

Pociągnęła mnie w stronę okna, bym odetchnęła świeżym powietrzem. Stopniowo moje policzki odzyskały zwykłą barwę i poczułam się mocniejsza.

Gdy całkowicie oprzytomniałam, ogarnął mnie przejmujący smutek. Musiałam się nim podzielić z Ginewrą:

- Jawiły mi się rzeczy bardzo dziwne. Miejsca, których nie znam. Zapamiętałam długi pas morza rozdzielającego lądy i tęskne spojrzenie, czyste i nieskończone łagodne. Co za dziwne uczucie, matko! Myślę, że nigdy nie zapomnę wyrazu tych oczu. Przeniknęły do mego serca i pozostaną w nim na zawsze. Czy sądzisz, że można zatrzymać dusze, które się widziało, skoro Kościół tego zabrania?

Roześmiała się hałaśliwie i wesoło:

- Oczywiście, że nie, Canillette! Ani Kościół, ani jego Bóg nie mają takiej władzy.

Widziałaś obrazy z odległej przyszłości, do których na razie nie powinnaś przywiązywać wagi. Możemy zmienić bieg wydarzeń, stosując odpowiednią strategię i wykorzystując moce ziemi, a nie przez przywołanie wizji. No, moja mała, bądź cierpliwa! Już niedługo, obiecuję, będziesz mogła służyć Anglii, tak jak ja dzisiaj to czynię... Idź! Bernaude czeka na ciebie u sokolnika. Na razie dla zamku pożyteczniejsza jest twoja wiedza i miłość do drapieżnych ptaków.

- Czy już dotarły?

- Wasal hrabiego sprowadził wczoraj o zmierzchu młode krogul-ce. Jeden z nich nie chce jeść, ale ty poradzisz sobie z tym, jestem tego pewna.

- Biegnę tam!

Ucałowałam matkę, uszczęśliwiona. Kochałam ją, lecz nie śmiałam jej tego powiedzieć. Spojrzałam tylko czule w szmaragdowe oczy Ginewry i zbiegłam kamiennymi schodami.

W samym środku nocy zerwała się raptownie burza i wybuchła z całą mocą. O

świecie odeszła. Znad ziemi unosiły się mgliste opary, które zasnuły całą okolicę.

Na koszulę narzuciłam mantylkę z grubej wełny. Chciałam przejść się bosą po trawie pod moim oknem. Zanim mieszkańcy zamku wstaną, w ogrodzie panuje dziwny nastrój. Dźwięki nocy mieszają się z ledwie słyszalnymi odgłosami budzącego się życia. Cudowna pora na oddawanie się marzeniom. Wraz z pierwszym pianem koguta zaczynają swoją krzątaninę kucharze i wkrótce rozchodzi się woń pulard pieczonych na ruszcie, białego chleba i karmelu. Na podwórzu gdaczą kury, dopominając się należytą porcją jęczmienia i pszenicy. Od ubiegłego tygodnia do zwykłych hałasów dołączył się brzęk garnuszków na mleko, dzwoniących o menażki czeladników. Usłyszałam stentorowy głos Berniera, mistrza kowalskiego, który nawoływał stolarzy i dekarzy odnawiających warsztat.

Burza, która szalała nad zamkiem w nocy poprzedzającej narodziny Henryka, zmiotła słomiane dachy. Praca była pilna: nie mogło być żadnych zgrzytów, wszystko musiało spodobać się panu i jego gościom. W domostwie Gotfryda Pięknego panował uroczystry nastrój.

Usiadłam po turecku na ziemi i czekałam na wschód słońca. Ze swego miejsca widziałam wiejskie zabudowania. W oddali jaśniała purpurowa i pomarańczowa paleta pól jęczmienia i pszenicy oraz ugory porośnięte falującymi łąkami maków.

Najwspanialsze jednak było to, że nikt mnie nie widział, gdyż byłam ukryta za niskim murkiem warzywnika.

Lubiano mnie, lecz ja nie szukałam towarzystwa rówieśników. Nie byłam taka jak oni i ceniłam sobie to, co nas różniło. Jediną osobą, z którą czasem lubiłam przestawać, była Bernaude, córka lutnisty. Miała tyle lat co ja, jej twarz była nijaka, ale nie brzydka. Inne dzieci unikały jej z powodu przerażającej blizny na lewym ramieniu - poszarpał ją źle wytresowany sokół. Mimo tego wypadku zajmowała się drapieżnymi ptakami i rozumiała je, prawie tak dobrze jak ja. Do tego jednak nasza przyjaźń się ograniczała.

Lubiłam także towarzystwo brata Briscauta, mojego preceptora. Był to prostoduszny mnich, który żywiołowo wyrażał radość z powodu zadziwiającej łatwości, z jaką przyswajam wiedzę. Czerpałam z tego ogromną korzyść - był dla mnie wyrozumiały, wolał bowiem drzemać niż czuwać nad tak wybitną uczennicą, jak mnie nazywał

w rozmowach z Ginewrą i panią Matyldą, moją matką chrzestną. W rzeczywistości bawił mnie. Był okrągłutki i za sprawą kaprysu natury nawet kolorem skóry przypominał dynię. Serce miał jednak szczodrośliwe i szlachetne, chociaż, nie wiadomo dlaczego przywiązany był do tego Boga, który wprawiał mnie w zakłopotanie. Oczywiście byłam wierząca i ochrzczona, ale nie mogłam wykrzesać z siebie entuzjazmu dla wiary katolickiej.

Pamiętam, że gdy zaczynałam szósty rok życia, zwierzyłam się Gi-newrze, pełna wyrzutów sumienia, że nie boję się kary boskiej. Matka wybuchnęła śmiechem radosnym jak wiosenny wietrzyk.

- Kochana Canillette, też mi zmartwienie! Nie powinnaś się kłopotać takimi drobiazgami! Czyżbyś zapomniała, że twój ród poznał więcej czarów niż Jezus?

Gdy nadejdzie stosowna chwila, przekażę ci wiedzę potężniejszą niż religia katolicka, a wtedy

zdołasz połączyć serce z duszą. A na razie wierz w to, co uważasz za prawdziwe, ale nie ujawniaj tego. Będziesz musiała przez całe życie być w cieniu wszechmocnego Boga Kościoła i okazywać Mu jak największy szacunek. Słuchaj swego serca, ono wie, co jest słuszne, i będzie twoim przewodnikiem...

Z biegiem lat, odkrywając potęgę swego rodu, studiując z matką gwiazdy, właściwości roślin i tajniki żywiołów, intuicyjnie przestałam dyskutować z bratem Briscautem, gdy opowiadał o Księdze Rodzaju.

Myśli moje błądziły wokół nieodległych jeszcze wydarzeń nocnych. Byłam senna, myśli biegly ociężałe.

Od tygodnia na zamku trwały uroczystości. Przybyli wszyscy wasale Gotfryda Pięknego, by złożyć hołd małemu Henrykowi. Matyllda, która osobiście obmyślała rozrywki, zaprosiła zonglerów, truwerów i wesołków wszelkiej maści, by nadać swemu domostwu prawdziwie dworski charakter. Gotfryd lubił podejmować swych wasali, tak jak i szlachtę, goszcząc ich według swej woli i faworów, jakimi każdego z nich darzył. Wiedząc o skłonności Gotfryda do nagłych i silnych ataków gniewu, godzili się ze swym losem, by nie popsuć atmosfery święta.

Gotfryd Piękny był imponującym człowiekiem - wysoki, silny, mocny, o umyśle żywym i szybkim, zręczny i przebiegły, ale zarazem szlachetny. Gdy Matyllda owdowiała, jej ojciec, król Anglii, doszedł do wniosku, że Andegaweńczyk jest właściwym dla niej mężem, któ-

ry zdoła spłodzić z nią syna. Słabnący i starzejący się król pragnął z całych swych nadwątlonych sił doprowadzić Anglię do pokoju, targały nią bowiem spory o sukcesję. W 1127 roku zmusił szlachtę do tego, by uznała prawo Matylldy do tronu.

Jednak jego siostrzeniec, Stefan z Blois, tylko czekał na jego śmierć, by zawładnąć dziedzictwem. Matyllda była czujna. Wiedziała, że trzeba jej potężnej armii, by mogła stawić czoło wojskom Stefana, którego dążenia popierał król Francji Ludwik Wielki. Anglia potrzebowała króla. Takim królem był Artur.

Od zarania dziejów Wielka Brytania była we władzy druidów, którzy czuwali nad jej zjednoczeniem. Syn, którego Matyllda właśnie powiła, był dla mojej matki, Ginewry de Grimwald, bezpośredniej potomkini czarnoksiężnika Merhna, tym monarchą, który zadecyduje o obliczu drugiego tysiąclecia.

Codziennie ktoś przyjezdny pochylał się nad kołyską, stwierdzając podobieństwo między synem a ojcem: ta sama płomienna czupryna i masywna budowa, która znamionuje ludzi silnych i zdrowych. Henryk przypadł mi do gustu.

Z powodu narodzin królewskiego dziedzica przybywali coraz to nowi goście, którzy gromadzili się w wielkiej sali, co rano przystrajanej świeżymi irysami i janowcem.

Wszystkich trzeba było nakarmić. Kręciłam się między paziami i służącymi, kroiłłam bochny chleba, wraz z Bernaude podawałam zupę na słoninie i grochu, pulardy, makaron, kapłony, dziczyznę, sosy, desery i ciasta. Pełniłam nawet funkcję podczaszego. Z wdziękiem i udawaną obojętnością



przemieszczając się wśród gości, mogłam wszystko obserwować, sama nie będąc przez nikogo zauważona. Z

pochyloną głową przystawałam tam, gdzie rozmowa wydawała się interesująca, pośpiesznie oddalając się, gdy tylko zauważono moją ciekawość.

W tej grze stałam się mistrzynią. Dostało mi się za to.

Poprzedniego dnia matka wymknęła się przed końcem uczyty, tuż przed Matyldą, zmęczoną gośćmi. Instynkt podszeptał mi, że na piętrze dzieje się coś ważnego.

Dotarłam do długiego holu, od którego rozchodziły się korytarzyki prowadzące do skrzydeł domu, przesłam bez wahania za kotarę i znalazłam się w małym przedsionku. Skreśliłam w prawo i wślizgnęłam się do wąskiego pomieszczenia, przez które powietrze rozchodziło się do środkowej części zamku. Głos matki utwierdził mnie w domysłach. Rzeczywiście przebywała w sekretnym gabinecie Matyldy. Sprawy, które tam omawiano czy o których decydowano, były wielkiej wagi.

Rozmawiano o Stefanie z Blois. Poczulałam dreszcz obrzydzenia, jak zawsze wtedy, gdy o nim słyszałam. Nienawidziłam tego człowieka.

Głos matki był mocny, stanowczy, szlachetny w brzmieniu.

- Sojusz z Akwitanią będzie najważniejszy, jeśli zechcemy się sprzeciwić ambicjom tego narwańca! Tym bardziej że błędy, jakie popełnia, nie zniechęcają doń baronów.

Niewiele trzeba, by pokazać temu zuchwalcowi, gdzie jego miejsce. Jeśli Francja zachowa neutralność, pozbedziemy się go, gdyż popełnia niezręczności, ale obawiam się najgorszego, Matyldo. Ludwik Gruby ma zbyt wielkie ambicje, a Blois jest jego wiernym sojusznikiem. Cicha woda brzegi rwie. Nic tak dobrze nie zmyje hańby zdrady jak woda z rzeki.

- To prawda, że panna Alienor przypomina swego dziadka - westchnęła moja matka chrzestna, a ja nie wiedziałam, czy było to westchnienie zadowolenia czy żalu. -

Trubadur Wilhelm... Ach, Ginew-ro! Czy znałyśmy człowieka bardziej upartego, nieugiętego niż on? Jego wnuczka ma wejrzenie szczerze i dumne, jak wszyscy ci, którzy walczą po to, by wznieść się wyżej, choć dzięki wykształceniu, jakie odebrała, nie jest tak popędliwa w słowach jak jej dziadek. Będzie z całą pewnością kobietą silną i odpowiedzialną.

- Tak jak ty, pani.

- Z pewnością. Anglia nie powinna stać się ojczyzną tchórzy. Lecz Henryk jest zaledwie noworodkiem. Czy to nie szaleństwo tak wcześnie myśleć o jego przyszłości?

- Alienor jest już panną w wieku mojej Canillette, ale wiesz z doświadczenia, że to dobrze, gdy żona jest starsza od męża. Wyobraź sobie bogactwo księstwa Akwitanii połączone z bogactwem księstwa Andegawenii jako skutek małżeństwa przyszłego króla Anglii. Będzie mógł stawić czoło wszystkim, łącznie z królem Francji.

- Zgoda. Znam wartość twoich porad. Poczekajmy, aż mały Henryk podrośnie, a wtedy, jeśli się okaże, iż jego siła i charakter są obiecujące, zaczniemy działać w tym kierunku.

Głosy stały się niewyraźne, a ja, cofając się, wyszłam i wróciłam na parter.

Podczas gdy oddawałam się tym wspomnieniom o niezbyt odległej przeszłości, zerwał się lekki wietrzyk. Przede mną na horyzoncie słońce stawało się coraz okrągłejsze, rozświetlając ciemny lazur mieszaniną różu i szarości. Zadrżałam, mimo że byłam okryta. Od ziemi, nasiąkłej podczas wczorajszej burzy, ciągnęła wilgoć. Akwitania! Podobno jest piękna, świetlista, słoneczna, rozgrzana muzyką i winem. Ceniłam piękno, wszystko to, w co, jak mówiono, obfitowała Akwitania -

ten zakątek ziemi, którego doniosłość przeczułam w swych widzeniach! Teraz byłam już pewna: ten kraj był moim przeznaczeniem.

- Pozwól, słodka moja, chodźmy...

- Panie, ktoś może wejść...

W odpowiedzi młody hrabia de Poitiers posadził pokojówkę na stole i całując namiętnie jej obnażoną szyję, włożył niecierpliwą rękę pod spódnicę. Opór panny osłabł, poddawała mu się, strojąc minki i zerkając w stronę drzwi. Pan hrabia był

doprawdy nieobliczalny! W pewnej chwili wydała krótki okrzyk na widok postaci, która ukazała się w progu. Młodzieniec przypisał ten okrzyk swoim nieco bardziej teraz zdecydowanym pieszczotom. Ponowił energiczniej atak, podniecony obnażonymi wdziękami, lecz jego zapędy powstrzymał wściekły okrzyk:

- Rajmundzie! Bezwstydnny rozpustniku!

Jego twarz zmartwiała, odsunął się na bok i poprawił ubranie. Purpurowa ze wstydu pokojówka, sznurując gorset, znikła za drzwiami przeciwległymi do tych, w których stanęła rozwścieczona młoda księżniczka Akwitanii, Alienor. Ze złością strzeliła szpicrutą, którą trzymała w ręku.

- Miło ci się spacerowało, Alienor? - spytał z roztargnieniem, nie patrząc na nią.

Wziął karafkę, którą przed chwilą odsunął, by zrobić miejsce dla pulchnych pośladków Isabeau, i nalał sobie wina do srebrnego kieliszka.

- Jak śmiesz? W moim domu! Z pierwszą lepszą dziewczuchą! Spójrz na mnie!

Odwrócił się pomału, rozbawiony. Jego siostrzenica, choć miała zaledwie dwanaście lat, była chorobliwie zazdrosna. Wściekłość czyniła ją jeszcze piękniejszą, rozpalając w jej zielonych oczach metaliczne błyski. Wracła właśnie z przejażdżki i zapewne galopowała dość szybko, gdyż kilka kosmyków wymknęło się spod jej toczka i jak złote płomyki unosiły się wokół jej twarzy.

- Nie uczyniłem nic złego, Alienor. Zapewniam cię, że ta młódka przyzwoliła...

Podeszła bliżej, rozwścieczona, z podniesioną szpicrutą, jakby chciała smagnąć go po twarzy.

- Nikczemny...

Śmiejąc się, powstrzymał ją zdecydowanym ruchem.

- Tego już za wiele, moją siostrzenico, nie jestem twoim koniem!

- Zdradziłeś mnie! - Kipiąc z oburzenia, wyrwała nadgarstek z uścisku jego dłoni.

Zmusił ją, by upuściła pejcz, i wykręciwszy jej rękę za plecami, przyciągnął do siebie. Krzyknęła z

bólu, ale uniosła zuchwale głowę.

- Dość tego, Alienor!

Wyrywała się coraz gwałtowniej. Zaciśnął więc palce jeszcze mocniej, świadom, że zadaje jej ból. Gdyby nie była jego siostrzenicą, zaspokoiłby rozbudzoną żądzę.

Pożałowałaby swego zuchwalstwa. Jego zmysły domagały się swoich praw tak gwałtownie, że oczy rozblęły mu dzikim ogniem. Alienor instynktownie odrzuciła głowę do tyłu, usta bezwiednie podała ku przodowi. Odepchnął ją brutalnie. Płonął

jeszcze z pożądania i musiał uspokoić kipiącą w żyłach krew. Nie patrząc na siostrzenicę, zgrabnie usiadł na stole i schwycił kiść winogron z patery. Jadł

żarłocznie. Alienor przeszył dreszcz. Przyglądała mu się przeciągłym wzrokiem, z zaciśniętymi pięściami. Stała przed nim.

- Jestem taka nieszczęśliwa! Nie kochasz mnie! - zawołała.

- Ależ kocham cię - zapewnił z roztargnieniem.

- Nie tak, jak chcę!

- Sama nie wiesz, czego chcesz! - odrzekł. Jego głos był teraz bardziej zdecydowany, spokojniejszy. - Jesteś jeszcze dzieckiem, Alienor - dodał, wzruszając ramionami.

- To nieprawda, spójrz!

Gwałtownym ruchem szarpnęła sznurówki gorsetu, obnażając drobną pierś - białą i krągłą. Zaskoczony Rajmund mruknął coś i od-

wrócił wzrok. Stanowczo ta mała wiedźma była gotowa zrobić wszystko, by doprowadzić go do ostateczności!

- Popraw ubranie! - rozkazał. - Nie jesteś służącą!

- Jestem tak samo ładna jak Isabeau. Dotknij mnie - przemawiała pieszczotliwie, zmysłowo.

Przysunęła nagą pierś do ramienia Rajmunda, upajając się jego drzeniem.

„Nie poddawaj się! - powtarzał mu rozpalony mózg. - Nie poddawaj się!”.

Gniew wziął górę. Rajmund uwięził talię impertynentki między umięśnionymi udami i zaczął zasznurowywać jej gorset.

- Widzisz, twoje wdzięki na mnie nie działają. Musisz jeszcze podrosnąć, by mi się spodobać.

Niewzruszenie - przynajmniej tak mu się wydawało - wpatrywał się w nią płonącymi oczami. Alienor poczuła, że zaraz się rozplacze. Rajmund kpił sobie z niej. Lubił dominować. Spoglądał na nią z wysokości swych dwudziestu lat, rozbawiony.

- Puść mnie - jęknęła ze łzami w oczach. Usłuchał. Odwróciła się, obrażona, i rzuciła głucho:

- Pozostaje mi tylko jedno. Nikt mnie nie chce, więc muszę stąd zniknąć. Zegnaj!

Rajmund ledwo powstrzymał się od śmiechu.

- Dokąd pójdziesz? - zapytał.

- Umrzeć, mój panie - rzuciła z godnością i wyszła z pokoju.

Rozrzewniło go to, uśmiechnął się. Była taka uparta i taka kobieca. Po chwili jednak zadał sobie pytanie, czy ta uparta dziewczyna nie rzuci się do rzeki, choćby po to, by zrobić mu na złość. Podszedł do okna, z którego widać było stajnie. Chłopak stajenny czyścił zgrzebłem konia Alienor. Po gniewnych gestach dziewczyny Rajmund domyślił się, że kazała chłopcu osiodłać konia i założyć mu uzdę. Gdy pomógł jej wsiąść, spięła wierzchowca i szybkim truchtem ruszyła w stronę zwodzonego mostu, który teraz był podniesiony.

W dni targowe okolice pałacu de l'Ombriere w Bordeaux zapełniała ciżba ludzka.

Rozstawiono stragany, znad których unosiły się najprzeróżniejsze wonie.

Rzemieślnicy zachwalali swoje wyroby tak gromko, że ich głosy docierały do Rajmunda. Alienor pospiesznie przedarła się przez tłum, zważając jednak na to, by nikogo nie przewrócić, i od czasu do czasu odpowiadając na powitania.

Oddalwszy się od przedmieścia, skierowała się do Belin, położonego ponad trzysta kilometrów od Bordeaux. Znajdował się tam klasztor, którego jej ojciec był

protektorem i który znakomicie nadawał się do realizacji obmyślnego przez nią planu.

„Teraz albo nigdy” - pomyślała.

Rajmund przez kilka minut wahał się, nie wiedząc, jak postąpić. „Gdyby Isabeau znajdowała się gdzieś w pobliżu - rozmarzył się - mógłbym zapomnieć o tej małej wiedźmie”.

Ale Isabeau obawiała się gniewu swej młodej pani i znalazła sobie jakieś zajęcie możliwie jak najdalej od apartamentów księżniczki. Rajmund miał wielką ochotę jej poszukać. Wściekły na samego siebie, nie mógł już dłużej się powstrzymać, zbiegł

po schodach, dysząc jak młody jelen, i skierował się ku stajniom. Choć wiedział, że to tylko gra, nie mógł znieść myśli, że coś złego mogłoby się stać siostrzenicy, i to z jego winy. Przynajmniej tak usprawiedliwiał się przed sobą samym.

W owym czasie na drogach nie było bezpiecznie. Od kilku miesięcy banda rzezimieszków czyhała na podróżnych, łupiąc i mordując, gwałcąc zarówno panny, jak i towarzyszące im opiekunki. Książę Akwitanii Wilhelm, ojciec Alienor, wysłał

żołnierzy, na których czele stanął sam Rajmund, aby rozprawili się z rozbójnikami, ale bez skutku. Nie można było ich znaleźć, gdyż pojawiali się znikąd i znikali.

Książę był wściekły. Jego księstwo, w którego skład wchodziło Poitou, Guyenne i Gaskonia, było większe i zamożniejsze niż inne; bogactwem przewyższało nawet dobra korony. Nie mógł dopuścić do tego, by mówiono, że jego straż, lepiej uzbrojona i zorganizowana niż straż Ludwika Grubego, nie może poskromić garstki bandytów.

W stajni Rajmund zastał swego konia już osiodłanego. Był to gniady którego lubił

szczególnie, gdyż miał żywe usposobienie. Porozumiewawcza mina stajennego uświadomiła młodzieńcowi, kto wydał rozkazy. A więc wiedziała! Trudno!

Wskoczył na konia i wyruszył w drogę. Kilku przekupniów wskazało mu drogę, którą podążyla Alienor, więc nie mieszkając, pogalopował jej śladem.

Słońce już zachodziło, gdy Rajmund dogonił siostrzenicę. Jakiś czas jechał w pewnej odległości za nią, aby nie stwarzać jej okazji do popisywania się. Nie chciał

dać sposobności do wykorzystania przewagi. Kochał ją do utraty tchu, z całego serca. Był nią oczarowany. Widział, jak z dnia na dzień staje się coraz bardziej kobietą. Jego męskim żądom stał na przeszkodzie fakt, że byli spokrewnieni.

Zaspokaja! zmysły ze służącymi, z innymi chętnymi dziewczętami, ale Alienor przejrzała go i drażniąc się z nim, potrafiła doprowadzić do szaleństwa.

Wjechał na dziedziniec klasztorny i zsiadł z konia. Na powitanie wyszedł mu braciszek Alburge, od którego dowiedział się, gdzie szukać dziewczyny. Alienor spacerowała w ogrodzie z jakimś mnichem. Nie była zdziwiona, gdy zobaczyła Rajmunda, tylko w jej oczach zamigotały złośliwe ogniki. Zastanawiał się podniecony, jakie diabły czy bogi kazały mu nawiedzić ten zakątek. Opat powitał

Rajmunda, rzucił jakieś uwagi na temat róż, wypełniających swą wonią całe otoczenie, i pozostawił ich samych.

Alienor podeszła do kamiennej ławeczki stojącej pod drzewem oplecionym klematisami. Przybrała niewinną minę, która nie zdołałaby nikogo zmylić, i rzuciła melancholijnie:

- Będzie mi tu dobrze... Rajmund usiadł obok niej.

- Coś ty znów wymyśliła? Woda Garonny była za zimna i dlatego wybrałaś wodę święconą?

- Nie szydź ze mnie, Rajmundzie! Uważam, że to lepsze niż śmierć. Co więcej, z biegiem lat miałbyś

coraz mniejsze wyrzuty sumienia, aż zapomniałbyś o mnie, a ja tego nie chcę. Postanowiłam wstąpić do klasztoru.

Rajmund miał ogromną ochotę wybuchnąć śmiechem, jednak postanowił zachować się rozważnie.

- To wspaniały pomysł.

Dziewczyna zadrżała. Nie taki bieg wydarzeń przewidywała. Wymamrotała:

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. To rozsądna decyzja. Wszyscy będą zadowoleni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jej stanowczość słabła w zetknięciu ze spokojem Rajmunda. „Trafony” - pomyślał.

Nie odpowiedział. Wyciągnął przed siebie

długie nogi i oparł się o drzewo, krzyżując ręce na karku. Przejął prowadzenie, czuł

to wyraźnie. Alienor drżącymi palcami skubała koronkę chusteczki do nosa.

Chciałby przedłużyć tę chwilę, gdyż Alienor spuściła oczy, ale wielkodusznie postanowił obejść się z nią łagodnie. Rozmarzony wpatrywał się w liliowe kwiecie.

- Cudownie będzie spacerować po korytarzach pałacu, całować i pieścić pokojówkę, nie obawiając się, że usłyszę twoje drobne kroczki za drzwiami, nie lękając się twego gniewu! Będę tu przyjeżdżał i zwierzał się jak brat z miłosnych zawodów lub zwycięstw...

Więcej już nie mogła znieść, wściekłość zabarwiła purpurą jej policzki. Podniosła rękę, ale on uchylił się od ciosu.

- Co się stało, siostrzeniczko? Czy opętała cię diablica zwana zazdrością?

- Znów ze mnie kpisz. Wiesz, że nie mogę bez ciebie żyć...

- Ależ możesz! Będzie ci tu bardzo dobrze. Reguła każe ci zasłonić tę piękną twarz, oszczędzisz więc cierpienie mężczyznom, którzy nie będą mieli takiego szczęścia jak ja i nie zakochają się w tobie.

- Dość tego!

Zerwała się i pobiegła pod drzewo, by ukryć łzy. Rajmund zdawał sobie sprawę, że to podstęp, ale zbliżył się do niej, chwycił ją łagodnie za ramiona i przyciągnął do siebie. Nie stawiała oporu, przywarła do jego potężnej piersi i załkała.

- Uspokój się. Nie mówiłem tego poważnie, przecież wiesz. Za nic na świecie nie chciałbym, żeby

cię zamknięto w czterech ścianach. Potrzeba ci przestrzeni. Otrzyj łzy. Noc zapada, musimy wracać.

- Nie!

- Chodźmy, bądźże rozsądna.

Rajmund podniósł jej drżący podbródek, zmuszając siostrzenicę, by ukazała swoją twarz zroszoną łzami. Ucałował jej rozpalone czoło, pragnąc zarazem pieścić ustami jej błagające wargi.

- Zostańmy tu - wyszeptała drżącym, ledwie słyszalnym głosem. - Bądźmy razem!

Obiecuję, że już nigdy nie będę ci się naprzykrzać, nie będę ci robiła scen. Proszę...

- Oszalałaś! Co sobie pomyślą mnisi?

- Nie obchodzi mnie to, kupię ich milczenie! Chcę spać przytulona do twojej piersi.

Obudzić się rozgrzana twoim ciepłem. Tylko ten jeden raz. Jeden jedyny. Proszę!

Rajmund potrząsnął głową, jednakże bez przekonania. Ogromne

i lśniące jak szmaragdy oczy wyrażały taką nadzieję, że zapomniał o swoim postanowieniu.

Alienor była świadoma swojej władzy nad nim. Ustępował, zatem należał do niej.

Wzięła go za rękę i bezwolnego pociągnęła za sobą do gabinetu przełożonego.

Ogarnięty szaleństwem Rajmund ledwo rozróżniał słowa, którymi do niego przemawiała. Takim właśnie głosem przemawiał diabeł w jego koszmarach sennych. Wyjaśnienia brzmiały tak szczerze, że nie można było w nie wątpić. I rzeczywiście, świątobliwy mąż nie znalazł żadnego powodu, dla którego miałby ich rozdzielić. Zaprowadził ich do oddalonej celi, którą trzymał dla ważnych gości. W

celi ułożone były dwa sienniki z pościelą. Na ścianie wisiał drewniany krzyż. Brat Alburge życzył im nocy wypełnionej medytacjami i zostawił ich samych. Rajmund czuł się tak, jakby był bezwolnym pajacykiem z gałganków i pierza, złapanym w pu-

łapkę miłości.

Zamglonymi oczami patrzył, jak Alienor się rozbiera. Pociągnęła go na skromne posłanie. Jeszcze przez chwilę się wahał, ale to, co było nieuniknione, musiało się spełnić. Gdy jej gorące ciało przywarło do jego ciała, a Alienor przycisnęła z jękiem jego dłoń do swojej piersi, wydał dziki pomruk i rzucił się na nią.

Rajmund obudził się raptownie. Z oddali słychać było wycie głodnego wilka.

Alienor drzemała wtulona w jego ramię, z uśmiechem niebiańskiej rozkoszy na ustach. Zadrżał. I tym



razem dostała to, czego pragnęła. We wzroku hrabiego de Poitiers, którego sen opuścił ostatecznie, ogień żądz ustąpił wyrzutom sumienia.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zapłakał.

Podskoczyłam, czując na ramieniu ciężką dłoń, zaraz jednak uśmiechnęłam się, gdy zobaczyłam Gotfryda Pięknego.

- Co przygotowujesz tym razem? - zapytał, przyglądając się mojej miksturze.

Pochłonięta pracą, nie usłyszałam jego kroków.

- Gołąb zranił się w nóżkę. Popatrz.

Wyjęłam z klatki ptaszka o smutnych oczkach. Na jego nóżce widać było skaleczenie i piórka sklezione zakrzepłą krwią.

Delikatnie, pod baczym spojrzeniem Gotfryda, wyczyściłam ranę wodą z lilii, potem tak ostrożnie, jak tylko umiałam, pokryłam ra-

nę sporządzoną własnoręcznie maścią. Ptak nie wyrywał się, ufny, ukołyszany cichą melodią, którą nuciłam, jakby pojmował jej słowa i wiedział, że chcę jego dobra.

- Stajesz się równie uczona, jak twoja matka - szepnął z podziwem mężczyzna.

Nikt nie wiedział, kto jest moim ojcem. Ginewra nigdy o tym nie mówiła. A zatem zaadoptowałam Gotfryda Pięknego. Był tego świadom i odwzajemniał mi się.

Owinęłam nóżkę ptaka opatrunkiem z listków i umieściłam go w klatce, gotowa do rozmowy, skoro hrabia najwyraźniej sobie tego życzył.

- Chciałeś, panie, ze mną mówić, nieprawdaż?

Z uśmiechem kiwnął głową. Bawiło go, że zawsze odgaduję jego zamiary. Usiadł

obok mnie na kamiennej ławeczce. Z tego zakątka zamku widać było zwodzony most i wieżyczki na murach obronnych. Za nami rozciągał się jeszcze szerszy widok na okoliczną wieś. Na tym wewnętrznym dziedzińcu, obok wieży obserwacyjnej, urządziłam sobie królestwo. Umieściłam tu moje synogarlice i gołębie, cierpliwo-

ścią i miłością przyuczając je do tego, by zostały posłańcami. Tylko matka i Gotfryd odwiedzali mnie tutaj, nigdy bez konkretnego celu.

Czekałam. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. A więc było to coś ważnego. Podniósł

z ziemi gałązkę bukszpanu, odchrząknął i zaczął cicho:

- Wiem, że jesteś świadoma wszystkiego, co się tu dzieje. Henryk dorośnie i pewnego dnia z boską pomocą zostanie królem Anglii. Będzie potrzebował u swego boku kogoś silnego, kto pomoże mu uniknąć błędów. Może to będzie owa panna z Akwitanii. Wydaje się, że tak sądzi twoja matka.

Uczył wymowną pauzę, po czym ciągnął z poważną miną.

- Henryk będzie potrzebował ciebie, Loanno, bardziej niż kogokolwiek. W żyłach Alienor płynie krew jej dziadka trubadura wraz z jego popędliwością, a może i występkami. On i ja byliśmy do siebie podobni; nie dbaliśmy o fałszywe dowody uznania. Ale w żadnym razie nie mógłbym być jego przyjacielem. Jeśli Henryk jest podobny do mnie, a tego bym pragnął, związek z wnuczką Wilhelma mógłby być katastrofalny, -pojmujesz?

- Nie niepokój się, ojczu. Będę ochraniać Henryka. Pojadę do Akwitanii i zostanę przyjaciółką Alienor. Uczynię to, co jest moim przeznaczeniem: będę służyć mojej ziemi i królowi.

Spojrzał na mnie z szacunkiem i czule odgarnął z mojego czoła niesforne kosmyki.

Nie musiał nic mówić. Już dawno odgadłam jego zamiary wobec mnie i byłam gotowa je spełnić.

Ów poranek 25 stycznia 1137 roku, jak każdy poranek od tygodnia, był mglisty.

Mleczne opary snuły się blisko ziemi, spowijając wszystko jakby przydymionym muślinem, odbierając przedmiotom wyrazistość i nadając im barwę perłowej szarości i brązu. U mych stóp rzeka łagodnie szemrała, płynąc w obramowaniu z mchu i wrzосу. W Brocéliande, w samym sercu Bretanii, czas jak gdyby zatrzymał

się w miejscu. Tu były moje korzenie, te najwcześniejsze, pierwotne ogniwa łańcucha życia.

Od narodzin Henryka upłynęły cztery lata. Król Anglii Henryk I Beauclerc zmarł w 1135 roku i to, czego się obawiał, spełniło się: dzięki licznym koncesjom na rzecz baronów i prałatów oraz poparciu króla Francji Stefan z Blois przechwycił tron. Od tej chwili Matylda i on prowadzili otwartą wojnę, lecz, niestety, niczego to nie zmieniało. Trzeba było czegoś więcej niż słuszne roszczenia do ziemi i chęć odebrania jej parweniuszowi. Propozycja mojej matki, by ożenić Henryka z młodą księżniczką Aliénor z Akwitanii, coraz bardziej nabierała sensu.

Matka powoli uczyła mnie przyjmowania ofiary z ziemi - najważniejszego błogosławieństwa moich przodków - bym mogła zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem. Nauczyła mnie magicznych obrzędów, które druidzi przekazywali sobie w największej tajemnicy. Teraz wiedziałam już, kim naprawdę jestem: ani zwyczajną dziewczyną, ani księżną, ani plebejką, ani czarownicą, ani też wieszczką, ale wszystkim tym po trosze.

Dawno temu czarnoksiężnik Merlin, będący wówczas na dworze króla Artura, pokochał Viviane, wielką kapłankę Avalonu - tajemniczej wyspy druidów. Owocem ich związku była dziewczynka; potem pojawiła się druga, ale dopiero wtedy, gdy ta pierwsza mogła już zostać matką. W wyniku zespolenia się z rogatym bożkiem podczas tradycyjnych obrzędów Beltaine otrzymały to samo dziedzictwo.

Wszystkie posiadały wiedzę. Matka moja była szesnasta z kolei. Po-

dobnie jak one miała wyostrzoną intuicję i postrzegała rzeczy niewidzialne, znała tajniki magii oraz sekrety ukryte przed zwykłymi ludźmi. W ciągu minionych stuleci wyspa Avalon oddaliła się od świata widzialnego, zasłonięta przed wzrokiem ludzkim mgiełką magii. Nikt nie miał już do niej dostępu. Nawet moja matka. Co najwyżej docierały do niej czasami niejasne obrazy, przesłania, które pomagały jej podejmować decyzję. Prawda o wyspie Avalon splotła się z jej legendą.

Ginewra de Grimwald urodziła się - tak jak jej poprzedniczki - by służyć Anglii. Od czasu panowania Artura zawsze jedna z nas była pod ręką: użyteczna, przyjazna, chętnie łagodząca konflikty, wyrozumiała, wspierająca, umiejąca leczyć i przewidywać - choć dawnych wierzeń surowo zakazano, a Kościół nas wyklął.

Stefan z Blois zagarnął tron angielski i odciął się od tych przesądów. Bóg chrześcijan i tylko On miał doprowadzić ludzi do miłosierdzia i skruchy. Z pogardą odnosił się do mądrości przodków.

Królestwo Artura chciał zamienić w krainę poddaństwa i hipokryzji, oszustw i kłamstwa. To było nie do zniesienia! Jeszcze gorsze niż to, że Matylda została wyzuta ze swych dóbr. Zabijano tradycję, tłumiono światło wiedzy. Czasy poszukiwania Graala, czasy słów i czynów dokonywanych w równości, braterstwie i sprawiedliwości minęły bezpowrotnie. Równie odległe są też początki chrześcijaństwa, kiedy ceniono jeszcze mądrość starożytnych.

Podobnie jak moją matkę, czasem nawiedzały mnie wizje postaci otoczonych różowoblękitną aureolą usianą gwiazdkami.

Matka mówiła mi, że to oni - istoty przybyłe z odległych zakątków wszechświata -

zaludniły naszą planetę w czasach, gdy powstawało na niej życie. Mówiła też, że to oni są źródłem naszej wiedzy, a my powinniśmy ją przekazywać dalej. Wszystko to niesłychanie mnie fascynowało. Jak to możliwe? Gwiazdy były daleko. Każda podróż tu, na ziemi, trwała wiele dni, a co dopiero podróż przez przestworza! A jednak matka mówiła prawdę. W głębi serca byłam tego zupełnie pewna.

Podobnie jak moja matka i prababka, miałam kierować się tylko jedną miłością: do Anglii! Moim przeznaczeniem było służyć Henrykowi. Gdy zostanie królem, będę stać niezłomnie u jego boku, podobnie jak moja babka u boku Henryka I Beauclerca, a matka - pani Matyldy.

Jestem w tym szeregu ostatnia. Gdy matka oznajmiła mi to, jej słowa zabrzmiały jak wyrok. Nie było łatwo przyjąć na siebie taką rolę. Miałam dopiero szesnaście lat i przepełniała mnie wiara w przyszłość tego świata, który właśnie umierał, próbując rozpaczliwie zachować to, dzięki czemu powstał, by na zawsze zapanowały pokój, miłość, postęp i światło. Wszystkie te słowa miały sens, zanim Kościół objął swoje ponure panowanie.

Nie wiedziałam, czy jestem już gotowa. Może zawsze bardziej niż moje poprzedniczki chciałam się poświęcić swojej misji? Jednego byłam pewna - nie miałam wyboru. Nie miałam i nigdy nie będę miała żadnych praw oprócz tego jednego - pogodzić się z moim przeznaczeniem.

Od dwóch miesięcy wiodłam żywot pustelniczki. Zamieszkałam w chatce znanej tylko tym, w których żyłach płynęła ta sama krew co w moich. Chatka położona była obok źródła, tam gdzie panowała wieczna wiosna.

Zanim odjechałam, Gotfryd Piękny ofiarował mi wspaniałą białą klacz, którą nazwałam Grano. Była przy mnie, w tej chacie, gdzie odcięta od świata kończyłam swoje terminowanie. Z upływem lat moje chuderlawe dziewczęce ciało zaokrągliło się i stało się delikatne. Jak syfida cwałowałam o świcie na Grano, a drwale, których mijalam po drodze, zegnali się znakiem krzyża, myśląc, że spotkali ducha.

Las Merlina miał swoją legendę. Nie było takiego śmiałka, co chciałby się zapuścić między drzewa. Dawało mi to swobodę działania i poczucie intymności.

Zanim opuściłam matkę i spokojny żywot, jaki wiodłam w Angers, zauważyłam, że Gotfryd Piękny zmienił się w stosunku do mnie. Starał się mnie dotykać jak najczęściej, więc wymykałam mu się pod

był pretekstem. Coraz bardziej był mną zainteresowany. Czułam na sobie jego palące spojrzenie. Nie tylko zresztą jego. Syn młynarza Benoita, trochę tylko starszy ode mnie, nękał mnie swymi zalotami. Gdy matka oznajmiła, że już nadszedł czas, bym wyruszyła do Broceliande, odetchnęłam z ulgą, gdyż wiedziałam, że nikt z zamku nie odważy się sprofanować tego miejsca.

Jak na początek lata było bardzo ciepło. Zdjęłam czepek, który więził moje długie włosy. Opadły falami na piersi, pieszcząc mnie

swym jedwabistym dotykiem. Co rano kąpałam się nago w ożywczym źródle, gdzie Merlin lubił odprawiać czary. Woda była orzeźwiająco chłodna i bogata w minerały.

Kąpałam się, rozmyślając o małym Henryczku i jego okrągłej, pyzatej buzi.

Brakowało mi go tutaj.

Zastanawiałam się, jak Bernaude daje sobie radę beze mnie, jak powściąga temperament małego kapryśnika. Miał trudny, wybuchowy charakter i niesłuchanie silną wolę. Tylko ja umiałam go uspokoić, tylko mnie słuchał i tylko przy mnie bywał uważny i opanowany. Nie słuchał ani piastunki, ani matki. Opowiadałam mu historie o czarownikach i smokach, rycerzach i księżniczkach, karzełkach i elfach.

Uczyłam go tajników ziemi i nieba, a także poszanowania dla wszystkiego, co żyje, a więc tego wszystkiego, czego brat Briscaut nigdy nie zdołałby go nauczyć.

Miałam dla niego wielkie zasługi, a podziw, jaki dla mnie żywił, pozwalał mi okiełznać jego temperament.

Stopniowo mgła się rozpraszała, a las tracił swoją tajemniczość. Ten dzień różnił się od innych. Źródło śpiewało inaczej niż zwykle, jego melodia tchnęła spokojem, który przepełnił moją duszę i serce. Wiedziałam, że rankiem Matylda i Gotfryd wyruszyli do Akwitanii na spotkanie z ojcem Alienor. Dziś pierwszy krok ku przyszłości zależał od woli księcia Wilhelma.

Wstałam, aby woda spłynęła wzdłuż moich ud. Nadszedł czas zespolenia się z energią twórczą. Ułożyłam się na wzgórku powyżej źródła, i czekałam, aż zabrzmi we mnie pierwsze zaklęcie.

Wysokie sklepienia korytarza zdawały się wibrować od głębokiej ciszy. Rzadko się zdarzało w opactwie Fontevrault, że pojawiał się tak rasowy mężczyzna.

Zatopiony w myślach książę Akwitanii szedł korytarzem, otulony długim aksamitnym płaszczem. Zmierzał w stronę celi przeoryszy, prowadził go brat Tybald, który niósł w dłoni zapaloną świecę.

- To tu, panie. Czekają na ciebie - rzekł, zatrzymując się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami.

Wilhelm zastanawiał się, czego może chcieć przeorysza tego ponurego dnia lutowego 1137 roku. Nie chciał oddać swojej córki Alienor pod jej opiekę, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że ból po śmierci małżonki odebrał mu chęć życia i upodobanie do towarzystwa. Miał zamiar wyruszyć w pielgrzymkę do Compostelli, by się

pomodlić i wypowiedzieć. Miał nadzieję odzyskać w ten sposób siły witalne.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, zwielokrotnionym przez echo. "wszedł i zobaczył dwie znajome postacie siedzące przy płonącym kominku. Przeorysza trzymała się w pewnej odległości od nich. Stała wyprostowana i nieruchoma, z twarzą bez wyrazu, sztywną jak fałdy jej wykrochmalonej sukni. Pochylił głowę i przyklęknął przed nią na jedno kolano.

- Wstań, mój synu. Znasz hrabiego andegaweńskiego i jego małżonkę, panią Matyldę.

Wilhelm powitał obecnych uprzejmym skinieniem głowy. Przeorysza kontynuowała drżącym głosem:

- Wybraliśmy to zaciszne miejsce na spotkanie z tobą w sprawie najwyższej wagi.

Na razie musimy zachować jak najściślejszą dyskrecję. Wysłuchałam ich z zainteresowaniem i udzieliłam swego błogosławieństwa. Brakuje im jeszcze twojej zgody, synu. Tobie pozostawiam ocenę roztropności i zaszczytności ich propozycji.

Przeorysza z trudem usiadła w sztywnej od krochmalu sukni. Z dłońmi skrzyżowanymi na piersi zaszyła się w mrocznym kącie skromnej izby, podkreślając w ten sposób swoją rezerwę.

Po wstępnej wymianie grzeczności Gotfryd Piękny przeszedł do rzeczy:

- Zapewne znany ci jest nasz spór z domem Blois. Jednakże zbieg wydarzeń każe wierzyć, iż Matylda zostanie wkrótce koronowana na królową Anglii i zgodnie z porządkiem rzeczy, jeśli taka będzie wola Boga, nasz mały Henryczek pewnego dnia zostanie jej następcą. Jest to powód, dla którego pragnęlibyśmy, mimo jego młodego wieku, zaręczyć go z twoją starszą córką Alienor. Związek między An-degawenią a Akwitanią będzie korzystny dla naszych rodzin i dla ich potomków.

Wilhelm pokiwał z zadowoleniem głową, zastanowił się chwilę i odpowiedział:

- Szanuję cię, Gotfrydzie, i uważam twoją propozycję za niezmiernie korzystną.

Właśnie kłopotalem się przyszłością mej starszej córki. Alienor jest teraz młodą dziewczyną. Bawi się i znajduje upodobanie w towarzystwie trubadurów. Myślę jednak, że skupienie i samotność złagodziłyby jej nadmiernie rozbudzony temperament. Henryk jest jeszcze dzieckiem, niemniej jednak ten projekt niezmiernie mnie po-

ciąga. Pozostaje wszelako jedna przeszkoda: nasze dzieci nie dorosły jeszcze do małżeństwa. Co proponujesz, Gotfrydzie?

- Umieścić Alienor w tym zakątku na dziesięć lat. Opuści klasztor, by go poślubić i włożyć na skronie koronę Anglii. Nie chcielibyśmy jej jednak odgradzać od świata, zatem przyślemy do towarzystwa córkę baronowej Ginewry de Grimwald, zausznicę pani Matyldy. Są w tym samym wieku. Z pewnością pomoże to jej zaakceptować swoje odosobnienie i złagodzić te cechy, o których byłeś, panie, łaskaw wspomnieć - dodał porozumiewawczo. - Ich przyjaźń przypieczętuje naszą ugodę.

- Widzę, że wszystko sobie dobrze przemyślałeś.

- Jest zrozumiałe samo przez się, że na razie - w interesie naszych dzieci - to spotkanie powinno pozostać tajemnicą - dodała Matylda.

- Za kilka tygodni wyruszam do Compostelli. Po moim powrocie sporządzimy stosowny zapis i uregulujemy sprawy związane z posagiem. Do tej chwili obiecuję zachować całkowitą dyskrecję - rzekł Wilhelm, ściskając po bratersku dłoń Gotfryda.

Gdy drzwi otworzyły się na korytarz, aby księżę Akwitanii mógł wyjść, dały się słyszeć pospieszne kroki. Wilhelm odniósł niemiłe wrażenie, że ktoś się o niego otarł, i rozpląnął w ciemnościach panujących w miejscu modlitwy i skupienia. Gdy dołączył do swej eskorty nad brzegiem rzeki, był już zupełnie spokojny. „Oto więc przyszłość Alienor jest rozstrzygnięta, i to jak najlepiej dla Akwitanii” - pomyślał.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu na jego ustach zagościł lekki uśmiech.

- Niechaj będzie przeklęta!

Stefan z Blois kipiał z wściekłości. Chodził tam i z powrotem, przemierzał salę z jednego końca na drugi, potykając się o cenne przedmioty. Brat Tybald nie śmiał ani przemówić, ani nawet podnieść głowy z obawy przed gniewem tego człowieka.

Mnich postanowił uprzedzić dom Blois o tym, co się szykuje, ale oficjalnie opuścił klasztor pod pretekstem odwiedzin rzekomo ciężko chorej matki.

- Czy nasz wielki mistrz Bertrand de Blanquefort zna nowinę?

- Jeszcze nie, panie.

- Jeśli ten związek zostanie zawarty, plan templariuszy zostanie zniweczony.

Musimy zachować Anglię, a Ludwik Francuski, który stoi po naszej stronie, musi sprzymierzyć się z Akwitanią. Do diaska! Roszczenia i władza Kościoła sięgają dalej niż kłótnie wasali. Odejdź! Zakon wynagrodzi ci oddanie, jakie mu okazujesz.

Brat Tybald skinął nieśmiało głową na znak podziękowania i oddalił się.

Zza kotary wysunął się wychudły mężczyzna o spiżowym wejrzeniu. Biała szata wskazywała, że należy do zakonu templariuszy. Hrabia de Blois, król Anglii, wciąż nie mógł się uspokoić. Nalał sobie nalewki śliwkowej, którą sam sporządził, i wypił.

Opat Suger, wierny doradca króla Francji Ludwika VI Grubego, usiadł w ciężkim fotelu stojącym w kącie pokoju bogato zdobionego tapiseriami\* i posążkami z brązu. Choć nie aprobował zgubnej skłonności do alkoholu, którą najwyraźniej wykazywał hrabia, powstrzymał się od komentarza. Na razie miał inne zmartwienie.

Wypowiedział swoje myśli na głos:

- Matyllda Andegaweńska jest subtelnym strategiem. Słyszałem, że ma za sobą Ginewrę de Grimwald. Kto to jest?

- Czarownica, ojczy! Pochodzi z Broceliande, od wielu pokoleń należącego do druidów. Podobno jej przodkiem był czarnoksiężnik Merlin. Truwerzy\*\* mówią o niej: Wiedząca. Kimkolwiek jest, stanowi dla nas zagrożenie. Jej rodzina zawsze była blisko tronu. Kto popiera Matyldę, staje przeciwko mnie. Niektórzy nasi baronowie uważają, że też powinienem mieć w swoim najbliższym otoczeniu kogoś takiego jak ona, kto umiałby przepowiadać przyszłość! Gdybym nie miał dość pieniędzy i poparcia kleru, aby zagrozić im karą boską, nadal oddawaliby cześć bożkom! *Miserere!*

- Mój synu, zostaw plotki na boku, tam jest ich miejsce. Ty, który zasiadasz przy Okrągłym Stole i pijesz z kielicha rycerzy Chrystusowych, nie możesz przypisywać znaczenia pogłoskom. Najczęściej strach, a nie rozum skłania do wiary. Matyllda Andegaweńska potrafi sama intrygować przeciwko twemu obozowi.

\*Tapiseria - wielobarwna tkanina dekoracyjna, np. gobelin, arras (*przyp. red.*).

\*Truwer - średniowieczny poeta, zarazem muzyk i śpiewak wędrowny w północnej Francji (*przyp. red.*).

Stefan z Blois zasępił się.

- Nie wolno nie doceniać Ginewry de Grimwald, ojczy. Ma ogromny wpływ na Matyldę. Gdybyś mógł choć raz spojrzeć jej w oczy, zrozumiałbyś. Choć odczuwam boską opiekę, czasami lękam się złego w tych niewiastach.

Suger pohamował uśmiech, widząc przerażenie w oczach hrabiego de Blois. Hrabia łyknął nalewki, głośno beknął, po czym ciągnął dalej:

- Jak się miewa nasz najjaśniejszy pan Ludwik, król Francji? Teraz z kolei skrzywił

się Suger. Wolałby nie odpowiadać, ale nie

mógł skłamać. Westchnął.

- Źle. Nękają go dolegliwości żołądkowe. Obawiam się, że stracimy go wcześniej, niżbyśmy sobie życzyli.

Blois aż się zakrztusił z wrażenia.

- To jeszcze jeden powód, żeby nie dopuścić do tego związku, ojczy! Stracę poparcie angielskich baronów, gdy Matyllda zacznie ich kusić posagiem Alienor. Udzieliłem pomocy zakonowi w zamian za poparcie dla mnie. Dziś oczekuję rekompensaty. -

Podkreślał swoje słowa uderzeniem pięści w stół.



Suger opanował gniew. Ten prostak nie wyprowadzi go z równowagi swoimi humorami, choć żąda znacznie więcej, niż mu się należy.

Ale jednak templariusze go potrzebowali. Armia Chrystusa, powstała niedawno, w ciągu roku, który upłynął od śmierci jej założyciela Hugues'a de Payena, zaczynała się rozrastać.

Ten rok był trudny, ponieważ papież mocno nalegał, aby Bernard z Clairvaux, przeor zakonu Citeaux, objął wakujące miejsce. To on jako pierwszy w mądrości, surowości i wierze otrzymał zadanie ułożenia reguły nowego zakonu. On tchnął

życie w to ważne boskie przedsięwzięcie. Choć stanowisko to było dlań wymarzone i wiązało się z zaszczytami, Bernard z Clairvaux nie chciał być wielkim mistrzem.

Bertrand z Blanquefort zaproponował swoją kandydaturę, kupując sobie poparcie datkami na rzecz zakonu. Chciał władzy zarówno nad królami, jak i umysłami oraz duszami, i to władzy absolutnej, jaką daje wiara. Podczas gdy Hugues de Payen, Godefroy de Saint-Omer czy Bernard z Clairvaux mówili o sprawach duchowych, on mówił o złocie, ziemiach, posiadłościach, poddaństwie, wszelkiego rodzaju dobrach zyskanych dzięki tym, którzy kupowali

sobie poparcie zakonu. Bernard z Clairvaux myślał o przewadze armii bożej podczas poprzedniej wyprawy krzyżowej; dla nowego wielkiego mistrza zaś była ona środkiem, za pomocą którego można by stworzyć sieć sojuszy politycznych, co doprowadziłoby ostatecznie do tego, by on sam został wielkim mistrzem całego chrześcijańskiego Zachodu. Opat Suger, niskiego urodzenia, był żądny władzy i ambitny. Wcześniej dowiedział, że rozumie, dlaczego powinien wstąpić do zakonu templariuszy i poprzeć go. Dysponował ważnym atutem: miał potężny wpływ na rządy królestwa Francji. Przeor uspokoił hrabiego de Blois:

- Już dobrze, przyjacielu. Cokolwiek postanowisz, nie zapominaj, że za to, co posiadasz, winienesz wdzięczność Bogu. Nasz Ojciec Niebieski nie mógłby pozostawić interesów swego Kościoła w rękach tych, którzy nie działają według Jego planów. Oto dlaczego przyjmujemy każdego, kto garnie się do zakonu w poszukiwaniu ekspiacji za grzechy. Czy to złodzieje, bluźniercy wiarołomcy, zdrajcy czy zabójcy - ich wiara i skrucha są ogromne. Nie wątpię w to, że sprawia to sam Bóg. Nie działają zatem powodowani gniewem, ambicją, próżną chwałą czy skąpstwem - walczą w wojnie Jezusa Chrystusa, ich Pana. W myśl prawa boskiego, przyjacielu, nie są oni winni żadnej zbrodni, jeśli służą sprawie Kościoła. Jeśli zabijają, to na chwałę Chrystusa, a jeśli padną w boju, są pewni, iż dusza ich będzie zbawiona. Widzisz zatem, że nic nie zdoła nas powstrzymać.

- Czy wobec tego mam rozumieć, że powinniśmy zastosować wszelkie środki, aby nie dopuścić do tych zaręczyn? - spytał Stefan z Blois.

Suger uniósł się powoli. Uznał rozmowę za zakończoną. Dodał wszelako tonem niebudzącym wątpliwości:

- Synu mój, zechciej zrozumieć to, co Bóg chce, abyś zrozumiał. Mam do usług oddanego rycerza, który z powodu swej niechlubnej przeszłości wspaniale odpłaca za swoje zbrodnie. Może byłoby dobrze, gdyby się przebrał w pielgrzymią oponczę...

Mój umysł zjednoczył się z ziemią, kamieniem i wodą, stał się jednością z Wszeczną. Odtąd mogłam odgadnąć każdy ruch niewidzialnych mocy.

Wyprostowałam się i usiadłam na wzgórku; ziemia pode mną była rozgrzana ciepłem mojego ciała. Wciąż miałam za-

mknięte oczy i dokonywałam wizualizacji każdego żywiołu w jego postaci energetycznej. Wiedziałam dokładnie, gdzie się znajduje konkretne drzewo czy kamień, bo otoczone były aurą o barwach ostrych, a zarazem pastelowych.

Chłonełam siłę, która płynęła od ziemi. Żywiłam się nią. Nadchodziła właściwa chwila. Przeczuwałam to. Powinnam była okazać niecierpliwość, lecz mój spokój przypominał wodę skutą lodem. Czekałam i to było cudowne.

Nagle... zaczęło się. We wnętrzu magicznego kręgu, który utworzyłam z kawałków szlifowanego opalu, pojawił się świetlisty punkt, [asność nabierała coraz żywszych barw. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak wiruje ona wokół własnej osi. Wydawało się, że wytryskuje z ziemi, tuż przy źródle Baranton. Z wolna przybierała ludzki kształt, aż wreszcie od ziemi ku niebu uformowała się świetlista postać.

Z długiej szaty Merlina spływały na ziemię strumyczki krystalicznie czystej wody.

Z bezbrzeżną czułością spoglądałam na tę migoczącą kaskadę, której źródłem było pełne miłości spojrzenie ponadczasowej istoty.

Wyciągnął do mnie długie ramiona z kropelek.

- Oto jestem, drogie dziecko, bo tego właśnie pragnęłaś - szepnął mi do ucha śpiewny głos czarnoksiężnika. - Przybliź się...

Przystrojona w nagość jak w ubranie do chrztu, wstałam i podeszłam do mego pradziada. Spoglądając w górę ku niemu, przekroczyłam kamienny krąg i światło otoczyło mnie niczym diamentowy płaszcz. Merlin wziął mnie za rękę i przyłożył ją sobie do serca. Natychmiast odczulałam dobroczynną potęgę jego magii.

- Oto co jeszcze miałaś wiedzieć - powiedział z prostotą. - Zdołasz już sprostać jutrzejszym zadaniom. Nie lekceważ chciwości i ciemnoty Kościoła. Uznał potęgę druidów za szkodliwą i diabelską, zamiast ją uszanować i poznać. Twórczą energią życiową można wyjaśnić miłość w każdej istocie i każdej rzeczy. Zniewolenie ludów przez tę ślepią wiarę, którą wykorzystują przywódcy Kościoła, jest sprzeczne z ruchem ziemi, powietrza, wody i ognia niebiańskiego. Pobierając energię z wszechświata, przekazujesz ją ludziom i służysz życiu. Na tym polega prawdziwa magia - nauczyć się wykorzystać siły, które cię otaczają i które promieniują z każdej istoty przez sam fakt, że ona istnieje. Pamiętaj o tym, moje dziecko, kiedy nadejdzie

pora, gdy będziesz musiała się opowiedzieć nie po stronie nauk kościelnych, lecz logiki i intuicji. Odejdź teraz, moje dziecko. Przez ten oto kamień księżycowy, z którym od tej pory nigdy się nie

rozstaniez, związuję los Anglii z twoim własnym.

Wiem, że będziesz tego godna. Odejdź.

Uniosłam do drżących z wrażenia ust świetlistą dłoń Merlina i wiedząc, że za chwilę czar pryśnie, wróciłam, by położyć się na wzgórku, wyczerpana tą wiedzą, która stała się częścią mnie samej. Zapadłam w twardy sen, a kamień księżycowy jak naszyjnik spoczywał tuż przy moim sercu.

Był 8 marca 1137 roku. Alienor, młoda księżniczka Akwitanii, była niezmiernie poruszona. Poprzedniego dnia ojciec zapowiedział, że do Bordeaux przybędzie młoda chrześniaczka Matyldy Andegaweńskiej. Wiadomość ta przyprawiła ją o zawrót głowy. Jakże mogłoby być inaczej? Mierność towarzyszek już śmiertelnie znużyła. Zresztą odkąd Rajmund wyjechał do Antiochii, by poślubić córkę niedawno zmarłego króla Boemunda, wszystkie one wydawały się nedorzeczne.

Straszliwie tęskniła za Rajmundem, a jeszcze bardziej za tym nowym wrażeniem, które obudził w jej ciele pamiętnej nocy w klasztorze Belin.

Rajmund uciekł z pałacu, aby nie ulec pokusie. Nie mógł znieść bliskości Alienor, nie mógł wdychać jej woni, nie pamiętając zapachu rozgrzanego ciała. Kilka miesięcy później pospieszył do Antiochii ku swemu męskiemu przeznaczeniu, do innej kobiety. Miał nadzieję, że tam zdoła ugasić płonący w nim ogień.

Alienor nie miała o to żalu. Wiedziała, że ich miłość była szaleństwem, i to zapewne pociągało ją bardziej niż sam Rajmund. Zastanawiała się, czego brakowało jej bardziej. Czasami bezwstydnie odsłaniała przed lustrem swe zmysłowe kształty i myślała o tym, że podobałyby się Rajmundowi. Dla igraszki dotykała twardych piersi i rzucała swemu odbiciu w lustrze wyzwanie:

- Inni będą je kochać!

- To dla mnie zaszczyt, wasza książęca mość! - Dygnęłam z szacunkiem.

Alienor miała błyszczące oczy i wyniosłe spojrzenie. O takich kobietach mówi się, że mogą owinać sobie wszystkich dookoła palca. Była piękna, a jej wzrok, gdy mi się badawczo przyglądała, wyrażał zadowolenie. Podobałam się jej bardziej, niż się spodziewałam. Uniosłam głowę i uśmiechnęłam się porozumiewawczo. Ukazała w zmysłowym uśmiechu zęby, podała mi szczerą, przyjazną dłoń i odezwała się z ożywieniem:

- Czuję, że będziemy najlepszymi przyjaciółkami! - I rozkazała swojej świcie: -

Moje panny, przywitajcie naszego gościa jak należy.

Skupione wokół niej dziewczęta najwyraźniej były znacznie mniej zachwycone niż księżniczka. Mimo wszystko przywitały mnie jak przystoi dobrze wychowanym pannom. Nie zajmując się już nimi, Alienor ujęła mnie władczo pod ramię i poprowadziła wspaniałym korytarzem.

- Zaprowadzę cię teraz do twoich apartamentów - wyjaśniła. - Przekonasz się, że Bordeaux jest cudownym miastem. Nie przejmuj się tymi gadułami, nie mają gustu.

Tutaj trubadurzy śpiewają o radości. Będziesz mnie rozweselać, kochana. Ale ja tyle mówię, a przecież chciałabym wszystko o tobie wiedzieć. Ojciec mówił mi, że pochodzisz z Anglii, czy to prawda? Piegi na twoich policzkach świadczą o...

Przerwałam jej z kpina w głosie:

- Czy nie zabrakło ci tchu?

Spojrzała na mnie z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Śmiesz...

- ...twierdzić - znowu jej przerwałam - że po to, by ci odpowiedzieć, potrzebuję, byś udzieliła mi głosu? Przyznaję, że tak - dodałam żartobliwie.

Zastanawiała się chwilę, czy się roześmiać, czy rozgniewać, ale jej naturalna wesołość wzięła górę:

- Czuję, że twoje towarzystwo będzie dla mnie rozkoszą.

- Czy moje wymuszone milczenie tak ci przypadło do gustu?

- Raczej twoja impertynencja. Żadna z tych idiotek nie śmiałyby odezwać się do mnie w taki sposób. Zresztą plotą jak papugi, więc i tak nie mam żadnej przyjemności rozmawiać z nimi.

- Oto dlaczego lubisz wygłaszać monologi w moim towarzystwie.

- Och, wybacz mi! Jestem taka szczęśliwa z naszego porozumienia. Spójrz.

Pokazała mi rozpościerające się za oknem miasto. Pałac Ombriere, wznoszący się nad brzegiem Garonny był okazałą kwadratową budowlą z prostokątną basztą, której nadano nazwę Arbalesteyre, i jeszcze dwiema wieżami połączonymi łącznikiem. Wokół zamku, nad brzegami wijącej się jak wąż rzeki, wdzięcznie rozłożyło się miasto. Stąd mogłam dostrzec kłębiące się tłumy ludzi, kramy, kupców, żebraków, a nawet kuglarzy. W Bordeaux panowało ożywienie, jakiego jeszcze nie znałam.

- Z Arbalesteyre - tłumaczyła Alienor - gdzie znajduje się twój pokój, widać daleko w dole Blaye, a na horyzoncie - Medoc. Sama wybrałam ten pokój. Jestem pewna, że ci się spodoba.

Nie czekając na odpowiedź, co uznałam już za normalne, Alienor pociągnęła mnie płataniną korytarzy i schodów, równie bogato zdobionych jak poprzednie.

Zatrzymała się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami i uroczystym gestem powoli je uchyliła.

Stała z boku, tak jak czyniłaby to służąca, by mnie przepuścić. Zamarłam na widok ogromnego pokoju, którego żadną miarą nie dawało się porównać z moją dawną kłitką. Wystrój stanowił kwintesencję dobrego smaku. Pośrodku wznosiło się dumnie olbrzymie wysokie łoże, którego zagłówek był rzeźbiony w orły i węże.

Ściany rozjaśniały tapiserieprzedstawiające sceny dworskie.

Na ziemi ułożono starannie szachownicę z mięty i szalwii, te same rośliny wyrastały ze srebrnego wazonu, ustawionego na toaletce ze zwierciadłem. Srebrna misa wypełniona wodą z melisą czekała, bym się odświeżyła. Z otwartego kuferka wylewały się suknie i czepce z aksamitu i koronek, ozdobione woalkami i kamieniami szlachetnymi. Nigdy jeszcze nie widziałam podobnego bogactwa.

„To królewska komnata” - pomyślałam.

Słyszałam różne pogłoski o zamożności księstwa Akwitanii, ale to, co zobaczyłam, przekraczało wszystkie moje najśmielsze wyobrażenia.

Alienor była rozanielona. Jej dary wywarły na mnie należyte wrażenie.

- Podoba ci się? - zapytała niecierpliwie.

- To jest... przewspaniałe!

Nawet to słowo wydawało mi się zbyt blade w porównaniu z tym, czym syciły się moje oczy.

Okręciła się dokoła własnej osi jak bąk, po dziecinnemu klaszcząc w dłonie. Zaczęłam się zastanawiać, które z jej wcieleń bardziej mi się podobało: kobiety, na którą wyglądała, czy dziecka, jakie przypominała. Pomyślałam, że najbardziej lubię jej figlarność, i z wdzięcznością pocałowałam ją w policzek. Jej oczy się rozjarzyły. Przez chwilę przyglądałyśmy się sobie w milczeniu, potem Alienor zbliżyła się do loża miękkim, kocim krokiem i mrugnawszy do mnie porozumiewawczo, rzekła:

- Kazałam je wyrzeźbić pałacowemu ebeniście\*. Jak je znajdujesz?

- Jest piękne. Wszystko w pałacu zadziwia mnie, księżniczko, i czuję, że będzie mi tu dobrze.

Kiwnęła głową, lecz nagle jej zachowanie zmieniło się, a ja nie rozumiałam dlaczego. Nie byłajuz dzieckiem, wydawała się czymś poruszona, mniej radosna.

„Nie powinnam była jej pocałować” - pomyślałam. Ale to wydawało się takie naturalne.

Alienor ciągnęła z uśmiechem, jak gdyby widząc moje zastanowienie, odzyskała swoją elokwencję:

- Ojciec mówił mi, że lubisz ptaki. W Pirenejach, które rozciągają się niedaleko stąd, można spotkać orły, które unoszą się swobodnie ponad szczytami gór. Podziwiam ich swobodę. Lubisz je, Loanno de Grimwald?

- Wydaje mi się, że nigdy ich nie widziałam, ale myślę, że spodobałyby mi się.

- Któregoś dnia wybierzemy się tam. Poproszę ojca, żeby przydzielił nam eskortę, i wyruszymy w góry. Na razie będziesz odkrywać uroki tego zakątka. Moi trubadurzy znajdują się w sali muzycznej - zmieniła nagle temat. - Będą chwalać twoje oczy i włosy. Niedługo staniesz się tematem ich

pieśni.

- Tak sądzisz?

Kiwnęła głową z figlarnym uśmieszkiem na wargach. Klasnęła w dłonie i zawołała:

- Camille!

Natychmiast młódka, nieco tylko od nas starsza, uniosła róg materii zasłaniającej wejście do komnaty i skłoniła się przede mną.

- Wszystkie dworki mają swoje pokojówki. Camille jest na twoje

\*Ebenista - artysta stolarz, wyrabiający meble (*przyp. red.*).

usługi. Mieszka w pokoiku obok. Wydawaj jej polecenia wedle swoich upodobań i potrzeb, będzie ci posłuszna.

- Niech Bóg błogosławi twój, o pani, pobyt w tych murach - powiedziała Camille.

Jej szczery uśmiech i dołeczki w policzkach, kocie spojrzenie i okrągłutkie kształty od razu przypadły mi do gustu.

- Wstań, proszę - powiedziałam zakłopotana. Nie miałam dotąd własnej służącej.

Camille usłuchała, ale czekała na rozkazy. Nie wiedziałam, co powiedzieć. W

Broceliande nigdy nie czułam się taka skrępowana jak tu. Nie znosiłam sztywnych konwenansów. Alienor niczego nie zauważyła. Z wyższością rozkazała:

- Możesz odejść, Camille. Nie jesteś teraz potrzebna pannie de Grimwald. - Wzięła mnie za rękę i powiedziała już do mnie: - Jeśli w tym pałacu jest coś, czego nie wolno odkładać na później, to jest to słuchanie muzyki.

Alienor poszła przodem. Drzwi się zamknęły. Za nimi zostało moje nowe królestwo.

Przyjaźń była dla mnie czymś zupełnie nowym. Akwitania i jej księżniczka miały dla mnie wielki urok. Będę musiała uważać, by nie stać się jego niewolnicą i nie zapomnieć o mojej misji.

Jeszcze jedne schody. Zapewne nieraz pomylę tu drogę. Osoby, które mijaliśmy, pochylały się w ukłonie na widok młodej pani, w sposób - jak na mój gust -

przesadny, ale widocznie taki był tutejszy obyczaj.

Nie mówiąc już ani słowa, Alienor doszła do ciężkich rzeźbionych drzwi, a gdy je pchnęła, muzyka, która dotąd była tylko szmerem, wybuchła z całą mocą cytr, lutni, fletów, bębenków i wioł\*. Mieszanie dźwięków słyhać było jeszcze przez chwilę, nagle urwały się, by ustąpić miejsca

powitalnemu hołdowi, jaki trubadurzy składali swej muzie. Alienor przedstawiła mnie krótko:

- Panowie, oto ona. Śpiewajcie na jej cześć i chwałę, nie zapominając wszelako o mnie.

Natychmiast, niczym rój pszczół, muzycy stłoczyli się u moich stóp, całowali rąbek mej sukni, następnie oddalili się o kilka kroków,

\* Wiola - instrument smyczkowy (przyp. red.).

by lepiej mi się przyjrzeć. Uderzyli w struny i zaczęli wypróbować głos, czyniąc przy tym nieprawdopodobny hałas. Rozbawiona Alienor zajęła miejsce w ustawionym na podwyższeniu fotelu, obitym granatowym aksamitem, nie zwracając uwagi na panny rozłożone na poduszkach. Chciałam już błagać o zmiłowanie, ale ktoś zaklaskał w dłonie i zapanowała cisza.

- Prosiłam, abyście ją oczarowali, a nie ogłuszyli - zażądał stanowczy głos księżnej.

- Loanno de Grimwald, usiądź u mego boku, panny zrobią ci miejsce. Co zaś się was tyczy, panowie, grajcie, zabawiajcie nas.

Rozsiadłam się na ławce, na której miejsca ustąpiła mi z niechęcią bladolica brunetka o spojrzeniu zbitego psa. Rozmyślając o tym, jak miła jest ta kraina, dałam się porwać czarowi muzyki.

- Byłoby może rozsądnie, żebyś złożył wyrazy hołdu księciu Wilhelmowi.

Zwrócono ci kasztelanę, a twe ziemie kwitną.

Jaufre uśmiechnął się niewyraźnie:

- Zapewne, ale nie chciałbym się przed nim ukorzyć.

- Nie zwracaj uwagi na to niemądre odczucie. Zbyt długo przebywałeś w samotności

- uniósł się starzec. - Co więcej, dwór Akwi-tanii podejmuje największych trubadurów dzisiejszej doby. Czy nie masz ochoty wyjść poza te mury i zaśpiewać swe wiersze przed najpiękniejszą panną okolicy?

Jaufre uniósł się, ugodzony do żywego. Mruknął przez zaciśnięte zęby:

- Z pewnością najpiękniejszą, ale również najokrutniejszą; lubi szydzić i jest wyniosła jak jej dziadek. Będzie się śmiała z mych pieśni i marzeń, żeby mnie upokorzyć, tak jak mego ojca.

Trubadur Jaufre, hrabia de Blaye, krainy na północ od Bordeaux, krążył niczym tygrys w klatce w wysokiej wieży swego zamku. Przez otwarte na oścież okno widział pobliskie wyspy i przewoźników wabiących donośnymi głosami pasażerów.

Morska bryza przynosiła zapach przestworzy i wolności, która pociągała młodego trubadura.

Ucle Brun, hrabia de Lusignan, westchnął ze smutkiem. „Ileż w nim niewykorzystanej witalności! - pomyślał. - Jakież cudowny ta-

lent w nim drzemie!". Wychylił kielich młodego wina, wstał i stanął za plecami młodzieńca. Położył mu po ojcowski rękę na ramieniu.

- Jaufre - szepnął - przez wzgląd na twego zmarłego ojca traktuję cię jak syna, wiesz o tym. Nie mogę znieść myśli, że odjeżdżasz rozgoryczony. Trzeba zapomnieć o dawnych kłótniach, zwrócić się w stronę przyszłości. Nie jesteś stworzony do walki, ale do śpiewu, miłości i śmiechu. Od twego powrotu mijają trzy lata, uczyniłeś cuda dla ziemi, która należy do ciebie. Ani jeden z twoich wasali nie żyje w potrzebie; ja nie mógłbym tego samego powiedzieć o moich poddanych. Wszędzie zdobywasz poklask, wszędzie przyjmują cię nie jak pana, ale jak przyjaciela - tak dalece przyczyniłeś się do przełamania niesprawiedliwości, która ciążyła twoim poddanym i skazywała ich na życie w nędzy. Chciałbym być taki prawy i sprawiedliwy jak ty, lecz instynkt zdobywcy każe mi pragnąć więcej, niż mam. Zazdroszczę ci, ale gdy widzę twoje coraz smutniejsze oczy, jest mi smutno i czuję się bogaty w to, czego tobie brak. Potrzeba ci miłości, Jaufre. Kochaj całą duszą, tak jak ja kocham moją żonę Sarra-zine, a nie ciałem - takjak czynisz to ty, szukając zapomnienia w brutalnych pieszczotach. Wierz mi, przyjacielu, musisz wyjść naprzeciw swoim marzeniom. Wtedy twe pieśni zabrzmia mocniej i donośniej.



- Kazesz mi pokochać Alienor? Oszalałeś, przyjacielu!

- Jeśli nie ją, to jakąś inną. Żadna z tutejszych panien nie zapełni pustki w twym sercu ani nie rozezna się w twych piosenkach.

- Zapewne masz rację, Uc, ale kimże jestem dla księżniczki? Tylko niegodnym wasalem.

- Nieprawda! Nie wolno ci tak myśleć. Wierz mi. Ona upodobała sobie towarzystwo trubadurów, lubuje się w ich śpiewie, zalotach, jak mogłaby nie uszanować twej miłości?

Jaufre westchnął. Nie odważył się zwierzyć ze swych wątpliwości starszemu mężczyźnie - Uc zbliżał się już do czterdziestki. Ścisnął tylko rękę Uca, która wciąż spoczywała na jego ramieniu. Czuł się samotny i nieszczęśliwy.

- Zastanowię się nad tym. Jedź spokojnie, Uc, twoje słowa mnie przekonały.

Zobaczymy się wkrótce, obiecuję.

Długo po jego odjeździe Jaufre leżał obok swej lutni na podróżnej opończy, z oczami utkwionymi w gwiazdy, które zapaliła noc.

- Tędy, Loanno! - Usłyszałam pośród krzyków i śmiechu rozbrzmiewających w ogrodzie pałacu de l'Ombrière.

Od mojego przyjazdu do Bordeaux minęło dziesięć dni. Zauważyłam, że dworki zapełniają sobie czas ciągłymi zabawami. Nie musiały się o nic troszczyć. Nie wykonywały prac domowych ani nie zajmowały się zwierzętami. Sokoły były w sokolniku, a przy garach stały służące. Panny zajmowały się jedynie swoimi strojami, perfumami, pogawędkami. Alienor nieraz dawała mi do zrozumienia, że te igraszki są najlepszą rękojmą młodości i wiecznej urody. A zatem słuchałam gruchania pańienek i prowadziłam beztroską egzystencję. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mi się to podoba. Czasem ktoś się niepokoił, że wyglądam na nieobecną. Mówiłam wtedy, że tęsknię za domem.

Bordeaux było bez wątpienia najpiękniejszym miastem, jakie dane mi było oglądać.

Po tysiącuroć bardziej ekscytowało mnie obserwowanie prostych ludzi przy kramach i warsztatach, hałasujących pod pałacowymi oknami, niż plotkowanie z dworkami. Na szczęście miałam towarzystwo Aliénor - tajemniczej, niepokojącej, uwodzicielskiej, cynicznej, dowcipnej. Odebrałyśmy podobne wykształcenie. Znała teksty Cyserona i Platona, ale ceniła również Plauta, Owidiusza i Juwenala, nie mówiąc o naukach Abelarda, które Kościół potępił. Dobrze władałam dialektem prowansalskim, i księżniczka lubiła słuchać moich opowieści o przygodach króla Artura, które galijski bazarz Breri wprowadził na ziemię francuskie pod nazwą *Matière de Bretagne*. Rozpowszechniana legenda niewiele miała wspólnego z rzeczywistością, lecz nie zważałam na to. Ukazywała Anglię oraz moich przodków w korzystnym świetle i to było najważniejsze. Przygotowanie Aliénor do roli przyszłej królowej trzeba odłożyć na później. Na razie była tylko zepsutym, rozkapryszonym dzieckiem.

Najpierw musiałam zdobyć jej zaufanie. Nic nie wiedziała o planach swego ojca -

poza tym, że miała udać się do klasztoru. Nie wiedziała też, że będę tam razem z nią.

Moja obecność miała jej osłodzić ciężkie chwile. Jej ojciec nie chciał, by czuła się pilnowana i by musiała zmierzyć się ze swym przeznaczeniem zbyt wcześnie.

- Przede wszystkim Aliénor powinna być bardziej stateczna, uświadomić sobie, co zyskuje dzięki swej pozycji. „Powinnaś pomóc jej jako przyjaciółka. Byłoby źle, gdyby uznała cię za szpiega - radził mi książe na stronie. - Po powrocie podam Alienor przyczyny mej

decyzji. Wtedy, ponieważ do tego czasu polubi cię, jestem o tym przekonany - los wyda się jej mniej okrutny. Zostać królową - to warte jest pewnych wyrzeczeń. Z

tego doświadczenia wyjdzie wzmocniona".

- Tędy, Loanno!

Jej głos nalegał, zatem skierowałam się w stronę lasu - tam skąd dochodził. Gdy mijiałam płaczącą wierzbę, której gałęzie zwieszały się do samej ziemi, wysunęła się stamtąd ręka, która wciągnęła mnie w gęstwinę. Ujrzałam drewnianą ławeczkę, otoczoną gałęziami, ledwie dostrzegalną w półmroku. Alienor roześmiała się jak rozbawione dziecko i zakrzyknęła:

- Niespodzianka!

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, położyła palec na ustach, gestem zmuszając mnie do milczenia. Z naszej kryjówki dały się słyszeć coraz bliższe głosy. Szeptaly:

„Tędy, nie, tędy; jestem pewna, że słyszałam jej głos”, ale tym głuptaskom nie przyszło do głowy, by rozsunąć gałęzie, i po chwili oddaliły się. Alienor ujęła mnie za rękę i poprowadziła do ławeczki. W rzeczywistości była to zwykła deska ustawiona na dwóch kamieniach. Miałam chyba zdziwioną minę, gdyż księżniczka zaśmiała się cicho, by nie zdradzić naszej kryjówki.

- Sama ją tu ustawiłam, jeszcze podczas bytności Rajmunda. Kiedyś wyskoczyłam zniemacka spomiędzy gałęzi i nieźle go wystraszyłam. Przychodzę tu, kiedy chcę być sama. Słyszę stąd dworki rozmawiające w ogrodzie. Zapewniam cię, że czasami jest to niezmiernie interesujące!

- Biedny Rajmund! Jakże musiał cierpieć!

- No cóż, mówi się: trudno! Brał tylko te owoce, które ja mu podawałam, zamiast sięgać do innych koszyczków. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi i nikt o niczym się nie dowie!

- To nie jest przyzwoite! - powiedziałam obłudnie.

- Do diabła z konwenansami! Lepiej umrzeć niż prowadzić nudne życie! Jak ci się podoba moja pustelnia? Czy wiesz, że jesteś pierwszą osobą, która tu weszła?

- To znaczy, że masz do mnie zaufanie. To mi pochlebia, księżniczko...

- Nie szydź ze mnie, Loanno de Grimwald! No i jak? Podoba ci się tutaj?

- Tak! Wiesz przecież, że lubię takie tajemne miejsca, w których można rozmyślać w samotności.

- Możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz i na jak długo zechcesz. Daruję ci to miejsce w prezencie.

Ucałowała mnie w policzek z przebiegłym błyskiem w oczach. Zrozumiałam, że zdobyłam jej zaufanie, a nawet coś więcej. Nadszedł czas, bym przerwała milczenie.

Pomogła mi w tym:

- Te głuptaski będą nas długo szukały, jestem tego pewna. Drażnią mnie ich niemądre zabawy. Pomyśleć tylko, że żadna z nich nie całowała się jeszcze z mężczyzną!

- Ja też nie! A to wcale nie znaczy, że jestem głupia - broniłam się.

- Ty to co innego. W Andegawenii obyczaje nie są takie swobodne jak tu. Nie trafiła ci się jeszcze okazja.

Nabrałam powietrza w płuca i rzuciłam niedbale:

- Marzysz o wielkiej miłości, Alienor? Wzruszyła ramionami.

- A czy warto? Wydadzą mnie za mąż, nie pytając o zdanie.

- Nie mówię o małżeństwie, lecz o uczuciach.

- Po co mi to! Z miłości można stracić głowę i rozsądek. Widzisz, dokąd doprowadziło to Rajmunda! Uciekł do Antiochii przed moimi zalotami. Nie chciałam od niego wiele. Lubię dostawać to, czego pragnę. Skoro nie potrafił

sprostać moim oczekiwaniom, przestał dla mnie istnieć.

- Ale władzę lubisz?

Wyglądziła od niechcienia fałdy sukni, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Myślę, że tak.

- A jeśli spotkasz mężczyznę, który lubi władzę tak samo jak ty?

- Jeśli nie będzie moim wrogiem, myślę, że moglibyśmy dojść do porozumienia, wszelako pod tym warunkiem, że nie porzuci mego łoża po to, by wyruszyć na wojnę. Ale wiesz, Loanno, że taki skarb nie istnieje!

- Tutaj zapewne go nie ma - rzuciłam zagadkowo.

- W klasztorze też go nie znajdę! - rozzłościła się. Uderzyła zaciśniętą pięścią w deskę, na której

siedziałyśmy, i wybuchnęła: - To niedorzeczność! Nie będę nosiła kornetu! Nie rozumiem, dlaczego ojcu tak na tym zależy.

- Skaleczyłaś się. - Ujęłam delikatnie jej dłoń i podniosłam do ust. Nie spuszczać wzroku z Alienor, zapytałam: - Pójdiesz do klasztoru, jeśli będę ci towarzyszyć?

Jej oczy zmieniły wyraz, gdy poczuła moje usta na swej dłoni. Zrozumiałam, że mam nad nią władzę.

- Czemu miałabyś to uczynić? - zapytała. Uśmiechnęłam się do niej.

- Po to, żebyś nie wyrzekła się miłości do władzy na rzecz miłości do Boga.

Znów się roześmiała. Uwolniła rękę z mojej dłoni i spojrzała na mnie porozumiewawczo. Mój żart spodobał jej się.

- Myślisz, że jestem diabolicą, jak mawiał Rajmund?

- Z całą pewnością. Jednakże ta diablica jak ptak, może orzeł, o których mi opowiadałaś, upaja się przestrzenią i wysokimi szczytami gór, skąd łatwiej sięgnąć po gwiazdkę z nieba.

- Orzeł! To mi się podoba. - Przeciągnęła się jak kotka i dodała: - Piękne porównanie. Potrzeba ci jeszcze tylko muzyki, abyś śpiewała pieśni.

Teraz ja się roześmiałam:

- Kobieta trubadur? Ależ to byłoby niepoważne!

- Dlaczego? Myślę, że mój dziadek byłby dumny, gdybym potrafiła grać tak jak on.

- Ale potępiłby to. Kobieta powinna cicho nucić i karmić się poezją, od czasu do czasu grać na harfie przy kominku, ale z pewnością nie powinna śpiewać o miłości, wędrując od miasta do miasta!

Alienor wzruszyła ramionami.

- Kto mówi o miłości? Mówię o wolności i o władzy.

- Żaden trubadur o tym nie śpiewa - zaproponowałam.

- Wielka szkoda! A zresztą... - Westchnęła głęboko. - Będzie mi ich brakowało w tym surowym więzieniu. Nawet jeśli będziesz tam ze mną. - Zawahała się, bacznie przyglądając się, jak rozplątam warkocz. - Naprawdę zrobiłabyś to?

Zapewniłam ją szczerze, że tak. Wzburzyła moje rozplecione włosy. Pod sklepieniem z gałęzi cień stawał się coraz głębszy. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Nie widziałam jej oczu, słyszałam tylko jej niespokojny oddech.

- Kochasz mnie, Loanno?

Pytanie nie było niewinne. Czułam, jak po moich plecach rozlewa się jakieś nieznane mi dotąd ciepło, które bez wahania przypisałam pieśczości jej ręki, delikatnie muskającej moje włosy. Pomyślałam, że jestem odpowiedzialna za tę grę, bo to ja ją sprowokowałam. Powinłam była wiedzieć, że moja towarzyszka znajdzie sposób, by obrócić to na swoją korzyść.

- Tak, zapewne - odpowiedziałam machinalnie, skupiona na niezwykłych doznaniach.

- To nie jest jedyny powód, prawda? Dlaczego miałabyś tracić młodość i urodę w klasztorze, skoro nikt cię do tego nie zmusza.

- Pomyśl! - rzuciłam wyzywająco, patrząc jej w oczy. Delikatnie dotknęła palcem moich warg.

- Powiedz - szepnęła.

Milczałam. Obiecałam, że zachowam w tajemnicy jej zaręczyny do czasu powrotu księcia, który miał wyruszyć w drogę za kilka dni. Alienor umiała uzyskać od niego wszystko, czego chciała, a nawet więcej - od czasu, gdy zmarła jej matka. Jednakże twardo obstawał przy umieszczeniu jej w Fontevrault, a ona czuła, że jest to coś wię-

cej niż kaprys starego samotnego człowieka.

- Powiedz mi - powtórzyła, przysuwając bliżej swoją twarz. Mimo że jej pieśczoć była delikatna, odwróciłam głowę.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, Alienor. Nie musisz stosować ze mną tych śmiesznych sztuczek. Nie jestem Rajmundem.

Chciałam, by mój głos zabrzmiał stanowczo, ale czułam, że pragnę poczuć jej usta na swoich wargach. Zdała sobie z tego sprawę, co ją wzburzyło jeszcze bardziej.

- Co mnie obchodzi Rajmund! Miłość ma różne oblicza. Chcesz je poznać?

Poczułam pulsowanie krwi w skroniach. Myślałam, że nauki Merlina uczyniły mnie odporną na takie doznania. Może sprawiła to beztroska atmosfera pałacu i duch lekkomyślności czający się w każdym zakątku. A może winna temu była obecność Alienor - tak odmiennej od innych kobiet? Przyciągnęła moją twarz do swojej.

Korzystając z panującego półmroku, starałam się za wszelką cenę opanować, by ocalić swoją misję. Jej oddech na moich wargach...

Usłyszałam drobne kroczki. Ktoś rozsunął gałęzie. Alienor pohamowała swój odruch, pozostawiając mnie w stanie zawieszenia między ulgą a frustracją.

- Byłam pewna, że cię tu zastanę. Dobry wieczór, panno Loanno.

Młodsza siostra Alienor dygnęła ceremonialnie.

- Dobry wieczór, Pernelle - odpowiedziałam lekkim tonem.

Na szczęście Pernelle była za mała, by wiedzieć coś o zmysłowych niepokojach.

Alienor kipiała. Czuję, że miała ochotę uderzyć młodszą siostrę. Powstrzymała się jednak i uśmiechnęła nieszczercze.

- Pewien trubadur prosi, abyś go przyjęła. Ma nieprzyjemną twarz, nie takjak ten, co był wczoraj - oznajmiła Pernelle, zadowolona, że przynosi ważną wiadomość.

Alienor energicznie wstała, aż zaszeleściła jej jedwabna suknia.

- No cóż, Loanno, nie każdy czekać temu dziwadłu. Wrócimy do tej rozmowy później.

- Jak sobie życzysz, księżniczko.

- Chodźmy. Powiedz mi, mała bezwstydnico, skąd wiesz o mojej kryjówce?

Pernelle wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, który ostatecznie przegnał moje pożądanie.

Jaufre de Blaye czuł się niezręcznie. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Trzymał

niezgrabnie instrument i miał ochotę stąd uciec, zamknąć się w swojej ponurej, surowej wieży, swojskiej i bezpiecznej. Kamienie nie wyśmiewały się z jego pieśni.

Ale ona! Ona! Ktoś poszedł jej poszukać. Jaufre został sam w ciepłym buduarze, targany niepokojem, jak on, wasal i poeta, zostanie przyjęty.

„Byłem szalony, że usłuchałem niemądrych rad tego starca - pomyślał. - Co ja jej powiem, co zaśpiewam, co wymyślę, aby jej się spodobać? Czy chcę się jej spodobać naprawdę? Panie, Panie, jak mogę się jej spodobać, jestem taki próżny, taki prostacki. Muszę stąd uciec. Tak, muszę wyjechać, zanim mnie zobaczy”.

W porywie niepokoju rzucił się do wyjścia, ale właśnie drzwi się otworzyły.

Alienor spojrzała wyniośle na niepozornego dwudziestopięcioletniego młodzieńca.

Zauważyła, że nie był ani ładny, ani brzydki, ani wysoki, ani niski, wątkły jak niewiasta, o delikatnych rysach. Poznała go od razu. Trzy czy cztery lata temu widziała go raz w Poitiers. Nie zmienił się od tamtej pory - patrzył uporczywie w ziemię i był tak samo niezdarny i niezręczny jak dawniej. Uśmiechnęła się z zado-

woleniem. Z ochotą pognębiłaby go do reszty, ale nie uczyniła tego, zapewne ze względu na mnie.

Podeszła bliżej, a wtedy Jaufre pochylił się w ukłonie, co uczyniło go jeszcze bardziej śmiesznym.

Było mi go żal, sprawiał wrażenie osaczonego zwierzęcia. Nie mogłam tego znieść.

- Wstań, przyjacielu - szepnęłam.

Mój uspokajający głos nie był mu znany. Zaskoczony uniósł głowę i zmieszał się, widząc mój ośmielający uśmiech.

- Jaufre, hrabia de Blaye, do usług, łaskawa panienko.

- Wiemy, kim jesteś!

Trubadur spojrział na rozbawioną Alienor i zaczerwienił się. Uchybił protokołowi.

Wybełkotał przeprosiny, a Alienor wybuchnęła okrutnym śmiechem:

- Cóż znowu, mój panie - rzuciła. - Czy w twoich stronach brakuje pięknych pań, że wystarczy ładna buzia, byś stracił kontenans? Powiadają, że jesteś trubadurem. Czy potrafisz być godnym tego miana? Tu głupcy nie są mile widziani! Przeszła obok niego, muskając go suknią, i usiadła na poduszkach z purpurowego aksamitu. Pernelle ułożyła się u jej stóp jak piesek. Zmroziło mnie zachowanie Alienor i serce ścisnęło się z żalu nad biednym poetą. Jaufre nie śmiał się poruszyć. Zmieszany wpatrywał się w moje włosy opadające złotą kaskadą na ramiona. Uprzytomniłam sobie, że nie splotłam ich ponownie w warkocze. W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Nie przybył tu dla mnie. Sama nie wiem dlaczego, uwierzyłam w jego talent. Przeszłam obok niego i szepnęłam tak, żeby tylko on słyszał:

„Zaśpiewaj dla mnie”, i usiadłam po prawicy Alienor, błagając ją spojrzeniem o wyrozumiałość.

Pogłaskała moje ramię, teraz jednak pieszczota wywołała we mnie niesmak.

- Panie, zacznij śpiewać albo wyjdź!

Miałam ochotę ją spoliczkować za to, że z taką wyższością przemawia do wasala.

Hrabia de Blaye spojrział na nas z pogardliwym uśmieszkiem. Moje słowa uspokoiły go i dodały odwagi. Już nie był ściganą zwierzyną.

- Twoje zaufanie mi pochlebia - rzekł do Alienor, lecz pojęłam, że zwracał się do mnie i tylko do mnie. Poczulałam się niewymownie szczęśliwa.

Czekałam na jego muzykę, takjak się czeka na tęczę. I nagle po-

plynęły tony rzewnej skargi, wzbity się w górę i przepelniły mury zamku. Trubadur zaczął śpiewać - jego głos był tak przejrzysty jak jego oczy, tak łagodny i delikatny jak jego oblicze. Kunszt trubadura sprawił, że wyniosła twarz Alienor złagodniała.

Melodia umilkła. Młodzieniec trwał nieporuszony, zasłuchany w wybrzmiałe tony, zapatrzony w roztańczone płomyki świec. Alienor zapomniała o swoim pierwszym, niedobrym wrażeniu.

Rozpromieniona Pernelle klaskała z całej siły. A ja - ja nie śmiałam nic powiedzieć, wstrzymałam oddech, by nie popsuć czaru tej chwili.

Trubadur spojrział na nas łagodnym wzrokiem i pochyliwszy się w dwornym ukłonie, szepnął:

- Wasza uroda, szlachetne panie, przewyższa moje zasługi. Moje wiersze są tylko mizernym odbłaskiem waszej wspaniałości. Ośmielam się wyrazić nadzieję, że wybaczycie miałość mego dzieła, powstałego, zanim jeszcze wiedziałem o waszym istnieniu.

- Powstań, proszę.

Głos Alienor ochrypl od tłumionych wrażeń. Jaufre wstał, obojętny na jej urok, ale delikatnie ujął dłoń, którą podała mu do ucałowania. Musnął ją wargami z rozkoszą, jaką daje rewanż, i celowo przeciągał tę chwilę, by poczuć jej drżenie. Długo marzył

o tym, by odpłacić jej za lekceważenie, jakie mu okazywała.

Gdyby mógł sprawić, by go pokochała... Odrzucił jednak tę myśl z lękiem. Nie z powodu cierpień, jakie mógłby jej zadać, ale dlatego, że w moich oczach zobaczył

bezbrzeżną czułość.

Nagle przypomniałam sobie wizje, które jawiły mi się, gdy byłam dzieckiem i bawiłam się, jako uczennica, zaklęciami mojej matki. Te wizje i to spojrzenie, które tyle obiecywało! Puścił rękę Alienor. Serce biło mi tak mocno jak nigdy przedtem.

Nie mogłam wykonać nawet najdrobniejszego ruchu.

- Oczarowałaś nas, hrabio de Blaye. Taka przyjemność musi zostać wynagrodzona.

Głos Alienor sprowadził mnie na ziemię, tym bardziej że zwracała się teraz do mnie:

- Loanno, zaprowadź hrabiego do apartamentów przeznaczonych dla najważniejszych gości!

Przerwała, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywołał jej rozkaz, a potem, rada z mego zakłopotania, dodała:

- Chyba że względy skromności nakazują powierzyć to zadanie paziowi.

- Ja go chętnie zaprowadzę.

Radosny głosik Pernelle przerwał tę grę, której celu nie pojmowałam, jednak Alienor odparła sucho, wywołując tym niezadowolenie na twarzy młodszej siostry:

- Jesteś jeszcze za młoda, żeby uczestniczyć w podejmowaniu decyzji, Pernelle.

Wystarczy, że uczestniczysz w tych lekcjach miłości. Ani słowa więcej, rozumiano?



Zwróciwszy się do mnie, całej drżącej, rzekła:

- Czekam na odpowiedź. Czy mam po kogoś posłać?

- Proszę się nie kłopotać, księżniczko. Jestem pewna, że nasz gość jest człowiekiem dobrze wychowanym i tak eleganckim jak jego utwory - usłyszałam własną odpowiedź.

- Możesz, pani, być tego pewna, panno...

- Loanna de Grimwald.

Skłonił się raz jeszcze. Na twarzy Alienor pojawił się grymas okrucieństwa.

Zainteresowanie, jakim obdarzyłam tego mężczyznę, choć starałam się tego nie okazywać, zapewne ją wzburzyło. Dorzuciła:

- No cóż, odejdźcie, zanim zmienię zdanie!

Bez słowa wymknęłam się na korytarz. Jaufre podążył za mną. Czułam jego palący wzrok na plecach. Przez chwilę próbowałam odgadnąć jego myśli, lecz to, co wyczytałam w jego spojrzeniu, sprawiło, że poczerwieniałam po korzonki włosów.

Na szczęście nie domyślał się moich tajemnych umiejętności! I tak, rozdygotana, doszłam do masywnych drzwi jego pokoju mieszczącego się w ośmiobocznej wieży. Odwróciłam się pomału i spojrzałam mu łagodnie prosto w twarz.

Przyklękął i ujął z zapalem moje dłonie.

- Pani spojrzenie zniewoliło mnie. Jestem nieskończenie wdzięczny za zaufanie, jakie mi pani raczyła okazać. Proszę zażądać mego życia, a oddam je bez wahania.

- Nie pragnę niczego poza przychylnością. Proszę, wstań, panie. Twe pieśni podobają mi się, więc zaśpiewaj. Śpiewaj, panie, do woli.

- Choćby i zaraz.

- Trochę później, jeśli zechcesz.

- Kiedy?

- Dziś wieczór, jutro, mamy dużo czasu.

Jego niecierpliwość bawiła mnie i drażniła zarazem.

- Spełnię każde twoje życzenie.

Dotyk jego ciała, jego błagalne spojrzenie - wszystko to sprawiało, że nie byłam już panią samej

siebie. Szepnęłam z drżeniem:

- Błagam, wstań, panie.

Niechętnie usłuchał, trzymając jednak wciąż moje wilgotne dłonie. Uniósł je delikatnie do ust. Jego pocałunek, pełen słodkich obietnic, sprawił, że cała się rozpląnęłam z rozkoszy. Ja, która do tej pory zaznałam tylko matczynych pieścizot, kojących i dodających otuchy, pograżyłam się w oceanie uczuć i wrażeń, każdy skrawek mojej skóry budził się do życia. Cała wiedza tajemna obróciła się w nicość, i z przerażeniem stwierdziłam swoją bezbrzeżną niewiedzę w dziedzinie miłości. Co działo się z moim ciałem, że odczuwam takie pragnienia?

Pograżona w tych myślach, odsunęłam łagodnie zalotnika i trochę zbyt szybko rzekłam:

- Panie, muszę cię tu zostawić, księżniczka mnie oczekuje.

Przyjął pokornie moje postanowienie; poczułam tylko, że odprowadził mnie gorącym spojrzeniem, aż zniknął mu z oczu za zakrętem. Teraz mogłam dać upust swoim gwałtownym uczuciom, nad którymi nie zdołałam dłużej zapanować. Z oczu trysnęły mi łzy, choć nie wiedziałam, ani co je wywołało, ani co wyrażały. W ciszy, którą starałam się za wszelką cenę zachować, usłyszałam odgłos zamykanych drzwi i po chwili dotarł do mnie śpiew tak piękny, że odczułam jeszcze większą rozpacz.

Jaufre de Blaye śpiewał dla mnie, byłam tego pewna.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Ktoś długo skrobał w moje drzwi, a ja nie wiedziałam, kto to był - Alienor czy Jaufre - i kogo z nich miałabym większą ochotę przyjąć. Nie wiedziałam też, które z nich spodziewało się mnie tu zastać. Byłam zgubiona.

Miałam prawo kochać tylko Anglię. Ale czy pożądanie jest tym samym co miłość?

Tego nie wiedziałam. Spojrzenie, które spoczywało na mnie od dzieciństwa, przerażało mnie. Jeśli było częścią mego losu, czy miało mnie wspierać, czy zniszczyć? Jakie było znaczenie wizji? Czy było to ostrzeżenie, czy obietnica? Co stanie się ze mną, jeśli nie zdołam opanować wrażeń rozpalających moją duszę i ciało? Byłam taka bezbronna i samotna! Wczesny ranek zastał mnie całkowicie wyczerpaną, gdyż całą noc przewracałam się na łóżku.

Nastał trudny czas. Wilhelm nie uległ błaganiom córki. Medytacją i modlitwą energicznie sposobił się do pielgrzymki. Myślał już tylko o tym, jak ukoić swoje sumienie i cierpienia duchowe. Nie zwracał uwagi ani na łzy Alienor, które były tylko gierką, ani na pieścizoty Pernelle.

Alienor, zła, że straciła nad ojcem wszelką władzę, jęła wypróbowywać swój urok na mnie. Domyśliłam się, że czyniła to powodowana zarówno pragnieniem, jak i zuchwałością.

Jaufre był ciągle obok nas. Nie spuszczał ze mnie wzroku, co szczęśliwie uchodziło uwagi Alienor. Obdarzał mnie komplementami, wierszami, nazywał „swą daleką”, aby nie zranić księżniczki, której, zgodnie z zasadami, winien był pierwszeństwo.

Unikałam go w miarę możliwości, chyba że Alienor zwoływała swoich trubadurów, zonglerów i cały

dwór do głównej komnaty. Bałam się zostać z nim sam na sam. Na jego widok serce zaczynało mi bić jak szalone. Byłam nim oczarowana. Alienor natychmiast zauważyła moje zmieszanie. Zapewne wyobrażała sobie, że to ona jest tego przyczyną.

Dwa dni przed wyjazdem hrabiego na pielgrzymkę zapomniałam zaryglować drzwi do mego pokoju. Obudziło mnie skrzywienie. Chciałam wezwać pomoc, lecz nie miałam odwagi. Ta rozterka wprowadziła mnie w odrętwienie. Gdy w półmroku rozpoznałam twarz Alienor, zaczęłam drżeć na całym ciele. Była naga.

Rozpuszczone włosy opadały na krągłe, jędrne piersi. Postawiła kaganek przy moim wezglowiu. Czule uśmiechnięta, położyła się obok i delikatnie mnie objęła.

Łagodne, ciepłe ręce wślizgnęły się pod moją koszulę nocną, usta spoczęły na moich, zanim zdążyłam znaleźć w sobie siłę, by ją odepchnąć. Poruszyło mnie to bardziej, niż sobie wyobrażałam w najśmielszych marzeniach. Jej ręce, usta dały mi rozkosz, której istnienia nie podejrzewałam. Po chwili zaczęłam oddawać jej pieśczęty tak samo namiętne. Wreszcie poczułam, jak zaczyna drżeć pod moimi rękami, i zdałam sobie sprawę z tego, jak wielką mam nad nią władzę. Choć byłam niewinna i nie znałam dotąd igraszek miłosnych, otrzymałam edukację, która nauczyła mnie uważnego wsłuchiwania się; posłużyłam się więc tą wiedzą w miłości. Gdy uszczęśliwiona Alienor opuściła mnie, czułam, że zdobyłam nad nią przewagę.

Pozostawał Jaufre. To było znacznie trudniejsze. Podszedł do mnie

w ogrodzie, gdy Alienor i Pernelle były u ojca. Wilhelm polecił je opiece Gotfryda du Lauroux, arcybiskupa Bordeaux, który pod nieobecność hrabiego miał też zarządzać dobrami. Dworki Alienor nudziły mnie, udałam się więc na samotny spacer. Nie usłyszałam jego kroków.

- Te owoce wyglądają na soczyste - rozległ się za moimi plecami głos.

O mało się nie udławiłam gruszką, którą zerwałam z gałęzi nad moją głową.

- Panie de Blaye! - zawołałam z oburzeniem.

- Tysiącrotnie przepraszam! Nie chciałem pani przestraszyć, proszę mi wierzyć.

Podał mi koronkową chusteczkę, a ja otarłam nią delikatnie kąciki ust.

- Nie godzi się tak nagle pojawiać za plecami panny bez żadnej zapowiedzi.

- Gdybym to uczynił, uciekłabyś. Albowiem unikasz mnie, Loanno de Grimwald. I odwracasz ode mnie wzrok. Czyżbym był taki szpetny?

Jego pytanie mną wstrząsnęło. Uniosłam oczy.

- Nie jesteś brzydki.

- Czyżby? Myślisz, pani, że nie słyszę kpin z mojej bladej, chudej twarzy, cherlawej, niemal kobiecej

postury? Opinie ludzie są mi obojętne. Tylko twoje zdanie mogłoby mnie zranić.

Zmartwiałam. Było mi zimno i gorąco zarazem. Zaczęłam drżeć, gruszka wypadła mi z ręki.

- Drzysz - zauważył, uśmiechając się niepewnie. - Przepraszam, że cię przestraszyłem. W każdym poecie jest coś z szaleńca, a ja nie stanowią wyjątku.

Chciałam coś powiedzieć, lecz zaschło mi w gardle.

- Chciałem cię, pani, pożegnać - ciągnął. - Wyjeżdżam. Przebywanie obok ciebie jest dla mnie torturą. Wolę już samotność. Kocham cię, Loanno de Grimwald. A ty nigdy mnie nie pokochasz.

Odwrócił się ode mnie. Czułam, że cała płonę. Słowa wytrysnęły ze mnie jak deszcz z nabrzmiącej chmury:

- Proszę, nie wyjeżdżaj, panie. Ja także cię kocham. Odwrócił się w moją stronę.

Serce biło mi w piersiach jak oszala-

le, ale już nie drżałam. Czułam, że muszę go uspokoić, nie unikając jego wzroku.

Dodałam szeptem:

- Gdy zaczynasz grać, mam uczucie, że nigdy nie widziałam twarzy bardziej szlachetnej i urodziwej niż twoja, hrabio. Śpiewasz, panie, tak pięknie jak ptak o porannej zorzy. Jeśli teraz odjedziesz, wiosna zgaśnie, zanim się zacznie. Uciekałam nie z niechęci do ciebie, lecz dlatego, że obawiałam się samej siebie.

Podszedł pomału i uklęknął u mych stóp. Ujął moją rękę w swoje dłonie i ucałował.

Następnie dotknął ustami brzegu mojej aksamitnej sukni i wyszeptał:

- W nocy widziałem księżniczkę w twoim pokoju. Nie zamknęła za sobą drzwi.

Byłem niedyskretny, proszę mi wybaczyć.

Jego słowa przyprawiły mnie o rumieniec. Zrozumiałam, dlaczego czuł się odtrącony. Musiałam położyć temu kres. To był mój obowiązek. Matka mówiła, że wolno mi kochać tylko Anglię. Zacisnęłam zęby. W ciągu niecałej doby dwukrotnie straciłam głowę. Zapomniałam, kim jestem. Nie chciałam go zranić, ale musiałam to wyjaśnić. Dotknęłam jego policzka. Był delikatny jak aksamit.

- Wiesz, panie, że igraszki miłosne, których byłeś świadkiem, nie mają znaczenia.

Jestem w tej dziedzinie nowicjuską, a ona mistrzynią. Z powodów, których nie wolno mi wyjawiać, los związał nas ze sobą. Gdy księżę Akwitanii wróci z Compostelli, razem z Alienor wstąpię do klasztoru. Moje serce i dusza należą do ciebie, Jaufre de Blaye, ale nie wolno mi cię kochać.

- Nie rozumiem, śliczna panienko. Żyję tylko dla ciebie.
- Nie, Jaufre. Masz talent i jemu musisz poświęcić swoje życie.
- Gdyby nie ty, nie miałbym odwagi ujawnić swych zdolności.
- Proszę, uwierz mi i zaufaj. Być może nadejdzie dzień, gdy będę mogła należeć do ciebie, ale - błagam - nie czekaj na mnie. Brzemie odpowiedzialności, jakie na mnie spoczywa, jest trudne do udźwignięcia.
- Poeta ma tylko jedną miłość. Czegokolwiek zażadasz, uczynię to, choćbym miał umrzeć. Jestem szczęśliwy, że mogę na ciebie czekać. Z tęsknoty za tobą ułożę najpiękniejsze pieśni.
- Jesteś szalony, panie.
- Mówiłem już, że nie stanowią wyjątku.
- Proszę pozostać chociaż do powrotu księcia.
- Zostanę, dopóki mnie nie przepędzisz, moja słodka miłości.

W pobliżu dały się słyszeć śmiechy i głosy dziewcząt. Przerwaliśmy naszą rozmowę. Jaufre uciekł, obdarzając mnie przelotnym, słodkim pocałunkiem, który sprawił, że byłam wesoła jak szczygieł.

Nazajutrz Wilhelm, odziany w opończę pielgrzyma i obuty w sandały, udał się na pielgrzymkę. Towarzyszyło mu kilku baronów. Ucałował córki z roztargnieniem i ruszył naprzeciw swemu przeznaczeniu.

Patrzyłam, jak się oddala, wsparty na kosturze. Poczułam lodowaty dreszcz na plecach. Nie wiedziałam, skąd to przeczucie, ale byłam pewna, że na swej drodze spotka śmierć.

- Pireneje! Nareszcie!

Okrzyk wyrwał podróżnych z odrętwienia. Przed nimi widać było zarysy dumnych, ośnieżonych szczytów. Przez trzy tygodnie pielgrzymi przemierzali łagodne pagórki, góry stanowiły więc nie lada wyzwanie. Spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Droga przez przełęcz Roncevaux była nazywana „objawioną”.

Wielu pielgrzymów nie zdołało się przez nią przedrzeć. Mimo że wiara pchała ich naprzód, wyczerpanie i post czyniły swoje. Ci, którzy przeszli przez przełęcz na stronę hiszpańską, mieli już łatwiejszą drogę, gdyż mniej im doskwierał ból.

Zgrubiały naskórek na stopach, których nie okrywały już zdarte skórzane podeszwy, chronił przed ostrymi kamieniami. Dusze pielgrzymów ogarniała błogość, a uczucie bezbrzeżnej pokory kazało im dziękować Panu za to cierpienie.

Był 9 kwietnia 1137 roku. Wilhelm z Akwitanii spoglądał na przełęcz z niepokojem.

W ostatnich czasach jego przysłowiowe, wręcz żelazne zdrowie szwankowało.

Cierpiał na straszliwe migreny i gwałtowne bóle żołądka połączone z krwawieniami. Przypuszczał, że przyczyną tego było jedzenie - zdrowe wprawdzie, lecz nie był doń przyzwyczajony. Chleb z jęczmienia i owsa, którym się żywił, pozostawiał mu w ustach smak goryczy. Schudł w drodze i był bardzo osłabiony.

„Zapewne - pomyślał - opanowała mnie choroba, która ma za zadanie oczyścić moje ciało z humorów i trucizn”.

Mimo choroby, która zarysowała pod jego oczami fioletowe kręgi, czerpał z niej pewną radość. Myślał bowiem, że jego wyprawa nie poszła na marne i był teraz w stanie łaski. Jego bliscy nie mieli tak optymistycznego nastawienia. Wilhelm był

człowiekiem silnym jak wół. Potrafił niegdyś sam spożyć ćwiartkę barana na raz.

Teraz jego skóra przybrała woskowy odcień - nie wróżyło to nic dobrego.

Ufnie jednak podążał swoją drogą, choć doradzano mu pozostanie na którymś z postojów i odpoczynek dla nabrania sił. Młody baron z Tours, z którym się zaprzyjaźnił i który po bratersku przyrządzał dla niego kaszę na wodzie, uspokoił

Wilhelma. Mordercza przeprawa przez przełęcz omal go nie zabiła, ale to doświadczenie tylko go odmieniło, tak że teraz wędrował z jeszcze większym entuzjazmem. Czyż nie był to palec boży?

- Oto kleik.

Anzelm de Corcheville, obłudnie się uśmiechając, podał Wilhelmwowi glinianą miskę. „To ostatnia” - pomyślał. Już słyszał brzęk obiecanych mu złotych monet.

Wilhelm niezgrabnie wziął naczynie do rąk. Przez chwilę miał ochotę cisnąć nim o ziemię, ale powstrzymał się.

- Musisz jeść, panie. Nie zdołasz przekroczyć granicy „objawienia”, jeśli opadniesz z sił. Jestem pewien, że jutro ta słabość minie. Odwagi!

- Anzelmie, czuję się taki chory, że zastanawiam się, czyby nie zatrzymać się na najbliższym postoju - szepnęła Wilhelm. Na jego twarzy malował się wstręt.

Posiniałymi palcami ugniatał z kaszy kulkę i zmusił się, by włożyć ją do ust.

- Zdaj się, panie, na nas - rzekł zdenerwowany baron d'Angouleme.

Miał złe przecucia. Nie považał młodego barona de Corcheville. Oprócz paskudnej szramy, która przecinała twarz Anzelma od lewego łuku brwiowego do prawego kącika ust, od samego początku nie podobało mu się jego przymilne zachowanie. Baron d'Angouleme doszedł do wniosku, że jest to nie lada spryciarz.

Jego oddanie dla hrabiego ujawniło się zbyt nagle. Nie mógł wszelako oskarżyć go bezpodstawnie, bez żadnego dowodu, zwłaszcza że Wilhelm najwyraźniej był

oczarowany nowym przyjacielem.

Anzelm przyjrzał się Wilhelmwowi uważnie.

- Myślę - powiedział ze współczuciem, lecz stanowczo - że trzeba się pogodzić z rzeczywistością. Twoi przyjaciele, panie, mają słusność, a ja zapewne się mylę.

Moja droga krzyżowa nie może być taka jak twoja - inne nami kierują motywy i inne są nasze grzechy. Dziś wieczorem dotrzemy do hospicjum. Tam zbadają cię mnisi i będziesz mógł odpocząć.

- Naprawdę w to wierzysz, panie?

- Wszyscy w to wierzymy. Byłoby szaleństwem kontynuować podróż - rzekł z naciskiem baron d'Angouleme, zaskoczony postawą Anzelma. Czyżby myliły go przecucia?

Wilhelm potrząsnął głową. Pomyślał o swoich zobowiązaniach wobec Alienor.

Obiecał, że po powrocie z pielgrzymki wyprawi jej zaręczyny.

„Tak więc - postanowił w duchu - skoro taka jest wola Najwyższego, poddaję się Jego wyrokom. Niech rozsądek weźmie górę”.

- Może macie rację - rzekł na głos.

Zrezygnowany, zabrał się za przykładem swoich towarzyszy do jedzenia. Oczami duszy zaś widział swoją córkę w koronie angielskiej. Nagle wzrok przesłoniła mu mgła i z bolesnym grymasem na ustach wypuścił miskę z rąk. Nie mógł oddychać.

Zwrócił nieme spojrzenie ku współtowarzyszom, którzy skupili się wokół niego.

Wilhelm upadł na plecy w straszliwych konwulsjach. W ostatnim przebłysku świadomości złapał Anzelma za rękę. Młody baron podtrzymał umierającego i pochylił się nad nim.

- Wydać Alienor za przyszłego króla... Obietnica... - usłyszał. Wilhelm nie dokończył już zdania. Na rękach młodzieńca wydał

ostatnie tchnienie. Zadowolony Anzelm zamknął mu powieki, przyoblekając swoje chytre oblicze w wyraz bólu, jaki należało okazać po śmierci drogiego sercu przyjaciela.

- Przekażemy twoją ostatnią wolę królowi Francji - szepnął tak, by wszyscy słyszeli.

Pogrążeni w bólu baronowie pochylili głowy i jęli szeptać modlitwy. Baron d'Angouleme - podobnie jak pozostali pielgrzymi - nie przypuszczał, że przyczyną śmierci Wilhelma była trucizna.

W Bethisy, siedzibie królów Francji, opat Suger przyjmował delegację z Akwitanii.

Rozpoznał wśród przybyłych człowieka, którego templariusze pozyskali dla swojej sprawy, ale nie dał tego po sobie poznać. Habit i sprawa, której bronił, nie pozwoliły mu odczuć wyrzutów sumienia.

Kazał zawiadomić Ludwika VI, zwanego Grubym, o ostatnich wydarzeniach.

Następnie wydał stosowne rozkazy, aby znużeni podróżni mogli się pożywić i odpocząć.

W kilka godzin później Ludwik Gruby wszedł do wielkiej sali. Król Francji nie był

zdrów. Dolegliwości żołądkowe bardzo go osłabiły. Brzuch miał napęczniały, woskową cerę, twarz obrzękłą i usianą skrofulami. Gdy usiadł na tronie, jego wasale przyklękli u stóp schodków pokrytych grubym aksamitem. Gestem pełnym rezygnacji kazał im powstać, ale baron d'Angouleme klęczał nadal, przytłoczony bólem.

Uniósł twarz ku królowi i przemówił w imieniu swoich współtowarzyszy, kornie stojących za nim w półkołu:

- Wasza Wysokość, przynosimy nad wyraz smutne wieści. Wilhelm, książę Akwitanii, nie żyje. Jego ciało zostało pochowane kilka tygodni temu w miejscu, w którym oddał duszę Bogu. Tylko my, obecni tutaj, usłyszeliśmy jego ostatnią wolę.

Utrzymujemy jego śmierć w tajemnicy przed domownikami i wrogimi mu baronami. Przybyliśmy, aby błagać cię o opiekę nad starszą córką Alienor, którą tylko Wasza Królewska Mość w swej niezmiernie dobrej i potężnej może jej zapewnić.



- Zasmuciła mnie ta wieść - odparł król, wierząc się niespokojnie na tronie. - Spełnię waszą prośbę. Zaopiekuję się księżniczką Alienor, jak również jej dobrami i służbą.

- Chwała Waszej Wysokości za to. Jednakowoż książę w chwili śmierci liczył na coś więcej. Odważył się wyrazić życzenie, by związek między królestwem Francji a Akwitanią był łaską, która pozwoli jego duszy wznieść się w pokój do Boga.

- Dobrze, dobrze. Co o tym myśli mój wierny doradca?

Król odwrócił się w stronę Sugera, jak miał w zwyczaju. Bardziej niż zwykle chciał być utwierdzony w swej opinii, obawiał się bowiem, że choroba osłabiła jego umysł.

Suger stał po lewej stronie króla. Zawahał się przez chwilę, po czym stwierdził:

- Nasz Pan Wszechmogący może tylko pobłogosławić taki związek. Ufam, że Alienor Akwitańska, jako małżonka, zdoła udźwignąć sprawy państwa, będzie umiała wspierać swego małżonka zawsze i wszędzie.

Kościół daje swe przyzwolenie.

Ludwik odetchnął z ulgą. Ponieważ Suger okazał przychylność, nie mógł nie wyrazić zgody na to, by ten dureń - jego syn - poślubił tak rozumną i posażną pannę.

Wstał, z trudem utrzymując swój nadmiernie rozrzedzony stolec.

- Udajcie się na zasłużony odpoczynek, wielmożni panowie, a następnie zanieście nasze kondolencje i decyzje do Akwitanii. Opat Suger pojedzie z wami, aby na miejscu uczcić pamięć naszego zmarłego przyjaciela i poddanego. Zaręczyny zostaną publicznie ogłoszone natychmiast, gdy tylko nasza podopieczna zostanie o tym powiadomiona. A teraz odejdźcie, albowiem wasz król jest nader zmęczony i zbolący.

Zadowoleni baronowie oddalili się, pożegnawszy swego władcę. Następnie, kierowani tym samym uczuciem, udali się do kaplicy na krótką modlitwę.

Podstępny Anzelm wymknął się niepostrzeżenie i kazał się zaprowadzić do sekretnego gabinetu Sugera. Tu świątobliwy mąż wręczył mu obiecane wynagrodzenie, jak również udzielił absolucji, gdyż to, co uczynił, było misją bożą.

Wkrótce Anzelm pożegnał druhowa Wilhelma, aby nie ściągać na siebie podejrzeń, i opuścił Bethisy by zdać sprawę Stefanowi z Blois.

- Nie poślubię tej kobiety!

Młody Ludwik był wściekły. Krążył po pokoju w swej lnianej szacie, dygocąc jak liść.

- Uspokój się, synu, tu chodzi o przyszłość królestwa, i sam Bóg błaga cię o tę ofiarę.

- Ależ, ojcze, to wbrew moim aspiracjom. Nie można mieć duszy księdza i małżonka zarazem.

Rozgniewany król Francji poczuł ostry ból brzucha. Niemiła była mu myśl, że ma zostawić królestwo zniewieściałemu synowi. Rządy powinien był objąć jego starszy syn. Niestety, zginął tragicznie przed kilku laty.

„Ludwik nie będzie dobrym królem - pomyślał. - Ale czy mam jakiś wybór? Czy Alienor zdoła zmienić tego pobożnisia we władcę? Jeśli dobrze pamiętam, jest piękna i godna pożądania, zdolna do wydania na świat spadkobierców korony, ale czy to wystarczy?”.

Westchnął ciężko, lecz w chwilę potem zdecydowanie oznajmił:

- Nakazuję ci poślubić księżniczkę Alienor Akwitańską i uczynić ją królową Francji.

Rozkazuję ci kochać tę kobietę! Masz być dla niej miły, zaspokajać jej pragnienia i spłodzić z nią syna, który obejmie tę ziemię. Twój ojciec tego żąda, twój król tego wymaga, słyszysz?!

Ludwik czuł szloch wzbierający w gardle, lecz ukląkł przed swoim władcą i na znak poddania ucałował otoczony diamentami szmaragd, który Ludwik Gruby nosił na lewej ręce. Trwał nieporuszony milczący, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Król cofnął się, rozczarowany i zarazem pełen współczucia dla pokornie klęczącego u jego stóp młodzieńca. Był przecież ciałem z jego ciała i krwią z jego krwi. Znowu poczuł ból rozdzierający mu trzewia, odwrócił się więc w milczeniu i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Gdy w domu bożym ucichły kroki króla, Ludwik Młody zwymiotował u stóp krzyża, potem, pełen wstrętu i przerażenia skulił się i zasnął.

Gdy przybyłam do pałacu, Alienor pozwoliła mi ulokować gołębie w gołębniku obok okna komnaty, którą zajmowałam. Gołębie mogły swobodnie fruwać, żywiąc się ziarnem i okruchami, które im sypałam. Skrzydlaci posłańcy przynosili nowiny od Henryka i matki, a ja w ten sam sposób mogłam przysyłać matce wiadomości z Bordeaux. Usłuchałam jej rady i nie uprawiałam magii. Gdyby ktoś mnie na tym przyłapał, moja misja byłaby skończona.

Od wyjazdu Wilhelma nie opuszczało mnie dziwne uczucie lodowatego zimna.

Świadoma niebezpieczeństwa, jakie dla planów Matyldy stanowiła śmierć księcia, nie mogłam jednak przewidzieć wszystkich jej konsekwencji. Powiadomiłam matkę o tym, co się stało, lecz gołębica nie wróciła.

Od kilku dni wokół zamku krążył sęp, którego sokolnicy nie byli w stanie schwytać.

Widziałam, jak atakował wróbelki, lecz nie przyszło mi do głowy, że mógłby rzucić się na większe ptaki. Nękana wątpliwościami, nie wiedziałam, co robić.

Nie musiałam jednak wysyłać drugiej gołębicy, ponieważ przybył posłaniec od króla Francji, by oznajmić nam nowinę. Zanim jeszcze przyjechali towarzysze księcia, udał się na rozmowę z Alienor i Gotfrydem de Lauroux.

Przyjęli opata Sugera w kaplicy, gdyż on sam wyraził takie życzenie. Moje towarzyszyki, domyślając się, że chodzi o ważną sprawę, zbiły się w stadko w korytarzu prowadzącym do wewnętrznego ogrodu.

Ja pozostałam na uboczu. Ten chudy, wyniosły mężczyzna nie przypadł mi do gustu.

Od pierwszej chwili wiedziałam, że będzie moim wrogiem. Niechęć budził potężny, wysadzany rubinami krzyż na złotym łańcuchu, zawieszony na jego szyi. Zawsze czułam odrazę do prałatów, którzy modlili się o miłosierdzie dla umierających z głodu, a sami opływali w dostatki.

W kilka chwil później Alienor otworzyła drzwi od kaplicy i zapadła cisza. Jej uśmiech zgasł, a we wzroku była tłumiona wściekłość. Duma nie pozwalała jej okazać słabości w obecności ludzi, którzy mogliby to wykorzystać. Alienor bynajmniej nie była ofiarą. Wydawało się jednak, że nie widzi nikogo.

Bezbarwnym, nieswoim głosem oznajmiła:

- Księżę Akwitanii, mój ojciec, nie żyje.

Następnie minęła nas, pochylone w ukłonie, i udała się do swego pokoju, by zanieść smutną wiadomość swej siostrze Pernelle.

Podnosząc się z ukłonu, napotkałam zimne spojrzenie Sugera. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Księżę nie zmarł śmiercią naturalną. Byłam tego pewna. Spuściłam wzrok i wyszłam. Matylda musi się o tym dowiedzieć.

Alienor zajęła się wszystkimi sprawami. Osobiście, nie zważając na ból i nie licząc się z czasem, przyjmowała kondolencje od wasali

i przyjaciół. Nie chciała pociechy ze strony trubadurów, którzy natychmiast udali się gdzie indziej, by wyśpiewać swój smutek. Jaufre, wezwany w sprawach swego hrabstwa, odjechał do Blaye, gdy księżę wyruszył na pielgrzymkę. Mimo to, spragniony mego towarzystwa, składał nam wizyty często - dwa lub trzy razy w tygodniu.

W tym smutnym okresie brakowało mi jego ciepła. Czułam się bardzo samotna.

Alienor tylko ze mną dzieliła się swoją rozpaczą i nikomu nie pokazywała zapłakanej twarzy. Byłam wręcz zdumiona jej dzielnością.

„Opieka króla Francji” - powiedział Suger. Słowa te kładły kres naszym planom związanym z Henrykiem, gdyż był jeszcze zbyt młody, by domagać się dotrzymania złożonej mu obietnicy. Co król Francji może uczynić z Akwitanią, wiedziałam aż za dobrze, choć moje doświadczenie w sprawach państwowych było nikłe. Cóż mog-

łam uczynić? Nie wolno mi było użyć czarnoksięstwa ani trucizn. Odrzucałam śmiertelne sposoby. Bardziej niż kiedykolwiek wyczekiwałam wieści od matki.

W nocy, która nastąpiła po mszy za duszę zmarłego księcia, nie mogłam usnąć.

Alienor, prowadząc za rękę Pernelle, pojawiła się w katedrze świętego Andrzeja, gdzie oczekiwali na nią Gotfryd du Lauroux, opat Suger i żałobny, milczący tłum.

Jej twarz była dumna i szlachetna, a opiekuńcza siła, jaka z niej emanowała, sprawiła, że nawet Pernelle wydawała się mocniejsza, choć miała zaczerwienione oczy. Suger wygłosił do zgromadzonych wasali przemowę pochwalną na cześć Wilhelma, opowiadając o przykładowym, pobożnym życiu, jakie wiódł zmarły.

Potem nastąpiło to, czego się obawiałam. Wyliczył wszystkich baronów, którzy towarzyszyli mu w jego ziemskiej wędrówce, oni zaś stanęli w szeregu przed księżniczką i powtórzyli jej ostatnie życzenie przyjaciela i przysięgę złożoną nad jego ciałem.

Wśród zgromadzonych rozległ się szmer. Zobaczyłam, jak przygarbiły się ramiona Alienor, gdy Suger przyklęknął przed nią na jedno kolano i oświadczył:

- Niechaj ojciec twój będzie błogosławiony za to, że dał ci w spadku tron Francji.

Wyraził nadzieję, iż poślubisz, moje dziecko, Ludwika Młodsze, któremu król udzielił swego błogosławieństwa! - Wstał i dodał, otwierając szeroko ramiona: -

Pomódlmy się, bracia, i pomyślmy o miłości, jaką ten człowiek obdarzał swoją ziemię i dzieci.

Wszystko zostało powiedziane zgodnie z planem, w obecności tłumu i za jego przyzwoleniem. Lud mógł być spokojny o swoją przyszłość. W istocie, czy moją przyjaciółkę mógł spotkać większy zaszczyt?

Zadygotałam z wściekłości. Skończyły się beztrioskie czasy, gdy można było zdać się na bieg wydarzeń! Suger był człowiekiem niebezpiecznym, wpływowym, a ponadto jego interesy były sprzeczne z interesami Matyldy i Henryka. Tylko głupiec nie zdawał sobie z te-

go sprawy. Odtąd będę musiała użyć całego swego sprytu i intuicji, żeby skutecznie prowadzić intrygi na dworze króla Francji.

Po zakończonej ceremonii Alienor zamknęła się w swym pokoju, by modlić się w samotności... Odtąd jej nie widziałam.

Drżałam na całym ciele. Nie mogłam opanować gniewu i niepokoju, wyszłam więc na zewnątrz, by przejść się w tę bezksiężycową noc. Powietrze było ciężkie od zapachu jaśminu, róż i lilii. Nadciągała burza.

Zeszłam do gołębnika znajdującego się pod moim oknem. Prowadziła doń dróżka wśród krzewów. Tylko ja tędy chodziłam. Inni woleli wspanialsze zakątki ogrodu.

Moja gołębica jeszcze nie wróciła. Ostatnie wydarzenia kazały zapewne mojej matce i Matyldzie zmienić plany. Przysiadłam na chwilę na ustronnej ławeczce przy cicho szemrzącym strumyku. Wokół

pałacu de l'Ombriere unosiło się zatrute powietrze jak gęsta mgła i spowijało wszystkie kąty, przedmioty i ludzi. Może sprawiła to nadchodząca burza? Może to był mój lęk przed nieznanym?

Usłyszałam w krzakach szmer. Pomyślałam, że to jakieś zwierzę, i serce zaczęło mi bić jak szalone. Po chwili dostrzegłam cień, który przybliżał się do mnie, odcinając możliwość ucieczki. Nie śmiałam się ruszyć, gotowa walczyć z niewidzialnym, gdy nagle lęk mój ustąpił, poczułam bowiem zapach lilii. W tej samej chwili zza obłoków wynurzył się usłużny księżyc. W jego bladej poświacie ukazała się twarz trubadura.

- Jaufre, czy zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie mogłam umrzeć ze strachu już po raz drugi?

Podszedł bliżej, ujął moją dłoń i uniósł ją do ust.

- Proszę, wybacz. Nie sądziłem, że cię tu zastanę.

- Kogo się zatem spodziewałeś?

- Może muzy, która uciekła za szybko? Ujrzałem światełko w twoim oknie i chciałem, żeby dotarła do ciebie moja piosenka. Widziałem cię w katedrze - taką zamyśloną i daleką. Nawet mnie nie zauważyłaś. Zapragnąłem być blisko ciebie, nie przypuszczałem jednak, że znajdę się tak blisko.

Stał tuż obok mnie, jego płaszcz ocierał się o moją suknię. Raptem poczułam cały ciężar mojej samotności. Nie miałam nikogo, ko-

mu mogłabym się zwierzyć z niepokojów. Zapach trubadura odurzał mnie, chciałam poczuć jego usta na swoich, jego ręce przebiegające po moim ciele. Och! Móc położyć głowę na jego ramieniu i zapomnieć, zapomnieć, kim jestem, choćby na krótką chwilę!

Owionął mnie swoim oddechem, żebym poczuła jego bliskość; przedłużał moją męczarnię, odgadując zapewne, jak bardzo czekam na to, by wziął mnie w ramiona.

Położył gorącą dłoń na mym policzku, a ja otarłam się o nią jak kotka domagająca się czułości. Szepnął:

- Czy chciałabyś się trochę przejść? Taka piękna noc zapadła nad Garonną, a burza, której pomruki dochodzą od strony Guyenne, przepędziła wszystkie złe duchy.

Chodźmy!

Kiwnęłam głową, z gardłem ściśniętym przez łzy i pożądanie.

Doszliśmy do muru obronnego. Poniżej płynęła wezbrana rzeka, uderzając cicho o nabrzeże. W porcie kołysały się zakotwiczone łódki i statki hiszpańskie. W oddali niebo przecinały błyskawice.

Jaufre wskazał palcem w tamtym kierunku i zwierzył się szeptem:

- Tam jest moja ziemia. Moje hrabstwo. Chciałbym cię tam zabrać, Loanno, pokazać wyspy,

grzęzawiska. Tam są inne kolory - ziemia jest miejscami bardziej czerwona i czarniejsza, woda płynie żywszym nurtem. W Blaye rzeka szerokim nurtem wpada do oceanu. Jedź ze mną, a pokochasz tamtejszych ludzi, winnice, pola - tak jak ja je kocham. Tak jak kocham ciebie.

Spojrzał mi prosto w oczy z bezbrzeżną czułością i uwięził głowę w swoich dłoniach. W owej chwili chciałam być po prostu frywolną damą do towarzystwa.

Chciałam kochać go całym sercem i z całej siły, lecz moim przeznaczeniem nie była miłość do mężczyzny. Potrząsnęłam głową ze smutkiem. Gdybym tylko mogła mu to powiedzieć... Jego wargi objęły moje usta w posiadanie i wtedy mój opór stopniał całkowicie.

Pocałunki Alienor wydały mi się bezbarwne w porównaniu z pieszczotą jego języka, ogarniającą moje omdlałe ciało nieznanym dotąd płomieniem. Jego żarłoczne wargi pochłaniały moje usta, podbródek, szyję. Jęczałam z rozkoszy, która uczyniła mnie kobietą.

Nie protestowałam, gdy oparł mnie o kamienny murek i przycisnął mocno. Na karku czułam powiew od rzeki, upajała mnie myśl, że wystarczy lekki ruch, bym stoczyła się w otchłań. Jak dobrze było ufać komuś, chociaż jeden raz! Rozplótł moje włosy, igrał nimi

przez chwilę, muskając palcem skraj mego ucha. Uśmiechał się jak dziecko. Tak mi było dobrze, gdy czułam go tak blisko. Objęłam go za szyję, gdyż chciałam poczuć go jeszcze bliżej, i poszukałam powoli jego ust. Do diabła z postanowieniami! Jutro będę musiała wyjechać stąd w sprawach państwowej wagi, i nie wolno mi będzie okazać słabości. Dziś wieczorem nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Potrzebowałam tego przemożnego uczucia rozkoszy w dole brzucha.

Poprowadziłam jego rękę do jedwabnych wstążek ściskających gorset sukni.

Oprócz niej nie miałam na sobie nic. Jaufre wsunął palce w wycięcie mej sukni. Jego pieszczoty przypominały trzepot motyli skrzydeł. Nawet Alienor nie zdołała swymi delikatnymi palcami, namaszczonego olejkami, dać mi delikatniejszej pieszczoty. Dotarł do mej piersi i zaczął namiętnie całować. Przeciągał pieszczotę nieskończenie długo, przyprawiając mnie niemal o utratę zmysłów.

Noc stawała się coraz czarniejsza. Przymknęłam oczy. Czułam jego usta przesuwające się po moim ciele w dół, aż do pępka. Jednocześnie Jauvre unosił

coraz wyżej skraj mojej sukni i wędrował palcami wzdłuż nóg. Przyklęknął.

Okrywał pocałunkami skórę, stopniowo wynurzającą się spod gęstej tkaniny.

Teraz przesuwiał ustami po wewnętrznej stronie moich ud, potęgując moją niecierpliwość. Resztką świadomości czułam, że ściskam mocno jego głowę, a między udami zrobiło mi się wilgotno. Nie byłam już panią siebie. Z piersi wyrwał

mi się jęć uległości i rozkoszy. Płonęłam cała, ogarnął mnie najwyższy spazm, który wycisnął mi z oczu łzy i wstrząsnął moim ciałem.

Jaufre wstał i przywarł do mnie całym ciałem. Przez materiał sukni czułam na plecach chłód kamieni. Osuszył moje łzy ustami, gładząc mnie jednocześnie po głowie. Nie wystarczała mi już jednakże-go czułość. Czułam, że musi mnie posiadać, że musi zdobyć szturmem moje dziewictwo, abym przestała wreszcie być dzieckiem.

Błagałam go głosem, którego sama nie poznawałam:

- Kochaj mnie.

Ale on potrząsnął głową z uśmiechem czułym i wzniosłym zarazem.

- Nie, moja najdroższa, nie.

Nie rozumiałam nic. Łzy trysnęły na nowo z moich oczu w niemym pytaniu. Bolała mnie jego odmowa, czułam ból, jaki zadawała mi jego nabrzmiała męskość, której nie chciał mi dać.

- Nie płacz, błagam - szeptał. - Kocham cię najbardziej na świecie, Loanno, ale ty nie należysz do mnie. Pragnę całej ciebie bardziej niż twojej rozkoszy. Wiem, że nie należałaś do żadnego mężczyzny, ale do mnie możesz należeć tylko w moim domu i tylko wtedy, gdy twoje i serce i dusza też będą moje. Chcę, by moje pożądanie było jeszcze większe, żeby nauczyło mnie cieszyć się z tego, iż jestem twoim wasalem, gdyż nigdy jeszcze nie szanowałem żadnej kobiety tak jak ciebie!

Chciałam krzyknąć, spoliczkować go i przekląć, ale siły mnie opuściły. Po moich policzkach spływały łzy, które mieszały się z deszczem padającym teraz prosto na nas z nabrzmiałych chmur. Kołysał mnie łagodnie, czułam, jak jego żądza przygasa.

- Musimy wracać - rzekł stanowczo. - Nadciąga burza. Uwielbiam zapach i smak twojej skóry. Będę czekał na ciebie tak długo, jak będzie trzeba.

Loanna de Grimwald już nie istniała. Byłam małą dziewczynką, która nie wiedziała, że pochodzi od czarnoksiężnika Merlina. Jaufre poprawił mi kaptur i pociągnął mnie na drózkę. Szłam za nim na chwiejnych nogach. Nie wiem, jak dotarłam do pokoju.

Moje myśli przypominały ulewny deszcz, który spadał na Akwitanię: spadały bez końca, prosto w nicość.

Następnego ranka dotarła do mnie odpowiedź mojej matki, ale nie przez skrzydlatego posłańca.

Ze snu przebudził mnie pocałunek lekki jak obłoczek. Zobaczyłam ją po prostu u mego wezgłowia, w świetle budzącego się dnia. Uśmiechała się do mnie z miłością, i gdyby nie był to tylko obraz przywołany tchnieniem magii, rzuciłabym się jej prosto w ramiona, tak jak wtedy, gdy byłam mała. Przyglądałam się jej uszczęśliwiona.

- Mamo, tak się cieszę, że cię widzę!

- Mnie też ciebie brakowało, Canillette, choć jestem stale przy tobie od dnia, w którym mnie opuściłaś.

Położyła swoją świetlistą dłoń na mojej ręce. Wraz z bijącym od niej ciepłem poczułam dojmujący smutek.

- Och, matko, chwilami czuję się taka zagubiona. Wydaje mi się, że posiadam całą wiedzę świata, a jednak nie umiem się nią posłużyć.

- Skądże znowu, wszystko nastąpi w swoim czasie, maleńka. Zawsze chciałaś przyspieszać bieg zdarzeń. Niekiedy jakaś siła sprawia, że błądzimy, opóźnia się realizacja naszych planów, i na tym polega racja naszego istnienia. Henryk rośnie, jest coraz silniejszy. Będzie pięknym mężczyzną i w odpowiedniej chwili spodoba się twej zmiennej przyjaciółce. Na razie krzyżowcy czynią wszystko, aby Akwitania stała się częścią Francji. Stefan z Blois jest po ich stronie. Oddał im część swoich dóbr, aby zapewnić sobie ich poparcie. Wkrótce Matylda odzyska tron angielski, a wtedy, możesz być tego pewna, ich plany spełzną na niczym.

- Jakie są te plany, matko?

- Posiadanie, córeczko. Kościół pragnie absolutnej władzy. Manipuluje królami, ścina głowy, niewoli lud, uświęca wszystko ogniem krucjat i czyha na bogactwa, które nazywa duchowymi. Anglia była do tej pory pod ochroną druidów. Bronimy wiedzy i równości - niemiłych temu Bogu, który jest, którego Kościół potrzebuje, by służył jego interesom.

- Nie można zapanować nad całym światem!

- Duch jest słaby. Gdy ludzie głodują, stają się łatwowierni. Alienor poślubi Ludwika. Nie możemy tego zmienić. Częściowo jest to dla nas korzystne. Szybciej nauczysz się być królową na tronie Francji niż w zaciszu klasztornym. Ten związek nie potrwa długo.

- Skąd masz tę pewność?

- Dajże spokój, Canillette! Czy Merlin nie nauczył cię niczego w Broceliande?

Pojedziesz razem z Alienor i będziesz jej zrecznie doradzała. Pozwólmy jej dorosnąć. Wystrzegaj się



Sugera. Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Bertrand de Blanquefort, wielki mistrz Świątyni, który działał na rzecz powiązania Akwitanii z królestwem Francji, to jego przyjaciel. Suger będzie doradzał Alienor, by zrzekła się części swoich dóbr na rzecz Świątyni w zamian za zbawienie duszy.

Powinnaś temu przeszkodzić. Ta milicja chrystusowa jest niebezpieczna. Daleko jej do ideału czystości i ubóstwa Syna Bożego. Doprowadzi swoich rycerzy do straszliwych zbrodni. Śmierć Wilhelma to ich sprawka. Uczynili to na rozkaz Stefana z Blois, który szczerze ich obdarował. Uważaj na siebie! Nie wiedzą jeszcze, że jesteś

moją córką. Musisz działać subtelnie, tak by nikt cię nie zdemaskował. A jeśli to nastąpi, broń się!

- A co z Jaufrem, matko?

- Słuchaj swego serca, ale nie zapomnij o misji, jaką masz do spełnienia. Nie jesteśmy takie jak inni ludzie, Loanno. Alienor musi zostać małżonką króla Henryka, i ty do tego doprowadzisz. Takie jest twoje zadanie. Dopóki go nie wykonasz, nie masz życia prywatnego. Nie będzie ci łatwo. Jaufre może się przestraszyć, gdy się dowie, kim jesteś naprawdę. Wiem coś o tym. Często brakowało mi twego ojca, a jednak uszanowałam jego wybór.

- Jaki on był, matko? Nigdy mi o nim nie mówiłaś.

- Nie pora o tym mówić. Powiem tylko tyle, ile uznam za stosowne. Gdybyś poznała całą prawdę, zapewne wiedza ta nie pozwoliłaby ci działać.

Uśmiechała się, ale jej oczy wyrażały smutek z powodu wszystkiego, co kiedyś musiała przeżyć, a moje serce ścisnęło się na ten widok.

- Twoim ojcem był Wilhelm z Poitiers. Musisz jednak wiedzieć, że w żyłach Alienor i twoich płynie ta sama krew, gdyż z tej samej linii wywodzą się również jej ojciec i dziadek. Oto dlaczego nic, naprawdę nic, nie zmieni waszego przeznaczenia.

- Matyllda o tym wiedziała, prawda?

- Tak. Twój ojciec był pięknym mężczyzną, dumnym, zapewne zbyt dumnym. Lubił

kobiety, a ja związałam się z nim, mimo że był ode mnie znacznie starszy i zaczynał

już siwieć. Odebrał mi dziewictwo, ale nie żałuję niczego. Ta namiętność była jak ogień, po którym pozostaje tylko popiół. Nigdy się nie dowiedział, że noszę w łonie jego dziecko. Zresztą to by niczego nie zmieniło. Książę nie należał do mężczyzn, którzy mają tylko jedną kobietę. Gdy zniknęłam z jego życia, kazał zamknąć swoją żonę w opactwie Fontevrault, a sam afiszował się z la Maubergeonne, kolejną kochanką.

- Ale kochał ciebie?

- Na swój sposób... Ale to wszystko było tak dawno! Nie trzeba się teraz nad tym zastanawiać. Wspomnienia powinny pozostać tym, czym są. Bądź pewna, że cokolwiek uczynisz, jestem z tobą, rozumiem cię i popieram twoje decyzje. To, że pochodzisz od Merlina, nie powinno przeszkadzać ci jako kobiecie. Co więcej, my mamy obowiązek mieć spadkobierców. Nawet jeśli będziesz ostatnia w tym długim szeregu, nasze plemię nie może zagać.

Zaczerwieniłam się mimo woli. Nigdy dotąd nie poruszałam z matką tego tematu.

Jej wyjaśnienia uspokoiły mnie, ale poczułam inny niepokój. Wahałam się przez chwilę, wiedząc, że potrafi czytać w moich myślach, ale ona nic nie powiedziała.

Zatem to ja zdobyłam się na odwagę:

- A co z Aliénor, matko? Mam na myśli sprzeczne z naturą uczucie, które mnie ku niej popycha. Czy to coś złego?

- Dobro i zło to pojęcia, które zmieniają swoją treść w zależności od użytku, jaki się z nich czyni. To naturalne, że odczuwasz czułość i miłość do niej, jest też naturalne, że twoje ciało potrzebuje pieczy. Zawierz swojemu instynktowi, ale nie pozwól mu zapanować nad sobą. Wiedz, gdzie bije twoje serce i dlaczego postępujesz tak, a nie inaczej. Zrozumiałaś już, że twoja przyjaciółka potrzebuje takiej bliskości.

Właśnie tym będzie się kierowała w swoich postanowieniach i to jej z pewnością pomoże w trudnych chwilach. Cokolwiek uczynisz, sama sobie jesteś panią i jedynym sędzią swoich uczynków. Ale jeszcze raz powtarzam - tylko o tyle, o ile nie stoją na przeszkodzie misji, jaką masz spełnić na tej ziemi.

- Dziękuję, matko. Gdybyś wiedziała, jak bardzo brakuje mi twej mądrości!

- Nie będę tu zawsze, Canillette. Musisz się nauczyć ufać sobie samej.

Delikatnie dotknęła mojego policzka, a ja poczułam całą czułość, jaka zawierała się w tym geście. Chciałam, żeby ta chwila trwała w nieskończoność, matka chyba też, ale jej obraz już zaczynał się zamazywać. Wyszeptałam jeszcze:

- Czy wrócisz?

- Zawsze, gdy będzie trzeba, będę obok ciebie, a moje myśli będą podążały twoim śladem.

- Matko...

- Wiem, Canillette, ja też cię kocham.

Przymknęłam oczy, by powstrzymać łzy cisnące się pod powiekami. Gdy je uniosłam, byłam sama. Otrząsnęłam się ze smutku, jak ptak otrząsa piórka z rosy, i wzmocniona słowami matki zaczęłam się przygotowywać do spotkania z Aliénor.

Zastałam ją w buduaraku przylegającym do jej pokoju. Widać było, że stara się pohamować wściekłość. Chodziła po komnacie tam i powrotem, w samej koszuli nocnej. Zwróciła się do mnie z taką fu-

rią w spojrzeniu, że przez chwilę myślałam, iż to ja byłam przyczyną jej wściekłości.

Nie pozostawiła mnie długo w stanie niepewności, lecz zaczęła krzyczeć:

- Kleszy wymoczek! Słyszysz! To kleszy wymoczek! Chcą, żebym poślubiła kogoś takiego! Tak mnie urządzić. Mnie!

Z jej oczu popłynął strumień łez, oparła głowę na moim ramieniu. A więc o to chodziło! Alienor, zanadto zajęta bieżącymi problemami, nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, co ją czeka. Noc spędzona na modlitwach i medytacji przywróciła jej siłę i przenikliwość. Pociągnęłam ją na zydelek pod oknem.

- Uspokój się, to wszystko nie jest warte takiego zdenerwowania, zapewniam cię.

- Prędzej umrę, niż poślubię tego młokosa!

- Uspokój się, przecież zostaniesz królową Francji, to nic złego.

- Będę królową niczego! Mój przyszły mąż spędza czas na czytaniu Biblii i przesiadywaniu pod krucyfiksem w ciemnym, ponurym pokoju - bez słońca, bez muzyki. Wolę klasztor niż takie życie.

- Spójrz na mnie!

Uniosłam jej rozwścieczoną twarz i złożyłam na jej ustach delikatny pocałunek, a potem powiedziałam pieszczotliwie:

- Skoro on spędza czas w kościele, ty będziesz rządziła. Jeśli on będzie kochał tylko Boga, ty weźmiesz sobie kochanków. Miłość nie zna pana, wiesz o tym dobrze.

Ciągnęłam swoją przemowę, przerywając ją pocałunkami. Jęknęła jak kotka.

Zuchwale dotknęłam jej piersi i poczułam, jak twardnieją. Przewróciłam ją na aksamitną narzutę. Po raz pierwszy nie zadawałam sobie żadnych pytań. Matka odpowiedziała na wszystkie moje wątpliwości, wyzwalając mój umysł i ciało.

Ponadto sama myśl o niezaspokojonej poprzedniego dnia żądzy wyostrzyła moje zmysły, tym większą więc czułam rozkosz, penetrując Alienor spragnionymi palcami i widząc, jak pławi się w szczęściu i wdzięczności.

Gdy wychodziłam od niej, spała z lekkim uśmiechem na ustach.

Alienor krążyła przed lustrem, prężąc z lubością swoje ciało gaze-li, aby lepiej ocenić, jak wygląda w sukni ślubnej.

- Czy zauważyłaś, jak na mnie patrzył? Jestem pewna, że zakochał się we mnie bez pamięci!

Jej smutek sprzed trzech miesięcy ustępował miejsca coraz większej radości, a tej niedzieli - 25 lipca 1137 roku - Aliénor rozkoszowała się przygotowaniami do ślubu.

To prawda, że podbiła serce Ludwika od pierwszego wejrzenia. Gdy zobaczył, jaka jest piękna, zapomniał natychmiast o swoim zamiarze zostania księdzem. Będąc mistrzynią w postępowaniu z ludźmi, Aliénor zdołała tak doń przemówić, że wprawiła go w podziw. Choć nikłej postury bladej i smutnej, Ludwik z pewnością nie był głupcem. Choć tonął w woni kadzideł, było oczywiste, że młodzi zdołają dojść do porozumienia. Co do reszty, wystarczyło spojrzeć na jego drżące ręce, by dojść do wniosku, że przyszedł król ciałem i duszą będzie posłuszny kaprysom swojej małżonki. To była dobra wróżba!

Aliénor odprawiła pokojówki i dworki. Zostałyśmy sam na sam. Za niecałe dwie godziny miały się rozdzwonić dzwony katedry świętego Andrzeja. Już teraz słychać było pomruki tłumu gromadzącego się wokół pałacu de l'Ombrière. Goście przybyli z czterech stron: z Akwitania, Gaskonii, Saintonge, Poitou, nie licząc wasali księżniczki. W powietrzu unosiły się zapachy mięs, ryb, chleba, słodu, sosów i kwiatów.

- Obudź się, Loanno de Grimwald! Powiedz mi, jak wyglądam! Beształa mnie, lecz w jej oczach migotały iskielki szczęścia.

Uśmiechnęłam się do niej czule.

- Jesteś tak piękna, że nie można ci się oprzeć! - odpowiedziałam szczerze.

Klasnęła w dłonie jak dziecko.

- Wiedziałaś! Prędko! Chcę to już mieć za sobą, nie mogę już dłużej czekać!

- Nie skacz tak, bo spuchną ci łydki. Co powie twój przyszedł mąż, gdy zobaczy grube nogi?

- To nic takiego! Twoja woda z melisy przywróci im smukły kształt. Popatrz lepiej, ile tu ludzi! Dostałam życzenia od wicehrabiów de Thouars, panów de Lusignan i de Chlcellerault, tych, których ojciec uważał za ważnych. Widziałam baronów de Mauleon i de Parthenay de Chateauroux i Issoudun, de Fezensac, d'Armagnac, a nawet z Pirenejów, masz pojęcie?

Wyliczała ich kolejno, zginając palce, sama dziwiąc się temu, że zapamiętała wszystkich.

- Zapomniałaś o delegacji króla Francji z Sugerem na czele - dodałam rozbawiona.

- Tak, tak, ale ich powóz wydaje się żaloszny w porównaniu z pojazdami moich wasali. To prawda, że prowadziliśmy bardziej wystawny tryb życia niż sam król!

Tym lepiej, to ożywi kochanego Ludwika. Nie jest zbyt piękny, lecz ma swój urok.

- Zwłaszcza ten, że szaleje za tobą, a zatem będzie nim łatwo powodować! -

odparłam szyderczo.

- Znasz mnie tak dobrze! Kocham cię!

Rzuciła mi się na szyję i pociągnęła mnie w tany, obejmując czule. Pocałowałam ją w ramię.

- Już pora. Musimy iść, księżniczko. Przybierz godną minę, lud czeka na królową.

Wstała i kiwnęła głową na znak zgody, z trudem panując nad swoim podnieceniem.

Potem, ogarnięta zwątpieniem, zaniepokoiła się:

- Będziesz przy mnie, prawda?

- Przez cały czas.

- To nie to, że się boję, ale...

- Musisz czuć, że jestem w zasięgu ręki, wiem. Nawet jeśli mnie nie będziesz widziała, ja będę patrzeć tylko na ciebie.

Wzięłam ją za rękę i poprowadziłam do drzwi. Odetchnęła głęboko i dumnie uniosła głowę.

Za ciężkimi dębowymi drzwiami czekało ją nowe życie.

Ludwik był skupiony, w dłoniach trzymał różaniec. Nękały go pytania, drażyły wątpliwości, więc ukojenie znajdował tylko w modlitwie. Zalecenia ojca - ciężko dyszącego, ze spoconym czołem, z obrzmiałym brzuchem i żołądkiem -

przypomniały mu się właśnie w tej chwili: „Chroń duchowieństwo, biednych i sieroty, przyznając im odpowiednie prawa”.

A gdy pokornie ukląkł, usłyszał na pożegnanie: „Niechaj Bóg chroni cię przed złoczyńcami i łupieżcami, drogie dziecko. Niech towarzyszy ci w drodze i da siłę, byś mógł wypełnić swoje zadanie. Tylko ta myśl trzyma mnie jeszcze przy tronie i życiu. Okaż się godny mego zaufania. Bądź godny swoich przodków. Bądź godny Boga Wszechmogącego, za którego sprawą rządzą królowie”.

Te słowa go prześladowały, przesłaniały mu gwiazdziste oczy przyszłej małżonki.

Nie wiedział, czy ma się cieszyć z tej miłości, która już go wypełniała, czy trapić, że nie zobaczy więcej ojca.

W przeddzień wyjazdu słyszał, jak Suger nakazuje jego spowiednikowi Hervemu (który miał czuwać nad opactwem Saint-Denis w czasie jego nieobecności), że w krypcie bazyliki trzeba przygotować miejsce wiecznego spoczynku dla króla, jeśli przed ich powrotem stanie się to, co stać się musi. Nie czuł się gotów, był za młody, niedoświadczony. Suger próbował go uspokoić:

- Nie lękaj się, panie. Kwestie państwowej wagi są sprawą rozsądku i sprawiedliwości. Z bożą pomocą i dzięki radom starszych będziesz mógł należycie rządzić.

Suger! Szczęśliwym zrządzeniem losu wiernie służył królestwu. Ludwik Gruby obdarzył go zaufaniem i nigdy tego nie pożałował.

Westchnął. Ci ludzie pod oknami byli inni niż ci z Paryża. Czyjego małżonka będzie zadowolona, dzieląc z nim ciszę i cnotliwy żywot? Była dziewczęca i zarazem rozkosznie kobieca, a on nic o niej nie wiedział.

„W gruncie rzeczy - pomyślał - wprowadzi nieco słońca w nasze szare mury. Los mógł uczynić ją brzydką i przygaszoną, a mnie byłoby wtedy znacznie gorzej!”.

Ślub był skromny, mimo to przed katedrą zgromadziły się ogromne tłumy. Wierna danej obietnicy, patrzyłam tylko na Alienor. Zachwyciałam się jej urodą i majestatycznymi ruchami. Przyćmiewała swego smutnego męża, który - choć przystrojony w szatę z dzierganego złotem brokatu - przypominał raczej mnicha niż przyszłego króla.

Po zakończonej ceremonii oboje skierowali się zgodnym krokiem do pałacu de l'Ombriere, odprowadzani życzeniami szczęścia, pomyślności i długiego życia.

Miasto tonęło w kwiatach, a płatki róż, rozgniatane stopami idących w orszaku, wydawały duszącą woń. Na krótką chwilę wyobraziłam sobie, jak idę ręką w rękę przez lasek Broceliande ku kamiennemu ołtarzowi, a obok szeleści tunika Merlina.

Szare oczy Jaufrego spoglądają na mnie, przeszywając moje serce jak sztylet.

Poczułam smutek.

Mego trubadura zobaczyłam później, w czasie wspaniałej uczyty, która nastąpiła po ceremonii zaślubin. Zaproszono prawie tysiąc osób, nie licząc ludu, który zgromadził się wokół stołów zastawionych na dziedzińcu zamkowym.

W olbrzymiej sali bankietowej paziowie i giermkowie krzatali się, krojąc mięsiwo, nalewając wino z Bourg i Blaye, pachnące jagodami i dębina. Grała muzyka, panowała ogólna wesołość. Alienor sprowadziła zonglerów, tancerzy, akrobatów, połykaczy ognia, treserów niedźwiedzi, koni i psów, i oczywiście trubadurów.

Wśród nich był Jaufre, w towarzystwie swego druha Marcabru, przezywanego Panperd'hu, który pałał namiętnością do księżniczki.

Pomiędzy słynnymi utworami, jak *Pieśń Gerarda de Rousillon* czy *Wspaniałe dzieje Tristana i Izoldy*, rozbrzmiewały pieśni wychwalające cnoty i urodę ich muz oraz wspaniałe zaślubiny. Jaufre oddał hołd trubadurovi Wilhelmowi, wykonując niektóre z jego strof. Gdy słuchałam śpiewu mego ukochanego, serce biło mi mocniej i gwiazdy zapalały się w moich oczach.

Mój sąsiad po prawej, przystojny, choć niewysoki baron, niesłychanie pretensjonalny, przypisał to

swojej obecności. Odpowiedziałam mu zdecydowanie, że jedni posiadli sztukę przyciągania, inni zaś skłaniają do samotności. Nie wiem, czy mnie zrozumiał, ale od tej chwili aż do końca uczty był mniej nadęty, a nawet kilka razy mnie rozśmieszył.

W kilka godzin później ujawniły się efekty oddziaływania wina i runął mur dzielący przybyszy z północy i ludzi z południa. Nawet Ludwik zachowywał się inaczej niż zwykle - mówił lekko i z większym ożywieniem.

Podobnie jak ja, gdy tu przyjechałam, ulegli urokowi Akwitanii. Alienor śmiała się z całego serca, a ja szukałam wzrokiem tego, który najpierw rzucał mi przeciągłe spojrzenia, teraz wymknął się, każąc mi tęsknić za sobą.

Pod koniec dnia poczułam, że muszę pobyć w samotności. Opary alkoholu przyprawiły mnie o ucisk w skroniach, choć ja sama raczyłam się winem z umiarem.

Pod pretekstem złego samopoczucia udałam się do swych apartamentów, potykając się o psy, które wyrywały sobie kości i co lepsze kawałki mięsa, jak również o uspiionych biesiadników, leżących pokotem pod ścianami i na schodach.

Szłam korytarzem, gdy raptem dobiegł mnie dźwięk cytry. Zatrzymałam się, drżąc na całym ciele, lecz muzyka się urwała. Musiała mi się przyśnić. Poszłam dalej i znów usłyszałam muzykę. Wydawało się, że jej tony wołają mnie, prowadzą. Przed sobą widziałam płonącą na parapecie świecę, niedaleko mego pokoju.

Skierowałam się w tamtą stronę, weszłam po schodach i znalazłam się pod uchylonymi drzwiami. Ta muzyka wydobywała się spod palców Jaufrego. Nie był to pokój, raczej kącik zastawiony półkami, na których piętrzyły się woskowe świece, dzbany i misy do toalety oraz inne utensylia.

Zadrżałam ze szczęścia na widok tego niezwykłego miejsca i uśmiechniętej twarzy Jaufrego.

- Czas dłużył mi się bez ciebie - wyszeptał, odkładając instrument, aby posadzić mnie na kolanach jak zwyczajną pokojówkę.

Przystałam na to, zniewolona jego pocałunkami. Nie widziałam go od czasu naszych pieszczot pod gołębnikiem. Miał zapewne mnóstwo kłopotów w swoich włościach, a to za sprawą sąsiada, który chciał przywłaszczyć sobie część ziem. Trzy miesiące, całe trzy miesiące nie czułam go przy sobie. Nareszcie!

Całowaliśmy się, zapominając o całym świecie. Pieszcząc łagodnie mój kark, oświadczył:

- Nowożeńcy spędzą noc w Blaye, zanim udadzą się do Poitiers. Księżniczka przyjęła moje zaproszenie. Twój pokój czeka na ciebie, a ja będę szczęśliwy, jeśli zatrzymasz się w nim na kilka dni.

- Muszę towarzyszyć Alienor w drodze do Paryża.

- Oczywiście, ale czy twoja obecność jest nieodzowna, zanim ona tam dotrze?

Księżniczka i tak nie będzie miała dla ciebie wiele czasu, zajęta uroczystościami i atencjami swego męża. Błagam, Loanno, bądź moim gościem. Chcę, byś poznała moją ziemię i ludzi, byś przekonała się, jak mocno cię pragnę.

Zadrżałam pod jego pieścizotą, myśląc o tym, jak wiele miał racji. Stał mi się niezbędny, potrzebowałam go z każdym oddechem coraz bardziej. Wybiła moja godzina - chciałam zostać kobietą.

- Zatrzymam się u ciebie - szepnęłam z ustami na jego ustach. Oszalały z radości, ścisnął mnie w objęciach tak mocno, że nie

mogłam złapać tchu.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie zgadzam się, słyszysz? Krzyczała tak głośno, że bębunki pękały mi w uszach! Złościła się

tak od dziesięciu minut, nie dając mi dojść do słowa.

Po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Bordeaux to ja byłam przyczyną jej gniewu, którego podłoże stanowiła zaborcza zazdrość.

Nie wiem, skąd brała przekonanie, że należę do niej jak rzecz. Zawsze musiałam być w pobliżu, gotowa na jej skinienie, i dawać jej radość. Nie chciała słyszeć o moim wyjeździe.

W rzeczywistości najbardziej bała się tego, że wymknę się jej z rąk! Bawiło mnie to, co wprawiało ją w jeszcze większą wściekłość. Za żadne skarby nie zrezygnowałabym z propozycji Jaufrego. Tym bardziej że moja pozycja umacniała się, w miarę jak rósł jej gniew. Będę miała na nią tym większy wpływ po powrocie.

Miotła się jak zwierzę w klatce. Ułożyłam się na niskiej kanapce w jej buduarze i nie odzywałam się ani słowem, co bynajmniej nie sprzyjało mojej sprawie.

Trzeba było jednak skończyć z tym raz na zawsze. Jak zwykle zaczęła szlochać i uzalać się nad niesprawiedliwym losem, jaki przypadł jej w udziale:

- Nie kochasz mnie! Westchnęłam i powiedziałam czule:

- Księżniczko, czy wreszcie przestaniesz?

Wybuchnęła straszliwym łkaniem. Może strategia ta miała szanse powodzenia u jej fajtłapowatego męża, ale ja od dawna znałam wszystkie gierki Alienor.

- Obiecałaś, że będziesz mi towarzyszyć!

- Raczej podążać za tobą. I uczynię to. Uspokój się, Alienor, przestań się zachowywać jak rozpieszczone dziecko. To tylko kilka tygodni. Ja też będę tęskniła i cierpiała z powodu naszego rozstania. Będziesz podróżowała z ważnymi osobami.



Ja jestem tylko twoją dworką. Moja obecność nie jest niezbędna. Będziesz się mogła cieszyć swoim mężem.

- Zapomnisz o mnie!

- Nie bądź niemądra! Masz najgorszy charakter w całej Akwitanii, księżniczko, ale nie znam nikogo, kto dorównałby ci rozumem.

- Tego już za wiele! Każę cię wychłostać!

- A jaką podałaś przyczynę? Spokojnie, księżniczko. Za kilka tygodni wrócę do ciebie.

- Będzie się z tobą kochał!

- Mam nadzieję!

- A więc pragniesz go! Dlaczego właśnie jego? Jest brzydki, niepozorny, nie ma...

- ...majątku, lecz jego bogactwem są słowa, którymi opiewa bar-

wy świata. I to mi się podoba. Jak również to, jaki jest. Są uczucia, które trudno ogarnąć rozumem.

- Przyznajesz więc, że go kochasz!

- Pragnę być blisko niego, choćby na krótko. Chcę też poznać kraj, z którego jest taki dumny, a który ty odmalowywałaś mi z takim zachwytem. Dość już tego! Nie pozwolę na żadną kłótnię z tego powodu.

- Nienawidzę cię, Loanno de Grimwald!

- I kochasz!

- Oddam się Ludwikowi!

- To twój obowiązek małżeński!

- Czy nie masz dumy?

- Tego już za wiele!

Rozzłoszczona Alienor odwróciła się na pięcie i wyszła, trzasnąwszy drzwiami, co stanowiło nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę masywność drzwi i drobną posturę Alienor.

Będę musiała prowadzić subtelną grę. Nigdy dotąd atak furii Alienor nie trwał

dłużej niż kilka godzin. Teraz jednak złość nie opuściła jej aż do naszego wyjazdu z Bordeaux.

Suger był niespokojny o króla Francji, przeczuwał bowiem, że nadchodzi jego kres.

Poprosił Alienor, aby w miarę możliwości zechciała skrócić uroczystości, co nie było wcale łatwe. Lud i panowie, którzy przybyli specjalnie na tę okoliczność, oczekiwali, że księstwo Akwitanii zapewni im huczną zabawę. Pamiętano jeszcze wesele ojca Alienor, które trwało kilka miesięcy. Co by sobie pomyśleli, gdyby wesele Alienor było skromniejsze?

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Alienor wyraziła zgodę. Pozostaliśmy w Bordeaux zaledwie dwa tygodnie.

W tym czasie miasto oświetlone było od wieczoru aż do świtu tysiącami świec i przypominało rój gwiazd. Była to doprawdy rozkosz dla oczu. Po obu stronach Garonny trwał nieustanny ruch: barki, łodzie i statki kursowały tam i z powrotem, przewożąc gapiów i notabli z jednego brzegu rzeki na drugi, na zmianę z towarami, materiałami, winami i innymi mocnymi trunkami.

Alienor nieustannie mnie prowokowała. Każdy jej gest wobec Ludwika miał wzbudzić moją zazdrość. Wiedziałam, że robiła to z zemsty i bawiło ją to. W gruncie rzeczy tylko to się liczyło.

Ta zimna wojna miała niewielkie znaczenie wobec wydarzeń, które miały nastąpić.

Było oczywiste, że podczas mojej nieobecności Alienor zostanie kochanką Ludwika. Chociaż miał usposobienie mnicha, to jednak był mężczyzną, a ja sama przekonałam się, jak trudno oprzeć się tej uwodzicielce. Tymczasem trzeba było zadbać o to, żeby Alienor nie została za szybko matką. Byłaby to prawdziwa katastrofa! Mogłam podać jej jakieś zioła bez jej wiedzy, ale tylko wtedy, gdy byłam obok niej. Nie chciałam zapewniać sobie usług dyskretnej służącej, choćby to był

ktoś z jej otoczenia.

Chyba że...

- Czego chcesz?

To pytanie zabrzmiało jak wyrzut. Nietrudno mi było uzyskać posłuchanie u mojej „nieprzyjaciółki”.

Stałam przed nią z całą powagą, prosząc ją jak zwyczajny wasal o prywatną audiencję. Zdziwiona moją prośbą, zgodziła się mnie przyjąć, zakładając zapewne, że chodzi o jakąś ważną sprawę.

Choć przybrała wyniosłą minę, odgadywałam, że cała drżała. Prowadziła ze mną długą grę, która na pewno nie dawała jej satysfakcji. Tęskniła za mną, a ja to wykorzystałam.

Przystosowując się do nowej sytuacji, przyklęknęłam na jedno kolano, a potem, najpoważniej w świecie, wyłożyłam sprawę, która mnie „niepokoiła”.

- Uczyniłaś mi, pani, niegdyś zaszczyt, zwierając mi się z pewnej nocnej ucieczki do klasztoru Belin,

w towarzystwie - jak pamiętam - wuja. Pamiętam również, jakie były tego następstwa...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Była wyraźnie rozdrażniona zarówno moją przemową, jak i jej oficjalną formą.

- Chcę przez to powiedzieć, że skorzystałaś, pani, wówczas z usług czarownicy, która wyzbyła cię owocu tej niedozwolonej miłości, zatem jesteś zapewne teraz niezdolna do wydania na świat potomstwa.

Zbladła tak mocno, że myślałam, iż zemdleje. Wstałam, by ją podtrzymać. Drżała na całym ciele i patrzyła na mnie wzrokiem tonącego. Mówiłam dalej:

- Przyszła królowa musi dać królowi dziedzica. Co uczyni Ludwik, gdy spostrzeże, że po wielu miesiącach oczekiwania jego małżonka nie nosi pod sercem potomka?

- Och, Loanno, co ja zrobię? Nie pomyślałam o tym, ja... Wybuchnęła łkaniem. Tym razem łzy jej były szczere. Napięcie,

jakie wytworzyła między nami, wyraźnie osłabło. Kołysałam ją czule w ramionach.

- Uspokój się, księżniczko, nie płacz. Uwierz mi, że nie wprowadziłabym cię w taką rozpacz, nie mając na nią lekarstwa.

Uniosła zalaną łzami twarz, a w jej oczach rozbłysło światełko nadziei:

- Ty?

Wyjęłam zza dekoltu fiolkę, którą umocowałam na jedwabnej nitce.

- Weźmiesz tylko trzy kropelki po każdym z twych intymnych spotkań z Ludwikiem. Nie więcej.

- Jesteś pewna, że...

- To mi przyrzekła czarownica, u której byłam. Powierzyłam jej tajemnicę pewnej damy, o której przygodach się dowiedziałam.

- Skąd ją znasz?

- Chcieć to móc. Czegóż nie uczyniłabym dla ciebie!

- Więc kochasz mnie naprawdę?

- Czyżbyś w to wątpiła? Przypieczętowałam swoje słowa pocałunkiem.

- Będę przy tobie cały czas, pamiętaj o tym.

Kiwnęła głową. Zawiesiłam jej na szyi buteleczkę i ukryłam ją między piersiami.

- Dziś wieczorem. Przyjdę na pewno.

Jaufre nie skłamał.

Oczywiście podróżowałam już kiedyś drogą do Bordeaux, ale teraz patrzyłam na okolicę innymi oczami. Może sprawiły to słowa mojego trubadura, a może byłam już wystarczająco przywiązana do tej ziemi, by dostrzec jej uroki. W gruncie rzeczy nie to było ważne.

Dotarliśmy do Blaye o zachodzie słońca, którego światło barwiło fale na rzece na czerwono. Na tle nieba wyspy na rzece wyglądały jak mroczne góry. Horyzont tonął

w morzu purpury. Wzgórze Blaye było całe w kwiatkach. Witał nas wiwatujący tłum.

I tutaj wszyscy czekali na pojawienie się przyszłej królowej. Zamek znajdował się na

stromym brzegu, na lewo od miasta, ale żeby do niego dotrzeć, trzeba było płynąć w górę rzeki.

Zakotwiczyliśmy na wprost ujścia rzeki, którą nazywano tu Saugeron. Jaufre czekał

na nas na mostku, już nie w skromnym stroju trubadura, ale jako pan tych ziem.

Nosił pelerynę obszytą złotą la-mówką i ciżmy z aksamitu. Długie włosy przytrzymywała jedwabna wstążka, spod której wymykały się niesforne kosmyki.

Jego sylwetka na tle skały rysującej się za jego plecami, rozłożonej promieniami zachodzącego słońca, robiła imponujące wrażenie.

Jaufre przybył w otoczeniu dostojników i duchownych. Przyszły też dzieci z kwiatami i owocami. Wszyscy wydawali się zaszczyceni tym, że mieliśmy spędzić jedną noc na ich ziemi.

Alienor była szczerze poruszona pięknymi widokami. Mimo że Suger chciał

przyspieszyć podróż i nie zgadzał się na postój, orszak podzielił się na dwie części.

Armia królewska, złożona z ponad trzech tysięcy żołnierzy, wyruszyła drogą lądową wozami, a orszak Alienor i Ludwika - drogą wodną. Mieliśmy się spotkać nazajutrz w miejscu zwanym Czworo Wideł.

Cały orszak z Jaufrem, Alienor i Ludwikiem na czele - za którym podążał Suger i opaci od świętego Zbawiciela i świętego Romaina, a za nimi reszta według tytułów i urzędów - ruszył w stronę zamku.

Był taki, jak go sobie wyobrażałam, choć nie tak ogromny jak de rOmbriere i nie taki nawet jak ten, w którym spędziłam dzieciństwo. Zbudowany na wzgórzu, stanowił z nim harmonijną całość. Wokół murów obronnych wiodła droga. Rzeka widoczna była dopiero z wież.

Zwodzony most był opuszczony. Zdziwiłam się, widząc fosę otaczającą zamek.

Przedtem minęliśmy już jedną, jadąc od opactwa świętego Romaina na wschód.

Jaufre wyjaśnił, że to nie była fosa, lecz rzeka Saugeron, której bieg zmieniono. Nie miało to znaczenia obronnego. Po prostu od wody wiało miłym chłodem i w upalne dni do zamku docierało świeże powietrze.

Stoły rozstawiono w sali, która mogła pomieścić około stu biesiadników, tyle nas bowiem było. Posiłek zakrapiany był winami z opactwa, a ja miałam wrażenie, że nie piłam dotąd win tak wybornych. Może zresztą samo miejsce, w jakim przebywaliśmy, bardziej niż wszystko inne dawało radość moim zmysłom. Na każdym kroku odczuwaliśmy gościnność gospodarza.

Na jego polecenie odprowadzono mnie do jednej z wież. Weszłam na górę krętymi schodami.

Pokój nie był duży. Kamienne ściany zdobiły tkaniny, w oknach wisiały zasłony przypominające moją sypialnię w Angers. Łoże przykryte było skórą zwierząt, zasłano też nimi podłogę przed kominkiem, który znajdował się naprzeciwko łoża. Z

szafy sięgającej aż po powałę unosiła się woń skórek pomarańczy - owoców przywiezionych z pierwszej wyprawy krzyżowej. Alienor opowiadała mi, że rosną one też w Akwitanii, w bardziej nasłonecznionych miejscach. Rozkoszowałam się smakiem tych krągłych, soczystych owoców, a także ich zapachem. Jaufre zapewne to zapamiętał.

Na toaletce z czarnego drzewa olchowego stały pod lustrem balsamy, pachnidła, szczotki z sierści wydry, a także miseczka napełniona wodą różaną i melisową.

W ciepłym blasku świec poczułam się jak u siebie.

Jaufre przyszedł do mnie później. Moje rzeczy przyniesiono w walizkach, a gdy Camille zakładała mi nocną koszulę, zaanonsował się u moich drzwi.

Serce zabiło mi szybciej. Długo czekałam, nasłuchując jego kroków na schodach.

Tak bardzo chciałam poczuć jego oddech na moim ciele. Camille wprowadziła go do pokoju i od razu znikła w an-tyszambrach.

Usiadłam przed toaletką i zaczęłam szczotkować rozplecione włosy, co pomagało mi zachować równowagę. Jaufre podszedł do mnie od tyłu, uniósł moje włosy i czule pocałował w kark. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Nie wytrzymałam dłużej i rzuciłam mu się w ramiona.

Chciałam, żeby pozostał, ale nie uczynił tego. Powiedział, iż bardzo jest poruszony tym, że tu jestem, ale obecność Alienor nakazywała zachować cierpliwość. Obiecał, że przyjdzie jutro, tak więc pozostałam sama. Nie spałam całą noc. Nie mogłam też pójść do Alienor, gdyż w labiryncie korytarzy z pewnością zgubiłabym drogę.

Po raz pierwszy od dawna liczyłam godziny, jakie jeszcze pozostały do wschodu słońca.

Zaraz po jutrzni Alienor wraz ze swą siostrą wyruszyła rzymską drogą do Poitiers przez Taillebourg.

Chodziło o to, by dotrzeć do

Taillebourg wieczorem. Przed odjazdem wzięła mnie na stronę i kazała obiecać, że nie zabawię tu długo. Musiała jednak odczuć, jak jestem szczęśliwa, gdyż odeszła, rzucając mi ukradkiem niespokojne spojrzenia.

Jaufre pojawił się dopiero przed prymą. Jego służba otoczyła mnie staranną opieką.

Przyszła też pokojówka, aby nauczyć Camille, jak się przygotowuje kąpiel z kwiatów pomarańczy. Roślina ta ma wiele dobroczynnych właściwości. Alienor mówiła mi, że Arabowie stosują ją do celów leczniczych. Postanowiłam zbadać wszystkie jej zastosowania. Po kąpeli czułam się świeża i odprężona.

Z mojego okna rozciągał się widok na aleję zamkową i ogrody harmonijnie poprzecinane klombami. Brzegi fosy obsadzone były olchami. Zdziwiłam się, że Blaye - miasto przede wszystkim obronne, po wielekroć oblegane w poprzednich stuleciach - jest takie piękne. Byłam przekonana, że sprawił to smak jego pana w kwestiach sztuk i zdobnictwa. Jak daleko sięgał mój wzrok, widziałam powolny bieg rzeki i jej fale, ruch między wyspami a lądem, krążące tam i z powrotem łodzie.

Wszystko to wprawiło mnie w zachwyt. Bordeaux miało wdzięk dostatku, tu wrażenie robiły spokój i harmonia.

Pierwszy posiłek spożyliśmy sam na sam. Usiedliśmy nie w jadalni, w której podejmowano nas poprzedniego wieczoru, lecz w pomieszczeniu przylegającym do kuchni. Było skromnie umeblowane. Stał tu jedynie masywny, długi stół na sześciu nogach, dwie ławy i cztery niewielkie kredensy z woskowanego drzewa dębowego.

Na palenisku dymił saganek, wydzielający woń gęstej zupy. Stół nakryto na dwie osoby. Nie było srebrnych naczyń, ale na środku stołu, obok bochenka chleba świeżo wydobytego z pieca, ustawiono bukiet z mlecznobiałych róż.

Zastałam Jaufrego w długich butach, ze stopami wspartymi na schodku kominka, łakomie próbującego polewki. Ubrany był w lniane giezło wyrzucone na ciemne spodnie, przewiązane pasem ze skóry i sznurka. W tym stroju wyglądał jak wieśniak.

Służąca zamknęła za mną drzwi. Stanęłam jak osłupiała. Ja, dzikuska, błakająca się gdzieś między ziemią a niebem, oczami duszy widziałam chatę w Broceliande, którą porzuciłam, by znaleźć się w przepychu pałacu de l'Ombriere. Łzy szczęścia dławiły mnie

w krtani. Czy Jaufre mógł wiedzieć, że oto znalazłam się w najtajniejszym zakątku, u mego prażródła?

Nie mogłam się ruszyć z miejsca, gdyż byłam jak skamieniała - takie ciepło emanowało z tego skromnego, spokojnego miejsca. Jaufre uśmiechał się z zadowoleniem. Podszedł bliżej, wziął mnie za rękę i poprowadził do stołu.

Usadowił mnie bez słowa, a potem - jakby był moim paziem - nalał mi do miski dużą chochlę gęstej

zupy. Nalał też sobie, a następnie niedbale napełnił nasze szklaneczki cierpkim, lecz aromatycznym winem.

Nie znajdowałam słów, by wyrazić to, co czuję. Wszystko było takie...

- Jedz - powiedział poufale i usiadł na swoim miejscu. Zręcznie ukroił sobie chleba i wkruszył go do talerza, podając mi

drugi kawałek, bym uczyniła to samo. Kiwnęłam głową, ale czułam, że łzy spływają mi po policzkach. Już dawno nie czułam się taka szczęśliwa.

- Kocham te krople dżdzu. Zwilżają ziemię, nic tu bez nich się nie obejdzie - ani wino, ani chleb, ani róże. Kocham cię, Loanno.

- Skąd wiedziałeś? - zdołałam wyszeptać, przepełniona czułością i wdzięcznością.

- Nie wiem. Należę do ciebie. Gdy byłem dzieckiem, wiele czasu spędzałem w tym pomieszczeniu. Przyglądałem się służącym, które oprawiały tu ptactwo, przygotowywały torty, zupy i desery. Wyjadałem ukradkiem śmietankę z garnuszków, wdychałem smakowite zapachy. Siadywałem na kamiennym murku i przy ogniu grzałem sobie stopy. Słuchałem opowieści i zwierzeń o codziennych troskach. Służące nie zwracały na mnie uwagi, zajęte obowiązkami, które spełniały bez szemrania, wiernie i uczciwie. Służba ojca była dobrze traktowana.

Wysłuchiwałem jednak tego, co mówiło się we wsi o położeniu chłopów pańszczyźnianych. Czasem były to rzeczy wesołe, innym razem smutne. Gdy któraś ze służących odkryła moją obecność, zapadała cisza, dawały mi kawałek ciasta i uprzejmie, lecz stanowczo wyprawiały za drzwi. Nie wypadało uskarżać się na los w obecności syna właściciela. Cierpiałem, gdy księżęta Akwitanii podbili Blaye i zniszczyli ten zakątek, nieodłączną część mego dzieciństwa. Po wielu latach, gdy zdołałem odzyskać moje dobra, odnalazłem to miejsce. Dziś jest to kraina mlekiem i miodem płynąca. Ludzie żyją tu dostatnio i nie obawiają się zwracać bezpośrednio do mnie, kiedy ich

odwiedzam. Jestem dumny, gdy mogę spełnić ich żądania, a nieszczęśliwy gdy nie mogę im sprostać, ale zawsze staram się pomóc. Najlepiej czuję się tu, w tym pokoju. Panowie są władcami tylko w swoich dobrach. Poza ich granicami są niczym. Chciałem być skromnym trubadurem, ale los postanowił inaczej. Nie mam nic oprócz tej ziemi. Jest także twoja, tak bardzo ją przypominasz.

- Cóż mogę powiedzieć, Jaufre? Dziękuję za miłe słowa. Nie wiesz o mnie wszystkiego. Ja też jestem więźniarką własnego losu.

Wzruszył ramionami, jakby znużony, lecz wciąż się uśmiechał.

- Po prostu nie nadszedł jeszcze czas. Pokładam ufność w jutrzejszym dniu.

Zjedźmy, a potem zabiorę cię na zwiedzanie moich włości.

Zwiedzanie jego włości!



Powiedział to najzwyczajniej w świecie, a mnie zachwycał tu każdy zakątek.

Przemierzaliśmy ścieżki, które prowadziły do kasztelanii Bourg, poprzez małe urocze miasteczka Sainte-Luce, Plassac, Gauriac. Wszystkie położone wzdłuż ujścia, z którym połączone były pomostami. Aż po sam horyzont ciągnęły się pola.

Na najbardziej nasłonecznionych wzgórzach rozłożyły się winnice, ciężkie od ciemnych winogron, wokół których uwijały się pszczoły. Jaufre wyjaśnił mi, że w tym roku winobranie odbędzie się wcześniej niż zwykle, prawdopodobnie już na początku września, z powodu trwających upałów. Pokazał mi beczki, w których odpoczywało wino, oraz prasy do wyciskania soku. Z zachwytem opowiedział mi, jak robi się wino.

Ludzie witali nas uśmiechami, kłaniali się, ale bez uniżoności. Widziałam po ich zachowaniu, jak bardzo Jaufre był tu kochany.

Wróciliśmy do Blaye, gdy słońce tonąło już w rzece.

Jaufre odprowadził mnie uroczyście do drzwi pokoju i złożony na moich ustach delikatny pocałunek, oddalił się bez słowa.

Nauczyłam się już czekać na spotkanie z nim i tym razem niczego się nie domagałam.

Przedłużałam toaletę, z rozkoszą polewając się wodą różaną. Gdy odkryłam, ile to balsamów przygotowano specjalnie dla mnie, pozwoliłam Camille, aby namaściła mnie nimi od stóp do głów. Rozplotła moje włosy i wyszczotkowała je. Następnie pozwoliłam jej odejść. Była zręczna, dzielna i dyskretna. Czułam, że szczerze mnie lubi, a ja doceniałam jej towarzystwo.

Noc była taka ciepła, że nie chciałam zakładać nocnej koszuli. Gdy zostałam sama, oparłam się łokciami o parapet szeroko otwartego okna. Do pokoju wnikało morskie powietrze. Świece w pokoju były zgaszone, nie potrzebowałam ich. Noc była piękna, skąpana w tysiącu woni. Przywodziła mi na myśl inną, podobną noc.

Oczami duszy zobaczyłam mały, wrzeszczący kłębuszek w ramionach pani Matyldy.

Ukołysana ciszą, ledwo dosłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi. Odgadłam obecność Jaufrego po zapachu lilii. Nie śmiałam uczynić żadnego ruchu, rozkosznie zmieszana bezwstydem mojej nagości. Księżyc rzucał delikatne światło na moje ciało, a spojrzenie Jaufrego ogarniało mnie płomieniem tak, jakby mnie objął ramionami. Tutaj on był panem, a ja nie miałam innego pragnienia niż być jego chętną służką.

Gdy moje biodra instynktownie wygięły się ku niemu, podszedł bliżej i wtulił się we mnie, przyciskając mocno do swego ciała. Zadrzałam z rozkoszy, gdy moje nabrzmiałe piersi uwięzły w jego dłoniach. Zadrzałam z rozkoszy. Pieścił mnie długo, tak że nie miałam czasu zaczerpnąć tchu - na tysiące sposobów. A potem przyszedł ból, który przeszył mnie na wskroś. Moje uda rozsunęły się, ustępując pod naporem jego męskości. Ból nie trwał jednak długo i rozpląnął się w okrzyku. Jaufre poruszał się we mnie, podporządkowując mnie swojej rozkoszy. Nad nami drżał

księżyc w diamentowej poświacie.

Od mojego pierwszego kochanka uczyłam się zuchwałości, a gdy kogut zapiął pod oknem, byłam wyczerpana bezmiarem szczęścia i czułości. Usnęliśmy objęci ramionami i trwaliśmy tak, pijani z rozkoszy, aż do prymy.

Obudził mnie zapach róży ułożonej delikatnie na mojej poduszce. Byłam sama.

Przypomniałam sobie w upojeniu ręce pieszczące moje ciało i poczułam tęsknotę za Jaufrem. Wstałam i przywołałam Camille. Ubrała mnie z filuternym uśmiechem na ustach, nie ośmielając się wszelako wypowiedzieć żadnej uwagi. Byłam pewna, że odgłosy naszej burzliwej nocy dotarły aż do jej posłania, więc ja również poprzestałam na porozumiewawczym mrugnięciu.

- Odpocznij w czasie mojej nieobecności - zaproponowałam, gdy skończyła mnie ubierać.

Zesłam drewnianymi schodami do kuchni, skąd dochodził zapach pieczonej pulardy łechcąc miłe moje nozdrza.

Powiedziano mi, że Jaufre rozstrzygał właśnie jakiś niemiły spór między dwoma wieśniakami. Nie chciałam mu przeszkadzać, postanowiłam więc przejść się po ogrodach zamkowych, które ciągnęły się aż do rzeki. Kołysana szmerem przypląwu, upajałam się oczekiwaniem na Jaufrego i - wspomnieniami minionej nocy. Gdy usłyszałam skrzypienie żwiru pod jego stopami, poczułam pewność, że cokolwiek się zdarzy, należę do niego cała.

Ucałował moje włosy i szepnął tylko:

- Pójdź ze mną.

Kilka chwil później dosiadłam Granoe i pojechałam za nim. Prowadził mnie ku moczarom. I tym razem zachwyciła mnie różnorodność krajobrazów. To miejsce było zupełnie odmienne od tego, które zwiedziłam poprzedniego dnia - żadnych winnic ani pól, tylko wrzosowisko. Setki ptaków, o których istnieniu nie miałam dotąd pojęcia, krzątały się w tym zakątku. Były tu także szczury i dziczące koty.

Okolica obfitowała w zwierzynę wodną, czaple, węgorze, co do których Jaufre mnie zapewniał, że były nie lada przysmakiem. Nigdy nie widziałam tylu zwierząt naraz, uciekających przed końskimi kopytami czy kryjących się w wysokiej trawie albo trzcinnie.

Spotykaliśmy prostych ludzi, zbierających w lesie drewno na opał, i porzucone przez kłusowników martwe zające we wnykach. Jaufre udawał, że tego nie widzi.

Czasami złapany na gorącym uczynku człeczyna błagał o wyrozumiałość i oddawał

złowionego kwiczoła lub grzywacza. Jaufre wchodził wówczas w rolę pana. Karcił

winowajcę ze zmarszczonymi brwiami i zarzekał się, że następnym razem przestępca zostanie obity, ale odmawiał przyjęcia dowodów występku.

Delikwent oddalał się, a w ślad za nim biegła przestroga: „Tym razem daruję ci winę, ale żebym cię więcej na tym nie przyłapał!”.

Oboje wiedzieliśmy, że nie można tu nic zmienić. Jaufre nie zdołał wykorzenić wszystkich niekorzystnych dla siebie obyczajów. Pragnął jednak, by nikt w jego księstwie nie był głodny, a wiedział, że część poddanych żyje z tego, co upoluje lub złowi, nie płacąc mu należnego trybutu. Nie mógł zadowolić wszystkich i uważał za niesprawiedliwe, że są ludzie, którzy nie mają nic, podczas gdy on ma wszystko.

Przymykał więc oczy na te odwieczne praktyki. Moczary dawały mu taką możliwość, zwierzyny było bowiem w bród. Du-

chowni zaś, by pozbyć się kłopotu, odsyłali biednych z kwitkiem. Radzili im zwrócić się ku „stworzeniom, które Wszechmogący umieścił w obfitości na ich drodze”.

Kościół!

Musiałam być obecna na każdym nabożeństwie zarówno w opactwie świętego Zbawiciela, jak i świętego Romaina, choć śmiertelnie się nudziłam podczas tych modlitw do Boga, który - jak zawsze - wprawiał mnie w zakłopotanie. Oczywiście chodziłam na nabożeństwa razem z Alienor, ale tu stało się to dla mnie istną torturą, tak wiele miałam do odkrycia u boku mego ukochanego. Za każdym razem, kiedy miałam schylić głowę, musiałam zadawać sobie gwałt, gdyż właśnie w tej chwili miałam ochotę udać się na poszukiwanie gniazda ptasiego, uwitego na jakiejś kolumnie czy kamiennym posągu świętego. Jaufre modlił się żarliwie, a wtedy -

poruszona do głębi - dotykałam łagodnie jego łokcia opartego na klęczniku, próbując poprzez ten zwykły gest przekazać mu swoją siłę i wiedzę.

Często powtarzał, że swoją muzykę czerpie z tych chwil skupienia, ale wiedziałam, że to nie było tak. Jaufre był istotą wrażliwą. Każde zdarzenie, choćby banalne, przepełniało jego duszę i serce, a on przenosił te uczucia do swych pieśni. Bóg był

tylko pretekstem, aja kochałam Jaufrego za jego talent.

Płakał jak dziecko na sam dźwięk swojej cytry. Jego głos rozbrzmiewał wówczas pieśnią miłości. Zapisywałam słowa tej pieśni, aby mógł je później odtwarzać. Tak powstawały utwory Jaufrego - bez żadnych przygotowań.

Nigdy nie zaznałam takiej pełni szczęścia. Upływające dni napełniały mnie radością i ufnością. Chciałam, żeby to się nigdy nie skończyło.

- Król umarł.

Ta wiadomość ugodziła mnie prosto w serce. Jaufre siedział na brzegu rzeki, tam gdzie dzieci zazwyczaj łowiły krewetki. W zamyśleniu dźgał patykiem wiklinowy kosz, do połowy wypełniony szlamem.

Przyszedł tu, nie znalazłszy go w zamku. Jakieś dziecko pokazało mi drogę. Minął już trzeci tydzień mojego pobytu w Blaye, a ja w ogóle nie myślałam o dalszej podróży.

Nie ruszył się z miejsca, nawet nie podniósł głowy, patrzył niewidzącym wzrokiem.

Gdy usłyszałam nowinę, padłam na trawę.

Trwał właśnie odpływ, który odsłonił łachy na rzece. Nad powierzchnią nagrzanej wody unosiły się opary.

Jaufre machinalnie złamał kijek, który trzymał w ręku. Wypuścił go i ujął

moją dłoń, ściskając ją z siłą tonącego. Poczułam ból, który niespodziewanie przyniósł mi ulgę. Ustąpiło nawet towarzyszące mi od kilku tygodni napięcie.

Trwaliśmy tak, nieruchomo, wpatrując się w horyzont.

- Wyjdź za mnie, Loanno. Odebrałem ci cześć, a tak bardzo cię kocham. Tylko ty jesteś godna tej ziemi. Wyjdź za mnie - jęknął.

Byłam wstrząśnięta. Czułam, jak fala wzruszenia wzbiera w mojej piersi i ciśnie się do gardła, szukając ujścia. Chciałam zatrzymać tę chwilę, przedłużyć teraźniejszość w nieskończoność.

- Muszę wyjechać - szepnęłam, zadając sobie ból. - Ale przysięgam ci, że nikt inny nie zawładnie moim ciałem. Kocham cię, Jaufre de Blaye.

- Będę na ciebie czekał... Będę czekał - powtórzył głosem stłumionym rozpaczą.

W dwa dni później opuściłam to miasto wraz z jego twierdzą, ogrodami i ludźmi, muzyką i cierpieniem. Gdy podążałam rzymską drogą do Poitiers, dzwoniły dzwony kościoła świętego Marcina. Tego dźwięku nie zapomnę nigdy. Dopiero później z moich oczu popłynęły łzy. Był 20 sierpnia 1137 roku.

Alienor została królową Francji.

Hrabia de Chatellerault był człowiekiem dwornym i ujmującym. Powitał mnie wylewnie, tak jak to potrafią tylko ludzie z południa, których coraz bardziej lubiłam.

Miał śpiewną wymowę i łagodny niski głos. Słuchałam z przyjemnością jego opowiastek o tych ziemiach i o przyjaźni, jaka łączyła go z hrabiami z Poitiers.

Jaufre miał rację, gdy radził mi zatrzymać się w Chatellerault, a ja nie żałowałam, że złożyłam wizytę hrabiemu, był to bowiem niezmiernie zajmujący człowiek. Miał

około czterdziestu lat, wijące się, długie do ramion włosy, lekko przyprószone siwizną i związane rzemykiem. Gęstą bro-

dę przetykały srebrne nitki. Postury był nieco przyciężkiej, zapewne zażywał za mało ruchu. Z usposobienia jowialny, jednak w jego oczach błyskały złośliwe ogniki. Posiłek w towarzystwie hrabiego sprawił mi prawdziwą przyjemność.

Podczas podróży moje myśli uparcie krążyły bowiem wokół Jaufrego.

Rozmowa zesłała na dwóch starszych synów hrabiego, którzy pojechali z Alienor do Paryża i w czasie Zielonych Świątek mieli zostać pasowani na rycerzy.

Rozmawialiśmy też o tym korzystnym związku małżeńskim, choć hrabia twierdził, że małżeństwa ludzi z północy z mieszkańcami południa nie są udane, ze względu na różnice obyczajów. Raz po raz rozgrzany opowieścią, hrabia czerwieniał aż po skronie i wydawało się, że pęknie. Podnosił do góry kielich napełniony cierpkim winem i pił wielkimi łykami, z gulgotem, co świetnie umiał naśladować jego najmłodszy syn Teodoryk.

Gdy uprzątnięto ze stołu wety, hrabia wstał zza długiego stołu i zasiadł w fotelu przy kominku, w którym płonęło potężne dębowe polano. Poprosił, żebym spoczęła na wprost niego na ławie, pozostali biesiadnicy rozsiedli się na grubym dywanie, pokrywającym wyłożoną terakotą podłogę. Mały Teodoryk usiadł na kolanach Loriane, żonie hrabiego. Dopiero wtedy pan domu wziął do ręki lirę, której przedtem nie zauważyłam. Podparł ją zręcznie kolanem i jął przebiegać po strunach grubymi palcami. Ciepłym, miłym głosem zaśpiewał starą pieśń o smoku i o rycerzu, który miał czarodziejski miecz. Aby podbić serce ukochanej, po wielu niebezpiecznych przygodach przyniósł jej serce smoka. Potem głos hrabiego przybrał smętny ton; zaintonował pieśń o nieszczęśliwej miłości młodzieńca do dziewczyny, która miała poślubić innego. Ta pieśń poruszyła we mnie wspomnienia niedawnych chwil; poczułam oddech na skórze, usłyszałam szept pełen obietnic, zapach ziemi i wody.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem sama na świecie.

Gdy pieśń zakończyła się delikatnymi akordami, w ciszy, jaka zapadła, dał się słyszeć głos. Wszyscy odwrócili głowy w tamtą stronę:

- Dobry wieczór, ojczy.

Młodzieniec, którego wejście tak nas zaskoczyło, ubrany był w skórzany kaftan, jasne, wijące się włosy opadały lśniącą falą na plecy. Wszystko to nadawało mu dumny wygląd. Miał takie samo czoło i roześmiane oczy jak hrabia. Zdziwiło mnie jego pojawienie się. Czy pan domu nie mówił mi, że dwaj jego synowie towarzyszą Alienor? Hrabia zerwał się jak młodzieniaszek, by ucałować syna i uściskać go mocno.

- Denys! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Jakże się cieszę, mój synu, że cię widzę!

Znów się zdziwiłam. Hrabia nie wymienił tego imienia, gdy chwalił swoich synów.

Dlaczego nie opowiedział mi o nim i co oznaczało to bolesne spojrzenie Loriane, która unikała powitania? Jaka tajemnica kryła się w tym nieznanym o olśniewającej urodzie? Mimo tych wszystkich znaków zapytania nie byłam w stanie odwrócić oczu od jego twarzy o rysach delikatnych i regularnych, zmysłowych ustach. Hrabia odwrócił się do mnie, objął syna i podszedł razem z nim, by dokonać prezentacji. Na mojej twarzy malował się zachwyt, gdyż chłopak uśmiechnął się rozbijająco.

- Panno de Grimwald, pozwól, że przedstawię ci mego syna Denysa.

- Gdybym wiedział, ojczy, że gościsz tu taką zjawiskową piękność, bez wątpienia śpieszyłbym się bardziej - rzucił uwodzicielsko i złożył na mej dłoni pocałunek.

Czułam, że oblałam się rumieńcem. Przez chwilę wpatrywał się w sznurówki mego gorsetu, po czym odwrócił wzrok i podszedł do Loriane. Przywitał się z nią nad wyraz grzecznie:

- Dobry wieczór, matko.

Ale, podobnie jak przed chwilą, Loriane nie zaszczyciła go spojrzeniem. Wydawało mi się, że w oczach hrabiego widzę smutek. Denys jednakże niczego nie zauważył i ucałował ją delikatnie w policzek.

Hrabia wrócił na swoje miejsce i przemówił radosnym głosem:

- A zatem, drogi chłopczy, usiądź i opowiedz nam, skąd przybywasz!

Denys usiadł miękko na dywanie, a Teodoryk, który patrzył na niego pełnymi podziwu oczami, oderwał się od matki, by przytulić się do przybysza. Denys pogłaskał go machinalnie po ciemnych włosach. Chłopczyk westchnął z zadowolenia i jeszcze mocniej przywarł do Denysa. Loriane miała na twarzy wymuszony uśmiech, jej długie białe palce drżały. Po chwili jednak miły głos Denysa przyciągnął uwagę wszystkich obecnych:

- Nasz młody król jest człowiekiem sprawiedliwym, mój ojczy. Gdy dowiedział się, że Orleańczycy utworzyli komuny, chciał ich zatopić

w morzu krwi! Zabolało go szczególnie to, że powstali przeciwko niemu zaledwie kilka tygodni po

jego ślubie i kilka dni po śmierci ojca. A jednak przemógł się i wysłuchał ich żądań. Podkreślił, że zbada zażalenia i będzie czuwał nad tym, by w jego królestwie zapanowała sprawiedliwość. Potem dodał, że jako król zjednoczy poddanych wokół ideału pokoju bożego. „Albowiem - stwierdził - dzięki Bogu króluję i dzięki Niemu rozsądzam. Jego sprawiedliwość będzie moją sprawiedliwością i ktokolwiek ją naruszy, zostanie ukarany”.

- Widziałeś swych braci? - spytał hrabia, zadowolony z opowiadania syna.

- Niestety nie. Nasz dobry król uznał, że rozsądniej będzie wysłać młodą żonę przodem, by nie musiała cierpieć niedogodności wynikłych z buntu. Lionel i Benoit

- razem z ludźmi z południa -towarzyszyli jej aż do Ile de la Cite, gdzie miała ją przyjąć królowa matka Adelajda. Rozmawiałem się z nimi o włos, lecz nie zatrzymywałem się, gdyż wiedziałem, że będziesz czekał na barwniki, które kazałeś mi kupić. Co więcej, ładunek mógł wzbudzić ciekawość jakiegoś złoczyńcy. Odkąd zmarły król Ludwik zabronił sprowadzać je z Wielkiej Brytanii, niebieski barwnik stał się tu rzadkością, a jego ceny podskoczyły. Z całą pewnością obrabowano by mnie, gdyby ktoś się domyślił, co przewożę.

- Ale nikt nie dałby rady cię okraść, bo ty jesteś najsilniejszy! - zapewnił Teodoryk, prostując się dumnie. Biorąc mnie na świadka, dorzucił poważnie: - Gdyby mogła pani zobaczyć, jak sobie poradził w starciu z niegodziwcami, którzy zaczepili Ernestynę! Bił się gołymi rękami, o tak.

Zerwał się jednym skokiem i jał wymierzać ciosy pięścią w wyimaginowanych przeciwników. Denys roześmiał się dźwięcznie, a z jego śmiechu domyśliłam się, że jest równie żywotny jak jego ojciec. Młody wojownik, widząc, że przedstawienie zainteresowało zgromadzonych, rozszalał się na dobre. Hrabia uznał wszelako, że dość tego dobrego, złapał malca za kołnierz i podniósł. Chłopiec wierzgał nogami na wszystkie strony. Roześmialiśmy się zgodnie wesołym śmiechem, którym zresztą zaraziliśmy chłopca. Gdy stanął już na własnych nogach, spojrzał z szacunkiem na ojca.

- Pora na spoczynek, młody człowieku - rzucił hrabia. - Będziesz mógł od samego rana zabawiać panią Loannę, gdyż, ku naszej radości, zamierza tu zabawić kilka dni.

Poczułam się zmęczona, skorzystałam więc z okazji i wstając z miejsca, powiedziałam:

- Udam się do siebie, za pozwoleniem.

- Oczywiście. Odprowadzę panią do pokoju - oświadczyła Lo-riane i także wstała.

Pozegnałyśmy zgromadzenie i skierowałyśmy się do głównych schodów.

Włości hrabiego były olśniewające i nie żałowałam, że zatrzymałam się tu na kilka dni. Choć śpieszno mi było zobaczyć się z Alićnor, nie mogłam jednak przestać myśleć o Jauffcm.

Dostępu do zamku broniła rzeka. Most podnoszono dopiero wieczorem. Po obu jego stronach rozciągało się niewielkie miasteczko, otoczone murem obronnym, jednak od dawna nikt go nie oblegał. Hrabia był człowiekiem usposobionym pokojowo. Od kilku lat nie prowadził już wojen, zaniechał również uwodzenia panien. Było to następstwem rany zadanej mu przez wilka. Stracił

wówczas kawałek uda i część przyrodzenia. Opowiadano, że życie uratowała mu czarownica, która odpędziła zwierzęta i pielęgnowała hrabiego. Od tej pory ochraniał ją i raz na tydzień wysyłał

służącą do lasu, by ustawiła w umówionym miejscu kosz z wiktuałami. Zapewne dlatego tak mnie pociągały lasy. Potrzebowałam też samotności, a gościnność hrabiego mi ją zapewniała. Zbyt żywo czułam obecność Jaufrégo. Hrabia prosił

mnie, bym odesłała eskortę, z którą tu przyjechałam. Zapewnił, że dostarczy mi ludzi godnych zaufania, gdy będę chciała wyruszyć w dalszą drogę. Miałam do niego zaufanie. Jego wierność dla diuków Akwitanii nie była mitem, ponadto był

bardzo przywiązany do swego kuzyna, ojca Aliénor. Czułam się tu bezpieczna i gotowa byłam stawić czoło swemu losowi.

Już od trzech dni krążyłam po ogrodach z Loriane. Była wdzięczną towarzyszką, a ja z przyjemnością pomagałam jej w pracach, do których byłam wdrożona od dziecka.

Nie zobaczyłam już Denysa, który udał się na polowanie z paroma walecznymi korripanami i naganiaczami. Tego ranka miałam tylko jedno życzenie - chciałam się znaleźć w głębi lasu, nazbierać korzonków i ziół, gdyż wiedziałam,

że w Paryżu będą mi potrzebne. Należało zaopatrzyć apteczkę, nadchodziła bowiem zima, a wraz z nią różne choroby. Wobec tego, wyposażona w skórzaną sakwę i sierp, przeszłam przez most zwodzony i znalazłam się na wąskiej ścieżce. W lesie panował przyjemny chłód - choć zbliżał się wrzesień, dni wciąż jeszcze były upalne.

Dłuższą chwilę spędziłam wśród krzaków i mchu, płosząc myszy polne i zające.

Szukałam pod starymi dębami grzybów, które sprzyjają jasnowidzeniu. Gdy sakwa była już pełna, udałam się w stronę zakola rzeki. Miejsce było urocze, poprzez gałęzie leszczyny i olchy widać było zębate wieżyczki zamku. Gdy znalazłam duży, płaski kamień, przysiadłam na nim uszczęśliwiona. Pomyślałam, że Jaufremu spodobałby się ten zakątek. Nagle poczułam, że nogi zaczęły mi dziwnie ciężać.

Wyciągnęłam je przed siebie, skrzyżowałam ręce na karku i oparłam się o pień drzewa, którego gałęzie kołysały się nad moją głową. Rozleniwiona spokojem tego miejsca i słońcem, przymknęłam powieki.

Coś wyrwało mnie z drzemki - miałam dziwne uczucie, że zbliża się niebezpieczeństwo. Serce waliło mi w piersi, siedziałam nieruchomo, a wszystkie moje zmysły były w stanie pogotowia. Wsłuchiwałam się w odgłosy lasu. Co wywołało mój niepokój? Starłam się opanować i zachowywać naturalnie.

Jednocześnie jednak rozglądałam się bacznie. Wciąż miałam niemiłe wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ktoś lub coś. Czy to była czarownica, o której opowiadał hrabia?



Nie, to nie mogła być ona. Ktoś albo coś skryło się za drzewami i chciało wyrządzić mi krzywdę. Odczepiłam od skórzanego paska sierp i ściskając go w garści, wstałam, jak gdyby nigdy nic. Nagle usłyszałam świst. Ostry ból przeszył moje ramię, aż krzyknęłam głośno. Strzała przygwoździła moje ramię do pnia drzewa. Po rękawie kaftana spłynął strumyczek szkarłatnej krwi. Chciałam wyrwać strzałę z ramienia, ale znieruchomiałam na dźwięk okrutnego śmiechu. Odwróciłam głowę.

Zobaczyłam postać rysującą się na tle drzew. Twarzy nie widziałam, była zasłonięta szalem.

Jednym skokiem mężczyzna znalazł się przy mnie i zarechotał:

- Spokojnie, ślicznotko! Mnie pozostaw tę przyjemność.

Szybkim ruchem wyrwał strzałę. Chciałam ugodzić go w twarz sierpem, lecz nie przewidziałam, że napastnik będzie taki zwinny. Uchylił się i zadał mi cios. Na wpół

ogłuszona, upadłam na plecy. Potem poczułam silny ból w karku i straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, pod plecami miałam twardą ziemię. Nie mogłam się ruszyć.

Byłam jak sparaliżowana. W głowie mi huczało. Oczy przesłaniała gęsta mgła, wszystko dokoła było jakby zniekształcone i zamazane. Jednakże zdołałam dostrzec zarysy dwóch postaci i krzyżujące się miecze. Ktoś przybył mi z odsieczą, ale kto?

Nie wiedziałam. Po chwili rozległ się ostry krzyk. Jedna z postaci runęła na kolana, a druga zbliżyła się do mnie. Ostrze miecza ociekało krwią. Przymknęłam oczy i znowu ogarnęła mnie ciemność i dojmujące uczucie, iż jestem tylko igraszką w potężnych rękach losu.

Przysłałam do siebie w zamku Chatellerault, w ślicznym pokoju obitym tapiseriami.

Powiedziano mi, że ocalałam dzięki niesłychanej zręczności Denysa. Gdy wrócił z polowania, dowiedział się, że jestem w lesie. Zaniepokoił się, choć nie wiedział

dlaczego. Zaskoczył napastnika w chwili, gdy ten kładł mnie zemdloną na łódź.

Zdążył przybyć na czas, gdyż usłuchał jakiegoś wewnętrznego głosu. Gdy opowiedział o tym ojcu, ten odparł, że zapewne był to głos czarownicy, która w ten sposób pragnęła się odwdzięczyć za dary. Jeszcze byłam zbyt słaba, więc zadowoliliam się tym wyjaśnieniem, choć wydawało mi się przez chwilę, że słyszę głos mojej matki. Zresztą nie miało to w gruncie rzeczy większego znaczenia.

Ważny był tylko Denys. Od dwóch dni, czyli od chwili wypadku, warował przy mnie jak pies.

Rana na ramieniu nie była niebezpieczna, ale straciłam dużo krwi. Prawdziwą przyczyną utraty przytomności był upadek na skałę, który spowodował pęknięcie czaszki. Długo byłam w malignie, przemawiałam w języku, którego nikt nie rozumiał i którego pochodzenia ja także nie umiałam sobie wytłumaczyć. Mówiono mi, że chwilami opowiadałam o jakichś okropnościach, o potwornych zwierzętach ziejących ogniem i krwią, o ziemiach zalanych przez potężne fale. W chwilę potem zaś wyrzucałam z siebie jakieś niezrozumiałe zdania. Jakież to dziwne ścieżki przemierzałam w tym

wyścigu ze śmiercią, nie umiem powiedzieć. Gdy powtórzono mi to wszystko, przeleżałam się, że zdradziłam swoją misję. Jednakże Denys nie wspominał o tym. Przeżony moją woskową bledością, poszedł do lasu z koszem pełnym wiktuałów dla czarownicy. Podobno błagał ją, by pomogła mnie uleczyć.

Nazajutrz wręczyła mi

naczynie wypełnione ciemnym płynem z poleceniem: „Podać dwa razy: o wschodzie i zachodzie księżycy”.

Tak też uczyniono. Następnego ranka otworzyłam oczy i ze zdziwieniem spojrzałam na otaczające mnie zaniepokojone twarze. Nie mogłam jednak wymówić ani słowa.

Moje ciało było obolałe. Słuchałam tylko opowieści o mojej przygodzie. Jedząc zupełnie, dowiedziałam się, że napastnik uciekł, gdy pojawił się Denys. Obawiając się o moje życie, Denys nie udał się w pogoń za nim, lecz pośpiesznie zaniósł mnie do zamku. Nikt zatem nie wiedział, co się stało z tym człowiekiem. Szukano go potem, ale na próżno. Ślady kopyt końskich na pobliskiej polance kazały domniemywać, że jest już daleko. Ja nie potrafiłam podać żadnego wyjaśnienia. Nie wiedziałam, czego chciał ode mnie ów mężczyzna. Denys zapewnił mnie, że okolice zamku są spokojne i nie grasują tu rozbójnicy. Wszystko to wprawiło mnie w pomieszanie.

Hrabia natomiast przeprosił mnie za to, że nie zawiadomił Jaufrego o wypadku, ufny w umiejętności lecznicze czarownicy. Byłam mu za to wdzięczna. Mój trubadur mógłby się poczuć winny, że mi nie towarzyszył.

Dopiero po tygodniu zdołałam wstać z łóżka. Ramię bardzo mi dokuczało. Głowa pękała z bólu. Przy najmniejszym ruchu miałam wrażenie, że czaszka rozerwie się na kawałki. Denys odwiedzał mnie codziennie. Zostaliśmy przyjaciółmi. Był to młodzieniec wykształcony i miły w obejściu. Starał się mnie rozweselić i zniknął od razu, gdy zauważył, że jestem zmęczona. Hrabia także mnie odwiedzał. Brał moje ręce w swoje ogromne dłonie i powtarzał, jak bardzo jest mu przykro. Na próżno zapewniałam go, że to nie jego wina, ale nic nie pomogło. Biedak nie mógł sobie wybaczyć tego, co mnie spotkało. Poprosiłam więc, by zagrał na lirze i mimo że wszystko mnie wtedy męczyło, jego śpiew ukołysał mnie i ukoił ból. W końcu usnęłam. Loriane jako pani domu poświęcała mi najwięcej czasu, ale zniknęła bez słowa, gdy tylko pojawiał się Denys.

Pewnego dnia, gdy rozmawialiśmy o nowinach, które docierały z dworu królewskiego, zapytałam:

- Jaka to tajemnica nurtuje mieszkańców zamku? Nie moja sprawa, ale przykro mi, gdy widzę, że cierpisz, kiedy jesteś z Loriane.

Usiadł wygodniej w fotelu i westchnął:

- A więc zauważyłaś to, pani...

Kiwnęłam głową, ale nie odważyłam się nic dodać. Uśmiechnął się z prostotą i machnął ręką.

- W gruncie rzeczy nie jest to żadna tajemnica. Loriane nie jest moją matką.

Przyszedłem na świat ze związku mojego ojca ze służącą, w której zakochał się bez pamięci, tak że zdradził żonę. Miałem być potraktowany jak każdy inny bękart, lecz matka umarła, wydając mnie na świat. Mimo błagań Loriane ojciec nie chciał mnie oddać nikomu pod opiekę. Loriane karmiła wówczas Lionela i miała wystarczająco dużo mleka dla nas obu. Ojciec narzucił mnie jej, żądając, abym otrzymał takie samo wykształcenie jak prawowici synowie, choć nie otrzymam w spadku tytułu ani nazwiska. I to wszystko. Jestem naprawdę przywiązany do Loriane, ale ona nie wybaczyła mi tego, że ojciec kochał moją matkę. Nie jest złą kobietą i nigdy nie wy-rządziła mi krzywdy. Jednakże gdy jestem w pobliżu, przypominam jej swoją obecnością, kim jestem. Cierpi z tego powodu i nie może tego przewyciężyć. Tym bardziej że ze wszystkich braci to ja jestem najbardziej podobny do hrabiego.

Wyjeżdżam więc możliwie często, żeby widywała mnie jak najrzadziej. Chciałem razem z braćmi podążyć za królową, ale kim jestem, by żądać dla siebie jakiegoś miejsca na dworze? Oni mnie nie lubią. Dla nich jestem bękartem i w głębi duszy wiem, że gdy ojciec umrze, przepędzą mnie stąd jak psa. Aleja z miłości do niego służyć mu najlepiej, jak potrafię, gdyż to on uczynił mnie tym, kim jestem.

Spoglądał z niewymownym smutkiem, jakby ciążyła mu ta miłość, która go przepelniała i którą mógłby ogarnąć również innych ludzi. Poczulałam czułość do niego. Szepnęłam z przekonaniem:

- Denysie de Chatellerault, nie okażę się niewdzięcznicą, skoro tyle dla mnie zrobiłeś. Proszę, byś pojechał ze mną do Paryża, a obiecuję, że nie będziesz lokajem ani zwierzęciem na pokaz. Królowa jest moją przyjaciółką i zapewniam cię, że twe zasługi zostaną docenione.

Spojrzał na mnie zdumiony, a gdy pojął, że mówię zupełnie poważnie, ujął moją zdrową rękę i w nagłym porywie uniósł ją do ust.

- W takim razie wiedz, pani, że nigdy nie będziesz miała wierniejszego sługi.

Roześmiałam się wesoło.

- Zawdzięczam ci życie. Twoja przyjaźń będzie dla mnie cennym darem, Denysie.

- Obyś zdołała pojąć - szepnęłam, wstając z miejsca - jak bardzo cię kocham.

I pozostawiając mnie zdumioną tym wyznaniem, wyszedł.

Nazajutrz wyszłam na pierwszy spacer po ogrodzie i nie spotkałam Denysa. Znowu wyruszył na polowanie na wilki. Byłam pewna, że po tym wyznaniu trudno byłoby mu spotkać się ze mną. A może obawiał się, że zmienię zdanie? To nie było moim zwyczajem, tym bardziej że naprawdę go polubiłam. I to nie dlatego, że uratował mi życie. Odnosiłam wrażenie, że znam go od dawna. Jak Jaufrego. Jednakże - co dziwne - nie trapiły mnie żadne wyrzuty. To uczucie było zupełnie inne niż więź

łącząca mnie z Jaufrem. Brakowało mi niezmiernie mojego trubadura. Ale nie mogłam zaprzeczyć, że

to właśnie uczyniło mnie bezbronną. Wciąż o nim rozmyślałam i dlatego nie zdołałam przeczuć niebezpieczeństwa. Tak się w nim rozmiłowałam, że przestałam być sobą. Nie miałam jednak do tego prawa.

Przybyłam do Akwitanii w jednym tylko celu i choć bieg wydarzeń zmuszał mnie do powściągliwości, ten cel pozostawał najważniejszy. Chciałam przez krótką chwilę pomarzyć, że jestem taką samą kobietą jak inne, lecz musiałam wypełnić swoją misję. Nie wolno mi było zboczyć z obranej drogi ani z powodu Jaufrego, ani nikogo innego. Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało. Tylko wówczas zdołam przyczynić się do zwycięstwa Anglii.

Gdy w trzy dni później Denys wrócił, oznajmiłam, że czuję się gotowa do dalszej podróży i tylko czekam na niego. Hrabia ucieszył się, gdy się dowiedział, że zaproteguję jego syna u królowej, a Loriane spojrzała na mnie z wdzięcznością.

Chociaż nigdy z nią o tym nie rozmawiałam, domyśliła się, że wiem o wszystkim i po prostu ulżyłam jej cierpieniu. Denys miał słuszość. Nie była złym człowiekiem.

Czy można było mieć jej za złe, że kochała swego męża i że cierpiała z powodu jego miłości do innej kobiety, a ta miłość sprawiła, że wolał syna, którego dała mu służąca, od synów Loriane? Po trzech tygodniach opuszczałam Chatellerault, mimo że bolała mnie jeszcze głowa i ręka. Jechał ze mną Denys na czele silnej, uzbrojonej eskorty.

Alienor przybyła do Paryża w połowie września 1137 roku, wyczerpana podróżą.

Upał zmęczył też jej eskortę, zatem przedłużano postoje, począwszy od Orleanu, gdzie rozstała się z Ludwikiem. Król zajęty był bowiem poskramianiem zbuntowanych poddanych. Damy dworu narzekały nieustannie. Chciały jak najszybciej dotrzeć do Ile de la Cité i bawić się, tak jak w Bordeaux. Alienor jechała z głową dumnie podniesioną, gdyż nie chciała pokazać po sobie, jak bardzo pragnie tego samego, co one. Pierwsza część podróży upłynęła szybko, bo mąż nadskakiwał

jej, zalecał się do niej, a także czerwienił się pod wpływem jej zuchwałości. Był

uprzejmy i zrećnie cytował teksty łacińskie. Ale odkąd zmusił ją do samotnej podróży, liczyła dni, jakie upłynęły od rozstania. Dałaby teraz wszystko za to, by cwałować do swego królestwa co koń wyskoczy.

Gdy zobaczyła Sekwanę obejmującą ramionami Ile de la Cité, ogarnęła ją dziecięca radość. Nareszcie będzie mogła dać upust swemu temperamentowi. Teraz będzie mogła objąć tę ziemię w posiadanie.

Nie wzięła wszakże pod uwagę matki Ludwika - Adelajdy Sabaudzkiej, która przyjęła ją chłodno, z kamienną twarzą. Alienor poczuła, że jej entuzjazm słabnie.

Królowa matka uszczypliwie skomentowała barwny strój synowej.

- Moja droga, na dworze francuskim czegoś takiego się nie nosi. Taki krzykliwy przepych jest w złym guście. Od jutra twoja garderoba, jak również szaty twoich dworów zostaną zmienione. Nie możemy

robić z siebie widowiska!

- Tak, matko - odparła Alienor, robiąc dobrą minę do złej gry. Nie знаła obyczajów panujących na dworze. Owszem, słyszała,

że są surowe, ale sądziła, że będzie mogła je złagodzić. Ludwik przebywał wciąż w Orleanie, a ona była tu cudzoziemką. Mimo niechęci, a nawet nienawiści do Adelajdy, Alienor musiała jej usłuchać. Podporządkowała się zatem, mówiąc sobie, że skoro udało się jej uniknąć kornetu zakonnicy, powinna okazać cierpliwość.

Na drugi dzień po przyjeździe odłożyła do kufra wyszywane złotem i srebrem szaty, zdobione koronką i drogimi kamieniami, i odtąd przywdziewała ponure suknie w kolorze beżowym, białym albo jasnoniebieskim.

Niestety życie w dawnej Lutecji było śmiertelnie nudne, a lamenty dworek podsycaly jej rozpacz. Adelajda Sabaudzka nie spuszczała synowej z oka ani na chwilę. Alienor musiała więc tkać, cerować, haftować na kanwie, odwiedzać przytułki i myć stopy ubogim; zapuściła się nawet do leprozorium, znajdującego się na jednej z wysp na Sekwanie. Zniosła tam świeże owoce nieszczęśnikom, których okaleczone ciała i twarze wyzierające zza okratowanych okien śniły jej się potem po nocach.

Opat Suger natomiast nie tylko nie darzył młodej królowej sympatią, jak sobie wyobrażała, ale w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Przedstawił jej jedynie listę zakazów. Pozwolono Alienor czytać Cyserona i Platona w przerwie między lekturą dzieł ojców Kościoła, ale musiała się pożegnać z Plautem, Owidiuszem i Juwenalem oraz Sta-cjuszem, w których się rozczytywano w Akwitanii. W Paryżu ich dzieła były na liście ksiąg zakazanych.

Suger potępił też zaloty oraz śpiew trubadurów. Wolno było tylko o tym pomarzyć.

Truwerów i akrobatów zapraszano jedynie z okazji świąt kościelnych i innych wielkich uroczystości. Od czasu do czasu trafił na dwór jakiś truwer, który wykonywał smętne pieśni albo takie, które Alienor wielokrotnie już słyszała, choć niezbyt dobrze rozumiała język, w którym śpiewali. < Na domiar złego Paryż cuchnął! Nie można było otworzyć okien, gdyż natychmiast do pokoju wlewał się smród kału, uryny, zjełczałego tłuszczu i rozkładających się rybich odpadków, przyprawiający o zawrót głowy. Gdybyż jednak chodziło tylko o powietrze! Pałac królewski był stary i zimny, co więcej - zwyczajnie brudny, w każ-

dym kącie można się było natknąć na ludzkie ekskrementy.

Alienor uciekała z tego miejsca, gdy tylko mogła, lecz miasto przedstawiało niewiele miłszy widok. Ulica Błotnista, ulica Gówniana, ulica Szczurza - takie nazwy wypisano na tabliczkach przytwierdzonych na rogach ulic. Mury domów były ochlapane błotem, gdyż ulice były bardzo wąskie. Rozmyślała ze smutkiem o ukwieconych oknach w Bordeaux i Poitiers, o drewnianych balustradkach, z których zwieszały się gałęzie wiciokrzewu, jaśminu. Na barwnych chorągiewkach widniały miłsze nazwy niż tutaj. Była więc ulica Kamieniołomów, ulica Pralnicza, ulica Śliczna...

Jakże to było daleko stąd!

Pocieszała ją jedynie myśl, że w Paryżu znajdował się najwspanialszy uniwersytet, na którym wykładał sławny niegdyś Abelard. Już w dzieciństwie słyszała o smutnych dziejach tego profesora, propagującego nowe idee, ścierającego się z Bernardem z Clairvaux, a nawet z papieżem. Jego dzieła spalono, a jednak nawet po śmierci jego nazwisko przyciągało tłumy studentów. Żyła jeszcze Heloiza, teraz już stara kobieta, którą Abelard kochał i dlatego został wykastrowany. Przebywała w klasztorze Parakleta. Alienor nie wierzyła w to, że Abelard cieszył się taką popularnością jedynie z powodu owej potępionej miłości. Obiecywała sobie, że spotka się z jego uczniami, i za każdym razem, gdy przechodziła obok kościoła świętej Genowefy, gdzie wykładano jego doktrynę, starała się podsłuchać urywki rozmów. Adelajda Sabaudzka z pewnością by tego nie pochwaliła.

Alienor hamowała się do czasu przybycia Ludwika, co nastąpiło w dwa tygodnie później. Już po kilku dniach pojęła, że jej mąż jest królem jedynie z nazwy.

Władzę podzielili między sobą Suger, Adelajda Sabaudzka, wspierana przez Raula de Crecy'ego, hrabiego de Vermandois i doradcę zmarłego króla. Ludwik -

niedoświadczony, młody i wrażliwy, miotał się między matką a spowiednikiem i dawał sobą powodować. Jednakże Alienor nie po to pożegnała wesołą Akwitanię i wszystko, co kochała, aby być marionetką! Nie mogła znieść tego, że Adelajda Sabaudzka rządziła wszystkimi. Co się zaś tyczy Sugera - to powinien pozostać tym, kim był: opatem Saint-Denis.

Alienor była zła, bo stała na uboczu, bo zaniedbywał ją mąż, który znowu spędzał więcej czasu na modlitwach niż z nią. Wreszcie nie wytrzymała.

Pewnego ranka pojawiła się demonstracyjnie ubrana we wspaniałą szatę w kolorze bordo, przetykaną srebrną nicią. Na włosach miała stroik z pereł. Skandal wybuchł

przed dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do gabinetu ministrów. Zostali zwołani przez Ludwika i Sugera na naradę w sprawach polityki wobec wasali Alienor. Obawiali się, że Akwitania padnie ofiarą królestwa Francji i utraci niezależność.

Strażnicy pilnujący wejścia zakazali wstępu młodej żonie króla, krzyżując włócznie przed drzwiami z rzeźbionymi kwiatami lili. Alienor chwyciła szpice gołymi rękami i rozsunęła je, złorzecząc tym,

którzy ośmielili się stawić opór królowej. Zgromadzeni w sali obrad usłyszeli hałas i na chwilę przerwali debatę nad rozłożoną na stole mapą. Suger pobiegł w stronę drzwi i omal się nie przewrócił, uderzony skrzydłami drzwi, które Alienor otworzyła z rozmachem. Opat z dezaprobatą potrząsnął głową.

Młoda kobieta nie zwróciła na to uwagi. Bez słowa minęła Sugera i szeleszcząc suknią, podeszła do ministrów, pochylonych w wymuszonym ukłonie. Ludwik był

blady, przerażonym wzrokiem spojrział na Sugera, jak gdyby szukając w nim oparcia. Wszelako bezskutecznie - Alienor popatrzyła na niego zuchwale, po czym rzekła wyniośle:

- Panowie, kontynuujmy debatę. Nie odpowiadają mi obłudne miny, księżę opacie...

Przemawiała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Po czterogodzinnym zebraniu Suger musiał przyznać, że tej małej nie brak ani wyobraźni, ani rozsądku. Wypowiedziała też kilka przenikliwych uwag w sprawie, która leżała jej na sercu, a niektóre z jej rad mile go zaskoczyły. On sam nie potrafiłby lepiej tego sformułować. Alienor uczyła się szybko, trzeba zatem pozyskać ją jako sprzymierzeńca. Nie będzie to jednak łatwe. Najpierw ją skarcił. Powiedział, że takie zachowanie nie spodoba się królowej matce, której niezmiernie rzadko wolno było uczestniczyć w naradach, i inicjatywa synowej zostanie przez nią źle przyjęta. Alienor powinna skromnie czekać, aż zostanie zaproszona. Jej udział w dzisiejszej debacie był sprzeczny z obyczajami panującymi w Ile-de France.

Alienor obstawała przy swoim. W Akwitani nie odsuwano kobiet od polityki. Ale skoro tak, pozostawiła sobie prawo do sprawowania rządów nad swoją prowincją i rozstrzygania sporów z wasalami. Była królową Francji, ale też księżniczką Akwitani. Nie miała zamiaru przystosowywać się do warunków pałacowych. Pałac należy gruntownie posprzątać, odświeżyć i codziennie przystrajać świeżymi kwiatami. Trubadurzy, zonglerzy, tancerze i facecjoniści mieli tu zawsze znajdować gościnę. Alienor była uosobieniem życia i chciała żyć.

Wstrząśnięty wojowniczą postawą małżonki, Ludwik wycofał się do Saint-Denis i modlił się przy grobie ojca. Nie wiedział, co czynić, gdyż z przerażeniem stwierdził, że nie rozumie swojej żony, jej niestałe i kapryśne usposobienie przejmuje go zgrozą. Postanowił

zblizać się do Alienor tylko wtedy, gdy rozpalone zmysły nie pozwolą mu skupić się na modlitwie. Oczywiście nie zgasiło to zapału młodej królowej, spragnionej władzy. Wręcz przeciwnie.

Rozzłoszczony opat Suger zgniół pergamin, który trzymał w dłoni. Stefan z Blois chciał czegoś więcej - całkowitego poparcia króla Francji w działaniach wymierzonych przeciwko Andegawczykom. Przed kilkoma tygodniami szpiedzy króla Anglii przechwycili przesłany z Angers list zaadresowany do Loanny de Grimwald. Sens jego był jasny: żądano od niej większej czujności wobec Alienor na dworze króla Francji. Stefan z Blois przeląkł się nie na żarty. Zauszniczka u boku Alienor! Suger uspokoił go, ale zaczął pogardzać tym człowiekiem. Czy jakakolwiek kobieta może przeszkodzić w realizacji ich projektów?! Wszelako nie był nieroztropny i zwiększył środki ostrożności. Będzie lepiej, jeśli ta pannica nigdy nie wróci. Nie brakowało klasztorów, w których pilnowano by jej należycie, a gdyby to zdołało uspokoić tego prostackiego osobnika, tym lepiej.

Dowiedziawszy się przez swoich szpiegów, że Loanna znajduje się w Chatellerault, kazał podstępnemu Anzelmowi ją porwać. Od śmierci księcia Akwitani, do której tak zrećnie doprowadził, Anzelm dzielił swe talenty między Stefana z Blois i opata Saint-Denis. Tym razem jednak Anzelm wrócił na chwiejnych nogach, z paskudną raną zadaną mieczem. Co więcej, uszedł z życiem dlatego, że obrońca panny bardziej niż nim interesował się właśnie nią. Suger nie mógł przygotować jeszcze jednego zamachu. Trzeba było znaleźć jakieś inne wyjście. Bóg sprawił, że szczęście się doń uśmiechnęło.

Z zamyślenia wyrwało go lekkie kasznięcie. Opat obejrzał się. Stała przed nim młodzianka niewinna dziewczyna, śliczna jak róża, w jasnozielonej sukni.

Pochylona we wdzięcznym ukłonie, spoglądała na niego szarobłękitnymi szczerymi oczami.

- Wstań, moje dziecko. Jestem szczęśliwy, że przyjechałaś. Bardzo się zmieniłaś, odkąd cię ostatnio widziałem. Czy twój wujaszek jeszcze sporządza tę wspaniałą nalewkę orzechową, której sekret tylko on posiadał?

- Prosił mnie, abym ci, panie, przekazała buteleczkę nalewki wraz z wyrazami przyjaźni i podziękowaniem za życzliwość.

- Kochany chłopak! Nigdy nie kosztowałem lepszego trunku. Usiądź tu, moja droga, daj mi ten skarb i cieszmy się z naszego spotkania.

Béatrice de Campan wyjęła szklaną buteleczkę z niewielkiej jedwabnej sakwy i podeszła do niskiego kredensu. Z wdziękiem wydobyła zeń dwa srebrne kieliszki i napełniła je. Następnie podała jeden z nich Sugerowi, uśmiechając się z prostotą.

- Widzę - zawołał - że nie zapomniałaś naszego ostatniego spotkania! Niechaj Bóg cię strzeże, moje dziecko.

Jednym haustem wypili eliksir sporządzony przez wuja. Baron de Campan już dawno temu nauczył swą siostrzenicę tej sztuki. Zarumieniła się od tego mocnego alkoholu, poczuła przypływ energii. Suger roześmiał się szeroko. Béatrice otarła sobie usta dłonią.

- No cóż, jesteś nieodrodną córką swego ojca, moja panno! A teraz opowiadaj.

Wskazał jej wyplatany fotel stojący naprzeciwko.

- Cóż mogę ci powiedzieć, ojcze, prócz tego, że cieszę się z pobytu w Paryżu.

Płakałam z radości, gdy się dowiedziałam, że wzywasz mnie do siebie, aby zapewnić mi edukację. Już tyle dla mnie uczyniłeś, biorąc mnie pod opiekę po śmierci moich rodziców.

- To nic wielkiego, zważywszy, jak bardzo byłem przywiązany do twojej matki. Moi rodzice byli na służbie u jej rodziców, wychowywaliśmy się razem, nie zapominaj o tym! Jakże mógłbym cię opuścić po tej tragedii, która uczyniła cię sierotą bez grosza? Twój wuj nie miał wielkiego majątku i nie mógł zapewnić ci edukacji, na jaką zasługujesz i jakiej pragnęła dla ciebie twoja matka.

- Oczywiście, jednak wypełnił on swoją miłością pustkę po śmierci rodziców. I sądzę, że nigdzie nie miałabym szczęśliwszego dzieciństwa. Dzięki tobie, ojcze.

Suger wcisnął się mocniej w fotel, trzymając pustą szklanekę osłabłą dłonią. Nie mógł oderwać oczu od swej protegowanej.

Miała zaledwie sześć lat, gdy spłonął zamek w Sainte-Marie. Oboje rodzice zginęli, uduszeni dymem. Płomienie odcięły im drogę, gdy drewniana konstrukcja w jednej chwili zajęła się ogniem. Béatrice przebywała wówczas u wuja w Campan. Wuj był



niebogatym baronem, wielce wykształconym, który uczył ją łaciny. Miał też oswojoną łasicę, z którą Béatrice ogromnie lubiła się bawić. Pozostała potem w jego dobrach.

Na pamiątkę swego ubożego, lecz szczęśliwego dzieciństwa Suger wyposażył

dziewczynkę i zażądał, by otrzymała najlepszą edukację. Nie przypuszczał, że mała tak wypięknije. Ponadto była zręczna i przebiegła. Umiała uzyskać wszystko, wykorzystując bezwstydnie swoją sytuację. Potrafiła uciec się nawet do szantażu, żeby osiągnąć cel.

Widząc, że Béatrice przygląda mu się na poły z rozbawieniem, na poły ze zdziwieniem, oderwał się od wspomnień i stukając palcami w oparcie fotela zapytał:

- Czy chciałabyś pozostać na dworze królewskim? Dziewczynie zaświeciły się oczy.

Przytaknęła. Suger ciągnął dalej:

- Byłem pewien. Powiedziałem o tobie królowej, która jest od ciebie tylko o dwa lata młodsza i nudzi się, gdyż nie może znaleźć nikogo równego sobie. Myślę, że byłabyś odpowiednią dla niej towarzyszką.

Béatrice najwyraźniej bardzo odpowiadała ta rola. Dodała porozumiewawczo:

- Rozumie się samo przez się, drogi ojcze, że przebywając w pobliżu królowej, będę mogła przekazywać ci wszystkie ploteczki krążące na dworze, tak interesujące dla najważniejszych osób w królestwie...

- Byłem pewien, moje kochane dziecko, że domyślisz się, jak doniosła jest to misja.

- Suger kiwnął głową z wdzięcznością.

Następnie podając jej swoją szklanekę, ciągnął dalej:

- Nalej jeszcze po łyżeczku, zanim powiem ci, jakie będą cię obowiązywać zwyczaje w nowym życiu.

Niebawem Béatrice de Campan została przedstawiona Aliénor jako protegowana barona z jej rodzinnej Akwitanii. Młoda królowa skakała z radości. Od dawna ciekawa była Pirenejów położonych na przeciwległym krańcu jej królestwa!

Powierzchność Béatrice odpowiadała jej wyobrażeniom o tej południowej krainie. Dziewczyna miała bowiem cerę ozłoconą słońcem i twarzyczkę, która niejednego kawalera mogła przyprawić o zawrót głowy. Suger zesłał jej anioła, choć zapewne nie taki przyświecał mu cel.

„Anioł” bardzo szybko znalazł się w samym środku życia dworskiego. Béatrice zdobyła nawet sympatię hrabiny d'Angoulême,

która nienawidziła wszystkich. Ta pozbawiona wdzięku jędza kochała tylko samą siebie i była zawistna. Béatrice postanowiła zatem ją obłaskawić, by w razie potrzeby posłużyć się nią.

Postępowała tak zręcznie, że bez trudu osiągnęła swój cel.

Jej niewinna minka sprawiała, że nikt nie miał się przed nią na baczności. Co więcej, wyglądała na osobę, którą należy się zaopiekować. Aliénor upodobała ją sobie, choć uważała Béatrice za zbyt pobożną i pruderyjną. Pozbawiona pieśczoć od czasu mego wyjazdu, a ze strony Ludwika skazana tylko na brutalne, podszyte poczuciem winy zniewolenie, czuła się niezaspokojona. Byłaby zatem rada, gdyby udało się jej skłonić nową przyjaciółkę do bardziej poufałych igraszek. Nie było to łatwe.

Béatrice nie pociągały kobiety. W obecności Ludwika drżała i bełkotała z zakłopotania, co oznaczało, że nie był jej obojętny Ludwika ujął słodki wyraz twarzy Béatrice, złocistoblonde włosy, otaczające jej głowę niczym aureola, i iście królewskie wykształcenie. Z tą panną można było porozmawiać na każdy temat.

Aliénor nie była zazdrosna o młodziutką dworkę. Kochała Ludwika, ale... ich namiętność trwała do chwili jej wkroczenia do gabinetu ministrów. Udawało się jej jeszcze uzyskać od niego to, czego pragnęła. Oczywiście Ludwik także ją kochał, pożądał jej i nie mógł się obejść bez jej pieśczoć, lecz zaraz opuszczał łóżko, by modlić się w kaplicy. Aliénor pytała go, czemu ich uściski nie są bardziej czułe, takie jak po ślubie. Ludwik odpowiedział wymijająco, że problemy królestwa zakłócają mu sen, że potrzebuje samotności i skupienia. Spała, gdy wracał, a rano ciepła poduszka obok świadczyła o tym, że leżał przy niej w nocy. Co gorsza, zauważyła na jego ramionach i łopatkach krwawe ślady. Krążyły pogłoski, że Ludwik się biczuje, żeby ukarać siebie samego za rozkosz, jaką dawało mu jej ciało.

Aliénor nie wiedziała, co o tym myśleć.

Od trzech tygodni Béatrice należała do najbliższego otoczenia Aliénor. Młoda królowa nie myślała już o polityce. Odsunięcie Adelajdy Sabaudzkiej całkowicie zaspokoilo jej dumę. Aliénor była teraz zajęta przyozdabianiem swych apartamentów, haftowaniem gobelinów i zwiedzaniem z nową przyjaciółką miasta, którego dotąd nie miała ochoty poznać.

Był październik 1137 roku i nastały pierwsze chłody. Po ulewnych deszczach ulice Cité tonęły w głębokich kałużach. Sekwana przybra-

ła srebrzystą barwę, ale ponieważ było zimno, nie wydzielala już odrażających woni, jak wtedy, gdy Alienor po raz pierwszy przeszła przez most Grand Chatelet, który zawdzięczał swoją nazwę fortecy, wznoszącej się na jednym z jego krańców.

Odkąd Beatrice stale znajdowała się przy niej, Alienor lubila wyprawy na Montmartre. Kończono tam budowę kaplicy, otoczonej jesionami i kasztanowcami.

Obie kobiety, ciepło ubrane, w towarzystwie całej świty, przychodziły tu przyglądać się temu wspaniałemu widowisku. Widać stąd było dolinę Chaillot i krajobraz poprzecinany winnicami. Można też było śledzić zakola rzeki, ginącej wśród zielonych wysepek. Na brzegu rzeki otoczone lasami wznosiły się wioski i dzwonnice kościołów.

Opat Suger tymczasem zacierał ręce. Jego podstęp zmierzający do odsunięcia królowej od polityki poskutkował bardziej, niż się spodziewał. Nie było dnia, żeby Beatrice de Campan nie zdawała mu w najdrobniejszych szczegółach sprawy z tego, co robiła i mówiła królowa. Adelajda Sabaudzka ze swej strony hołubiła myśl o zemście, wspierana przez Raula de Crecy'ego, hrabiego de Vermandois. Raul był

mężczyzną o miłej twarzy i zręcznej sylwetce. Za żonę miał szpetną rudą tyczkę o wylupiastych rybich oczach, którą mógł zaspokajać wyłącznie przy zgaszonych świecach. Nic zatem dziwnego, że uwodził damy dworu, które - często nieszczęśliwe w małżeństwie -znajdowały upodobanie w tym miłym kochanku.

Złościło to wuja jego ślubnej żony. Tybald z Blois, hrabia Szampanii i kawaler zakonu templariuszy dążył bowiem do zagarnięcia stanowiska doradcy kró-

lewskiego, które piastował Raul de Crecy.

Suger uznał sytuację za delikatną, mimo to zostawił mu wolną rękę. Tak długo, jak wszyscy ci ludzie byli zajęci swoim sporami, Ludwik łatwiej dawał sobą powodować i bez szemrania słuchał jego rad. Dla młodego króla tylko Bóg był

sprawą wartą obrony, szczerze więc obdarowywał zakon ziemiami i budynkami w Paryżu i na jego przedmieściach. Milicja Chrystusowa nabierała coraz większego znaczenia, a wraz z nią Suger. A on niczego bardziej nie pragnął niż działania na rzecz własnej chwały.

W tej oto dziwnej atmosferze znalazłam się pewnego dnia w Paryżu. Przybyłam tu wraz z Denysem i należytą eskortą.

W krętych uliczkach słyhać było skrzypienie łańcuchów, na których umocowane były szyldy tawern i sklepów. Ulewny deszcz sprawił, że czarne błoto przyklejało się do końskich kopyt. Zła pogoda, która już od dziesięciu dni zmuszała nas do częstych przerw w podróży, najwyraźniej tu rozszalała się na dobre.

Denys i ja nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, odkąd minęliśmy Chartres, gdyż burza uniemożliwiała wszelką wymianę zdań. Skórzane skrzydła powozu unosiły się w podmuchach wiatru, a wtedy na nasze kapelusze spadały grube krople deszczu. Oślepienie wodą spływającą z nieba i potykające się w koleinach konie poruszały się powoli, mimo energicznych nawoływań przemoczonego do suchej nitki woźnicy. Denys nalegał, abyśmy przedłużyli ostatni postój, lecz ja byłam coraz bardziej niespokojna. Od czasu gdy mnie napadnięto, ciągle rozmyślałam o tym, że zapewne chciano przez to odsunąć mnie od Alienor. Zbyt długo zwlekałam z odjazdem. Psia pogoda. Byłam przemarznięta. Denys od czasu do czasu zerkał na mnie ze współczuciem, ale ja uśmiechałam się dzielnie w odpowiedzi. Nie pojmował

mojego uporu; przyzwyczajony był raczej do dziewcząt, które zamykają się w pokoju, gdy usłyszą uderzenie pioruna.

- Z całym szacunkiem, ale jesteś najbardziej upartą i lekkomyślną osobką, jaką znam

- rzucił.

Uwaga ta zamiast rozgniewać rozśmieszyła mnie.

- Zapewne nie znasz, panie, królowej Francji!

Dodałam jeszcze, iż w odpowiednim czasie dowie się, jakie były przyczyny mego pośpiechu.

- Pewna dama prosi o przyjęcie. Ona... ona jest bardzo brudna, Wasza Królewska Mość.

Alienor właśnie rzuciła kości i po raz kolejny przegrała z Beatrice. Zapalono pochodnie, gdyż z powodu burzy zapanowały ciemności. W pokoju, w którym królowa spędzała całe dnie z przyjaciółkami, rozpalono w kominku. Tego dnia grano w kości w małych grupkach. Król był chory, od dwóch dni miał gorączkę i kaszlał. Jego stan nie budził niepokoju, ale musiał leżeć w łóżku, a pałacowy medyk zabronił odwiedzać chorego.

Alienor spojrzała na pазia, zastanawiając się, czy z niej nie kpi. Co mogła robić w pałacu obdarta kobieta? Dlaczego pozwolono jej wejść? Zapytała z rozdrażnieniem w głosie:

- Czego chce od nas ten kopciuch?

- Złożyć pokłon temu płonącemu ogniowi!

Nie spodziewałam się, że zostanę zaproszona, chciałam więc od razu na wstępie zaznaczyć swoje terytorium. Denys nieśmiało podążał za mną. Trzeba podkreślić, że ubłocone stroje nie zachęcały do kontaktu z nami. Nad stolikami do gry rozległ się szmer. Niektóre ze zgromadzonych tu osób spodziewały się, że zginęłam, inni zastanawiali się, kim jestem.

Paź odsunął się, drżąc od stóp do głów, gdyż obawiał się skandalu. Alienor poznała mnie po głosie. Zerwała się jednym skokiem, przewróciła stolik, o mało nie zrzuciwszy na kolana Beatrice planszy do gry. Wykrzykiwała raz po raz moje imię i nie dbając o mój wygląd, uścisnęła mnie mocno w obecności osłupiałych dworzan.

Było mi miło, że tak się ucieszyła. A więc nie zapomniała o mnie. Rzuciłam ze śmiechem:

- Wasza Królewska Mość powinna uważać, jestem brudna i mokra.

- Nie obchodzi mnie twój wygląd, droga przyjaciółko. Jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś.

Odsunęła się, by lepiej mi się przyjrzeć. Przez wzgląd na zgromadzonych pochyliłam się w głębokim pokłonie. Podniosła mnie.

- To dziś niepotrzebne, Loanno de Grimwald.

Klasnęła w dłonie, a wtedy paź, który mnie tu wprowadził, już uspokojony, podszedł bliżej.

- Każ odprowadzić pannę de Grimwald do pokoju i przynieś jej kufry by mogła się przebrać. Trzeba

też rozpalić ogień i wezwać moją pokojową Bernice. Jeszcze tu jesteś? Znikaj!

- Chwileczkę, Wasza Królewska Mość. Twa dobroć wzrusza mnie niezmiernie, lecz nie przybyłam tu sama. Oto Denys de Chatellerault, który zręczością i szpadą uratował mi życie. Jestem wobec niego zobowiązana przed Bogiem. Mam czelność mieć nadzieję, że Wasza Królewska Mość znajdzie sposób na wykorzystanie jego umiejętności.

Alienor przyjrzała się Denysowi. Drgnęła, gdy zaczęłam mówić, i odsunęłam się na bok, by pokazać swego protegowanego równie ubłoconego jak ja, ale nie była zaniepokojona. Liczyło się to, że wróciłam do niej.

Denys przykląkł na jedno kolano, w jednej ręce trzymał kapelusz, drugą odsunął połę płaszcza i położył dłoń na rzeźbionej główce miecza.

- Wstań, panie de Châtellerault. Możesz być pewien mojej wdzięczności za ten gest.

Zostaniesz odprowadzony przed oblicze pana de Crécy'ego, który zaopiekuje się tobą. Odejdźcie teraz obydwójce. Wasze stroje nie przystoją w pałacu. Obecne tu panienki już odczuwają mdłości - dodała Aliénor, rozbawiona obrzydzeniem malującym się na twarzach dworek.

Wymieniłyśmy porozumiewawcze uśmiechy, a potem, godnie wyprostowana, podążyłam za paziem. Szedł też ze mną Denys, na którym najwyraźniej ogromne wrażenie zrobiła dumna uroda młodej królowej.

Nie miałam serca nękać Camille równie ubłoconej jak my, więc pozwoliłam jej odpocząć w antyszambrach, a sama oddałam się w ręce Bernice. Była to drobna osóbką, pochodząca z Burgundii, niewiele starsza ode mnie, o nieładnej, lecz roześmianej buzi. Opowiedziałam jej o moim pobycie w Blaye, wiedząc, że jej rodzina pochodzi z tamtych stron. Bernice wzruszyła się do łez. Nie lubiła Ile de la Cité, nie mogła przywyknąć do smutku panującego w starym mieście. Moja opowieść wzbudziła jej zaufanie, więc zaczęła mi się zwierzać z tego, co stanowiło życie codzienne jej pani podczas mojej nieobecności. To, co usłyszałam, początkowo mnie uspokoiło, jednak potem usłyszałam o Béatrice de Campan.

Bernice uważała, że to wspaniała osoba i że królowa też tak myśli, i że pannę d'Angoulême bardzo rozśmieszały jej dowcipy i...

Wprawiło mnie to w rozdrażnienie. Miałam powody się śpieszyć. Napotkałam spojrzenie Béatrice, gdy Aliénor mnie objęła, i od razu wyczułam zagrożenie.

Musiałam tylko się dowiedzieć, czy rzeczona panna zastąpiła mnie pod każdym względem.

Odpowiedź uzyskałam już wkrótce. Drzwi do mego pokoju otworzyły się w chwili, gdy miałam zejść na dół. Aliénor odprawiła Bernice.

Nie pozwoliła mi nawet rozpocząć rozmowy. Rzuciła się na mnie jak lwica. Ścisnęła mnie mocno, do utraty tchu, a ukoła się dopiero parę godzin później, gdy już dzwonili na nonę. Aliénor brakowało miłości. A mnie brakowało Aliénor.

Dopiero potem nastąpiły wymówki. Porzuciłam ją, zostawiłam bez wieści, miała do mnie żal, że spędzałam miło czas, podczas gdy jej było tak trudno tu się odnaleźć.

Na szczęście była Beatrice, taka szlachetna i taka wrażliwa, wykształcona, czarująca i...

Przerwałam tę odę na jej cześć. Alienor leżała przytulona do mego ramienia, jej prawa noga spoczywała niedbale na moim brzuchu.

- Dość tego! Jeśli jest taka wspaniała, to czemu ją zostawiłaś i przysłałaś przytulić się do mnie? Odpowiedz mi, moja królowo.

Alienor usiadła i spojrzała prosto w moją zagniewaną twarz. Westchnęła, zadowolona, by po chwili znów przytulić się do mnie.

- Jesteś zazdrosna. Zazdrosna o Beatrice. Tym lepiej!

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Zamiast odpowiedzieć, pogłaskałam jej niesforne loki. W kilka chwil później Alienor spała, mrużąc jak kotka.

W ciągu dni, które nastąpiły, mogłam wyrobić sobie własne zdanie. Beatrice była - przynajmniej z pozoru - wesoła, ożywiona, miła w towarzystwie. Ale była wścibska.

Podsluchiwała wszystko i wszędzie, gdzie się dało. Miała żywy umysł. Gdy usłyszała strzęp jakiegoś zdania, umiała sobie dopowiedzieć resztę. Szybko orientowała się w przywarach ludzi i potrafiła to wykorzystywać, schlebując umiejętnie tym, którzy mogli być do niej wrogo usposobieni.

Wielokrotnie widziałam ją w pobliżu gabinetu Sugera lub rozmawiającą z nim na stronie. To mi wystarczyło. Zrozumiałam wszystko. Uwodziła kobiety, którym opowiadała smutną historię Heloizy i Abelarda, i nie zadawała się z mężczyznami.

Po upływie tygodnia król wstał z łóżka, ale był jeszcze blady. Na rozkaz swego medyka wciąż pozostawał w odosobnieniu, powierzając Sugerowi zarówno sprawy polityczne, jak i religijne.

Mój przyjazd do Paryża Ludwik przyjął obojętnie. Czy mnie w ogóle zauważył, czy też jego oczy utkwione były tylko w Alienor? Natomiast Suger zachował się miło, co umacniało mnie w przekonaniu, że skoro jest tak przyjaźnie usposobiony, z pewnością chce mnie pogryźć.

A Beatrice? Wydawało się, że rola tej w naszym miłosnym trójkącie w zupełności jej odpowiada, ale nie dałam się zwieść pozorom. I wbrew opinii Alienor wcale nie byłam o nią zazdrosna.

Raul de Crecy z niechęcią usłuchał rozkazu Alienor i przyznał Denysowi tytuł

konetabla\*. Przekonywał, że jest tylko jeden kone-tabl na dworze, a to stanowisko jest już obsadzone. Alienor się oburzyła: jakim prawem odbierano jej przywilej posiadania osobistej straży? Nie dbała o zwyczaje, jakie panowały przed jej przybyciem do Paryża. Zrobiła wystarczająco wiele, by to się

zmieniło, nie zatrzyma się w połowie drogi. Denys nie miał tytułu? To zdobędzie go podczas turnieju. I biada temu, kto będzie innego zdania! Ludwik w każdym razie wystrzegał

się tego. W gruncie rzeczy, jeżeli to bawiło królową, nie spierał się z nią w kwestiach tak mało znaczących.

Tak oto Denys znalazł się pod rozkazami Alienor i był aż nadto szczęśliwy, że może się znaleźć w pobliżu takiej pięknej królowej, księżniczki Akwitanii, dla której jego własny ojciec chętnie oddałby życie. A ponieważ on sam nie miał prawa do nazwiska rodowego, znaczyło to dlań wiele. Było to zbyt wiele nawet, zdaniem przyrodnich braci, których król pasować miał na rycerzy podczas uroczystości koronacyjnych w Bourges podczas świąt Bożego Narodzenia. Denys nie zwracał uwagi na ich zawiść. Po prostu unikał ich.

Nie miałam wiadomości od Jaufrego. Brakowało mi go bardzo, choć postanowiłam nie zważać na to. Musiałam mieć czas, by pogodzić się z myślą, że nie mogę kochać go, nie gubiąc siebie samej. Alienor i Denys pomagali mi, choć sami o tym nie wiedzieli. Intrygi na dworze również, wyostrzały bowiem moją czujność.

W Andegawenii i w Anglii nic się nie zmieniło. Henryk rósł, stawał się mocny i uparty. To było najważniejsze.

Tak minęła zima, szara i chłodna. Śnieg przykrył białą kołdrą dachy, przesłaniając też kielkującą nienawiść. Musiała wybuchnąć nagle. Wraz z odwilżą rozlała się szeroko jak czarny ocean.

\* Konetabl - naczelny dowódca wojsk królewskich w ówczesnej Francji (*przyp.*

*red.*).

- Spójrzcie na niego!
- Ach, jaki pióropusz! To mój, jestem pewna.
- Nie, nie! Jest za piękny! Och, spójrzcie na tego tutaj.
- Spokój! Dość tej ekscytacji, moje panie. Siedźcie spokojnie, ludzie na was patrzą!

Alienor pogroziła palcem swoim gadatliwym towarzyszkom. Panowało ogólne poruszenie. Dworki, rozlokowane w trybunach znajdujących się na lewo od królowej, głośno podziwiałały jeźdźców w lśniących zbrojach.

Równina Saint-Denis mieniła się od różnobarwnych proporców, a od bezchmurnego nieba odcinały się białe mury opactwa. Wiosna panowała już w najlepsze - marcowe ciepło miało zapach lilii. Zielone Świątki roku 1138 dobrze się zapowiadały.

Siedziałam między Alienor a Beatrice i czułam się tak samo podniecona jak one, choć nie pokazywałam tego po sobie. Każda z nas miała swojego faworyta - jednego z młodych, zgrabnych rycerzy, którzy kłaniali się z wysokości swoich wierzchołków.

Ludwik miał ponurą minę, był strapiony. Baronowie Akwitanii odrzucili jego zaproszenie do wzięcia udziału w walkach na kopie. Stosunki z księstwem stawały się coraz bardziej napięte, a Alienor była głucha na głos rozsądku. Obawiał się ich wojowniczych zapędów i miał ochotę skłonić ich do uległości orężem, zmusić ich, aby stali się wasalami Francji. Natomiast młoda królowa była zdania, że Akwitania powinna pozostać wyłącznie pod jej jurysdykcją. Nie było to w smak ani królowi, ani Sugerowi, który na próżno od kilku tygodni starał się namówić Alienor do posłuszeństwa małżonkowi. Opat, siedzący po prawicy królewskiej, zawisł całym ciężarem na oparciu fotela, jego oczy były podkrążone ze zmęczenia.

Herold, witany trąbkami, oznajmił rozpoczęcie turnieju. Do wtóru muzyki ruszyła defilada jeźdźców. Każdy z nich kłaniał się damie, dla której miał walczyć i zwyciężyć.

Beatrice przyjęła hołdy barona de Flandres, który zalecał się do niej od jakiegoś czasu, hrabinie de Berry pokłonił się młody i porywczy baron de Casteljaloux, ja zaś z przyjemnością napotkałam roześmiane oczy Denysa, spoglądające na mnie z otworu w hełmie. Królowej zależało na tym, żeby bił się dla mnie, a nie dla niej, jak posta-

nowiła uprzednio. Jej konetabl zdołał bardzo szybko umocnić swoją pozycję w pałacu i stał się niezastąpiony. Nikt już nie ośmielał się podawać w wątpliwość jego kompetencji.

Denys stanął przede mną, odpiął ze swojej zbroi białą różę i rzucił ją w moją stronę.

Schwyciłam ją w locie i ucałowałam jej płatki. Alienor rzekła z podziwem:



- Ten Denys de Châtellerauld to zawadiaka! Zobaczymy, czy umie również walczyć!

- Możesz, najjaśniejsza pani, być tego pewna - odparłam, wpinając różę we włosy -

Wybawił mnie z tarapatów, a niedawno - jak powiadają - obronił żaka, który bił się z opryszkami, uprzednio zbyt wiele wypiwszy.

- Nie mogłaś wybrać lepszego przyjaciela - szepnęła Béatrice i nie spojrzawszy nawet w moją stronę, rzuciła: - Szkoda, że nie jest tylko synem naturalnym.

Odparłam tym samym tonem:

- Natura wie najlepiej, co czyni.

Nie zdążyła już odeprzeć ciosu. Do Aliénor zbliżał się właśnie potężny jeździec bez herbu. Jego czarną zbroję zdobił czerwony pióropusz.

Gdy zatrzymał się przed królową i skłonił głowę, by ją powitać, przez zgromadzenie przeszedł szmer. W przeciwieństwie do pozostałych jeźdźców nie podniósł

przyłbicy. Rozbawiona Aliénor odpięła od rękawa białą szarfę i rzuciła w jego stronę. Rycerz pozwolił jej rozwinąć się na wietrze, następnie szybkim ruchem wyjął miecz. Jedwab owinał się wokół ostrza. Wtedy rycerz zręcznym ruchem zdjął

swoje trofeum i przywiązał do włóczni. Odprowadzany zachwyconym spojrzeniem królowej, odjechał, by ustawić się obok pozostałych uczestników.

W kilka sekund później włócznie poszły w ruch i od razu paru jeźdźców spadło na pokrytą pyłem ziemię. Niektórzy co zuchwalsi panowie kłaniali się w stronę trybuny pod koniec każdej walki, wzbudzając podziw lub oburzenie, w zależności od tego, czy byli dobrze czy źle widziani. Florine de Bourgogne zemdląła na widok krwi i trzeba ją było ratować solami trzeźwiącymi.

Ja zaś wpatrywałam się tylko w nieznanomego jeźdźca. Kim był, że pozwolił sobie zlekceważyć króla Francji, a pokłonić się jego małżonce? Ludwik drgnął i szepnął

kilka słów Sugerowi, który potrząsnął przecząco głową.

Pod koniec turnieju na placu boju zostało już tylko czterech jeźdźców: Denys, choć zraniony w ramię, czarny rycerz, hrabia de Beaufort i baron de Casteljaloux, który na oczach Beatrice i ku memu wielkiemu zadowoleniu przewrócił barona des Flandres. To uwłaczało jej dumie, a pochlebilo mnie.

Denys upadł podczas drugiego ataku czarnego jeźdźca, znowu ugodzony w ramię.

Podobny los spotkał hrabiego de Beauforta, który upadł pod ciosami barona de Casteljaloux.

Walczący jak na komendę, wzbijając kurz kopytami swoich spoconych koni, zwrócili się do siebie przodem i starli się. Słychać było tylko głuchy szcęk mieczy.

Zebrani wstrzymali oddech. Dwaj jeźdźcy zostali strąceni z koni. Podnieśli się po chwili, zgrzytając zakurzonymi zbrojami. Czarnyjeździec wyrwał miecz z pochwy i ruszył na barona, który z trudem odzyskawszy równowagę, zręcznie uniknął ciosu i sam zaatakował. Walczący-krażyli w koło, zwrócenii twarzami do siebie, trzymając miecze oburącz.

Alienor wbiła paznokcie w oparcie i uniosła się nieco, by nie stracić żadnego ruchu.

Jej ściągnięte rysy dowodziły, że obawiała się o wynik walki. Teraz nie chodziło już o grę, lecz o godność. Trzeba było zwycięzcy, nieważne, że zwyciężony mógł

zginąć.

Baron de Casteljaloux bił się dobrze, ale postura przeciwnika sprawiała, że zmęczył

się szybko i tylko odparowywał ciosy. W pewnej chwili zachwiał się i upadł. Rycerz stanął nad nim, postawił stopę na jego rozdygotanym brzuchu i przyłożył mu miecz do szyi. Król zerwał się z miejsca.

- Wystarczy, panie. Wykazałeś brawurę i talent.

Rycerz przez chwilę trwał nieporuszony, zwrócony ku królowi, następnie wbił

miecz w ziemię tuż obok głowy barona, wrywając okrzyk z piersi dam. Alienor przywołała nieznajomego:

- Zbliź się, panie.

Mężczyzna podszedł do królowej, już bez broni. Szarfa z białego jedwabiu zbrukana była krwią i pyłem. Odwiązał ją, patrząc na króla, bez słowa.

Alienor odchrząknęła:

- Zostałeś zwycięzcą tego turnieju. Czy raczysz nam zdradzić, kim jesteś? Nazwisko takiego rycerza powinno być znane wszystkim.

Mężczyzna zdjął hełm. Alienor rozpoznała płonące oczy.

- To ty! - wybełkotała.

Ludwik spojrzał na nią pytająco, ale mężczyzna sam dokonał prezentacji.

- Guy de Verdeuil, wicehrabia de Thouars, do usług, księżniczko i damo mego serca.

Ludwik zadrżał.

- Wydaje mi się, panie, żeś odrzucił nasze zaproszenie. Jestem rad, że tak się nie stało.

Guy de Verdeuil ze wzdgarą zwrócił szarfę Ludwikowi, z nienawistnym grymasem na ustach.

- Oto ona, panie! Bronię barw Akwitanii w imieniu moich ziomków.

Ludwikowi zabrakło głosu. Pobladła Alienor opadła na fotel. To była straszliwa zniewaga. Król zmusił się jednak do uśmiechu.

- Niech i tak będzie. Czy uczynisz nam, panie, ten zaszczyt i będziesz naszym gościem?

W odpowiedzi wicehrabia skłonił się przed Alienor, potem spojrzawszy prosto w oczy Ludwikowi, splunął mu w twarz. Suger podskoczył. Wystarczył jeden nieznaczny ruch i mężczyznę natychmiast otoczyli żołnierze. Wybuchnął

szyderyczym śmiechem i pozwolił się wyprowadzić.

Incydent miał swoje następstwa. Oburzeni wasale Alienor widzieli w zaarrestowaniu wicehrabiego de Thouarsa zamach na swoje prawa. Rozgorzał spór między jego zwolennikami i tymi, którzy go potępiali. Alienor nie chciała się na razie wtrącać. Poprzestała jedynie na tym, że zażądała od Ludwika uwolnienia wicehrabiego. Ludwik miał jednak odmienny pogląd.

Trzeba było działać. Należało usunąć króla z dworu na jakiś czas, aby odzyskać Akwitanie i pokonać Sugera, którego pozycja stale się umacniała.

Alienor ustąpiła wobec moich błagań, pozwoliła sobą pokierować i przystała na to, by Ludwik stłumił bunt. W kilka tygodni później Ludwik wyruszył do Poitiers z wojskiem królewskim, a Suger wrócił do Saint-Denis, gdzie miał zamiar zbudować imponujące opactwo na miarę swojej pychy. Pozbawiona syna i władzy, Adelajda wycofała się do swych włości.

Wraz z odwilżą dotarły do mnie wieści z Blaye. Tam również zi-

ma była surowa. Na zatoce unosiła się duża kora, wiele kanałów zamarzło. Biedni ludzie, którzy żyli z płodów Comteau, mieli niewiele pożywienia. Z głodu i zimna zmarło jeszcze więcej niż w poprzednich latach małych dzieci i starców. Jaufre działał najlepiej, jak potrafił, otworzył szeroko bramy zamku, rozdając chleb i żywność. Ciężka praca nie pozostawiała mu czasu na pisanie listów do mnie. Co więcej, wiele dróg było nieprzejezdnych. Po śniegu i zimnie nastąpiły burze gradowe i deszcze. Nie można było przedsięwziąć żadnej podróży.

Teraz, gdy ściszałam w dłoniach pergamin pachnący liliami, czułam dotkliwy ból z powodu nieobecności ukochanego. Wiele bym dała teraz za to, by poczuć jego ręce na piersiach, biodrach, poczuć go w sobie. Musiałam oprzeć się o ścianę, by nie zemdleć z pożądania i bólu. Nie mogłam już dłużej wytrzymać bez niego.

Jaufre pisał, iż zamierza przyjechać do Paryża ze swym przyjacielem Panperd'hu.

Wiedziałam, że Alienor nie będzie tym zachwycona. Musiałam ją delikatnie przekonać - tak by jej nie urazić. Pomógł mi w tym Denys. By zniechęcić go do okazywania mi miłości, wyznałam mu, jak jestem przywiązana do Jaufrego.

Dziwne, ale moja szczerłość jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyła. Aby się pocieszyć, Denys zwrócił się ku królowej, która podbiła go swoją urodą i... impertynencją. Ze spojrzenia, jakimi obdarzała swego konetabla, wywnioskowałam, że i ona darzyła go takim samym uczuciem. Jak dobrze ją rozumiałam! Ludwik był

marnym kochankiem i mógł tylko zaostriżyć jej apetyt. Staralam się ją zaspokoić, gdy tylko zostawałyśmy sam na sam, ale to już jej nie wystarczało.

Alienor potrzebowała mężczyzny. Ofiarowałam go jej pewnego wieczoru.

Zgodnie z naszymi nowymi zwyczajami przyszła do mojego pokoju, gdy tylko w pałacu zgaszono świece. Przytuliła się do mnie nagim ciałem i poddała moim pieścizotom. Gładziłam jej kark i ramiona, co uspokajało ją i podniecało zarazem.

Stosowałam to czasami jako grę wstępnią. Lecz tej nocy było inaczej. Czekala na coś więcej. Zdradził ją przyspieszony oddech, a gdy poprzestawałam na powścią-

gliwych pieścizotach, sięgnęła zuchwale do mego wzgórka. Nie zareagowałam.

Tego wieczoru było mi łatwo się kontrolować. Nalega-

ła przez kilka chwał, wstrzymując oddech i nasłuchując mojego. Westchnęłam z udawaną rezygnacją i miękko przesunęłam dłonią po jej plecach. Zerwała się, jakby ją moje palce oparzyły.

- Nie kochasz mnie już! - Głos jej drżał.

- Ależ kocham - odparłam ze smutkiem.

- Jesteś jakby nieobecna, nie czujesz, jak cię pragnę. Co ci jest, czy nie dokucza ci brak miłości?

- Będziesz się gniewać, gdy ci powiem.

- Nie ufasz mi? Co takiego uczyniłam, że się mnie obawiasz i odrzucasz mnie?

- Nic, królowo, zupełnie nic.

I dla potwierdzenia moich słów przyciągnęłam ją do siebie. Przytuliła się mocno.

Uśmiechnęłam się w ciemności. Była gotowa. Milczałam jednak. Chciałam, żeby wydobyła ze mnie ten sekret, w przekonaniu, że to ona odniosła zwycięstwo. Ogień trzaskał w kominku, rzucając wydłużone cienie na białe ściany.

- Mów, błagam - jęknęła. - Nie chcę cię stracić.

- Brakuje mi pewnego trubadura, to wszystko. Zerwała się, zraniona do żywego.

- A więc to tak! A ja się dziwiłam, że tak łatwo o nim zapomniałaś.

Odwróciła się do mnie plecami, zagniewana. Musiałam dać jej więcej czasu, aby mogła przetrwać moje wyznanie. Wyślizgnęłam się z łóżka i dołożyłam polan do ognia.

Upłynęła dłuższa chwila, drewno trzaskało w palenisku, strzelając iskrami. Kątem oka zauważyłam przebiegającą pod ścianą mysz. Alienor nie drgnęła. Wzdychała tylko raz po raz. Nurtowało ją pytanie: dlaczego?

Dopiero wtedy zdobyłam pewność, że gniew Alienor minął, i chciała, abym ją pocieszyła, a zarazem zadała ból, taki jaki się odczuwa po stracie kochanej osoby.

- Czy mogłabyś zapomnieć o mężczyźnie, który pełen czułości tuli się do twojego ciała?

Zapanowała cisza. Alienor pomału odwróciła się i oparła na dużej poduszce z gęsiego puchu. Jej twarz była dziwnie spokojna. Westchnęła znowu, tym razem dlatego, że nic nie rozumiała, aż wreszcie wygłosiła jedną z tych prawd, które tak stanowczo zwykła wypowiadać:

- Mężczyzna nie może być uosobieniem czułości.

- Ale on jest.

- Nie wiem, na czym miałyby polegać różnica!

Wydawała się rozdrażniona i tak zaskoczona, że ogarnęło mnie współczucie dla niej. Skądże miała to wiedzieć? Jak mogła to pojąć? Odpowiedziałam jej ze współczuciem:

- Na wszystkim. Co ty wiesz o miłości? Ludwik pożąda cię, ale nie kocha.

Spojrzała gniewnie, odęła usta w grymasie. Po chwili jednak roześmiała się, a ja miałam wrażenie, jakby przez okno wpadł promień słońca. Tym lekkim tonem, który uwielbiałam, powiedziała:

- Czy wyglądam na pularcę, by mnie Ludwik nadziewał na rożen?

Teraz ja się zaśmiałam. Boże, jak ja ją kochałam! Usiadłam obok niej i dotknęłam jej delikatnych ust.

- Daj mi Jaufrego! Nie pożałujesz tego. Obiecuję ci to. Potrzebuje go.

Jej oczy zamglily się smutkiem.

- Będiesz spędzała noce w jego łóżu, a nie w moim.

- Nie wszystkie.

- Już jestem zazdrosna.

Ucałowałam ją w czoło. Moja królowa dojrzała w czasie mej nieobecności, bez wątpienia, ale jeszcze nie na tyle, aby ufać sobie samej. W tym celu miałam przejść do drugiej części mego planu. Kochać się z nią - to było najlepsze lekarstwo na jej lęki. Powoli ześlizgnęłam się ustami po jej

ustach, szyi i piersiach. Alienor odrzuciła głowę do tyłu i wstrzymała oddech w pełnym nadziei oczekiwaniu. By zakończyć dyskusję, szepnęłam jej prosto do ucha:

- Jestem pewna, że nie będziesz nawet o tym myślała.

Potem wstałam, by zgasić świece. Pokój zatonął w ciemnościach. Powiedziałam jeszcze:

- Połóż się.

Usłuchała bez słowa. Jej ciało omdlewało w oczekiwaniu na nową rozkosz.

Otuliłam się szalem i wymknęłam się do przedpokoju, gdzie czekał Denys. Siedział

na łóżku mojej pokojówki, Camille, którą umyślnie przeniosłam piętro wyżej, do jednej z jej koleżanek. Konetabl miał na sobie lniane giezło zamiast kolczugi.

Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy w Chatellerault

- młody i pełen wdzięku. Na mój widok wstał i spojrzał pytająco. Przyprawiono go tu na moje polecenie, on sam był nieświadomy powodów, dla jakich się tu znalazł. Ogarnął spojrzeniem moje ciało, ledwo okryte, i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że moje odzienie i zachowanie jest co najmniej dziwne. Zeby nie dać mu czasu na domysły, owinęłam się ciasno szalem i wyszeptałam:

- Obiecałam ci wdzięczność, ale nie swoje ciało. Uśmiechnął się i odparł:

- Gdybym nie popatrzył, mogłabyś to uznać za zniewagę.

- Zachowaj wszystko dla tej, którą kochasz - przekomarzałam się z nim, uśmiechając się tajemniczo.

Denys wiedział o intymnym związku łączącym mnie z królową, lecz mimo to nie rozumiał.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Loanno de Grimwald?

- Nie domyślasz się? To prawda, co o tobie mówią, że nie nauczono cię podsłuchiwać pod drzwiami. Teraz ja do niej wejdem, a potem ty. Zostawię was samych, gdy tylko znajdziesz się w jej łożu.

- Ale ona... - bełkotał z przejęciem i coraz mocniejszy rumieniec rozlewał się na jego policzkach.

- Nie lękaj się. Alienor jest jak kotka. Kocha cię, jeśli tyją kochasz. Obiecuj mi tylko, że się postarasz ją zaspokoić. Doniesiono mi, że jesteś dobrym kochankiem, a ja nie chcę, żeby moja królowa była rozczarowana.

Denys spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, w którym podziw zmieszany był z pożądaniem i fascynacją. Wiedział, że nie jestem taka jak inne kobiety, a w miarę upływu czasu łączyła nas coraz większa zażyłość; mocniejsza niż więzy przyjaźni między mężczyzną i kobietą. Zapewne zastanawiał się, jak daleko może się tej nocy posunąć!

Alienor niecierpliwiła się zapewne moją przedłużającą się nieobecnością.

Domyśliłam się tego po szeleście prześcieradeł po drugiej stronie łoża. Uniosłam kotarę. Podłoga zaskrzypiała pod moimi stopami, w odpowiedzi usłyszałam westchnienie. Odkryłam delikatnie przykrycie i uklękawszy nad nią, jęłam okrywać pocałunkami jej spragnione piersi.

- Co tam tak długo robiłaś? - szepnęła.

- Nic, co by ci się nie spodobało, królowo.

Gdy rozsunęłam ustami jej uda, wszystkie nurtujące ją pytania utonęły w rzece rozkoszy. Nie usłyszała kroków Denysa ani nie zdziwiła się, gdy poczuła na sobie jego rękę.

Denys zręcznie zajął moje miejsce. Na krótką chwilę jego palce musnęły moją skórę, wzniecając we mnie żar. Był to dla mnie sygnał do odwrotu. Moje zapomniane ciało pożądało tego wyprężonego członka, którego obecność odgadywałam w mroku. Odsunęłam się od niego, od nich, podniosłam szal, który Aliénor zsunęła z moich ramion. Czułam ogień w brzuchu. Ale moje miejsce było gdzie indziej. Należałam do Jaufrégo. Zapomnieć o nim na godzinę znaczyło dla mnie zgubić samą siebie. Zanadto kochałam Denysa i Aliénor, by wziąć udział w ich zmaganiach. Po ich związku oczekiwałam czegoś innego. Wymknęłam się z pokoju, owinęłam kołdrą i ukołyszana jękami Aliénor usnęłam na ziemi, przy płonącym kominku. W moich uszach rozbrzmiewał głos, który znałam aż za dobrze.

Nigdy nie widziałam Aliénor takiej szczęśliwej. Nazajutrz po tej pamiętnej nocy zwierzyła mi się, że nie ma żadnego porównania między Ludwikiem a Denysem i że otrzymała ode mnie królewski dar. Nie ponowiłam swej prośby o Jaufrégo. Było to niepotrzebne. Z jej słów zrozumiałam, że uzyskałam zgodę. Posłaniec z Blaye przybył galopem już po tygodniu. Jaufré zawiadamiał, że czuje się zaszczycony zaproszeniem królowej, i zapowiadał swój przyjazd. Nigdy żadna wiadomość nie wstrząsnęła mną tak jak wieść o jego przyjeździe. Pragnęłam go każdym skrawkiem mojego ciała, a pożądanie rosło z każdym podmuchem wiatru przybliżającym nas ku sobie. W dodatku Denys był tak promienny jak nigdy. Gdy zostaliśmy sam na sam, w kilka godzin zaledwie po tej wspaniałej nocy obdarował mnie pocałunkiem w czoło. „Kocham cię, dobra wróżko!” - powiedział i umknął, śmiejąc się jak dziecko. Oniemiałam ze zdumienia. Merlin i moja matka uczyli mnie, że jest wiele rodzajów miłości i wiele sposobów dawania innym radości. Byłam szczęśliwa.

W dwa tygodnie później Jaufré przybył do pałacu de la Cité w towarzystwie swego przyjaciela Panperd'hu i młodego trubadura Bernarda de Ventadoura. Podobno uwiódł hrabinę, u której pracowali jego rodzice, co wielce rozbawiło Alienor.

Zazdrosny mąż nie miał nic przeciwko temu, by Bernard przeniósł się ze swoim śpiewem gdzie indziej. Tak właśnie miał zamiar uczynić.

Moje ponowne spotkanie z ukochanym było jeszcze słodsze, niż marzyłam.

Zrelacjonowałam mu wszystko, co się wydarzyło od mojego wyjazdu z Blaye, a on mi opowiedział, jak trudno było mu żyć bez mojego zapachu na poduszce. Ułożył

pieśni o swojej tęsknocie za daleką ukochaną. Gdy jego długie, szczupłe palce dotykały strun cytry, drżałam na całym ciele. Tak, byłam szczęśliwa - rozkosznie szczęśliwa, do utraty tchu!

Po pewnym czasie przybył posłaniec, który oznajmił, że w Akwitani zapanował

pokój. Suger, który podczas nieobecności Ludwika pełnił funkcję zarządzającego, był częstym gościem w pałacu, zawsze uśmiechnięty i uprzejmy. Béatrice -

podniecona perspektywą powrotu króla - czarowała znowu damy dworu, które całymi dniami przebywały w ogrodzie. Nawet jeśli w oczach królowej straciła i tak wystarczyło jej wdzięku, by uwieść cały dwór. Wszyscy zresztą dawali się nabrać na te pozory. W skrytości ducha cieszyłam się, że baron de Flandres zwrócił się ku przyrodniej siostrze Gotfryda Pięknego - Sybilli Andegaweńskiej, nie mogąc oczekiwać od Béatrice niczego innego poza wzgardą. Sybilla była wdzięczną z twarzy i wyglądu osobką, choć z usposobienia wyciszoną i lękliwą. Widziałam ją kilkakrotnie w Andegawenii, i po jej przybyciu na dwór w okresie Zielonych Świątek poczułam się tak, jakbym wróciła do czasów dzieciństwa i do bliskich mi ludzi. Rozumiałyśmy się doskonale. I choć często narzekano na jej bojaźliwość, wiele dam uważało ją za najlepszą w świecie przyjaciółkę, tak bardzo starała się być miłą i przyjemną dla wszystkich. Właśnie dzięki tym zaletom odbiła Béatrice najbardziej jej uległego rycerza, co bawiło mnie tym więcej, że Béatrice pozieleniała z zazdrości. Była to doskonała nauczka dla tej dziewczyny - zawsze w pretensjach i złośliwej.

Okres łask i euforii zakończył się wraz z powrotem króla. Aliénor musiała teraz ukrywać swój związek. Prowadziła rozgrywkę subtelnie, zapewniając króla, że jej błyszczące oczy i zaróżowione policzki to skutek jego powrotu i że bardzo cierpiała podczas ich rozłąki. Wydawało się, że Ludwik dał temu wiarę. W tym samym czasie posłaniec od matki przyniósł mi złe wieści: Rycerze Chrystusowi powiększyli swój stan posiadania w Akwitani, a Stefan z Blois pozyskał ich jako sojuszników. Nie mogłam pojąć, w jaki sposób udało

mu się tego dokonać. Ten głupiec, targany ambicjami i żądzą zysku, zdradził

prałatów i baronów angielskich, by zadowolić swoich nowych sprzymierzeńców.

Prowokował ich tak, by mu się przeciwstawili, a następnie odbierał im ziemię.

Tymczasem Matylda umacniała swój sojusz z Normandią i, zachęcana do tego przez moją matkę, starała się jak najskuteczniej zagrozić zakonowi dostęp do dwóch księstw. Przechwycono niektóre jej listy, więc znali moje imię, pozycję, a co gorsza, wiedzieli, że moja rola jest sprzeczna z interesem zakonu. Musiałam zwiększyć czujność.

Nie było to łatwe, gdyż moje serce i uczucia przepelniała miłość do Jaufrégo.

Od powrotu Ludwika Aliénor stawała się coraz bardziej kapryśna i władcza, a ja podsycalam w niej te uczucia. Nie było to trudne, zważywszy na jej temperament!

Zaspokojona przez Denysa, znów zapragnęła uczestniczyć w podejmowaniu decyzji, przeciwstawiając się Sugerowi. By rządzić Akwitanią, domagała się uwolnienia wicehrabiego de



Thouars, którego król nadal więził. Nie mogła pogodzić się z tym, że jej ziomek został pozbawiony ziemi, zwłaszcza że stary wicehrabia de Vertheuil był przyjacielem jej ojca. Jednakże Ludwik nie lubił, gdy go prowokowano. Nie podobało mu się także to, co Aliénor zrobiła z pałacu de la Cité. Codziennie zonglerzy, trubadurzy, kuglarze wszelkiej maści zapełniali ulice starego miasta, jak również dziedzińce i komnaty pałacowe, przystrojone w miłe dla oka kolory.

Béatrice spoglądała na to nieżyczliwie. Aliénor przestała się nią interesować, choć Béatrice bardzo się starała o jej względy. Nienawidziła mnie za to, że wróciłam, i niemiła jej była myśl, że inni cenią moje towarzystwo. Umiałam stać się niezbędną dzięki znajomości ziół i barwników do tkanin. Słuchałam uważnie wszystkich tajemnic, które zechciano mi powierzyć, i nie powtarzałam ich nikomu. Często nawet damy słuchały moich porad i były z nich zadowolone. Béatrice zaś miała tylko swoją przebiegłość i wyzywającą urodę. Atencja, z jaką odnosił się do mnie Jaufré, przyprowadziła ją o ból głowy. Odgadywałam to z jej złowrogich spojrzeń, z jadowitego tonu, mimo pozornej słodyczy. Ta pannica była jak prawdziwa trucizna.

Na domiar złego jej uczucie do króla pozostawało niezauważone, a jeśli spoglądał na nią czasem, to tylko z roztargnieniem i wla-

ściwie jej nie dostrzegając. Aby nadać sens swemu istnieniu, postanowiła bardziej energicznie zabiegać o jego względy.

Dni stawały się coraz dłuższe. Panowała piękna pogoda, więc cały nasz mały świątek przeniósł się do Saint-Germain. Damy zbierały kwiatki, pierwsze dojrzałe wiśnie, aromatyczne zioła, którymi nacierały sobie ciało.

Z dala od hałasu miasta, muzyki i śmiechów miody król, który dotąd zaznał jedynie cichego szmeru Sekwany i powściągliwych rozrywek, w tym luksusie stworzonym przez królową upatrywał prowokacji wobec jego skromnego ubioru i klasztorowego wyglądu. Nie podobało mu się to. Obchody dni świętych patronów jeszcze nigdy nie były tak wystawne i przywodziły na myśl raczej pogańskie święta niż obrzędy religijne.

Po powrocie z polowania na sokoła czy polowania z nagonką Ludwik od razu uciekał do swojej kaplicy. Musiał uczestniczyć w polowaniu, tak nakazywała najnowsza moda. Damy również brały w nim udział, wprowadzając mnóstwo zamieszania. Dotychczas było to zajęcie zarezerwowane dla mężczyzn.

Krótko mówiąc, przed tą wrzawą można było się schronić tylko w domu bożym.

Coraz częściej Ludwik spotykał tam Béatrice de Campan. Nabrał zwyczaju zerkania na nią ukradkiem. O kilka zaledwie kroków od młodej kobiety z marmurowej niszy promieniało świętością uśmiechnięte oblicze Madonny z Dzieciątkiem i Ludwik znalazł między nimi pewne podobieństwo. Czasami Béatrice zwracała się z wdzięcznym uśmiechem ku królowi, który spoglądał na nią z podziwem. Lubiał jej towarzystwo, gdyż dawało mu wytchnienie.

Żałował, że niecodziennie ją widuje. Tym bardziej że w rozmowach z nim zarzucała Alienor zbyt ni

pociąg do luksusu i wyniosłość w stosunku do męża. Stroje Béatrice były piękne, choć skromne, uwagę przyciągała jej uroda i naturalny wdzięk.

Béatrice starała się oczernić Alienor, co wprawiało Ludwika w zakłopotanie, a jednocześnie umacniało w przeświadczeniu, że żona postępuje niewłaściwie.

Béatrice rozumiała go jak nikt inny. Co się zaś tyczy owej sprzeczności odczuć, przypisywał ją swojemu niewielkiemu doświadczeniu z kobietami i nie dostrzegał

żadnego podstęp-

pu z jej strony. Najważniejsze jednak było to, że dzięki tej dziewczynie czuł się o wiele mniej samotny.

*Kiedy woda źródłana*

*staje się bardziej przejrzysta, jak to się zdarza Kiedy rodzi się kwiat róży*

*A słowik na gałęzi powtarza,*

*ćwierka, treluje i przeciąga swą słodką pieśń, Pora i na mnie, bym zaśpiewał.*

- Jeszcze zaśpiewaj, panie, jeszcze! - błagała Sybilla Andegaweńska, klaszcząc w dłonie.

Alienor uznała jednak, że dość tych śpiewów, i zarządziła zabawę. Młody trubadur, Bertrand de Born, z oczami przesłoniętymi opaską, miał się obrócić dokoła, a potem uklęknąć na środku pokoju. Damy kolejno zbliżały się do niego i potraçały fałdami sukien jego wyciągnięte dłonie. Miał w ten sposób rozpoznać damę swego serca i umrzeć z miłości do niej, a ona miała umierać z miłości do niego.

Wszyscy wstrzymali oddechy. Pierwsza zbliżyła się majestatyczna Melissinde de Bourgogne. To ona była obiektem westchnień trubadura i mimo że była żoną księcia Burgundii, sprzyjała jego zalotom.

Czyjej pomieszenie i mocno bijące serce zdołają poruszyć wrażliwą duszę Bertranda? Gdy przeszła obok niego, od razu zawołał ze wzruszeniem:

- Nie chcę żadnej innej, tylko tę!

Melissinde de Bourgogne omal nie zemdląła ze szczęścia. Alienor szepnęła, a potem powtórzyła głośno:

- Niechaj pan Bertrand zostanie uwolniony!

W tej samej chwili paź zdjął opaskę z oczu trubadura, który poszukał wzrokiem wybranki swego serca. Siedziała obok Alienor ze spuszczonej oczami.

- Zbliź się.

Młodzieniec stanął przed Alienor. Odgadywałam jego drżenie, choć zachowywał

pozorny spokój.

- Podaj lewą rękę, przyjacielu - szepnęła królowa. Położyła na jego otwartej dłoni drżącą rękę Melissinde:

- Oto ta, którą wybrałeś.

Bertrand de Born padł na kolana przed swoją umiłowaną i rzekł wibrującym z przejęcia głosem:

- Przysięgam przed Bogiem, że będę ci wierny, o pani, aż do śmierci. Od tej chwili tylko ty będziesz moją żoną. Każde twoje życzenie stanie się dla mnie rozkazem.

Melissinde de Bourgogne, drżąc jak jesienny liść, szepnęła w odpowiedzi:

- A ja przysięgam, panie, że będę cię kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Zgromadzone damy ocierały łzy wzruszenia. Alienor czule położyła rękę na złączonych dłoniach kochanków i zwróciła się do Jaufrego, siedzącego u mych stóp na aksamitnej poduszce:

- A teraz uczyni nam tę przyjemność i zaśpiewaj, panie. Jaufre uderzył w struny, odchrząknął i zapowiedział:

- Śpiewajcie, miłe panny i piękne damy, pieśń, która sławi tę, której oddałem serce...

- Chwileczkę - przerwała mu Alienor.

Paź, który właśnie wszedł, szepnął coś królowej. Trzymał w dłoni niewielki pergamin. Alienor wskazała ruchem głowy Jaufrego i paź podał mu papier.

Tymczasem Alienor mówiła:

- Z Blaye nadeszły złe wieści, przyjacielu. Twej ziemi grozi niebezpieczeństwo.

Jaufre zbladł. Położył cytrę na ziemi i odpieczętował pergamin: Senior Vitrezais chciał sobie przywłaszczyć Comteau i oblegał miasto. List był napisany przez zarządcę dóbr, który liczył na szybki przyjazd Jaufrego.

Jaufre opuścił rękę wraz z pergaminem. Był zarazem zasmucony i gniewny. Rzeki przygaszonym głosem:

- Wasza Królewska Mość, muszę natychmiast wyjechać.

- Uczyni to, przyjacielu, i wracaj tak szybko, jak tylko zdołasz. Nie śmiałam się odezwać, czułam, jakby żelazna obręcz ścisnęła

mi serce. Cóż mogłam uczynić, wiedząc, że on zna swoje obowiązki, podobnie jak ja znałam swoje.

W kilka godzin później odprowadziłam Jaufrego aż do Grand Chatelet. Nie zamieniliśmy ani słowa. Wziął mnie w załomku mu-

ru po wyjściu z sali muzycznej - jak zwierzę, które chce rozszarpać swoją zdobycz.

W chwilę potem, ze wstydu i obawy, że okazał słabość, zostawił mnie samą. Moje serce i łono rozdarte były rozpaczą i rozkoszą.

Pocałował mnie namiętnie, ale myślami był już daleko. Spiął konia i pogalopował

przed siebie. Złożyłam dłonie przy ustach, by mnie lepiej-było słyszeć, i krzyknęłam na całe gardło: kocham cię!

W miesiąc później, 20 czerwca 1138 roku, podczas polowania na dziką Melissinde de Bourgogne zwolniła Bertranda de Borna z przysięgi. Spadła z konia, który przestraszył się ogromnej bestii. Zanim łucznicy przebili bok zwierzęcia, Melissinde była już bez życia, z twarzą rozszarpaną na strzępy. Zadrżałam cała, a w ustach poczułam smak krwi, gdyż był to zły znak.

- Kochasz mnie, Ludwiku?

- Jak głupiec, jak szaleniec!

Alienor odetchnęła z zadowoleniem i ułożywszy się wygodnie z rękami pod głową, wpatrzyła się w sufit ozdobiony błękitnymi kwiatami lili o złotych liściach. Ludwik tulił w dłoniach jędrne piersi żony i podziwiał jej twarz w bladym świetle dnia, które przedostawało się do komnaty przez naoliwiony papier w oknach.

Był szczęśliwy. Od kilku miesięcy Alienor zmieniała się w stosunku do niego.

Złagodniała, stała się radosna, promienna, lepiej rozumiała jego potrzeby i tak stopniowo przyciągnęła go do swego łóża. Odkrył miłość nie taką jak pierwsza namiętność po ślubie, lecz pełną zmysłowego pożądania.

Spowodowane to było faktem, że owej jesieni 1138 roku Alienor wciąż jeszcze nie nosiła w łonie jego dziecka i obawiała się, że mimo medykamentu, jaki ode mnie otrzymała, będzie bezpłodna. A poza tym znalazła sobie nową rozrywkę.

Wreszcie udało mi się przemówić jej do rozsądku. Alienor atakowała frontalnie wszelkie przeszkody, podczas gdy można je było po prostu obejść. Doświadczenia ostatniego roku pokazały jej, że nic

dobrego nie wynika z okazywania humorów i że za każdym razem znajdzie się twarzą w twarz z Sugerem, za którego plecami chował się Ludwik.

Aliénor, choć tak nieprawdopodobnie uparta, była rozumna, a ja liczyłam właśnie na jej rozum.

Przede wszystkim wyjawiałam jej podstępny B atrice. W tym celu podczas naszych przechadzek lub zabaw manewrowałam tak, byśmy ją spotykały wtedy, gdy była w towarzystwie Sugera czy Ludwika. Początkowo Ali enor niczego nie podejrzewała, wciąż jeszcze będąc pod urokiem „ wi etej”. P óźniej, po moich aluzjach, zaczęła zadawać sobie pytania. Sk ąd opat znał wszystkie jej plany? Dowiedziałam si e o  aczaj ym ich pokrewie stwie i natychmiast zawiadomiłam o tym kr olow . Odt ad B atrice by a grzecznie, lecz stanowczo odsuwana od  ask. Czy by Adelajda Sabaudzka knu a z kr olem przeciwko synowej? Mniejsza o to. Przechwyci am list do doradcy, Raula de Cr ecy'ego, w kt orym przekazywa a mu wskaz owki w pewnej sprawie. Ali enor wezwa a j  do swego gabinetu, surowo nakaza a wr ocić do swych w ości i po lubicić de Montmorency'ego, przystojnego i dobrze wychowanego m ężczyzn , kt ory by  w niej zakochany. Ali enor zagrozi a,  e je li jej nie pos ucha, pewien bilecik trafi do r ak kr ola, kt ory nie chci  widzieć tego,  e w asna matka jest jego wrogiem. Adelajda nie zaprotestowa a. Podobnego rozkazu doczeka  si  Raul de Cr ecy - mi  na jaki  czas udać si  do swej posiad o ci.

Jako pretekstu u yto drobiazgu: zar wno Adelajda, jak i Raul odm owili pokrycia cz eści wydatk w

królewskich. Rachunek był duży, Aliénor bowiem dokonała w pałacu wielkich zmian. Między innymi kazała przebudować kominki i powiększyć okna. Istniał taki zwyczaj, że możni pokrywali część wydatków. Ponadto Aliénor zapragnęła witraży takich jak w Akwitanii, ale Suger się na to nie zgodził.

Znów była mi posłuszna. Teraz, gdy już tylko Suger jej bruździł, należało zepsuć mu opinię albo zastąpić go kimś innym. Ludwikowi było wszystko jedno, byle tylko mógł oddać się miłości, jaką poczuł do żony po długim okresie separacji. Aliénor kochała władzę i zdobyła ją.

W niecały rok król stał się pokorny i uległy jak baranek. Aliénor już nie wypowiadała się w gabinecie ministrów, lecz w sypialni. Poruszała różne tematy w celu „podtrzymania konwersacji i wykazania zainteresowania”. Ludwik mówił jej o swych obawach i wątpliwościach, a Aliénor z niewinną miną podsuwała rozwiązania, dodając

z naciskiem: „Takie jest moje zdanie, ale zapewne nie mam racji”. Nazajutrz Ludwik bronił stanowiska żony, tak jakby to była jego własna opinia. Z czasem coraz rzadziej wzywano Sugera do pałacu. Opat popełnił błąd taktyczny. Uwierzył

mianowicie, że Alienor czyniła to w tym celu, by zachować Ludwika dla siebie, a zatem z własnej inicjatywy. Jestem pewna, że wiedział o mojej misji, nie wyobrażał

sobie jednak, że mogłam mieć taki wpływ na królową. Ja także nauczyłam się to ukrywać!

Pozostał jeszcze Teodoryk Galeran. Do tej pory bez znaczenia, w ostatnich miesiącach zajął ważne miejsce u boku króla. Doszłam do wniosku, że Suger, gdy nie mógł już wykorzystywać Beatrice jako swego szpiega - wywierał naciski na starca, aby stał się jego wtyczką na dworze. Jak łatwo zrozumieć, obaj korzystali na tej wspólnej walce z królową. Teodoryk Galeran miał jednak pewien słaby punkt.

Napomknęłam Alienor o wypadku, po którym Teodoryk stał się właściwie eunuchem. To było z pewnością okrutne, ale me miałam wyboru. Alienor zaczęła na ten temat żartować, czynić uszczypliwe uwagi i w ten sposób wszyscy dowiedzieli się o wstydlivej ułomności Galerana.

W sumie wszystko szło po mojej myśli. Wysłałam gołębicę do mojej matki z informacjami o ostatnich wydarzeniach, a ona poparła moją inicjatywę. Matyllda odzyskiwała swoją pozycję względem Stefana z Blois, Suger został odsunięty i pozbawiony wpływów.

Zostało mi jeszcze coś do zrobienia.

Alienor popierała baronów akwitańskich tylko po to, by stawić czoło Sugerowi i królowi wtedy, gdy nie pozwalano jej wyrażać własnej opinii. Zażądała, by Ludwik uwolnił wicehrabiego de Thouars, a ponieważ ich współzycie znów układało się dobrze, Ludwik wyraził zgodę. W zamian za to Alienor zmniejszyła wydatki królewskie, ograniczając uroczystości. Ku zadowoleniu Beatrice i niektórych dam, ale szczególnie dla naszej przyjemności, udzieliła schronienia uczniom i ich nauczycielom, adeptom Abelarda. To dało mi pewną odmianę.

- Kiedy mnie uszczęśliwisz następcą tronu? Pytanie padło zupełnie naturalnie, ale Alienor zbladła. Przez chwilę wizja dziecka przytulonego do jej piersi zaparła jej dech. Jednakże odpowiedziała radośnie:

- Z pewnością już niedługo. Nasza miłość na pewno wyda owoc.

- Chcę mieć syna, Alienor.

- Poproś Boga, Ludwiku, żeby nam go dał. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Może będę miała prezent dla ciebie.

- Będę się o to modlił, ale najpierw...

Włożył dłoń między jej uda, rozsunął je i przycisnąwszy swoje drobne ciało do ciała Alienor, zawładnął nią już po raz drugi tej nocy.

- Cóż mogę ci powiedzieć? Zapewniano mnie o skuteczności tego specyfiku.

- Muszę mieć dziecko, Loanno!

Z furią uderzyła pięścią w stół, a potem wybuchnęła gniewem na samą siebie:

- Idiotka ze mnie! Zamiast zabijać dziecko Rajmunda w moim łonie powinnam była wydać je na świat. Oddałoby się bękarta do sierocińca i dziś nie miałabym problemu z zajściem w ciążę.

Alienor wyłamywała sobie palce, ujęłam je i przytuliłam do piersi. Trzeba było wymyślić coś innego. Po osiemnastu miesiącach małżeństwa Alienor nie była jeszcze brzemienna, co zaczynało wzbudzać podejrzenia o bezpłodność królowej.

Objęłam ją łagodnie i spojrzałam w czerwone od płaczu oczy.

- Posłuchaj, może ten eliksir jest do niczego. Na prawym brzegu Sekwany mieszka stara kobieta, o której mówią, że jest czarownicą. Pójdę do niej i poproszę o radę, chcesz?

- Pójdę z tobą.

- Uchowaj Boże! Co sobie ludzie pomyślą, jeśli zostaniesz rozpoznana? Masz wrogów, Alienor, którzy chętnie przekupiliby tę kobietę, aby się dowiedzieć, jakie są powody twojej wizyty. Pozwól mi pójść samej. Czy kiedykolwiek cię zdradziłam?

- Nie, nie, masz rację. Ale idź jak najszybciej! Muszę być brzemienna na Boże Narodzenie.

Czarownica dała mi wyciąg z ziół, który miał pewne właściwości, lecz nie tak skuteczne, jak roślina rosnąca w przydrożnych rowach. Skorzystałam z okazji i wracając od czarownicy, nazbierałam *artemis vulgaris*. W zaciszu mojego pokoju sporządziłam proszek, który w od-

powiednim momencie miałam dodać do mieszanki ziół, jakie piła Alienor, aby wywołać u niej krwawienie. Aż do tej chwili miała niby to nosić pod sercem dziecko Ludwika...

Wszystko odbyło się według planu. W wigilię Bożego Narodzenia 1138 roku w Bourges wszyscy mogli zobaczyć uśmiechniętą królową i jej promieniejącego szczęściem małżonka.

Alienor była wściekła. Ludwik właśnie zawiadomił ją, że mieszkańcy Poitou, podobnie jak wcześniej Orleańczycy, utworzyli komuny i wznoszą umocnienia wokół miasta.

- Zajęli pałac, powiadasz?

- No właśnie!

- Co za zuchwalstwo! Nie mogę na to pozwolić, Ludwiku, słyszysz?!

- To zwykłe nieporozumienie, któremu rychło położymy kres.

- Nie rozumiesz, Ludwiku, że nie wolno bezkarnie podnosić ręki na siedzibę książąt Akwitanii?! To jest zamach na twoją cześć!

W oku Ludwika zapaliły się złe błyski. Nie przyszło mu to do głowy.

- Wyślę tam kilka oddziałów.

Alienor uderzyła mocno pięścią w blat toaletki.

- Na pierwszy ogień niech idą ludzie Tybalda z Blois!

- Czy to konieczne? - zapytał ostrożnie król, którego zdziwił ten gniew.

- Chcę, żebyś stanął na czele armii, Ludwiku, i chcę głowy tych, którzy ten bunt wywołali.

Ludwik wytrzeszczył oczy. Nigdy jeszcze nie widział Alienor w takim stanie.

Tybalda z Blois, do którego król zbliżył się po wyjeździe Raula de Crecy'ego, nie trzeba było długo przekonywać. Niezwłocznie dokonał koniecznych przegrupowań i wysłał zbrojnych do stłumienia buntu. Ludwik na czele dwustu jeźdźców wyruszył

do Poitiers dopiero w kwietniu 1139 roku. Tymczasem Alienor, której nie opuszczała złość, znalazła sobie sprzymierzeńca w osobie młodego duchownego z Berry o nazwisku Cadurc - niezmiernie uczonego i pięknego mężczyzny. Miał on tę przewagę nad innymi zausznikami królowej, że ufał jej bez zastrzeżeń.

W obliczu gniewu Ludwika mieszkańcy Poitou nie stawiali oporu i pałac został

wyzwolony bez rozlewu krwi. Tego jednak było królowej za mało. Ludwik uległ jej nakazom i wbrew samemu sobie wziął do niewoli kilku jeńców. Pochodzili oni ze szlacheckich rodów. Gdy



król przepędził ich w odległe zakątki królestwa, wywołało to protesty możnowładców.

Dopiero wtedy wtrącił się Suger. Bez uprzedzenia. On, który do tej pory nic brał

udziału w sporze, na wieść o tych wydarzeniach zmarszczył brwi. Choć zajęty przygotowaniami do świąt Wielkiej Nocy, ruszył w kierunku Poitiers.

Nie trzeba dodawać, jak rozżłościło to Alienor. Sugerowi wystarczyło wygłosić kazanie, odwołujące się do woli Boga, a Ludwik -dziecko Kościoła, Ludwik -

kapłan i król - ukląkł przed swym spowiednikiem i błagał o przebaczenie. Nazajutrz po przybyciu Sugera wyrok odwołano i jeńcy wrócili do domu. Ludwik nie tylko poskromił bunt, ale i zyskał sympatię.

Schowany w cieniu Sugera, jak młodzik ukrywający swoją słabość, wrócił do Alienor ze spuszczoną głową.

Jego małżonka przyjęła go hiobową wieścią. Straciła dziecko. Syna.

Była sinoblada, jej wzrok oskarżał. Ludwik się jej przeciwstawił, Ludwik nie bronił

jej czci, Ludwik skłamał. Co więcej, Ludwik się mylił! Miłosierny Bóg nie wysłuchał jego modlitwy. Bo jak inaczej wytłumaczyć poronienie? Wstrząśnięty król nie znał odpowiedzi na to pytanie. Targały nim wątpliwości. Nie czuł się za nic odpowiedzialny. To Suger był narzędziem Boga. Suger popełnił błąd i wyprowadził

Ludwika w pole. Ale czyż nie uczynił tego w dobrej wierze? Bóg jest przebaczeniem - mówi Pismo Święte. Gdzie była prawda boża? Za każdym razem, gdy zadawał sobie to pytanie, miał przed oczami zakrwawiony płód.

A teraz mógł tylko płakać u wezglowia królowej. Alienor nie miała jednak dlań litości. Po raz pierwszy w życiu czuła nienawiść, która zdołałaby utopić Paryż w tej samej krwi, w której skąpało się jej ciało.

W jakiś czas później, by rozchmurzyć posępne oblicze królowej, Ludwik usunął

Sugera z dworu, a Cadurc został wyniesiony na najwyższe stanowiska i otrzymał

wszelkie możliwe prebendy.

W czasie dysput teologicznych, które odbywały się w pałacowym ogrodzie, zaprzyjaźniłam się z młodym klerikiem Tomaszem Becketem. Przybył on z Anglii, aby studiować w Ile de la Cite. Był dla mnie źródłem wiadomości: Matyllda poszerzała swoje wpływy i Tomasz sądził, że odzyska ona niebawem koronę.

Młodzieniec ten był sprzymierzony z rodem Andegaweńczyków i służył mi jako łącznik z Normandią, gdzie zamieszkała moja matka chrzestna, by stamtąd kierować działaniami. Dowiedziałam się zatem z

pierwszej ręki, że Henryk ma zły charakter.

Psoty tego sześciolatniego chłopca przyprawiły brata Briscauta o ataki serca. Gdy ten aniołek musiał za karę klęczeć kilka godzin na zimnych kamieniach posadzki kościelnej, otworzył drzwi i wpuścił kohortę świń, podrażnionych ogniem pochodni. Zwabiony hałasem opat przybiegł i zobaczył, że kościół został zbrukany i zniszczony. Henryk zniósł reprimendę bez zmrużenia powiek, wpatrując się czarnymi oczami w opata, który aż się przeżegnał ze zgrozy.

Ta anegdota tak mnie rozbawiła, że śmiałam się do rozpuku, wyobrażając sobie poczciwego braciszka Briscauta zmagającego się z tym małym potworem. Tomasz Becket mnie zbeształ - przecież Henryk zbezczeszczył kościół! Przeczucie mi mówiło, że pewnego dnia ci dwaj mężczyźni zetną się ze sobą, ale na razie Henryk był taki, jak myślałam: dzieckiem pełnym życia, o bujnej wyobraźni. Wykazywał też więcej uporczywości niż jego ojciec i pod tym względem hrabia andegaweński miał rację: związek Henryka z Alienor z pewnością nastręczy mi wielu problemów!

Lubiłam towarzystwo Tomasza Becketa, rozmowy z nim wywierały na mnie zbawienny wpływ. Często rozmawialiśmy o filozofii: na moje poglądy, będące pochodną nauk matki i Merlina, tylko kiwał głową. Podziwiałam czystą i szczerą wiarę tego księdza. W przeciwieństwie do większości dostojników kościelnych zrezygnował z wszelkich dóbr doczesnych. Nosił zniszczone sandały i dziurawą opończę.

Nazywał mnie poczciwie i bez złośliwości swoją „małą poganką”, na co odpowiadałam mu, że jestem taką samą katoliczką jak on. Choć nie miał powodu, by w to wątpić, to jednak niektóre moje odpowiedzi dotyczące edukacji, jaką odebrałam, wprawiały go w osłupienie. Nie wierzył, że to brat Briscaut jest źródłem mojej wiedzy. Aby uniknąć niedyskretnych uszu Beatrice, która stale krążyła w pobliżu, roz-

mawialiśmy często w języku galijskim, którego nauczyłam się od matki. Czułam się wówczas tak, jakbym cofała się do czasu swego dzieciństwa.

Często otrzymywałam wiadomości z Blaye. Brakowało mi Jaufrego, a mimo to czułam ulgę, że nie ma go obok mnie. Sprzeczność ta przyprawiała mnie o ból głowy. Byłam pewna jego miłości i na myśl o tym zastygałam ze szczęścia. Na własnej skórze odczułam, że miłość i obowiązek nie idą w parze. Moim zadaniem było rozplątywanie dworskich intryg i spełnienie poleconej mi misji. Zadowalałam się listami. Były jak powiew świeżego powietrza pachnącego liliami i kwiatem pomarańczy. Powiew szczęścia.

Przywrócenie pokoju na ziemiach Jaufrego nie było łatwym zadaniem. Region Comteau, sąsiadujący z Vitry był łakomym kąskiem dla seniora Vitrezais'a -

porywczego potomka pokojowo usposobionego poczciwca, z którym Jaufre żył w zgodzie i pozwalał mieszkańcom nadbrzeża zapuszczać się na swoje ziemie.

Comteau było krainą tak bogatą, że mogło wszystkich wyżywić. Młody Vitrezais chciał zagarnąć tę ziemię dla siebie. Należał do tych zapalczywych młodzieńców, którym w głowie było tylko podpalanie, grabienie i mordowanie. Posługiwał się występkiem jak cnotą. Po powrocie do domu

Jaufre zastał miasto oblegane przez setkę ludzi, opactwa złupione, a ludzi zamkniętych wewnątrz umocnionej twierdzy.

On sam ocalał tylko dzięki podziemnemu korytarzowi, prowadzącemu do zamku od schroniska dla pielgrzymów podążających z Compostelli do Saint-Martin.

Jaufre nie chciał wojny, ale musiał bronić swoich włości. Oblężenie trwało osiem miesięcy. W tym czasie miasto zaopatrywane było drogą rzeczną dzięki innemu podziemnemu korytarzowi, niewidocznemu od strony łądu, o którym Vitrezais nie wiedział. Jaufre codziennie gratulował sobie przezorności. Dzięki temu miasto mogło stawiać opór. Senior Vitrezais zagroził, że zrówna z ziemią podgrodzie, podpalił dzielnicę Świętego Zbawiciela, z której ludzie uciekli, lecz Jaufre nie uległ.

Miasto wytrzymało oblężenie, ale siły obrońców były na wyczerpaniu.

W końcu Jaufre poprosił o pomoc swego młodszego brata Gerarda, który od kilku lat przebywał na dworze kuzyna Wilhelma IV d'Angouleme'a. Jaufre kilkakrotnie ponawiał życzenie, aby brat przybył do Blaye i pomógł mu wygnać najeźdźcę.

Apelował do niego, by zapomniał o dawnych sporach, ale na próżno. Gerard nie przybył.

Wówczas Jaufre zwrócił się do swego starego przyjaciela Ucale Bruna, pana na Lusignan. Wojowniczy i bezlitosny, szybko załatwił sprawę. Odprawił Vitrezais'a pod samą granicę, lecz Jaufre czuł, że niebezpieczeństwo nie minęło. Krewki młodzieniec da mu się jeszcze nieraz we znaki i będzie próbował zagarnąć jego ziemię.

Nic nie mogło rozproszyć smutku Jaufrego na widok kamieni i zgliszcz. Blaye znów było zniszczone, zbrukane, zbezczeszczone. Trzeba było budować od nowa.

Wszyscy pospołu zabrali się do dzieła. Jaufre czuwał nad tym, by zapanował znowu ład. Zmaltretowany jak jego ziemia, tęsknił za mną, ale nie mógł zostawić swoich ludzi i przyjechać do mnie.

W czerwcu 1139 roku zaczęły się upały. Od Bożego Narodzenia Alienor miała co rano gorączkę i nie chciała jeść. Odprawiła Denysa, który, zasmucony, spędzał całe dnie na wyczerpujących ćwiczeniach mieczem albo włócznią, by dobrze wypaść na turniejach. Ale choć od Wielkanocy odbyły się już dwa turnieje, królowa nie pojawiła się na żadnym z nich. Ludwik nie wiedział, jak ją udobruchać. Obawiał się, że stracił poważanie swej małżonki razem z synem, którego nosiła w łonie.

Spędzałam wówczas większość czasu na zabawianiu królowej, starając się przywrócić jej radość życia.

Tak upłynęło kilka miesięcy. Alienor trwała w gniewie. Tylko Cadurcowi wolno było ją widywać. Opat radził jej, by się modliła i czytała Biblię.

Tego ranka, po nabożeństwie, poprosił, by go przyjęła. Alienor, która źle się czuła, nie wzięła udziału w mszy. Od świąt wielkanocnych opiekował się nią pałacowy aptekarz, ale ponieważ jej stan zdrowia nie poprawiał się, postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce. Gdy tylko Cadurc zajął moje

miejsce przy łożu królowej, po-szłam do stajni. Niedaleko kościoła świętej Genowefy mieszkał pigularz, który sprowadzał proszki i rośliny ze wszystkich stron królestwa, nawet ze Wschodu. Z

pewnością znajdę u niego odpowiednie ingrediencje. Oparta o słup czekałam, aż stajenny osiodła Granoe. Nagle mój wzrok padł na ubłoconego mężczyznę, który podawał zwój pergaminu paziowi Beatrice. Mężczyźni nie zauważyli mnie, więc rozmawiali swobodnie:

- Proszę to przekazać panie de Grimwald. Czy mam czekać na odpowiedź?

- Nie, możesz odejść.

Już chciałam rzucić się w tamtą stronę, ale powstrzymałam się. Podążyłam w pewnej odległości za paziem. Tak jak przypuszczałam, skierował się prosto do apartamentów Béatrice. Ukryta za załomem muru, zaczekałam, aż wyjdzie, a potem wtargnęłam do pokoju ślicznotki. Na mój widok zbladła. Trzymała w dłoni pergamin. Nie zostawiając jej czasu na oprzytomnienie, wyrwałam jej dokument.

- Pani pozwoli?

Rzut okiem na podpis i już wiedziałam - Jaufré! Serce zabiło mi z wściekłości.

Béatrice uniosła dumnie głowę.

- Jak śmiałaś tu wejść?

- Jak ty, pani, śmiesz przechwytywać list, który nie był przeznaczony dla ciebie?

- To pożałowania godna pomyłka. Właśnie się zorientowałam, że ten list jest do ciebie.

Zaśmiałam się szyderczo. Stanowczo ta suka bierze mnie za głupią gąskę.

Podeszłam bliżej. Cofnęła się. Bała się mnie. To było widać.

- Przypuszczam, że właśnie chciała mnie pani o tym zawiadomić.

- Oczywiście! - rzuciła. Rozpaczliwie próbowała odzyskać swoją wyniosłość.

Miałam dość tej zabawy.

- Gdzie są pozostałe listy? - zapytałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zuchwale podniosła głowę.

- Nie wiem, o czym raczysz mówić!

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Béatrice. Mam dosyć tych sztuczek!

Nawet sobie nie wyobrażasz, do czego jestem zdolna.

Próbowała się roześmiać.

- Oczywiście! Przecież to nie ja usiłuję otruć królową! Zdrętwiałam ze zgrozy, ale przypuszczając, że to jakiś podstęp,

rzekłam:

- Jeśli sądzisz, że uda ci się wykręcić tymi oskarżeniami, to jesteś w błędzie. Wiem, że przetrzymujesz również inne listy. Chcę je dostać, Béatrice.

- Do diabła z tymi bzdurami! Co pomyśli król o twoich konszachtach z czarownicą z lasu? Jestem pewna, że domyśli się, jaki to ma związek ze złym stanem zdrowia jego żony. Spiskowanie z Tomaszem Becketem o sojuszu Jego Królewskiej Mości z Anglią?

Byłam ogłuszona. Ta mała chce mi zaszkodzić. Miałam już tego dość. Jednym susem znalazłam się przy niej. Byłam tak rozwścieczona, że przerażona Béatrice zaczęła uciekać. Zapędziłam ją w kąt, a wtedy ona zaczęła wzywać pomocy, ale tak cicho, że jej głos nie zdołał się przedostać przez zamknięte drzwi. Miałam ochotę spo-liczkować ją z całej siły.

- Wierz sobie, w co chcesz, idiotko - syknęłam ze złością. - Mało mnie to obchodzi!

Nigdy mi niczego nie udowodnisz! A teraz gadaj, gdzie jest to, czego szukam, albo klnę się na Boga, że obiję ci tę twoją słodką buzię.

Zbladła ze strachu i wybełkotała parę słów, których nie zrozumiałam. Kazałam jej powtórzyć, ale ona tylko wskazała bojaźliwie sekre-tarzyk, wyposażony w dobry tuzin szuflad.

Puściłam ją, a wtedy ona osunęła się w dół po ścianie, na poły zemdlona.

Otwierałam kolejno szuflady i bez żenady je przeszukiwałam. W czwartej szufladzie znalazłam około dziesięciu pergaminów z pieczęcią, którą od razu rozpoznałam. Zabrałam je i odwróciwszy się ku żalosalnej już teraz postaci, powiedziałam tonem pogroźki:

- Niech cię jeszcze raz na tym przyłapię! Wepchnę ci do gardła wszystkie te podłe insynuacje pod moim adresem!

I odwróciwszy się na pięcie, wyszłam.

Zamknęłam się w swoim pokoju i żarliwie wczytywałam w słowa pisane ręką Jaufrégo. We wszystkich listach mój ukochany błagał, abym mu odpisała, pisał o kłopotach, które nie pozwoliły mu się ze mną połączyć, i pytał o powody mojego milczenia. Czy miałam kogoś innego? Umierał z miłości. Byłam wstrząśnięta.

Przysięgłam sobie, że ta suka zapłaci mi za jego cierpienia. Wzięłam pióro do ręki i bezzwłocznie mu odpisałam. Wyjaśniłam wszystko i przysięgłam wierność na zawsze.

W kilka godzin później posłaniec, do którego miałam bezgraniczne zaufanie, wyruszył do Blaye, a ja

udałam się do pigularza. Wzię-

tam więcej ziół, niż potrzebowałam, by nie domyślił się, jakie były mi naprawdę potrzebne, a potem - upewniwszy się, że nikt nie widział mnie wychodzącej ani powracającej, rzuciłam na aptekarza czary, aby zapomniał o mojej wizycie.

Po powrocie do pałacu przygotowałam proszek i po ośmiu dniach Alienor była zdrowa i silna. Cadurc gotów był przysiąc, że to dzięki jego modlitwom, pigularz -

że to zasługa jego medykamentów, a Beatrice z pewnością uważała, że to dlatego, iż mnie zdemaskowała. Ale nikt, nawet królowa, nie wiedział, że każda szklaneczka ziół, którą jej podawałam, gdy byliśmy sam na sam, wlewała w jej ciało wigor, którego jej brakowało.

Beatrice od kilku dni nie pokazywała się na dworze. Krążyły pogłoski, że była cierpiąca. Cieszyłam się, że ją zmołam, ale poprzysięgłam sobie, że będę ostrożna.

Ta diablina była zdolna do zemsty.

Odpowiedź Jaufrego była krótka i wprawiła mnie w zachwyt: „Jakże mogłem zwątpić w ciebie, skoro każdy podmuch wiatru przynosi mi twoje drżenie!

Uwielbiam cię!”.

Gdy lato 1139 roku zagościło na dobre, dwór przeniósł się na południe. Denys pojechał do Chatellerault zobaczyć się z ojcem. Loriane była przygaszona, gdyż nie mogła pogodzić się ze śmiercią najmłodszego syna Teodoryka, którego ostatniej zimy zabrała gorączka. Chciałam ją pocieszyć, ale była pogrążona jakby we śnie i nic do niej nie docierało. Denys ucałował ją delikatnie w policzek, ale i to jej nie poruszyło.

Zanim odgrodziła się od wszystkich milczeniem, wyrzucała mężowi niesprawiedliwość losu, który zabrał jej własnego syna, a nie bękarta, którego musiała wychowywać wbrew swojej woli. Pierwszy raz odważyła się wypomnieć mężowi niewierność. Ciężar, który dźwigała w milczeniu przez siedemnaście lat, i ostatni cios zmąciły jej umysł. Loriane miała umrzeć. Wiedziałam o tym i nie mogłam nic na to poradzić. Hrabia pogodził się z wyrokiem - on także to przeczuwał. Zapewne miał poczucie winy, choć nie pokazywał tego po sobie. Jednakże na odjeźdźnym poprosił królową na stronie, by zatroszczyła się o jego „bękarta”, którego tak kochał. Prosił też, aby nadała mu tytuł, który uchroniłby go przed nienawiścią starszych braci. Alienor obiecała mu to.

Na szczęście w Poitiers nastrój był inny. Delegacja królewska została przyjęta okrzykami: „Noel!” i „Monjoie!”. Wśród nich - jak obelga - rozbrzmiewało imię króla zamiast imienia księżniczki Akwitanii.

Alienor zbladła i zacisnęła zęby. To Suger był odpowiedzialny za popularność Ludwika na jej własnej ziemi. To Suger złagodził wymiar kary, której się domagała, gdy mieszkańcy Poitou utworzyli komunę. To Suger złamał prawo i stanął

między jej mężem a nią, między jej wasalami a nią! Suger! Zawsze Suger!

Obiecała sobie, że przy pierwszej okazji każe mu za to zapłacić.

Zwiedziliśmy także Bordeaux, gdzie Pernelle, piękniejsza niż zwykle, pędziła spokojny żywot. Gotfryd du Lauroux, arcybiskup, szanowany przez ich zmarłego ojca, czuwał nad edukacją dziewczyny, doglądał zarządzania księstwem. Alienor zatwierdziła jego wydatki i zaprosiła siostrę do Poitiers. Zachwycona Pernelle wyruszyła razem z całym dworem. Z końcem lata miała podążyć z nami do Paryża.

Jaufre często nas odwiedzał. Podczas każdej jego wizyty płonęłam cała z miłości i szczęścia; należałam doń ciałem i duszą. Dałabym wszystko za to, bym mogła zapomnieć, kim jestem, i mogła połączyć się z nim na zawsze!

Zaledwie kilka dni po przybyciu do Poitou Alienor zażądała, byśmy udali się do Talmont. Chciała na własne oczy przekonać się, czy wymierzono karę jej wasalowi Wilhelmowi de Lezai, który wkrótce po wydarzeniach kwietniowych ukradł dla żartu sokoły należące do książąt Akwitanii. Po powrocie z Poitiers Ludwik kazał mu obciąć stopy. Chciał w ten sposób złagodzić gniew żony. Alienor nawet nie drgnęła na widok gnijącego ciała zwisającego ze słupów. Wilhelm de Lezai umierał z powodu gangreny, ale jej to nie wzruszało. Alienor stała się okrutna, utrata dziecka obudziła w niej pierwotne instynkty. Ponieważ odmówiono jej prawa wydania na świat dziecka, pokaże wszystkim, kim jest królowa Francji!

Nie było mi więc trudno rozbudzić w niej na nowo nienawiść do Alphonse'ajourdaina, hrabiego Tuluzy, tak jak nienawidził go jej ojciec. Miała zamiar dochodzić swoich praw do hrabstwa, należnych jej po babce Philippie, którą trubadur Wilhelm kazał zamknąć w Fontevrault, aby oddać się kazirodczej namiętności. Odkąd dowie-

działam się, że jest moim ojcem, nie była to dla mnie myśl niemiła; odczuwałam mściwą satysfakcję za afront, jakiego doznała moja matka. Wilhelm wygonił

Philippę, podobnie jak Ginewrę de Grimwald, jego potajemną kochankę. Było rzeczą oczywistą, że Alienor - a poprzez nią i ja - powinna odzyskać swoje dziedzictwo.

Ta nowa idea nie przypadła Ludwikowi do gustu. Hrabiemu Tuluzy nie można było niczego zarzucić i zaatakowanie tego potężnego wasala bez wyraźnego powodu mogło mieć nieobliczalne konsekwencje. Alphonse Jourdain uchodził bowiem za osobnika okrutnego, pewnego siebie i skorego do bitki. Ludwik zapytał o zdanie Raula de Crecy'ego, którego wezwał do siebie, rozczarowany negatywną i bierną postawą Tybalda z Szampanii. Raul orzekł, że gra jest niewarta świeczki. Alienor musiała więc wziąć go na stronę i przypomnieć mu o pewnej sprawie, aby - choć niechętnie - złagodził stanowisko stwierdzeniem: „Ale gdy się ma dobre wojsko...”

Alienor nalegała. Ludwik ustąpił jesienią 1139 roku, po naszym powrocie do Paryża. Zdobędzie Tulużę. Nie było jednak łatwo zebrać armię, która zdoła stawić czoło tuluzańcykom. Ludwik zwlekał z rekrutacją i opieszale zawierał sojusze z możliwymi swego królestwa. Potrzeba było osiemnastu miesięcy, w czasie których wędrowaliśmy od baro-nostw do hrabiostw, ciągnąc za sobą coraz liczniejszy dwór.

Czas płynął nieubłaganie niczym lawa z wulkanu. W żyłach Alienor kipiała krew.



Krzyknęłam i obudziłam się. Przeszył mnie straszliwy, niewytłumaczalny lęk. Była pełnia księżyca. Nocną ciszę zakłócało jedynie pohukiwanie sowy, dochodzące z pobliskiego drzewa.

Było mi zimno, czułam ten chłód głęboko, gdzieś w trzewiach. Okryłam się wełnianą kołdrą. Leżałam w łóżku. Sama. Spałam sobie spokojnie i nagle pojawił

się ten straszny obraz. Zobaczyłam moją matkę. Na skroni miała rozległą ranę. Jej oczy były pozbawione życia, a w moich uszach rozległ się jej szept: „Skończył się mój czas, Canillette. Pamiętaj, że cię kocham”.

Grube łzy popłynęły mi po policzkach. Na próżno powtarzałam sobie, że to tylko koszmarny sen, w głębi duszy wiedziałam, że tak

nie jest. Czułam się tak, jakbym została pozbawiona części mnie samej.

- Och, matko, boję się! Błagam cię, matko, odpowiedz! Przyjdź do mnie! Nie zostawiaj mnie! Mamo! Mamo! Odpowiedziała mi bolesna cisza.

Alienor przytuliła mnie czule do siebie. Nie płakałam. Zabrakło mi łez. Wylałam już wszystkie. Cierpiałam.

Wypadek miał miejsce tego ranka, kiedy przyśnił mi się ten straszny sen. Koń przestraszył się czegoś, potknął się i zrzucił moją matkę w przepaść. Ginewra rozbiła się o skały. Było to jedenastego kwietnia 1141 roku.

Wyjechałam do Normandii, zostawiwszy Alienor w Poitiers, gdzie od kilku tygodni czekała na triumfalny powrót Ludwika po zwycięstwie odniesionym nad hrabią Tuluzy.

Gdy przyjechałam na miejsce, powitała mnie pobladła Matyllda. Odgadłam, że ona też odczuwała ból i lęk. Podobnie jak ja, bała się nadchodzących dni - bez porad i pociechy ze strony mojej matki. Objęła mnie serdecznie, nazywając mnie swoją

„kochaną malutką”. Gotfryd zmienił się. Jego jasna czupryna przerzedziła się i posiwiała, podobnie jak broda. Ucałował mnie, obdarzył komplementami. Potem matka chrzestna poprowadziła mnie do Ginewry która leżała, raptem taka malutka, w czarnej sukni na białym prześcieradle, wśród czerwonych róż. Ktoś włożył

między jej delikatne ręce drewniany krucyfiks. Uśmiechnęłam się. Jakże bawiłbyją ten szczegół, ją, która kochała Boga tylko dlatego, by zrobić przyjemność Matyldzie. Otarto krew z jej skroni i oczyszczono ranę wielkości dłoni.

Matyllda wycofała się na palcach. Zostałam sam na sam z matką. Jakie to dziwne.

Widok martwej Ginewry nie sprawiał mi bólu. Wiedziałam, że moja matka, którą pamiętałam jako

czułą kobietę, już to płaczącą, już to roześmianą, jest gdzie indziej.

Leżała uśpiona wśród świata żywych, którego byłam częścią, a ja tak bardzo chciałam poczuć, jak obejmuje mnie ramionami, usłyszeć jej śmiech. Jednocześnie wspomnienie Merlina i jego potęgi sprawiło, że czułam jej obecność mocniej niż kiedykolwiek. Przez chwilę miałam ochotę zajrzeć do księgi czarów i przywołać magicznymi zabiegami jej duszę, uwięzić ją. Nie miałam jednak prawa tak uczynić.

Rozmawiałyśmy o tym kiedyś. Zapytałam, dlaczego nie przywołujemy zmarłych wtedy, gdy odczuwamy ich brak. Ginewra odpowiedziała z całą powagą:

- Gdy człowiek kończy swoją misję na tym padole, jego dusza nie umiera wraz z ciałem. Jest bowiem nieśmiertelna i obecna we wszystkim, co żyje. Ta energia musi się stale odnawiać, aby znów podlegać redystrybucji. Jeśli złamiesz ogniwo w tym łańcuchu, powodowana egoizmem, osłabisz równowagę we wszechświecie, po-zbawisz jej kogoś lub coś. A nie ma nic gorszego niż ciało bez duszy.

- Przecież nie można żyć bez duszy, matko.

- Można, Canillette. Wszystko jest tylko skupiskiem materii mniej lub bardziej zorganizowanej, w zależności od tego, czy jesteś ziarnkiem piasku, drzewem czy człowiekiem. Dusza to dodatkowa iskierka, która łączy cię z kosmosem.

- A jeśli się jej nie ma, jest się tylko kukłą?

- Można tak powiedzieć.

- Ale ty, matko, nie umrzesz, prawda?

- Oczywiście, że umrę, kiedy przyjdzie mój czas. Taka jest kolej rzeczy i nawet my, druidzi, nie możemy tego zmienić. Co więcej, powinniśmy strzec tej równowagi, bez której nasza egzystencja nie miałaby sensu.

- Nie chcę, żebyś umarła.

- To nasze ciało ginie, Canillette. Ja będę istniała w innej postaci, gdzie indziej. W

dniu, w którym mnie już nie będzie, będę istnieć bardziej, będę jeszcze jedną iskierką twojej energii, na dnie twego serca.

Iskierka na dnie mego serca, której wspomnienie rozjaśniać będzie zawsze chwile zwątpienia czy samotności - oto czym moja matka będzie teraz. Tyle się od niej nauczyłam, tyle otrzymałam w darze. Muszę być tego godna.

Oderwałam wzrok od jej zamkniętych powiek, od jej twarzy zmienionej przez tę ranę. To ciało oczekujące na całun nie było już moją matką. Teraz była to tylko materia, której istnienie przerwała śmierć. Nie czuwa się przy ciele bez duszy.

Panujące na zewnątrz wiosenne ciepło dobrze na mnie podziało. Powoli wracały mi siły. Nie bałam się już. Wróciłam do życia nagle, gdy z impetem wpadł na mnie mały chłopiec o rudych gęstych włosach. O mało nie upadłam, gdy podciął mi nogi.

- Henryku! - zawołałam.

Objął mnie szczupłymi ramionkami i uśmiechnął się do mnie łobuzersko. Buzię miał umorusaną konfiturami.

- Się masz, Nillette!

Gdy uklęknęłam przed moim małym królem, objął mnie za szyję, a ja uściskałam go mocno, mocno - z całego serca.

- Nie płacz, Nillette! Przecież ja cię kocham!

- Ja nie płaczę, Henryczku. Nie płaczę.

- A właśnie że płaczesz! To normalne, jesteś dziewczyną!

Miał rację, te głupie łzy wciąż spływały mi po policzkach! Nie wiedziałam, czy ze zmartwienia, czy z radości.

- Kiedy zostanę królem, ożenię się z Alienor... Powiedz, Nillette, czy muszę się ożenić z Alienor?

Ośmioletni Henryk siedział w fotelu książąt Normandii z poważną miną. Ostatnie zdanie wypowiedział zatroskanym tonem. Przedtem walił piąstką w oparcie ruchem, który podpatrzył u swego ojca, kiedy spierał się z wasalem.

- Dlaczego pytasz? Alienor jest piękna, spodoba ci się.

- Taka piękna jak ty Nillette? Uśmiechnęłam się, gładząc czule jego główkę.

- Jeszcze ładniejsza niż ja.

- Ach! - westchnął przeciągle, zsunął się z fotela i usiadł mi na kolanach, przytulając swoją główkę do mojej głowy.

Gdyby Gotfryd go zobaczył, z pewnością by się rozgniewał. Nie pozwalał

rozpieszczać Henryka. Tymczasem to dziecko pragnęło czułości. Pamiętam, że jako zupełny malec tulił się do mnie z taką samą ufnością jak teraz. On też o tym nie zapomni.

- Co cię gnębi? - zapytałam.

Henryk wzruszył ramionami i odpowiedział cicho, z zakłopotaniem:

- Wolałbym się ożenić z tobą, Nillette.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Przytuliłam go mocniej. Zerknął na mnie ponuro i uderzył mnie pięścią w ramię.

- Jesteś niedobra! Śmiejesz się ze mnie!

Ten chłopak był naprawdę niezwykle silny, lecz nie umiał zapanować nad swoimi instynktami, a ponadto nie był zbyt dobrze wycho-

wany. Pomyślałam, że powiem na ten temat jakieś gorzkie słowo bratu Briscautowi.

- Przepraszam cię, Nillette! Bardzo cię przepraszam! Ucałował mnie wylewnie w oba policzki.

- Wystarczy, mój panie, dość tego! Popatrz na mnie.

Spojrzał na mnie kochającym wzrokiem, co rozculiło mnie jak dawniej. Ale musiałam nauczyć go moresu. Przybrałam poważną minę, tak jak matka postępowała wobec mnie, i zaczęłam mu tłumaczyć:

- Nie możesz ożenić się ze mną, Henryku. Będiesz królem, a ja nie mam posagu.

Alienor jest bogata, piękna, rozumna, będzie dobrą królową i na pewno ją pokochasz.

- To niemożliwe! Ja kocham cię, Nillette!

- Będzie tak, jak mówię, Henryku. Zobaczysz.

- Gdy zostanę królem, dam ci dużo ziemi i będziesz mogła mnie poślubić.

- To nie takie proste. A poza tym moje serce należy do kogoś innego.

Jego oczy najpierw posmutniały, a potem zapalił się w nich płomyk gniewu.

- Gdy będę królem, zabiję tego, którego kochasz i już!

- Też mi obyczaj! Jeśli nie będziesz posłuszny, wrzucę cię do kurnika.

- Nie zrobisz tego!

Uniosłam palec nad jego głową i przybierając diabelską minę, rzuciłam:

- A więc spróbujemy. Czary-mary abrakadabra...

Henryk zerwał się i uciekł ze śmiechem. Resztę poranka spędziliśmy na zabawie w chowanego w na poły zrujnowanym skrzydle zamku, dokąd mnie zaciągnął.

W cztery dni później rzuciłam garść ziemi na trumnę Ginewry de Grimwald.

Matylda nie miała nic przeciwko temu, bym przed pogrzebem zajmowała się Henrykiem, gdyż miała nadzieję, że to mnie podtrzyma na duchu. Ja natomiast uszanowałam obyczaj, zgodnie z którym co noc należy czuwać przy zmarłym, aby

„złe duchy” - jak mawiał brat Briscaut - nie zawładnęły jego duszą, dopóki jest na ziemi. Miałam ochotę odpowiedzieć mu, że ona jest już rozproszona w czasie i przestrzeni i zmieniła się w inną substancję, ale po co mia-

labym to czynić! Wierzył w swój raj i nie był to czas ani miejsce, by rozpocząć z nim spór. Moja matka żyła we mnie - na zawsze. I to była jedyna prawda. Moja prawda.

Zostałam jeszcze jakiś czas wśród swoich. Henryk nie chciał, żebym wyjechała. Z

troską obserwowałam, jak z każdym dniem stawał się coraz bardziej impulsywny i despotyczny. Gdy dostawał klapsa, wkładał biały kamyczek do skórzanej sakiewki, którą przytroczył do pasa. Nigdy nie płakał ani nie skarżył się, tylko skórzany woreczek robił się coraz cięższy. Henrykiem nie umiał pokierować ani brat Briscaut, ani Bernaude, którą wydano za Benoita, syna Vavasseura z Angers. Mimo że miała dwoje dzieci, jedno w wieku dwóch, drugie trzech lat, nadal zajmowała się Henrykiem. Matylda była zaprzęgnięta szpiegowaniem swego kuzyna. Gotfryd Piękny zaś, który miał już zmarszczki i spory brzuszek, nie był już taki piękny jak za młodu. Większość czasu spędzał na wojowaniu i zawieraniu traktatów, aby swemu starszemu synowi zapewnić godne królestwo.

Henryk miał młodszego brata Gotfryda, który był jego całkowitym przeciwieństwem. Spokojny i stateczny, niejednokrotnie cierpiał przez tego łobuziaka, który przewyższał go o głowę. Henryk miał wyrosnąć na wysokiego mężczyznę, wyższego od ojca, o czym świadczyły jego duże dłonie i stopy. Choć wydawać się to mogło dziwne, Henryk uważał, że tylko on ma prawo karcie swego młodszego brata. Gdy tylko ktoś inny spróbował to uczynić, bronił Gotfryda i brał

na siebie przewinienia, które przypisywano młodszemu z chłopców.

Było doprawdy zastanawiające, że Matylda wydała na świat dwóch synów tak różniących się od siebie wyglądem i usposobieniem.

Gdy się dowiedziałam, że po ukończeniu nauki mój przyjaciel Tomasz Becket wrócił na początku marca do Anglii i że działa teraz na rzecz Matyldy, wróciłam do Poitiers.

Dopiero podczas długiej podróży do mej duszy zakradł się straszliwy, niedający się opanować lękojaufrego. Przez ostatnie półtora roku nieustannie walczył w obronie swoich zagrożonych włości. Zadowalałam się jego krótkimi wizytami, które dawały mi poczucie spełnienia. Tylko raz, w grudniu 1140 roku, napomknął o ślubie. Było to w Bourges, gdzie dwór spędzał święta Bożego Narodzenia. Po-

wiedziałam, że to niemożliwe. Od tamtej pory nie nalegał. Potrzebowałam go, a jednak musiałam się wyrzec tej miłości. Sytuacja była bez wyjścia, tym bardziej po śmierci mojej matki.

Po czterech miesiącach ciąży Aliénor znowu straciła dziecko, a w dodatku Ludwik wrócił

upokorzony z Tuluzy, nie przelawszy ani kropli krwi. Miasto było nie do zdobycia i lepiej strzeżone niż niejedna fortyfikacja królewska. Armia Ludwika okazała się za słaba wobec waleczności przeciwnika. I tym razem Tybald z Szampanii nie przybył na pomoc. To było nie do wytrzymania!

Atmosfera w pałacu hrabiowskim również. Alienor była w strasznym nastroju i prawila złościwości każdemu, kto uczynił jakąkolwiek aluzję do jej osoby.

Znalazłam się zatem w samym ogniu ścierających się interesów.

Jaufre czekał na mój powrót, wierząc, że swoją obecnością wesprze mnie w trudnych chwilach. Jak miałam mu wytłumaczyć, że pustkę pozostawioną przez Ginewrę mogła zapełnić jedynie misja, do której zostałam powołana? Wiedziałam, że tego nie zrozumie. Musiałabym opowiedzieć mu wszystko o moim pochodzeniu i o wiedzy, jaką druidzi przekazują sobie z pokolenia na pokolenie. Nie miałam jednak prawa tego uczynić. Jeszcze nie teraz.

Czułam się niewolnicą mego przeznaczenia, bez prawa ucieczki. Musiałam działać na rzecz połączenia Henryka i Alienor, zapominając o sobie samej.

Odsunęłam od siebie Jaufrego mimo namiętności, jaką doń czułam i mimo jego rozpacz. Najgorsze było to, że nic mogłam mu podać prawdziwego powodu. Mój trubadur postanowił być cierpliwy, kładąc moją niestałość na karb bólu po stracie matki. Ten ból był rzeczywisty, ale nie z powodu jej odejścia, ale dlatego, że zanadto go kochałam. Z rozpacz rzuciłam się w nurt dworskiego życia.

Ludwik miał minę zbitego psa. Udało mi się uspokoić Alienor: na Tuluzę przyjdzie jeszcze kolej. Najważniejsze było to, że Ludwik był podporządkowany żonie.

Znajdą się inne sposoby pokonania przeciwników, a przede wszystkim Tybalda z Szampanii, który działał na nerwy i mnie, i jej. Gdyby udało się uzyskać jego poparcie, hrabia Tu-

luzy musiałby się ugiąć. Zapłaci za to. Znajdę na to sposób, i to niedługo.

Moja królowa otworzyła skarbiec książęcy i w dowód miłości ofiarowała Ludwikowi wazę wyciosaną z berylu. Chciała mu pokazać, iż nie żywi doń żalu.

Prawda jednak była taka, że miała nadzieję, iż to on wybaczy jej wspaniałomyślnie kolejne poronienie.

Postanowiono przedłużyć pobyt w Akwitanii aż do końca ładnej pogody. Wtedy nastąpiło coś, czego się nie spodziewałam. Pernelle, młodsza siostra Alienor, wyrosła na ponętą dziewczynę i zerknęła rozkochanym wzrokiem na Raula de Crecy'ego, który mógłby być jej ojcem. Hrabia de Vermandois nie zwracał uwagi na to dziecko, zanadto zajęty zaglądaniem w dekolty pań biegłych w sztuce miłości.

Pernelle nie była jeszcze w wieku stosownym do zawarcia małżeństwa. Jednakowoż szybko pojęłam, że jeśli jej pociąg do niego okaże się trwały, będzie to dla mnie okoliczność sprzyjająca. A więc zajęłam się - w sposób jak najbardziej niewinny -

ułatwianiem spotkań Pernelle z Raulem.

Na początku września 1141 roku pan de Crecy już nie potrzebował korzystać z moich usług i odbywał długie przechadzki z siostrą królowej po ogrodach pałacowych.

W tym samym miesiącu dowiedziałam się, że Matylda zwyciężyła. Osiadła na tronie angielskim i pokonała Stefana z Blois, który popełnił głupstwo, zawierając nieodpowiednie sojusze. Anglia należała do nas!

Jaufre krążył od swoich włości do Bordeaux, z Bordeaux do Poitiers, dołączając do nas na postojach, i biesiadował z trubadurami. Za każdym razem, gdy napotykałam jego spojrzenie, odwracałam głowę, gdyż miałam ochotę rzucić mu się w ramiona, łamiąc wszystkie swoje postanowienia. Gdy odjeżdżał, czułam się tak, jakby mi ktoś wbijał sztylet w piersi; chciałam zostawić wszystko i biec za nim.

Najbardziej drażniło mnie to, że spędza czas w towarzystwie 'Beatrice. Ta podstępna łajdaczka nie przepuściła żadnej okazji, by uczeplić się jego ramienia i zaciągnąć w ustronne miejsce, rzekomo po to, aby „cieszyć się jego muzyką tam, gdzie ją słyszeć najlepiej”. Jednak naprawdę chodziło jej wyłącznie o to, żeby mnie jak najmoc

niej zranić, a czytała we mnie jak w otwartej księdze. Béatrice była piękna, łagodna, szczodroblowa i Jaufre uległ jej urokowi. Może chciał wzbudzić we mnie zazdrość?

Postanowiłam nie słuchać mego serca. Jaufre zawiódł mnie.

Wyspa Cité powitała nas z początkiem jesieni 1141 roku. Suger promieniał.

Planował w lutym przystąpić do rozbudowy opactwa. Jego upodobanie do wystawności, które zarzucał mu Bernard z Clairvaux, miało tu osiągnąć swoje apogeum. Choć ubierał się skromnie, by zadośćuczynić życzeniu świątobliwego męża, nie było wątpliwości, że opactwo Saint-Denis będzie dla niego godną oprawą.

Nigdy jeszcze nie widziałam takiego blasku w jego błękitnych oczach. Jeśli dążył do zaspokojenia swych własnych ambicji, zostawi nas w spokoju. Zacierałam rękę.

- Nie mogę, Denysie. Nie miej do mnie żalu, proszę, należę do niego ciałem i duszą.

Denys wypuścił z ręki niesforny kosmyk moich włosów. Aliénor nie kochała go już, odkąd pokochała władzę, więc pociąg, jaki do mnie odczuwał, wzmógł się, gdy zobaczył, że porzuciłam Jaufre'go. Był coraz bardziej natarczywy.

- Kochasz go i uciekasz od niego. Wybacz, nie rozumiem cię, Lo-anno!

- Jesteś moim przyjacielem, Denysie. Ryzykowałeś dla mnie życie, ale nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

- Nie miałyby to sensu, ponieważ i tak wszystko wiem. Zbladłam. Uśmiechał się kpiąco. Był taki

pewny siebie. Przeszył

mnie dreszcz. Denys przyciągnął mnie do swej potężnej piersi, tak jak niegdyś, po bratersku. Nie zwracałam na to uwagi, dopóki nie zaczął na mnie nastawać.

Zesztywniałam, chcąc mu się oprzeć, jednak wobec jego siły mój opór stopniał. Od tak dawna nikt mnie nie obejmował tak mocno i nie pieścił tak czule moich włosów.

Czułam ucisk w gardle, wiedząc, że nareszcie jestem bezpieczna. Szepnął:

- Jakie intrygi może snuć córka czarownicy na dworze królowej Francji?

Nie miałam odwagi się poruszyć. Denys rozluźnił uścisk.

- Nie bój się. Nie jestem twoim wrogiem. Śledziłem cię, bo się bałem, że cię stracę.

Zabrało mi to trochę czasu, a pomógł mi Tomasz Becket.

Odepchnęłam go, nie mogąc uwierzyć w to, że Becket mnie zdradził, i czując lęk przed zdemaskowaniem. Ale Denys uśmiechał się czule. Zapewne odgadł moje obawy. Zanim zdążyłam zadać mu pytanie, które cisnęło mi się na usta, odpowiedział:

- Tomasz nie chciał wracać do Anglii, nie będąc pewny, że zostawia tu przyjaciela, na którego mogłabyś liczyć. Opowiadałaś mu o naszej znajomości. Obserwował

przez jakiś czas, czy może mi zaufać. Na kilka dni przed wyjazdem wyjaśnił mi wszystko, uzupełniając to, co już wiedziałem. Mogłem opowiedzieć o wszystkim Alienor, moje miejsce u jej boku dawało mi przewagę. Nie uczyniłem tego, Loanno, i nigdy, słyszysz, nigdy nie uczynię nic przeciwko tobie, przeciwko temu, kim jesteś i co sobą reprezentujesz. Znadto cię szanuję, poważam i kocham, bym mógł cię skrzywdzić. Kocham cię, Loanno de Grimwald.

Mogłam się teraz spokojnie wypłakać w jego aksamitny kaftan. Od tak dawna byłam sama z moją tajemnicą!

Szeptał mi czule w ucho, przypieczętowując każde zdanie delikatnym pocałunkiem:

- No dobrze, już dobrze, gołąbeczko. Wszystko będzie w porządku. Nie opuszczę cię nigdy, obiecuję. Nigdy nie będziesz miała lepszego przyjaciela. Płacz, gołąbeczko.

Kołysał mnie długo w ramionach, aż obeschły mi łzy na policzkach i odzyskałam mowę. Mogłam powiedzieć tylko jedno słowo:

- Dziękuję.

Pocałunek, jaki wycisnął na mych słonych wargach, miał dobroczynne skutki: znikło zwątpienie, lęk i rozpacz. Uwolniłam się z jego uścisku.



- Ponieważ wiesz już wszystko, zrozumiesz, dlaczego odepchnęłam Jaufrego.

Dlaczego w ogóle nie mogę mieć kochanka. Poza tobą są inni ludzie, którzy wiedzą o mojej misji i uczynią wszystko, żeby Ludwik i Alienor pozostali razem. Myślą zapewne, że wygrali, sprzyjając temu związkowi, lecz nie wiedzą, że to jeszcze nie koniec. Muszę być czujna, polegać tylko na własnych przecuciach. W moim życiu nie ma miejsca na miłość. Popatrz, jak Beatrice wykorzystuje moje uczucie do Jaufrego, by przysporzyć mi cierpień.

Oczy Denysa posmutniały. Wiedział o czymś, czego ja nie wiedziałam.

- Co takiego? - zapytałam, a serce biło mi w piersiach jak oszalałe.

Denys uczynił gest zakłopotania, a potem niechętnie powiedział:

- 'W gruncie rzeczy lepiej, żebyś o tym wiedziała. Starałem się to przed tobą ukryć, aby ta bestia nie zatriumfowała, ale... Jaufré od niedawna zamieszkał w oberży na Ile de la Cité. Na placu Châtelet kilku kłownów wystawia tragedię. Jaufré dołączył do nich.

- I...?

- Od kilku dni Béatrice przychodzi do jego pokoju. Opadłam bezsilnie na fotel. Nie mogłam w to uwierzyć. Nic nie

widziałam, nic nie czułam. Czy opuściła mnie moja moc? Nie, to niemożliwe, Jaufré nie mógłby tak postąpić.

Denys ukląkł i ujął moje zlodowaciałe ręce w swoje dłonie.

- To nieprawda, Denysie. Nie zrobiłby tego.

- Wybacz, gołąbeczko, ale mam niezbite dowody.

- Mogłaby nosić jego dziecko w łonie? Och, nie, nie!

- Nie sądzę. Popatrz na mnie, Loanno.

Ale moje oczy przysłonięte były mgłą, nic nie widziałam.

- Béatrice poszła do czarownicy z mokradeł po napój, który czyni ją bezpłodną.

Byłam zdruzgotana. Czyżby zawiodła mnie intuicja? A ja byłam taka pewna siebie!

I znów Denys mnie pocieszył:

- Kazałem ją śledzić w dzień i w nocy, Loanno. Ona nie pragnie Jaufrégo. Nie kocha go. Płonie z namiętności do Ludwika, który uważają niemal za świętą. Nie może być brzemienna z innym mężczyzną. Nigdy nie zostanie królową, więc chce być chociaż świętą z obrazka. Kieruje nią tylko

chęć zemsty. Przechwyciłem kilka ano-nimowych bilecików, które kazała ci zanieść, bo chce, żebyś ich przyłapała -ją i Jaufrégo. Chce cię zniszczyć i dobrze wie, jak cię ugodzić. Jaufré jest bezbronny.

Nie wiem, jak się do tego zabrała, ale nietrudno zgadnąć, że chciała wzbudzić w nim zazdrość.

- Więc on mnie jeszcze kocha? - wybełkotałam i znów obudziła się we mnie nadzieja.

- Z całą pewnością, i to bardziej niż ktokolwiek na świecie, bardziej niż ja sam mógłbym cię kochać, Loanno.

- Och, Denysie!

Ujęłam jego twarz w obie ręce. Denys był mi wierny, nie wątpiłam w to. Nagle dostrzegłam to, czego nie chciałam dotąd widzieć. Trzeba było zaprzestać tej okrutnej zabawy, odesłać Jaufrégo do jego włości, posłużyć się Béatrice przeciwko niej samej, zbliżając ją do Ludwika, ale przedtem...

- Kochaj mnie, Denysie.

Przez chwilę był zaskoczony, ale ja uśmiechałam się teraz szczerze. Położyłam jego rękę na mojej piersi i dodałam cicho:

- Tylko jeden raz. Ten jeden raz, a potem znowu będziemy tylko przyjaciółmi.

Nieprzytomny ze szczęścia, wziął mnie w ramiona i ułożył na dywanie obok płonącego kominka.

Pierwsze listopadowe przymrozki oczyściły zatrute powietrze starego miasta.

Uliczka o smętnej nazwie Brenneuse to ponure miejsce - pełne szczurów i tłustych kotów, które toczyły ze sobą nieustanną walkę.

Zastawiliśmy pułapkę przy pomocy żołnierza o nazwisku Duviol, który był

przyjacielem Denysa. Jego informacje były ścisłe.

Tuż po niesporach ukazała się Béatrice, otulona w czarną pelerynę. Szła w towarzystwie mężczyzny, którego rozpoznałam. Był to Barnabe de Monthoux, cichy poplecznik Sugera. Nic więc dziwnego, że starzec zlecił mu ochronę swej protegowanej.

Wystarczyła chwilka. Duviol skoczył z okna prosto na plecy Barnabego i zadał mu: cios w głowę, a Denys złapał ślicznotkę od tyłu. Béatrice wydała okrzyk przerażenia, stłumiony szmatką nasączoną walerianą, przyciśniętą do jej twarzy.

Machała rękami i padła zemdlna prosto w ramiona Denysa. Duviol upewnił się, że Barnabe de Monthoux leży wprawdzie jak nieżywy, lecz jest tylko ogłuszony.

Żadne z nich nie zdążyło rozpoznać twarzy napastników. Przez chwilę miałam ochotę zemścić się na Béatrice, ale zrezygnowałam. Miałam co do niej inne plany.

Oberża, w której stanął Jaufré, znajdowała się niedaleko. Zdjęłam z ramion Béatrice pelerynę i sama się w nią otuliłam. Mój trubadur czeka na damę, nie powinien od czekać na próżno.

Denys i jego towarzysz podjęli się zanieść uszpioną pannę do pałacu. Barnabe miał obudzić się sam, w cichym kątku przy murze. Obaj

panowie się nie lubili, więc Denys chętnie splatał mu niemiłego psikusa.

Gdy tylko skręciłam za dom położony kilka kroków dalej, zobaczyłam szyld oberży

„Królewskie Łoże”. Oberżysta, mężczyzna o obfitym brzuchu, wycierał tłuste dłonie w fartuch, który zapewne był niegdyś biały. Zmieniając swój głos, zapytałam:

- Czy jest pan de Blaye?

- Nie, panienko! Ale prosił, żebyś raczyła zaczekać na niego. Miałam szczęście.

Mężczyzna wziął klucz, ale nie dał mi go. Kręcił nim na palcu, rzucając mi powłóczyście spojrzenie:

- Może mógłbym skrócić to oczekiwanie...

- Dam sobie radę.

Usłyszawszy mój stanowczy ton, wzruszył ramionami. Wzięłam klucz i poszłam drewnianymi schodkami prowadzącymi na piętro. Na skórzanym rzemyku przy kluczu był wypisany numer 4. Znalazłam właściwe drzwi i otworzyłam je. Znajomy zapach lilii uderzył mnie w nozdrza. A więc to tu! W pokoju znajdowały się tylko niezbędne sprzęty: drewniane krzesło, stół w kącie pokoju, miska i cynowy dzban, kufer z urwaną rączką i łoże.

Poczułam ból, gdy zobaczyłam dwie poduszki, na których oczami wyobraźni dostrzegałam zarysy głów zwróconych ku sobie. Ze złością otarłam łzy napływające mi do oczu. Do dzieła!

Nie miałam zbyt wiele czasu. U wezłowania łóżka stała opróżniona do połowy butelka. Powąchałam. To był alkohol. Wypiłam łyk dla kurażu. Następnie podeszłam do wąskiego okienka, by obserwować ulicę.

Jaufré pojawił się wkrótce. Usłyszałam jego kroki na schodach i wstrzymałam oddech, gdy otworzyły się drzwi. Położył cytrę na stole; z jego ruchów wywnioskowałam, że jest pijany. Po chwili stanął za moimi plecami. Przymknęłam oczy, a moje serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem, ni to z rozkoszy, ni to z bólu.

Nie doświadczyłam jego łagodności ani czułości. Nie patrząc mi w twarz ani nie rozbierając mnie, rozsunął poły peleryny, i wsunął ręce w wycięcie mojej sukni.

Zapadła już noc, świece były zgaszone.

Chwycił pożądliwie moje piersi, lecz nagle puścił je i cofnął się gwałtownie.

Pojęłam, że mnie rozpoznał.

Z niedowierzaniem zapalił pałeczkę siarki. Rozbłysło tańczące światełko, które nieco rozjaśniło otaczający nas mrok.

- Lo... Loanna? - wybełkotał, przysuwając do mnie bliżej światło. Zsunęłam z ramion pelerynę, która pachniała perfumami Beatrice i spojrzałam mu prosto w twarz.

- Do usług, panie.

- Ty tutaj?

- Ona nie przyjdzie. Nigdy już nie przyjdzie.

Ukląkł i podjął mnie pod nogi. Twarz przycisnął do mego brzucha. Cuchnął

alkoholem. A więc Beatrice знаła go tylko w takim stanie. Dzikie pieszczoty pijanego mężczyzny. Poczulałam litość. Nie miałam już do niej żalu. To nie Jaufre kochał się z Beatrice de Campan, ale ktoś inny, potomek rodu Rudelów, którzy swoją brutalnością zapracowali na ten przydomek.

- Wstań - powiedziałam surowo.

Ale on nie usłuchał, wdychał mój zapach, pieszcząc moją talię i biodra. Płakał jak szczęśliwe dziecko.

- Wstań, proszę. Proszę cię, Jaufre.

Dopiero teraz spojrzał na mnie i ścisnął tak mocno, że nie mogłam złapać tchu.

Plątał się w wyjaśnieniach:

- Wybacz mi, wybacz. Ona za mną wszędzie chodzi, rozumiesz? A ja szukałem w niej ciebie - twojej skóry, oczu, ust. Przyprawiasz mnie o szaleństwo. Ona niedługo wyjedzie. Wstydzę się tego. Ona mówi, że kochasz kogoś innego. A ja chcę ciebie.

Tylko ciebie. Loanno, moja miłości, światło mojej duszy, muzo mego serca, kocham cię.

Pokrywał pocałunkami moje czoło, policzki, szyję.

- Jesteś pijany!

- Pijany tobą, ukochana. Aż do świtu, potem już będzie ktoś inny. Ktoś, kogo nie kocham.

I wtedy poczułam ochotę posłać do diabła moje mocne postanowienia, żeby jutro ta druga zniknęła. Żeby w jego pijanym szaleństwie nie było nikogo, tylko ja. Tylko on i ja.

Pociągnęłam go w stronę łoża i dałam się unieść fali rozkoszy.

Obudziło mnie jego spojrzenie. Czułam jego ciężar nawet we śnie. Płakał

bezgłośnie. Widać było tylko delikatne strumyczki spływające z jego szarych oczu.

Było już jasno, lecz słońce z trudnością przedostawało się przez wyklejone pergaminem okna. Jak on, taki

subtelny, taki szlachetny, wyczulony na piękno, mógł przebywać w tej odrażającej norze? Musiał być głęboko nieszczęśliwy i zrozpaczony, aby się tak zatracić. To ja byłam odpowiedzialna za jego upadek. Poczulałam nienawiść do siebie samej. Trzeba z tym skończyć. Albo nigdy nie będę mogła spojrzeć bez obrzydzenia w lustro.

Podparł głowę ręką, twarz miał lekko uniesioną, żeby móc lepiej na mnie patrzeć.

Chciałam się odezwać, ale on położył palec na moich wargach, szepcząc jakby do siebie samego:

- Nie mów nic. Nie budź mnie z tego snu, jeszcze nie teraz. Jest zbyt pięknie.

Wydaje się tak rzeczywisty, że nie mam ochoty się obudzić.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam smutno, wzruszona dotknięciem jego palca, delikatnie przesuwanego się po moich ustach. Zaplotłam ręce wokół jego szyi i przyciągnęłam do siebie. Ucałował mnie czule. Jaufre znów był sobą. I znowu należał do mnie. I wtedy rozpaczliwie uległam mu. Po raz ostatni.

Łagodnie zdjął ze mnie ubranie, które nosiłam jeszcze wczoraj, gdy brał mnie gwałtownie, woniejący alkoholem. Teraz, szczęśliwa, odnalazłam smak jego pieszczot.

- Kocham cię - wyszeptałam z ustami przy jego ustach. I dowiodłam tego z zapamiętaniem.

- Kochasz mnie i przepędzasz zarazem. Czy zdołasz mi kiedyś przebaczyć? Błagam cię, Loanno, ona się nie liczy, przecież wiesz.

- Wiem, ale już nie mogę, Jaufre. Coś we mnie pękło.

- Nie potrafię bez ciebie żyć. Poblądziłem, bo porzuciłaś mnie dla Alienor. Co miałem powiedzieć, kiedy zdradzałaś mnie z nią?

- Wiedziałaś o tym wcześniej. Zaśmiał się nerwowo.

- Jaka to różnica? Czy pomyślałaś o tym, co czuję za każdym razem, kiedy wyobrażam sobie ciebie w jej ramionach? Cały czas miałem nadzieję... Nie śpię, nie żyję już od czterech lat, Loanno, odkąd mnie podbiłaś, oblegając moje włości w Blaye, skuteczniej niż moi wrogowie. Poproś mnie, o co tylko chcesz. Możesz nawet zażądać, żebym już nigdy nie śpiewał, ale mnie nie przepędzaj.

Czułam ból. Tak straszliwy, jakby ktoś otwierał mi żyły. Skąd zaczerpnąć siłę po tej nocy? Ale coś mocniejszego pulsowało w moim brzuchu - to było pragnienie chronienia go, by go już nie utracić.

Moi wrogowie mogli bez żadnych skrupułów zniszczyć go, żeby ugodzić we mnie, i Beatrice tego dowiodła.

Lepiej, żeby wszyscy uważali, iż jest zapomniany, martwy, wygnany z mego serca.

- Wyjedziesz o świcie. Twój ludzie na ciebie czekają, panie de Blaye. Jeśli o **mnie** chodzi, to po raz ostatni zaśpiewałeś dla mnie pieśń.

- Nie wierzę ci. Wiem, że kochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie.

Położył rękę na zasuwce drzwi, ale zanim je otworzył, szepnął:

- Wyjeżdżam natychmiast, ale wiedz, że nic ani nikt nie zdoła złamać mojej przysięgi. Przysięgam na Boga, że żadna kobieta nie będzie miała do mnie przystępu, póki żyję. Każdego dnia będę czekał, wierny jak pies, aż wybaczysz mi i wezwiesz do siebie. Pamiętaj o tym, Loanno de Grimwald. Przypomnij sobie o tym, zanim śmierć cię zabierze.

To mówiąc, zamknął za sobą drzwi. W kilka chwil później i ja opuściłam oberżę.

Wróciłam do pałacu. Beatrice nie wspominała o swej niemiłej przygodzie i ja także nie poruszałam tego tematu. Przed nami otwierała się nowa karta historii. Napisana była krwią.

Na próżno Alienor starała się naprawić starą etolę, która należała do jej matki. Nie dało się już ukryć ubytków w tkaninie. Wszedł Ludwik, wypraszając grzecznie te spośród nas, które towarzyszyły królowej w jej zajęciach przy płonącym kominku.

Ludwik przyglądał się, jak zona z determinacją wbija igłę w materiał, dzięki czemu nie musi patrzeć w oczy mężowi. Zanim jeszcze wszedł, wiedziała, co powie i co ona na to odpowie:

- Tybald z Blois zażądał ekskomuniki królestwa. Byłoby szaleństwem się w to zaangażować, Alienor.

- To moja siostra, Ludwiku. Niech Tybald idzie do diabła! Ich związek został pobłogosławiony przed Bogiem.

- Przez krzywoprzysięstwo? Królowo, musimy się podporządkować.

- Nigdy!

Ludwik przygryzł wargę. Alienor nie ustąpi, wiedział o tym, i nie mógł postąpić wbrew jej woli.

Wszystko odbyło się za szybko. O wiele za szybko. Pernelle kochała Raula de Crecy'ego, a Raul de Crecy, którego król mianował marszałkiem dworu, kochał

Pernelle do tego stopnia, że chciał ją poślubić.

Wiosną 1142 roku przybyli do królowej, by poparła ich wzajemną miłość.

Odsunięcie ślubnej małżonki Raula było dla Alienor zwykłą formalnością.

Wystarczyło, że trzech biskupów oświadczyło, iż małżeństwo pana de Crecy'ego jest nieważne na mocy prawa kanonicznego, ponieważ małżonków łączy zbyt bliskie pokrewieństwo. W dniach, które nastąpiły po tym wyroku, czyli po 25 maja 1142 roku, prałaci połączyli związkim małżeńskim zakochane turkaweczki z tą samą dezynwolturą. Tybald z Blois, hrabia Szampanii, zaprzysięgły wróg królowej, o mało nie pękł z wściekłości.

Honor jego siostrzenicy został sponiewierany, a przede wszystkim zniewagą dlań było to, o czym wiedział, iż jest to zemsta.

Oczywiście Alienor nie demonstrowała tego, lecz spostrzegła od razu, że w jej interesie leży wspieranie miłości siostry. Co więcej, pan de Crecy był wiernym sojusznikiem, odkąd dostał po łapach, i teraz spotkał go zaszczyt przynależności do

„rodziny” królewskiej.

Ale to nie wystarczało. W tym samym roku zmarł arcybiskup Bourges, pozostawiając wakujące stanowisko. Kandydat zaproponowany przez Kościół jako prawomocny następca był bliski Tybaldowi z Blois, oddany zakonowi templariuszy.

Skoro nie mogłam walczyć z ich wpływami, mogłam przynajmniej pilnować, by nie dotarły do Alienor. Wiernego Cadurca uważałam za sympatycznego. Podejrzywałam, że kocha bardziej królową niż Boga. Nie miałam trudności z przekonaniem Alienor, by wynagrodziła swego zausznika, powierzając mu stolec arcybiskupi w Bourges. Nominacja Cadurca została ogłoszona w dniu przyjazdu protegowanego z Szampanii. Wszelako zastał bramę miasta zamkniętą. Rozwścieczony i zły, co można sobie łatwo wyobrazić, udał się na skargę do Tybalda z Blois, który z kolei poskarżył się papieżowi. Ojciec Święty kazał królowi zmienić decyzję, gdyż uznał

ją za bezprawną, lecz Ludwik nie usłuchał. Alienor, co prawda, nie pozostawiła mu wyboru. Nie mógł jednocześnie przyznać racji Alienor, Pernelle i Raulowi de Crecy'emu oraz Tybaldowi z Blois.

Bourges zostało obłożone interdyktem. Ludwik wpadł w przerażenie, ale ponieważ Aliénor go wspierała, uznał, iż Kościół mu przebaczy, i znowu nie uczynił nic.

Cadurc zachował stanowisko. Tybalda z Blois przepełniała nienawiść.

Poprosił o kolejną audiencję u papieża, mając za sobą argumenty przeciwko koronie Francji, która upierała się przy prawomocności niemoralnego małżeństwa. Zdobył

poparcie Bernarda z Clairvaux, który miał wobec niego zobowiązania, jemu bowiem zawdzięczał dolinę Absyntu, w której wznosiło się dumnie opactwo Clairvaux. Gdyby chodziło tylko o denerwującego wasala, Ludwik nie zwróciłby na to uwagi, lecz nie mógł nie usłuchać Bernarda - to by się równało wrzuceniu złotego krzyża w ogień piekielny. Żaden papież do tej pory nie przeciwstawił się wyrokowi Bernarda. Ludwik drżał

o zbawienie swej duszy. A jednak mimo niepokoju, który kazał mu co noc żarliwie modlić się pod ołtarzem, nie znalazł w sobie dość siły, by przeciwstawić się żonie.

Na swoją obronę powtarzał, że jest już za późno, że związek został skonsumowany, że nie tylko turkaweczki były szczęśliwe, ale że w osiem miesięcy po ślubie Pernelle była już brzemienna. Był to znak, że Pan pobłogosławił ten związek. Aliénor bowiem widziała w tej ciąży znak przeznaczenia. Musiała wspierać siostrę za wszelką cenę, żeby i ona mogła mieć dziecko. Czegóż to nie powiedziałyby swemu mężowi, żeby przekonać jego

1 siebie samą!

Aliénor wbiła z furią igłę w robótkę.

- Tybald z Blois musi być rozsądny, Ludwiku. Niech wycofa skargę do papieża i zostawi Pernelle w spokoju.

- Łatwo ci mówić. A co proponujesz?



Ludwik się śmiał. Aliénor uniosła głowę. Jej oczy przesłoniła mgiełka czułości i złości zarazem. Pewna swej władzy, rzuciła podstępnie i zimno, wprawiając go w poczucie winy:

- Dwukrotnie przyniosłeś mi klęskę, może teraz zdołasz zapewnić mi zwycięstwo nad tym arogantem.
- Mam złamać Tybalda z Blois?
- Trzeba uderzyć na Vitry. Ludwik zbladł:
- Łatwo ci mówić!
- Już dawno powinieneś tam być!

Znalazł się tam 16 lutego 1143 roku, przy wsparciu brata królewskiego, Roberta de Dreux, który też miał pretensje do domu Szampanii. Po raz pierwszy brat króla poparł królową.

Vitry-en-Perthois zostało zdobyte po oblężeniu i złupione. Ogarnięci zbiorowym szaleństwem, żołnierze spod znaku lilii podpalali strzechy, gwałcili i masakrowali.

Przerażona ludność schroniła się w kościele, lecz to nie powstrzymało rozbójników.

Ludwik nie zdołał opanować sytuacji. Przed kościół wyszedł ksiądz, by się przeciwstawić rozszalałym żołnierzom. Rozłożył ramiona i krzyknął:

- Pokój, bracia!

Strzała trafiła go w sam środek piersi. Padając u stóp łuczników, rzucił ostatnie spojrzenie spłoszonemu Ludwikowi. Ponad jego głową języki płomieni ogarniały już dom boży.

Ogłuszony Ludwik próbował stawić czoło żołnierzom. Koń, który przestraszył się ognia i szczurów uciekających z kościoła, stanął dęba. Król spadł z siodła. Brat rzucił mu się na odsiecz, lecz zdeптаły go żołnierskie buty. Leżał teraz prawie nieprzytomny. Zewsząd słyhać było krzyki, wołania o ratunek. Cierpki zapach dymu przylgnał do zbroi. Z kościoła wybiegły kobiety z dziećmi, uciekając przed pożarem. Grad strzał przykuł je do schodów. Robert de Dreux już się nie poruszał.

Jego ludzie cofnęli się dopiero wtedy, gdy spalił się do reszty dach, a do woni spalonej słomy i drewna dołączył odór palących się ciał. Kościół płonął, a wraz z nim ponad tysiąc wiernych, którzy chcieli znaleźć w nim schronienie.

To ten obraz ujrzał leżący w kałuży krwi Ludwik, gdy otworzył oczy. Z jego piersi wydobyło się straszliwe wycie, ale zagłuszył je ogólny zgiełk.

Od tygodnia króla nękała gorączka. W majaczeniach widział płonący krzyż z Mesjaszem z wyciągniętym oskarżycielsko palcem. Na próżno jednak leża! w cuchnącym biocie, z rękami złożonymi jak do modlitwy, żebrząc o przebaczenie.

Ludwik miał pewność, że oddał duszę diabłu.

Medycy krzatali się przy jego łożu, nieustannie ocierając mu spocone czoło. Palili świece i kadzidło, by zagłuszyć kwaśny odór, który unosił się w pokoju.

Ludwik zostawił swemu bratu dzieło zakończenia wojny w Szam-

panii oraz oblężenie Reims i Châlons. Sam wrócił w kilka tygodni po tragedii, w pożałowania godnym stanie, złamany, wstrząsany paroksyzmami gorączki. Ledwie trzymał się na nogach. Aliéner wysłuchała jego opowieści o straszliwych zbrodniach. Łzy napłynęły jej do oczu. Królowa nigdy nie myślała, że dojdzie do takiej masakry. Ja także nie. Natychmiast wydała rozkaz, by dzwony we wszystkich kościołach królestwa rozdzwoniły się jednocześnie, ale nikt w Ile-de-France nie śmiał pogwałcić klątwy papieskiej. Najstarsza córka Kościoła posunęła się za daleko.

Po raz trzeci już w tym roku rzuciła wyzwanie swym ojcom, łamała zakazy i ustanawiała własne prawa.

Dusze tysiąca trzystu ofiar z Vitry uzyskały to, czego domagał się zagniewany Tybald z Blois. Nie odprawiano nabożeństw, a Ludwik umierał.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Tyle się zdarzyło, odkąd wypędziłam ze swojego życia Jaufrégo. Tyle spraw, w których zatonełam po uszy, żeby zapomnieć.

Wierzyłam w Matyldę, gdy utarła nosa Stefanowi z Blois i podbiła królestwo Anglii.

Trwało to tylko dziewięć miesięcy. W czerwcu 1142 roku, ta, którą wyniesiono wysoko, została wzgardzona i odrzucona jako wiedźma. Postąpiła niemądrze, gdyż ukarała tych, których pokonała. Posunęła się do tego, że kazała podpalać zamki i wieszać notabli. Matylda nie miała już u boku mojej matki, więc uczyniła fałszywy krok. Właśnie mijał rok, odkąd zaczęła naprawiać błędy, ale na próżno. Zawiodła zaufanie tych, którzy ją popierali, łącznie ze mną. Zniweczyła wszystko, co Ginewra tak cierpliwie budowała.

Od tamtej pory wszystkie moje intrygi wokół Aliénor były tylko odpowiedzią na jej kaprysy. Myślałam, że wynikały z pewnej strategii. Dramat Vitry pogłębił moje wątpliwości. Nie mogłam znieść myśli, że byłam częściowo odpowiedzialna za tę masakrę. Przez trzy lata tkiałam pajęczą sieć, w której każde ogniwo było istotne. A konsekwencje tego spadły na kobiety i dzieci. Nie po to przyszedłam na świat! Miałam służyć Anglii, a pozostało mi jedynie rozpaczliwe uczucie, że nie służyłam nikomu ani niczemu. Nawet Jaufrému, którego z rozmysłem odprawiłam. Nie miałam od niego żadnych wieści. Przywykłam nie myśleć o nim. Człowiek przyzwyczajają się w końcu do wszystkiego. Jaufrégo widywałam tylko we śnie. Co rano rozpoczynałam swoje intrygi. Wszystkie zakończone powodzeniem.

Gdy nadszedł list, siedziałam właśnie pogrążona w rozmyśleniach, pełna obrzydzenia dla siebie samej, a przecież powinnam być dumna ze swego dzieła i z dzieła moich przodków. Wiadomość pochodziła nie od wielmożnej pani Matyldy, lecz od mego przyjaciela Tomasza Becketa:

„Nie zniechęcaj się, moje dziecko - pisał w języku galijskim - pomyśl, że działasz nie tyle na rzecz pani Matyldy, ile przyszłego króla. Nawet jeśli Matylda przegra, młody Henryk wygra. Za wcześniej

o tym mówić. O wiele za wcześnie. To jeszcze dziecko.

Pomyśl o nim, gdy ogarnie cię zwątpienie. Jestem przekonany, że wtedy z całego serca i duszy uczynisz to, co będzie dobre dla Anglii. Pilnuj się i nie trać głowy. A przede wszystkim, drogie dziecko, droga przyjaciółko, uważaj na siebie, Alienor i króla Francji".

Wydawało się, że Tomasz Becket czyta w moich myślach. Przyszło mi do głowy, że może to Merlin pokierował jego piórem. Najbardziej pocieszyły mnie ostatnie słowa. Musiałam ratować Ludwika. Jeśli odejdzie z tego świata, Alienor da się porwać jakiemuś księciu lub komuś jeszcze pomniejszemu, i wszystko trzeba będzie zaczynać od nowa. Nie ponosiłam odpowiedzialności za te ofiary złożone z życia.

To był skutek ludzkiego szaleństwa, zasługującego na potępienie. Nastął wiek barbarzyńców. Nie mogłam obwiniać siebie o wszystkie te występki, gdyż popełniono je w imię Boga, ziemi lub sprawy. Zawsze są jakieś ofiary. Jeśli na skutek moich działań pewnego dnia Anglia złączy się pod przewodem Henryka, to moje czyny będą usprawiedliwione.

Błagałam Alienor, żeby posłała po Bernarda z Clairvaux. Tylko on mógł uleczyć chorą duszę króla. Ale Bernard nie przybył. Wysłał posłańca: „Tylko Bóg może udzielić przebaczenia Ludwikowi i zachować go przy życiu". Alienor pozostała jedynie modlitwa. Modliła się zatem. Beatrice, ta straszna Beatrice, modliła się jak nigdy, aż kolana ją rozboleły od całodziennych modlitw na zimnych kamieniach opactwa Saint-Denis. Suger, potępiwszy Ludwika, potępił samego siebie i modlił się o odkupienie grzechów jego i swoich.

Miałam tylko jedno wyjście. Pomóc Bogu dokonać właściwego wyboru. Nazajutrz po odpowiedzi Bernarda z Clairvaux, podczas gdy różańce skruchy ulatywały ku zaciągniętemu mgłą niebu, weszłam potajemnie do komnaty Ludwika. Gruby Bernard chrapał głośno w nogach łoża. Medyk kazał sobie przynieść grzanego wina.

Nie

przypuszczając, że rozpuszczono w nim środek nasenny, wypił napój łapczywie. Na jego wargach malował się rozkoszny uśmiech.

Ludwik był biały jak płótno, twarz miał wychudzoną i oddychał z trudem. Z jego zaciśniętych ust wydobywał się od czasu do czasu jęk. Na czole widniały grube krople potu. Śmierć była blisko, widać to było po jego zsiniałych palcach. **Nie** ulegało wątpliwości, że nie doczeka rana. Z trudem rozwarłam mu zęby i wlałam prosto do gardła kilka kropli płynu. Resztę wtarłam mu w skronie. Uczyniwszy to, zasiadłam u jego wezgłowia.

Gdy o świcie zapiał kogut, gorączka spadła. Wtedy wydobyłam drugą buteleczkę, zawierającą wyciąg z maku, i dałam mu do wypicia spory łyk. Gruby Bernard poruszył się na sienniku, mlaskając językiem, zapewne na wspomnienie wypitego wina z miodem. Wysłałam z pokoju króla niezauważona przez nikogo i udałam się na zasłużony wypoczynek. Ludwik był ocalony.

Tym razem, mimo lęku przed potępieniem papieskim, we wszystkich kaplicach królestwa

rozdzwoniły się dzwony i biły aż do południa.

Ludwik otworzył oczy i zobaczył nad sobą zmiętą twarz Bernarda. Odwrócił się, szepcząc:

- Odsuń się, na Boga, cuchniesz winem.

Bernard o mało nie padł z wrażenia i jął wzywać swoich kolegów po fachu.

Posadzili Ludwika na łóżku, podkładając mu pod plecy poduszkę. Król nabrał

kolorów i domagał się jedzenia. Alienor i Beatrice objęły się i płakały, wyczerpane oczekiwaniem i modlitwą. Ta scenka rozrzewniła Sugera, który pomyślał, że to Bóg dokonał wyboru i że teraz on, Suger, powróci do łask na dworze francuskim.

Od czasu swego cudownego ozdrowienia Ludwik się zmienił. Nie nosił już zwykłych ubrań, lecz mnisią szatę, pozbawioną ozdób i klejnotów. Kazał sobie ogolić głowę i okrywał ją kapturem. Nikt z mijających go ludzi nie rozpoznawał w nim króla Francji. Ludwik spędzał długie godziny w towarzystwie Sugera i szeptano, że pomaga rzemieślnikom przy budowie opactwa.

Gdy z nastaniem ciepłych dni Alienor wyraziła życzenie wyjazdu do Poitiers, nie chciał jej towarzyszyć. Królowa odkładała wyjazd, mniemając, że może dla króla jest jeszcze za wcześnie na podróż. Przeczuwała wszelako, że chodzi o coś innego.

Papież nie cofnął klątwy: Ludwik próbował odkupić swoją duszę. Raul i Pernelle wyjechali do swych włości, ale trzeba było o wiele donioślejszego gestu, by król uzyskał przebaczenie stolicy apostolskiej.

Beatrice towarzyszyła Ludwikowi wiernie jak cień. W pałacu widywano ją rzadko.

Suger zażądał, aby dołączyła do niego. Jednocześnie dążył do jak najszybszego dokończenia swego dzieła. I rzeczywiście nie miało ono sobie równych. Nowe opactwo wznosiło się jak kamienna koronka. Suger osobiście pilnował każdego szczegółu, a nawet sam dobierał materiały.

Gdy tylko skończyły się upały, dwór zgromadził się na równinie Saint-Denis, w pobliżu ogromnego placu budowy, aby sycić oczy wspaniałymi widokami.

Organizowano turnieje i zabawy. Beatrice -podobnie jak król - nie brała w nich udziału.

Nie odstępowała Ludwika ani na krok, ocierała mu pot z czoła i modliła się razem z nim. Uspokajała, dodawała pewności, odciągała go, by nie musiał ulegać żądaniom małżonki. I była zachwycona świeżo zdobytą władzą.

Ta pozorna równowaga utrzymywała się do początków lipca 1143 roku. Alienor czuwała nad tym, by należycie spakowano kufry. Pokojówkę przykuła do łóżka dziwna choroba, która odjęła jej władzę w członkach. Świeżutka jak pączek kwiatu, piętnastoletnia dziewczyna, była trochę niezręczna i nierozgarnięta. Alienor jednak nie miała jej tego za złe.

Kazała jej wyjść, gdy tylko ja się zaanonsowałam. Panował straszliwy upał, a Alienor źle go znosiła. Chłód ogrodów de l'Ombriere nęcił ją już od dawna, a ponadto bawiła tam Pernelle w zaawansowanej ciąży. Tym gorzej dla króla.

Królowa pojedzie więc ze swoim dworem, a król pozostanie na miejscu.

Opadła na łożo, pośrodku wszystkich tych sukien i szali, wzdychając ze znużenia.

Usiadłam obok niej i gładziłam czule jej obnażoną nogę. Alienor nie zadowalały delikatne pieszczoty. Jej ciało domagało się brutalnego, męskiego seksu, którego Ludwik jej nie dostarczał od czasu tragedii w Vitry. Dwa czy trzy razy wzięła sobie do łóżka strażnika, niebrzydkiego chłopca, ale obawiała się, że ucierpi na tym jej reputacja. Co się zaś tyczy Denysa, nie było już o nim mowy. Dawno go porzuciła, a on od wiosny szukał pocieszenia u kuzynki

Sybilli Andegaweńskiej, Marjolaine. Wszystko wskazywało na to, że Denysa trafiła strzała Amora.

Trubadurzy - a Panperd'hu pierwszy - chętnie ugasiliby pożar krwi Alienor, patrzyli bowiem na królową jak na bóstwo, lecz żaden z nich nie podobał się jej naprawdę. A poza tym uważała, że ma do spełnienia boską misję. Tron nie miał jeszcze dziedzica, a skoro król jawnie stronił od jej łoża, nie mogła mu zapewnić upragnionego potomka.

- Czy wiesz, co mówią? - zapytała, wpatrując się w malowidła na suficie. - Podobno biczuje się do krwi. Wiele razy znaleziono go leżącego u stóp krzyża, z poranionym ciałem i krwawiącymi ranami. Nie wiem, co robić, Loanno. Nie chce mnie widzieć.

Dziś rano udałam się do Saint-Denis, żeby przemówić mu do rozsądku, ale Suger zagroził mi drogę. Uważa, że król oczyszcza duszę i że należy mu pozwolić na ekspiację, jak długo sam będzie tego chciał, a moja obecność może mu tylko zaszkodzić. Czy słyszałaś coś równie niemądrego? Wydaje mi się, że jestem królową!

- Ale królową, która rzuciła wyzwanie Kościołowi, nie zapominaj o tym.

- Pernelle na to zasługiwała.

- Wiem, kochana.

Położyłam się obok niej, a ona wtuliła twarz w moje ramię.

- Wiesz, zazdroszczę jej, że jest taka zakochana. Za nic na świecie nie chciałabym, żeby tak jak ja była zmuszona do postępowania zgodnie z przeznaczeniem, którego sobie nie wybrała. Ludwik tak mi zbrzydł, odkąd zaznałam mężczyzny, który umiał

być czuły. Myślałam, że mój mąż z czasem się zmieni.

- Księżdz nie da się zmienić.

- Zbyt późno się o tym przekonałam.

- Nigdy nie jest za późno.

- Niedługo skończę dwadzieścia jeden lat, Loanno. Nasz związek pozostaje bezdzielny i zobowiązaliśmy sobie nawzajem.

- Nie jesteście sobie obojętni. W tobie Ludwik budzi odrazę, a on z kolei boi się ciebie. Nie wszystko jeszcze stracone. Miłość odradza się nawet w trudniejszych okolicznościach.

- Nie wiem już, co o tym myśleć.

- Wróć do Bordeaux.

- On tam nie przyjedzie. Beatrice także nie. Ta dziewczka roz-

miłowała się w modlitwie. Ktoś mógłby pomyśleć, że chce ściągnąć na siebie wszystkie błogosławieństwa świata. A Suger przymyka oczy na wszystko, dla mnie samo ich zbliżenie jest obrazą.

- A więc nie myśl już o tym i wyjedź. W Ile de la Cité jest zbyt duszne i cuchnące powietrze. Wróć do siebie. Tam przemyślisz sobie spokojnie wszystkie sprawy, zapewniam cię. Ludwik cię nie zdradzi. Znadto żałuje za grzechy, żeby dodać jeszcze jeden, a Béatrice nigdy nie będzie miała tak królewskiego usposobienia jak ty. Plotki na dworze pojawiają się i znikają. Jesienią już jej tam nie będzie.

- Chciałabym w to wierzyć.

Znów westchnęła. Pogładziłam ją delikatnie po głowie. Zapanowała cisza.

- Będziemy przejeżdżać przez Blaye - szepnęła ze smutkiem. Czułam, że ścisła mnie w gardle.

- Wiem.

- Brakuje ci go, prawda?

Nie miałam siły odpowiedzieć. Choć bardzo się przed tym broniłam, wystarczył

drobiazg - dźwięk cytry, zapach lilii dolatujący z ogrodu, błękitne oczy lub południowy akcent - bym poczuła ból. Trawił mnie nieugaszony płomień. Żaden mężczyzna nie zbliżył się do mnie od naszej ostatniej nocy, a od tej chwili upłynęły już ponad dwa lata. Byłam przez ten czas taka zajęta!

- Mogłabyś tam spędzić kilka dni, gdybyś zechciała - powtórzyła z naciskiem.

- Ale po co? To ty masz rację. Miłość to ból, a ja odrzuciłam Jaufrégo. W każdym razie jest już za późno. Za wiele czasu upłynęło.

- Cierpisz?

- Nie - skłamałam.

- Kocham cię, Loanno de Grimwald.

Nie starałam się odwrócić oczu, bo tylko ze mną była szczerą i przez chwilę miałam do siebie żal, że nie mogłam jej odpłacić tym samym.

W jej tęczęwkach odbijała się zapłakana twarz - moja.

- Wielmożny hrabia de Blaye jest chory. Prosił mnie, abym powitał was w jego imieniu.

U wrót Blaye oczekiwał nas opat z całą świtą. Alienor uprzedziła listownie Jaufrégo o naszym przybyciu. Chciała powitania jak najskromniejszego i była zachwycona, że tak się właśnie stało.

Dwór rozpadł się na bardzo nierówne części. Wielu dworzan uznało za rozropne w tej sytuacji nie opowiadać się ani za królem, ani za królową, zatem spędzali lato w swoich włościach. Ludwik pozostał w Saint-Denis i już od kilku tygodni zamieszkiwał celę przystosowaną do jego wymagań. Żeby się z nim nie rozstawać, Béatrice zatrzymała się w klasztorze sąsiadującym z dawnym opactwem i pomagała zakonnicom, które leczyły robotników, a także nosiła im napoje kilka razy dziennie.

Oczywiście jej zainteresowanie skupiało się na Ludwiku. Tym bardziej że zauważyła, iż on często szuka jej wzrokiem.

Kilku wiernych królowi, a wśród nich Teodoryk Galeran, który miał nadzieję -

mimo zaawansowanego wieku - odzyskać łaskę władcy, pozostało w pałacu de la Cité. Jeździli tam i z powrotem i informowali króla o tym, co się dzieje w królestwie.

Ale dopuszczano ich tylko przed oblicze Sugera.

Pozostali, najwyżej trzydzieści osób, nie licząc paziów i stajennych, udali się do Poitiers, gdzie spędziliśmy kilka dni, a teraz - w drodze do Bordeaux.

Zatrzymaliśmy się w Blaye. Po odpoczynku mieliśmy ruszyć dalej drogą rzeczną.

Przejechaliśmy przez miasto, które wydało mi się smutne. Domy położone u stóp warownego muru zostały odbudowane po ostatnim oblężeniu i w sumie niewiele zmieniło się przez te sześć lat. Tylko ja się zmieniłam.

Opuściłam Blaye ze ściśniętym sercem, ze wspomnieniami, które czepiały się mnie niczym diabełki spódnicy. Walczyłam z nimi ze wszystkich sił. Cały dzień się bałam, że w pewnej chwili napotkam wzrok Jaufrégo i zobaczę w nim potępienie.

Poczułam więc ulgę, że go nie było, choć mógł się tym narazić królowej.

Zaprowadzono nas z honorami do jadalni, gdzie nakryto już do stołu. Dokoła porozstawiano bukiety

róż - na stołach, w kącikach i niszach, w drodze do stołu.

Jaufre jak zwykle wykazał smak, ale te róże budziły we mnie bolesne wspomnienia.

Jakiś chłopiec, mniej więcej piętnastoletni, skłonił się przed nami, gdy tylko zajęliśmy miejsca. Wziął w ręce cytrę i rozpoczął występ.

Głos miał delikatny, lekko nosowy. Alienor zaczęła kaprysić. Chciała poprosić gospodarza, by przyszedł. Dyskretnie, lecz stanowczo, powstrzymałam ją, szepcząc jej prosto do ucha:

- Nie przejmuj się, proszę. Zapomnij o etykiecie. Zapomnij, że tu jesteśmy.

Miałam ściśnięte gardło. Nie mogłabym znieść jego obecności, głosu, cierpienia.

Wściekłość Alienor znikła w jednej chwili.

- Wybacz - szepnęła.

Zadowoliliśmy się namiastką trubadura. Co się zaś tyczy mnie, nie mogłam nic przełknąć. Siedziałam z oczami wbitymi w drzwi, mając nadzieję go zobaczyć, a jednocześnie obawiając się tego.

Ale Jaufre się nie pokazał.

Po sutej wieczerzy odprowadzono nas na pokoje. Nie byłam bynajmniej zaskoczona tym, że dostałam swój dawny pokój. Wyglądał dokładnie tak samo jak w chwili, gdy go opuściłam. Ta sama miseczka z wodą z melisy, flakonikami i szachownicą z lilii i klematisów na podłodze.

Gdy paż zniknął, zamykając za sobą drzwi, zapaliłam wszystkie świece, padłam na łożo i wyplakałam wszystkie łzy które tak długo powstrzymywałam.

Zdrzemnęłam się, wyczerpana napięciem. Obudził mnie jego głos. Dochodził

gdzieś z zewnątrz. Okno było otwarte, a księżyc migotliwym światłem rozjaśniał

rzekę.

Jaufre siedział na skraju klifu; jego plecy wyraźnie odcinały się od tła. Piosenka, którą śpiewał, była przeznaczona dla mnie.

*Gdy dnie wydłuża maj zielony Miły mi śpiew ptaszęcia w dali, Myślę wędrując w inne strony,*

*o miłowaniu mym w oddali, Dusza tęsknotą tak ściśnięta, Ze głogi w bieli i ptaszęta, i maje równe grudniom lutym. Za pana uznam, z czyjej woli Odnajdę Miłowanie w dali, Ale nie cieszy, tylko boli*

*To Miłowanie moje w dali.*

*Ach, kij mi dajcie, płaszcz pielgrzyma*



*Raz jeden stanąć przed oczyma Tej, w której więzy jestem skuty... Nie skłamię ten, co mi zarzuci  
Żem umiłował w wielkiej dali. Lecz próżne żądze, płacze, rany, Miłuję sam niemiłowany... W  
kolebce los mi ten usnuty.*

Nigdy dotąd nie słyszałam, by śpiewał w taki sposób. Nigdy nie słyszałam w jego głosie takiego cierpienia. Chciałam zbiec po schodach i znaleźć się obok niego, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Upadłam o kilka kroków zaledwie od drzwi.

Potem była już tylko ciemność.

Z omdlenia wyrwały mnie głucho uderzenia, pomiędzy które wplatały się jakieś inne niepokojące dźwięki. Promienie słońca pieściły moją twarz, ale potrzeba było paru chwil, bym uświadomiła sobie, że jestem na ziemi.

- Panno de Grimwald, czy wszystko w porządku? - Głos dochodził zza drewnianego przepierzenia.

- Chwileczkę - zdołałam wybełkotać.

Bolały mnie plecy, ale podniosłam się i otworzyłam drzwi. Nie pamiętałam nawet, że je wieczorem zasunęłam na zasuwę. Camille, moja pokojówka, spojrzała na mnie, jakbym wstała z grobu.

- Wejdz - powiedziałam z trudem. Niespokojnie przyjrzała się mojej zmiętej sukni.

- Chyba zrobiło mi się słabo. Ten upał...

- Czy mam wezwać medyka?

- Nie, nie. I zakazuję ci opowiadać o tym komukolwiek. Łącznie z nim. Wiesz, kogo mam na myśli. Czy jest już późno?

Camille westchnęła głośno na znak dezaprobaty. Obserwowała moje wzloty i upadki, odkąd przybyłam do Akwitanii. Słyszała niegdyś mój śmiech. I wyczuwała moje cierpienie. Wiedziała, że nie jest ślepa. Zapewne dotarł do niej, podobnie jak do mnie, śpiew Jaufrego. A jednak nie powiedziała tego głośno, lecz odparła:

- Będiesz, pani, gotowa za niecałą godzinę. Nie śmiałam przeszkadzać, skoro mnie nie zawołałaś, ale niepokojono się twoją nieobecnością. Królowa już spożyła śniadanie, a teraz załadowują rzeczy na statek.

- Pomóż mi - rozkazałam.

Ta wieść postawiła mnie na nogi. Miałam ochotę zapytać, kto tak się niepokoił moją nieobecnością, ale wolałam milczeć. Lepiej nic nie wiedzieć.

Rozsznurowała moją suknię. W kilka minut później, ubrana i uczesana, schodziłam po schodach. Stajenny czekał na mnie na dziedzińcu, trzymając za uzdę wypoczętą Granoe. W chwili, gdy włożyłam stopę w strzemień, spojrzałam w okno naprzeciwko. Stał w nim Jaufre. Zachwiałam się,

lecz jednym skokiem znalazłam się w siodle. Przerazona trupią bladością jego twarzy, spięłam klacz ostrogami, przekonując samą siebie, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Zresztą było za późno. O wiele za późno.

Z przyjemnością odkrywałam na nowo Bordeaux. Poitiers to przyjemne miasto, ale pałac książąt Akwitanii jest za wielki i jak na mój gust zbyt bogaty. W de Pombriere czułam się bardziej swojsko. Pod moim oknem dziedziniec znowu zarósł trawą.

- Czemu nie zajęłaś przyległego pokoju? Miałabyś bliżej do mnie.

- Potrzebuję samotności, Alienor. Kocham ten zakątek.

- Czasami cię nie rozumiem, ale rób, jak uważasz. Od jutra będziemy zapraszać trubadurów. W mieście jest też treser niedźwiedzi. Od niego wszyscy się dowiedzą o naszym pobycie. Nie będziesz miała czasu się nudzić.

- Nigdy się nie nudzę.

- Tęsknisz, a to jest jeszcze gorsze. Wzruszyłam ramionami, rzucając kości na aksamit.

- Sześć! Wygrałam.

- Zawsze wygrywasz. Można by pomyśleć, że pomagasz sobie czarami.

- Może i tak! - uśmiechnęłam się ze smutkiem.

- Co się z tobą dzieje, Loanno! Nie powiedziałaś ani słowa przez całą drogę!

Myślałam, że będziesz tak samo podniecona jakja na myśl o tym, że znów zobaczysz Bordeaux. Minęły już trzy lata! - Westchnęła. - Co się zdarzyło tej nocy w Blaye, że byłaś tak wzburzona?

Czule położyła rękę na mojej dłoni, szczerze zatroskana. Nie wyglądałam dobrze, wiedziałam o tym, bo mimochodem spojrzałam

w lustro przed wyjściem do ogrodu. Do altanki tonącej w bluszczu i różach docierały cudowne zapachy.

- Nic się nie zdarzyło. Nawet go nie widziałam.

- Gdyby to nie chodziło o ciebie, kazałabym go wychłostać. Każdy z moich wasali wyszedłby mi na spotkanie i powitał mnie godnie.

- Wiesz przecież, że to przeze mnie. Nie obarczaj go winą. Jest ci bardziej wierny niż inni.

- Ale mnie nie kocha, Loanno. Myślę nawet, że nienawidzi mnie z całego serca.

Ajednak nie mam mu tego za złe. To do ciebie mam żal.

Uniosłam ze zdziwieniem głowę:

- Do mnie? Ale dlaczego? Co ja takiego ci zrobiłam?
- Kochasz go tak, jak ja nigdy nie zdołam pokochać nikogo.
- No i co z tego? Jestem z tobą, a nie z nim.
- I o to mam do ciebie żal.

Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc. Alienor odchyliła się i rzuciła:

- Jesteś stale przy mnie, ale twoja dusza błądzi gdzie indziej.
- Dokonałam wyboru. Nie masz racji.
- Czuję się winna, że narzuciłam ci ten wybór.
- Niczego mi nie narzuciłaś.
- Ależ tak. Obie to wiemy. Nie znam prawdziwego powodu, dla którego tak uparcie pozostajesz przy mnie, ale odgaduję, że nie tylko z miłości do mnie, Loanno. To, co czujesz do Jaufrego, jest zbyt silne, żebyś mogła pogodzić się z jego utratą.
- Masz rację - westchnęłam. - Coś więcej trzyma mnie przy tobie. - Przez chwilę milczałam, a potem dodałam uszczypliwie: - To twój zły charakter, bez którego nie mogę się obejść, i to niezależnie od tego, co się wydarzy.
- Nie żartuj - burknęła.
- Nie żartuję, Alienor! Bardziej niż Jaufrego kocham władzę, a ty jesteś władzą.

Rozszyfrowywać pułapki, które na ciebie zastawiają, posługiwać się plotką do osłabienia twoich wrogów, z twoich kaprysów czynić humory ważnej władczyni -

oto czego mi potrzeba. Co robiłabym całymi dniami, gdybym poślubiła Jaufrego?

Haftowała, może tkala? Cwałowała po jego włościach? A może śpiewała? A może podążałabym za nim z mandorą w ręku, a może podkasałabym spódnicę, by zatańczyć na stole. To byłoby niegodne żony wielkiego pana, zgodzisz się chyba ze mną. Musiałabym wciąż czekać na nie-

go, rozstrzygając spory między wieśniakami. W sumie nic, czego bym już nie robiła.

Z tą różnicą, że tutaj jestem użyteczna dla mej królowej. Rozum musi przewyciężyć miłość.

- Alienor!

Radosny okrzyk przerwał naszą rozmowę. Alejką wysadzaną różami zbliżała się do nas Pernelle,

dźwigając przed sobą ogromny brzuch. Gdyby nie on, podbiegłaby do siostry jak dziewczynka. Alienor wstała i przywitała się z nią serdecznie.

Oczy dziewczyny błyszczały ze szczęścia. Była rozczochrana, a jej pełne policzki zaczerwieniły się od szybkiego marszu.

- Pernelle, Pernelle, jaka jesteś piękna - mruzczała królowa, z wyraźną przyjemnością przykładając dłonie do zaokrąglonego brzucha siostry. - Mocno kopie?

- Tak, i to często.

- Jestem taka szczęśliwa, kochana siostrzyczko. Ale skąd się tu wzięłaś, i to o tej porze, gdy noc się zbliża?

- Z Belin - oświadczyła Pernelle, siadając na huśtawce.

- Z Belin - powtórzyła Alienor z niedowierzaniem. - W twoim stanie! Czyś ty oszalała, moja mała?

Pernelle roześmiała się dźwięcznie.

- Przestań już, Alienor. Nie boję się niczego. Raul mnie umieścił w wygodnym powozie i często się zatrzymywaliśmy w drodze.

- Mimo wszystko to nierozsądne.

- Też coś! Powiedz jej, Loanno.

- Ona ma rację, Alienor. Pernelle już jest bliska rozwiązania, i nic jej nie dolega. A poza tym Belin nie jest tak daleko.

- A widzisz! - przekomarzała się Pernelle.

Alienor rzuciła mi wrogie spojrzenie, ale ja wiedziałam, że małej nic nie grozi. Wyda na świat ślicznego chłopczyka, nie miałam wątpliwości.

- A cóż takiego się zdarzyło, że przejechałaś taki szmat drogi? - spytała Alienor, skinąwszy na pazia, który czekał na rozkazy.

Natychmiast podał Pernelle szklankę lemoniady. Wypiła duszkiem i otarła delikatnie wargi koronkową chusteczką, jednocześnie głaszcząc drugą ręką swój wypukły brzuch. Alienor rozczulił ten gest, w jej oczach błysnęła iskierka zazdrości.

- Byliśmy na weselu, ot co! - oznajmiła przyszła mama, uśmiechając się z zadowoleniem. - Pamiętasz Camille, córkę mojej niani?

- Oczywiście, że pamiętam - odparła Alienor, wzruszając ramionami. - Za każdym razem, kiedy czekałam na Rajmunda, kręciła mi się pod nogami.

Pernelle wybuchła śmiechem.

- Teraz ma inne rozrywki, poślubiła syna młynarza z Belin, pięknego Celestyna. Czy to nie z nim całowałaś się kiedyś za kołem młyńskim?

- To prawda! Ale to było tak dawno, siostrzyczko. Byliśmy dziećmi - dodała Alienor z nutą nostalgii.

- A jednak! Z synem młynarza. Gdyby ojciec to wiedział! - ciągnęła mała, grożąc palcem.

- Z pewnością kazałby mnie wychłostać!

Wszystkie trzy wybuchnęłyśmy radosnym śmiechem. Zapadł zmrok, a my wciąż siedziałyśmy w altance, wspominając szczęśliwe dzieciństwo.

Na początku października 1143 roku musieliśmy wrócić do Cite. We wrześniu było tak ciepło, że Alienor zwlekała z wyjazdem. W połowie sierpnia Pernelle wydała na świat ślicznego chłopczyka. Królowa, jako matka chrzestna, bez przerwy nosiła go na rękach. Poród był trudny, a powrót do zdrowia Pernelle długi i wyczerpujący.

Alienor opiekowała się siostrą i jej dzieckiem.

Potrzeba niańczenia przepelniała ją bez reszty, promieniała szczęściem, gdy tylko dziecko znalazło się na jej rękach. Czowała, że rozłąka z małym i wyjazd do Paryża złamałyby jej serce.

Doszłam do wniosku, że Alienor powinna urodzić dziecko. Po prostu potrzebowała tego. Matka mówiła: „Tylko nie spadkobierca”. Nic w gruncie rzeczy nie stało na przeszkodzie, by Alienor urodziła córkę. Postanowiłam, zadziałać w tym kierunku.

Ponadto Alienor trzymał w Bordeaux pewien trubadur. Był nim Bernard de Ventadour, który kilka lat temu został jej przedstawiony, miał wspaniałą prezencję i dobrze śpiewał. Ostatecznie wypędzony z ziemi swych młodzieńczych buntów, znalazł schronienie w de rOmbriere, gdy przejeżdżał przypadkowo przez Akwitanię.

Natomiast Jaufre się nie pokazał i - co dziwne - nawet Pan-

perd'hu, który był jego przyjacielem, nie powiedział o nim ani słowa. Może Jaufré mu to nakazał. Może miał nadzieję, że zapytam o niego. Wiele razy musiałam się powstrzymać od wypytywania. Ale wytrzymałam, a zatem nie dowiedziałam się niczego.

Od króla także nie było żadnych wieści. Z tych, które otrzymaliśmy, wynikało, że nie śpieszyło mu się do małżonki. Aliénor, zmęczona walką, którą musiała stoczyć ze sobą, ostatecznie uległa Bernardowi de Ventadourowi. W Bordeaux wszystko było proste. Każdy wiedział, że królowa ma kochankę, i uważał to za rzecz normalną. W Akwitanii do dobrego tonu należało oddawanie się igraszkom miłosnym, a ciepły klimat temu sprzyjał. W Ile-de-France panowały inne obyczaje.

Ludwik nie tolerowałby podobnego postępowania. Nie tylko dlatego, że tak go wychowano. Miał też naturę zazdrośnika. Aliénor była tego świadoma i swój związek z Denysem starannie ukrywała. Musiała zachować ostrożność.

W podróży opracowano więc całą strategię. Jeśliby doniesiono królowi o wiarotomności żony, należało nie dawać mu sposobności do sprawdzenia pogłoski.

Z Bordeaux wyjechaliśmy wczesnym rankiem, zatrzymaliśmy się na krótko w Blaye, by objuczyć muły. Aliénor chciała dotrzeć do Châtellerault nocą, a Denys pragnął przedstawić ojcu tę, z którą się nie rozstawał: Marjolaine de Monfort. W

drodze powrotnej nie widziałam więc Jaufrégo.

W Châtellerauld stary hrabia przyjął nas z otwartymi ramionami. Dawno już nie było mu dane podejmować księżniczki w swoich włościach. W istocie w ciągu ostatnich sześciu lat byliśmy w Akwitanii tylko trzy razy, a wizyty Aliénor u wasali często były uwarunkowane racją stanu. U niektórych trzeba było pokazać autorytet ksią-

żęcy, podczas gdy innym najwyraźniej wystarczyło, że niegdyś ślubowali wierność.

Loriane zmarła ze zgrzoty ubiegłej zimy. Denys odczuł to boleśnie. Kochał ją jak matkę, choć nie mógł jej tego wyznać ani dowieść. Nigdy nie dała mu do tego prawa. Ojciec przywitał go ze łzami w oczach. Obaj mężczyźni uściskali się serdecznie.

Starsi synowie hrabiego już się ożenili i stary człowiek czuł, że mają do niego coraz większą pretensję. Podobnie jak jego zmarła żo-

na nie mogli mu wybaczyć istnienia Denysa. Popełnił błąd, wychowując go w swoim domu, i ich zdaniem to właśnie było przyczyną szaleństwa matki.

Odwiedzali ojca z rzadka i za każdym razem czynili mu wyrzuty.

Denys długo rozmawiał z ojcem. Nikt nie wiedział, co sobie powiedzieli, lecz Denys oznajmił, że hrabia pojedzie z nim do barona de Monfort - ojca Marjolaine. W

ubiegłym roku, podczas turnieju, konetabl królowej uzyskał tytuł barona. Przedtem był pozbawiony mienia, tytułu, pozycji. Gdy Denys wygrał walki w przytomności najważniejszych osób królestwa, król pasował go na rycerza. Towarzysząc swemu synowi, hrabia chciał dowieść, że jego nieślubny syn ma kochajcego ojca.

Denys chciał poślubić Marjolaine, którą ubóstwiał. Nie była ładna, lecz emanowała z niej taka słodycz, że miało się wrażenie, iż każdy jej ruch jest jak powiew wiosny.

Chętnie się śmiała, zasłaniając białymi rączkami śliczne ząbki. A gdy Denys dotykał

jej policzka, oblewała się rumieńcem i podnosiła ku niemu rozkochane czarne oczy.

Najbardziej jednak lubiłam w niej szczerść i subtelną inteligencję, a do tego skromność. Marjolaine niczego nie oczekiwała, nie narzekała, nie czuła zawiści. Po prostu była sobą. Lepszej żony Denys nie znalazłby. Została moją przyjaciółką, zaakceptowała więź łączącą mnie z jej ukochanym. Lubiła mnie szczerze jak siostrę.

Nie była złośliwa - cecha tak rzadka cenna, że za nic na świecie nie chciałabym popsuć naszego związku. Bardzo ich kochałam obydwójce, wiedząc w głębi serca, że gdyby nie było Jaufrégo, oddałabym swoje serce Denysowi. Marjolaine była więcej warta niż ja.

Podczas tego wieczoru postanowiono, że ojciec i syn wyjadą następnego ranka prosić o rękę Marjolaine. Aliénor udzieliła błogosławieństwa temu związkowi i obiecała przyszłym małżonkom, że wyposaży ich stosownie do zaufania i uczucia, jakim darzyła swego konetabla.

Zostawiliśmy na miejscu Marjolaine i Denysa, mając pewność, że niebawem dołączą do nas. Królowa potrzebowała swego obrońcy, a ja przyjaciela, na którym mogłam polegać, jedyne, na którego naprawdę mogłam liczyć.

- Od trzech dni szlifuję posadzki tego diabelskiego pałacu, a on nawet nie przyszedł

się ze mną przywitać! Jeśli nie zapowie się jeszcze przed wieczorem, przysięgam przed Bogiem, że każę strażom rozbić bramy opactwa!

Alienor szalała. W Paryżu padał deszcz. Było zimno. Król nie ruszył się z miejsca, by ją powitać. Co gorsza, wysłał w swoim zastępstwie Teodoryka Galerana.

Rozżłoszczona, lecz gotowa przejść do porządku dziennego nad tą zniewagą, udała się do Saint-Denis, aby złożyć mu wyrazy przywiązania. Suger dał jej sucho do zrozumienia, że Ludwik jest cierpiący i nie może jej przyjąć. Cierpiący! Co za bzdura! Bez przerwy donoszono jej, że osobiście mył ręce szlifierzom diamentów, którzy mieli za zadanie ozdobić krzyż na ołtarzu! Cierpiący? Nie miał ochoty jej widzieć, i tyle, a to wprawiało ją w niesłychany gniew. Za kogo ten gbur się uważa?

- Upokarza mnie, poniża! Co więcej, przy pełnym poparciu Su-gera! Tego już za wiele, powiem mu, co o tym myślę. I to natychmiast!

- Proszę, uspokój się!

- Nie, mam tego dość, powiadam ci. Jestem królową Francji! Nikomu nie wolno o tym zapominać. Straż!

Otworzyła wszystkie drzwi od swego apartamentu i kazała doprowadzić Teodoryka Galerana.

- Co masz zamiar zrobić?

Bałam się Alienor. Jeszcze nigdy, nawet w najgorszych chwilach, nie widziałam jej takiej zagniewanej. Już się nie kontrolowała, nie słuchała nawet, co się do niej mówi. Próbowałam wziąć ją za ramię, ale odepchnęła mnie z całej siły. Cierpliwie czekałam więc, podczas gdy ona trawiła swój gniew.

- Czy Wasza Królewska Mość raczyła mnie wezwać? Teodoryk Galeran skłonił się nisko, na jego twarzy malowało się

zaskoczenie. Alienor była spocona, zaczerwieniona, pięści miała mocno zaciśnięte.

- Nie, mój panie. Kazałam cię przyprowadzić. Duvers!

Jej sekretarz, nieduży człeczyna, odrobinę tylko wyższy od niej, wyłonił się z gabinetu obok.

- Notuj, Duvers.

Mężczyzna usiadł przy sekretarzu i wziął do ręki pióro.



- „Wasza Wysokość, uważając za zniewagę Pańskie uchylenie się od złożenia mi wyrazów szacunku, powiadamiam niniejszym, że z mojego rozkazu aresztowany zostaje Pański minister, pan Galeran, któremu w porze niesporów zostanie wymierzone dziesięć batów jako ostrzeżenie”.

- Alienor!

Wstałam, poruszona. Jej spojrzenie przygwoździło mnie do miejsca. Teodoryk Galeran nie śmiał nawet drgnąć.

- Jeszcze nie skończyłam. Proszę pisać dalej, Duvers: „Życzę sobie zobaczyć Waszą Wysokość u siebie przed wspomnianą wyżej porą, mając nadzieję, że będę mogła odwołać karę. W przeciwnym razie z każdym uderzeniem zegara zostanie wymierzonych dziesięć batów, aż do Pańskiego przybycia. Od tej chwili Ty odpowiadasz przed Bogiem za los tego człowieka”. Straż!

Drzwi się otworzyły.

- Proszę odprowadzić pana Galerana. Jest aresztowany.

- Na jakiej podstawie, Wasza Królewska Mość? - ośmielił się bąknąć Teodoryk.

- Nie potrzebuję żadnej podstawy. Jestem królową!

Galeran zacisnął zęby i wyszedł w asyście uzbrojonych strażników. Byłam wstrząśnięta. Nigdy bym nie uwierzyła, że królowa jest zdolna do takiego okrucieństwa.

- Proszę odnieść ten bilecik królowi! Natychmiast! - rozkazała Duversowi, który wymknął się w milczeniu.

Dopiero teraz otworzyła zaciśnięte pięści i nalała sobie śliwownicy z karafki stojącej na bufecie. Wypiła jednym haustem.

- I co teraz? - zapytałam.

- Teraz będziemy czekać.

- On umrze, wiesz o tym.

- Zastąpimy go kimś innym.

- Doskonale. Jesteś królową.

Wyszłam, ponieważ nie mogłam znieść tej niesprawiedliwości.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Ludwik ustąpił. Po upływie niespełna dwóch godzin zapowiedział się na progu gabinetu. Wraz z nim był Suger z zachmurzoną miną.

- Proszę zostawić nas samych! - rzekła władczo Alienor do starego opata, zanim król zdążył

otworzyć usta.

Ludwik był blady. Suger, zamiast odpowiedzieć, rozsiadł się w ciężkim fotelu, wytrzymując wzrok królowej. Alienor na chwilę

straciła kontenans, a potem wzruszyła ramionami i postanowiła go zignorować.

- Nie stój jak niemota, Ludwiku. Siadaj, bierz przykład ze swego spowiednika.

Musimy porozmawiać.

Wszelako Ludwik nie dotarł do fotela. Padł bez czucia u stóp królowej.

Król był naprawdę chory. Przeziębił się, a post i ciężka praca dopełniły reszty.

Gdyby nie groźby Aliénor, nie wstałby z łóżka. Suger zakazał mu tego, przekonując, że królowa nie odważy się spełnić swoich gróźb, lecz Ludwik wiedział swoje.

Rozgniewana Aliénor była zdolna do wszystkiego.

Aliénor okazała skrucę. Sama zajęła się swym mężem z poświęceniem i oddaniem.

Wypowiadała się Sugerowi i przyrzekła, że nie będzie się sprzeciwiała decyzjom króla, jeśli tylko do niej wróci. Publicznie przeprosiła Teodoryka Galerana za doznane zniewagi, ale dotknięty do żywego minister wyjechał do swych włości.

Mimo klątwy ciężącej wciąż na królestwie odprawiono modły. Król wyzdrowiał, zachował jednak urazę do swej małżonki i gdy tylko odzyskał siły, wrócił do Saint-Denis.

Aliénor znalazła pocieszenie w ramionach swego trubadura, natomiast ja ze zdwojoną czujnością śledziłam Béatrice. Oprócz wspólnych modlitw odbywała z Ludwikiem długie rozmowy. Król sprawiał wrażenie szczęśliwego. Kochał

Béatrice. To było widoczne. Kochał ją jednak miłością czystą, jakby była świętą.

Podczas świąt Wielkiej Nocy 1144 roku Denys poślubił pannę de Monfort. Udałam się na tę uroczystość wraz z królem i królową. Było to radosne wydarzenie. Aliénor nadała swemu konetablowi lenno w Guyenne. Właściciel lenna zmarł bezpotomnie, więc królowa zatrzymała je właśnie w tym celu. Lennem miała zarządzać Marjolaine. Denys wrócił na swoje stanowisko w straży królowej. Był zupełnie odmieniony ze szczęścia. Ani on, ani Marjolaine nie opowiadali o chwilach spędzonych z hrabią Châtelleraultem, lecz był on obecny na ślubie, wbrew woli swoich prawowitych synów, którzy poprzysięgli, że pomszczą ten afront. Była to jedyna chmurka na bez-

chmurnym niebie. Jakże chciałabym być na miejscu Marjolaine i w chwili przysięgi złożyć rękę na dłoni mego trubadura!

Wiosna minęła na przygotowaniach do inauguracji opactwa, przewidzianej na czerwiec. Ludwik,

idąc za radą Alienor, ofiarował Sugerowi wazę z berylu. Młoda królowa starała się, aby wszystkim w królestwie ów dzień utkwiał w pamięci.

W maju papież Celestyn II odwołał klątwę ciążyącą na królestwie Francji. Małżonka Raula de Crecy'ego, zwana ślubną, umarła. W pałacu de la Cite pojawili się marszałek dworu z Pernelle i Suger zaprosił ich na poświęcenie opactwa.

Konflikt między Tybaldem z Blois i hrabią de Vermandois'em wygasł wraz ze zniesieniem ekskomuniki, lecz to nie załatwiało sprawy. Nie można pogrzebać nienawiści, przybijając krzyż. Podpisywano porozumienia, wymieniano grzeczności, lecz za tą fasadą unosił się odór kłamstwa i zdrady.

Coś musiało się wydarzyć. Coś wielkiego. Coś potężnego, co gromadzi tłumy i jednoczy serca.

Śniło mi się, że Alienor wznosi w palącym słońcu chorągwie, a czerwony krzyż na jej ramieniu ocieka krwią. Rozmawiałam z nią o tym jeszcze tego samego wieczoru, gdy odesłała Bernarda de Ven-tadoura.

- Bernard z Clairvaux udzielił ci odpowiedzi? - spytałam. Alienor uśmiechnęła się szeroko.

- Dziś rano ją otrzymałam. Byłam pewna, że on nie przepuści takiej okazji.

Przyjedzie.

- Skorzystaj z jego wizyty i poproś go o audiencję.

- I co mu powiem? Że Ludwik już mnie nie kocha, i że muszę zadowalać się pieścizotami mojej damy do towarzystwa?

- Zapominasz o Bernardzie de Ventadourze!

- On to co innego.

- Jak to?

- Myślę, że mogłabym się obejść bez niego, gdyby król do mnie wrócił.

- Nie dalej niż miesiąc temu powiedziałaś, że Ludwik wydaje ci się odrażający.

- To prawda - westchnęła - nie jest apetyczny z tą swoją chudo-

ścią kościotrupa, ogoloną czaszką i mnisią szatą, lecz od kilku dni jego oczy błyszczą jakimś niezwykłym światłem. Co więcej, zwraca się do mnie inaczej.

Może spłynęła nań łaska.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu i zakpiłam:

- Też coś! Wczoraj zarzucałaś mu, że żyje jak mnich, a teraz wzdychasz do świętego. Za taką perwersję grozi piekło.
- Nie szydź. Ludwik jest moim mężem - rzekła z poważną miną.
- Nie śmieję się. Myślę, że nadszedł czas, abyś pokazała Ludwikowi, że jesteś jego sojuszniczką, skruszoną i wierną.
- Trzeba by jakiegoś cudu.
- Jest nim Bernard z Clairvaux.
- No dobrze. I co jeszcze?
- Poproś go, aby dał ci dziecko.
- Musiałby mnie dotknąć.
- Poskarż się, że król woli różaniec, i zasugeruj, że małżeństwo, którego się nie konsumuje, może zostać anulowane.
- Aleja nie chcę się pozbyć Ludwika!
- Nie, teraz jeszcze nie... - powiedziałam ironicznie.
- Nigdy! - zaproponowała, unosząc wysoko głowę. To mnie rozbawiło.
- Poproś o dziecko w zamian za twoją poprawę. Zasugeruj temu świętemu człowiekowi, że - aby uzyskać przebaczenie Boga - jesteś gotowa na wszystko, nawet ponieść krzyż.

Alienor zbladła. Wybełkotała:

- Wyprawa krzyżowa? Postradałaś rozum?
- Ależ nie. Idea utoruje sobie drogę i wkrótce Bernard z Clairvaux uczyni, co do niego należy. Lepiej, żeby wrogowie walczyli na odległej ziemi niż pod naszymi oknami. Wolisz, by twój ukochany mąż skończył w klasztorze czy jako rycerz z szablą w dłoni i skórą spaloną słońcem?

Zobaczyłam na jej twarzy szeroki uśmiech. Oczami duszy zapewne widziała króla takim, jakim chciałyby go widzieć. Podeszła do mnie i złożyła czuły pocałunek na moich wargach, ujmując moją twarz w obie dłonie.

- Uwielbiam cię, Loanno de Grimwald.
- Jak też cię kocham, moja królowo.

Uroczystość poświęcenia chóru w opactwie wyznaczono na jedenastego czerwca 1144 roku. Tego

samego dnia miał się odbyć jarmark w Lendit. Suger był w siódmym niebie. Oznaczało to bowiem, że przybędą wielmoże z całego królestwa oraz tłumy gawiedzi z prowincji i odległych krain. Król uznał to wydarzenie za najważniejsze w tym stuleciu. I rzeczywiście, w całej Francji, a nawet w Europie, nie było podobnej budowli. Wszyscy przyczynili się do jej powstania - szlachta i pospólstwo, najbardziej szacowni i najmniej pobożni.

Postanowiono, że z pałacu wyruszy tysięcosobowy orszak z Sugerem i królem na czele. Wszyscy byli przystrojeni w bogate szaty i klejnoty - i możni, i kler. Jedynie Ludwik miał na sobie zwykłą burkę z beżowej serży i drewniany krzyż, zawieszony na szyi na konopnym sznurku. Na próżno Suger przekonywał króla - Ludwik bardziej niż kiedykolwiek chciał zaznaczyć swą pobożność i domagał się, by pozwolono mu nieść płomień.

Uzbrojona straż musiała kilkakrotnie utworzyć żywy kordon, by powstrzymać tłum cisnący się po obu stronach drogi. Słychać było okrzyki, śmiechy, śpiewy. Wszyscy chcieli zobaczyć króla i podążyć za orszakiem.

Gdy wąską drogą prowadzącą wśród bagien dotarli na wzgórze Montjoie, Suger pobłogosławił lud, wypełniający kolorową cizbą dolinę.

Na skraju drogi, w miejscu, gdzie ścięto męczenników: Denisa, Eleutheriusa i Rustique'a, ustawiono trzy krzyże. Przed każdym z nich Ludwik zapalał ogromną świecę. W głębokiej ciszy dosłyszałam dziwną wymianę zdań między dwojgiem gapiów:

- Kim jest ten człowiek składający hołd świętemu Denisowi?

- Ty głupi, to król!

- Dziwnie wygląda jak na króla. Nawet ja mam lepszy przydziewek.

Słowa te podchwycił trubadur, podążający za nami ze swym instrumentem, po kilku dniach usłyszeliśmy bowiem pieśń o tym zdarzeniu.

Wreszcie orszak dotarł przed imponującą bazylikę. Król, który szedł pieszo przed swoim koniem, zatrzymał się; wszyscy wielcy zsiadli z wierzchowców i poszli ku przodowi. My podążyliśmy przejściem utworowanym przez mnichów. W ten sposób dotarliśmy do katedry, wokół której kłębił się tłum gapiów. Zakonnicy z Saint-Denis i Bernard z Clairvaux przyglądali się z lekką dezaprobatą temu wspaniałemu tłumowi, który przybył tu w pokorze.

Ludwik ukląkł przy wejściu do katedry. W pobliżu rozległy się szepty. Bernard z Clairvaix podniósł króla z uśmiechem i wzięwszy go pod ramię, poprowadził do nawy.

Suger odprawił nabożeństwo, ale kazanie wygłosił Bernard z Clairvaux.

Przypomniał wszystkim, że jedynie dusza dostanie się do królestwa niebieskiego.

Człowieka nie należy oceniać po wyszukanej powierzchowności, lecz po uczynkach. Potępił też dążenie do zbytku. Suger spuścił głowę, gdyż słowa te były w niego wymierzone. Po marmurowe

kolumny pojechał aż do Rzymu i ściągnął je z ruin pałaców, term Dioklecjana. Niesłychanie finezyjne witraże w oknach wykonali sprowadzeni do Paryża mistrzowie rzemiosła. W głębi wznosił się krzyż połyskujący złotem i drogimi kamieniami. Chrystus został wyrzeźbiony w marmurze. Przepychu dopełniały diamentowe gwoździe w dłoniach i stopach Ukrzyżowanego. W całym królestwie nie było nikogo, kto odmówiłby wydania ze swego skarbcza drogocenności w celu uświetnienia katedry. Suger promieniał z dumy.

Król, wyprzedziwszy arcybiskupów, stanął przed kryptą, by przyjąć relikwie świętego Denisa.

Alienor stała smutna, z pochyloną głową. Ludwik ubierał się jak mnich, zachowywał się jak mnich i całym swym postępowaniem dowodził, że od tej pory będzie jeszcze bardziej uległy wobec Kościoła. Uświadomiła sobie ponadto, że jej wpływy zostaną znacznie ograniczone.

Poszukała wzrokiem Bernarda z Clairvaux. Stary człowiek nie okazał jej współczucia. Gdy ceremonia się skończyła, zażądała prywatnego spotkania ze świątobliwym mężem. Bernard z Clairvaux przystał na nie.

Dotychczas miałam okazję spotkać się z nim tylko dwa razy. Ostatnio w Cluny, gdy potępił miłość Abelarda do swej młodej i ślicznej uczennicy Heloizy. Jego postępek pozostawił mi smak goryczy w ustach.

Bernard z Clairvaux jest fascynującym człowiekiem. Niesie swój krzyż, tak jak inni noszą miecz. Gdy przemawia do wiernych, cały się przeistacza. Ten zniszczony i posunięty w latach starzec wydobywa z siebie głos potężny i pełen powagi. W

młodości musiał być bar-

dzo przystojny. Teraz w porwanej zmarszczkami twarzy fascynowały jedynie błękitne, zimne oczy, świadczące o dawnej urodzie. Stracił na wyglądzie, lecz zyskał na godności. Bernard z Clairvaux budził zarazem lęk, miłość i respekt. Był

niebezpieczny, bardziej niż Suger. Suger dążył do władzy, gdyż kochał związany z nią przepych i luksus. To dla zaspokojenia własnych ambicji wznosił opactwo Saint-Denis, oddał swoje ziemie pod budowę miast. Opat Clairvaux odwrotnie, kochał władzę, ale taką, która pozwala sprawować rząd dusz. Nie pragnął niczego dla siebie. Liczyła się tylko absolutna potęga Boga i jej pragnął służyć.

Gdy Alienor wróciła ze spotkania z opatem, była spokojna.

Po zakończeniu uroczystości, które trwały około dwóch tygodni, Ludwik ukazał się na progu sypialni swej małżonki z bijącym sercem i suchym gardłem. Alienor otworzyła szeroko ramiona. Jednak - wbrew temu, co wcześniej mówiła - nie porzuciła swego pięknego trubadura.

- To córeczka, najjaśniejszy panie!

Ludwik uderzył pięścią w ścianę. W całym królestwie plotkowano, że dziecko, które królowa nosiła w swym łonie i które tym razem przyszło na świat w terminie, nie było dzieckiem króla, lecz Bernarda de Ventadoura, kochanka Alienor.

- Królowa chce cię widzieć, Ludwiku.

Suger szedł w jego stronę, zacierając dłonie. Ludwik nie ruszył się z miejsca.

Spoglądał na odległe wieże katedry, której budowa ciągnęła się już od roku.

Wydawało się, że tego majowego dnia 1145 roku rzucają wyzwanie przejrzytemu niebu.

- Bóg mnie ukarał, ojcze.

- Cóż znowu, mój synu. Nie pozwól, by ogarnęło cię zniechęcenie. Proszę, pójdz ze mną. Dziecko jest śliczne, a królowa promienieje ze szczęścia.

Ludwik rzucił Sugerowi wściekłe spojrzenie.

- Powiadasz, że jest szczęśliwa? Świetna robota! Cóż mi po córce, skoro królestwo czeka na dziedzica. To już osiem lat. A co gorsza, wszyscy ze mnie szydzą. Każ Ventadourowi zabrać stąd tego bękarta i niech idzie do diabła, słyszysz? Nie chcę widzieć tego dziecka. Ono nie jest moje!

Odwrócił się od współczującego mu Sugera i wybiegł jak szalony. Nie widziano go przez cały tydzień.

Alienor promieniała ze szczęścia - nareszcie trzymała w ramionach swoje dziecko, choć - podobnie jak Ludwik - żałowała, że to nie chłopiec. Rozwiązałoby to wiele problemów.

Król przychodził do jej łóżka zaledwie przez kilka miesięcy - do czasu, gdy ją zapłodnił. Potem wycofał się pod pretekstem zachowania ostrożności, by znów nie doszło do poronienia. Tym razem królowa unikała wszelkiego ryzyka i zgodnie z zaleceniami medyków przeleżała całą ciążę w łóżku. Maria, której nadano imię w hołdzie Najświętszej Dziewicy, tak drogiej królowi, spoczywała przy nabrzmiałej mlekiem piersi Alienor.

Wkrótce przybył sam Bernard z Clairvaux, by pobłogosławić nowo narodzone dziecko, ten dar boży, którego zażądała Alienor w zamian za okazane posłuszeństwo. Król był u jej boku - spokojny i skupiony.

Bernard z Clairvaux przemówił. Bóg zesłał dziecko! Choć nie był to syn, należy dziękować Najwyższemu. Przyjdzie czas i na syna, o ile małżonkowie podtrzymają swoją obietnicę i pozostaną rozsądni oraz uszanują Kościół. Co się tyczy plotek, nie chce o nich słyszeć. Król jest ojcem tego dziecka.

Alienor przyjęła Ludwika ze łzami. Długo trwali objęci, a dziecko spoczywało między nimi jako wspomnienie ich wzajemnej czułości i przysięgi, jaką złożyli.

- Loanno, przyjdź jak najszybciej! Królowa szaleje i nie możnajej uspokoić.

Sybilla Andegaweńska, która podczas Zielonych Świątek poślubiła barona Flandrii, twarz miała

zaczerwienioną od biegu. Byłam właśnie w ogródku, gdzie zbierałam zioła na bóle brzucha, które od niedawna nękały mnie co rano.

Nowina rozbiegła się z szybkością strzały: król wygnał Bernarda de Ventadoura.

Biegłam tak szybko, jak tylko pozwalały mi na to sandały, przeskakując przez grządki zonkili i irysów.

Królowa od tygodnia leżała w łóżku. Połóg ją wyczerpał i medyk kazał jej wypoczywać, aby nie straciła pokarmu. Zdyszana wbiegłam do pokoju. Alienor właśnie kończyła się ubierać, wspomagana przez pokojówkę. Karciła nieszczęsną dziewczynę, że nie jest dość szybka.

- Jesteś nareszcie! Godzinę temu kazałam cię szukać! Wszyscy tu zmówili się przeciwko mnie! Dość tego! Kłujesz mnie. Idź już, wyjdź stąd! Poradzę sobie sama!

Okrągła twarzą Marjorie sposepniała. Była bliska płaczu i cała drżała jak osika.

- Zostaw nas, Marjorie. Pomogę królowej się ubrać - powiedziałam spokojnie.

Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła bez słowa. Rozplakała się dopiero za drzwiami.

Usłyszałam jej szloch. Westchnęłam.

- Szybciej, muszę widzieć się z królem! - ponaglała mnie królowa. Powoli zawiązałam srebrny sznureczek pod jej piersiami.

- Nie zobaczysz go, Alienor. Nie denerwuj, się bo zaszkodzi dziecku.

- Daj spokój! Mam mleka więcej niż potrzeba. Na Boga, Ludwik musi mnie przyjąć!

- Ale dopiero po powrocie - rzuciłam, poprawiając jej suknię w talii.

Alienor zbladła.

- Króla nie ma? Nie powiadomiono mnie o tym.

- Wyjechał niedawno. Tak powiedział mi Suger, którego spotkałam, biegnąc do ciebie. Ma jakąś sprawę do załatwienia w Chartres. Towarzyszy mu Denys i kilku zbrojnych.

- Szalbierz, zdrajca, niegodziwiec!

Gwałtownie szarpnęła za ciasno związaną sznurówkę.

- Uspokój się, królowo, nic na to nie poradzisz.

- Sam odprowadza Bernarda, żebyśmy nie mogła się z nim pożegnać! - Wybuchnęła łkaniem.

- A czego się spodziewałaś? Doznał uszczerbku na swoim honorze. I do niego dotarły plotki o twoim



związku z Bernardem de Ven-tadourem. Codziennie przychodził do małej Marii, by zaśpiewać jej kołysankę. Ludwik postąpił, jak przystało na króla... Zarzucałaś mu, że zachowuje się jak mnich, a teraz złościsz się, że zachował się jak mężczyzna!

- On mnie już nie pragnie! Nie kocha mnie! Czyż nie zasłużyłam nawet na jedno spojrzenie? Bernard mówił mi, że jestem piękna, jego namiętność trzymała mnie przy życiu. Co mi teraz pozostało?

Uśmiechnęłam się. Królowa była zakochana. Podobnie jakja cierpiała z powodu rozłąki z panem swego serca. Uścisnęłam ją czule i szepnęłam do ucha:

- Maria...

Uniosła głowę. Miała zaczerwienione oczy i policzki mokre od łez. Przez chwilę była jak gdyby nieobecna, w zamyśleniu szukając w pamięci powodu, który pozwoliłby jej wierzyć w lepsze jutro.

- Maria... - powtórzyła.

Dziecko spało w kołysce obok łóżka matki. Było to puciołowate niemowlę, a jego spokój nie przestawał mnie zdumiewać. Pamiętałam, jak kapryśny i płaczliwy był

malutki Henryk. Lamenty Alienor nie naruszyły spokoju dziecka. Alienor uwolniła się z moich objęć i pochyliła nad kołyską, z rozczuleniem uśmiechając się przez łyzy.

Jej gniew przycichł. Podeszłam do niej. Malutkassała z ukontentowaniem kciuk.

- Jest śliczna, prawda? - spytała królowa.

- Bardzo.

Wiedziała, co ma na myśli. Ten pieprzyk na policzku pod lewym okiem małej...

Bernard de Ventadour miał takie samo znamię, dokładnie w tym samym miejscu.

- Będiesz go kochała poprzez Marię...

Podniosła oczy na mnie, szczęśliwa, że ktoś ją zrozumiał.

- Ale czy to mi wystarczy?

- Zapewne nie, ale los ci to wynagrodzi. Bądź cierpliwa.

- Oby Bóg cię wysłuchał - szepnęła znużona.

Wydarzenia, jakie nastąpiły wkrótce potem, przyznały mi rację.

W kilka dni później dowiedzieliśmy się, że Edessa, miasto w Ziemi Świętej, znalazła się w rękach Zankiego, gubernatora Aleppo i Mosulu. Alienor zdobyła się na odwagę i przypomniała Ludwikowi

o zobowiązaniach, jakie przejął w imieniu zmarłego brata - miał bronić Ziemi Świętej. Ludwik dostrzegł w tym jedynie znak, że i ona chce wrócić do łask. Podczas świąt Bożego Narodzenia roku 1145, siedząc w Bourges na honorowych miejscach przy uroczystym sto-

le, królewska para oznajmiła wszem wobec o swoim zamiarze niesienia krzyża.

Wśród obecnych rozległ się szmer zaskoczenia.

Stefan z Blois, król Anglii, powitał niespodziewanego posłańca. Zazwyczaj przybywali doń mnisi od opata Sugera, którzy przywozili mu wieści o wszystkim, co się działo w królestwie Francji. Nie wiedział, jak się zachować wobec tej osoby o anielskiej twarzy, przywożącej wiadomości od królowej. Nawet jeśli Béatrice de Campan bawiło jego zakłopotanie, nie okazała tego. Przed kilkoma miesiącami Suger powierzył jej inną misję, która wprawdzie oddalała ją od królowej, ale zwiększała jej wpływy. Snuła intrygi dla dobra Sprawy.

- Każ, Wasza Królewska Mość, przynieść nam coś do picia. Sprowadza mnie ważna sprawa.

- Jestem szczęśliwy, panno de Campan.

Rozejrzał się za buteleczką ze śliwowicą, którą zawsze miał pod ręką, gdziekolwiek się znajdował. Ta pannica działała mu na nerwy. Podał jej srebrny kieliszek inkrustowany kamieniami. Uśmiechał się przy tym kpiąco.

- Pani uroda mnie oszałamia. Zapewne wolałaby pani łagodniejszy napój, miłszy podniebieniu damy.

Béatrice z wdziękiem ujęła podany kieliszek.

- Wypijmy, panie.

Unosząc kieliszek, zachęciła go, by uczynił to samo. Stefan z Blois był rozbawiony.

Delikatnie umoczył wargi w alkoholu. Spodziewał się, że Béatrice zakrztusi się przy pierwszym łyku. Ona jednak opróżniła kieliszek jednym haustem, nie spuszczać wzroku ze Stefana, i wdzięcznie otarła usta rękawem sukni dzierganej złotymi nitkami.

- Na wszystkich świętych! Pani mnie zdumiewa! Nauczyła się pani tej sztuki od opata, tego starego szakala?

- Ależ skąd, łaskawy panie! Po prostu mój wujaszek z Pirenejów pił na umór. A poza tym ten napitek jest wyborny! Czy mogę sobie nalać jeszcze odrobinkę?

Stefan kiwnął głową, wciąż jeszcze pod wrażeniem wyczynu Béatrice.

- Tak, panie. Podróż trochę mnie zmęczyła, ale w przeciwieństwie do ciebie nie noszę przy sobie buteleczki z pokrzepiającym trunkiem.

Stefan z Blois drgnął. Wiedział, że zasłużył sobie na tę opinię, ale nie podobał mu się ironiczny ton pannicy.

- Zechcesz, pani, przejść do rzeczy?

Béatrice odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. Stefan z Blois był brzydki, wulgarny i

nieokrzesany, lecz podobał się jej, choć sama nie wiedziała dlaczego.

„Anioł i diabeł” - pomyślała. Wydobyła spod narzutki list i podała mu z uśmiechem.

Król Anglii odpieczętował list i podszedł do okna, by go przeczytać. Zgodnie z jego oczekiwaniami pismo było od Sugera. Król zaśmiał się szyderczo:

- A więc stary szakał podjął decyzję!

- Byłabym wdzięczna, panie, gdybyś zechciał użyć innych słów na określenie osoby duchownej, która poza tym jest moim opiekunem i świątobliwym człowiekiem -

rzekła Béatrice.

- No cóż, niech idzie do diabła ten świątobliwy człowiek, który hamuje wszystkie moje przedsięwzięcia! - warknął w odpowiedzi hrabia de Blois i dodał z błyskiem w oczach: - Zżera go ambicja, dlatego jest taki wyschnięty!

- Jeśli jesz, panie, tyle, ile pijesz... - rzuciła Béatrice, spoglądając nielitościwie na opasłą postać króla.

Stefan z Blois spurpurowiał z wściekłości. Rzucił się na nią, strącając po drodze pergamin. Béatrice nawet nie drgnęła. Była przyzwyczajona do takich wyskoków.

Tak jak przewidywała, jej niewzruszona postawa sprawiła, że hrabia uspokoił się.

- Niech pan skończy tę grę - szepnęła, odstawiając kieliszek na skrzynię, o którą się opierała.

Pociągając delikatnie jedwabną sznurówkę swego gorsetu, dodała prowokująco:

- Wydaje mi się, że mamy coś lepszego do roboty.

- Ty suko! - syknął hrabia, policzkując ją z całej siły, podochocony alkoholem.

Béatrice wytrzymała uderzenie. Ta grają podniecała. Hrabia przewrócił

impertynentkę na skrzynię. Zdołała tylko wydać krótki okrzyk bólu, gdy wdarł się w nią, podwinąwszy jej spódnicę do pasa. Jego gwałtowność dostarczyła jej rozkoszy.

Stefan z Blois szarpnięciem

rozwiązał sznurówkę i uwięził jej krągłą białą pierś w brutalnym uścisku. Béatrice nie spuszczała zeń wzroku, spoglądając z wyzwaniem i wyższością. Miał ochotę złamać ją, zdominować.

Uszczypnął mocno grubymi paluchami stwardniałą brodawkę jej piersi i jął ujeżdżać Béatrice, poruszając się energicznie między jej rozwartymi szeroko udami.

Béatrice nie opierała się; wygięta w łuk, zatonęła w ekstazie. Stefan z Blois spoliczkował ją raz

jeszcze, złorzecząc przez zaciśnięte zęby. Wkrótce opadł na nią w ostatnim spazmie.

Poprawił odzież, nie patrząc na Béatrice, i poszedł po nalewkę. Pił łapczywie prosto z butelki. Wódka spływała po jego wyszczotkowa-tej czarnej brodzie.

Béatrice wstała i również poprawiła szatę. Lewy policzek palił ją od uderzenia.

Czuła, że odcisnęły się na nim grube paluchy, jakby dotknął jej rozpalonym żelazem. Upajało ją to. „Król Ludwik jest głupcem - pomyślała. - Biczuje się z powodu każdej lubieżnej myśli. A przecież ja o niczym innym nie marzę, tylko o tym, by pod ciężarem jego ciała odcierpieć za niego wszystkie grzechy”.

- Pozwolisz, panie? - Stała przed nim z wyciągniętą ręką.

Podał jej butelkę bez ociągania. Stanowczo ta pannica mu się podobała. Béatrice wypila z lubością. Obydwoje jednocześnie otarli sobie usta dłonią. Roześmiali się głośno, rozbawieni.

- A zatem templariusze zbierają pieniądze na uzbrojenie. Słyszałem o tym w Normandii, gdzie - jak zapewne wiesz - zdołałem dołączyć ich włości do swoich ziem. Wiedzą zatem o wszystkich poczynaniach hrabiów andegaweńskich i o sojuszach, jakie zawarła ta zbrodniarka Matyllda. Anglia i Normandia należą do mnie, do diaska, i nie pozwolę, aby kobieta mi je sprzątnęła sprzed nosa - zarechotał

hrabia de Blois.

- Nie należy być pewnym niczego, panie, gdyż stracisz więcej, niż sobie możesz wyobrazić. - Béatrice hamowała jego zapędy z uśmiechem na ustach.

Gdy płomień namiętności wygasł, zasiedli po przyjacielsku w wygodnych fotelach i rozważali sprawy, które przywiodły ją do Anglii.

- Nie mam zamiaru spocząć na laurach. Cokolwiek nastąpi, podoba mi się myśl o wyprawie krzyżowej. Moi rywale wyjdą z mej osłabieni, a Anglia zachowa siłę.

Wątpię, by znalazło się wielu takich, którzy nie usłuchają głosu Bernarda z Clairvaux.

- Takie jest również zdanie opata Sugera. Jednak tego rodzaju przedsięwzięcie wymaga sojuszy i środków. Liczy on na twoje wpływy, panie, by w tej sprawie połączyć się z poddanymi króla Francji, którzy posiadają dobra i są pod twoją ochroną.

- Niechaj się nie lęka. Podążą za mną, pod warunkiem, że będę uzbrojony.

- Wydaje mi się, że w tej dziedzinie zakon wielokrotnie dowiódł, jak bardzo czuje się zobowiązany twoją hojnością.

- Z pewnością. Wszelako moim zamiarom przysłużyła się śmierć Ginewry de Grimwald, oni nie musieli interweniować.

- Mój drogi, moc Pana me gaśnie nawet w obliczu magii.

- Trzeba spalić czarownice, aby ich dusze pochłoniął ogień piekielny - złorzeczył

Stefan, czując, jak dreszcz strachu przebiega mu po plecach.

- Podsuń tę myśl Bernardowi z Clairvaux. Poprzednio jego wezwanie spotkało się z oddźwiękiem w całym królestwie i w Europie.

- Potępiam tradycję angielską, która każe się otaczać czarnoksiężnikami, a przecież Kościół wystarczy nam jako przewodnik dusz. Po objęciu tronu obaliłem ten stary obyczaj. Przez całe życie będę czuwał nad tym, by żaden z nich nie pojawił się przy Okrągłym Stole.

- Uważaj, panie, przemawiasz jak mnich - zażartowała Béatrice. Stefan uśmiechnął się, lecz nagle zaświtała mu pewna myśl.

- Jakie stosunki łączą królową z panną de Grimwald? - zapytał. - Niezależnie od tego, co sądzi o tym ten stary szakal opat, nie podoba mi się to, że ta dziewczyna przebywa na dworze francuskim. Dopóki pozostaje chociaż jedna z nich...

Béatrice poczuła wzbierającą zawiść. Nadszedł czas, by wyjawić cel wizyty.

- Niestety, jej wpływy są coraz większe, a zatem nie jestem już tak użyteczna dla mego protektora jak niegdyś. Ta hultajka odsunęła mnie na bok, doszłam do wniosku, że stosuje czary, by skuteczniej zaspokajać swoje ambicje.

- Czy jest niebezpieczna?

- Bardziej, niż Suger pragnąłby przyznać.

Stefan z Blois wstał i zaczął krążyć po pokoju. Béatrice milczała, by nie zakłócać jego rozmyślań. Uplłynęły długie chwile. Ciszę przerywał jedynie odgłos jego kroków po drewnianej posadzce.

Wreszcie hrabia zatrzymał się i stanął przed Béatrice:

- Trzeba zniszczyć to diabelskie nasienie! Suger jest zbyt łagodny i daje się wyprowadzić w pole. Wiele razy podsuwałem mu myśl, że trzeba się pozbyć tej zakały. Podjął próbę uprowadzenia jej, ale zakończyła się niepowodzeniem. Ten stary wariat jest zbyt zajęty swoim opactwem, by należycie ocenić niebezpieczeństwo. Natomiast Bernarda z Clairvaux nie interesuje to wcale. Żyje w całkowitej asce-zie, a templariuszom nadaje dobra tylko po to, by zrealizować swoje marzenie - wyprawę krzyżową do grobu Chrystusa. Konflikt interesów go nie interesuje.

- Czy potrzebujemy Sugera i Bernarda z Clairvaux, żeby się pozbyć tej pluskwy?

- Oczywiście, że nie.

Następnie, pojmując, że Beatrice przyszła z gotowym planem, zasiadł w fotelu i kryjąc w swej brodzie uśmiech zadowolenia, rzucił już spokojniej:

- A więc, panno de Campan, słucham, co masz do powiedzenia...

Tysiące gapiów tłoczyły się u bram miasta. Bernard z Clairvaux czekał cierpliwie, aż podczas soboru papież poprze i pobłogosławi wyprawę krzyżową. Przez całe życie Bernardowi przyświecała tylko jedna myśl - odebrać Turkom grób Chrystusa.

W miarę upływu czasu zbliżał się coraz bardziej do Mesjasza i ostro potępiał

Kościół nurzający się w zbytku. Wydawało mu się, że templariusze, gromadząc bogactwa, oddalają się od pierwszych nauk i dążą do władzy. Nadeszła właściwa pora. Niech ci, którzy wyciągają ręce po coraz większe dobra doczesne, wyruszą w drogę, niech zasmakują w walce z niewiernymi.

Królowa Francji już dwa lata temu wyraziła życzenie, by wyprawa doszła do skutku.

Bernard uznał to za znak. Zgrzeszyła bardzo, a więc tę myśl mógł jej podszeptać tylko Duch Święty. Bernard doszedł do wniosku, że tak właśnie ma być, i to go pokrzepiło. Wyprawa krzyżowa sprawi, że wszyscy spokornieją i wyrażą skruchę.

Bernard poprawił szaty przy pomocy towarzyszących mu mnichów. Opaci z Clairvaux, których sam wybrał, otaczali go prawdziwą czcią, on zaś był

niewzruszony jak głaz.

Wokół wałów obronnych rozbrzmiewały śpiewy i radosne okrzyki. Bernard uśmiechnął się, jakby ukazał mu się Mojżesz na górze, wypowiadający imię Ojca, by uleciało na skrzydłach wiatru.

- Chodźmy, braciszku - rozkazał spokojnym głosem. Orszak ruszył w drogę.

Tego samego popołudnia Alienor, król i Suger złożyli starcowi hołdy. Dzwoniono na nonę, gdy Bernard z Clairvaux ukazał się na podium wzniesionym na wzgórzu.

Wokół niego klęczała setka mnichów w barwach opactwa Clairvaux.

Król i królowa przyklękli na trawie. Tuż za nimi i dalej, jak wzrok sięgał, na zboczach pagórka widać było promieniejące, rozmodlone twarze, zwrócone w stronę Bernarda.

Nigdy dotąd nie widziałam tego świętego człowieka w takich okolicznościach. Był

jakby odmieniony - olbrzymi, skąpany w świetle, które wydawało się tak intensywne jak blask bijący od Merlina. Przez krótką chwilę byłam zdezorientowana.

Czy to możliwe, aby to była ta sama cudowna energia? Dotąd postrzegałam Boga jedynie jako pretekst służący do zniewolenia maluczkich, tak mnie przynajmniej uczono. Ale pominąwszy to, co duchowni czynili na łonie Kościoła, skąd mogło płynąć to źródło kojące i potężne zarazem, energia

emanująca z tych wyjątkowych istot, z których każda powstała w innej kulturze i jej służyła? Merlin mówił o miłości i energii twórczej. Bóg i Kościół wydawali mi się zawsze jednością. A jeśli prawda była gdzie indziej, nie w tym przebraniu, lecz w samej sile, która nieubłaganie pcha nas ku życiu? Nie, nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

Wszelako tego wielkanocnego dnia Roku Pańskiego 1146 Bernarda z Clairvaux otaczała nieziemska aureola...

Przemówił, a głos jego docierał do każdego zakątka doliny.

- Bracia moi! Czy będziemy dziś bezsilnie patrzeć i składać w niemocy ręce do nieba, gdy zabija się chrześcijan i poniewiera obrońcami Chrystusa? Mamy czekać beczynn timer, aż Jerozolima zostanie złupiona, a jej młody król Baldwin Trzeci przebity włóczniami? Czy pozwolimy, by podpalano kościoły i święte obrazy? Nie!

Nie, bracia moi, albowiem jesteśmy pokornymi sługami Boga, a On domaga się naszej wiary jako wyzwolenia! My, rycerze Chrystusa, musimy powstać, unieść miecz i walczyć, a krzyż ma być naszym sztandarem. Powstańmy, bracia, i ruszmy na niewiernych, pójdźmy krokiem mocnym i pewnym, który wyzwoli nasze dusze i odkupi

grzechy. Pójdźmy odebrać dla Boga i poprzez Boga te miasta i zbaw-myje.

Wśród obecnych rozszedł się szmer.

- Podajcie mi krzyż, a ja go poniosę! - przemówił Ludwik.

- Podajcie mi krzyż - powtórzyła za nim Alienor.

- Mnie też go podajcie!

- Do diaska, jam nie gorszy!

- I ja także nie!

- Wszyscy przemawiamy jednym głosem!

- Niechaj wycisną ten krzyż na mej piersi rozpalonym żelazem! Zewsząd docierały okrzyki będące echem apelu królewskiej pary.

- Zaczekajcie, bracia! - zawołał donośnym głosem mężczyzna niewielkiego wzrostu, bez jednej ręki i lewego oka. Uniósł w górę pielgrzymi kostur, stanął obok króla i królowej, twarzą do tłumu. - Jesteście ślepi! Chcecie walczyć z wrogami Chrystusa, ale nie wiecie, co tam się dzieje! Spójrzcie na mnie. Ja tam byłem, brałem udział w pierwszej wyprawie do Ziemi Świętej!

Zapanowała martwa cisza.

- Byłem u bram Edessy dostałem się do niewoli, torturowano mnie, ale zniosłem wszystko, gdyż



miałem wiarę. Wydłubali mi oko, a jeden z nich, olbrzym o prostych włosach, połknął je, rechocząc. Ale i to zniosłem, bo miałem wiarę. Zdziętkowali naszą armię, zgasili nasze nadzieje, zgwałcili nasze towarzyszki drogi, ale i to nas nie złamało, albowiem mieliśmy wiarę. Wróciliśmy po długich latach wojny, pozostawiając dwie trzecie naszych towarzyszy w kałużach krwi. Mieliśmy nadzieję, że odnajdziemy w kraju tych, których porzuciliśmy. Ale tu nasza wiara i nasza skrucha nie pomogły! Podczas naszej nieobecności złupiono nam ziemie, oblegano zamki, naszych ludzi wymordowano - a skorzystali na tym ci, którzy pozostali na miejscu. Oto co nastąpi teraz i potem, gdyż na naszej drodze jest tylko szaleństwo i śmierć.

- Każcie mu zamilknąć!

- Nie, ma rację! Kto będzie bronił naszych włości?

Robiło się gorąco. Bernard z Clairvaux uniósł rękę ku niebu i znów zapanowała cisza. Starzec patrzył, bez złości, lecz ze spokojną pewnością człowieka, który wie i niczego nie oczekuje.

- Bracia - grzmiał opat Clairvaux - wszystko, co powiedział ten człowiek, jest prawdą!

Obecnych przeszył dreszcz przerażenia, lecz święty mąż nie zostawił im czasu na nowe dyskusje, "wezwał kalekę do siebie:

- Podejdź do mnie, synu.

Zaskoczony tą spokojną siłą, bezręki mężczyzna podszedł bliżej i zajął miejsce na trybunie. Bernard z Clairvaux położył mu dłoń na ramieniu, a raczej na jego kikucie, i zwróciwszy się do tłumu, ciągnął:

- Tak, to wszystko prawda. Było nawet jeszcze gorzej, albowiem wrogowie Pana nie mają moralności, a ich jedynym pragnieniem jest zniszczyć chrześcijaństwo.

Lękacie się o swe ziemie i ludzi, ale co się stanie z nimi jutro, gdy Turcy podbiją Białą Jerozolimę? Zwyciężony i poniżony, sponiewierany na krzyżu Chrystus wyciągnie dłoń w naszą stronę i zapyta: dlaczego? Dlaczego pozwoliliśmy tym de-monom niszczyć nasze życie? Zwróci się ku swemu Ojcu i umrze po raz wtóry.

Albowiem powiadam wam, bracia moi, jeśli wydamy nasze relikwie na pastwę Turkom, nic już ich nie powstrzyma. Jutro staną u wrót Francji, jak dziś u bram Edessy. To, czego obawiacie się dzisiaj, zaleje was morzem krwi czerwiejszej niż ta, która polala się z krzyża. A więc, naprzód, bracia! Powstańmy w imię miłości Chrystusa!

To rzekłszy, Bernard z Clairvaux przyczepił krzyż z materiału do kostura ułomnego starca. Od razu wszyscy zaczęli się tłoczyć, wszyscy chcieli dostać krzyż. Opaci Clairvaux ustawili ludzi w cztery rzędy. W olbrzymich koszach leżały krzyże, którymi obdzielano nowych rycerzy Chrystusa. Gdy zabrakło już krzyży, wycięto następne ze sztandarów, a także z szaty Bernarda z Clairvaux, który został w samej koszuli.

Na zboczach wzgórza rozbrzmiał gromkim alleluja śpiew radości i wesołości.

Nigdy jeszcze ludziom nie było tak lekko na sercu. Starzec wyglądał, jakby zmiażdżyła go dłoń świętego człowieka, a ja nie mogłam oderwać wzroku od jego jedyne go oka, w którym widać było przerażenie.

Gdy wreszcie Bernard z Clairvaux go uwolnił, starzec odszedł ze schyloną głową w stronę miasta. Rzucił ostatnie spojrzenie na rozgorączkowany tłum, a potem zdecydowanym ruchem zerwał krzyż ze swego ramienia i bez najmniejszych wyrzutów sumienia patrzył, jak ulatuje.

W kilka godzin później ktoś natknął się na jego ciało w fosie, o kilka kroków od zwodzonego mostu.

- Panno de Campan! Jak miło widzieć cię znowu wśród nas!

Król z uśmiechem powitał młodą kobietę. Béatrice, która po kilku miesiącach nieobecności wróciła poprzedniego wieczoru ze swej misji, nie mogła oprzeć się chęci złożenia pokłonu królowi. Gdy znalazła się w Châtelet, nie mogła myśleć o niczym innym.

Pochyliła się w głębokim ukłonie. Miała szczęście, gdyż Aliénor bawiła z wizytą w Poitiers, gdzie namawiała rycerzy do udziału w krucjacie.

- Czy Najjaśniejszemu Panu brakowało mojej osoby? - zapytała filuternie.

Ludwik nie dostrzegł jednak w jej postępowaniu żadnego uchybienia i odpowiedział:

- Przecież wiesz, moja wierna przyjaciółko.

Podał jej ramię i zaprosił na przechadzkę. Béatrice aż westchnęła ze szczęścia i położyła dłoń na łokciu swego władcy

W ogrodach pałacowych było już zielono, drzewa owocowe pokryły się białym i różowym kwieciem o delikatnej woni.

- Wrzenie ogarnia cały kraj - oznajmił Ludwik - a ja nie mogę myśleć bez wzruszenia o armii wznoszącej nasz sztandar pod bramami Edessy.

- Powiadają, że Turcy są niebywale okrutni, panie. Lękam się o Waszą Królewską Wysokość.

- Czuję rękę Pana na mym sercu, Béatrice. Stanie się według jego woli, a ja, nieszczęsny grzesznik, nie odczuwam lęku. - Ujął obie ręce młodej kobiety i spojrzał jej poważnie w oczy. - Ale co z tobą, drogie dziecko? Opat Suger powiadomił mnie o twym postanowieniu i drzę cały na myśl o nim. Jest wiele sposobów służenia Bogu. Obstaję przy mniemaniu, że twoje miejsce jest tutaj, a nie tam, gdzie jesteś w niebezpieczeństwie.

Béatrice ogarnęło niewymowne szczęście. Ludwik bał się o nią. Kochał ją zatem.

Spojrzała mu czule w oczy.

- Tam, gdzie ty, mój królu, tam i ja - szepnęła.

- To szaleństwo - odparł król, nie wypuszczając jej ręk ze swoich dłoni i wciąż patrząc jej w oczy.

- A więc wszyscy jesteśmy szaleńcami, panie. Nie ja jedna walczyć będę w imię Boże.

Ludwik westchnął. Trzymając wciąż białą, drobną rączkę Béatrice, pociągnął ją pod jabłoń, gdzie stała kamienna ławeczka. Odchylił gałąź, aby Béatrice mogła przejść, i ciągnął:

- Obowiązkiem królowej jest towarzyszyć małżonkowi w takim przedsięwzięciu.

Nie musisz czynić tego samego.

- Przeciwnie, Wasza Królewska Mość.

Stali teraz przy ławeczce. Béatrice odwróciła się ku królowi, w jej oczach ukazały się łzy.

- Wolę raczej umrzeć od tortur tureckich niż drzeć codziennie o losy mojego pana.

- Nie mógłbym znieść myśli, że cierpisz - szepnął król, dotykając jasnego kosmyka, który wymknął się z warkocza dziewczyny.

- A więc nie każ mi, panie, być daleko od ciebie, gdyż nie przeżyłabym tego.

Usta Ludwika zadrżały i zatonęły w ustach kobiety. Czując przyływ miłości, Ludwik nie mógł dłużej się powstrzymać i objął czule swoją ubóstwianą.

Całowali się długo, a potem usiedli na ławce. Béatrice oparła głowę na ramieniu króla. Ludwik spoglądał na mysikrólika wywodzącego miłosne trele na gałązce i rozkoszował się bliskością ukochanej.

Béatrice szepnęła cicho:

- Kocham cię, Ludwiku.

Nie odpowiedział, tak bardzo oczywista wydawała mu się jego wzajemność. Objął ramieniem młodą kobietę i tak siedzieli w milczeniu, sycąc się tą wspaniałą chwilą.

Wiedzieli bowiem, że już się nigdy nie powtórzy.

- Widziałam ich, Loanno, tak jak widzę ciebie. Obejmowali się pod tą dużą jabłonią.

Sybilla z Flandrii była szalenie podniecona. Opowiadała mi już o swej przygodzie po raz czwarty. Przechadzała się po parku, grzejąc się w łagodnych promieniach wrześnie słońca, gdy raptem usłyszała szmer głosów. Zaciekawiona, zastanawiała się, kto to skrył się na ławeczce zakochanych, i natknęła się na czułą parę.

- Kim był ten piękniś, na którego tam czekałaś?

Sybilla poczerwieniała.

- Nie o tym mówimy - odeła usta. - Masz pojęcie? Królowa myślała, że on się tylko modli.

- Każdy ma jakąś słabość, Sybillo - zażartowałam.

Wszyscy wiedzieli, że hrabina Flandrii ma pociąg do młodych chłopców o delikatnych rysach.

- Zapewne, zapewne! Beatrice de Campan! Nie mogę w to uwierzyć! Zawsze wyobrażam ich sobie odmawiających różaniec przed przyjęciem komunii -

zażartowała.

Doszłam do wniosku, że niedługo cały pałac dowie się o niewierności króla z ust tej makolągwy. Ludwik nie zniesie plotek na temat swego postępowania i oddali Beatrice. Będzie nieszczęśliwy.

Nie chciałam do tego dopuścić za nic na świecie. Im więcej czasu król będzie z nią spędzał, tym mniej będzie go miała na swoje intrygi. Westchnęłam.

- Mówiłaś jeszcze komuś o tym?

- Ma się rozumieć, że nie. - Sybilla wzruszyła ramionami. Była dotknięta do żywego. - Ciebie spotkałam pierwszą - powiedziała, mając na myśli to, że chciała zadziałać jak najszybciej.

Przysunęłam się do niej z uśmiechem, jakbym chciała się jej zwierzyć. Nie okazała nieufności.

- A więc zapomnisz o wszystkim. *Sylgram Louldris Divyl...* Przez kilka sekund Sybilla patrzyła na mnie oczami wołu, a potem

zapłonęło w nich światełko. Puściłam ją.

- O czym to mówiłyśmy? - zapytała, unosząc palce do skroni.

- O tym piękniśiu, na którego czekałaś pod wielką jabłonią, ale on nie przyszedł -

odpowiedziałam tonem zupełnie naturalnym.

- Tak było.

Na chwilę zamilkła, szukając czegoś w swej pustej pamięci, a potem wybuchnęła wesołym śmiechem:

- Do diaska! Już o nim zapomniałam!

- Wybacz mi, panie...

Jaufre odwrócił się, zaskoczony. Od kilku miesięcy nie chciał nikogo widzieć. Całe dnie przesiadywał nad rzeką. W trawie obok niego le-

żała zawsze mandora. Nie rozstawał się z portrecikiem Alienor, który namalował z pamięci Gabriel de Plassac, młody utalentowany artysta. Malarz widział ją tylko raz, i to przelotnie, w Bordeaux.

Stał przed nim nieznajomy chłopak. Miął w drżących dłoniach czapkę. Jaufre nie wiedział, czy ma wybuchnąć gniewem, który już w nim kiełkował, czy z fatalizmem pogodzić się z sytuacją.

- Wybacz, panie... - powtórzył młodzieniec.

- Czego chcesz? Prosiłem, by mi nie przeszkadzano.

- Och, wiem, panie. Zarządca odpędzał mnie, ale udało mi się dotrzeć tu podstępem.

Możesz kazać mnie, panie, obić - musiałem cię jednak zobaczyć.

Jaufre nie wiedział, co począć z upartym młodzieńcem, który klęczał obok, z rękami zaciśniętymi na bezkształtnej czapce.

- No dobrze! Usiądź tu. Jak cię nazywają?

Twarz chłopca rozjaśniła się uśmiechem. Położył na ziemi nakrycie głowy i usiadł po turecku obok trubadura.

- Nazywają mnie Peyronnet, panie.

- Dobrze więc, Peyronnet, opowiedz mi, jak uśpiłeś czujność starego Craquenela.

Młodzieniec powstrzymał uśmiech. Przewisko Craquenel doskonale pasowało do zarządcy.

- Widzisz, panie, tę dróżkę tuż przy rzece? - spytał Peyronnet, wskazując wydeptaną ścieżkę między ostami odsłoniętymi podczas odpływu.

Jaufre kiwnął głową.

- Szedłem nią od portu, potem wspiałem się po tym kamieniu po lewej stronie.

- Do diabła! - zdumiał się Jaufre. - Pokaż ręce. Peyronnet miał połamane paznokcie i palce zdarte do krwi.

- Mogłeś się zabić, wariacie! Peyronnet wybuchnął śmiechem.

- Przysięgam na brodę, której nie mam, że niewiele brakowało! Poślizgnąłem się na kamieniu i omal nie spadłem w przepaść. Życie zawdzięczam rosnącemu tam drzewu, którego zdołałem się schwycić w locie. Na szczęście nie waży dużo, wytrzymało mój ciężar. Podciągnąłem się na rękach i znalazłem w bezpiecznym miejscu. Kiedy dotarłem na szczyt wzgórza, ręce i nogi mi drżały. Tu poczołgałem się od krzaka do krzaka.

- Jesteś zawzięty. Na szczęście dla mnie nie jesteś moim wrogiem - rzekł Jaufre, uśmiechając się wyrozumiale.

Mimo że jego serce było wyschnięte na wiór, poczuł sympatię do tego łobuza.

Podziękował niebu, że nie skręcił sobie karku podczas wspinaczki.

- Skoro już tu jesteś, powiedz, co cię do mnie sprowadza?

- Twoje wiersze, panie.

Jaufre aż krzyknął ze zdziwienia. „Takie ryzyko w tak błahej sprawie” - pomyślał.

- Oszalałeś?

- Ależ skąd, panie! Wcale nie! Od dziecka słyszę pochwały na cześć naszego pana, który jest trubadurem. Jaki jest sprawiedliwy dla swych ludzi i jak pięknie śpiewa.

Moja ciekawość rosła razem ze mną i gdy tylko mogłem, udawałem się w pobliże zamku, by usłyszeć cię, panie. Kiedyś nawet zasnąłem w krzakach. Obudziły mnie dźwięki madory. Śpiewałeś, panie, do księżycy piosenkę, której, jak mi Bóg miły, nigdy nie zapomnę, tak mnie wzruszyła. Opłakiwałeś tę pannę z portretu.

Jaufremu łzy napłynęły do oczu. Pamiętał tę noc. Czekał z taką nadzieją, ale w pokoju nie zapaliło się światło, a jego serce wyschło z oczekiwania.

Młodzieniec wziął instrument do ręki i podał go Jaufremu, błagając:

- Naucz mnie, panie, grać. Na wszystkich świętych, przysięgam, że nigdy nie będziesz miał pilniejszego ucznia.

- Przybywasz za późno, mały - westchnął Jaufre. - Nie mam już duszy, nie układam pieśni.

- Nie masz już duszy? - oburzył się Peyronnet, kładąc instrument na kolanach Jaufrego. - Jeśli skradła ci ją dziewczyna z obrazu, wyrzuć ją ze swego serca i znów śpiewaj pod oknami!

Jaufre przyjrzał się chłopcu z zainteresowaniem. Powinien go zbesztać za impertynencję, ale nie miał serca. W oczach Peyronneta płonął młodzieńczy zapał, który rozgrzewał Jaufremu serce. Chłopiec nalegał:

- Żyj miłością, panie, zamiast umierać dla niej! Jaufre westchnął przeciągle i pogładził instrument.

- Kochałeś już kiedyś, Peyronnet?

- Oczywiście, panie. Dziewczynę z mojej wioski, która ma piękne oczy w kształcie migdałów i jest cienka w pasie jak osa. Chcę wie-

rzyć, że rozkocham ją w sobie wierszami, tak jak ty to czynisz, panie! Na Boga, jeśli będę miał takiego nauczyciela...

- Ach, więc to jest prawdziwa przyczyna twego uporu - wzruszył się Jaufre.

- Ależ nie, panie! Zapałałem do niej afektem niedawno.

- No cóż! Wiedz, młody przyjacielu, że miłość rodzi cierpienie. Zobacz, co ze mnie uczyniła.

- Nie żałuj, panie, niczego. To dzięki niej powstała ta piękna pieśń, którą słyszał

księżyc i ja. Pamiętam, było to trzy lata temu.

- Ona też ją słyszała, ale nie wzruszyła się nią wcale. Peyronnet przyglądał się Jaufremu ze smutkiem. Żał mu było trubadura, ale też podziwiał go. Zapytał więc:

- Skąd wiesz, panie? Nie widziałeś świeczki w jej oknie, ale może ona czekała na ciebie, tak jak ty na nią?

- To niemożliwe - szepnął Jaufre.

- Czy masz na to jakiś dowód? Nie mogę w to uwierzyć, panie. Zbyt wiele łez wylałem, słuchając tych wierszy, bym mógł teraz spokojnie tego wysłuchiwać.

Twierdzisz, panie, że ona jest pozbawiona serca i duszy? Gdyby tak było, nie śpiewałbyś dla niej.

Jaufre zwrócił bezbarwne spojrzenie ku delikatnej twarzy młodzieńca.

- Nie jesteś wcale głupi, Peyronnet. Wydajesz się roztropniejszy ode mnie.

- Do usług, panie! - zaśmiał się łobuzersko.

Jauire potarł czarną, zmierzwioną czuprynę Peyronneta, a ten zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Zaslugujesz na nagrodę, huncwocie! - rozczulił się Jaufre. Czuł, że budzi się w nim na nowo życie.

Złapał portret i podarł go zdecydowanym ruchem. Peyronnet przestał się śmiać.

Jaufre rozrzucił strzępy nad falami, lizącymi skalisty brzeg tuż u jego stóp.

- Taki śliczny portret, panie - jęknął Peyronnet.

- No i co z tego, mój młody przyjacielu? Czy to nie ty zarzucałeś mi, że żyję wspomnieniami?

- Tak, ale...

Młodzieniec patrzył ze zdziwieniem, jak twarz trubadura rozjaśnia się na nowo.

- Zapewne masz rację co do tej ślicznotki. Jej uśmiech był mar-

twy. Jeszcze wiele czasu minie, zanim znów go zobaczę na jej ustach. Ale tymczasem mamy to i owo do roboty.

I ku zachwytowi chłopca Jaufre nastroił instrument i wziął kilka akordów. W parę chwil później śpiewali razem starą miejscową pieśń, którą porywał wiatr. Peyronnet akompaniował, uderzając kamieniem o kamień. Jaufre był zaskoczony ciepłą barwą i czystością głosu swojego nowego ucznia.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, chłopiec i trubadur poprzysięgli przed Bogiem, że nigdy się nie rozstaną.

- Nie, tutaj! W taki sposób!

Jaufre poprawił ułożenie palców Peyronneta na strunach, a ten z wyciągniętym z przejęcia językiem wpatrywał się w instrument. Chciał dać jak największą satysfakcję swemu nauczycielowi. Już od miesiąca zmagał się z nauką, przeklinając niezręczność swoich palców, nawykłych raczej do ciągnięcia z matką konopi czy korowania wikliny na koszyki, które wyrabiała. Nie zniechęcał się jednak i dbał o mandorę, którą ofiarował mu trubadur. By hrabia de Blaye mógł lepiej śledzić postępy ucznia, od tygodnia chłopak mieszkał na zamku. Jaufre był pewien, że już niedługo ten błyskotliwy uczeń będzie mógł udać się wraz z nim na wędrowkę i śpiewać ku zadowoleniu słuchaczy. Dzięki Peyronnetowi Jaufre odnalazł radość życia i jał przemyśliwać o odwiedzinach na dworze.

Spodziewał się w związku z tym posłańca, który zwlekał z przybyciem. Nie widział go już od ośmiu miesięcy.

Stary Uc le Brun, pan na Lusignan, mieszkał samotnie, odkąd okrutny los zabrał mu ubóstwianą żonę. Zmarła tuż po świętach Bożego Narodzenia 1144 roku na chorobę, której żaden medyk nie umiał wyleczyć. Nazywano ją chorobą, która zabija.

Nieszczęsna kobieta cierpiała straszliwe męczarnie. Mimo że podawano jej kojące napary, wyczerpała całe otoczenie krzykami i jękami. Uc wyglądał jak cień człowieka, gdy po pogrzebie padł w objęcia przyjaciela. Płakał jak dziecko, a Jaufre razem z nim.

Obaj wiedli samotnicze życie i choć może to się wydawać dziwne, ostatnie wieści pobudziły Uca do życia.

- Czy pojedziemy do Ziemi Świętej, panie? - zapytał nagle Pey-ronnet.

- Nie mogę, młody przyjacielu.



Stawiał sobie to pytanie wiele razy i za każdym razem oczywiste było jedno: co stanie się z jego ziemiami, jeśli on zginie podczas krucjaty? Nowy pan Vitrezais, za przykładem swego zmarłego brata, czyhał tylko na jakiś fałszywy ruch, żeby przywłaszczyć sobie jego dobra. Jaufre nie mógł zostawić swoich ludzi na pastwę takiego szakala.

- Do diaska! Wydaje mi się, że twoje towarzystwo byłoby dobre dla takiego nieszczęsnego postrzeleńca jak ja - rozległ się poważny głos.

- Uc! - zakrzyknął radośnie Jaufre i pospieszył mu na spotkanie. Przyjaciele objęli się serdecznie.

- Podejdź bliżej, chcę ci przedstawić mojego bardzo utalentowanego ucznia, Peyronneta!

- Do diabła! - zaklął Uc i poklepał młodzieńca. - Ile masz lat, chłopcze?

- Dwanaście, panie!

- Jesteś więc bardzo młody, masz przyszłość przed sobą - stwierdził Uc z zadowoleniem. Uśmiechnął się szeroko: - Uważaj, trubadurze, ten dzikus porwie ci sprzed nosa najpiękniejsze panny!

- Nie obchodzi mnie, co uczyni, byle zostawił w spokoju tę jedną jedyną! - odparł

Jaufre. - A propos, przyjacielu, skoro przybywasz z dworu, opowiedz mi wszystkie nowości.

Uc opadł na fotel i zwracając się do Peyronneta, zażądał:

- Podaj nam coś do picia i odłóż to narzędzie tortur. Powinieneś zacząć się uczyć władania mieczem.

Peyronnet bez słowa zabrał się do dzieła. Olbrzym wywarł na nim wrażenie. Jaufre sam ledwo rozpoznawał starego przyjaciela, zmienionego nieszczęściem.

- Twoja ukochana, przyjacielu, jest bardziej promienna niż kiedykolwiek i wraz z królową i jej dworem wybiera się w długą podróż do Ziemi Świętej! A ja klnę się na wszystkich świętych w raju, że mnie także tam nie zabraknie. Gdybyś widział, Jaufre, Bernarda z Clairvaux, całego skąpanego w świetle zachodzącego słońca, gdybyś słyszał jego grzmiący głos! Nigdy me czułem się tak blisko Boga jak w owej chwili. Ruszyłem za nim, umierając z przygnębienia, na wzgórze Yezelay odpowiadając na jego wezwanie z poczucia obo-

wiązku wobec księżniczki. Popatrz, cud mnie odmienił! W całym królestwie nie ma ani jednego człowieka, który by nie ostrzył teraz miecza. Wszyscy, powiadam ci!

Nawet szaleńcy, pyszałkowie i beznogie kaleki! Wszystkich ogarnęła ta sama gorączka. Wszystkich, z wyjątkiem mego przyjaciela.

Głos Uca zgasł ze smutku. Jaufre podał mu szklanekę, którą ten opróżnił jednym haustem.

- Do zarządzania moimi ludźmi mam tylko starego, przygłuchego intendenta. Kto będzie czuwał nad moimi włościami? Prałaci od świętego Zbawiciela i świętego Romaina?

- Do diabła z nimi! Wypożyczę ci stu ludzi i mojego najlepszego zarządcę. Będziesz mógł na nich polegać jak na sobie samym. Chodź z nami, Jaufre! Chodź, by zasłużyć na swe miano „Rudel”! Twój stary przyjaciel cię o to prosi, a ona błaga.

Z tymi słowami podał Jaufremu zapieczętowane pismo, mrugając porozumiewawczo.

Trubadur jął drżącą ręką odpieczętowywać pergamin. Był to list od królowej. Jaufre pokrył rozczarowanie uśmiechem. Po przeczytaniu listu odzyskał jednak dobry humor.

„Drogi Przyjacielu, czas nam się dłuży bez Twoich pieśni, a obok mnie wędnie róża, która - choć kolczasta - kocha bezgranicznie i szczerze. Odkąd moje serce bije dla jednego z was, jestem w stanie ocenić, jak wiele samozaparcia potrzeba, by się was wyrzec. Wyruszamy za kilka miesięcy wyzwalać grób Chrystusa i jeśli Bóg pozwoli, wrócimy z tarczą. Nie możemy nosić mieczy ani umierać, jeśli nie będzie nas wspierać muzyka. Dołącz do nas. Bóg Ci za to odpłaci”.

Podpisano „Twoja królowa”. Jaufre pojął, że nie był to urzędowy list, wręcz przeciwnie. Jego serce przepełniła duma.

- Miałeś rację, młody szaleńcze! - roześmiał się i jak to miał w zwyczaju, wytarł sobie ucznia za czuprynę.

Peyronnet, który nie śmiał się odezwać, póki przemawiał hrabia de Lusignan, zapytał teraz cichutko, niewinnym głosem:

- Czy to znaczy, panie, że będziesz znów śpiewał pod jej oknami?

- Ty mały złośliwcze!

Zmiał dołączony do listu czerwony krzyż z jedwabiu i rzucił nim w roześmianego chłopaka. Peyronnet spojrział na krzyż, potem na hrabiego de Lusignana kiwającego z zadowoleniem głową, na Jaufrego, którego oczy lśniły jak gwiazdy, i zrozumiał, że odtąd jest jednym z nich. Jął skakać i krzyczeć ze szczęścia.

Jaufre śmiał się i cieszył razem z przyjaciółmi. Wczesnym rankiem zaś, pijani na umór, wyśpiewywali na całe gardło, spacerując po nabrzeżu. Uc siekał mieczem krzaki, Peyronnet, wymachując kijem, walczył z niewidzialnym przeciwnikiem, Jaufre zaś kręcił nad głową swoją mandorą jak maczugą. Zmęczeni, zasnęli tam, gdzie stali, zwrócenii głowami na wschód.

Sokół spadł jak kamień na swoją ofiarę, ukrytą w gęstych krzakach na drugim krańcu polany obrośniętej jesionami i bukami. Młody Henryk odprowadził go wzrokiem, przysłaniając dłonią oczy. Gdy ptak, ciężko uderzając skrzydłami, uniósł

się ze zdobyczą w szponach, Henryk spał wierzchowca i pogalopował. Sokół

chwile krążył nad młodzieńcem i wypuścił zdobycz - wspaniałego zająca - po czym usiadł na ręce Henryka obciążonej rękawicą.

W tej samej chwili w obłoku kurzu ukazał się na koniu hrabia andegaweński.

Dołączył do syna, który dobijał właśnie szamoczące się jeszcze zwierzę.

- Wspaniały okaz! - rzekł Gotfryd Piękny.

- Waży co najmniej pięć kilogramów!

- Bez wątpienia!

- Widzisz, ojcze, jak roztropnie postąpiłem, nabywając tego sokoła - rzekł

chełpliwie Henryk. - Mówiłeś, że jest niezręczny!

- Nie miałem racji. Dobrze go wytresowałeś, synu. Jestem z ciebie dumny.

Henryk zadarł podbródek. Lubił, gdy ojciec go chwalił. W wieku trzynastu lat był

równie energiczny jak hrabia, miał gęstą, wijącą się czuprynę, upodobniającą go do wikinga. A przede wszystkim miał porywcze usposobienie. Łatwo wpadał w gniew, był zuchwały, władczy. Często buntował się przeciwko władzy ojcowskiej, choć doceniał ją; wielbił natomiast bez zastrzeżeń matkę, panią Matyldę. Wiedział, że zabiegała o to, by pewnego dnia został panem Anglii i Normandii oraz podporządkował sobie króla Francji. Henryk miał zamiar odebrać swoją własność.

Ten pokaz tresury był w gruncie rzeczy tylko pretekstem, by dowieść ojcu, że może już brać udział w rozstrzygnięciu doniosłych kwestii. Zdołał przekonać Gotfryda do wspólnej wyprawy na polowanie i o świcie obaj wyruszyli na objazd włości.

Henryk wrzucił zajęcia do skórzanej sakwy, przytroczył ją do siodła i powiedział bez ogródek:

- Wczoraj pokonałem cię w walce na miecze, dziś zobaczysz, jaki jestem zręczny.

Nadeszła pora, ojcze, byś przestał uważać mnie za dziecko.

To rzekłszy, ujął swego konia za uzdę i dosiadł go. Spojrzał prosto w rozbawione oczy hrabiego. Gotfryd Piękny spodziewał się takiej przemowy i był na nią przygotowany. Choć jego syn był uparty, to nie tak przebiegły jak on sam. Odparł

zatem, opierając dłonie na bogato zdobionym siodle:

- Myślę, że dorównujesz mi nawet pod względem roztropności. Henryk poczuł, że puchnie z dumy. Spodziewał się większych

trudności. Pewny swego, rzucił lekko:

- A więc umowa stoi! Jadę z tobą do Ziemi Świętej!

I od razu spiął konia, który najpierw stanął dęba, a potem ruszył galopem.

- Narwaniec! - mruknął rozczulony hrabia.

Ten chłopak był bardzo do niego podobny. Dogonił go w kilku susach i schwycił za uzdę jego konia. Stanął w strzemionach, zatrzymując oba konie jednocześnie.

Henryka to rozzłościło, lecz milczał, zadowolony, że uzyskał tak szybko to, czego chciał.

- Nie zakończyliśmy jeszcze rozmowy - rzekł hrabia. - Jesteś rzeczywiście zręczny, ale za młody na to, by walczyć z Turkami.

Popuścił wodze i teraz on z okrzykiem spiął konia i pogalopował. Henryk poczuł, że krew uderza mu do głowy. Pokaże temu starcowi, na co go stać! Spiął wierzchowca ostrogami i pognął za ojcem.

Przez chwilę obaj pędzili co koń wyskoczy. Henryk dogonił hrabiego.

Pragnąc za wszelką cenę dowieść swojej przewagi, młodzieniec stanął w strzemionach i przewrócił ojca. Obaj potoczyli się w krzaki jałowca, trzymając się za kołnierze. Henryk miał niebywałą siłę, którą z trudnością powściągał, gdy był

rozniewany. Nigdy wszelako nie podniósłby ręki na ojca. Ich zapasy miały charakter zabawy.

Z twarzą w żółtych kwiatach Henryk szamotał się przez chwilę, ale ojciec wykręcił

mu rękę i zmusił do ukorzenia się. Gotfryd Piękny nie przegrywał tak łatwo. Puścił

swego porywczego syna i usiadł na mchu. Henryk zaś wyprostował się i kręcił na wszystkie strony obolałym nadgarstkiem.

- Z pewnością jesteś silny - podsumował hrabia - lecz zanim staniesz do walki, chłopcze, musi upłynąć jeszcze parę lat. Udzielę ci nauki! - rzekł i wymierzył

synowi mocnego kuksańca.

Henryk jęknął z bólu i usiadł obok ojca. Nieopodal odpoczywały konie.

- Chcę się bić, ojcze! - powiedział tonem skargi.

- A co by się stało, młody szaleńcze, gdybyś poległ w Ziemi Świętej? - zapytał

spokojnie hrabia.

Henryk wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Uczynił to Gotfryd:

- To, o co twoja matka i ja walczymy, straciłoby sens. Twój brat Gotfryd nie nadaje się na władcę. Nie mówiąc już o tym, że potrzebny jesteś tu, na miejscu. Codziennie będziesz musiał - zamiast mnie

- walczyć o królestwo i dziedzictwo z twoim niegodziwym kuzynem. Na wszystko przyjdzie czas, Henryku. Każdy z nas powinien podążać swoją drogą. Moja prowadzi do Jerozolimy, twoja - do Anglii. Co się zaś tyczy walki, idę o zakład, że nie zabraknie okazji.

Henryk spoglądał teraz na ojca innym okiem. Gniew minął, odczuwał nawet wzbierającą radość. Chciał przede wszystkim okryć się chwałą i uznał, że będzie o to najłatwiej podczas wyprawy krzyżowej. Tymczasem na miejscu miał

donioślejszą misję do spełnienia, musiał też bronić swej matki. Nie tylko czuł, że może temu sprostać, ale wyobrażał sobie chwilę, kiedy ojca już tu nie będzie, a on, Henryk, poniesie ich nazwisko jak sztandar.

- O czym myślisz, synu? - spytał hrabia, patrząc, jak błogość rozlewa się na twarzy syna.

- O nas, ojcze! I o naszym wspaniałym pakcie!

- To mi się podoba!

- A ona, ojcze? - zapytał nieśmiało Henryk.

- Nie lękaj się, synu. Panna de Grimwald będzie czuwać nad tym, by król Ludwik nie wrócił z Ziemi Świętej.

Henryk westchnął. Jak wyznać ojcu, że nie marzył bynajmniej o królowej Francji, którą widział zaledwie dwa razy w czasie oficjalnych ceremonii i która wydawała mu się tak daleka. Jego serce biło dla innej, choć ona będzie go kochać tylko jako króla. Loanna de Grimwald! Pomyślał z goryczą, że poślubi Alienor dla posagu, a wtedy zbliży się do jej damy dworu.

Częściowo z tego powodu chciał podjąć krzyż, pragnął jej dowieść, że nie jest już dzieckiem, które znała niegdyś, ale mężczyzną.

- Wracajmy Henryku, musimy zanieść nasze łupy do kuchni. Podczas gdy hrabia poszedł przyprawić wierzchowce, Henryk

jął na czworakach szukać swego pilśniowego czepka. Podejrzewał, że zawieruszył

się gdzieś w krzakach jałowca. Odnalazł go bez trudu, z przyczepioną doń gałązką obsypaną żółtymi kwiatkami.

Już chciał ją zdjąć, ale się rozmyślił i włożył na głowę czepek tak oryginalnie przyozdobiony. Pomyślał, że to będzie jego znak. Tego dnia odniósł pierwsze zwycięstwo. Wszedł do świata dorosłych i - jak ojciec zwany Pięknym - musiał

znaleźć sobie przezwisko, które będzie nosił, żeby zawsze o nim pamiętano.

Odwrocił się dumnie ku hrabiemu. Ten popatrzył porozumiewawczo na syna i rzekł:

- *Plante à genêt*\*.

Henryk kiwnął głową z aprobatą. To mu się podobało - Henryk Plante à Genêt, hrabia Andegawenii, Normandii i król Anglii!

W kilka godzin później, doszedłszy do wniosku, że od tej pory musi się zachowywać jak mężczyzna, Henryk zdecydowanym krokiem przemierzył

podwórze. Od jakiegoś czasu podobała mu się roześmiana buzia dziewczyny starszej od niego o rok.

Znalazł ją w stodole, zbierającą widiami siano. Wiedział, że w pobliżu nikogo nie ma. Był dzień targowy i jej ojciec pojechał sprzedać świnie. Co się zaś tyczy matki, była zajęta robotą w polu i z pewnością nie będzie wołać córki.

Stanął przed nią z rozpustnym grymasem w kąciku warg i odebrał jej widły. Ufna Francine pozwoliła mu na to. Znali się od dziecka. Gdy Henryk położył ją na sianie, próbowała go odepchnąć, strojąc minki. Była pewna, że to znowu jakiś żart. Lecz Henryk nie żartował. Rozerwał sznurówkę jej gorsetu, podwinął spódnicę i z całej siły wbił się w delikatne ciało. Mała krzyknęła z bólu i próbowała się uwolnić, waląc piąstką w pierś Henryka, lecz on był silniejszy.

- Przestań jęczeć - warknął - będziesz nosiła królewskie dziecko! Dziewczyna zaczęła cichutko płakać z bólu. Okrutny Henryk

ujeżdżał ją niestrudzenie, zlany potem, przed oczami mając twarz innej i wpatrując się niewidzącym wzrokiem w źdźbło słomy w jasnych włosach Francine.

\**Plante à genêt* (fr.) - dosłownie: stopą najałowcu (*przyp. tłum.*).

List, który Aliénor trzymała w swych delikatnych dłoniach, niezmiernie ją ucieszył.

Jaufré donosił, że przybędzie w towarzystwie młodego trubadura i jeszcze kogoś, kto osiadł we Francji, drogiego królowej. Na razie woli pominąć jego nazwisko.

Królowa ani przez chwilę nie wątpiła, że chodzi o Bernarda de Ventadoura, o którym słyszała, że bawił w Italii. To, że Jaufré zdołał go powiadomić i przekonać, by wyruszył wraz z nimi na wyprawę krzyżową, uznała niemal za cud. Chciała wierzyć, że Bernard o niej nie zapomniał. Co więcej, Ludwik nie mógłby głośno protestować, skoro spotkaliby się poza granicami królestwa. Aliénor z góry się cieszyła, że będzie miała obok siebie swoją dawną miłość.

Druga wiadomość ożywiła bardziej odległe wspomnienia. Pochodziła od jej wuja Rajmunda, który rządził Antiochią, odkąd poślubił córkę króla Boemunda. Rajmund wyrażał nadzieję, że para królewska zechce się zatrzymać w jego domu.

„Sytuacja jest niepokojąca - pisał - nie ma ani jednego zachodu słońca, żeby nie było słyhać pod murami miasta tureckich śpiewów. Na nasze nieszczęście Turcy są jak cienie i znikają w świetle pochodni”.

Aliénor bardzo chciałaby zobaczyć Rajmunda. Mówiono, że jego żona jest egzotyczną ciemnoskórą i ciemnowłosą pięknoscią o ciemnoniebieskich oczach.

Czy po tylu latach kochał wciąż swoją siostrzenicę, czy też była tylko wspomnieniem, zatartym przez miłość do żony?

„No cóż, przekonamy się!” - pomyślał.

Aliénor miała więc w perspektywie spotkanie z dwoma dawnymi kochankami i z pewnością nie będzie się nudziła, wbrew temu, co mówił Ludwik. Tymczasem zaś udała się do sali obrad, w której teraz przebywał.

Dokoła ogromnego stołu siedzieli: Robert de Dreux, brat króla, Raul de Vermandois, Gotfryd Andegaweński, hrabia Tuluzy, Stefan z Blois, Tybald z Szampanii i wielu innych. Rozłożona na środku mapa chrześcijańskiego Wschodu upstrzona była szpileczkami zakończonymi kwiatem lilii, wytyczającymi trasę krucjaty. Drogę wyznaczano w miarę napływania wiadomości o poparciu poszczególnych właścicieli ziem, przez które mieli przejeżdżać.

Na widok Alienor wszystkie głowy się uniosły, wasale pokłonili się z czcią, co napełniło ją rozkoszą. Pozdrowiła każdego z nich uprzejmie, a potem, dumnie wyprostowana, podążyła na swoje miejsce.

Tym razem Ludwik nie miał żadnych obiekcji, gdy zapowiedziała, że weźmie udział

w przygotowaniach do podróży. Zresztą od kilku tygodni, zapewne z powodu ogólnego poruszenia i

własnego podniecenia, stał się dla niej miłszy, a w łóżu wykazywał więcej inicjatywy. Tak więc obecnie stosunki między nimi miały charakter przyjazny. Alienor przekazała mężowi wiadomość od Rajmunda. Ludwik skrzywił się i rzekł, iż nowiny z Jerozolimy są podobne. Niewierni krążą dokoła murów, osłabiając morale żołnierzy, aby przy najbliższej sposobności skuteczniej zaatakować.

Król dowiedział się ponadto, że Konrad, cesarz niemiecki, podchwycił jego ideę, zatem armia niemiecka, potężna i wyszkolona, przyłączy się do armii francuskiej.

Tego dnia, tak jak wczoraj, opracowywano plany, zastanawiano się nad problemami taktycznymi i rozważano najróżniejsze posunięcia. Alienor była już z tym obznajomiona. W królestwie panował względny spokój, gdyż poddani byli zajęci wojną z niewiernymi.

Po pięciogodzinnej debacie wszyscy przeszli do jadalni. Ludwik zniknął za tkaniną zawieszoną na ścianie korytarza. Znajdowało się tam sekretne przejście prowadzące do małej kaplicy. Tam czekała na niego Beatrice. Objął ją czule i złożył na jej ustach powściągliwy pocałunek. Od dwóch miesięcy spotykali się w tym miejscu i łączyli w modlitwie. Dla Ludwika było nie do pomyślenia, by mógł popełnić grzech cielesny z osobą tak świątobliwą. Wspólnota duchowa całkowicie mu wystarczała.

Beatrice i on czerpali z tego samego źródła natchnienia, ożywiał ich ten sam boski płomień.

Tak przynajmniej mniemał. Jego ukochana musiała zadowolić się uściskami, które były wyrazem miłości króla do jej osoby, ale ona czuła się niezaspokojona. Jej marzeniem było dać Ludwikowi syna, którego tak pragnął. Mówiła sobie, że musi być cierpliwa, a kiedyś nadejdzie jej godzina. Ajednak, gdy zapadała noc, ktoś przemykał się pod murami, biegł prosto do jej pokoju, gdzie rozkoszował się wszystkimi grzesznymi uczynkami, do których jasnowłosa piękność była skora.

Stefan z Blois budził w niej niechęć połączoną z pożądaniem i to właśnie się jej tak podobało.

- Pokaż to jeszcze raz, Denysie!

- Popatrzcie, zróbcie wypad gardą, o tak!

Miecz ruszył do przodu, wrywając z piersi obecnych zadowolone: „Ach!”, po czym rozległy się oklaski.

- Panienki, spokój! Nie jesteśmy na przedstawieniu! - ofuknął je stanowczo.

Odkąd dworki Alienor postanowiły towarzyszyć parze królewskiej, a przede wszystkim swym kochankom, w podróży na Wschód, ćwiczyły na równi z najlepszymi żołnierzami króla. Denys doprawdy nie był zachwycony tym, że musi uczyć posługiwania się bronią te damulki, co myślały tylko o tym, który profil mają ładniejszy. Musiałam więc bardzo się starać, by przewyciężyć ich naturalną skłonność do uwodzenia. Liczyłam na zdolności Panperd'hu, który wieczorami opowiadał straszne historie o Turkach i pierwszej krucjacie. Niejedna panienka dostawała spazmów, słuchając opowieści o odciętych głowach, przypiekaniu ogniem, spożywaniu przez barbarzyńców ludzkiego mięsa. Niektóre nawet mdlały albo wydawały okrzyki przerażenia. Było mi wówczas łatwiej przypomnieć im, że nie wyruszają w drogę dla przyjemności i że jeden błąd będzie je kosztował



życie.

Ponadto mogą zostać zgwałcone, być torturowane, wysłane do haremu. Dygotały ze strachu, ale już następnego ranka bardziej interesowała je kwestia wspaniałego wyglądu Denysa niż Turcy gdzieś daleko stąd.

Od tej pory - postanowiłam - nie będą ćwiczyły mieczami z drewna, ale wezmą do ręki prawdziwą broń i przywdzieją zbroje. Wiele spośród nich nie umiało podnieść ciężkiego miecza i błagały Denysa o pomoc. Pierwsze chwile upływały na żarcikach. Wszelako, po całym poranku spędzonym na ćwiczeniach, nie myślały już o trzepotaniu rżęsami, gdyż były całkowicie wyczerpane.

Spojrzelśmy na siebie porozumiewawczo z Denysem.

Minęły już dwa miesiące regularnych ćwiczeń i nauka zaczynała przynosić owoce.

Mięśnie dziewcząt stwardniały, więc mogły już uczyć się poważniejszych chwytów.

Stopniowo traciły swoją wyzywającą kobiecość, wykrzykiwały za to ńście po męsku, gdy z mieczem uniesionym nad głową atakowały worki uwieszone do belek czy gałęzi.

Dzisiejszy dzień miał inny charakter. Denys uczył nas podstaw walki wręcz. W tym celu otrzymałyśmy lżejsze miecze. Poprzedniego wieczoru sama powtarzałam uniki i zwody z Denysem, aby móc

mu asystować. Byłam raczej dumna z osiągniętych wyników. Po kilku demonstracjach, w czasie których dokładnie mówił, co robi, stanęłam naprzeciw niego i razem daliśmy popis, który nagrodzono oklaskami.

- Czy będziesz nas ochraniał, Denysie? - spytała Sybilla z Flandrii.

- Ani trochę, moja panienko. Twoja kolczuga wystarczy, byś uniknęła śmiertelnej rany. Przekonamy się, czy moje lekcje przyniosły jakieś owoce. Pozostanie ci dość dużo czasu, aby się podreperować przed wyjazdem - dodał z humorem.

Dziewczęta zadrżały. Żadna z nich nawet nie dopuszczała do siebie takiej możliwości, że zostanie ranna - ani w walce, ani podczas ćwiczeń.

Denys wziął przygotowany przez nas koszyk, w którym znajdowały się zwitki pergaminu z imionami „wojowniczek”.

Los miał zatem zdecydować, kto z kim będzie walczył. Gdy Béatrice wywołała moje imię, nie zaniepokoiłam się wcale. Odkąd była zajęta królem, nie myślała o tym, żeby mścić się na mnie. Teraz jednak, gdy stanęła twarzą w twarz ze mną, dostrzegłam w jej oczach okrucieństwo, które przemieniło ją z madonny w maskarona.

Syknęła przez zęby:

- Nadeszła pora wyrównania rachunków. Mam w pamięci coś, za co musisz mi zapłacić.

- Uwaga, moje panie. W imię boże! - krzyknął Denys. Béatrice natychmiast rzuciła się na mnie z mieczem wzniesionym

w górę i mściwym okrzykiem. Gdybym nie była tak sprawna, zaskoczyłaby mnie jej gwałtowność. Zrobiłam unik, ona znów mnie zaatakowała. Przyszło mi na myśl, że jej nienawiść wyczerpie ją szybciej niż moja cierpliwość. Pozwoliłam jej zatem rzucić się na mnie kilkakrotnie, przestając na unikaniu ciosów. Gdy pojęła moją taktykę, ryknęła jak zwierzę i zaczęła za wszelką cenę dążyć do skrzyżowania mieczy.

Nie przstraszyło mnie to. Byłam dostatecznie wyćwiczona, by odparować jej ciosy.

Ostrza naszych mieczy zderzyły się z brzękiem. Siła uderzenia na chwilę zbiła mnie z tropu, bolały mnie już nadgarstki. Piękne rysy Béatrice wykrzywił grymas nienawiści, zwielokrotniającej jej siły.

Zauważyłam, że Denys gotów jest interweniować, ale uspokoiłam go wzrokiem.

Czułam, że zdołam stawić czoło tej awanturnicy.

Współtowarzyszki kolejno opuszczały broń i śledziły nasze zmagania, przerażone gwałtownością walki. Béatrice wciąż zaczęła mnie ostrzem i zmuszała do wycofywania się w stronę trybuny. Zadawałam teraz ciosy równie mocno jak ona i czułam, że pomału jej siły się wyczerpują i walczą mniejsze. Postępowałam wedle wskazówek Merlina: żywić się energią atakującego, aby się wzmocnić. Nigdy dotąd nie miałam okazji sprawdzenia tych nauk, lecz z przyjemnością stwierdziłam teraz, że ta wiedza przydała mi się. I właśnie w chwili, gdy Béatrice zmiękła, a ja zdobyłam nad nią przewagę, zaczęłam nogą o korzeń wystający z ziemi. Straciłam równowagę i upadłam jak długa, wypuszczając miecz z dłoni. Béatrice natychmiast skorzystała z okazji. Instynktownie potoczyłam się na bok, aby uniknąć ciosu. Moje współtowarzyszki krzyknęły z przerażenia.

Wstałam szybko i wskoczyłam na podwyższenie, aby sięgnąć po swój miecz, który upadł między rzędy ławek. Béatrice za mną. Skorzystała z tego, że nie miałam broni, ale w ostatniej chwili upadła. Jej miecz wbił się w drewniane oparcie ławki, za którą się schroniłam. Bez wahania złapałam ją za kostki nóg i szarpnęłam. Na wynik nie trzeba było czekać: przetoczyła się na skraj trybuny i niezbyt wdzięcznie upadła na ziemię, okrywając się kurzem. Mimo niewygodnej pozycji nie wypuściła z rąk broni. Wyprostowała pierś w uwierającej ją kolczudze i siedziała, na poły ogłuszona, z włosami w nieładzie. Miała dość zabawny minę.

Odzyskałam miecz i spoglądałam na nią teraz szyderczo z wysokości trybuny, niedbale oparta na rękojeści miecza. Béatrice dyszała z wściekłości. Próbowwała wstać, by kontynuować walkę, lecz nagle zobaczyła przed sobą wyciągniętą rękę.

- Czy zadowolisz się pierwszą rundą? - spytał król, którego żadna z nas dotąd nie zauważyła.

Razem z nim weszli Aliénor i Suger. Béatrice przyjęła pomocną dłoń, którą zapewne by przeklęła, gdyby podał ją ktoś inny. Pochyliła się w reweransie.

Uczyniłam to samo, po czym zeskoczyłam na ziemię.

- No, cóż, Loanno — rzekł z zadowoleniem król — widzę, że umiesz, gdy trzeba, posłużyć się sprytem i brawurą. Bierzcie przykład, szlachetne damy, z tych dwóch wojowniczek, albowiem tam, dokąd się udajemy, nie ma miejsca dla tchórzy.

- Wasza Królewska Mość jest zbyt dobry dla mnie - odparłam, skłaniając się po raz wtóry.

Rzuciłam okiem na królową i zobaczyłam, że pobladła, jakby zaraz miała zemdleć.

Posłałam jej uspokajający uśmiech. Podeszedł do mnie Denys, a wraz z nim dworki, komentujące półgłosem nasz pojedynek.

- Piękny występ, moje panie - pogratulował, ale wiedziałam, że doskonale orientuje się z sytuacji. - W ferworze walki zapomniały, że wywijają ostrymi mieczami -

zaśmiał się, wskazując moje ramię.

Zobaczyłam krew i wtedy dopiero zorientowałam się, że zostałam draśnięta mieczem. Beatrice znowu miała twarz madonny. Oddałam miecz Denysowi, podeszłam do niej i podałam jej niby to przyjazną dłoń.

- Jesteśmy kwita.

Zmusiła się, by uścisnąć mi rękę, ale syknęła: „Nigdy”, tak abym tylko ja usłyszała.

- Niepokoję się o ciebie, Loanno! Nie chciałem się wtrącać, by nie przestraszyć panienek, ale ta Beatrice de Campan jest niebezpieczna - zauważył Denys, przechadzając się po sali do szermierki.

Uśmiechnęłam się do niego, potem - spuszczać znów oczy na ostrze mego miecza, które właśnie natłuszczałam słoniną, odparłam niedbale:

- No cóż! Skorzystała z okazji, by zemścić się za swój sponiewierany honor. Ja na jej miejscu uczyniłabym zapewne to samo.

Od naszej potyczki minęło kilka godzin, właśnie skończyła się nona. Uczestniczyli w niej wszyscy, po bratersku, jakby nic się nie zdarzyło. Staralam się ukryć złe samopoczucie, śmiejąc się i dowcipkując. Nie bałam się nienawiści Beatrice do mnie, nie zaniepokoiła mnie też gwałtowność jej ataku. To było coś innego, czego nie umiałam określić, a co kładłam na karb panującej wokół sztucznej beztroski. Nie wiedziałam dlaczego ani z czyjzego powodu, ale ogarnęło mnie uczucie żaloby. Bez żadnej przyczyny. Może była to opóźniona reakcja, coś w rodzaju instynktownego lęku po walce, kiedy zdałam sobie sprawę, co mi groziło. Albowiem z całą pewnością, gdyby nie oparcie ławki, które zatrzymało ostrze miecza Beatrice, zostałabym śmiertelnie ugodzona w szyję. Denys nie kazał nam zakładać hełmów.

Nie mógł nie zauważyć, co mi groziło, i z pewnością wy-

rzucał sobie zaniechanie. Właśnie dlatego poszłam go poszukać w sali do szermierki, takjak czyniłam to od jakiegoś czasu, żeby sobie nie pomyślał, iż mam do niego pretensję.

Z zadumy wyrwało mnie głośne westchnienie. Denys wciąż przechadzał się tam i z powrotem po sali.

- Kiedy jedziesz do Marjolaine? - zapytałam, by zmienić temat.

Wiedziałam, że nie przepuści okazji porozmawiania o swojej ukochanej. Marjolaine miała wkrótce rodzić, więc Denysowi było do niej spieszno. Biedaczka od kilku miesięcy musiała leżeć nieruchomo, żeby nie stracić dziecka. Została zatem w ich włościach, podczas gdy Denys, z uwagi na swoje obowiązki, musiał przebywać w Paryżu, z dala od niej.

- Wyjadę za jakiś tydzień. Żałuję, że w tym stanie nie mogła przyjechać do mnie.

Brak mi jej - westchnął.

- Oczywiście, ale już niedługo uściskasz swoją żonę i synka, z którego już teraz jesteś dumny. Chyba że zrzędzeniem losu przyjdzie na świat dziewczynka -

dodałam przewrotnie, głaszcząc go po jedwabistej czuprynie.

Kochałam ich obydwój. Świadomość, że Marjolaine nie może wstać z łóżka, zasmucała mnie. A to uczucie żałoby... Nie! Potrząsnęłam głową z determinacją. To był po prostu skutek szoku.

- Nie mogę być z wami obydwoma jednocześnie - utyskiwał Denys.

- Obiecuję, że będę rozsądna podczas twojej nieobecności. Béatrice nic mi nie może zrobić, Denysie.

Przez chwilę miałam ochotę powiedzieć mu, że jestem pod ochroną, dopóki nie wydam na świat potomka mojego rodu, ale zmilczałam. Denys wiedział o wielu sprawach, ale nie o wszystkim mogłam mu opowiadać.

Ucałowałam go serdecznie w policzek.

- Przestań się niepokoić. Obiecay mi to, przyjacielu.

- Przyrzekam na twoje piękne oczy! Każę dopilnować, byś podczas najbliższych ćwiczeń zmierzyła się z innymi paniami. One potrzebują tego, by je ktoś przestraszył. Nie wiedziałem, że jesteś taka zręczna... Jak na kobietę - dodał z udawaną wyższością.

Uderzyłam go w pierś:

- Drwij sobie więc, łotrze! A od kogo ja się tego nauczyłam, jak nie od ciebie?

- Doprawdy - zakpił. - Nie wiedziałem, że mam takie kobiece ruchy.

- Poczekaj no!

Złapałam leżący na stole miecz.

- *En garde*, panie! Zapłacisz mi za te kpiny.

- Litości, szlachetna pani! Boję się być zwierzyną łowną.

Dla zabawy skierowałam ostrze w jego stronę, ale - zanim zrozumiałam, co się dzieje - Denys mnie rozbroił. Umiejętnie nacisnął mój nadgarstek, abym wypuściła broń z ręki.

- Psiakrew! - zakląłam. -Jeszcze jedna rzecz, której muszę się nauczyć.

- Nie tak prędko, panno de Grimwald.

W drzwiach w głębi sali stała Alienor. Nie zauważyliśmy, kiedy weszła do sali.

Wyglądała na zagniewaną. Denys chciał wziąć ją za rękę i podprowadzić do mnie, ale ona zawołała z goryczą:

- Czy tego właśnie uczysz moje dworki, panie de Chatellerault, żeby się biły jak prostaczki?!

Denys stanął jak wryty i za plecami królowej zrobił gest mający wyrazić jego bezsilność i żal z powodu tej napaści.

Podniosłam miecz z ziemi i odłożyłam go obok innych na stół.

- Dobry wieczór, Wasza Królewska Mość - powiedziałam lekko, patrząc jej prosto w oczy.

Miała zaciśnięte pięści. Odgadywałam, że za jej gniewem kryje się lęk. Gdy Alienor było źle, stawała się niemiła.

- Czy bawi cię wystawianie się na pośmiewisko? - rzuciła w moją stronę.

Denys oparł się lekko o filar ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i spojrzał na mnie z rozbawieniem. Przekląłam go w głębi duszy, że wpakował mnie w tę niemiłą dla mnie sytuację. Postanowiłam za-takować pierwsza.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. To było tylko ćwiczenie, mające nas zahartować, byśmy mogły stawić czoło piekłu, do którego wkrótce wyruszymy.

Nie sądziłam, że Wasza Królewska Wysokość będzie miała nam to za złe.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, zamiast się uspokoić, Alienor rozłościła się jeszcze bardziej.

- Nie śmieć się ze mnie, Loanno! Przestań się do mnie zwracać „Wasza Królewska Wysokość”, a ciebie - wymierzyła oskarżycielsko

palec w Denysa, który z trudem powstrzymywał się od śmiechu - jeśli jeszcze raz odważysz się

dworować za moimi plecami, każę wy-chłostać do krwi! Czy wreszcie ktoś tu okaże mi szacunek, który mi się należy?

To mówiąc, rozplakała się i opuściła ramiona, jakby opadła z sił. Podeszłam do niej i objęłam ją delikatnie. Denys nie śmiał się poruszyć, gdyż sytuacja go przerastała.

- Przynieś nalewkę z szaławii, jest w szafie, i pilnuj, żeby nikt ze straży tu nie wszedł.

Denys skinął głową i zniknął. Nie wolno było dopuścić do tego, by ktokolwiek zobaczył Alienor w chwili słabości. Zaczęłam ją całować delikatnie, obejmując jej głowę obiema rękami. Szepnęła ze łzami w oczach:

- Tak się bałam! Myślałam, że naprawdę walczyacie, rozumiesz? Miałaś krew na ramieniu, a ona wyglądała przerażająco. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

Nakłoniłam królową, żeby usiadła na ławce, i podałam jej chusteczkę.

- To były ćwiczenia, Alienor. Nic więcej, zapewniam cię. Trzeba się wczuć w sytuację. W przeciwnym razie staniemy się łatwym łupem dla niewiernych i ciężarem dla wojska. Nie wyruszamy do Ziemi Świętej dla podziwiania krajobrazu, ale żeby przelać krew naszych wrogów. Taką cenę trzeba zapłacić za wolność.

Wiesz o tym. Musisz się przygotować na to, że możesz mnie stracić, jeśli Bóg tego zechce.

- A wtedy umrę - szepnęła.

- Umrzesz raczej z ręki jednego z tych strasznych Turków, jeśli nie będziesz chciała ćwiczyć razem z nami. Potyczki z twoimi wasalami były niczym, Alienor. Tam będziemy mogły liczyć tylko na siebie.

- Myślisz więc, że ja też powinnam przychodzić na te ćwiczenia?

- Oczywiście, królowo. Zobaczysz, jak wprawiają się twoje dworki. Wczoraj mdlały z powodu drobiazgu, dziś mają odwagę zmierzyć się ze swym lękiem. Ludwik ma rację. Na Wschodzie tchórze nie mają czego szukać.

Alienor uśmiechnęła się przez łzy i wytarła zaczerwieniony nos. Spytała raz jeszcze:

- Jak pod taką urodą może się skrywać tyle nienawiści? Zrozumiałam, że ma na myśli Beatrice. Teraz każdy mógł zoba-

czyć ją w nowym świetle, ale ja już od dawna wiedziałam, że panna de Campan jest podstępna i zła. Mimo to skłamałam:

- Wszyscy odczuwamy nienawiść. I to z niej będziemy czerpać siły, by zwyciężyć, daję ci słowo.

Alienor spojrzała na mnie niepewnie.

- Bernard z Clairvaux mówił o miłości.

- Zapewne miał na myśli nasze święte relikwie, a nie pogan, których nie można ewangelizować inaczej niż mieczem - szepnęłam wbrew sobie, myśląc z goryczą o druidach i moich przodkach, wymordowanych z tych samych powodów. - Wybacz, że nie użyłam tych samych słów co Bernard z Clairvaux.

- Nie lubisz go, prawda? - spytała, a jej mokra od łez twarz rozkwitła w uśmiechu.

- Oczywiście, że go lubię - zapewniłam - ale podobnie jak ty nie popieram niektórych praktyk Kościoła. A oto Denys.

Korzystając z tego, że wrócił z nalewką, o którą prosiłam, wstałam i podeszłam do niego. To nie była dobra pora na roztrząsanie takich problemów.

Denys zapewnił mnie półgłosem, że żaden z jego żołnierzy nie będzie nam przeszkadzał. Ja zaś poprosiłam go - skoro burza już minęła - żeby przekonał

królową do ćwiczeń z bronią. W kilka chwil potem gawędziliśmy jak trójka starych przyjaciół, czekając, aż twarz ukojonej już Alienor stanie się taka jak zwykle, co powstrzyma wszelkie komentarze.

Tak więc, zanim nadeszła pora zmiany warty, solidarnie przygotowaliśmy broń do jutrzejszych ćwiczeń.

Początek kwietnia zaznaczył się zachmurzonym niebem i zimnymi, przenikliwymi deszczami, które ogołociły z kwiatów późne mimozy.

Możni z całego królestwa przyjechali do Ile de la Cité tylko na kilka dni. Wszystkie środki szły na zbrojenie i Ludwik szczenił grosza na wydawanie przyjęć. Zajęta pomaganiem Denysowi, widywałam ich jedynie podczas posiłków, na które zapraszał król, ale nie były to wystawne uczy. Teraz ważniejsze było życie duchowe, nikt nie my-

ślał o zbytkach. Panowie spierali się o trasę krucjaty i w końcu doszli do porozumienia. Kurierzy z Konstantynopola zapewniali armii francuskiej i niemieckiej wsparcie, zaopatrzenie i przewodników. Bazy-leus \* Manuel Komnen sprawiał wrażenie niezmiernie zaangażowanego, co było pocieszające dla wszystkich. Doradcy króla nie mieli już teraz powodu, by dłużej przebywać w Paryżu, tym bardziej że wzywały ich własne sprawy. Ustalono, że wszyscy spotkają się w Zielone Świątki, by razem wyruszyć w drogę.

Zanim wyjechali, Gotfryd Andegaweński poprosił o prywatną audiencję u króla i uzyskał ją bez trudu. Nikt się nie dowiedział, jaki był przedmiot rozmowy, lecz Gotfryd Piękny opuścił pałac z zarumienionym obliczem i posępnym wzrokiem.

Oznaczało to, że rezultat nie był dlań korzystny.

Zamieniłam z nim jedynie kilka błałych zdań. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o Henryku i pani Matyldzie, lecz wiedziałam, że oboje jesteście śledzeni, więc unikaliśmy bliższych kontaktów. Nie przyszedł się nawet pożegnać przed wyjazdem. Przez chwilę było mi przykro, lecz zrozumiałam, że była to najrozsądniejsza rzecz, jaką mógł uczynić, i całym sercem oddałam się naszym ćwiczeniom. Inni goście króla wyjechali wkrótce po Gotfrydzie Andegaweńskim, zostawiając Ludwika w doskonałym humorze. Suger, który miał być na miejscu, we Francji, i zarządzać podczas naszej nieobecności królestwem, krzątał się energicznie, by uporządkować wszystkie sprawy przed Wielkim Wyjazdem.

Jednocześnie pozostawał w ścisłym kontakcie korespondencyjnym z Bernardem z Clairvaux. Za jego pośrednictwem król dowiedział się, że papież osobiście przybędzie pobłogosławić armię w dniu, w którym ruszymy na Wschód.

Po odjeździe wasali Alienor, która wykonała przypadającą na nią część zadań, dołączała do naszych ćwiczeń każdego ranka, po tercji. Wystarczyły dwa dni i nauczyła się posługiwać mieczem i włócznią. Wzięła sobie za punkt honoru, by opanować tę sztukę nie gorzej niż jej dworki, choć zaczęła naukę z pewnym opóźnieniem. Jak obiecał Denys, nigdy już nie musiałam walczyć z Beatrice, ona zaś ostudziła swe zapały, aby nie zranić żadnej z dam dworu.

Popołudnia spędzałyśmy na spacerach w ogrodzie, a gdy padał

\*Bazy-leus - od VIII wieku tytuł monarchy państwa bizantyńskiego (*przyp. red.*).



deszcz - w wielkiej sali, gdzieśmy z zapalem tkwały i haftowały kwiaty lilii na chorągwiach. Denys wrócił do Cité, nie podobała mu się bowiem wspólna kwatery, w której ulokowano straż Jej Królewskiej Mości. Dostał on niegdyś od królowej mały kramik, w uliczce położonej niedaleko kościoła świętej Genowefy, na znak wdzięczności za dobrą służbę, w czasach, gdy było lepiej, aby ich nie widywano razem w pałacu. Królowa ofiarowała mu ten sklepik, mówiąc, że będzie mu teraz łatwiej się dowiedzieć, co się dzieje poza murami obronnymi.

Okazało się to dla niego niezmiernie korzystne. Zamieszanie, jakie powszechnie panowało, graniczyło z bałaganem. Trzeba więc było czuwać, aby nie dopuścić do jakiegoś wybuchu. W paryżanach obudził się duch rycerski. Wszyscy - od najmłodszych do najstarszych - czuli, że krucjata jest ich sprawą.

Poza kowalami, garbarzami, powroźnikami, sukiennikami, tkaczami, złotnikami, bednarzami, woźnicami, handlarzami bydła, którzy mieli dwa razy więcej pracy niż zwykle, byli też filozofowie, którzy przed kościołem świętej Genowefy recytowali teologiczne diatryby. Nierzadko dysputy między uczniami kończyły się walką na pięści albo obrzucaniem się warzywami ze straganów. Do miasta napływało coraz więcej żebraków i kalek. Przybywali też złodzieje i pospoliccy rabusie, którzy pod osłoną nocy okradali mających podróżnych.

Wszystko to powodowało w Paryżu, w którym trudno było wytrzymać nawet w normalnych czasach, straszliwy bałagan w zatłoczonych uliczkach. W tej ciasnocie łatwo było o konflikty, a nawet wypadki, gdyż zdarzało się, że ludzie tratowani byli przez konie. Z zapadnięciem zmierzchu słychać było krzyki i odgłosy bójk. O tej porze nikt nie otwierał okien ani nie zapalał świec. Gdy zaś spokój mieszkańców zakłócali Bogu ducha winni pijacy, wylewano im przez okna na głowy zawartość nocników.

Tuż przed kompleta przybył do mnie posłaniec. Było to na trzeci dzień po odjeździe Gotfryda Andegaweńskiego. Myślałam, że jest już daleko od Paryża. Tymczasem on, wiedząc, że obserwują go szpiedzy Stefana z Blois, udał, że wyjeżdża, aby wyznaczyć mi spotkanie w ukrytym miejscu jeszcze na ten wieczór - za konfesjonałem w kościele świętej Genowefy.

Znałam doskonale to miejsce, gdyż wielokrotnie spotykałam się tam z wysłannikami hrabiego. Był to zakątek między drewnianą ścianką konfesjonału a potężnym filarem ozdobionym zielonymi

listkami bluszczu, lekko pozłacanymi. Mogły się tam swobodnie ukryć dwie osoby.

Gotfryd Andegaweński czekał na mnie, owinięty opończą z beżowego lnu, upodabniając się w ten sposób do mnichów od świętej Genowefy. Zarzuciłam na ramiona czarną pelerynę, aby być niewidoczna w ciemnościach. Żałowałam, że nie zdołałam uprzedzić o tym spotkaniu Denysa, który zniknął od razu po zakończonym nabożeństwie. Z pewnością poszedłby ze mną, na ulicach było bowiem coraz mniej bezpiecznie. Ponieważ nie mogłam ufać nikomu poza nim, wolałam przyjść sama.

Zostawiłam Granoe poczciwemu zakonnikowi, który czuwał w stajni podczas nabożeństw, i przeszłam przez plac przed kościołem. W środku było pusto, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech mnichów zatopionych w modlitwie. Żadnego z nich nie zaniepokoiło moje przybycie. Nie tracąc ani

chwili, przemknęłam na umówione miejsce.

Gotfryd ucałował mnie czule. Jego broda drapała bardziej niż niegdyś, ale byłam szczęśliwa, że tak serdecznie się ze mną przywitał.

- Moje drogie dziecko - szepnął poufnie - nie mogłem zanadto zwlekać, gdyż musiałem się z tobą zobaczyć przed naszą szaloną wyprawą do Ziemi Świętej i przekazać ci to.

Ujął moją dłoń i włożył w nią grubą srebrną obrączkę, ozdobioną oczkiem z ametystu. Następnie, zacisnąwszy moje palce na klejnocie, ciągnął ledwie słyszalnym głosem:

- Przekażesz to bazyleusowi Komnenowi, gdy tylko francuskie wojsko znajdzie się w Konstantynopolu. Ten pierścień ma wartość wyłącznie symboliczną, ale dla tych ludzi ów kamień ma barwę zdrady. Komnen cię wysłucha.

- O co mam go prosić?

- O śmierć króla.

Zadrżałam. A więc nadszedł czas! Gotfryd ciągnął dalej:

- Komnen jest oszustem, który zawarł sojusz z Turkami i handluje z nimi. Krucjata nie służy jego interesom. Jest dostatecznie sprytny, by grać na dwie strony. Śmierć króla Francji będzie dla niego korzystnym interesem, ale musisz nalegać na to, żeby zginął tylko król. Użyj swoich wizji, aby określić korzystne miejsce na zasadzkę i zaprowadzić tam wojsko. Zatroszcz się zarazem o to, by Alienor i jej damom dworu nie spadł włos z głowy.

- A jeśli Turcy nie dotrzymają zobowiązań wobec bazyleusa? Po-

dobno są oni bardziej okrutni i perfidni niż dzikie zwierzęta - zaniepokoiłam się.

Gotfryd westchnął głęboko.

- Bądź ostrożna. Ludwik nie może wrócić stamtąd żywy. Nie jestem pewien, czy wezmę udział w krucjacie. Możesz jednak liczyć na pomoc Gotfryda z Rançon.

Wiesz, jak bardzo oddany jest królowej. Oprócz niego jest jeszcze paru, którzy niezbyt cenią naszego poczciwego króla i jego templariuszy w Akwitanii. Potrzebna ci będzie odwaga. Ale nie lękam się o ciebie.

- To dla Henryka - szepnęłam.

- Dla Henryka - powtórzył.

Po tych słowach, które przypieczętował pocałunkiem złożonym na moim czole, rozstaliśmy się. Byłam poruszona. Podczas naszej rozmowy doznałam wrażenia, że niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Nie spodobało mi się to. Od dawna już nie czułam tego tak mocno, z wyjątkiem uczucia żaloby, które

nie opuszczało mnie od kilku miesięcy. Postanowiłam nie ulegać lękowi. Najprawdopodobniej był bezpodstawny. W gruncie rzeczy lubiłam Ludwika, i myśl o tym, że mam go wydać tym krwawym okrutnikom, była mi niemiła. Chyba to wpłynęło na mój stan ducha, przywykłam do jego pociągłej twarzy, dziewczęcego głosu, wybuchów gniewu i jego rąk.

„Roztkliwiasz się, Loanno de Grimwald!” - powtarzałam sobie, zasłaniając się starannie kapturem mej peleryny.

Gdy wyszłam z kościoła, panowała już noc. Była to jedna z tych bezksiężycowych nocy, których tak nie lubiła moja matka. Mimo woli zadrżałam. Lepiej było nie włączyć się po starej Cité. Słyszałam różne dźwięki: stłumione odgłosy kroków, szepty, śmiech.

„Dajże spokój! Nie jesteś już małą dziewczynką! Skoro myślisz o tym, że przyczynisz się do zguby króla, tak cię niepokoi, lepiej zrezygnuj od razu z misji, dla której zostałam powołana do istnienia, Loanno de Grimwald!” - pomyślałam dobitnie. Noc nigdy nie była mi wrogiem, wręcz przeciwnie!

Zdecydowanym krokiem weszłam pod kamienne sklepienie i dalej szłam w mrok, ze wzrokiem utkwionym w światła, gdzie czekała na mnie Granoe. Nie zauważyłam przemykających cieni, nie zdążyłam też wydobyć sztyletu. Poczułam ból między łopatkami. Z głuchym okrzykiem padłam na kolana, w ustach poczułam smak krwi, przed oczami rozpostarła się mgła.

- Skończmy z nią! - rzekł głos, który wydał mi się znajomy.

Byłam pewna, że zaraz umrę, ale nie mogłam się ruszyć, oddychałam z trudem, zgięta we dwoje, z czołem wspartym o wilgotną ziemię. Odgadłam ruch sztyletu wymierzonego w moją szyję. Ale cios nie nastąpił, a moi prześladowcy się rozpierzchli.

- Wszyscy święci pańscy! - usłyszałam przerażony głos.

Udało mi się unieść głowę i otworzyć oczy. Zobaczyłam nienaturalne światło i dwie rozjarzone olbrzymie źrenice bez ciała. To właśnie ta zjawyła ich w takie przerażenie. Zrozumiałam.

- Merlinie! - szepnęłam rozpaczliwie, wyciągając rękę.

- Uciekajmy! - krzyknął ktoś.

- Poczekaj!

Światło raptownie znikło, jednocześnie poczułam jakby uderzenie w kark.

Opadałam w lodowatą noc, z której nie docierał już do mnie żaden dźwięk.

Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna i ile krwi straciłam. Poczułam po prostu łagodne ciepło na czole. Wiedziałam, że leżę na ziemi w sieni, ukryta przed ludzkim wzrokiem. Otworzyłam oczy i zobaczyłam ją. Była skąpana w mgle, takiej jak ta, która wstaje o świcie.

- Matko - szepnęłam, gdy rozpoznałam jej przezroczystą twarz. - Czyja umarłam? -

spytałam z trudnością, dusząc się w ataku kaszlu, który pozostawił mi smak krwi w ustach.

Potrząsnęła głową, czule się uśmiechając.

- Nic nie mów, Canillette. Jeszcze nie nadeszła twoja godzina. Masz w sobie moc.

Znajdź ją. Słyszysz? - powiedziała jeszcze.

W tej samej chwili Granoe zarżała. Była niedaleko. Kiwnęłam głową i natychmiast przeszył mnie ból między łopatkami. Nie miałam siły powiedzieć nic więcej.

Stała mi w oczach twarz Denysa. Mieszkał niedaleko.

- Idź - szepnęła matka i rozplynęła się w ciemnościach.

Chciałam wstać, lecz moje ciało było jednym wielkim bólem. Musiałam z nim walczyć. Przez chwilę trwałam na kolanach i próbowałam połączyć kilka strzępków zaklęć, żeby sobie pomóc. Granoe parskała, jak gdyby chciała mnie zaprosić do galopu. Mogłam to uczynić. Musiałam. Musiałam okazać się godna. Wystarczyło tylko chcieć.

Naprawdę chcieć. Próbowałam oprzeć się na prawym ramieniu, ale czułam w nim taki ból, jakby ktoś rozdzierał je nożami. Atak kaszlu ponownie wycisnął mi łzy z oczu.

„Dalejże, Loanno de Grimwald! - słyszałam własny głos. - Czy zapomniałaś, kim jesteś? Nie będziesz tu tkwiła i czekała, aż przyjdą kolejni prześladowcy! Wstaniesz i wyjdiesz z tego! Twoja godzina jeszcze nie wybiła. Do dzieła!”

Zacisnęłam zęby z bólu i wyciągnęłam lewą rękę do przodu. Mur był tuż obok, bliski, dodający otuchy. Szukałam dłonią jakiegoś występu, żeby wczepić się w mur i podnieść z kolan. Wreszcie znalazłam i z całej siły uczepiłam się go zlodowaciałymi palcami. Z wielkim trudem stanęłam na drżących nogach, przed oczami latały mi czarne płatki. Trzymając się muru, szłam w kierunku pochodni. Zakonnik, któremu powierzyłam Granoe, powinien tu być. Pomoże mi, zaprowadzi mnie do Denysa.

Przy każdym kroku miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod stóp. Czułam, jak krew spływa mi po plecach, po ramieniu i po karku. Palce też miałam zakrwawione.

Wreszcie znalazłam się w zasięgu światła. Szukałam wzrokiem mnicha, lecz nigdzie go nie było widać. Chwiejnym krokiem skierowałam się do boksu Granoe.

Otworzenie go było dla mnie torturą, jednak udało mi się, choć omal nie zemdlałam z bólu. Klacz zarżała cicho, dotykając chrapami moich zakurzonych włosów.

- Chodź, moja śliczna - wybełkotałam i złapałam ją za uźdę.

Weszłam na kamienny podest. Granoe stała bez ruchu, podczas gdy ja powoli wpełzałam na nią. Opadłam na jej kark i ściągnęłam wodze. Pociemniało mi w oczach, wszystko skąpane było w

niepewnym, pełgającym światłem, co przyprawiało mnie o mdłości.

Przez chwilę myślałam, że jakiś opryszek, widząc mnie tak osłabioną, dokończy dzieła swoich kompanów. Jednak na ulicy było dziwnie pusto. Z trudem rozpoznałam fasadę domu Denysa. Grano zatrzymała się przed wejściem, jakby kierowała nią jakaś niewidzialna ręka. W oknie było ciemno, lecz uspokoiłam się, widząc konia Denysa uwiązane do metalowego kółka w murze. Cóż dałabym za to, by z mego powodu zaczął szczekać pies, ale rozpoznał mnie po zapachu i na mój widok zamerdał przyjaźnie ogonem. Poprowadziłam Grano do drewnianych schodów i ześlizgnęłam się z niej na ziemię.

Opadłam rękami na pierwszy stopień i zaczęłam pomału pełznąć do góry. Miałam przy tym świadomość, że moje siły są już na wyczerpaniu. Wydawało mi się, że schody kołyszą się, ale zapewne to mnie zakręciło się w głowie. „Denys!” -

zdążyłam jeszcze pomyśleć i straciłam przytomność.

To był szept, coś jak ledwo słyszalna modlitwa splątana ze śpiewem ptaków. To było przyjemne. Czułam się lekka jak majowy wietrzyk. Przede mną otwierała się wspaniała dolina, zasłana miątkim, gorącym piaskiem. Słońce w zenicie promieniowało ciepłem i rozświetlało kopuły białego miasta. W tle widoczne były rudawobrazowe góry, odcinające się od lazurowego, bezchmurnego nieba. Dokoła miasta palmy rozpościerały swoje listowie. Gdy znalazłam się bliżej nich, zobaczyłam oranżerię, a w niej drzewka obsypane złocistymi owocami.

Widziałam to wszystko jakby z góry. Unosiłam się ponad domami, czułam się taka spokojna, a wszystko było piękne, barwne, ciepłe. W oddali zauważyłam pasek wody. Skierowałam się w tamtą stronę. Na brzegu, pod białym murem, zobaczyłam białą postać, klęczącą przy równie białym ciecie.

Popłynęłam w ich stronę i wylądowałam na ziemi, o kilka kroków od nich. Postać podniosła głowę. Płakała, a ja zdołałam rozpoznać rysy twarzy zmienionej smutkiem - to byłam ja. Zdziwiona, podeszłam bliżej. Na plecach leżał jakiś mężczyzna, jego głowa spoczywała na kolanach kobiety, podobnej do mnie, a złączone dłonie ułożone były na piersi. Twarz miał bladą, a gdy przyjrzałam mu się bliżej, zobaczyłam ranę na wysokości serca. Zrozumiałam, że on nie żyje.

Dopiero wtedy go rozpoznałam. Miał na lewym ramieniu krzyż z materiału.

Krzyknęłam boleśnie:

- Denys!

- Cicho, cichutko, moja śliczna, jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze - szeptał.

Otworzyłam oczy. Słońce rozświetlało pokój, który dobrze znałam. Mężczyzna trzymał moją rękę w swojej i uśmiechał się, choć sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Denys! - westchnęłam, jeszcze czując lzy w oczach.

Przesunął dłonią po włosach sklejonych gorączką.

- Już dobrze. Jesteś uratowana, moja piękna.

- Na wszystkich świętych, przestraszyłaś mnie śmiertelnie! - powiedział jakiś inny też znajomy głos.

Odwrociłam głowę i zobaczyła zaczerwienione oczy Aliénor, siedzącej u mego wezglowia. Obydwoje byli bladzi i mieli podkrążone oczy. Stopniowo wrażenie snu się zacierało, gdyż przypominałam sobie, jak zostałam napadnięta.

- Od jak dawna...? - zapytałam niepewnym głosem.

- Jest poranek dziewiątego dnia.

- Dziewięć dni - powtórzyłam, sama w to nie wierząc. - Umarłam dziewięć dni temu, a wy czuwacie nade mną.

- „Leczymy” byłoby właściwszym słowem - sprostowała Aliénor z uśmiechem -

przy pomocy tego szarlatana Croquenauda, któremu wszelako jestem bezgranicznie wdzięczna.

- Croquenaud - powtórzyłam, składając rozsypane elementy łamigłówki.

Przypominałam sobie jego zniszczoną twarz. Był to pigularz z Cité, który - jak powiadano - miał konszachty z czarownicą z bagien, tak że bardziej się go obawiano, niż mu ufano. Zył jak król ze sprzedaży medykamentów. Miał

nieślychany wybór roślin i ziół z całej Europy i ze Wschodu, których używał pod postacią eliksirów. Kiedyś go odwiedziłam.

- Opowiedziałem się za tym, co szybsze - tłumaczył się Denys. -Gdy cię znalazłem, nie przypuszczałem, że wyjdiesz z tego. Bieganie do pałacu po jakiś lek to byłaby czysta strata czasu. Croquenaud ma kramik niedaleko stąd. Przybiegł najszybciej jak mógł i wydaje mi się, że dobrze pokierował sprawą.

Zobaczyłam cień smutku w oczach Denysa i wydawało mi się, że dostrzegłam, iż otarł łzę, gdy wstał, by podać mi coś do picia. Zapadła cisza, słychać było tylko plusk wody nalewanej z cynowego dzbanka. Aliénor westchnęła z rezygnacją i nagle poczułam, że coś ważnego wydarzyło się podczas mojej „nieobecności”, coś, co się kładło cieniem na ich szczęściu.

Denys podał mi szklaneczkę, uśmiechając się przy tym, lecz nie był to uśmiech szczery.

- Stało się coś strasznego... - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

Mój sen mógł oznaczać tylko jedno. Byłam tego pewna. Aliénor nie drgnęła, lecz podbródek Denysa zadrżał i po policzkach potoczyły się łzy. Odstawił szklaneczkę na nocny stolik i ujął moje ręce.

- Zostawiam was samych - szepnęła Aliénor i ze spuszczoną głową poszła ku drzwiom.

Denys uniósł moje lodowate palce do ust i delikatnie ucałował.

- Mów, błagam cię - prosiłam, a serce waliło mi jak szalone. Ale zanim powiedział

cokolwiek, mój wzrok padł na rękaw jego

koszuli. Przepasany był czarnym jedwabnym sznurem. Zaczęłam dygotać ze strachu.

- Marjolaine - szepnęłam, a moje słowa zabrzmiały jak wyrok. Denys oparł czoło na moich rękach, klęcząc na zniszczonej podłodze. Jego słowa uderzały w moją głowę jak kamienie:

- To się stało czwartego dnia po napaści na ciebie. Miałem do niej jechać w porze rozwiązania. Ale gdy się dowiedziała, co się stało, i że leżysz w moim domu, walcząc ze śmiercią, przesłała mi list: ty bardziej potrzebujesz pomocy, a ona będzie się modliła o twoje życie. Zawierzyłem temu, co mówiła, tak bardzo bałem się cię stracić, że nie pomyślałem...

Nie mogłem dalej mówić.

- Umarła podczas porodu - jęknął.

- A dziecko? - spytałam, wstrzymując oddech.

- Ułożyłem je obok niej w dębowej trumnie. To był chłopiec. Małeńki chłopczyk z główką mniejszą niż moja pięść.

Uderzył tą pięścią w swoją otwartą dłoń, na znak protestu przeciwko tej strasznej niesprawiedliwości, i zaczął łkać.

Pierwszy raz w życiu widziałam płaczącego mężczyznę. Potok jego łez zalewał

moje policzki. Gdy tak patrzyłam na jego targane łkaniem ramiona, miałam ochotę umrzeć. To była moja wina. Pomyślałam o matce, słyszałam jej głos przemawiający do mnie podczas pogrzebu babci, dawno temu, gdy byłam jeszcze dzieckiem:

- Nie płacz, Canillette, nadszedł jej czas.

- Ale skąd wiadomo, że to już jest ten czas, mamó?

- Po prostu nikt nie ofiarował swego życia za jej życie.

- Nie rozumiem.

- Jeśli zdarzy się jakiś wypadek, zanim twoja godzina wybije, i spowoduje on zagrożenie dla twojej energii życiowej, tylko miłość kogoś, kto dla ciebie poświęci duszę, może cię uratować. To jedno

z praw druidów, Canillette. Magia nie stwarza niczego, jedynie przekształca to, co jest.

- Dlaczego więc babcia nie wzięła sobie życia?

- Życia się nie bierze, lecz otrzymuje. Jest to jedyny w swoim rodzaju dar i nikt nie wie, w jaki sposób staje się godny tego daru. Tak właśnie jest.

- Dlaczego nie oddałaś więc swojego życia babci, albo ja, gdybym o tym wiedziała?

- Nie tak dokonuje się wyboru, to byłoby zbyt proste. Muszą być dwie dusze, które odchodzą, tak sobie bliskie, że jedna z nich poświęca się, bo wie, że ma taki obowiązek. Ale teraz jesteś jeszcze za mała, zrozumiesz to kiedyś, Canillette.

Zrozumiesz pewnego dnia.

Dziś to zrozumiałam, ale nie mogłam tego zaakceptować. Nie byłam lepsza od Marjolaine. Denys tak bardzo ją kochał! Dwukrotnie uratował mi życie, a ja wynagrodziłam go za to, odbierając mu dwie istoty, które były dlań najdroższe.

Wydałam się sobie potworem. Po raz pierwszy w życiu wstydziłam się swego pochodzenia, wstydziłam się tajemnej mocy, która nie służyła mi do niczego, wstydziłam się zaufania, którym mnie Denys obdarzył i które zdradziłam samym faktem mego istnienia. Nagle poczułam ogromny żal do Merlina i mojej matki, że poprowadzili mnie ku niemu, zamiast pozwolić mi umrzeć tam, w mroku. Mój przyjaciel mógłby teraz uścisnąć swoją żonę i syna. Nie miałam dłużej prawa ukrywać swojej prawdziwej roli. Nawet jeśli jutro Denys obwieści całemu światu, że jestem czarownicą, wiarołomną intrygantką! Niech mnie nawet znienawidzi, byle tylko zdołał sobie samemu wybaczyć, że nie było go przy żonie w tej strasznej godzinie. Niech Henryk nie poślubi Aliénor. Wszystko to raptem przestało być ważne. Nie będę miała odwagi spojrzeć Denysowi w twarz, nie będę mogła spojrzeć sobie samej w oczy, jeśli zatrzymam tajemnicę dla siebie. Zasłużył

sobie na to, by ją poznać.

- Denysie, błagam cię o wybaczenie. Szukając ratunku u ciebie, odebrałam życie twojej żonie i synowi.

Podniósł na mnie zapłakane oczy i uśmiechnął się przez łzy.

- Nie wyrzucaj sobie niczego, Loanno. Oboje wiedzieliśmy, że ciąża jest dla niej niebezpieczna. Miała delikatną budowę. Moja obecność niczego by nie zmieniła.

- Spójrz na mnie, przyjacielu - szepnęłam. - Powierzę ci tajemnicę, którą od pokoleń znała tylko moja rodzina. Dwukrotnie uratowa-

leś mi życie. Dziś, tym wyznaniem, oddaję swój los w twoje ręce. Możesz z nim zrobić, co zechcesz, nawet wygnać mnie ze swego serca.

- Jakże mógłbym tak postąpić? Teraz mam tylko ciebie.

- Pamiętaj, Denysie, ten dzień, gdy śmiejąc się z plotek, zapytałeś mnie, jakie intrygi snuje córka



czarownicy na dworze francuskim? Mój przyjaciel Tomasz Becket znał tylko część prawdy. Wiedział, że jestem szpiegiem na usługach hrabiego andegaweńskiego. Tobie wyznam wszystko.

Moja opowieść trwała długo. Denys wysłuchał mnie w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową, jakby chciał siebie samego o czymś przekonać. Gdy skończyłam, byłam całkowicie wyczerpana, na wpół żywa - tyle mnie kosztowało to wyznanie.

Denys wstał bez słowa i wyszedł. Zakończyłam swoją spowiedź na ostatnim spotkaniu w kościele świętej Genowefy i tego, co z niego wyniknąć miało dla króla.

Mój los był teraz w rękach Denysa de Chatelleraulta. Może powinnam była odczuwać lęk, ale wprost przeciwnie - spłynął na mnie wielki spokój i zasnęłam z lekkim sercem.

- Mów, bo daję słowo, że twoja dusza przypiekać się będzie na ogniu piekielnym, zamiast przebywać w raju.

- Na Najświętszą Biblię, panie, przysięgam, że nigdy ich nie widziałem ani nie znam ich nazwisk.

Denys wy dobył miecz i przebił płatek ucha zakonnika, który za-skowyczał z przerażenia.

- Kłamiesz, łotrze! Uważaj! Bo przebiję ci te narzędzia, które już nie służą ci do niczego.

- Nie czyn tego, panie. Szukam, szukam w pamięci... Denys złapał go mocniej za kołnierz.

- Moja cierpliwość się kończy! - ryknął.

Zakonnik przeżegnał się. Pocił się straszliwie pod ciemną opończę. Denys pojmał

go, gdy ten zaciskał pas na swoim obfitym brzuchu. Zakątek między dwiema kolumnami podtrzymującymi mury kościoła świętej Genowefy znajdował się dokładnie za stajniami, które mnich miał pod swoją pieczę, i był na tyle dyskretnie położony, że można było sobie w nim pofolgować. Albo wyprać komuś flaki. Tak właśnie pomyślał na widokjunaka wydobywającego z pochwy miecz. Mnich zaczął

się cofać ze strachu, aż wdepnął obcasem w to, po co tu przyszedł.

Denys przyciągnął go do siebie i trzymając za kołnierz, jął nękać pytaniami o to, co wydarzyło się w tym miejscu dziesięć dni temu. Nieszczęśnik zrazu udawał

zdziwienie, lecz szybko zdał sobie sprawę, że jego gnębiciel nie zmiłuje się nad nim, lepiej zatem mu się nie sprzeciwiać.

Denys dowiedział się, że owego wieczoru przybyło czterech mężczyzn i w zamian za suto wypchaną sakwę poradzili mnichowi, żeby się oddalił i nie pojawiał aż do rana. Dotrzymał słowa, bo nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co tu się działo.

Zresztą nie zastanawiał się nad tym. Okrągła sumka miała i tak wesprzeć ubogich ze świętej Genowefy.

- Litości, panie! Jestem tylko tchórzliwym mnichem. Wierz mi, powiedziałbym ci, gdybym...

Denys sapnął rozzłoszczony. Pchnął z całej siły mnicha, który stracił równowagę, zachwiał się na swoich krótkich nóżkach i upadł tam, gdzie zaspokajał swoją potrzebę.

- Idź do diabła! - rzucił Denys z odrazą. W innych okolicznościach z pewnością by się roześmiał, ubawiony groteskową sytuacją.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, nie zwracając uwagi na złorzeczenia mnicha.

Zdecydowanym krokiem udał się w kierunku przedsionka i dzięki słońcu, którego promienie docierały aż tutaj, mógł rozpocząć śledztwo. Przez ostatni tydzień padało, ziemia była nasiąknięta wodą, ślady zmyte. Zorientował się, gdzie należy szukać, po krwawych śladach na murze. Czubkiem miecza wydlubał jakieś odłamki, guzik z masy perłowej i inne drobiazgi bez znaczenia. Następnie jego wzrok padł na sztylet, który czyjeś drewniaki wdeptały w błoto. Właśnie się schylił, by go podnieść, gdy podjechał powóz, najwyraźniej zmierzając ku stajni. Denys przylgnął do muru, aby przepuścić dwoje podróżnych. Bez trudu rozpoznał ludzi związanych z opatem Sugerem i natychmiast zasłonił sobie twarz kapturem. Nie wydawało mu się rzeczą właściwą, by ktoś go wypytywał, co tutaj robi.

Obaj mężczyźni zeskoczyli na ziemię i głośno zawołali swego współtowarzysza.

Denys uznał, że za chwilę mogą go rozpoznać i że nie byłoby dobrze, gdyby powiązano konetabla królowej z tą sprawą.

Pospiesznie ukrył sztylet pod okryciem i szybkim krokiem przeszedł przez dziedziniec.

U stóp schodów przekupnie rozłożyli się ze swoim towarem. Panował wesoły gwar, nad straganami unosił się zapach ryb i drobiu. Denys zmieszał się z tłumem kupujących, którzy - z koszykami wiklinowymi w dłoniach - rozglądali się za jarzynami, owocami czy mięsiwem.

Denys rzucił okiem w stronę sporej gromadki gapiów. Rozpoznał flecistę i jego tresowaną małpę, która z miseczką w łapie tańczyła na oczach tłoczących się gapiów. Zebrała do miseczki parę monet. Flecista i jego małpa byli tu stałymi bywalcami. Nieopodal żongler podrzucał płonące kije. Manipulował nimi z ogromną zręcznością, wywołując okrzyki podziwu wśród zgromadzonych.

Raptem Denys poczuł taki ból, jakby ktoś przeszył mu pierś sztyletem. Przypomniwał

sobie, jak kiedyś spacerował tu z zachwyconą Marjolaine. Trzymając się za ręce, jedli wafle i soczyste pomidory. Małpa, zwabiona zapachem słodczy, wdrapała się szybko na ramię jego ukochanej, która z przerażenia krzyknęła. Małpa wyrwała jej smakołyk. Trwało to ułamek sekundy. Zaskoczona Marjolaine wypuściła patyk i napastniczka zręcznie przechwyciła go, zanim spadł na ziemię. Zadowolona uciekła, żeby w spokoju raczyć się smakołykiem w cieniu rzygaczy przy portalu kościoła.

Ochłonawszy z chwilowego przerażenia, obydwójce śmiali się serdecznie ze zdarzenia i wspólnie zjedli to, co zostało Denysowi. To było dawno. Rok tylko upłynął, lecz teraz wydawał się on wiecznością. Posmutniały Denys skręcił za róg i torował sobie przejście pomiędzy wozami, przechodniami, końmi.

Gdy znalazł się u siebie, położył sztylet na ciężkim stole stojącym pośrodku pokoju i zanim przystąpił do dokładniejszych oględzin, nalał sobie kieliszek wódki.

Następnie wziął sztylet przez ściereczkę i zaczął mu się przyglądać. Zauważył, że ostrze było

zabrudzone me tylko błotem, ale i zakrzepłą krwią. Uśmiechnął się zadowolony ze swego odkrycia i szukał dalszych wskazówek.

Odgłos jego kroków obudził mnie ze snu. Nie widziałam go od wczoraj, odkąd powierzyłam mu swoją tajemnicę. Gdy wyszedł bez słowa, opiekowała się mną Aliénor. Następnego dnia przybył Croquenaud i kazał mi podawać tyle picia i jedzenia, ile tylko zapragnęłam. Nie pamiętał mnie, lecz sprawiał wrażenie zadowolonego, że

przywrócił życie osobie tak bliskiej królowej. Z pewnością myślał, że od tej pory drzwi pałacowe będą stały przed nim otworem. Wyjaśnił mi, że ostrze przeszło bardzo blisko serca, przebiło płuco. Cud, że nie umarłam. Rzeczywiście straciłam sporo krwi: właśnie dlatego czułam się taka słaba. Najmniejszy ruch mógł

spowodować otwarcie się ran. Zalecił dużo snu, abym w spokoju nabrała sił.

Podziękowałam mu gorąco. Gdy wyszedł, Alienor zaczęła wypytywać, co się wydarzyło. Udzielałam jej wymijających odpowiedzi, zasłaniając się brakiem pamięci, a ponieważ nalegała, wykręciłam się silną a nagłą migreną. Miałam jednak wrażenie, że nie zdołałam jej wprowadzić w błąd. Choć targana wątpliwościami, wyszła do pałacu, jako że zbliżała się seksta. Miała nadzieję jednak, że dowie się czegoś o Denysie.

Odczekałam chwilę, w nadziei, że Denys sam do mnie przyjdzie. Z sąsiedniego pokoju docierały jakieś odgłosy, a potem zapadła cisza. Obiecałam sobie, że będę czekać na to, co on postanowi. Jednak niepewność była nie do zniesienia. Musiałam wiedzieć: nie co zamierza uczynić ze mną, ale jak się miewa. Tak go kochałam! Nie spodziewałam się przebaczenia ani zrozumienia. Chciałam tylko, by przestał

cierpieć, żeby znów się uśmiechał i żeby w jego oczach rozbłyły wesołe ogniki, nawet gdyby nie były przeznaczone dla mnie. Wobec tego wstałam, żeby pójść do niego, i odkryłam z zadowoleniem, że choć jestem jeszcze słaba, jednak zdołałam utrzymać się na nogach.

Otworzyłam ostrożnie drzwi. Siedział przy stole, tyłem do mnie. Nie widziałam, co robi, ale sprawiał wrażenie niezmiernie skupionego. Nie usłyszał moich kroków.

Poczułam na plecach dreszcz. Tak, kochałam go! Nie tą namiętnością, którą czułam do Jaufrego, ale czule, mocno i spokojnie zarazem.

- Denysie! - zawołałam szeptem, a serce moje nabrzmiało bezgraniczną ufnością, która zawsze ciągnęła mnie ku niemu.

Odwrócił się z zatroskaną miną, ale uśmiechnął się łagodnie i pojęłam, że między nami nic się nie zmieniło. Gdy podeszłam do niego, burknął:

- Powinnaś leżeć w łóżku!

- Niepokoiłam się o ciebie.

- Typowa kobieta!

Usiadłam obok niego. Skrzywiłam się z bólu.

- No widzisz! - odpowiedział na mój grymas.

- Nie dyskutuj z czarownicą - zażartowałam, żeby poruszyć drażliwy temat, a może i po to, by sobie samej zadać ból.

Jego twarz spoważniała, potem objął mnie i przyciągnął do siebie. Drugą ręką przysunął do mnie sztylet leżący na stole.

- Gdzie go znalazłeś? - spytałam, uspokojona jego gestem.

- Tam. Były na nim ślady krwi. To na pewno ten. Nie byłbym zdziwiony, gdyby to on właśnie przebił ci plecy... Czy znasz ten herb?

Obracałam sztylet na wszystkie strony i im bardziej mu się przyglądałam, tym bardziej wydawał mi się znajomy.

- Nie wierzysz, że to byli rozbójnicy?

- Okradziono by cię. A przecież kiedy przyszedł do mnie, miał przy sobie sakiewkę i klejnoty.

- Nie zdążyli - szepnęłam.

- Merlin by ci nie pomógł, gdyby to był złodziej - ukradłby ci wszystko, co miałaś, i uciekł.

Nagle stanęły mi przed oczami obrazy, niejasne, splątane. Po raz pierwszy swobodnie przywoływałam wizje w obecności drugiego człowieka. Nagle krzyknęłam. Ujrzałam znów ten sztylet przy pasku człowieka. Jakaś ręka go dotykała, była to kobieca ręka, na której widniał pierścień z ametystem.

Spojrzałam na Denysa.

- Masz rację. To była pułapka zastawiona przez tego łotra, Stefana z Blois. Ten sztylet należy do któregoś z jego ludzi, pamiętam go. Beatrice bynajmniej nie jest bez winy, wielokrotnie widziałam ich razem w pałacu.

- Jesteśmy zatem pewni co najmniej jednej rzeczy - ta dwójka nie poprzestanie na jednej próbie zgładzenia cię. Ba! Lepiej mieć po swojej stronie czarownicę... -

zażartował Denys, poklepując mnie po ramieniu.

Roześmiałam się i przytuliłam do niego.

- Dlaczego mnie nie zdemaskowałeś? - spytałam wreszcie.

- Zdemaskować spisek wymierzony w króla Francji! Same przypuszczenia, żadnego dowodu. Wręcz przeciwnie, to ciebie o mało nie zabito. Mimo że jestem konetabłem królowej, wzięto by mnie za szaleńca albo jeszcze gorzej.

- To jedyny powód, Denysie?

- Nie, głuptasie! Przymknął oczy z boleścią.

- Myślałam, że stracę cię na zawsze - szepnęłam. - Mam do siebie żal.

- Niepotrzebnie! Chodziłem od tawerny do tawerny przez całą noc. Szukałem w alkoholu powodów, by cię znieawidzić. Marjolaine wiedziała. Zawsze wiedziała.

To nie ty, Loanno, ukradłaś jej duszę. To ona się usunęła, z miłości do mnie. Z

miłości do nas. Nie przeżyłbym twojej śmierci, nawet gdyby u mojego boku była żona i nasze dziecko.

- Nie zasługuję na ciebie. Miał oczy pełne łez.

- My na ciebie nie zasługujemy - sprostował.

- My?

- Jaufré i ja - powiedział głucho. Westchnęłam.

- Sądziłam, że moja misja pozwoli ci to zrozumieć.

- Zrozumieć nie znaczy aprobować, Loanno.

- Może pewnego dnia...

- Zła czarownica stanie się dobrą czarownicą? Nie wierzę w bajki, Loanno de Grimwald! Prawda jest taka, że się boisz. Spójrz na mnie.

Odwróciłam ku niemu zapłakaną twarz. Znał mnie dobrze.

- Nie mogę mieć do ciebie żalu, że nie należysz do mnie, ani o to, kim jesteś, ale nie wybaczę ci tego, że go torturujesz.

- Przypomnieć o tym to go zniszczyć. Ta dziwka Béatrice już tego próbowała. On nie jest człowiekiem oręza - jak ty.

- Ale ty niszczysz go o wiele bardziej skutecznie niż ktokolwiek inny. Odezwij się do niego, Loanno. Jeśli ja mogłem wszystko zrozumieć, to i on zrozumie. Ty go potrzebujesz i on ciebie potrzebuje. Nie ma nic gorszego niż myśleć, że się nie jest kochanym. Jaufré jest bardziej samotny w swoim hrabstwie niż najędzniejszy żebrak. Pomyśl o tym! Nakazuję ci to!

W całym swoim życiu nie spotkałam człowieka bardziej godnego, bardziej sprawiedliwego i szlachetnego niż Denys de Châtellerauld i wiedziałam, że drugiego takiego nie ma na świecie.

Aliénor wróciła po nonie, żeby powtórzyć mi wszystkie plotki. Niewiele się zmieniło podczas mojej rekonwalescencji. Dla ostrożności Denys zażądał od królowej, żebym wszystkim mówiła, iż pojechałam do rodziny pożegnać się przed krucjatą. Niektórzy byli tym zdziwieni, lecz w owym czasie nikt nie zadawał

zbędnych pytań. Nikogo nie dziwiło, że królowa codziennie wyrusza do Paryża bez eskorty, to oznaczało dla wszystkich jedno: znów romansuje ze swoim konetabłem!

Aliénor była tym bardzo rozbawiona. Z uwagi jednak na napięcie panujące w pałacu przed Wielkim Wyjazdem uznała, że lepiej będzie poinformować króla o mojej przygodzie, aby nie dał posłuchu plotkom krążącym na dworze.

Ja natomiast postanowiłam, że nic nie opowiem o odkryciach Denysa. Lepiej, żeby królowa uważała, iż napadli na mnie rozbójnicy. Zresztą to było bardzo prawdopodobne.

Denys powiedział jej, iż szłam wtedy do niego. Przypuszczam, że od tamtej pory zaczęła się zastanawiać nad tym, co nas łączy. Zresztą od dawna wiedziała, że nasze stosunki mają szczególny charakter. Fakt, że jej o tym nie opowiedziałam, musiał

urazić jej dumę. Nie zapytała mnie o nic tego dnia, ominęła mnie zatem kłopotliwa sytuacja.

Croquenaud wstąpił wieczorem. Uznał, że jestem zdrowa, niemniej jednak kazał mi jeszcze leżeć w łóżku kolejny tydzień.

- Ciepło na przemian z zimnem niedobrze działa na zranione płuca, moja panienczko, to sprzyja rozwojowi choroby - wyjaśnił.

Wiedziałam, że ma rację. Zatrute powietrze paryskie nie miało na mnie dobrego wpływu, podobnie jak zimne i wilgotne mury pałacu w Cité.

Tutaj czułam się najlepiej, królowa mnie rozpieszczała, przynosząc mi owoce.

Denys wpadał, gdy miał trochę wolnego czasu. Dużo czytałam i rozmyślałam. Gdy się nie ma nic do roboty, nachodzą człowieka złe myśli. Wciąż się zastanawiałam nad słowami Denysa na temat Jaufrégo. Przez wszystkie te lata nie bywał na dworze, aby mnie nie spotkać: usunął się, abym mogła działać, albo zamknął się w swej samotni, aby dotrzymać przysięgi.

Co za niedorzeczność! Byłam przekonana, że jego obecność mnie osłabia, że czyni mnie bezbronną! A przecież moje przeczucia i domniemane moce nie uchroniły mnie przed napaścią! Cóż za lekcja pokory! Ja, Loanna de Grimwald, pomyliłam się we wszystkim. A co gorsza, pomyliłam się co do samej siebie. Nie dorosłam do nauk Merlina. Nie było jeszcze za późno prosić go o przebaczenie, tak jak uczyniłam to z Denysem. Jeszcze nie było za późno, by odnaleźć samą siebie, odnaleźć jego –

jeśli jeszcze mnie chciał, tak jak ja chciałam jego. Dopiero po podjęciu tej decyzji poczułam się

naprawdę uleczona, wyzwolona i lekka.

Trzy dni później w moim pokoju pojawiła się Alienor.

- Ostateczna decyzja - wyruszamy na początku przyszłego miesiąca. Poprosiłam Ludwika o audiencję. Na pewno rozpęta się awantura. Ale nie tylko o to chodzi, że wszystkie pojedziemy na krucjatę. Damy nie mogą się obejść bez pokojówek, toalet, klejnotów. Odkąd się dowiedziały, że bazyleus, ponoć piękny mężczyzna, podejmie nas w swoim białym mieście, nie chcą tam jechać w zbrojach. Ja natomiast pragnę mu pokazać całe bogactwo Francji. Nasze kufry podążą więc z nami, a także żonglerzy, akrobaci, trubadurzy...

Zawiesiła na chwilę głos, czekając na moją reakcję. Zachowałam powagę, ale moje serce na chwilę stanęło, a potem zaczęło bić przyspieszonym rytmem. Alienor uklękła przy moim łóżku i ścisnęła w dłoniach moją rękę zwisającą bezwładnie.

- Skąd mogłam wiedzieć? - przepraszała, odrobinę zagniewana. - Gdy Alienor czuła się winna, atakowała pierwsza. - Teraz jestem w kłopotcie. Myślałam, że będzie ci miło, tak dawno go nie widziałaś. Tym bardziej że jego śpiew jest rozkoszą dla wszystkich. Gdyby on nie jechał, nie pojechałby również Bernard de Ventadour.

Tylko Jaufre mógł go przekonać do tej wyprawy.

Zawiesiła głos, czekając na moją reakcję. Uśmiechnęłam się czule.

- Dobrze uczyniłaś.

- Naprawdę?

W jej oczach zalśniły chochlikowe błyski.

- Kiedy on przyjeżdża?

- Wczoraj stanął u wrót pałacu z młodym protegowanym, który ma bardzo obiecujący głos.

- Pytał o mnie?

- Zdziwił się, że nie ma cię na obiedzie, a ja opowiedziałam mu tę samą bajeczkę co innym, że zostałaś wezwana przez rodzinę z Angers, wrócisz niebawem do Paryża.

Ale mam ci za złe, Loanno, że

musiałam kłamać. Gdybyś widziała jego twarz, wychudzoną, bladą i nagle zasmuconą! A przedtem, gdy przyszedł złożyć mi hołd, wydawał się wesolutki jak szczygieł. Można by rzec, że życie z niego uszło. Pod pretekstem zmęczenia podróżą udał się wcześniej na spoczynek.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu prawdy? Powinien wiedzieć, że zostałam ranna i nie mogę wstać z łóżka - szepnęłam łagodnie.



- Co miałam mu powiedzieć? Ze jego ukochana od dwóch tygodni leży cierpiąca w domu swego kochanka? Myślałam, że nie mamy przed sobą tajemnic! I od kiedy to ukrywacie się przede mną? Powinnam była domyślić się wszystkiego, kiedy zaskoczyłam was w sali do szermierki po potyczce z Beatrice.

Machała rękami jak wiatrak, tupiąc jednocześnie obcasami w woskowany parkiet.

Ogarnęła mnie czułość do niej. Podobnie jak Denys, Alienor lękała się, że mnie utraci. Milczała jednak, nie chcąc pokazać swojej słabości, rozmyślała tylko, jakich to rzekomych krzywd doznała. Za jej gniewem krył się w istocie lęk oraz nadzieja połączona z oczekiwaniem. I przede wszystkim ogromna miłość, którą do mnie żywiła.

- Denys nie jest moim kochankiem - szepnęłam.

Uspokoiła się na chwilę, lekko zasapana, z zaczerwienionymi policzkami. Patrzyła nierozumiejącym wzrokiem. Spodziewała się wszystkiego, lecz nie tego.

- Co takiego? - zapytała.

- Słyszałaś przecież. Tego wieczoru spotkałam się z Denysem, ale nie po to, by z nim flirtować.

Podeszła bliżej i usiadła na brzegu łóżka.

- A po co, na Boga?!

- Chciałam, żeby kazał śledzić kogoś z otoczenia króla - skłamałam.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ciągnęłam dalej, zmyślając bez trudu dalszy ciąg historii.

- Podśluchałam strzępki jakiejś rozmowy na korytarzu. Mówiono o królu, a ton, jakiego użyto, świadczył o intrydze. Nie dosłyszałam, o co chodziło, ale obawiałam się tego człowieka i chciałam, żeby Denys się nim zajął.

- I nie zdążyłaś mu tego powiedzieć. To pech! Na razie jednak nie słyszałam o żadnym spisku. Kim był ten człowiek?

- Stefan z Blois.

- Dajże spokój, Loanno! On jest królem Anglii. Cóż przysłoby mu ze śmierci króla, który wspiera go w konflikcie z Andegawenią? Nie, nie sądzę, żeby był

niebezpieczny. Chyba źle zrozumiałaś. Zapewne dlatego, że czujesz do niego niechęć. Wiem, jak bardzo twoja matka chrestna, Matylda, jest rozczarowana tym, iż lud jej nie poparł. Bóg wie, co słyszałaś w dzieciństwie na temat tego człowieka.

Spotkałam się z nim wiele razy i to pozwoliło mi docenić go jako człowieka wartościowego i

stanowczego. Masz o nim fałszywe wyobrażenie!

- Z pewnością - westchnęłam. - O mało nie wykrwawiłam się na śmierć w tej jatce, jaką stały się ulice Paryża. Oceń, jak bardzo skłonny do fantazjowania jest mój umysł, moja kochana!

- Od dziś zakazuję ci takich wyczynów! Ludwik z pewnością zasługuje na twoje przywiązanie, ale mnie bardziej zależy na tobie.

Ucałowała mnie. Jej jasne loki musnęły moje czoło jak letni ciepły wietrzyk. Nagle zapragnęłam jej promiennego uroku, jej wiecznie dziecięcej duszy, i włosów rozrzuconych na moim brzuchu.

- Pragnę cię - szepnęłam, przytulając ją do siebie.

- Uważasz, że to rozsądnie? - zaprotestowała, tylko dla formy zresztą, ale w jej oczach zapłonął tak dobrze znany mi ogień.

Posunęłam się, aby zrobić jej miejsce w łóżku. Alienor zrzuciła na ziemię spódnicę i położyła się obok mnie. Łagodnie rozsznurowałam jej gorset, ściskający ją aż do talii, i obnażyłam sterczące piersi. Następnie, okrywając ją pocałunkami, sięgnęłam dłonią między jej uda.

- Czekałam na to od dawna... - Jęknęła z rozkoszy i poddała się moim pieszczotom.

Byłam podniecona nie tylko tymi beczynnymi spędzonymi dniami, ale i upajającą perspektywą spotkania z Jaufrem. Teraz bowiem nie miałam już żadnych wątpliwości. On mi przebaczy, podobnie jak uczynił to Denys.

Gdy tego samego wieczoru Alienor wróciła do pałacu, wysłuchała jego śpiewu podczas wieczornego nabożeństwa, a potem długo z nim rozmawiała. Opowiedziała mu, jak trudne były dla mnie te lata. Wyraziła nawet opinię, że zarzucałam sobie swoje postępowanie wobec niego, ale przez głupią dumę czekałam, aż on uczyni pierwszy krok. Zapewne szczerze w to wierzyła. Nic więc dziwnego, że

Jaufré także w to uwierzył. Aliénor - jak nikt inny - umiała wywołać w bliźnich poczucie winy i z kata uczynić ofiarę. Powinnam była mieć jej to za złe, jednak ku mojemu zdziwieniu odczułam ulgę. Ta wersja dawała mi możliwość przemilczenia wszystkiego do czasu ukończenia misji w Ziemi Świętej. Ważne było to, że po rozmowie z Aliénor Jaufré uspokoił się i marzył o chwili, gdy wrócę do niego.

W następną niedzielę, przed zmierzchem, stanęłam u wrót pałacu de la Cité.

Najprzyjemniejsze było dla mnie spotkanie z Granoë - przez całą drogę rozkoszowałam się tym, że żyję.

Denys odprowadził mnie do stajni królewskich. Tu się rozstaliśmy, on udał się do sali do szermierki, ja poszłam do mojego pokoju. Nie mogłam stanąć przed Jaufrém i całym dworem, wyglądając tak mizernie. Przeszukałam kufry i wyostałam z nich suknię z ciemnoniebieskiego aksamitu, którą bardzo lubiłam. Aby uwiarygodnić mój wyjazd do Andegawenii, Aliénor oddała moją pokojówkę Camille i umieściła ją w klasztorze, zapewniając, że gdy tylko będzie to możliwe, zostanie

sprowadzona na dwór. Musiałam więc radzić sobie sama i z rozkoszą sposobiałam się do spotkania.

Jednocześnie poddawałam się upojnemu oczekiwaniu, które zawsze poprzedza doniosłe chwile.

Gdy uznałam, że wyglądam lepiej niż kiedykolwiek, udałam się do sali muzycznej.

Aliénor i jej towarzyszki już tam były, o czym powiedzieli mi paziowie, których spotkałam na korytarzu. Głos Jaufrégo dotarł do mnie, gdy stanęłam na progu.

Drzwi były lekko uchylone i od razu go zobaczyłam. Siedział na niskim stołeczku z cytrą na kolanach. U jego stóp rozścielony był istny dywan z jedwabiu i koronek. Na wełnianym dywanie ułożono poduszki, na nich spoczywały damy i wpatrywały się w Jaufrégo rozgorączkowanym wzrokiem. Najwyraźniej Jaufré nie stracił nic ze swojej charyzmy. Mimo że jego twarz pokrywały zmarszczki, był taki sam jak dawniej: pokorny i szlachetny zarazem, natchniony muzyką, która powstawała pod jego palcami. Serce podskoczyło mi w piersi. Jakże mi go brakowało przez te wszystkie lata! Jak bardzo go kochałam! Powoli pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Jego spojrzenie od razu spotkało się z moim. Muzyka umilkła. I stało się tak, jak przeczuwałam - to było jak potężna fala, która zalewa plażę, biorąc ją w swoje posiadanie.

Takie samo niewysłowione szczęście płynące ze świadomości, że jesteśmy sobie oddani na zawsze, rozjaśniło nasze twarze uśmiechem, który nie potrzebował słów.

Twarze wszystkich obecnych zwróciły się w moją stronę, zwabione przemianą, jaka dokonała się na twarzy trubadura.

Moja królowa podeszła i podała mi obie ręce.

- Loanno! Jakże jestem szczęśliwa, że widzę cię wśród nas! - skłamała zgodnie z umową. - Czy miałaś dobrą podróż?

- Doskonałą, Wasza Wysokość. Dłużył mi się czas bez ciebie.

Poprowadziła mnie jak dziecko w stronę Jaufrégo, który wstał i patrzył na mnie czule. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Skłonił się przede mną w głębokim reweransie. Najpierw jednak zwrócił się do królowej:

- Wasza Królewska Mość może być dumna ze swoich dworek. Są jak rzadkie i egzotyczne kwiaty. Tworzą na tym dywanie prawdziwie rajski ogród. Niechaj Bóg błogosławi ten dzień, w którym zostałem tu zaproszony!

- Niechaj Bóg błogosławi ten dzień, w którym twój głos, niczym śpiew słowika, sprowadził tu wiosnę, panie de Blaye!

Nasze spojrzenia splotły się raz jeszcze i wiedziałam, iż nie muszę tłumaczyć niczego. Było tak, jakby czas nie zniszczył ani nie zbrukał tego, co było między nami. Wręcz przeciwnie, zbliżył nas jeszcze bardziej do siebie.

Alienor roześmiała się wesoło i zawołała do zgromadzonych, klaszcząc w ręce:

- Moje panny, dziś jest wielki dzień! Przybyła nasza przyjaciółka i witamy największego trubadura, jaki zrodził się na tej ziemi. Za kilka tygodni, jeśli Bóg pozwoli, nauczymy tych przeklętych Turków, jak się wyraża skruczę i żal za grzechy pogańskiej pychy. Panie de Blaye, niechaj twój śpiew o dalekiej ukochanej miłości będzie naszym sztandarem na chwałę bożą i królestwa Francji!

- Na chwałę bożą i królestwa Francji! - powtórzyły za królową damy dworu.

O tak, to był wielki dzień!

## CZEŚĆ II

I

Przez dwa tygodnie poprzedzające Wielki Wyjazd trwały nieustające spory między Ludwikiem i Aliénor, natomiast pałac, Cité i cały kraj ogarniało coraz większe podniecenie.

Wszyscy rozmyślali o krucjacie, mówili o krucjacie i żyli nią.

Codziennie przybywały wozy, które miały dołączyć do wyprawy. A to Aliénor zapomniała o szkatułce z klejnotami, a to o podarunku dla bazyleusa Komnena z Konstantynopola i wuja z Antiochii, a to zapomniał się gdzieś kuferek ze strojami, a to koniecznie trzeba było zaprosić do wzięcia udziału w wyprawie kogoś niesłychanie dzielnego czy dowcipnego. Krótko mówiąc, liczba wozów ze stu sześćdziesięciu w niecałe dwadzieścia dni zwiększyła się do ponad dwustu.

Ludwik był wściekły. Pomstował, karmił, groził, by wreszcie zatopić się w modlitwie, błagając Wszechmogącego o to, aby przywrócił jego żonie rozsądek.

Szczytem pychy było stwierdzenie królowej, iż zapewne Najwyższy sprzyja jej we wszystkich poczynaniach, gdyż nie widać jakoś śladu Jego gniewu. Co więcej, wygląda na to, że Bóg ułatwia jej zadanie. Ludwik był zrozpaczony, bezsilny i zły.

Naturalnie zwrócił się więc ku Béatrice de Campan.

Coraz częściej widywano ją u boku króla, podążała za nim krok w krok. Aliénor nie mówiła nic. Wręcz przeciwnie! Niech ta idiotka zajmuje się Ludwikiem i zostawi jej swobodę w powitalnych czułościach z Bernardem de Ventadourem.

Wielki dzień wreszcie nadszedł!

Dwunastego maja 1147 roku cały dwór zebrał się w opactwie Saint-Denis. Przybyły tam nieprzebrane tłumy ludzi.

Papież Eugeniusz III czekał na nas u boku Bernarda z Clairvaux.

Opat Suger promieniał z dumy i poczucia wielkiej misji. Miał pozostać na miejscu, by czuwać nad

Francją. Była to ceremonia skromna i wystawna zarazem. Panował

tak podniosły nastrój, że serca wszystkich przepełniała duma i odwaga. Nikomu postronnemu nie przysłoby do głowy, że wyruszamy na spotkanie ze śmiercią.

Czyhała na nas, a także na tych, którzy będą nawracać niewiernych. Podobnie jak inni, czułam podniecenie, ale jednocześnie odpychało mnie to, co miałam czynić -

miałam bowiem stać się współniczką tego kłamliwego Boga, który łączył miłość z rzezią, karę z odkupieniem, męczeństwo z prawdą Chrystusa. Aby odzyskać równowagę wśród tych sprzecznych uczuć - od odrazy do egzaltacji - ścisnęłam z całej siły rękę Jaufrego. Wczepiałam się weń jak drzewo korzeniami w ziemię przed nadciągającą burzą. Moją jedyną racją, jedynym usprawiedliwieniem był odtąd on, on i Anglia!

I nagle pośród tego zwątpienia pojawiło się światło. Eugeniusz III wręczył parze królewskiej sakwę i kostur pielgrzymi. Ludwik podszedł, by podnieść czerwono-złoty proporzec haftowany w kwiaty lilii, nad którym wszystkie pracowałyśmy przez ostatnie dni. Bernard z Clairvaux okrył nim ołtarz. W chwili, gdy Ludwik pochylał się, padło na niego tęczne światło. W nawie rozległ się szmer. Oślepiony blaskiem Ludwik wziął chorągiew w ręce, odwrócił się powoli i uniosł ją, by pokazać tłumowi. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego. Ja, która wiedziałam, jak posługiwać się magią, byłam oślepią tym światłem, które podążało za królem, a teraz przeniknęło przez materiał chorągwi i ręce króla, tworząc cudowną aureolę.

Nie miałam czasu zastanawiać się nad źródłem tej energii. Przez dłuższą chwilę szata królewska wyglądała, jakby była pokryta złotym pyłem, a łagodne spojrzenie Ludwika zdało się rozplýwać w cudownym śnie. Dokoła mnie rozlegały się szepty:

- To cud! Sam Bóg pobłogosławił sztandary!

Gdybym nie była adeptką Merlina, zapewne myślałabym tak samo. Pytania cisnęły mi się na usta, lecz jednego byłam pewna. Światło dotknęło nie samego proporca, lecz króla. Czy to znak, że jego śmierć byłaby niesprawiedliwością? Jeśli to nie błogosławieństwo boże, to znaczy, że błogosławieństwa udziela nam Merlin?

Postanowiłam zdać się na los. Jeśli śmierć króla jest pomyłką, Merlin lub matka powiedzą mi o tym! Zjawili się pod kościołem świętej Genowe-

fy żeby ocalić mi życie, a tym samym wskazali drogę, którą powinnam podążyć i wypełnić misję. Dołączając swój głos do śpiewu moich towarzyszek, opiewałam razem z nimi wyprawę, a moje serce przepełnione było pewnością i spokojem.

Dotarliśmy na Węgry. Ludwik zaczynał się denerwować. Podczas pierwszej krucjaty, aby uniknąć trudności z zaopatrzeniem, Frankowie wyznaczyli kilka tras.

Tymczasem Konrad, cesarz niemiecki, który wyruszył kilka tygodni przed nami, szedł tą samą drogą, więc żywić się mogliśmy jedynie tym, co jego armia zostawiła po sobie i co po zawrotnych cenach

sprzedawali nam okoliczni mieszkańcy.

Ludwik obarczał odpowiedzialnością zbyt liczną rzeszę darmozjadów z otoczenia Alienor, ale to nie rozwiązywało problemu. Początkowy entuzjazm ustąpił miejsca złemu humorowi. Wasale akwitańscy stali murem za swoją księżniczką i obwiniali Ludwika za to zaniedbanie.

Najgłośniej protestował Gotfryd z Rancon, pan Taillebourga. Jeszcze w czasie pierwszego zgromadzenia w Etampes zgłosił projekt udania się do Ziemi Świętej drogą morską, gdyż Roger z Sycylii zaprosił krzyżowców na postój. Ludwik odpowiedział wówczas, że to oszust, który chce wykorzystać tę sytuację do własnych celów. Podczas gorączkowych debat to właśnie Gotfryd z Rancon podkreślał ryzyko związane ze złym zaopatrzeniem. Dziś Akwitańczyk triumfował -

sprawdziły się jego przepowiednie! I chociaż, podobnie jak jego towarzysze, nie akceptował luksusu, jakim otaczały się osoby ze świty królowej, nie mógł dopuścić, żeby król zrzucił na nią odpowiedzialność za własne błędy.

Gotfryd z Rancon postanowił wziąć sprawę aprowizacji w swoje ręce. Stał przed oborą w pobliżu obozowiska Franków i rozważał sytuację. Krowy w sąsiedniej zagrodzie wpatrywały się weń przymglonymi oczami, zapewne nieprzyzwyczajone do osób w pelerynach podróżnych. Kilku jego towarzyszy, znających lokalny język, targowało się o ceny żywności wewnątrz zabudowań. Rozmowa się przedłużała -

jak zresztą codziennie od trzech tygodni. Gotfryd miał tego dosyć. Musi porozmawiać z królową! Ze złością kopnął stertę słomy, wzbijając tumany kurzu.

Po chwili energicznym krokiem wszedł pod dach i kazał swoim towarzyszom przyjąć ostatnią cenę.

Tym gorzej dla finansów królewskich! Wiedział, że nie zdołają więcej wytargować.

Zostawił przyjaciół, by omówili szczegóły, i skierował się w stronę obozowiska.

Rozpalono tam ogromne ognisko, nad którym obracał się na rożnie cały baran.

Królowa i jej damy dworu siedziały dokoła ogniska, na dywanie rozłożonym na ziemi. Śledziły ruch obracającego się rożna, kołysząc się jednocześnie do taktu pieśni śpiewanych przez kolejno zmieniających się trubadurów.

Gotfryd z Rancon usadowił się nieopodal, obok Uca z Lusignan. Słuchając śpiewu Jaufrego Rudela, Uc smarował tłuszczem ostrze miecza.

- Źle wyglądasz, przyjacielu - stwierdził.

- Dajemy się oskubywać jak kurczęta - narzekał Gotfryd.

- A co myśli o tym król? - spytał Uc, który także uważał, że wieśniacy wykorzystują sytuację.

- Pomstuje, ale na Konrada i jego wojsko! Przeciwno nim! - Wskazał na damy i dodał z goryczą: -

Odkąd jesteśmy w drodze, nie powiedział nawet dzień dobry naszej pani Alienor. Wciąż rozmyśla, a gdy tylko rozbijemy biwak, chowa się w namiocie, pali świece i modli się. Piękny przykład!

- Mamy szukać Boga, Gotfrydzie!

- Oczywiście! Ale tym, przyjacielu, tylko tym!

I przesunął palcem po ostrzu miecza, pozostawiając na nim ślady krwi. Uc tylko się uśmiechnął i otarł miecz rękawem. Wiedział, że pan Taillebourga ma rację. Ale Ludwika nie da się zmienić. Z mieszaniny ognia i lodu mogły powstać jedynie łyzy.

Gotfryd kontynuował swoje przemyślenia. Nie chciał się przeciwstawiać swojej księżniczce, ale bolało go, że to ją obarcza się odpowiedzialnością za trudności wyprawy.

- Trzeba z nią pomówić, Uc! Nie jest za późno na to, by panie wróciły do domu.

- Możesz spróbować, jeśli jesteś dość szalony, by wierzyć, że ci się powiedzie -

powiedział rozbawiony Uc de Lusignan.

Gotfryd wstał, sapiąc ciężko, i poszedł pokłonić się królowej. Szepnął jej coś do ucha, na co Alienor kiwnęła głową i podała mu rękę, aby pomógł jej wstać.

Wdzięcznym ruchem zaprosiła go do namiotu.

Przebywali tam przez dłuższą chwilę, lecz nie było słyhać ich gło-

sów, gdyż zagłuszała je mandora Jaufrego. Grając, Jaufre patrzył na mnie czule.

Każdy akord przyprawiał mnie o dreszcz.

Po pewnym czasie Gotfryd z Rancon wyszedł z namiotu z zatroskaną miną, a za nim Alienor, równie wesoła jak przedtem. Wywnioskowałam, że każde z nich pozostało przy swoim zdaniu. Dopiero później dowiedziałam się, że Gotfryd próbował ją przekonać, by kazała zawrócić niektórym wozom, niepotrzebnym w walce.

Kierował się jedynie - jak mówił - troską o to, by księżniczka nie cierpiała z powodu niezadowolenia króla, na co Alienor odpowiedziała lekkim tonem: „To mu dobrze zrobi! Im bardziej będzie rozgniewany, tym lepiej będzie wywijał mieczem!”.

Sytuacja powtarzała się co wieczór przez cały następny tydzień.

Pewnego ranka, gdy znajdowaliśmy się na południe od Wiednia, dogoniła nas grupka jeźdźców pokrytych kurzem. Był to Bernard de Ventadour i jego dwudziestu towarzyszy. Większość z nich stanowili Włosi, który poprosili go, by mogli dołączyć do krucjaty. Król zmarszczył brwi, ale nie znalazł powodów do odmowy.

Wszyscy pochodzili ze szlacheckich rodzin i chcieli walczyć z Turkami. Ponadto jeden z nich, niejaki Fellipe Fordio, miał przy sobie przesłanie od papieża Eugeniusza III, który wychwalał jego zręczność w zadawaniu ciosów i wojowniczość, która mogłaby posłużyć świętej chwale Pana.

Przez cały następny etap Ludwik miał zawziętą minę. Zauważył spojrzenie trubadura na królową i jej rumieniec. Nietrudno było pojąć, że tych dwoje wciąż się kochało. Poprzysiągł sobie, że położy temu kres i każe obserwować namiot królowej, by nie doszło do cudzołóstwa.

Gdy Alienor ujrzała pod swym namiotem straż, zapłonęła słusznym gniewem.

Pośpieszyła do męża, aby zapytać o przyczynę jego decyzji. Ludwik zmierzył ją posępnym wzrokiem:

- Boję się o ciebie, Alienor. Czyż nie jest zadaniem męża chronić żonę?

- A jakiego to niebezpieczeństwa obawiasz się, na Boga?! - spytała Alienor, pojmując, że frontalny atak nie odniesie skutku.

Gdy Ludwik spoglądał takim wzrokiem, był zdolny do wszystkiego.

- Powiadają, że nie dalej jak trzy dni temu zbójcy zgwałcili damy w ich namiotach.

Nie mógłbym znieść, gdyby ciebie to spotkało.

Alienor sama wysłuchiwała skarg rzeczonych panien. Okazało się, iż bynajmniej nie stawiały oporu. Alienor wiedziała, że nie chodzi o ten incydent, lecz o to, że według króla w wyprawie bierze udział zbyt wiele kobiet.

Podziękowała mu zatem za przytomność umysłu, pochyliła się w głębokim reweransie, który ukazał jej dekolt w całej krasie. Pobudzony zazdrością o dawnego kochanka królowej, Ludwik poczuł przyływ pożądania.

- Byłbym spokojny, pani, gdybyś spędziła tę noc u mego boku. Alienor z trudem ukryła zaskoczenie. Nie tak wyobrażała sobie

ponowne spotkanie z Bernardem. Zaoponowała:

- Panie, już tak dawno...

- Tym bardziej powinnaś mi okazać uczucie.

Król przyoblekł twarz w okrutny uśmiezek, który nie przypadł jej do gustu. Mimo to uśmiechnęła się i szepnęła, wychodząc:

- Wasza Wysokość, nie mogłeś sprawić mi większej przyjemności. Gdy Ludwik został sam, złapał skórzany rzemień i jął nim uderzać o podłogę. Zaciskając jeszcze mocniej palce na rzemieniu, warknął:



- To się zobaczy, dziwko!

- Rozbierz się, Alienor.

Ten rozkaz zaskoczył ją od razu, gdy weszła do namiotu. Płomień świecy rzucał na sklepienie roztańczony cień króla. Ludwik stał twarzą do niej, z obnażonym torsem, na białej piersi widniał hebanowy krzyż.

Królową przeszył dreszcz. Nie podobał jej się ten ton, ale postanowiła nie zwracać nań uwagi. Odkąd Bernard był w pobliżu, czuła się bezbronna. Musiała obłaskawić króla, żeby lepiej go oszwabić. Usłuchała zatem rozkazu i stanęła przed nim nago.

Ludwik wskazał jej klęcznik, który wziął na wyprawę.

- Uklęknij.

Zdziwiła się, ale i tym razem usłuchała. Ludwik podał Alienor różaniec z karneolu\*

którym opłotła dłonie złożone do modlitwy.

- Chcesz mnie zadowolić, Alienor? A więc módl się! I niechaj

\*Karneol - czerwony kamień półszlachetny; krwawnik (*przyp. red.*).

żadna skarga nie wydobędzie się z twoich ust, dopóki nie będę miał dosyć.

I podczas gdy królowa odmawiała *Ojcze nasz*, owinał skórzany rzemyk dokoła pięści i podniósł go do góry. Uderzył królową w lędźwie z ostrym świstem, wyrwijąc z jej piersi okrzyk zaskoczenia i bólu. Przymknęła oczy i zacisnęła zęby, a wtedy spadł na nią drugi cios.

Zaprotestowała słabo:

- Zadajesz mi ból, Ludwiku.

- Naprawdę? Ból jest dobry na skruchę - odparł z okrucieństwem w głosie, uderzając ją jeszcze mocniej.

Alienor krzyknęła. Rzemień przeciął jej skórę. Próbowwała wstać, opierając się o klęcznik, ale Ludwik uniemożliwił jej to, z całej siły przygniatając jej ramiona.

- Dość! - rozkazała, odwracając się w jego stronę. Przeraził ją grymas na twarzy króla. Wyglądał jak maskaron przy portalu kościoła, w jego oczach płonął

diabelski ogień. - Oszalałeś!

Zaśmiał się grubiańsko. Alienor poczuła, że łyzy szczypią ją w oczy. Ludwik, taki kruchy, taki słaby, taki pobożny, przeraził ją jak nikt do tej pory. Ukryła twarz w dłoniach i zacisnęła zziębnięte dłonie

na koralikach różańca. Zaczęła się modlić z całego serca, aby tortury się wreszcie skończyły. Ale Ludwik bił, bił bez końca, a ona przęłykała łzy.

Wypuścił skórzany bat z ręki dopiero wtedy, gdy białe plecy królowej stały się jedną wielką krwawiącą raną. Dopiero wtedy rozebrał się do końca i uklęknął za nią.

Wszedł w nią z taką samą brutalnością, krępując jej dłonie, aby uniemożliwić jej ruchy, i zaspokoił swoją dziką żądzę, wywołując w pamięci obraz Bernarda de Ventadoura na krzyżu. Gdy skończył, padł na posłanie i natychmiast usnął.

Alienor odczekała, aż rozlegnie się jego chrapanie, i dopiero wtedy odważyła się poruszyć. Powstrzymując jęk, pozbierała swoje szaty. Ubrała się i starając się iść z podniesioną głową, zdołała dotrzeć do namiotu, nie pokazując po sobie niczego.

Tam upokorzona, pełna odrazy, obolała, rzuciła się na posłanie i wybuchnęła łkaniem.

Jej pokojówka przyszła o świcie, by opowiedzieć mi o wszystkim. Zastałam Alienor leżącą na brzuchu. Oczy miała podkrążone. Opowiedziała mi o wszystkim; poniżona, dyszała pragnieniem zemsty. Mogła ścierpieć mnicha, lecz nie kata.

Tymczasem poszłam do siebie, aby poszukać jakiejś maści na ra-

ny. Przewornie zabrałam na wyprawę wiele medykamentów, gdyż byłam pewna, że przydadzą się w podróży. Teraz starannie nasmarowałam królowej plecy.

Gdy się nieco uspokoiła, postanowiła zachowywać się tak, jakby nic nie zaszło. Król zapewne spodziewał się widzieć ją roztrzęsioną i pokorną, więc dowiedzie mu, że w jej żyłach płynie gorąca krew akwitańska. Pomogłam królowej ubrać się, nie ściskając jednak sznurówek gorsetu. Kilka chwil później, podczas nabożeństwa, uklękła tak jak wszyscy przed drewnianym krzyżem. Ani jednym grymasem nie okazała cierpienia. Zmierzyła pobladłego Ludwika wyniosłym spojrzeniem, które opanowała po mistrzowsku. Przez chwilę zastanawiałam się, kto z nich dwojga tak naprawdę jest ofiarą.

Problemy z aprowizacją ciągnęły się aż do Bośni.

Za każdym razem powtarzało się to samo: wojsko Konrada zużywało wszystkie zapasy mieszkańców. Dla nas zostawały skąpe racje, które ledwie pozwalały przetrwać do następnego postoju, a kosztowały majątek. Gotfryd z Rancon i kilku innych panów zaproponowało zmianę trasy, aby lepiej zorganizować zaopatrzenie, lecz Ludwik sprzeciwił się temu, upierając się przy swoim: brakuje żywności, bo za dużo jest darmozjadów. „Niech wszyscy poczują konsekwencje postępowania Alienor!” - dodał, rad z coraz częściej wyrażanych pod adresem królowej żalów.

Zgadzał się z tym, że obecna trasa miała pewne niedogodności, ale ustalono ją w porozumieniu z Konradem i władcami królestw, przez które przejeżdżano. Miasta były uprzedzone o przejściu krzyżowców i przygotowywały się na ich przybycie.

Postój w jakimś nieprzewidzianym miejscu mógł być zinterpretowany jako chęć złupienia i narażenia na szwank porozumienia z sojusznikami. A zatem nie zmieniono niczego.

Ludwik nie odwołał rozkazu i co wieczór strażnik stawał przed namiotem Alienor z poleceniem niewpuszczania nikogo. Bernard de Ventadour mieszkał ze swymi towarzyszami, my także spałyśmy po kilka w jednym namiocie. Tylko królowa i król mieli namioty do własnej dyspozycji. Kilka dni po zajściu Ludwik stanął przy posłaniu królowej. Alienor, która już się położyła, zaczęła drżeć na całym ciele. Na jej plecach widniały jeszcze sine ślady, które sprawiały jej ból, gdy się poruszała.

Jednakże Ludwik był spokojny.

- Moja ukochana - szepnął - pogódźmy się, czy pragniesz tego?

Mimo odrazy, jaką teraz dlań czuła, z lękiem skinęła głową.

Ludwik uniósł przykrycie i wślizgnął się pod nie w ubraniu. Tej nocy nie tknął

królowej, zadowolając się samą jej obecnością, lecz Alienor nie mogła zmrużyć oka, tak bardzo obawiała się kolejnego ataku szaleństwa.

Nazajutrz wieczorem strażnika nie było przed namiotem. Przez chwilę miała ochotę posłać po Bernarda, ale postanowiła być ostrożna. Mógł to być podstęp ze strony króla. I rzeczywiście, pojawił się w jej namiocie w środku nocy. Rozebrał się i delikatnie poszukał jej ciała. Alienor z trudem powściągnęła mdłości, gdy dotknął

jej ust. Był królem i co więcej - jej mężem! Poddawała się jego miłosnym zabiegom, jakby była szmacianą lalką, taką jak ta, którą bawiła się mała Maria.

Król kazał przenieść swój klęcznik do namiotu królowej i odtąd spędzał z nią wszystkie następne noce. Beatrice, która miała nadzieję wreszcie znaleźć się w jego sypialni, zgrzytała ze złości zębami. Tym bardziej że - aby się uchronić przed jej podstępami - zadbałam o to, by spała w namiocie z Sybillą z Flandrii i Martine de Cornay.

Podczas nocy spędzonych z Ludwikiem Alienor marzyła tylko o jednym - żeby jak najprędzej znaleźć się w Konstantynopolu. Tymczasem przemierzyliśmy dopiero kilka krajów, w tym Chorwację, a potem Serbię, i z każdym postojem koszty podróży powiększały się.

Król miał nadzieję na lepsze zaopatrzenie na ziemiach Manuela Komnena, gdyż bazyleus zapewniał go o swoim całkowitym poparciu. Wszelako trzeba było pogodzić się z istniejącą rzeczywistością: Konrad zabierał wszystko podczas przemarszu. Ludwik pospieszał nas. Chciał jak najszybciej poznać ogrody, których wspaniałość opisywali uczestnicy pierwszej krucjaty. Pragnął też dogonić zapalczywego Konrada, który obiecał braterską pomoc, a w rzeczywistości skazał

krzyżowców na zebraninę. Chciał mu powiedzieć parę słów do słuchu. Tuż przed Adrianopolem trzeba było zostawić dwa zbyt ciężko obciążone wozy, w których na kamienistej drodze złamały się osie. Ludwik uznał, że naprawa zabierze zbyt wiele czasu, i kazał je porzucić wraz z namiotami.

A więc spałyśmy teraz po pięć w namiocie, nie takjak przedtem: po trzy. Było nam teraz i ciaśniej, i goręcej. Przez całe lato i na początku jesieni panowały upały i wywołana nimi susza, wydano więc rozkaz, by wody używano tylko do picia. Nasza ostatnia toaleta stała się już odległym wspomnieniem, gdyż odbyła się przed pięcioma miesiącami. Włosy kleiły nam się do czepków i choć szcztokowałyśmy je co wieczór, przypominały brudne źdźbła słomy.

Damy narzekały coraz bardziej. Ich ubrania cuchnęły potem. Było zbyt gorąco. Na próżno zasłaniały sobie twarze woalką, słońce pokryło brązem ich białą skórę.

Marzyły o wonnej kąpeli, o wspaniałych szatach spoczywających w kufrach i martwiły się, iż takie opalone i brudne dotrą do wspaniałego pałacu bazyleusa.

Był już najwyższy czas, żeby się to skończyło. Gdyby nie zbawienne kąpiele - w ubraniach - w rzekach na południe Nis, Sofii i Adrianopolu, mogłabym stwierdzić, że niejedna z nas, łącznie ze mną, splukiwałaby kurz łzami.

Wreszcie pewnego ranka za dalekimi wzgórzami zobaczyliśmy miasto. Krzyk radości wyrwał się z naszych gardeł. Konstantynopol! Nareszcie będziemy miały dla siebie kradzione chwile zakazanej wolności.

Alienor i Bernard spojrzeli po sobie, co na szczęście uszło uwagi króla, a ja obróciłam na palcu wskazującym pierścień z ametystem, powierzonym mi przez Gotfryda Andegaweńskiego.

W kilka godzin później nasza długa karawana stanęła u białych wrót miasta.

Był 4 października 1147 roku.

Konstantynopol, położony między morzem Marmara a słynnym Złotym Rogiem, wznosił się nad przejrzystymi szmaragdowymi wodami morza. Ulice miasta były proste i tonęły w kwiatkach. Od białych murów odbijały się barwne ogrody.

Zwiedziliśmy pałac Dafne, w którym znajdowały się prywatne apartamenty bazyleusa i jego rodziny. Były też jeszcze inne - które służyły do uroczystych audiencji. Każdy budynek zdobiły słupy triumfalne, marmury w złote listki, podcienia i kopuły. Wszystkie połączone były ciągiem tarasów od tej strony nabrzeża, gdzie bazyleus miał własny port. Cała ta platanina budynków wznosiła się nad portem Bukuleon, gdzie kłębił się brudny i cuchnący tłum. Nie zaćmiewało to jednak wspaniałego wyglądu całości.

Na widok wnętrza pałacu ogarnął nas bezbrzeżny zachwyt. Sale wyłożone były dywanami tak grubymi, że stopy tonęły w nich po kostki; wszędzie wisały kryształowe lustra i ciężkie tkaniny dziergane srebrem i złotem, stały meble inkrustowane rubinami, szafirami, szmaragdami, srebrne kadzielnice, w których paliły się wonności o zapachu wanilii i pomarańczy i na każdym kroku tłumy służących, przeważnie eunuchów, gotowych spełnić każde życzenie - sprawnie i cicho.

Bazyleus miał piękny i szlachetny wygląd: czarne, migdałowe oczy w trójkątnej twarzy o delikatnych rysach, która kontrastowała z szerokimi barami i umięśnionym torsem, wąskie biodra i mocne nogi. Poprzedniego roku poślubił szwagierkę cesarza Konrada, który już był w dalszej drodze, ku wielkiej rozpaczy Ludwika. Ta młoda kobieta, Berta von Sulzbach, pozbawiona wdzięku i ciężka, tak pasowała do bazyleusa jak koza do lamparta.

Krótko mówiąc, po długich miesiącach brudu i cierpień - zarówno moralnych, jak i fizycznych - czuliśmy się tak, jakbyśmy weszli raptem do wdzięcznego, pełnego cudów raj. Nasze współtowarzyszki od razu zanurzyły się w wonnych kąpielach z dodatkiem aromatycznych, egzotycznych olejków. Umieszczono nas, podobnie jak Alienor i Ludwika, w obszernej rezydencji otoczonej olbrzymim parkiem, który jednocześnie był miejscem polowań i podejmowania ważniejszych gości. Dalej rozciągały się lasy obfitujące w dzikie zwierzęta, sprowadzone przez bazyleusa do polowań.

Bankiet na cześć Ludwika, wydany przez Manuela Komnena, przewyższył swoją wspaniałością wszystko, co do tej pory widziałam. Podano co najmniej tuzin przystawek, a wśród nich pieczone żaby, kawior, którego spożywano tu niebywałe ilości, koźlę faszerowane i inne dania urozmaicone gęstymi sosami z dodatkiem kolendry i cynamonu. Strugami lało się wino z Grecji, lżejsze i o bogatszym bukacie niż wina francuskie. Dzięki niemu byliśmy tak wesołe jak nigdy. Był tam nawet fakir - dotąd słyszeliśmy tylko o nim, lecz nigdy go nie widzieliśmy. Jest to człowiek, który chodzi po płonących polanach, kładzie się na odłamkach szkła.

Wszystko to wywoływało okrzyki przerażenia i zachwytu moich współtowarzyszek.

Natomiast ja, przyzwyczajona do magii i rozmaitych substancji sto-sowanych do takich sztuczek, obserwowałam raczej gospodarza, który wydawał mi się o wiele bardziej interesujący.

Manuel Komnen, choć uwodzicielski, fascynował mnie inaczej niż pozostałe damy.

Za gładkim obliczem krył się w istocie ktoś zupełnie inny. Wyczuwałam, że jest zły, przebiegły i zdeprawowany, a otaczał się zbytkiem, by lepiej ukryć swoją perwersję.

Od pierwszego wieczoru wiedziałam, że muszę się mieć na baczności. Przypominał

mi mozaikę w kościele świętej Zofii: przedstawiała ona szatana pochylonego nad młodzieńką, przerażoną dziewczyną, która tuliła w ramionach noworodka.

„Nie zawiera się paktów z diabłem!” - pomyślałam z uśmiechem.

A jednak właśnie tak musiałam postąpić.

Na razie zabawiał rozmową Alienor, która - zachwycona - nie pomyślała nawet, żeby spojrzeć na zasmuconego Bernarda de Ventadoura, zaproszonego wraz z kompanami do tego samego stołu. Manuel Komnen był człowiekiem bardzo wykształconym; władał siedmioma językami, w tym i naszym. Pasjonował się teologią, geografiami, a nawet astrologią. Wyróżniał się także w dziedzinie medycyny i często z niebywałym wyczuciem cytował greckich filozofów. Nie było mu więc trudno podbić Alienor, która od pięciu miesięcy skazana była jedynie na nieciekawe rozmowy o życiu codziennym i narzekania swoich dam dworu.

Tak upłynął tydzień, podczas którego wciągnięto nas w wir wspaniałych uroczystości. To, co początkowo wydawało się nam zabawne, kwieciste przemowy dostojników, zaczynało już nas irytować. Pod tą uprzedzającą grzecznością coś się kryło. Alienor i Ludwik jednak się nie skarżyli. Alienor z trudem znalazła okazję do spotkania z Bernardem - aby odwrócić podejrzenia małżonka, udawała, że jest zainteresowana bazyleusem.

Ciche zakątki wspaniałego ogrodu pozwalały ukryć się przed spojrzeciami intruzów, lecz brakowało im czasu na dłuższe spotkania.

Udało mi się zbliżyć do Manuela Komnena dzięki Alienor, która nie mogła obejść się bez mego towarzystwa, i w miarę możliwości gawędziłam z nim. Jego namiętność dla astrologii, zbliżonej do nauk druidów, była wspaniałym pretekstem do spotkań w cztery oczy, gdy okazywało się, że król czy królowa byli zajęci innymi sprawami.

Podczas jednego z tych spotkań na osobności powiedziałam radośnie, obracając na palcu pierścień z ametystem:

- Byłabym niezmiernie zadowolona, gdybym mogła porozmawiać w innej sprawie z osobą tak obytą jak Wasza Ekszelencja, jednakże konieczna jest pewna dyskrecja.

Bazyleus przyoblekł twarz w uśmiech, który mógł rozbroić każdego oprócz mnie, ale widać było, że zrozumiał, o co mi chodzi. Nie dodał jednak nic i dopiero gdy zapadał zmierzch, po jednym z tych niekończących się festynów, do moich drzwi zapukał eunuch, który zaprowadził mnie na audiencję.

Nie zostałam przyjęta w apartamencie królewskim. Mój przewodnik, o imponującej posturze,

poprowadził mnie przez cały pałac. Wreszcie dotarliśmy do budynku, który wydawał się już częścią murów miasta. Z małego zakratowanego okienka widziałam, że wspinamy się nad Złotym Rogiem. Można też było dostrzec skrawek pobliskiej oazy. Eunuch uniósł fałdy kotary i odsunął się, abym mogła przejść.

Zasłona opadła za moimi plecami i usłyszałam odgłos jego oddalających się kroków. Nie powiedział ani jednego słowa.

Znalazłam się sama w pokoju raczej niewielkim, zważywszy te, w których przebywałam od czasu przybycia do Konstantynopola. Pokój był bogato umeblowany, na podłodze leżał dywan szerokości łoża, a na nim rozrzucono poduszki o miłych dla oka kolorach ze złocistymi pomponami. Niemal całą podłogę zakrywała skóra lamparta.

- Nigdy jeszcze to miejsce nie służyło jako szkatułka na klejnoty bardziej niż w tej chwili.

Na dźwięk tych słów, wypowiedzianych przesłodzonym głosem, aż podskoczyłam.

Bazyleus wszedł cicho jak myśliwy, poruszyły się tylko lekko kotary.

Uśmiechnęłam się, zdumiona jego elegancją, wszak rozstałam się z nim nie dalej jak przed godziną. Był ubrany we wschodni strój, który składał się z obszernej koszuli rozciętej na piersi, na nią miał założony krótki kaftan wyszywany złotem w arabeski. Muskularne nogi okrywały jasnozielone szarawary, a stopy - skórzane ciżmy. Prezentował się wspaniale.

- To prawda, nie spodziewałam się takiego przyjęcia - szepnęłam, gdy podszedł bliżej.

- Zechcesz, pani, usiąść obok mnie?

Musiałam zadać sobie gwałt, by nie uciec. Ten mężczyzna, mimo całego swego uroku, był dla mnie odrażający. Skinęłam głową, lecz zamiast usiąść na miękkiej kanapce, wybrałam stołek z nogami w kształcie litery X. Bazyleus był rozbawiony tym, co uznał za przejaw fran-

cuskiej kokieterii. Uważano nas za kobiety, które udają nieprzystępne po to, by być bardziej pożądane. Początkowo bardzo mi to pomagało. Zdjęłam z palca pierścień i podałam mu go z uśmiechem.

- Ktoś powierzył mi zadanie przekazania ci go, panie. Uśmiech zastygł na chwilę na jego twarzy. Zrozumiałam, że pojął

prawdziwy cel mojej wizyty. Jego rozczarowanie nie trwało długo. Ujął delikatnie klejnot, musnąwszy przy tym przeciągle moje palce, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami na dywanie.

- Słucham cię, pani - szepnął.

- Wydaje się, Wasza Ekscelencjo, że dotarły do nas pogłoski, iż zawarłeś sojusz z Turkami,

przeciwko którymi wyruszyliśmy na wyprawę.

- To zwykle dworskie plotki - zaprotestował z uśmiechem. Jego wzrok bezwstydnie zatrzymał się na moim dekolcie.

- A jeśli ja uznałabym je za prawdziwe...

- W takim razie nie mógłbym cię rozczarować, słodka gołąbeczko. Czego oczekujesz, pani, ode mnie?

- Turcy nie przebaczą ci, że żywił pan ich wrogów, chyba że zawrze pan z nimi jakąś ugodę. Mam wrażenie, że już skierowałaś cesarza Konrada, swego znakomitego szwagra, na obszary uchodzące za niezbyt bezpieczne...

Jego oczy rozbłysły na chwilę, co potwierdziło moje przypuszczenia. Zdobyłam punkt. Bazyleus zapewne zastanawiał się, skąd zaczerpnęłam te informacje, lecz poprzestał na zachęceniu mnie do dalszej wypowiedzi.

- Wydaje mi się oczywiste, że ta krucjata jest dla Waszej Ekscelencji korzystna z przyczyn gospodarczych, gdyż po niebotycznej cenie sprzedaje pan towary, których nam potrzeba. Jednakże szkodzi ona pana negocjacom i przyjaciołom. A więc niewiele by trzeba, żeby wyprawa nie dotarła do celu. Gdyby umarł król Francji, ostudziłoby to wojownicze nastroje, nie sądzisz, panie?

- Jakiż ty miałabyś w tym interes? Ty, gorąca chrześcijanka!

- Równie dobrze mogłabym zadać to pytanie Waszej Ekscelencji. Znów się uśmiechnął, odsłaniając zęby białe jak perły.

- No dobrze. Nieistotne są twoje motywy, gdyż jesteś, pani, tak piękna jak rzadki i delikatny kwiat w ogrodzie mych zmysłów. Chcesz śmierci króla Francji, jednak nie jest to rzecz łatwa, chyba zgodzisz się, pani, ze mną?

Myślałam już o tym wcześniej i przewidziałam miejsce sprzyjające do uprawiania czarów. Na razie nie było go na naszej trasie, ale, choć me wiedziałam dlaczego, byłam pewna, że je znajdziemy. Odpowiedziałam natychmiast:

- W wąwozie Pizydii są takie miejsca, gdzie łatwo można urządzić zasadzkę.

Postaram się odizolować króla za tylną strażą. Pod jednym warunkiem - że zapewni mnie pan, iż królowa Alienor wyjdzie z tego cało, jak również ci, którzy przetrą szlak.

- A co nastąpi potem?

- Królowa wraz z resztą armii dotrze do Antiochii, gdzie wsiądzie na statek i wróci do Francji.

- Świetnie obmyślane, jak na tak czarującą osóbkę. Ale, o słodki i cudowny kwiecie z ogrodu mej rozkoszy, co pozwala ci sądzić, że Turcy potrzebują twoich podstępów, aby zniszczyć armię tego dobrego króla?



Zadowolony z siebie, uśmiechnął się krzywo. Zauważyłam ten grymas i powiedziałam:

- Jestem pewna, że są w stanie spowodować znaczne straty, natomiast by rozbić wojsko króla, musieliby przebić się przez jego straż i osłabić go od flanki. Wojsko Francji jest dobrze zorganizowane. Nie, Wasza Ekscelencja wie, że głowa Ludwika VII jest ceną za moją zdradę.

- Co ofiarowujesz mi, pani, w zamian? Przeszył mnie dreszcz odrazy.

- Zapewnienie, że sprzedasz swoim przyjaciołom po dobrej cenie informację, którą panu przekazuję.

Wstał i podszedł do mnie miękkim krokiem jak kot. Ja także wstałam i nie drgnęłam nawet - aż zbliżył się tak, iż stanął dosłownie kilka centymetrów od moich piersi.

Pewny swej władzy, objął mnie czule i poszukał moich ust, aleja stanowczo go odepchnęłam.

- Choć czynisz mi, Wasza Ekscelencjo, wielki zaszczyt, nie mam zwyczaju mieszać gry miłosnej do interesów.

Zdecydowanym krokiem skierowałam się do drzwi. Przytrzymał moje ramię w żelaznym uścisku.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

Jego ton był twardy. Bazyleus nie był przyzwyczajony do tego, by ktoś mu odmawiał. Odwróciłam się powoli i zbrojna w najpiękniejszy z moich uśmiechów rzuciłam:

- Poprzestanę na tej umowie, która unieszkodliwi króla, a tobie, panie, pozostawiam starania o to, by z tego skorzystano. To mi wystarczy. Jest już bardzo późno, pozwolisz, panie, że po tym rozkosznym dniu udam się na spoczynek.

- Jeśli zapewnisz mnie, pani, iż wrócisz tu, gdy któregoś wieczoru przyślę po ciebie.

Jego ręka miażdżyła mój łokieć, w oczach płonął gniew, lecz przemawiał

uwodzicielskim głosem. Z głupoty wybrałam szczerość:

- Nie nalegaj, ekscelencjo. Choć ogromnie sobie cenię naszą wymianę myśli w kwestii astrologii czy teologii, wbrew reputacji, jaką się cieszą damy z Francji, ja należę tylko do jednego mężczyzny, a tym kimś nie jest pan.

- Komnenowie biorą sobie zawsze to, czego pragną!

To rzekłszy, brutalnie przyciągnął mnie do siebie. Sama nie wiem, jak to się stało, ale uderzyłam go z całej siły w twarz. Zaskoczony, puścił mnie. Cofnęłam się i na odchodnym rzuciłam butnie:

- Pragnę poinformować, że we Francji umowa jest ważna tylko wtedy, gdy obie strony są nią zainteresowane. Miłych snów, Wasza Wysokość!

Bez trudu odnalazłam drogę do Filopationu, oświetloną światłem księżyca w kształcie i barwie pomarańczy. Świt był coraz bliżej. Zdecydowanym krokiem udałam się tam, gdzie mieszkali trubadurzy. Tym razem chciałam rozmawiać z Jaufrem. Moje uczynki ciążyły mi zanadto, bym mogła udźwignąć je sama. Miał

prawo wiedzieć o wszystkim.

Nie musiałam wchodzić do jego pokoju. Czekał na mnie oparty o drzewo. Jego twarz była zachmurzona, zapewne niepokoiło go, co robiłam u bazyleusa. Poznał

mnie z daleka. Podeszłam do niego. Spojrzał na mnie pytająco.

- Chodź - powiedziałam łagodnie.

Serce moje przepełnione było bezbrzeżną czułością. Wzięłam go za rękę i zaciągnęłam na mury obronne. Szmerzący Bosfor u naszych stóp lśnił srebrem i purpurą. Usiadłam z nogami zwieszonymi w powietrzu. Jaufre objął mnie ramieniem. Byłam zmęczona.

- Spójrz - szepnęłam. - Rzeka wygląda tak, jakby była w aksamitnych ramkach.

Jaufre, już nie muszę dłużej milczeć. Kocham

cię i nigdy nie przypuszczałam, że można kogoś tak pokochać. Nikt nigdy nie zajmie twojego miejsca, nikt nigdy nie da mi tyle szczęścia co ty. Spójrz na mnie, moje szczęście, moje życie, i przebacz mi, że nie jestem tą, o której układasz pieśni. Nie jest tak, jak myślisz, Jaufre. W rzeczywistości jestem kimś więcej niż dworką kró-

lowej. Snuję intrygi na dworze królewskim, działając na rzecz hrabiego andegaweńskiego i królestwa Anglii. Dziś wieczorem zdradziłam króla.

Spodziewałam się jakichś pytań, jakiegoś odruchu, ale on nie powiedział ani słowa.

Wobec tego ciągnęłam dalej:

- Za kilka tygodni Ludwik polegnie od miecza w potyczce zorganizowanej przez bazyleusa. Tylko ja jestem za to odpowiedzialna, a chodzi o to, żeby uwolnić Alienor z więzów małżeńskich i umożliwić jej poślubienie Henryka Plantageneta, hrabiego andegaweńskiego. Została mu przeznaczona dawno temu, jeszcze zanim zmarł jej ojciec, otruty w drodze do Compostelli przez najemnika Stefana z Blois. Mam bardzo wielu wrogów, Jaufre. Przede wszystkim dlatego, że mam władzę nad Alienor i wywieram wpływ na jej decyzje, ale również dlatego, że pochodzę z bardzo starożytnego ludu. Jestem adeptką kapłanek Avalonu i druidów. Dziś już pozostało niewiele takich jak ja- posiadaczy wiedzy tajemnej, odziedziczonej po naszych przodkach, wywodzących się z mieszkańców Atlantydy. Wyznaję inną religię niż ty, jej światłość me pochodzi od twego Boga. Mam misję do spełnienia, dla niej przyszedłam na świat i nic nie przeszkodzi mi w drodze do mego przeznaczenia. Nawet miłość.

- Dlaczego nie opowiedziałas mi o tym?

- Dlatego, że miłość do ciebie czym mnie bezbronną. Poprzez ciebie łatwo ugodzić we mnie. Gdy Beatrice de Campan spróbowała to uczynić, zrozumiałam, że nie mam prawa narażać twojego życia, podobnie jak nie mogę ryzykować utraty ciebie.

Oddalić cię oznaczało chronić cię i chronić siebie. Teraz wiem, że me miałam racji.

Wybacz mi krzywdę, jaką ci wyrządziłam. Nie możesz sobie wyobrazić, jak cierpiałam, ile razy musiałam sama ze sobą walczyć, ile razy byłam rozdarta, gdyż chciałam połączyć się z tobą. Nawet na chwilę nie przestawałam o tobie myśleć, ale w imię tego, kim jestem, nie pozwalałam sobie na to, by słuchać twego głosu, widywać się z tobą. Nawet na chwilę nie przestałam cię kochać, bezlitośnie od

trącałam innych mężczyzn, choć moje ciało domagało się pieczy. Chciałam należeć tylko do ciebie.

- Jesteś czarodziejką...

- Która czyni źle, choć chce dobrze.

Próbował się uśmiechać. Zwrócił ku mnie ściągniętą twarz i zobaczyłam w jego oczach swoje łzy, choć ich nie czułam. Szepnęłam cichutko, jak w modlitwie:

- Kocham cię.

- Jak mogłaś zwątpić we mnie tak dalece, że ukrywałaś przede mną wszystko przez dziesięć lat? - westchnął boleśnie.

- Zapewne bałam się bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Bałam się, że mnie odrzucisz, że nie będę ciebie godna czy że uchybię swoim obowiązkom. Bałam się siebie samej. To wszystko nie jest łatwe, Jaufre.

- Denys wie o królu? - spytał wreszcie.

- Tak.

- On cię nie zdradził...

- Wie, że słuszność jest po mojej stronie.

- A skąd ma tę pewność, skąd wie, czy śmierć jakiegoś człowieka jest słuszna, czy nie?

- Z tego, że moi wrogowie tak zaciekle walczą o moją zgubę, odkąd zamordowali księcia Wilhelma, żeby nie ogłosił publicznie zaręczyn swej córki z przyszłym królem Anglii. Muszę wypełnić swoją misję choćby ze względu na pamięć o nim.

- Co o tym myśli Alienor?

- Nie wie o niczym.

Zapanowała cisza, z dala słychać było tylko ostre krzyki morskiego ptactwa. Jaufre objął mnie i przyciągnął do siebie. Moje serce przepełniło się dziką radością.

- Chyba jestem szalony, że godzę się z takim dziedzictwem -szepnął mi do ucha. -

Muszę być szalony, żeby tak ciebie kochać. Zawsze wiedziałem, że nie jesteś taka jak inne - westchnął i pocałował mnie.

Jego usta miały słony smak łez, a może to były moje łzy. W gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Nic już nie mogło nas rozdzielić. Nie musiałam już kłamać i oszukiwać. Nagle, oczami duszy, zobaczyłam uśmiech Denysa.

„Dziękuję ci - pomyślałam - dziękuję, mój drogi przyjacielu; gdyby nie ty, nigdy nie zdobyłabym się na odwagę”. Miałam wrażenie, że spoza obłoków patrzy na nas Marjolaine, widziałam jej twarz i oczy promieniejące czułością. I nagle znikła tak łagodnie, jak się pojawiła w świetle wstającego dnia.

Manuel Komnen był uprzejmy i troskliwy, jakby nigdy nic. Podobnie jak w poprzednie dni na hipodromie odbywały się wyścigi najwspanialszych koni, z których od dawien dawna słynęło miasto.

Już półtora tygodnia nikt nie zakłócał mego spokoju, gdy ku naszemu zdziwieniu przybył wielce dostojny gość, ibn Ruszd, zwany w arabskiej Andaluzji Awerroesem. Ludwik aż podskoczył, gdy zobaczył go przy stole bazyleusa. Był on muzułmaninem, a zatem jego obecność była obelgą dla uczestników krucjaty. Co gorsza, stanowiła jawny dowód, że bazyleus ma konszachty z Turkami. Manuel Komnen, któremu nawet nasze lodowate miny nie starły z ust uśmiechu, opowiedział nam, jaki los spotkał tego filozofa w ojczyźnie. Tamtejszy sułtan ocenzurował jego komentarze do dzieł Arystotelesa. Awerroes zinterpretował je w duchu racjonalizmu i materializmu, po czym jego dzieło przemycone zostało przez granicę. Awerroesa skazano na banicję, grożono mu także śmiercią. Wiedząc, że w Konstantynopolu znajduje się wspaniała biblioteka, poprosił bazyleusa o azyl, obiecując, iż przejdzie na chrześcijaństwo, jeśli to prawo uzyska. Był to mężczyzna mniej więcej w moim wieku, spoglądający szczerze, prosto i przenikliwie. Zrazu wydał mi się sympatyczny i choć znane mi były oszukańcze sztuczki naszego gospodarza, tym razem uznałam jego wypowiedź za wiarygodną. Ludwik i Alienor odnieśli podobne wrażenie.

Tego wieczoru otrzymałam bilecik od bazyleusa, który przypominał raczej rozkaz:

„Proszę przyjść...”

Zamiast odpowiedzieć obdarzyłam uśmiechem eunucha, który przyniósł list, i usnęłam w czułych objęciach Jaufrégo.

- Pomarańczowy gaj znajduje się przy południowej bramie miasta. Powinnaś pani tam pójść, by skosztować tych owoców, których krągły kształt i słońce w nich zawarte pasują niezmiernie do Waszej Wysokości.

Bazyleus uklonił się przed Alienor i poprowadził ją w miejsce, z którego widać było ów gaj. Odkąd tu przybyliśmy, nie miała jeszcze czasu, by się tam udać, zbyt zajęta uroczystościami organizowanymi przez naszego gospodarza. Teraz jednakże Alienor była zaniepokojona:

- Powiadają, że w okolicy pojawili się mężczyźni w turbanach. Nie obawiasz się, panie, że mogą to być Turcy?

- Ani jeden z tych nędznych psów nie ośmieliłby się tu dotrzeć. Wasza Królewska Mość może być tego pewna.

- Czy nie będziesz, panie, naszym przewodnikiem?

- Niestety, nie! Pilne sprawy zatrzymują mnie w pałacu, ale kilku moich wiernych służących będzie do dyspozycji Waszej Królewskiej Mości.

- Posłucham twej rady, panie, wszelako pod warunkiem, że zatrzymasz mego męża w pałacu. Te spacery czynią go nerwowym i zapewne zepsułyby mi te cudowne chwile.

- Niechaj tak będzie, Wasza Królewska Mość. Są sprawy, które roztropniej trzymać z dala od pewnych osób.

Wypowiedź ta świadczyła niechybnie o tym, iż bazyleus zdawał sobie sprawę z zażyłości łączącej królową i jej trubadura. Bazyleus uniósł ciężką kotarę i zniknął za nią.

Tak jak obiecał Manuel, króla zaproszono do rozegrania partii polo, zarezerwowanej tylko dla mężczyzn, Alienor zaś i ja - w towarzystwie Jaufrego, Bernarda de Ventadoura oraz dwóch czy trzech eunuchów - podążyłyśmy chłodną, pachnącą aleją gaju pomarańczowego. Berta, żona bazyleusa, nie przyjęła naszego zaproszenia na spacer, wymawiając się migreną. Podobnie uczyniły nasze towarzyszki, zajęte poszukiwaniem skarbów. Wszystko składało się jak najpomyślniej, a więc Alienor i Bernard skorzystali z okazji, pozostawili nas samych, i udali się w jakiś cichy zakątek.

Trzymając Jaufrego pod rękę, rozkoszowałam się naszą bliskością i słodyczą tego miejsca.

- Nigdy nie będę miała dosyć tych owoców - szepnęłam, zrywając olbrzymią pomarańczę z krzaka.

- Poczekaj - zatrzymał mnie Jaufre. Odebrał mi owoc, by zatopić w nim zęby.

- Czy to prawda, że niektórzy spożywają je razem ze skórką?

- Rzeczywiście widziałem, jak pani domu zjada pomarańcze ra-

zem ze skórką, lecz ja wolę jeść skórki kandyzowane lub sporządzoną z nich konfiturę.

Podał mi pomarańczę, której sok ściekał po jego delikatnych palcach. Teraz ja zatopiłam zęby w soczystym owocu.

- Z pewnością jest bardziej aromatyczna niż twoje pomarańcze w Blaye.

W tym momencie oboje poczuliśmy tęsknotę.

- Pamiętasz, Jaufre - szepnęłam - tę pierwszą noc? Nasze prześcieradła wydzielają tę samą cudowną woń, którą teraz się tak upajamy?

- Jakże mógłbym o tym zapomnieć, najdroższa moja.

- Wtedy po raz pierwszy odkryłam zalety kwiatu pomarańczy. Objęłam go czule, jakby zapraszając do zapamiętania się w pieszczotach, podobnie jak czynili to w tej samej chwili Alienor i Bernard.

- Oddalmy najpierw eunuchów - powiedział, obejmując mnie. Odwróciłam głowę, by stwierdzić ze zdumieniem, że już jesteśmy

sami.

- No cóż - rzekł rozbawiony Jaufre - zapewne zrozumieli, że już ich nie potrzebujemy.

Jego usta przylgnęły do moich ust i zatonęliśmy w pocałunku tak rozkosznym, że niemal traciłam przytomność. Zapewne dlatego nie usłyszałam, że coś szeleści obok nas. Dopiero gdy usłyszałam uderzenie, otworzyłam oczy. Jaufre padł jak szmaciana lalka, zwisając bezwładnie w moich ramionach. Krzyknęłam z przerażenia. Otoczyło nas pięciu tureckich wojowników, solidnie uzbrojonych. Zanim zdołałam zrobić jakiś ruch, złapali mnie. W jednej chwili zostałam związana i przewieszona przez czyjeś muskularne ramię. Na próżno się broniłam, olbrzym nie wypuścił mnie z uścisku, lecz biegł ku bramie otwierającej się prosto na pustynię. Za nim podążała reszta moich prześladowców.

Niesiona jak tobołek, widziałam z mej wysokości ciało Jaufrego leżące na ziemi.

Zauważyłam też sylwetki Alienor i Bernarda, którzy biegli, zapewne zaalarmowani moim krzykiem. Następnie wrzucono mnie na konia i białe mury miasta zaczęły się oddalać, aż znikły za obłokiem pyłu.

Wewnątrz jaskini panował przenikliwy chłód. Postawiono mnie, wciąż związaną, przy wilgotnym murze. Stopniowo ziąb przeniknął do mego ciała. Noc powoli kołysała do snu równinę, której cieniutką niteczkę, skapaną we mgle, zdołałam dostrzec ze swego miejsca. Nie rozluźniono mi więzów ani nie wyjęto z ust knebla kaleczącego wargi. Nie wiedziałam, czego ci ludzie chcą ode mnie. Od kilku godzin siedzieli w kółku i oddawali się nieznaney mi grze. Nie interesowali się mną bardziej niż ścianą. Najwyraźniej byli Turkami, ale nie wątpiłam w to, że całą tą sprawą mógł kierować tylko jeden człowiek. I odgadłam, kto nim jest.

Początkowo byłam zrozpaczona. Przez całą drogę prześladował mnie obraz Jaufrego. Może trwało to godzinę, a może dwie - nie miałam pojęcia. Piasek smagający moją twarz zapierał mi dech, czołem uderzałam o spocone boki konia.

Bałam się. Jaufre przeżył. Byłam tego pewna. Teraz wespół z Alienor i Bernardem miota się i zastanawia nad tym napadem. Na pewno opowiedzieli o nim bazyleu-sowi, który zapewnił ich, jak bardzo jest tym zdziwiony, i wysłał swoich ludzi na poszukiwania. Słowa oszusta! Będą tylko przesiewać piasek, udając, że szukają. Zresztą w Bizancjum wszystko było jedynie iluzją.

Noc była zimna; teraz już ogarnęła cały płaskowyż. Jeden ze zbójców wstał i powiedział kilka słów tonem brzmiącym jak rozkaz. W odpowiedzi wszyscy natychmiast poderwali się z miejsc, jak gdyby po długich godzinach spędzonych biernie trzeba się było spieszyć. Jeden z mężczyzn podniósł mnie jak snopek i przerzucił sobie przez ramię. Poczułam ostrą woń skórzanej odzieży, domyśliłam się więc, że dźwigał mnie ten sam człowiek co poprzednio. To był jedyny punkt odniesienia, jaki mi pozostał. Twarze mężczyzn okrywała tkanina, widoczne były jedynie ciemne oczy. Zostałam położona w poprzek grzbietu konia. Znow zaczął się szaleńczy galop. Szybko przemarzłam do szpiku kości. Jechaliśmy dość długo, podobnie jak przedtem, a gdy konie zwolniły bieg, zaczęłam wsłuchiwać się w odgłosy docierające do mnie z wszystkich stron. Serce podskoczyło mi w piersi -

instykt mnie nie zmylił. Zapach i chlupot wody o falochron świadczyły o tym, że znow byliśmy w Konstantynopolu, tuż przy Złotym Rogu, albo na drugim brzegu półwyspu.

Mimo panującego mroku zdołałam rozróżnić zarys potężnych murów obronnych.

Sam ich widok miał w sobie coś krzepiącego. Jeden z mężczyzn zdjął mnie z konia i w tej samej chwili otworzyły się wrota.

Przeszliśmy długim korytarzem oświetlonym pochodniami. W ścianach widniały niewielkie otwory, przez które wpadało świeże powietrze. Po chwili złożono mnie w bogato zdobionym pokoju. Oczekiwała mnie tu zakwefiona kobieta, której nie znałam. Oстрым głosem wydała jakiś rozkaz i natychmiast rozwiązano krępujące mnie więzy. Opadłam na ziemię, tak byłam zeszywniała z chłodu i długich godzin spędzonych na grzbiecie konia. Przy każdym ruchu czułam niemiłe mrowienie, ale za nic w świecie nie poprosiłabym ich o litość. Kobieta wyjęła **mi** z ust knebel.

Porywacze wyszli, lecz domyślałam się, że pilnują wejścia. Wtedy rozebrała mnie, starając się czynić to delikatnie. Uśmiechała się i przemawiała do mnie z wyraźnym obcym akcentem. Byłam wyczerpana, lecz udało mi się zrozumieć pojedyncze słowa. Mówiła mieszaniną greki i łaciny oraz nieznanego mijęzyka. Mówiła, żebym się uspokoiła i odpoczęła, że ona się mną troskliwie zajmie, że jej pan prosił ją, aby była na moje rozkazy i ładnie mnie ubrała. Tyle przynajmniej pojęłam.

Pomogła mi wejść do srebrnej balii i zaczęła mnie polewać ciepłą pachnącą wodą, zmywając kurz z mego ciała i włosów. Następnie wytarła mnie energicznie do sucha. Zapewne moja nagość jej się podobała. Miała bardzo ciemną karnację i najwidoczniej rzadko jej się zdarzało oglądać kogoś o tak jasnej skórze. Spoglądając na mnie z zazdrością, poprosiła, bym się położyła na futrze, którym zasłana była podłoga. Miałam tylko jedno pragnienie - poddać się jej. Byłam taka znużona...

Przystąpiła do energicznego masażu moich ramion, pleców i ud i sama nie wiedziałam, kiedy pogrążyłam się we śnie pozbawionym marzeń.

- Nie wierzę ani trochę, że to byli Turcy!

Denys uderzył mocno pięścią w stół z brązu. Jaufre posłał po niego, gdy tylko opatrzono mu ranę na głowie. Od razu po całym zajściu eunuchowie, którzy pojawili się znowu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zanieśli go do pałacu. Tam zajął się nim medyk, a tymczasem rozjuszona królowa pobiegła do pałacu Justyniana,

gdzie odbywały się audiencje u bazyleusa. Krzyczała tak głośno, że jej głos rozlegał

się, zwielokrotniony echem, w całym pałacu. To była szaleńcza bezmyślność wysłać ich w takie miejsce, bazyleus musi zapłacić koronie francuskiej odszkodowanie za utratę jej przyjaciółki. Ona, Alienor, nie ruszy się z miejsca, póki nie uzyska zapewnienia, że zostaną użyte wszystkie środki, by ją odnaleźć. Manuel Kom-nen odparł, iż nie pojmuje, jak ktokolwiek mógł sforsować bramę Peghe i wejść do gaju pomarańczowego. Niezwłocznie zostanie podjęte śledztwo, a winni - niezależnie od tego, czy są Turkami, czy też nie - zostaną ścięci bez żadnego procesu.

Alienor powiedziała o wszystkim Ludwikowi i cała delegacja francuska udała się do pokojów na modły. Jaufre nie czekał wcale na pomoc bazyleusa. Ufał tylko jednej osobie - Denysowi.

- Jeśli nie byli to Turcy, to kto? - zapytał konetabla, który siedział z gniewnie zmarszczonym czołem.

- Komnen. Ten oszust nie cofnie się przed niczym, jeśli czegoś zapragnie. Posłuży się swoimi psami, aby to uzyskać i nas oszukać.

Jaufre opadł na ławkę. Czuł się winny. Denys położył mu rękę na ramieniu.

- Nie obarczaj się winą, mój przyjacielu - rzeki, odgadując myśli Jaufrego. -

Spodziewałem się zdrady, lecz pokładałem ufność w potęgę jej przewidywań.

Wydaje mi się, że dała się zwieść. To znaczy, że Manuel jest niebezpiecznym człowiekiem.



- Gdybym miał wtedy broń!

- Ty jesteś jej sercem, a ja ramieniem. Jeśli ktokolwiek powinien sobie coś wyrzucać, to tylko ja - bo mnie tam nie było. A przecież obiecałem, że będę nad nią czuwał. Nie chodzi jednak o to, byśmy tu narzekali. Ty przeszukaj razem ze swymi trubadurami cały Konstantynopol. Niektórzy z nich znają tutejszy język. Niechaj wyteżą słuch i wzrok. Jeśli to Komnen kazał ją porwać, na pewno będzie się starał z nią połączyć. A wtedy wkroczę do akcji z paroma zaufanymi ludźmi i znajdziemy miejsce, w którym on ją przetrzymuje.

- A jeśli zechce ją zabić? - zapytał Jaufre głosem drżącym z niepokoju.

- Na razie bardziej lękam się ojej cnotę niż o życie - szepnął Denys. - A Loanna nie jest kobietą, która da się zabić, nie stawiając oporu!

Jaufre spojrział nań ze zdziwieniem. Nagle zrozumiał, dlaczego tak bardzo polegałam na Denysie. Biła od niego taka pewność siebie, był taki opiekuńczy, że Jaufre poczuł się uspokojony.

- Nie lękaj się o swoją ukochaną, ona jest lepiej uzbrojona niż ty i ja. Przymierzam, że ją odnajdziemy, choćbym miał życie postradać. Chodź, mamy mnóstwo roboty, liczy się każda minuta. Zbierz tych, którym ufasz, ale królowa niechaj nie uczestniczy w naszych działaniach. Jest zbyt impulsywna i może spowodować jakiś incydent, rzucając na oślep oskarżenia. Niech lepiej bazyleus niczego nie podejrzewa.

Obudziłam się z uczuciem, że czyjś wzrok spoczął na moich biodrach, a lekki powiew uświadomił mi, że jestem obnażona. Odwróciłam się i zobaczyłam bazyleusa, który siedział obok mnie w niedbalej pozie. Ogarnął mnie głuchy gniew, tym silniejszy, że wypoczynek odświeżył moje siły. Żywo naciągnęłam na siebie futra porozrzucane obok mnie i spojrzałam na niego nienawistnie. Roześmiał się łagodnie i nalał sobie cynamonowego wina.

- Od godziny przyglądam się temu cudownemu tyłeczkowi, dorównującemu zadom moich najlepszych rumaków. Jesteś jeszcze piękniejsza w tej skromnej szacie niż we wszystkich swoich klejnotach.

Przemawiał tonem szyderczym i denerwującym. Manuel bardziej kochał konie niż kobiety. Podał mi kielich, ukazując jednocześnie w uśmiechu swoje wspaniałe białe zęby. Byłam spragniona. Przyjęłam więc napój z jego rąk.

- Nie wydajesz się zdziwiona, rozkoszny kwiecie mych najpiękniejszych ogrodów?

- A dlaczego miałabym się dziwić? Już od dawna znam twe oszukańcze sztuczki. Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Kochać cię, aż do twej zguby. A potem wydam cię twoim ludziom, którzy w ten sposób przekonają się o mojej dobrej woli i pójdą sobie w swoją trudną drogę, jak nasz kochany Konrad.

Rzuciłam mu zuchwałe spojrzenie:

- Nie będziesz mnie miał ani dziś, ani jutro. Albo zginiesz!

- Ależ nie, ślicznotko. Za bardzo jestem ci potrzebny do przeprowadzenia wszystkich twych ponurych planów. I poskromię cię, kiedy tylko zapragnę, jak najbardziej niesforną klacz, możesz być tego pewna.

Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Bazyleus tymczasem odrzucił pasmo włosów zasłaniające moje piersi. Odepchnęłam go zdecydowanie, z zaciśniętymi zębami.

Zarechotał złym śmiechem i wstał, rozprostowując swoje długie nogi.

- Dziś wieczorem będziesz moja i będziesz skomleć jak młoda suka!

To mówiąc, zniknął za kotarą. Nie wiem, jak długo spałam, lecz myśl o tym, że jeszcze mam trochę czasu do jego powrotu, uspokoiła mnie. Mogłam więc zastawić na tego okrutnika jakąś pułapkę w moim stylu. Nagle usłyszałam lekkie kroki.

Młoda kobieta, która przedtem się mną zajęła, wróciła, choć nie zauważyłam, kiedy weszła. Nie spuszczałam oka z wyjścia, przez które ulotnił się bazyleus. Istniało więc z pewnością drugie wyjście. Przrzekłam sobie sprawdzić to. Kobieta przyniosła olśniewającą suknię orientálną koloru pomarańczy, dzierganą złotem i srebrem. Pozwoliłam się w nią ubrać. Wszystko było lepsze od nagości, która pobudzała wyobraźnię bazy-leusa. Był on z pewnością rozpustnikiem. Czemuż jego wybór nie padł na Béatrice? Ona nie stawiałaby mi żadnych przeszkód i pozwoliła się zdeprawować. Była równie zbrukana jak on. Ta diabliska zapewne radowała się teraz, myśląc, że się mnie wreszcie pozbyła.

Odkąd opuściliśmy Francję, była zmuszona zachowywać się spokojnie, lecz wiedziałam, że przepełniają nienawiść i wyczekuje odpowiedniej chwili. Co więcej, nie spotkała się z królem ani razu sam na sam przed naszym tu przybyciem. Teraz tylko spacerowała z nim w nocy po ogrodzie. Pewnego wieczoru Jaufré przypadkowo zauważył ją, przedzierając się przez zarośla. Aliénor zapewniła mnie, że Ludwik tej nocy nie przyszedł do jej łóżka, wymawiając się modlitwą w Aja Sofia. Nie wiedziałam, czy ostatecznie Béatrice została jego kochanką, czy też kochał ją na swój sposób - sercem i oczami. Wydawało mi się jednak oczywiste, że Béatrice nie traciła okazji, by pozyskać jego przychyłność. Gdyby wiedziała, że jest to woda na mój młyn, zapewne powstrzymałaby się od tego.

Tymczasem odczuwałam głód i pragnienie. Powiedziałam, że chcę zostać sama, zatem kobieta skłoniła się przede mną i, jeszcze raz podkreślając, że jest na moje usługi, znikła za zasłoną. Poszłam za nią, lecz dwóch pilnujących mnie olbrzymów zabronili mi przejścia, krzyżując włócznie. Ponieważ byłam najwyraźniej uwięziona, musiałam zebrać siły do dalszego działania. Na stole stała patera z so-

czystymi owocami, obok piętrzyły się ciastka. W kryształowych karafkach pyszniły się najrozmaitsze wina. Zaspokoiliłam apetyt i pragnienie i wreszcie poczułam, że odzyskałam siły.

Obeszłam pokój dookoła. Miejscami ze ścian obwieszonych kobiercami przedstawiającymi bazyleusa w pozach fiywolnych, otoczonego kobietami i młodzieńcami, ściekała woda. Wydawało się, że w murze nie ma tajemnego przejścia, ale zauważyłam kilka otworów wentylacyjnych.

Przyłożyłam oko do jednego z nich, a wtedy ujrzałam morze lśniące w słońcu. Znajdowaliśmy się w pobliżu portu, gdyż słyszałam chłupot fal rozbijających się o kadłuby statków i prze-krzykujące się głosy. Ale jaki to był port? Chyba Bukuleon, a może ten, do którego przybijały statki handlowe? Spróbowałam poszukać jakichś dodatkowych wskazówek, ale przez wszystkie otwory widać było to samo.

Oczywiście mogłam wyjść stąd za pomocą czarów, lecz wiedziałam, że ich działanie jest krótkoterminowe. Mogłam stać się niewidzialna i to wystarczyłoby, żeby wyminąć włócznie, ale jeśli potem natknęłabym się na mur lub ukryte drzwi, nie byłam pewna, czy wystarczyłoby siły zaklęcia, abym je przeniknęła. Bałam się, że znajdę się w potrzasku. Kilka dni temu bazyleus opowiedział, jaki los spotkał

czarownicę, która rzucała urok na swych kochanków. Wyrwano jej język, a potem spalono ją na hipodromie, w obecności zgromadzonego tłumu, któryjej złorzeczył.

Gdyby ktoś odkrył, kim jestem, bazyleus zgotowałby mi ten sam los. Postanowiłam więc posługiwać się magią tylko w ostateczności. Musiał być jakiś sposób skłonienia Komnena do tego, by mnie wypuścił.

Zauważyłam nożyk z zakrzywionym ostrzem, który służył do obierania pomarańczy. Nie był ostry, ale mógł się przydać. Sprawdziłam palcem ostrze i szepnęłam: „Niech się ta stal wygładzi, aż stanie się gładka jak lustro i ostrzejsza niż szkło”. W chwilę później miałam w ręku broń o wiele ostrzejszą niż wszystkie sztylety z obozu królewskiego. Następnie położyłam się na rozłożonych skórkach i powoli starałam się przywołać twarz Jaufrego z zabandażowaną głową. To mnie uspokoiło. Mój instynkt mnie nie zdradził. Denysa także ujrzałam w swej wizji.

Obaj mnie poszukiwali. Ogarnęła mnie bezbrzeżna ufność i powoli zapadłam w ożywczy sen. Wiedziałam, że będą mi potrzebne siły.

Gdy się obudziłam, pojęłam, że oczekiwanie nie będzie trwało długo. Byłam sama, lecz rzut oka przez otwór w murze przekonał mnie, że woda różowiła się już od promieni zachodzącego słońca.

Bazyleus na pewno wkrótce przybędzie. Sprawdziłam, czy mam w zasięgu ręki sztylecik. Potem przyszło mi do głowy, że lepiej będzie ukryć go w fałdach skór.

Musiałam tylko udawać, że wciąż jeszcze śpię, i cierpliwie czekać. Gdy pochylił się nade mną, przyłożę mu nóż do gardła i zażądam, żeby puścił mnie wolno. To wydawało się proste, zbyt proste - pomyślałam.

„Mamo, dlaczego łatwiej jest odgadnąć cudzy los niż własny?”.

Wkrótce usłyszałam szmer cichych kroków. Serce zaczęło mi bić szybciej. Byłam gotowa. Położyłam się na brzuchu, ściskając z całej siły rękojeść nożyka. Ciężka kotara podniosła się, a potem opadła.

Manuel usiadł obok mnie.

- Wiem, że nie śpisz.

Położył niecierpliwą rękę na kostkach moich nóg i obnażył je powoli, podciągając fałdy mojej sukni. Serce biło mi tak szybko, że aż boleśnie. Podniósł jeszcze bardziej suknię i odsłonił moje pośladki. Jego palce kreśliły arabeski na mojej skórze; po chwili, bez uprzedzenia, uderzył mnie tak mocno, że aż skóra mi poczerwieniała. To wystarczyło, by rozbudzić mój gniew. Jednym skokiem zerwałam się i przyłożyłam ostrze do jego szyi.

Zaskoczony, cofnął się, ale po chwili roześmiał się głośno. Syknęłam:

- Ta gra jest skończona, ohydny wieprzu! Wypuścisz mnie stąd albo poderżnę ci gardło!

- Czy wiesz, wspaniała tygrysico, że lubię od czasu do czasu poskramiać dzikie koty? Ich pazury są o wiele ostrzejsze niż twoje -kpił.

Zdeterminowana, wbiłam czubek ostrza w jego skórę i zobaczyłam, jak trysnęła kropelka krwi.

- Nie bądź taki pewny.

- Doprawdy?

Zanim zdążyłam się zorientować, leżałam na plecach, a mój nadgarstek uwięziony był w stalowym uścisku. Bazyleus zarechotał. Wiedział, że nie sprostam mu w walce. Drugą rękę miałam wolną. Kątem oka zauważyłam kielich. Schwyciłam go i stłukłam dokład-

nie w chwili, gdy uściskiem zmusił mnie do wypuszczenia z ręki sztyletu.

Przeciągnęłam rozbitą w ostre odłamki czaszę kielicha po roześmianej twarzy bazyleusa, rozcinając mu prawy policzek od skroni do kącika ust. Warknął wściekle i nie zważając na to, że twarz ma zalaną krwią, spoliczkował mnie tak mocno, że na chwilę straciłam oddech. Następnie, bełkocząc coś niezrozumiale, wyrwał mi kielich i wstał, dumnie wyprostowany. Krew z jego skaleczonej twarzy poplamiała moją suknię. Podniósł dłoń ku twarzy, żeby sprawdzić, czy rana jest głęboka. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Jego wzrok sprawił, że zadrżałam z przerażenia. Stał się zimny i okrutny. Uniósł zakrwawione palce do ust i oblizał je z uśmiechem my-

śliwego.

Nie śmiałam nawet drgnąć, jakaś część mojej jaźni przywoływała na pomoc magię, lecz nie mogłam odnaleźć ani właściwych słów, ani gestów, aby wymknąć się temu mężczyźnie. Mimo wszystko coś mnie w nim fascynowało. Może było to dziwne uczucie, że teraz jesteśmy złączeni krwią. Krew Ludwika i krew Manuela raptem się zmieszały. Może taką cenę powinnam zapłacić za swoją zdradę. Szepnęłam, nie rozwierając zaciśniętych zębów:

- Skończmy z tym jak najszybciej!

- A potem umrzesz - dodał chłodno, zanim położył się na mnie całym ciężarem.

Poczułam ostry ból i krzyknęłam. Podczas gdy on poruszał się we mnie, zamknęłam oczy i myślałam

o Jaufrem. Być daleko, daleko stąd, nie pozwolić, aby ta bestia mnie zbrukała, nie dać sobie odebrać duszy. Nie mieć czucia więcej niż siennik, nie dostarczyć mu rozkoszy.

Gdy skończył, wstał i wziął ze stołu jedwabną ściereczkę, którą ocierano owoce przed spożyciem. Osuszył pospiesznie swoją ranę. Nie ruszyłam się z miejsca.

Nauczyłam się opuszczać swoje ciało, gdy zaszła taka potrzeba. Powrót do niego sprawiłby mi ból. Nie chciałam, żeby Komnen to zauważył.

Cisza wisiała nad nami jak ołowiane niebo. Wyszedł tak, jak wszedł, bez słowa i bez spojrzenia. Westchnęłam z ulgą. Wiedziałam jednak, że wyrok na mnie już zapadł.

Musiałam się stąd wydostać jak najszybciej. Nie byłam w stanie sprostać mu w walce.

Jak za dotknięciem różdżki pojawiła się młoda kobieta, dźwigając naczynie z gorącą wodą. Byłam pewna, że są tu jakieś inne drzwi - kobiety nie było w pokoju w chwili, gdy bazyleus mnie gwałcił. Może zgodzi się udzielić mi pomocy? Zbliżyła się do mnie i otarła moje zbrukane uda. Bolał mnie dół brzucha. Jednakże nie było to teraz ważne. Miałam niewiele czasu. Wślizgnęłam się do srebrnej balii i pozwoliłam się obmyć. Potem spojrzałam kobiecie prosto w oczy i szepnęłam błagalnie:

- Umrę. Pomóż mi.

Potrząsnęła głową, a wtedy zauważyłam w jej oczach łzy. Zapewne gdyby mi pomogła, wydałaby również na siebie wyrok śmierci. Bazyleus nie wybaczał.

Powtórzyłam jednak błaganie:

- Pokaż mi drzwi. A potem odejdz.

Wskazała podbródkiem wyjście - to, które znajdowało się za zasłoną. Potrząsnęłam głową.

- Inne, proszę cię.

Spuściła oczy, a potem powoli odwróciła się do mnie plecami i uniosła tapiserię, na której przedstawiony był bazyleus w intymnej scenie z kobietami. Znikła.

- Dziękuję - szepnęłam, choć nie mogła mnie już słyszeć.

Wyszłam z kąpieli i lekko osuszyłam ciało. Podeszłam do wskazanego przez nią miejsca, ale za tapiserią była tylko ściana. Przesuwając palcami po murze, natrafiłam na ruchomą cegłę. Gdy otworzyło się przede mną przejście, zobaczyłam długi korytarz. Wróciłam do mego posłania i założyłam suknię, którą przyniosła służąca. Musiałam wiedzieć, co mnie czeka na drugim końcu tunelu. Weszłam za zasłonę.

Szłam długo, nie napotykając żywej duszy. Wtem usłyszałam śmiech i hałasy. W

murze był otwór. Przyłożyłam do niego oko i zobaczyłam chyba z dziesięciu strażników bazyleusa

grających w kości. Byłam w pułapce. Mogłam spróbować zniknąć za pomocą czarów, lecz nie wiedziałam, co znajduje się za tą salą. Pole widzenia zasłaniały mi drzwi. Postanowiłam popatrzeć jeszcze przez jakiś czas, że-by spróbować dostrzec coś jeszcze. Upłynęła dłuższa chwila. Zmarzłam. Wreszcie otworzyły się drzwi i zobaczyłam w nich kobietę ubraną w lekką szatę, która śmiejąc się rozpustnie, rzuciła się na szyję jednemu ze strażników. Obydwoje byli pijani. Usłyszałam dźwięki muzyki i wyciągnąwszy szyję aż do bólu, zauważyłam w oddali jakiś

kontuar, a wokół niego twarze. Tawerna! To była tawerna. Portowa knajpa. Nie wiedziałam, czy mam się z tego cieszyć, czy nie, ale świadomość, że jestem tak blisko normalnego świata, pocieszyła mnie. Musiałam tylko znaleźć jakiś sposób, żeby się tam wślizgnąć i zniknąć.

- Nie myśl nawet o tym - usłyszałam za plecami głos.

Zadrżałam od stóp do głów. Nie usłyszałam, jak nadszedł, ale widać tak już musiało być - bazyleus skradał się jak kot. Odwróciłam się. Rana, którą mu zadałam, już nie krwawiła. Z galanterią wskazał mi dłonią kierunek powrotny. Usłuchałam go.

Musiałam zyskać na czasie. Wróciłam do mego więzienia bez słowa. Ustawiono tam stół, a na nim rozstawiono półmiski z pieczonymi pulardami, kawiozem i żabimi udkami. W miseczkach podano karczochy i owoce morza. Uprzytomniłam sobie, że jestem głodna, a także to, iż jeszcze nie nadeszła godzina mojej śmierci. Manuel Komnen pozwolił opaść tapi-serii zasłaniającej wejście. Musiałam zmrużyć oczy, tak widno było w pokoju. Moje oczy przywykły do ciemności tunelu.

- Siadaj - rozkazał.

Usłuchałam go i usiadłam naprzeciw niego, na miękkim dywanie.

- Na pewno jesteś głodna. Jedz - nalegał.

W tej chwili nie miał w sobie nic z oprawcy. Manuel Komnen znów był

uwodzicielski. Zapewne - pomyślałam - nie był zadowolony. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej. Dwuzębny widelcem nabrałam sporą porcję kawioru. Manuel nalał do złotego kieliszka wina z pomarańczy. Gdy zobaczyłam, że nie ma kryształowej zastawy, uśmiechnęłam się i ujęłam kieliszek w dłoń z lekko rozbawioną miną, która zapaliła wesołe iskierki w jego oczach. Przesunął palcem po policzku i głośno się zaśmiał. Zrozumiał.

- Co teraz zrobisz ze mną?

- Zabiję cię.

Powiedział to spokojnie, bez nienawiści, obgryzając udko pulardy. Uśmiechnęłam się znowu.

- Śmierć mnie nie przeraża.

Roześmiał się głośno, potem klasnął w dłonie, zwracając się ku wejściu. Wszedł

strażnik ze srebrnym naczyniem przykrytym kloszem i postawił je przede mną.

Bazyleus obgryzał z kości mięso. Podniosłam klosz i zobaczyłam odciętą głowę młodej służącej. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały jeszcze pokorę wobec losu.

Poczułam

mdłości, które z wielkim trudem udało mi się powstrzymać. Odstawiłam klosz. Ręce mi drżały. Czulałam, że jestem blada, lecz wytrzymałam wzrok mego kata. Manuel sprawiał wrażenie obojętnego. Starając się ukryć drżenie rąk, odsunęłam naczynie i zmusiłam się do wzięcia udka pulardy. Wbiłam w nie zęby jakby nigdy nic. Nie chciałam, by w tej rozgrywce okazał się zwycięzcą. Fałszywie obojętnym tonem zadałam mu pytanie:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Nieposłuszeństwo musi być ukarane.

I to zdanie wypowiedział bez nienawiści. Po prostu respektował swoje prawo i korzystał z okazji, by pokazać mi, kto tu jest panem.

- Ona nie była nieposłuszna - skłamałam. - Sama zauważyłam, którądy weszła.

- Nieważne. To po prostu nie powinno było się zdarzyć.

- Uważałam, że jesteś sprawiedliwy, ale widzę, że się pomyliłam.

- Takim chciałaś mnie widzieć, gdy tu przybyłaś, pamiętaj o tym.

- Kiedy ma mnie spotkać ten sam los, co tę nieszczęsną dziewczynę?

Musiałam wiedzieć, aby się przygotować.

- Gdy będę cię miał dość - odparł obojętnie.

Z pogardą uniosłam do ust kielich i małymi łykami wypijałam wino. Ta myśl mi się nie spodobała, ale przynajmniej miałam czas na opracowanie planu. Nagle pochylił

się ku mnie i złapał mnie za nadgarstek. Nie próbowałam się uwolnić. To nie prowadziłoby do niczego. W jego źrenicach widziałam pożądanie i prośbę, którą wyraził szeptem:

- Bądź moja, a daruję ci życie, którym tak gardzisz. Chcę ciebie, Loanno de Grimwald, ale nie martwej. Zanadto kocham miłość, by wywierać przymus na ciebie bez duszy. Pozwól się uwieść.

- Takimi sposobami tego nie dokonasz. Tym bardziej że należę tylko do jednego mężczyzny, już o tym mówiłam.

- Do tego niedorzecznego trubadura? Nie sądzę, by umiał dać ci rozkosz!

- Bardziej niż ty.

- Wobec tego on umrze.

Powiedziawszy to, uwolnił moją rękę i wzruszył lekceważąco ramionami. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Zabije Jaufrego, a to byłoby jeszcze gorsze niż moje własne cierpienie. Ale nie chciałam, by wiedział, że może mnie ugodzić poprzez niego. Odparłam więc z uśmiechem:

- Czy tylko w ten jeden sposób potrafisz nakłaniać do uległości? Żal mi cię, panie Komnen. We Francji mężczyźni mają bardziej przekonujące argumenty. Ale zapewne rycerskość nie jest tu w modzie.

- Daję ci jeden dzień do namysłu. Gdy wrócę, będziesz moja, bez reszty.

- A jeśli odmówię?

- Sprowadzę trubadura i na twoich oczach obedrę go ze skóry, następnie wezmę cię.

On w tym czasie będzie się wykrwawiał. Potem podetnę ci gardło i położę twoją głowę na stoliku naprzeciwko niego, tak aby widział ją, gdy będzie umierał.

- Niechaj Bóg ci wybaczy.

- A jeśli On nie przebaczy, Allah tego dokona!

Wstał i pożegnał się ze mną. Owinał się połami obszernej peleryny z zielonego jedwabiu, okrywającą jego nagi tors, i wyszedł.

Kości zostały rzucone, nie miałam wyboru. Musiałam stąd wyjść, ale nie mogłam tego dokonać sama. Wzięłam do ręki naczynie, w którym był kawior, i rozsypałam ziarenka, tworząc koło wystarczająco duże, bym mogła stanąć pośrodku. Ukłękłam i cichutko wyszeptalam zaklęcia. Pozostawała mi tylko nadzieja, że Jaufre wysłucha tego i że nikt mnie nie zaskoczy.

- Słyszałeś?

Jaufre położył rękę na ramieniu Denysa, nakazując mu milczenie.

- Co się dzieje? - zapytał Denys, nastawiając uszu.

Ale dokoła panowała cisza, słyhać było tylko plusk wody uderzającej o nabrzeże.

- Wydawało mi się, że słyszę szept, jakby to był jej głos. Chyba oszalałem - rozpaczal Jaufre.

- Dajże spokój.



Jaufre potrząsnął głową z nieszczęśliwą miną. Razem przemierzali miasto, wypytywali przechodniów, szukali w miejscach opromienionych najbardziej ponurą sławą - na próżno. A jednak gdy tego wieczoru, podczas obiadu, zobaczyli na twarzy pana domu paskudną szramę, ogarnęła ich szaleńcza nadzieja. Na pytanie swej małżonki odpowiedział, że podrapał go dziki kot, z którym chciał się poba-

wić. Musiał dokładnie opowiedzieć o swej przygodzie damom, które spijały z jego ust każde słowo. Ale Jaufre był pewien, że bazyleus kłamie. Alienor odważyła się postawić mu zarzut, że za dużo czasu spędza ze swymi ulubionymi zwierzętami, zamiast upolować bestię, która porwała jej damę dworu. Nie przestając się uśmiechać, Kom-nen zapewnił, że jego najlepsi ludzie przeszukują okolicę i że z pewnością niedługo ją przyprowadzą. Potem, jakby chodziło o wyrok, dodał:

„Módlmy się do Boga, Wasza Królewska Mość, żebyśmy znaleźli ją żywą”. Jaufre zadrżał. Natychmiast po obiedzie poszedł za bazyleusem, który jednak udał się do swych apartamentów i najwyraźniej nie miał już zamiaru z nich wyjść. Potem Denys potwierdził jego przypuszczenia. Bazyleus, za którym podążał jak cień, nie opuścił

przez cały wieczór Blachernes. A więc to nie tygrys go tak urządził. To mogło oznaczać tylko jedno: że byłam blisko, dobrze ukryta. Trzeba było się tylko dowiedzieć gdzie.

Na razie skierowali się w stronę portu, gdzie oczekiwali na nich Gotfryd z Rancon i Uc de Lusignan wraz z tłumaczem. Dowiedzieli się, że strażnicy bazyleusa ścięli głowę jakiejś młodej kobiecie w ciasnej uliczce, porzucili jej tułów pod murem i wrócili do pałacu, unosząc w worku swoje trofeum. Młody chłopiec, świadek zaj-

ścia, uciekł ze strachu, żeby i jego nie pochwycono. Wylądował przerażony u stóp Akwitańczyka i za kilka złotych monet opowiedział o swej ponurej przygodzie.

Biedna kobieta, tutejsza, nawet nie zdążyła krzyknąć, przeżegnała się tylko i padła na kolana. Gdy Gotfryd z Rancon dotarł na miejsce, ciała już nie było, ale młodzieniec mówił prawdę - na ziemi została kałuża krwi.

Była to zbyt słaba poszlaka, żeby mogli powiązać to zdarzenie z ich sprawą, ale ponieważ nie mieli żadnych innych śladów, ten był równie dobry jak inne.

Obaj mężczyźni szli dalej w milczeniu. Ostrożny Jaufre miał przy sobie broń -

wąziutkie uliczki portowe stanowiły wymarzone miejsce do podcięcia komuś gardła, tym bardziej że napięcie między Francuzami i Bizantyńczykami stale rosło.

Nie było takiego dnia, żeby nie zdarzyły się jakieś incydenty, a wczorajsze porwanie nie było niczym wyjątkowym.

- Znowu -jęknąłJaufre. - Posłuchaj!

- Nic nie słyszę, zapewniam cię! Zerwał się wiatr. Zapewne to jego podmuchy słyszysz.

Ale Jaufre przystanął i wydawało się, że pochłonięty jest tym, co usłyszał. Złapał

Denysa za ramię i spojrzał mu prosto w oczy:

- Ona jest tutaj. Słyszę, jak do mnie przemawia. Zapewniam cię, Denysie. Jej głos przepływa przeze mnie jak strumień. Grozi jej niebezpieczeństwo. Czeka.

Denys zamilkł. Przypominał sobie, jaką moc mają te tajemnicze czary, których skutki dane już było mi poznać.

- Chodźmy - rzekł Jaufre. - Poszukajmy naszych towarzyszy. Ona jest w którejś z tych portowych tawern. Wyśle nam jakiś sygnał.

- Jeśli to jest prawda, musimy zawiadomić Gotfryda z Rancon, by zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Spieszmy się.

Wydłużając krok, skierowali się w stronę miejsca spotkania.

Widziałam ich twarze, przesuwane się w ciemnościach, jakby unoszone wiatrem.

„Pospiesz się, moja miłości, lecz bądź rozważny” - szeptałam łagodnie.

Stanowiłam z Jaufrem jedno ciało, jego umysł porozumiewał się z moim.

Odgadywałam, gdzie się znajdowali, i kierowałam nimi. Ale jak znaleźć właściwą tawernę, jedną z wielu w porcie? Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale musiałam złamać krąg magiczny i stracić kontakt z Jaufrem. Trudno. Niedługo nastanie świt, trzeba już było z tym skończyć. Szybko.

Zostawiłam Jaufrego i Denysa, którzy podążali na spotkanie z Gotfrydem z Rancon, Ukiem de Lusignanem i Bertrandum z Montfaucon i szepnęłam: „Powiedz im, że dostaliście informacje od służącej bazyleusa. Jeden ze strażników króla wyjdzie z tawerny.

Wejdźcie tam. Zobaczycie niskie drzwi w kamiennym murze, chyba na prawo od kontuaru. W sali jest kilku zbójów stojących na warcie. Będziecie musieli zapewne użyć siły. Bizantyńczycy wam nie pomogą. Będę tam na was czekać. Bądźcie ostrożni, ale pospieszcie się”.

Wyszłam pomału ze stanu letargu i nawiązałam kontakt z rzeczywistością. W

pokoju nic się nie zmieniło. Strażnicy wszyscy byli tacy sami - wierni słudzy, którzy nic nie widzieli ani niczego nie słyszeli. Powinni mieć pewność, że śpię. Wyszłam z kręgu, rozprostowując obolałe nogi, i starannie zebrałam kulki kawioru, którymi po-służyłam się do utworzenia kręgu. Nie wolno było dopuścić do tego, by bazyleus się domyślił, kim jestem.

Wkrótce znalazłam się przed tajemnym wyjściem. W sąsiednim pokoju mężczyźni nie ruszyli się z miejsca. Miałam po prostu wrażenie, że wzmocniono strażę, z pewnością dlatego, że odkryłam przejście. Wołałam z całej siły.

Niemal natychmiast znalazłam się przed jakimś zbrojcem, który dźgnął mnie w pierś cienkim, lekko

zakrzywionym mieczem.

- Co tu robisz, suko? Wracaj do swego pokoju!

Mężczyzna był niesympatyczny. Przybrałam czarującą minkę i szepnęłam mu do ucha:

- Bardzo bym chciała porozmawiać z twoim panem. Rozważyłam jego propozycję i jestem gotowa podporządkować się jego pragnieniom. Nie wiem, jak mam go wezwać. Będzie zadowolony, gdy tu przyjdzie. Nie mógłbyś go zawiadomić?

- Idź stąd! Wracaj, skąd przyszedłeś!

Po tych słowach ściana się zamknęła. Udało mi się jednak zajrzeć do pomieszczenia.

Człowiek rzucił kilka słów, po których natychmiast rozległ się gromki, sprośny śmiech. Potem jeden z nich wstał i wyszedł. Bez wątpienia poszedł zawiadomić bazyleusa o mojej decyzji. Pozostawało mi żywić nadzieję, że przejdzie przez port, a nie podąży inną sekretną drogą, w które to miasto najwyraźniej obfitowało.

- Tutaj!

Bertrand z Montfaucon pokazał palcem na drzwi, które się właśnie otworzyły.

- Pozwólmy mu odejść nieco dalej - rozkazał Gotfryd z Rancon. Mężczyzna ich nie zauważył. Wszedł do stajni, odwiązał konia

czarnej maści jak on sam i ruszył galopem po wybrukowanych uliczkach. Piątka mężczyzn z odsłoniętymi twarzami udała się do tawerny. Weszli niczym weseli kompani, śmiejąc się i żartując, witani wrogimi i nieco zdziwionymi spojrzeniami marynarzy bizantyńskich. Udając podpitych, usiedli w miejscu, z którego mogli obserwować wąskie a długie pomieszczenie. Jakaś dziwka, kołyszając się lubieżnie, podeszła z dzbanem cynamonowego wina. Odepchnęli ją zdecydowanie, następnie opróżnili swoje kieliszki. Czekali, aż obecni przestaną się im przyglądać, odwrócą się od nich. Wtedy odczekają kilka chwil i wykorzystując efekt zaskoczenia, zaatakują mieczami. Dwoma susami dotarli do drzwi. Uc de Lusignan stanął w odstraszającej pozycji przed zdziwionymi marynarzami, podczas gdy jego towarzysze otworzyli drzwi i przedostali się do środka. Strażnicy bazyleusa ledwie zdążyli wydobyć broń, a już Francuzi skoczyli na nich. Serce zabiło mi żywiej na widok wymachującego mieczem Jaufrego, który jednocześnie szukał mnie wzrokiem.

Uderzyłam z całej siły w kamienną ścianę, dając o sobie znać okrzykami. Nagle mur ustąpił i znalazłam się w środku pola bitwy.

Denys walczył z mężczyzną, który poprzednio mnie zbeształ i najwyraźniej dowodził tym niewielkim oddziałkiem. Miecze, uderzając z głośnym szczękaniem o siebie, aż iskrzyły. Zobaczył mnie wreszcie. Unikając zręcznie ciosu, krzyknął do Jaufrego:

- Zabierz ją! Szybko!

Bertrand z Montfaucon osłaniał nas. Było już tylko czterech na siedmiu, ale wszyscy walczyli zaciekle. Jeśli pozwolą mi się wymknąć, wydadzą na siebie wyrok śmierci, starali się więc powstrzymać nas za wszelką cenę.

- Chodź! - krzyknął Jaufre i razem wbiegliśmy do salki tawerny.

Marynarze zerwali się z miejsc, niektórzy wydobyli noże i zakrzywione sztylety.

Inni stłukli butelki i trzymając je za szyjki, najwyraźniej zamierzali się nimi bronić.

Było ich niewielu, zaledwie sześciu, ale mieli doświadczenie - na morzu stale trzeba bronić statków przed złupieniem. Ci mężczyźni umieli się bić. Na razie otoczyli Uca, który swoim dzikim wyglądem i olbrzymim mieczem odstraszał ich, aby nie mogli posuwać się do przodu.

- Nie wyjdziemy z tego - mruknął Jaufre.

Nienawiść do Franków i napięcie, jakie rosło od czasu naszego przybycia do tego miasta, znalazły ujście w potyczce.

Uc zawołał odsiecz i natychmiast obok niego znalazł się Bertrand de Monfaucon, który wskoczył w sam środek zgromadzenia i wrzasnął:

- Niechaj Bóg rozpozna swoich!

Podczas gdy oni obaj starali się stawić czoło marynarzom, dostrzegłam przejście między walczącymi. Rysując całą siłą mojej wyobraźni aurę dokoła nas, pociągnęłam Jaufrego na zewnątrz.

- Uciekajmy! - rzucił Jaufre i wybiegł na nabrzeże. Cwałowałam za nim aż do następnej uliczki, kiedy nagle poczułam zimny dreszcz na plecach. Zwolniłam kroku.

- Co się dzieje? - zapytał Jaufre, zatrzymując się.

- Denys - jęknęłam ze łzami w oczach.

Zrobiłam ruch, jakbym chciała zawrócić, ale Jaufre mnie powstrzymał:

- Nie, to byłoby szaleństwo! Zresztą już są tutaj.

W naszą stronę biegli trzej mężczyźni. Rozpoznałam Gotfryda z Rancon i pozostałych. Nogi pode mną zadrżały.

- Śpieszmy się - błagał Jaufre. - Musimy się ukryć!

Aleja nie mogłam ruszyć się z miejsca. Skamieniałam z bólu. Bernard z Montfaucon dotarł do nas pierwszy. Był blady. Wyszeptał:

- Denys.

Wiedziałam. Gotfryd z Rancon podszedł także i złożył u moich stóp swoje brzemię.

Padłam na kolana, aby na nich ułożył jego piękną głowę, taką jasną, a jednocześnie szkarłatną od krwi. Zapadła śmiertelna cisza. Denys oddychał ciężko, z zamkniętymi oczami. Miał pękniętą czaszkę. Wystarczyła chwila nieuwagi: spojrzał

za siebie, by upewnić się, że uciekam, i to teraz on uciekał ode mnie, a dusza jego już chciała nas porzucić.

Wybuchnęłam łkaniem. Z wściekłością, do której nigdy nie uważałam się zdolna, potrząsnęłam jego nieruchomym ciałem:

- Nie, nie możesz mnie porzucić! Nie masz prawa! Jeszcze nie teraz! Błagam cię!

Matko - krzyczałam prosto w wiatr, który nagle się zerwał - uratuj go! Merlinie, pomóż mi!

Ale nikt nie odpowiedział na moje łzy. Mężczyźni nie śmieli się odezwać, tylko Jaufre wziął mnie za ramiona i szepnął:

- Nic nie możesz już zrobić. Musimy odejść. Proszę cię. Przytuliłam głowę Denysa do piersi. Jego oddech stawał się coraz

bardziej urywany. Otworzył oczy. Pochyliłam się nad nim, by usłyszeć w ostatnim tchnieniu:

- Kocham cię...

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie chciałam dopuścić do tego, by ciało Denysa pozostało tu, na pastwę tych łotrów. Gotfryd zarzucił je sobie na ramię i wszyscy razem popędziliśmy płataniną ciemnych uliczek. W pewnej chwili musieliśmy się ukryć na odgłos

kopyt końskich uderzających o bruk. Zapewne bazyleus odkrył moją ucieczkę i dowiedział się o bójce w oberży. Dzięki zręczności Gotfryda z Rancon, który zapoznał się dokładnie z planem miasta, dotarliśmy do Filopationu, a stamtąd było już blisko do obozowiska. Nad Konstantynopolem wstawał już świt.

Otoczona królewską armią, byłam całkowicie bezpieczna. Ciało Denysa ułożono na łożu ze skór. Obawiając się, że bazyleus będzie chciał się zemścić na Jaufrem za moją ucieczkę, błagałam go, by został przy mnie. Byłam wykończona. Nie dlatego, że tyle wycierpiałam, ale przez tę śmierć, z którą nie mogłam się pogodzić. Czułam się tak, jakbym utraciła część samej siebie. Denys ocalił mnie po raz trzeci. Trzy to liczba magiczna: woda, powietrze i ogień zjednoczone na kamieniu czasu. Trzy jak splecione trójkąt miłosny, utworzony z Jaufrego, Denysa i mnie. Trzy jak te istnienia, które zabrano, abym ja mogła żyć. Przerazałam samą siebie!

Nie miałam odwagi opowiedzieć o moim porwaniu rycerzom, którzy domagali się tego jako dowodu zdrady bazyleusa. Nie miałam już ochoty na nic, poza tym, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce. Poprosiłam Gotfryda z Rancon, by uprzedził

Alienor. Niech przybędzie. Trzeba było uniknąć incydentu dyplomatycznego. Na razie potrzebowaliśmy jeszcze Komnena. Wiedział, że Frankowie nie narażaliby na szwank naszego porozumienia.

Zostałam, by czuwać przy ciele Denysa. Nie chciałam uczynić tego, gdy zmarła moja matka, lecz dla niego musiałam to zrobić. Na próżno powtarzałam sobie, że on już jest tylko ciałem bez duszy, ale nie mogłam go opuścić. Wbrew czarom mojej matki nie będzie ze mną zawsze. Jaufre zostawił mnie samą. Wraz z przyjaciółmi kone-tabla poszedł się pomodlić. Wysłano zawiadomienie do obydwu braci Denysa.

Nie okazali smutku. Nie spodziewałam się po nich niczego więcej, wiedząc, jak go nienawidzili, lecz pomyślałam o jego starym ojcu we Francji, którego ta wiadomość zabije.

Alienor przysłała w porze seksty i przyniosła mi ubranie. Król kazał jej milczeć, choć krew w niej wrzała. Gotfryd z Rancon znalazł właściwe słowa - musimy skrócić nasz pobyt pod pretekstem opóźnienia. Bazyleus na pewno nie da się zwieść, lecz ten powód wyda mu się bardziej naturalny. Co się zaś tyczy mnie, postanowili udawać, że nic nie

wiedzą o moim losie i liczą na to, że bazyleus mnie odnajdzie. Zresztą nie było żadnego żywego świadka potyczki, jaka odbyła się poprzedniej nocy, który mógłby opowiedzieć o naszym w niej udziale.

Znajdowaliśmy się w królestwie oszustów, zatem trzeba było posługiwać się ich bronią.

- Loanno, moja kochana...

Odwrociłam ku Alienor zrozpaczoną twarz. Łzy już nie płynęły z moich oczu, ale pozostawiły dwie słone strużki na policzkach. Teraz łzy płynęły do wewnątrz, to w środku czułam ból.

Alienor uklękła obok mnie i z czułością ucałowała złączone dłonie Denysa, a potem, objąwszy mnie ramionami, zaczęła łkać na moim ramieniu. Ona też cierpiała, wiedziałam o tym. Lubiła Denysa za to, że poświęcał się dla mnie, i za wszystkie noce, podczas których pomógł jej znieść obojętność króla.

Gdy w kilka minut później wszedł Ludwik, zastał nas w takiej samej pozycji, połączone tym samym cierpieniem. Nie powiedział ani słowa, nakreślił tylko w powietrzu znak krzyża, i kazał naszym współtowarzyszom niedoli opowiedzieć sobie wszystkie szczegóły tej burzliwej nocy. Potem polecił odprawić nabożeństwo pod ogromnym krzyżem. Przywieziono go wozami i postawiono na pamiątkę naszego pobytu. U stóp tego krzyża pochowano konetabla królowej.

Nie byłam w stanie wypowiedzieć ani słowa, gdy ciało Denysa, otulone futrami, spoczęło w grobie wykopanym w złocistym, ciepłym piasku.

Dopiero wtedy poprosiłam króla o posłuchanie.

- Mów, panno de Grimwald.

Pierwszy raz byłam z królem sam na sam. Ludwik VII spoglądał na mnie z litością, a także z podziwem, co odnotowałam z zawstydzaniem.

- Panie, nieważne, co bazyleus zrobił. Własnym ciałem zapłaciłam za pożądanie, które w nim wzbudziłam, ale nie pragnę zemsty. Błagam Waszą Królewską Mość o to, żeby nie naraził na szwank stosunków z tym człowiekiem, aby nasze przedsięwzięcie mogło się udać. Moja skromna osoba należy do Pana. On wybrał

nas i oświecił, wskazując, że nasz gospodarz jest zdrajcą, a jego nauki nas chronią i nie dają pobłądzić.

- I to ty, pani, mówisz o Bogu w ten sposób?

Ludwik przyglądał mi się dziwnie, jakby zawsze wiedział, kim jestem.

Wytrzymałam jego wzrok. W owej chwili emanowało od mego coś innego.

Zapewne cierpienie, jakie teraz odczuwałam, pomogło mi zrozumieć jego ból - stały i nieuchwytny, poczucie, że tron Francji nie jest dlań właściwym miejscem.

- Nieważne, jaką opinię ma o mnie Wasza Królewska Mość. Jestem tylko sługą.

Jednak zło, jakie zostało wyrządzone mnie osobiście, nie powinno rozciągać się na wszystkich.

- Nie jesteś, pani, odpowiedzialna za odrażające uczynki tego człowieka. Od pierwszego dnia wystrzegam się go. Nie lękaj się. Wyruszymy pojutrze. Dziś rano widziałem się z bazyleusem i opowiedziałem mu o potyczce, jaka miała miejsce ostatniej nocy. Użyłem argumentu, że rycerze nie mogą już wytrzymać oczekiwania i gnuśności, usprawiedliwiając w ten sposób obecność moją i królowej, nieodzowną do uspokojenia wzburzonych umysłów. Na razie odpocznij sobie. W stosownej chwili ten pies mi za to zapłaci, możesz być pewna.

- Oby Bóg wysłuchał Waszej Królewskiej Mości!

I tak się stało. Nie zobaczyłam już Manuela Komnena, a w dwa dni później, czyli 30

października 1147 roku, długa karawana zaokrętowała się na dwie płaskodenne barki. W przeddzień odjazdu Komnen oznajmił, iż dostał wiadomość od Konrada.

Donosił, że odniósł imponujące zwycięstwo nad Turkami w Anatolii. Wróg stracił

ponad piętnaście tysięcy ludzi. Ludwik udawał zachwyconego, lecz nie uwierzył ani jednemu słowu Komnena.

Gdy przybijaliśmy do brzegu po drugiej stronie zatoki Złoty Róg, zauważyłam słup czarnego dymu, który unosił się prosto ku jasnemu niebu. Uchodził z naszego obozowiska. Jaufre i ja spojrzeliśmy po sobie; widziałam, że jest przerażony. Płonął

ustawiony przez nas drewniany krzyż. Odrażający odór, który się stamtąd dobywał, świadczył o tym, że palono ludzkie ciało. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że było to ciało Denysa, wykopane z grobu na urągowisko z wiary chrześcijańskiej. Był to akt pomsty, podstępny i okrutny. Ból rozdarł mi serce. W śmiertelnej ciszy wpatrywaliśmy się w kłębiący się dym. Manuel Komnen wskazał nam drogę - była to droga krwi.

W drodze powrotnej spotkaliśmy Konrada, który ciągnął z resztką swoich ludzi.

Niemcy zostali porzuceni przez bizantyńskich przewodników, gdy tylko znaleźli się na bezdrożach Anatolii. Przez trzy tygodnie odpierali ataki Turków. Odstąpili, gdy zabrakło im żywności. Zapewniano ich bowiem, że będą potrzebowali zapasów tylko na osiem dni, a potem dotrą do portu. Zdołali wprawdzie zebrać trochę pożywienia w odległych wioskach, ale było tego za mało, by mogli zaspokoić głód i pragnienie. Konrad wraz ze swym wyczerpanym i wygłodniałym wojskiem przygotowywał się do przerwania krucjaty. O rzekomym zwycięstwie nie mogło być mowy. Zdobyliśmy ostateczny dowód na to, że Komnen spiskował z Turkami.

Ludwik pośpiesznie zwołał radę. Podsunęłam Alienor myśl, by wzięła w niej udział

i zaproponowała trasę nieco dłuższą, lecz bezpieczniejszą - przez Pergamon do Efezu, Leodycei i portu Attalia. W ten sposób można by uniknąć pustynnych wawozów, w których armia Konrada poniosła klęskę. Była to decyzja roztropna, tym bardziej iż ze względu na to, jak dużo mieliśmy bagaży, nie należało zanadto rozciągać wojsk. Mieliśmy podążać teraz w ciasno zwartych szeregach, co daje możliwość skutecznego opierania się wrogowi. Ludwik był zdziwiony strategią



zapropionowaną przez żonę, ale po chwili, osądziwszy, iż jest rozsądna, poparł ją, a wraz z nim reszta rady. Tak też uczyniono. Odpowiadało to moim zamysłom, gdyż Ludwik - nie zdając sobie z tego sprawy - podpisał w ten sposób wyrok śmierci na siebie.

Hrabia de Maurienne i Gotfryd z Rancon przewodzili naszej grupie, w której znalazła się królowa wraz ze mną, parę dam dworu, jak również trubadurzy.

Zgodnie z moimi przewidywaniami zmierzaliśmy ku wąwozom Pizydii, w pobliżu góry Kadmos. Dotarliśmy na miejsce w święto Trzech Króli 1148 roku. Ludwik osłaniał tyły, wydano rozkaz, by żołnierze zdwoili czujność. Mieliśmy właśnie przejść wąskimi przesmykami, gdzie w każdej chwili mogli nas zaatakować Turcy.

Jeśli Manuel dotrzyma umowy, nazajutrz Ludwika już nie będzie wśród żywych.

Gotfryd z Rancon jechał obok mnie. Od śmierci Denysa był stale w pobliżu. Nie wiedziałam, co takiego mój przyjaciel powiedział mu przed śmiercią, ale najwyraźniej chciał mnie ochraniać. Nie było dnia, w którym nie przyszedłby dowiedzieć się o mnie. Wiedziałaam, że mogę na niego liczyć. Skorzystałam z okazji, by podpowie-

dzieć mu, że nie powinniśmy za długo przebywać w tych wąwozach. Możemy się przez nie precisnąć wraz z królową, zanim noc nas tu zastanie. Turcy me zwietrzą podstęp. Nie są przygotowani na to, że ruszymy tak szybko. Trzeba Alienor umieścić w bezpiecznym miejscu.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i szepnął tak, abym tylko ja mogła go usłyszeć:

- Ajak myślisz, dlaczego chciałem objąć dowodzenie, gdy dowiedziałem się o nowej trasie?

Spojrzałam nań zdziwiona. Dodał:

- Denys by nie chciał, abyś uchybiła swoim obowiązkom. Akwi-tanii wystarczy sama królowa.

To rzekłszy, spiął konia i rzucił rozkazy. W niecałą godzinę później nasza grupa galopowała przez wąwozy w takim tempie, że konie o mało nie połamały nóg.

Oddaliliśmy się szybko, pozostawiając za sobą znaczną część armii królewskiej.

Spostrzegłszy to, Ludwik spur-purowiał z wściekłości, gdyż zamierzał przejść przez wąwóz dopiero nazajutrz. Zdezorientowany naszą inicjatywą, doszedł do wniosku, że trzeba podążać za nami, i także ruszył naprzód. Wkrótce został otoczony oddziałami tureckimi i zasypany gradem strzał, nie zdoławszy nawet sformować bitewnego szyku. Panie krzyczały z przerażenia, a ja nerwowo zerkałam za siebie.

My zdążyliśmy ująć cało. W grupie otoczonych znajdowała się Beatrice, która od dwóch dni niedomagała i dlatego jechała w wozie. Ludwik z pewnością przybędzie jej na odsiecz, a wtedy...

Drogo okupiłam jej śmierć i własną zdradę. Będę wolna.

- Musimy zawrócić! Coś się stało! Czuję to!

Alienor zbuntowała się przeciwko przywódcom. Na niebie wstawała zorza. Sępy krążyły nad wąwozami, które już opuściliśmy. Pokrzykiwały ostro, kołując niecierpliwie po zapłonym niebie. Byliśmy sami, odizolowani od reszty armii.

Gotfryd z Rancon kazał zawrócić. Spieszno mi było na własne oczy ujrzeć martwego króla.

Widok, który przedstawił się naszym oczom, przyprawił nas o mdłości. Dokoła leżały wozy z połamanymi kołami, rozdartymi budami. Mężczyźni, którzy zdołali uniknąć ran, udzielali pomocy współtowarzyszom i próbowali chronić umierających i zmarłych

przed ścierwnikami. Odpędzone, rzucały się na ciała Turków, których nikt nie osłaniał. W tej samej chwili zobaczyłam króla - siedł w naszym kierunku. Krew zastygła mi w żyłach. Ludwik był blady, ranny, ale żył!

Alienor zeskoczyła z konia i podbiegła ku niemu. Odepchnął ją płazem miecza.

Dokoła niego zgromadzili się ludzie z bronią w ręku. Alienor cofnęła się.

- Co to ma znaczyć, Ludwiku?

- Czy przybyłaś tu, żeby stwierdzić mój zgon? Możesz więc skonstatować, że żyję.

- Ludwiku! - wybełkotała zdezorientowana i przerażona królowa. Gotfryd z Rancon wysunął się naprzód, a wtedy od razu otoczyli

go czterej nienawistni seniorzy. Przystawili mu ostrza mieczy do gardła i okrzyczeli zdrajcą.

- Dość, dość, na miłość boską! - zawołała Alienor ze łzami w oczach. - Co się stało, Ludwiku, że popadliśmy w niełaskę? Czekaliśmy na ciebie, o niczym nie wiedząc.

Byliśmy w pół żywi z niepokoju. Widzę, że dzięki Bogu wszechmogącemu jesteś cały i zdrowy, ale chcesz znieważyć swoich braci! Czy opanował cię demon szaleństwa? Nie mogę w to uwierzyć!

- Zdasz nam sprawę przed Bogiem! - wrzasnął Benoit de Mont-bassion, a wtedy zbliżył się Robert z Dreux z grymasem okrucieństwa na twarzy.

- Spójrzcie, skazaliście ich na śmierć.

Wskazał oskarżycielskim gestem ciała, które przenoszono właśnie na wozy. Alienor zasłoniła dłonią usta. Rozpoznała Klotyldę z Ma-reuil, swoją najmłodszą dworkę.

Zaczęła drżeć na całym ciele, wreszcie, pokonana tym straszliwym widokiem, osunęła się na ziemię zemdlona.

- Przynieście sole trzeźwiące! - rozkazał Ludwik.

Byłam zdezorientowana. Ludwik żył! Jak mogło do tego dojść? Czyż moje starania poszły na marne? I wtedy usłyszałam dobrze mi znany cienki głosik:

- Na pomoc! Jakiś człowiek został przygnieciony wozem, trzeba go wydostać!

Ukazała się Béatrice, rozczochrana, w kaftanie poplamionym krwią. Ledwie raczyła na nas spojrzeć. Do wozu podbiegli żołnierze i zaczęli wydobywać mężczyznę przygniecionego kołem.

Ludwik rozkazał uwolnić Gotfryda z Rancon. Uciszył też kilku seniorów, między innymi swego brata, którzy domagali się, by Gotfryda ścięto natychmiast za zdradę.

Uważał, że trzeba wyjść z pułapki, gdyż Turcy mogą podjąć jeszcze jedną próbę unicestwienia ich.

- Nadejdzie godzina porachunków! - oświadczył.

Alienor wracała pomału do siebie. Wciąż płakała. Ludwik spojrział na mnie - nie mogłam poznać, czy był w nim wyrzut, czy skrucha. Zmienił się, ale nie umiałabym powiedzieć, dlaczego odniosłam takie wrażenie. Dopiero gdy w trzy godziny później dotarliśmy do naszego nocnego obozowiska, dowiedziałam się wszystkiego.

Ludwik wydawał teraz rozkazy tonem stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu.

Rannych opatrzyły damy, które odzyskały już odwagę, i wreszcie wszyscy zasiedliśmy dokoła ogniska, by napić się czegoś ciepłego i dojść do siebie.

Człowiekiem, którego Beatrice kazała wydobyć spod wozu, okazał się Panperd'hu.

Miał zranioną nogę i zawdzięczał życie tylko temu, że nakryła go płócienna buda okrywająca wóz. Opowiedział nam całe zdarzenie, gdy mościliśmy mu wygodne miejsce do siedzenia:

- Król kazał nam przyspieszyć, aby was dogonić. Pani Beatrice, która jechała w wozie znajdującym się bezpośrednio za moim wozem, krzyczała na cały głos, że jej się śmierć nie ima. Uniosła miecz i skoczyła z wozu na Turka, który właśnie się do niej zbliżał. Mimo że był silny, zdołała mu zadać cios w kark, siedząc mu na ramionach. Krzyczała wciąż, zeskoczywszy na ziemię, by zwołać na pomoc wszystkie damy. Niektóre rzeczywiście zdołały się obronić, inne dały się zmasakrować, sparaliżowane strachem. Jedną z nich nawet porwano na koniu, nie wiem którą, gdyż w tej właśnie chwili przewrócił się wóz. Próbowałem sam się wydostać, ale zrezygnowałem. Przez szparę w budzie obserwowałem pole bitwy. Ku mojemu największemu zdumieniu spostrzegłem, że król bierze udział w walce. Posługiwał

się mieczem sprawnie, wcale nie jak mnich. Był nie do odróżnienia od swoich żołnierzy, gdyż zerwał dystynkcje. Miał tylko kolczugę, miecz i tarczę. Turcy też go nie rozpoznali. Przez chwilę walczył obok pani de Campan. Wokół nich lśniło jakby nadprzyrodzone światło. Ich miecze przecinały ze świstem powietrze tak, że zmusili wroga do odwrotu. Pani Beatrice odłączyła się od króla, by wspomóc którąś z dam.

Wtedy król został odcięty od swoich ludzi. Otoczyło go ośmiu Turków. Napierali na niego, on cofał

się, aż natrafił na skałę. Gdybyś go

mogła wtedy zobaczyć, moja królowo, nie powiedziałabyś, że to ten sam człowiek.

Złapał się gałęzi drzew zwieszających się nad nim i rozhuśtawszy się na nich, skoczył jak wyrzucony katapultą na szczyt skały. Następnie, oparty o kamienny stok, stawiał czoło napastnikom, których było coraz więcej, gdyż przyciągało ich owo nadprzyrodzone światło. Król ścinał głowy, odrąbywał ręce, przebijał torsy, instynktownie unikając skierowanych weń ciosów. A potem, nagle, błękitny promień z nieba trafił w jego miecz. W szeregach wroga zapanowała panika.

Oszołomieni, umykali jak zwierzyna leśna. Nasi ludzie zaś, jakby pchani ręką Boga, popędzili za nimi aż na wzgórze. Bez bożej pomocy, Wasza Królewska Mość, już by nas nie było. Nasz dobry król może być dumny z tego, że został obdarzony łaską bożą.

Musiałam odejść na bok i przez chwilę pobyc sama. Myślałam, że Panperd'hu był w naszej grupie, jadącej przodem. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby z mojej winy coś mu się stało. Zostawiłam Jaufrego i Alienor w jego towarzystwie. Królowa sprawiała wrażenie całkowicie bezradnej. Chwilę wcześniej wyznała mi, że nie rozumie, co się stało i co Ludwik jej zarzuca. Całkowicie ufała Gotfrydowi z Rancon, a wuj króla, hrabia de Maurienne, który podążał za nami, był także niewinny i nie zasłużył na wysuwane przeciwko niemu oskarżenia. Udałam, że sama tego wszystkiego nie rozumiem.

Oddaliłam się od grupy i ukryłam w zagłębieniu skały. Widok był rozpaczliwy.

Armia poniosła ciężkie straty, mniejsze niż wojsko Konrada, ale jednak znaczne.

Łzy napłynęły mi do oczu. Nagle poczułam śmiertelne znużenie. Nie wiedziałam, co robić. Panperd'hu utrzymywał, że to Bóg uratował króla. Gdzie więc jest prawda -

moja i mojego rodu? Przyszłam na świat, by służyć Anglii, wierzyłam w słusność mego posłannictwa, a dziś chrześcijaństwo odniosło triumf. Nie wiedziałam już nic.

Denys umarł na próżno. Na próżno zostałam zgwałcona. Czułam się zagubiona.

- Nikt nie ma prawa odbierać życia. A czy ty nie tego właśnie chciałaś?

Łagodny i spokojny głos kazał mi unieść głowę. Przede mną ciepłe światło obrysowywało jakiś niewyraźny, nieznany mi kształt.

- Kim jesteś? - zapytałam nieśmiało, spodziewając się, że to jakiś zagniewany antenat.

- To nieistotne, Loanno de Grimwald, Przychodzę, by przynieść ci spokój. Masz klucz do starożytnych nauk, szukaj w nich odpowiedzi, lecz nigdy nie podążaj drogą nienawiści i śmierci. To droga dla złych ludzi. Jeśli nie odstępisz od tego, spadnie na ciebie kara.

- Czy jesteś Bogiem chrześcijan? - zapytałam wstrząśnięta.

- Jestem siłą, którą twoi ojcowie stworzyli mocą swej wiedzy i miłości do ludzi. Mój głos jest tylko ich głosem, gdyż na początku wszystkiego było słowo.

- Ale Kościół... - wyjąkałam. - Czy nie zdradził on tej miłości?

- Ludzie są szaleńcami i giną na skutek swoich czynów. Ty jesteś inna, gdyż posiadałaś wiedzę twego rodu. Nie sprzeniewierzaj się jej.

- Nie wiem już, kim jestem.

- Wróć do źródeł, a odnajdziesz wiarę.

- Jaką wiarę? W Boga chrześcijan czy druidów? Nie mówiąc już o Allachu mścicielu, którego imieniem szermują Turcy!

- Znajdziesz wiarę twego serca, która ufa człowiekowi i nie posługuje się Bogiem dla uzasadnienia swoich słabości. Wszechświat jest stworzony z siły i energii. Jesteś drobiną we wszechświecie. Jakikolwiek imię jej nadasz, jej energia służy człowiekowi, dopóki nie wykorzysta jej do zniszczenia siebie i swych współpracowników.

- A Ludwik?

- Ludwik odwołał się do tej siły i to on sam ją wytworzył, aby nie dopuścić do śmierci swej ukochanej. Nie doceniasz siły miłości. Nie zagub siebie, Loanno de Grimwald, w przeciwnym razie zginie pamięć tej ziemi.

Światło powoli gasło, a ja pozostałam sama ze swymi wątpliwościami.

- Szukałem cię. Byłem niespokojny.

Jaufre usiadł przy mnie i ujął moją rękę. Promieniejące od niego ciepło było dla mnie błogosławieństwem.

- Co to było za światło? Nie mogłem cię znaleźć i nagle zobaczyłem miejsce, z którego były jeszcze promienie. Wiedziałem, że jesteś tutaj. To było tak, jakby mnie ktoś prowadził.

- Kocham cię - odpowiedziałam po prostu, pamiętając ostatnie słowa zjawy.

- To zbyt krótkie wyjaśnienie - zażartował Jaufre - ale zadowolę się nim.

- Poblądziłam, unurzałam się w ohydzie tego świata. Matki już nie ma. Pani Matylda chce przybić do portu, któremu na imię Anglia, nie w imię tradycji i dla dobra swego ludu, ale dla zaspokojenia ambicji. Nie powinnam była przystać na to, by śmierć Ludwika była ceną, jaką należy za to zapłacić. Zabrakło mi jasnego osądu. Zdradziłam swoich bliskich. I straciłam Denysa.

- Ale ja jestem tutaj...

Jaufre spoglądał na mnie z miłością i czułością. Uśmiechnęłam się doń:

- Jesteś tu? Mój ukochany, czy wiesz, jak ciężkie jest brzemie mej odpowiedzialności? Nie będę wolna, dopóki nie wypełnię mego przeznaczenia.

Alienor jest wciąż żoną króla Francji, a przecież Anglia czeka na dziedzica, którego ona ma jej dać.

- Myślisz, że naprawdę powinnaś do tego dążyć?

- Dziecko będzie miało na imię Ryszard i ożywi w sercach nadzieję, jakiej brakuje jego ludowi. Wiem o tym od zawsze. Ale bez mojego udziału to nie nastąpi.

- Wobec tego zaufajmy tej wierze, która cię prowadzi.

- Jaka będzie tego cena? - spytałam łagodnie.

- Już ją zapłaciłaś - zapewnił mnie Jaufre, wyciskając na mych ustach pocałunek.

Jednak ja nie mogłam w to uwierzyć.

Przez pięć dni przebywaliśmy na wyżynie, z której można by dostrzec zbliżający się atak, ale Turcy się nie pokazali. Pochowaliśmy zabitych i opatrzyliśmy rannych.

Byliśmy gotowi do dalszej drogi.

Gotfryd z Rancon wziął na siebie odpowiedzialność za inicjatywę, która omal nie spowodowała utraty armii chrześcijańskiej, tłumacząc mniej lub bardziej przekonująco, że się pomylił. Sądził, że według rozkazu mieliśmy wyjść z wąwozu przed świtem. Król nie zgodził się, aby Gotfryda osądzono. Potrzeba mu było ludzi czynu, a skazanie Gotfryda wywołałoby niechybnie bunt Akwitańczyków, których wielu było w armii. Byłby to błąd taktyczny, na który nie mógł sobie pozwolić.

Jednakże zachował urazę do Alienor i jej poddanych, gdyż z powodu ich niefortunnej inicjatywy o mało nie zginął. Północ i po-

łudnie znowu stały się sobie wrogie. Ludwik ignorował Alienor i przez te dni, kiedy naprawialiśmy szkody, spotykali się jedynie przypadkiem. Natomiast Beatrice de Campan, milcząc, chodziła za nim krok w krok. Sprawiała wrażenie odmienionej.

Może mój dziwny protoplasta miał rację, że nie wolno nie doceniać siły miłości.

Tylko ona powinna być motorem działania. Ludwika i Alienor łączyło poczucie obowiązku, a to za mało. Odzyskałam dobry nastrój. Nic jeszcze nie było stracone.

Zaczęliśmy długą podróż. Siódmego marca 1148 roku dotarliśmy do Attalii, skąd Ludwik postanowił dostać się do Antiochii drogą morską. Ciężki tabor nie zdołałby dotrzeć tam lądem. Niechętnie wysłał posłańców do Konstantynopola, aby zdobyć statki. Komnen mu je obiecał, ale i tym razem

zawiódł, dostarczył bowiem tylko po-

łowę umówionych i opłaconych jednostek. Tłumaczył, że pozostałe przyplyną niebawem, więc musieliśmy się zdać na tego oszusta i wojsko podzieliło się na dwie grupy. Król, Alienor i większa część armii popłynęli statkiem. Pozostali - leżący i słabi - woleli poczekać. Sybilla z Flandrii została przy swoim rannym małżonku.

Ja zaś - wraz z Jaufrem, Gotfrydem z Rancon, Beatrice de Campan, jak również pięciuset innymi uczestnikami krucjaty, w tym z trubadurami tak niezbędnymi Alienor - należałam do pierwszej grupy.

Na widok naszych towarzyszek, machających do nas serdecznie z brzegu, ogarnęło mnie przeczucie, że już ich nigdy nie zobaczymy. Ale czy mieliśmy wybór? Minęło pięć miesięcy od wyjazdu z pałacu bazyleusa. Nie mogliśmy dłużej zwlekać.

Usadowiłam się obok Alienor i oderwałam oczy od wybrzeża. Płynęliśmy ku Syrii.

Wiedziałam, że królowa myśli tylko o swym wuju Rajmundzie, który czekał na nią w Antiochii.

Antiochia to jeden wielki rajski ogród. Rajmund de Poitiers wniósł tutaj przepych i ciepło charakterystyczne dla ludzi z południa Francji. Alienor poczuła się tu od razu jak w domu. Ich spotkanie było takie, jak sobie wymarzyła. Rajmund zmężniał.

Znałam go tylko z opowiadań Alienor, ale od razu wiedziałam, co ją w nim tak pociągało. Jego małżonka Konstancja, która wówczas posłużyła mu za pretekst do ucieczki, była rzeczywiście śliczna, nawet Aliénor musiała to przyznać, subtelna i inteligentna. Zapewne nie było mu trudno się do niej przywiązać.

Ajednak wystarczył jeden rzut oka na Rajmunda, żeby się domyślić, iż drży na widok królowej. Nie, nie zapomniał namiętności, jaką tętniło serce Aliénor. Co się zaś tyczy mojej przyjaciółki... Znałam doskonale ten doleczonek w jej policzku i błysk w oczach.

Podczas gdy siedzieliśmy przy stole, dyskutując o polityce, Aliénor zastanawiała się, kiedy Rajmund zapomni o swojej żonie. Czowała się tak, jak gdyby wszystkie te lata znikły pod naporem wspomnień. Pamiętała, jak śledziła Rajmunda w korytarzach pałacu de Pombrière, i czyniła wszystko, by ją pokochał. Gra zaczynała się teraz od nowa, Aliénor bowiem czuła, że płonie on tą samą namiętnością co dawniej.

Bernard de Ventadour był dobrym kochankiem, ale bez polotu. Kochała go, owszem, ale żaden mężczyzna nie pociągał jej tak jak Rajmund. Wiedziałam, że Aliénor nie wyjedzie z Antiochii, dopóki nie zaspokoi swej żądz.

Nie ja jedna to dostrzegałam. Wiedziałam, że Béatrice jest bardzo bystra i spostrzegawcza. Ludwik kazał posadzić ją blisko siebie i zwracał się do mej równie często jak do królowej, jednakże Béatrice okazywał więcej ciepła. Gdyby więc ktoś nie poznał królowej po lśniącym diademie, mógłby się pomylić, która z nich jest jego żoną.

Podczas tego wieczoru w mojej głowie zrodził się pewien plan. Wciąż słyszałam ten głos, który szeptał mi do ucha: „Nie wolno ci nie doceniać potęgi miłości”. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym lepiej rozumiałam sens tego zdania. Ludwik nie kochał już Aliénor. Od potyczki w wąwozie, w której omal nie postradał życia, najwyraźniej jej nienawidził. Nie należało ignorować uczucia, jakim obdarzał

Béatrice, lecz instynkt podpowiadał mi, że na razie łączyła ich tylko miłość duchowa.

Uparcie wierzyłam w to, iż nie domyślała się, jaką rolę odgrywałam u boku Aliénor.

Oczywiście nienawidziła mnie, podobnie jak Stefan z Blois, który wiedział o druidyjskim pochodzeniu mojej matki. Nie miała jednak żadnego dowodu na to, że znałam magiczne praktyki i że posługiwałam się nimi. Oboje chcieli mojej zguby; ona - ponieważ odebrałam jej miejsce przy królowej, on - gdyż byłam zausznicką Matyldy. Łączył ich wprawdzie wspólny interes, ale istniał



też czynnik, który ich dzielił, a mianowicie miłość Béatrice do Ludwika.

Kochała go szczerze. Zapewne było to jedyne uczucie, do jakiego ta istota była zdolna. Ludwik jednak nie dopuszczał jej do siebie. Przede wszystkim dlatego, iż szanował sakrament małżeński, a ponadto pociąg do Béatrice uważał za słabość, którą trzeba przezwyciężyć.

Wystarczyło więc doprowadzić do połączenia Aliénor z Rajmundem i dostarczyć Ludwikowi ostatecznych argumentów, by nie odmawiał już Béatrice. Zadowolona, zacierałam ręce. Moja rywalka posłuży mi jako pionek w rozgrywkach mających doprowadzić mnie do upragnionego celu. Co za ironia losu! Na skutek przyrodzonej ciasnoty umysłu Stefan z Blois nie wyobrażał sobie nawet, że Ludwik i Aliénor mogliby się rozstać i że Henryk w ukryciu czekał, aż wybije jego godzina. Jakąż wspaniałą zemstą było złapanie wroga w pułapkę jego własnych słabości!

Tej nocy z lekkim sercem zasypiałam w ramionach Jaufrégo. I po raz pierwszy od swojej śmierci Denys nie przyśnił mi się wyjący z bólu w oceanie płomieni, lecz czule i kpiąco uśmiechnięty, przyciskający do serca Marjolaine.

Aliénor roześmiała się dźwięcznie i odrzucając z czoła złocisty kosmyk, niewinnie zapytała, kto ma ochotę na konną przejażdżkę. Wierzchowce bowiem zbyt długo stoją w gorącym czerwcowym słońcu, leniwie opędzając się od much i os. Z grupy uczującej na brzegu rzeki poderwał się tylko Rajmund. Damy obawiały się silnego słońca i wołały siedzieć pod parasolkami. Rozkoszowały się ponadto słodkim nieróbstwem i nie miały ochoty na męczącą jazdę w siodle. Rycerze zaś zabawiali się grą w kości, wystawiając nagie torsy do słońca.

Rajmund zapewniał, że w jego prowincji można spokojnie odpocząć. Od miesięcy ani jeden Turek nie zbliżył się do jej granic. Można by sądzić, że wszyscy Turcy zniknęli z powierzchni ziemi. Na te słowa Ludwik wybuchnął nerwowym śmiechem. Czyż to nie Rajmund zawiadamiał krzyżowców, że powinni jak najszybciej wyruszyć, gdyż obawia się o swoje miasto, wystawione na niebezpieczeństwo tureckie? Ludwik zaczynał się domyślać, że były to tylko bajeczki, mające na celu zwabienie go do Antiochii, a w jakim celu -tego nietrudno było zgadnąć.

Wiedział, że od trzech dni Rajmund

i Alienor nie rozstają się ani na chwilę. Zrazu myślał, że to zwykła radość z powtórnego spotkania. Jednak mimo woli zauważył muśnięcia, uchwycił ruch ręki podnoszącej kosmyk włosów, spojrzenie, które się zatrzymało na ustach czy piersi.

Byłoby mu to zapewne obojętne, gdyby nie słyszał uszczypliwych uwag za plecami.

Ci z północy nie lubili Antiochii, czuli się więźniami południowców, którzy już raz ich zdradzili. Co można pomyśleć o królowej, która tak się afiszuje z Rajmundem?

Czy nie mogła wystawić ich po raz drugi na zgubę? Ludwik miał się na baczności. A jednak nie drgnął nawet, gdy Alienor i Rajmund dosiedli koni i oddalili się tylko we dwoje. Zresztą w tej samej chwili na jego ramieniu - niczym obietnica -spoczęła delikatna ręka Beatrice. Nie był w stanie się oprzeć tej słodkiej niewoli. Zadrzał

jednak z gniewu, gdy usłyszał ich śmiech, przyniesiony przez wiatr.

- Kochasz ją?

Alienor zadała pytanie, które nękało ją od przyjazdu. Szli bosy po plaży, prowadząc za uzdę wierzchowce.

- To wspaniała kobieta - odparł Rajmund.

Wiedział, do czego zmierza siostrzenica. Zawsze wiedział, czego odeń oczekuje.

- Nie o to pytam.

- Czy to naprawdę takie ważne? Nie to chcesz przecież wiedzieć. Alienor odetchnęła głęboko. Jak dobrze ją znał!

- No więc powiedz mi - nalegała łagodnie, powtarzając słowa jak modlitwę.

Rajmund zwolnił kroku, by puścić ją przodem. Chciał mieć przed oczami jej delikatną, mimo przebytej ciąży, sylwetkę. Alienor odwróciła się w jego stronę.

Słońce raziło ją w oczy, tak że musiała przysłonić je dłonią. Rajmund potrząsnął

głową i przygryzł wargę, a potem zdecydowanym ruchem wypuścił z ręki uzdę swojego konia. Dwoma susami dogonił ją i objął w talii. Alienor poróżwiała z zadowolenia. Spoglądali na siebie przez chwilę, ona zaś - zupełnie nie spieszona -

objęła ramionami jego mocną szyję. Rajmund przyciągnął ją gwałtownie do siebie i wpił się w jej usta.

- Tak - powiedział po prostu, odsuwając ją. Alienor zaśmiała się lekko.

- Co „tak”?

- Tak, kocham cię wciąż, moja dzikusko, i żadna kobieta nie dorasta ci do pięt.

- Nawet Konstancja?

Wziął ją delikatnie na ręce i niósł przez chwilę, jakby była z porcelany.

- Nawet Konstancja...

- A przecież jeszcze nic nie widziałeś - dodała, gdy układał ją na łożu z piasku za załomem skały.

- Jaka jesteś zarozumiała! - westchnął.

I już gubił się w sznurówkach jej gorsetu, rozgarniał fałdy spódnicy, by odsłonić rozchylone nogi. Alienor ścisnęła wyćwiczonymi konną jazdą mięśniami ud jego potężne dłonie. Rajmund lekko się

uniósł, ponownie splotły się ich spojrzenia, po czym wybuchnął śmiechem i napierając ciałem, zmusił ją do rozluźnienia uścisku.

Dopiero wtedy uległa mu całkowicie, znów stając się małą dziewczynką, która jeszcze nie została królową.

Ludwik zmierzył ją ironicznym wzrokiem i rzekł ostro:

- Świeże morskie powietrze dobrze ci zrobiło, królowo, masz taką zaróżowioną cerę!

- I piasek we włosach - pospiesznie dorzuciła podstępna Béatrice, dostosowując się do tonu króla. - To zapewne przez ten wiatr, który rozplata najtrwalsze fryzury.

- Szkoda, że z nami nie pojechałaś, droga Béatrice. Tobie również by to dobrze zrobiło - rzuciła królowa, udając, że nie czuje ognia palającego na jej policzkach i w całym ciele.

- Bóg mnie ustrzegł, Wasza Królewska Mość - rzekła Beatrice, schylając głowę w ukłonie. - Za nic na świecie nie chciałabym zniszczyć uczesania, które - jak zauważył nasz dobry król - tak pięknie podkreśla linię karku.

Ludwik przybladł. O co chodzi jego wybrance? Obiecał sobie, że udzieli reprimendy Béatrice za ton wyzwania, jaki dosłyszał w jej głosie. Wytrąciła mu broń z ręki. Nie może zarzucać królowej niewierności, skoro Béatrice daje do zrozumienia, że istnieje jakaś więź między nią a królem. Do końca dnia nie powiedział ani słowa i trzymał się z daleka od obu dam.

Nazajutrz dotarła do nas dramatyczna wieść. Zginęło stu naszych towarzyszy pozostawionych w Attalii. Komnen dotrzymał słowa - nasi ludzie wsiedli na statek, by połączyć się z nami. Niestety, w drodze rozpętała się burza i prawdopodobnie statek zatonął. Rajmund z Antiochii zamówił mszę w katedrze świętego Piotra za ich dusze, a wielu z nas udało się na grób biskupa Adhemara du Puy, który stał na czele pierwszych krzyżowców. Nad armią królewską rozciągnęła się zasłona smutku.

Każdy z nas stracił kogoś bliskiego. Ja nie mogłam zapomnieć roześmianej twarzy Sybilli z Flandrii. Miałam dziwne wrażenie, że ona żyje. Zapewne dlatego, że wciąż rozbrzmiewały mi w uszach jej okrzyki podczas lekcji fechtunku.

Ta wiadomość odebrała nam humor i przepoiła goryczą.

- Co ci jest, Loanno?

Usiadłam na łożu, budząc Jauffego, który spał obok mnie. Szmer musiał się powtarzać, skoro przerwał mój sen. Pod drzwiami słychać było jakieś skrzypienie.

Wstałam sprawdzić, co to takiego. Narzuciłam coś na siebie i otworzyłam drzwi. Na korytarzu było ciemno. Zgaszono już wszystkie pochodnie, z wyjątkiem jednej, która dawała migotliwe światło, nierozpraszaające jednak ciemności. W tej samej chwili coś złapało mnie za kostki nóg, wyrywając okrzyk zaskoczenia z mej piersi.

Uścisk trwał zaledwie kilka sekund, a gdy zjawił się przy mnie obudzony Jaufre, zobaczyłam, że na progu mego pokoju leży jakiś nieszczęśnik.

- Pomóż mi - rozkazałam półgłosem.

Oboje zaciągnęliśmy zwaliste ciało do pokoju. Jaufre pospiesznie zapalił kaganki, a wtedy rozpoznałam twarz jęczącego z bólu człowieka. Lodowaty dreszcz przebiegł

mi po plecach.

Był to Aldeberd de Montreuil, jeden z zauszników Stefana z Blois! Cóż, u diabła, miał do roboty w tym skrzydle pałacu? Tuż pod moimi drzwiami? Miał paskudną ranę w boku. Nic mu już nie mogło pomóc. Nie był nawet na tyle przytomny, by opowiedzieć, co mu się przytrafiło. Wydał ostatni jęk w moich ramionach.

- Nie żyje - powiedziałam.

Nie rozumiałam, co mogło się wydarzyć. Antiochia wydawała się bezpiecznym miejscem. A jeśli nawet ten człowiek chciał mi wyrzą-

dzić krzywdę, kto mógłby wpaść na ten paskudny pomysł, by zranić go pod moimi drzwiami?

- Trzeba wezwać straż - powiedział Jaufre.

Z korytarza dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Ktoś nadchodził. W tej samej chwili przyszła mi do głowy myśl, w którą jeszcze nie mogłam uwierzyć. Kroki się zatrzymały. Za późno - pomyślałam, dostrzegając krew, która splamiła moją tunikę.

Ktoś zabębnił z całej siły w moje drzwi. Rozległ się donośny okrzyk:

- Na świętego Dionizego, otwierać w imieniu króla! Spojrzeliśmy po sobie.

- Uciekaj! - szepnęłam.

Jaufre nie od razu ruszył się z miejsca. Powtórzyłam więc niemal bezgłośnie:

- To zasadzka, uciekaj!

Ponownie rozległo się walenie w drzwi i krzyki:

- Otwieraj, panno de Grimwald, bo jak nie, to - na świętego Dionizego - wyważymy drzwi!

Jaufre spojrzał na mnie niespokojnie, ale ufając memu instynktowi, niechętnie zebrał swoje ubranie i otworzył okno. Białe promienie księżyca oświetliły wnętrze pokoju. Znajdowaliśmy się na drugim piętrze, nad samą fosą. Usłyszałam plusk.

Jaufré był dobrym pływakiem. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i w progu ukazał się Robert z

Dreux z mieczem we wzniesionej dłoni.

Powiedziałam spokojnie:

- Proszę, opuść ten miecz, przyjacielu. Przybywasz za późno! Pozwolono mi się przebrać za parawanem, aby widok krwi nie

wstrząsnął wrażliwymi osobami. Umyłam ręce, obficie polewając je wodą. Było tuż przed świtem. Westchnęłam ciężko ze znużenia.

Dałam się złapać w pułapkę, to było oczywiste. Ale kto ją zastawił i w jakim celu?

Stefan z Blois? Powątpiewałam w to. To było zbyt grubiańskie i nie w jego stylu.

Wystarczyłoby z grupą uzbrojonych ludzi zaskoczyć mnie podczas snu, ciało wrzucić do fosy i sprawa załatwiona. Nie, to wygląda na dokładnie zaplanowane zdarzenie, i to z jakiegoś powodu.

Stałam przed bratem królewskim z poważną miną, lecz bez poczucia winy. Jeśli należał do spisku, nie wysłucha moich wyjaśnień. Milczałam więc.

Zabrano ciało nieszczęśnika i tylko wielka plama z krwi świadczyła o tym, że zdarzyło się to naprawdę.

Otoczona seniorami Francji, zostałam doprowadzona do pokoju bez okna, gdzie zamknięto mnie na podwójny zamek. Byłam pewna dalszego rozwoju wydarzeń.

Zawiadomią Rajmunda, jako że byliśmy w jego włościach, następnie króla i królową, a potem zostanie powołany sąd doraźny. Oskarżą mnie na pewno o zabójstwo i zapewne

o zdradę - oba te zarzuty szły w parze.

Do świtu zostało mi jeszcze trochę czasu. Dość, aby zastanowić się i obmyślić taktykę obrony. Jeśli zadano sobie tyle trudu, znaleziono też zapewne wiele argumentów przemawiających na rzecz skazania mnie. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, że Jaufre był wtedy ze mną; przychodził do mnie tylko pod osłoną nocy i wychodził przed świtem. Chrześcijanie grzeszą pod osłoną ciemności.

Usiadłam wygodnie w fotelu i zamyśliłam się. Dziwne - nie czułam strachu. Odkąd wyruszyliśmy z Francji, wiele się zdarzyło. Co więcej, wierzyłam w sprawiedliwość i w Alienor.

Król i królowa siedzieli obok siebie w sali zgromadzeń, gdzie jeszcze poprzedniego dnia w dyskusji starli się ze sobą zwolennicy Alienor i Rajmunda ze zwolennikami Ludwika. Pierwsi pragnęli odbicia Edessy drudzy chcieli wyruszyć do Jerozolimy.

Podobno Konrad, niemiecki cesarz, przegrupował wojska i na nowo ruszył z krucjatą. Ludwik też chciał się pomodlić na grobie Chrystusa. Wywiązała się burzliwa dyskusja, po czym obie frakcje rozstały się w lodowatym milczeniu. Na razie zawieszono dalsze rozmowy. Rajmund z posępną miną

siedział na tronie okrytym skórą lamparta. Natomiast Alienor wpatrywała się we mnie niespokojnymi i rozbieganymi oczami. Posadzono mnie na krześle naprzeciwko nich, a wtedy rozpoznałam ludzi, którzy nad ranem wtargnęli do mego pokoju. Uśmiechali się z satysfakcją.

Rajmund westchnął, znużony. Najwidoczniej znalazł się w kłopotliwej sytuacji, zwłaszcza że wiedział, jak blisko jestem związana z królową. Nie przemówił do mnie, choć tego oczekiwałam, lecz zwrócił się do Roberta z Dreux:

- Zakłóciłeś, panie, nasz spokój z ważnych powodów. Opowiedz o nich. Wydaje mi się, że panna de Grimwald ma prawo je poznać.

Robert z Dreux podszedł bliżej, marszcząc gniewnie czoło. Rzucił kąśliwie:

- Równa się to założeniu, iż ona o niczym nie wie.

- I tak właśnie jest w istocie - odparłam, wstając ze swego miejsca. -A jeśli Wasza Królewska Mość pozwoli, będę szczęśliwa, mogąc opowiedzieć o przygodach dzisiejszej nocy. Następnie wysłucham tego, o co jestem oskarżona.

Ludwik kiwnął głową. Nie mógł nie zgodzić się na to, bym opowiedziała, jak ja widzę fakty, tym bardziej że od czasu naszej rozmowy w Konstantynopolu, tuż po śmierci Denysa, miałam wrażenie, że darzy mnie większym szacunkiem, a nawet spogląda na mnie bardziej przyjaźnie.

Opowiedziałam, co się zdarzyło, pomijając obecność Jaufrégo. Nie uważałam za konieczne mieszać go do tej sprawy. Brat króla krzyknął:

- Ona kłamie, panie! Spójrz na ten miecz, który podnieśliśmy z podłogi jej pokoju i który sama królowa rozpoznała jako swój. Miecz jest zakrwawiony.

Przygryzłam wargę. Te szakale bardzo dobrze przygotowały plan. A Alienor skłamała - to moje inicjały były wyryte na rękojeści miecza, gdyż był to dar od Denysa.

- Słucham, panno de Grimwald? - rzucił król, marszcząc brwi.

- Czemu miałabym zabić tego człowieka? Prawie go nie znałam i nie miałam nawet okazji zamienić z nim paru zdań.

- Dlatego, że chciał zdemaskować panią przed królem.

Stefan z Blois podszedł bliżej. Spojrzałam nań zdziwiona. Co on jeszcze wymyśli?

Skłonił się przed królem i wskazał mnie palcem:

- Nasz towarzysz przyszedł do nas kilka dni temu. Mówił, iż oczekuje posłańca z Konstantynopola, który być może potwierdzi jego podejrzenia. Oświadczył, że panna de Grimwald nie została porwana przez bazyleusa Komnena, jak twierdziła, lecz została usunięta po to, by mogła skuteczniej działać na zgubę króla. Dowodzi tego zasadzka, w jaką wpadliśmy, podczas gdy ona i królowa, jak również ci

okropni Akwitańczycy, wyszli z opresji zdrowo i cało. Dziś nad ranem nasz niedawno zmarły przyjaciel zapewnił nas, iż ma dowody, których dotąd mu brakowało, i przekazał nam ten oto pierścień. Nie możesz zaprzeczyć, panno de Grimwald, że należy on do ciebie.

Rozpoznałam wspaniały ametyst, który ofiarowałam bazyleusowi. Było ze mną krucho!

- Tak, przyznaję - potwierdziłam, wzruszając ramionami - ale na jakiej podstawie sądzisz, że jestem winna, panie de Blois? Pierścień ten został w Konstantynopolu, to prawda, razem z innym klejnotem, wyrwanym mi przez bazyleusa podczas starcia, w czasie którego utraciłam coś o wiele cenniejszego niż złoto całego świata. Wasza Królewska Mość z pewnością pamięta moje zwierzenia, więc nie będę się powtarzać. Co więcej, król nie zapomniał, jak mniemam, o śmierci Denysa de Châtelleraulta, którego wielce poważałam, a który zginął, uwalniając mnie z tego piekła. Wasza Królewska Mość zapewne pamięta również tę rozmowę przy jego śmiertelnym łożu, podczas której błagałam, żeby nie nastąpiły represje, które zakłóciłyby atmosferę naszej świętej walki. Jakiż to okrutnik i oszust poświęciłby człowieka, który dwukrotnie uratował mu życie? Co się zaś tyczy następnego zarzutu pana de Blois, że jakoby przekazywałam Turkom jakieś informacje na temat potyczki, w której zginęli nasi bracia, musiałabym znać topografię miejsc, w których do tego doszło. Byłabym wspaniałym strategiem, godnym dowodzenia wojskami Jego Królewskiej Mości - dodałam z ironicznym uśmiechem. - Ale trzeba pamiętać, że Jego Wysokość trzymał się marszruty obranej jeszcze podczas pobytu w Konstantynopolu. A przecież to panowie de Blois i de Dreux wraz z Jego Królewską Mością podjęli taką decyzję, gdy spotkaliśmy się z niedobitkami armii Konrada. I z tego, co wiem, żadna kobieta ze świty królowej nie była pytana o zdanie. Kończąc, pragnę podkreślić, że nie wiem, jakie jest źródło tego spisku, ale przysięgam przed Bogiem, że jestem niewinna.

Przez chwilę panowała cisza, z której wywnioskowałam, że argumenty były celne.

Król drapał się w brodę, a policzki Aliénor odzyskały swój kolor. Ale nie należało lekceważyć Stefana z Blois, który dołączył do wielkiego mistrza zakonu templariuszy - Bertranda de Blanqueforta. A więc i on należał do moich oskarżycieli!

- Rzeczywiście wszystko zostało wspaniale przygotowane, panno de Grimwald. Z

tego właśnie powodu mniemamy, że pomagał pani ktoś bliski, ktoś, kto mógł wpłynąć na decyzję króla.

Zakrzyknęłam z nerwowym śmiechem:

- Ale, na Boga Najświętszego, kto taki, panie?

- Jej Królewska Mość.

W sali zapanowała grobowa cisza, a ja osłupiałam. Na chwilę wszyscy zamarli, po czym Aliénor wstała, ocknąwszy się z oszołomienia, i zmierzyła Stefana z Blois nienawistnym spojrzeniem:

- Jak śmiesz?!

Rajmund zbladł, sam król zadrżał, odgadłam to, widząc determinację jego poddanych. Robert z Dreux i Bertrand de Blanquefort uśmiechali się z ulgą za plecami Stefana z Blois. W jednej chwili pojęłam, jak szeroko zakrojona była cała intryga. To nie o mnie chodziło, to nie mnie chciano wytoczyć proces, lecz królowej, a wraz z nią - całej Akwitanii. Niezdyscyplinowanej, mściwej, znenawidzonej przez ludzi z północy, którzy patrzyli na jej rosnącą z dnia na dzień potęgę i pychę -

Akwitanii, którą należało złamać. Jeśli Aliénor oskarżą o zdradę i zostanie skazana, to po naszym powrocie do Francji osadzą ją w klasztorze. Ja zapewne dla przykładu zostanę ścięta, król pozbędzie się uciążliwej królowej, ale zachowa jej posag.

Pozostanie mu tylko ostateczne pogębienie tych ludzi, którzy z każdym dniem coraz bardziej mu doskwierali, będzie też mógł pozwolić templariuszom zagarnąć całe ich bogactwo.

Zrobiło mi się słabo. Tylko ja mogłam podważyć te wątpliwości, które kładły się cieniem na królową. Wiedziałam, iż niewiele trzeba, by król podporządkował się swoim baronom. On także miał dość Akwitanii i kłopotów z nią związanych. Był

taki sędzia, którego król nie kwestionował - Bóg, i Jemu właśnie poświęcił życie.

Podeszłam do króla i uklęknęłam u jego stóp.

- Wszystko to jest oszczerstwem, Wasza Królewska Mość. Nie znam prawdziwych powodów, dla których ten mężczyzna został zamordowany. Może chciał mnie zawiadomić o spisku i w ten sposób zmuszono go do milczenia. Co się zaś tyczy mnie, to Wasza Królewska Mość zgodzi się chyba, że nie chodzi o moją niewinność, lecz o honor Jej Królewskiej Mości w obliczu ludu Francji i krzyża, który wzięliśmy wszyscy na swoje ramiona. A zatem, aby na zawsze zmyć te kalające ją podejrzenia, wystawiam się na sąd boży.

Za moimi plecami rozległy się szepty. Twarz Ludwika rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Ja, o której krążyły najbardziej szalone pogłoski, odwoływałam się do osądu boskiego. Musiałam być bardzo pewna swego, skoro nie bałam się wyroku Boga. Odwrócił się do królowej, która opadła na fotel, blada jak płótno. Aliénor czuła, że chciałam chronić raczej ją niż samą siebie, i to ją wzburzyło.

Rajmund z Antiochii milczał, ale był straszliwie zakłopotany. Co się zaś tyczy naszych wrogów, nie umiałam powiedzieć, czy byli zadowoleni, czy też nie. A jednak - jeśli dobrze pamiętałam - żadna kobieta jeszcze nie poddała się temu sądowi. Czyż nie należałam do rasy, która tworzy precedensy?

Ludwik wstał natychmiast i podniósł mnie z klęczek. Usunęłam się na bok, by wysłuchać jego decyzji. Mówił głośno i wyraźnie:

- Panno de Grimwald, cieszę się, że to powiedziałaś, a ponieważ odwołujesz się do Boga, nie wątpię, że zostaniesz oczyszczona z ciężących na tobie podejrzeń. Ja, Ludwik, król Francji, oświadczam, że obecna tu Loanna Benedykta de Grimwald dobrowolnie i bez przymusu podda się dziś, dwudziestego szóstego marca Roku Pańskiego tysiąc sto czterdziestego ósmego, sądowi bożemu, w porze seksty w obecności pana Antiochii, godnych przedstawicieli wojska królewskiego i



każdego, kto wyrazi takie życzenie. Na razie pozwalamy ci odejść, lecz pamiętaj, że jesteś pod szczególną strażą naszego Stwórcy.

- Niechaj stanie się według jego woli - powiedziałam spokojnie, kłaniając się Ich Królewskim Mościom.

Następnie z godnością zmierzyłam wzrokiem moich oskarżycieli i wyszłam.

Moją pierwszą troską było przekonanie się, czy Jaufremu udało się dotrzeć bez przeszkód do jego pokoju. Przemknęłam więc niepostrzeżenie do białego domku, w którym ulokowano trubadurów. Pogłoski o wymierzeniu mi kary rozeszły się bardzo szybko. Z rozbawieniem czułam na sobie ukradkowe spojrzenia, na które odpowiadałam grzecznym skinieniem głowy. Nie ma gorszego oskarżenia niż poczucie winy. A jednak - nawet jeśli byłam winna - miałam w zanadrzu sztuczki odziedziczone po moich przodkach. Jaufre pospieszył do mnie i odciągnął mnie na bok.

- Od rana słyszę straszne wieści i oto jesteś! Co się stało? Opowiedziałam mu szczegółowo o wszystkim, ale on - zamiast

poczuć się pewniej - zadrżał.

- Jesteśmy zgubieni!

- Spójrz na mnie, hrabio de Blaye, i zastanów się, czyja, Loanna de Grimwald, błagałabym bogów, nie mając pewności, jakiej odpowiedzi udzielią?

Westchnął, a ja nie wiedziałam, czy było to westchnienie ulgi, czy rezygnacji.

- Czy mam jakieś inne wyjście niż umierać bez przerwy ze strachu?

Uścisnęłam czule jego dłoń i szepnęłam porozumiewawczo:

- Tak, umierać z miłości...

Uśmiechnął się, więc byłam spokojniejsza. Potem zauważyłam, że za jego uchem spływa krew z rany, którą zadano mu jeszcze w Konstantynopolu.

- Trochę byłem oszołomiony, gdy skakałem do wody - usprawiedliwiał się, widząc mój niepokój. - Na szczęście woda była zimna i oprzytomniałem na tyle, by dopłynąć do brzegu. Zapewne jakaś gałąź mnie zadrapała.

- Jak wróciłeś?

- Czekałem w zaroślach, aż się rozjaśni, a potem - gdy opuszczono zwodzony most i zaczął się zwykły codzienny ruch, wmieszałem się w tłum. Nawet jeśli kogoś zdziwiło moje mokre ubranie, nikt nic nie powiedział. To miasto jest jak rzeszoto.

Zaczynam myśleć, że pogłoski są zasadne. Spodziewano się tu raczej królowej niż Turków.

- Wierz mi, że wkrótce odzyskam zaufanie króla i utrę nosa naszym wrogom. Ale tymczasem odpocznij, mój ukochany. Jesteś blady i nie chciałabym, żebyś z mojej winy nabawił się jakiejś choroby.

- Nie bój się. Byłem po prostu niespokojny. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Ucałował mnie czule, aja odeszłam ukojona. Lepiej, żeby nas nie widziano razem aż do chwili sądu. Nasi wrogowie mogli chcieć zemsty również na tych, którzy się do mnie zbliżali.

Zanadto byłam zajęta swoim losem, żeby spostrzec, co było prawdziwą przyczyną złego samopoczucia Jaufrego. Od świtu miał straszliwą migrenę. Ufny w moją moc, poszedł się położyć i spał niespokojnym snem, z którego obudził się z takim samym bólem głowy jak przed zaśnięciem.

Jedna myśl i jedno pragnienie prowadziły mnie do katedry świętego Piotra, przed którą miał się odbyć sąd nade mną. Po raz pierwszy, odkąd przyszłam na świat, weszłam tam z własnej woli i sama. To nie tyle obraz ukrzyżowanego Boga chciałam zobaczyć, ale coś, z czym zetknęłam się tylko w Broceliande i za skałą na pustyni - czystą energię sił ziemi i całego wszechświata.

W kościele było pusto, wszędzie paliły się świece. Pozwoliłam się prowadzić tej energii, która wibrowała wokół mnie. Ufna w to, co czułam, padłam na kolana. Tego dnia potrzebowałam owej energii wszechświata, żeby nie bać się w decydującej chwili, żeby odnaleźć w sobie wszystko to, czego się nauczyłam, żeby nie zginąć.

Wiedziałam, że antycypując wydarzenia, można je lepiej kontrolować.

- Matko, czy on umrze?

To pytanie samo wypłynęło mi na usta. Byłyśmy na wielkim placu w Rouen, wokół

nas tłoczyli się ludzie, którzy chcieli zobaczyć skazańca, kudłatego włóczkę potężnej budowy. Oskarżono go o to, że okradł podróżnych w oberży. Nikt nie znalazł u niego łupu, ale świadkowie widzieli, że uciekał, i choć on wypierał się swego czynu głośno i zdecydowanie, mówiąc, że jest kupcem i przedstawiając swoje papiery, zachodziło uzasadnione podejrzenie, że jest winny. Mężczyznę zaprowadzono więc przed oblicze Gotfryda Andegaweńskiego. Miałam wówczas dziesięć lat.

Gotfryd Piękny domagał się dlań sądu bożego: jeśli mówił prawdę, zostanie ułaskawiony; jeśli kłamie, zginie w płomieniach z woli bożej. Próba była prosta -

mężczyzna miał podejść do ogniska, w którym leżał metalowy krzyż. Gdy metal rozgrzał się do czerwoności, wyjmowano go z ognia i zawieszano na słupie, na wysokości ust skazańca. Wtedy mężczyzna musiał trzykrotnie przysiąc na Biblię, że jest niewinny, i przyłożyć język do krzyża. Jeśli na języku pozostał ślad oparzenia, był zgubiony, gdyż uważano to za dowód jego winy. Jeśli nie - uniewinniano go.

Czułam, że moja drobna rączka drży w dłoni matki. Stałyśmy w pierwszym rzędzie.

Matylda uważała, że nie jest to odpowiedni widok dla dziecka, lecz moja matka nalegała. Niezmiernie rzadko odwoływano się do tego osądu, i to mogło mnie czegoś nauczyć.

- Spójrz, Canillette. Co widzisz u tego człowieka? Wyliczyłam wszystkie szczegóły, które zdołałam zauważyć. Wydawał mi się dumny i zadufany w sobie.

Powiedziałam jej to.

- Nie widzisz, że ma włosy przyklejone do czoła i że wzdłuż jego skroni spływają krople potu?

- Tak, mam. Przy ogniu jest bardzo gorąco.

- To nie z gorąca, lecz ze strachu. Widzisz, że mimo tej pewności siebie ciągle odchrząknę. Czuje, że mawustach tak sucho, jak w wyschniętej studni i tylko woda może ugasić ogień. Jest zgubiony.

- Więc Bóg go potępił?

- Nie, Canillette, on sam siebie skazał swoimi wyrzutami sumienia, gdyż obawia się, że Bóg zna prawdę. Nie ma nic boskiego w tej próbie, ale któż w tak decydującej chwili nie lęka się samego siebie? Gdyby był niewinny, jego dusza byłaby swobodna, nie obawiałby się spojrzenia Wszechmocnego. Miałby pod dostatkiem śliny, która chroni przed oparzeniem. Ten mężczyzna umrze; może nie jest winny tej zbrodni, ale ma na sumieniu inne, które w jego mniemaniu powinny być ukarane.

Mężczyzna miał znak oparzenia na języku, więc przywiązano go do słupa, a on jął

przeklinać i złorzeczyć. Potem podszedł doń ksiądz, który pobłogosławił go znakiem krzyża, a u stóp skazańca ułożono pędy winorośli. Ogień zaczął płonąć żywiej i zapalił je niczym pochodnię.

- Miło mi, że cię tu spotykam.

Odwróciłam się i zobaczyłam króla, który przykląkł obok mnie. Trudno mi było odpędzić wspomnienia, w których byłam pogrążona, ale dołożyłam starań, by się uśmiechnąć.

- Przepraszam, że przeszkadzam w modlitwie, ale gdy zobaczyłem cię klęczącą i jakby otoczoną świetlistą aureolą, odczułem potrzebę rozmowy.

To było równie nieoczekiwane jak to, że się tu znalazłam - było to bardziej jego miejsce niż moje. Zauważyłam ze zdumieniem, że miałam złożone dłonie i rzeczywiście wyglądałam na pogrążoną w modlitwie.

- Wasza Królewska Mość nie zakłóca spokoju mej duszy, która być może musi prosić o przebaczenie. Ale czuję się zaszczycona, że król raczy się niepokoić.

- Nie przeżyliśmy wielu podobnych chwil i nie jestem nawet pewien, czy jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteś, panie, królem.

- Tylko królem. Ofiarą własnego zaślepienia i zbyt wielkiej wiary. Kto mógłby mieć interes w tym, by mi zaszkodzić?

Przyglądałam mu się bacznie. Był szczery, zatroskany. Ale czemu, u diabła, wypytywał mnie o to, i to w takich okolicznościach?

- Nikt nie chce ci szkodzić, panie. Jednak przyznam, że Jej Królewska Wysokość i ty, królu, nie jesteście teraz sobie bliscy.

Potrząsnął głową, jakby nie rozumiejąc moich słów.

- Są tacy - choć nie znam ich z nazwisk - którzy pragną, aby królowa pozostała w Antiochii i zostawiła ci swoje ziemie. Słyszałam o takim spisku jeszcze w Paryżu, przed krucjatą, i wtedy właśnie ktoś brutalnie na mnie napadł, o czym ci, panie, wiadomo.

- Zapewniano mnie, że to byli jacyś rozbójnicy...

- Z pewnością, Wasza Królewska Mość, nie chciano cię niepokoić. Nie miałam na to żadnego dowodu, lecz śledztwo prowadzone przez Denysa de Chatelleraulta pokazało, że było wprost przeciwnie. Nie wiem, panie, kto się za tym kryje, lecz cel jest jasny. Poprzez te podejrzenia ktoś stara się skłócić lud Francji, a jeśli to nastąpi, krucjata zakończy się przelewem krwi, a na twoich ziemiach zapanują anarchia i wojna. Możesz, królu, temu zapobiec.

- Wjaki sposób?

- Dziś wieczorem sam Bóg udzieli ci odpowiedzi - jestem o tym przekonana.

- Jestem zmęczony - szepnął Ludwik jakby do siebie i oparł czoło na złączonych dłoniach.

Kłęczeliśmy obok siebie w milczeniu. Nagle poczułam dłoń litość. W gruncie rzeczy cóż mogłam mu zarzucić, oprócz miłości do Boga, tak wielkiej, że nie było miejsca na żadną inną? Czy naprawdę muszę być związana z Wielką Brytanią i odmawiać wielkości temu człowiekowi? Łagodnie położyłam rękę na jego ramieniu. Podniósł

na mnie zaniepokojony wzrok, jak gdyby mój dotyk go oparzył.

- Nie boję się kary bożej, ale niepokoję się o królową.

- Jeśli Pan Wszechmogący cię uniewinni, znajdziemy winnych.

- Jeszcze raz błagam Waszą Królewską Mość, proszę nic nie robić. Ten człowiek nie żyje, niech spoczywa w pokoju. Niechaj sprawiedliwość boża ukarze winnych. Jeśli sam, panie, wydasz najwierniejszych poddanych, koniec z jednością Franków. Taki właśnie jest cel tego spisku. Nie mieszaj się do tej gry, panie, błagam.

- Każdy zbrodniarz musi być ukarany, niezależnie od tego, kim jest - powiedział

Ludwik.

- A więc powinieneś także ukarać królową... - szepnęłam. Spojrzał na mnie, przerażony.

- Czy to...

Nie pozwoliłam mu dokończyć zdania.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Jeśli czymś zawiniła, to jedynie swoją dumą, temperamentem i miłością...

Widziałam, że jego białe dłonie drżą jak w gorączce, którą zdradzały jego oczy.

Jednak zdecydowanym tonem zapytał:

- Miłością, powiadasz... Czy ona chciałaby zostać w Antiochii? Zadanie tego pytania sporo go kosztowało. Potrząsnęłam głową.

- Nie wiem, Wasza Królewska Mość, ale Aliénor i Rajmunda łączą mocne więzi, niestety niedozwolone.

- Myślałem, że jesteś jej przyjaciółką...

Patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc. Uśmiechnęłam się blado. W tej chwili byłam jedynie przyjaciółką obiecanego królestwa.

- Tak - odparłam przyjaźnie. - Ale także jestem przyjaciółką twoją, panie, i wiem, jaką cenę płaci się za zaślepienie. Aliénor będzie musiała zapomnieć o Rajmundzie i ponownie zdobyć zaufanie swoich wasali.

- Nie mam dowodu zdrady królowej.

- Będziesz go miał, panie, i liczę na twoją wielkoduszność, że sprzeciwisz się oszczerstwom.

- Jestem królem! - rzucił, jakby chcąc dowieść, że pozostanie niewzruszony.

Aleja uśmiechnęłam się doń kpiąco i dodałam:

- Czy można potępić miłość? I ty, panie, znasz cierpienia, jakich przysparza, i radości, jakie daje.

Westchnął z rezygnacją. Wreszcie, jakby wyczerpawszy całą swoją siłę woli, przeżegnał się, a potem wstał niezgrabnie, rozprostowując kolana. Odwrócił się do mnie plecami i nie powiedział już ani słowa. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Cóż ja uczyniłam, matko? Zdradziłam najlepszą przyjaciółkę.

W tej samej chwili w moich uszach rozległ się głos, który docierał znikąd i zewsząd zarazem: „Ale

nie zdradziłaś siebie samej". I wtedy niebывały wprost spokój ogarnął całe moje ciało.

Tymczasem rozdzwoniły się dzwony. Przed katedrą rozpalono ogień, jego płomień unosił się wysoko w ciemnościach zapadającej nocy. Na stopniach rozlokowali się mnisi w białych szatach i opaci, którzy otoczyli Rajmunda siedzącego najwyżej. Po jego prawicy stał biskup Antiochii i kler. Po lewej stronie -

król i królowa. Aliénor nie była już blada. Gdy zbliżyłam się do nich dumna i wyprostowana, czując coraz mocniej ciepło buchające od ognia, dostrzegłam, że

jej spokój był sztuczny. Zapewne szczypała się w policzki, by się zaróżowiły.

Przeszedł mnie dreszcz. Ulegając niewytłumaczalnemu impulsowi, odwróciłam się.

Jaufre przepchnął się przez tłum i patrzył na mnie czule. W jego szarych oczach był

taki bezmiar ufności, że moje serce przepełniło się miłością i światłem. Mój najczulszy ukochany. Tylko on jeden wiedział. Płonęłam gorętszym ogniem niż ten, z którego wydobywano teraz czerwony, dymiący krzyż. Patrzyłam nań bez lęku, potem podeszłam do króla, który wstał na polecenie Rajmunda.

Ludwik spojrzał na mnie, a wtedy uklękłam na pierwszym schodku u jego stóp:

- Loanno de Grimwald, jesteś oskarżona o popełnienia zbrodni na osobie Aldeberda de Montreuila. Czy jesteś gotowa przysiąc na Pismo Święte, że jesteś niewinna, czy też przyznajesz się do winy wobec ludzi i zdajesz się na ich wymiar sprawiedliwości?

Bez wahania odezwałam się pełnym głosem, który wiatr uniósł aż na szczyt płomieni:

- Niechaj Pan Nasz Wszechmogący odcisnie na mnie swą pieczęć, jeśli skłamałam.

Położyłam lewą dłoń na Biblii oprawnej w skórę i zdobnej w złocenia, podanej mi przez biskupa, i ciągnęłam dalej, patrząc prosto w oczy Stefanowi z Blois, który stał

o krok za królem, wraz ze swymi akolitami:

- Niechaj stanie się wola boska i ujawni się moja niewinność wobec wszystkich, a niechaj w swej sprawiedliwości zabierze tych, którzy są prawdziwymi mordercami.

Stefan z Blois zbladł i natychmiast odwrócił wzrok, jakbym sparzyła go mocniej niż krzyż, który nowicjusz podał mi teraz na końcu włóczni.

Uśmiechnęłam się z ufnością do Alienor, która się przeżegnała, i podeszłam do rozpalonego krzyża. Bez lęku przyłożyłam do niego język. Tylko na sekundę, tak że poczułam, jak moja ślina wysycha w zetknięciu z ogniem. Potem podeszłam do mych sędziów i wystawiłam język na oględziny.

Biskup przyjrzał mi się i szepnął coś królowi na ucho, który także wstał, by sprawdzić słusność

jego słów.

Alienor drżała. Starła się zachować spokój, lecz ja wiedziałam, jak trudno jej było nie zemdleć.

Ludwik uśmiechnął się do mnie jak w czasie naszych najlepszych dni i rozumiałam, że instynkt mnie nie zawiódł. Z satysfakcją ogłosił werdykt:

- Najwyższy wydał osąd. Na ciele panny de Grimwald nie ma żadnego śladu okaleczenia. Wobec tego oświadczam, ja, Ludwik VII, król Francji, że jest ona niewinna zarzucanych jej zbrodni. Boże Wszechmogący, odwołuję się do Twego prawa! Zanim ten popiół ostygnie, niechaj prawdziwy winowajca zostanie ukarany z Twojej ręki! Niechaj się tak stanie, ku chwale bożej i zbawieniu świata!

Tłum krzyczał z radości, zgromadzeni podrzucali czapki wysoko, prosto w wygwieżdżone niebo. Triumfalnie odwróciłam się do ludzi i odszukałam wzrokiem Jaufrego. Szepnęłam tylko do niego:

- Kocham cię.

W chwili, gdy podchodziłam do królowej, jakaś przygarbiona, okryta łachmanami postać osunęła się w moje ramiona. Gdy próbowałam ją podnieść, jej kaptur opadł

do tyłu, odsłaniając splątane włosy i obłąkane oczy. Krzyknęłam ze zdumienia i przerażenia:

- Sybillo!

Dopiero nazajutrz hrabina Flandrii opowiedziała nam o wszystkim. Ci, których zostawiliśmy w Attalii czekających na statek, zostali zdradzeni. Gdy pewnego wieczoru pojawił się emisariusz, by odprowadzić ich do portu, podążyli ufnie za nim. Na nabrzeżu stały zakotwiczone statki. Zanim zdążyli się zaniepokoić, byli już otoczeni przez Turków. Mężczyźni spiesznie wydobyli miecze i próbowali bronić swoich współtowarzyszek, ale szybko musieli ustąpić w obliczu znacznej przewagi napastników. Sybilla zrozumiała pierwsza, co ją czeka. Zauważyła beczki przygotowane do załadowania na statki. Skorzystała z zamieszania i wślizgnęła się pomiędzy nie. Skuliła się, by lepiej się ukryć, i zobaczyła, że jedna z nich jest pusta.

Wczołgała się do środka. Turcy jej nie szukali. Słyszała krzyki swoich towarzyszek i zastanawiała się, dlaczego na nabrzeżu jest pusto, dlaczego nikt nie odpowiada na wołania o pomoc. Potem poczuła ruch i zrozumiała, że ładują beczki na statek. Ze zgrzytów żelaza domyśliła się, że podniesiono kotwicę. Później zapadła cisza, przerywana tylko chłupotem fal rozcinanych dziobem statku.

Trwała tak długo bez ruchu. Miała już wyjść, gdy usłyszała męskie

głosy. Rozmawiali dwaj mężczyźni. Jeden z nich powiedział, że trzeba zatrzeć ślady. Sybilla z trudem pohamowała krzyk, słysząc plusk wrzucanych do morza ciał.

Nikt nie przeżył. Wiedziała, że jedną z ofiar był jej mąż. Doskwierał jej okrutnie strach, cierpiała z powodu zimna i rozpacz. I znów zapadła cisza. Długa, niekończąca się cisza. Gdy zaświtało,

opuściła kryjówkę. Nie wiedziała, dokąd pójść i co zrobić. Uprzedzić ludzi w Attalii? A jeśli to oni ich zdradzili? Turcy weszli na statek podstawiony przez bazyleusa i odpłynęli. Postanowiła nie opuszczać kryjówki. Znalazła starą pelerynę, w której szczury urządziły sobie gniazdo. Przewyciężając obrzydzenie, okryła się nią. Chowała się na odgłos kroków. W becze, która dała jej schronienie, przechowywano przedtem ryby.

Sybilla przesiąkła ich zapachem. Po dwóch dniach opuściła schronienie. W

dziurawej pelerynie, śmierdząca rybami, upodobniła się do żebraczki. Jak one wy-ciągała po prośbie rękę, grzebała w śmietnikach, żeby znaleźć coś do jedzenia, stale czujna. Miała tylko jedną myśl: dostać się do Antiochii! Tak upłynął tydzień, aż pewnego ranka usłyszała, jak dwaj marynarze planują podróż do Ziemi Świętej. Z

nastaniem nocy wślizgnęła się na załadowany już statek.

Gdy dotarła do bram miasta, wyglądała jak cień człowieka. Ostatkiem sił zdołała dotrzeć do swoich. Wyglądała, jakby postradała rozum. Została wykąpana i nakarmiona. Opowiadając nam swoją gehennę, płakała i trzęsa się z przerażenia.

Sprawiała wrażenie obłąkanej, cała dygotała od gorączkowych spazmów.

Spodziewaliśmy się najgorszego. Tak minęły dwa dni. Gdy Sybilla się uspokoiła, jej wzrok wyrażał już tylko pustkę i zapomnienie. Z trudem nas rozpoznawała. Medyk Rajmunda nalegał, aby jak najdłużej wypoczywała, i żądał, abyśmy wykazali cierpliwość. Przeżyła straszliwy wstrząs, więc trzeba było czasu, by doszła do siebie.

W ciągu tych dwóch dni zajmowałam się bardziej nią niż Jaufrem czy sobą. Sam król oznajmił mi więc nowinę: poprzedniego dnia Stefan z Blois stracił przytomność przy stole. Jakaś złośliwa gorączka przykuła go do łóżka, jego życie było w niebezpieczeństwie. Ludwik zakończył swoją wypowiedź złowieszczymi słowami: Kto sieje wiatr, zbiera burzę!

Może to dziwne, lecz wzięłam je do siebie. Cóż takiego zasiałam w Konstantynopolu, że podpisałam wyrok śmierci na tych nieszczęśników? Czy bazyleus myślał, że razem z naszymi współtowa-

rzyszkami porywa też mnie? Czy też po prostu kierowała nim chęć zemsty, skoro i król, i ja nie zginęliśmy? Oszukano nas srodze, opowiadając bajki o tym, jakoby statek bazyleusa zatonął. To było kłamstwo. Jaką rolę odegrał człowiek, którego zamordowano pod moimi drzwiami? Miał przy sobie pierścień będący świadectwem mojej zdrady. Czy otrzymał go w zamian za swoją zdradę? Wszystkie te pytania dręczyły mnie tym bardziej, że wiedziałam, iż nigdy nie otrzymam na nie odpowiedzi. Nadeszła pora, by wyruszyć z Antiochii. Atmosfera stawała się tu coraz bardziej zatruta. Na domiar złego Alienor postanowiła zostać u swojego wuja.

Czyste szaleństwo!



Béatrice chodziła tam i z powrotem po komnacie wyłożonej wspaniałym dywanem, przedstawiającym polowanie na bażanty. Kazała przyprowadzić zausznika Stefana z Blois, ale odkąd był tu, gotów na jej rozkazy, nie wiedziała, co mu powiedzieć. Tak bardzo liczyła na to, że sąd boży ostatecznie mnie pograży, iż teraz czuła się tak, jak gdyby Wszechmogący potępił jej mściwość. Ale to jeszcze nie. Od tego pamiętnego dnia Ludwik nie prosił jej do siebie, co gorsza - wydawało się, że jej unika.

Rozdrażniona tym, kazała go śledzić i odkryła, że często siadywał u wezglowia hrabiny Flandrii, gdzie i ja bywałam. Znalazłam w jego oczach uznanie, a ona je straciła.

Ze złości łzy napłynęły jej do oczu. Miała tego dość!

Wreszcie podjęła decyzję - stanęła przed służącym i zaciskając pięści, syknęła:

- Sprowadź mi tu Loannę de Grimwald!

Gdy zobaczyłam swego prześladowcę, zadrzałam. Obecność Anzelma de Corcheville'a zawsze wywoływała u mnie atak paniki. To uczucie wzmoгло się po śmierci Denysa. Teraz musiałam się bronić sama. Tutaj jednakże nic mi nie groziło.

Graliśmy właśnie w krykie-ta we wspaniałym ogrodzie i byłam otoczona ludźmi.

Skłonił się przede mną, po czym fałszywie ugrzecznionym tonem poprosił, abym zechciała udać się za nim do Béatrice, która błaga

mnie o spotkanie. Przez chwilę wahałam się. Ta ślicznotka nie miała zwyczaju wykorzystywać tak niemiłych osób do realizowania swoich kaprysów. Wszelako, pamiętając, że nie pokazała się na dworze Rajmunda od dwóch dni, doszłam do wniosku, że zapewne jest chora i nie może chodzić. Zdobyłam się więc na odwagę i utwierdzając się w przekonaniu, że moje magiczne umiejętności mogą mnie ocalić, jeśli zajdzie taka potrzeba, przyjąłam zaproszenie.

Odprowadził mnie aż do drzwi pokoju Beatrice. Po drodze nie zamieniliśmy ani słowa. Oboje wiedzieliśmy, że się nienawidzimy.

Beatrice wyglądała blado w swej jasnoblękitnej sukni, przypominającej kolorem jej oczy. Myślałam, że będzie wyniosła, a tymczasem sprawiała wrażenie zmęczonej.

- Chciałaś mnie widzieć, pani? - zapytałam uprzejmie.

Nie dała się zwieść pozorom. Nie lubiłam jej i to uczucie było wzajemne. Skinęła głową, nie ruszając się z fotela, w którym siedziała w niedbałej pozie.

- Siadaj, Loanno.

Przemawiała z rezygnacją. Usłuchałam, zaintrygowana. Zapadła między nami cisza, po czym Beatrice westchnęła i podniosła na mnie oczy. Drgnęłam, gdyż zobaczyłam w nich łzy, które najwyraźniej były szczere. Opanowała się natychmiast. Następnie, wciskając się mocniej w oparcie fotela, szepnęła lekko drżącym głosem:

- Nie lubisz mnie, podobnie jak ja nie lubię ciebie, zatem będę zmierzać prosto do celu. Proponuję ci układ: oddaj mi Ludwika, aja obiecuję, że nie będę się wtrącać do twych spraw ani próbować ci szkodzić. - Z trudem przełknęła ślinę. To wyznanie dużo ją kosztowało. - Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz. Kocham króla bardziej niż samą siebie i zrobię wszystko, by go nie stracić...

Przyglądałam się jej w milczeniu. Gdzie się podziała ta rozwścieczona intrygantka, która chciała mej zguby? Miałam przed sobą zranioną, spłoszoną łanię. I tak oto, mimo że znam dobrze naturę oszustów, dałam się nabrać na jej cierpienie.

Wiedziałam aż nadto dobrze, jak boli rozstanie z ukochaną osobą. Dotknęłam przyjaźnie jej ręki. Drgnęła i odwróciła się, jakby spodziewała się, że powiem jej coś przykrego, aleja nie miałam takiego zamiaru. Nie kopie się leżącego - taką mam zasadę.

- Ludwik do mnie nie należy - szepnęłam przyjaźnie. - On cię kocha wbrew rozsądkowi i choć tego nie rozumiem, zapewniam cię, że nie uczynię niczego, co mogłoby stanąć na drodze tej namiętności. Dotąd nie darzyłam Ludwika szacunkiem, niemniej od pewnego czasu zmienił się. Rośnie w nim siła, która uczyni go wielkim królem. Zaczerpnął ją z miłości twojej i do Boga.

Zostaliśmy przyjaciółmi, tak przynajmniej myślę, gdyż dwukrotnie usłuchał mych prośb, ale nie dotyczyły one ciebie.

Beatrice zarumieniła się lekko i przyglądała mi się z zaciekawieniem. Z uśmiechem ciągnęłam dalej:

- Nigdy nie będziemy przyjaciółkami, jednakże pomogę ci, ponieważ kocham królową, a ona musi przyjąć rolę, którą wyznaczyło jej przeznaczenie. W zamian za to obiecuję, że Ludwik odwiedzi twoją sypialnię, nawet jeśli nigdy nie uczyni cię królową.

- Jeśli nie chcesz ode mnie niczego w zamian, dlaczego chcesz mi pomóc? - spytała z nieukrywanym zdziwieniem.

- Dlatego, że - w odróżnieniu od ciebie - nie lubię, gdy ludzie są nieszczęśliwi.

Opuściła głowę i poczerwieniała. Ciągnęłam dalej w pośpiechu, starając się nadążyć za myślą, która przyszła mi do głowy:

- Nie sądź, że nie mam nic do zyskania. Oczekuję, że przyrzekniesz mi coś na Biblię, którą stale wymachujesz jak sztandarem.

Na chwilę w jej oku zabłysło okrucieństwo. „Waż tylko na chwilę się zdrzemnął -

pomyślałam", lecz teraz byłam panią sytuacji i miałam zamiar wykorzystać swoją przewagę.

- Przysięgnij na Boga i wszystkich świętych, że od tej pory będziesz trzymała się z daleka od Stefana z Blois i jego intryg.

Zaprotestowała gniewnie:

- Nie mam nic wspólnego z tym człowiekiem! Ruchem dłoni zmusiłam ją do milczenia.

- Dość tego, Beatrice! Zachowaj swoje kłamstwa dla króla! Wiem doskonale, jak czarne są twoje myśli i jak bardzo pociąga cię diabelska natura Stefana. Jeśli Ludwik się o tym dowie, przegoni cię na zawsze ze swego serca.

Przeszyła mnie wzrokiem pełnym nienawiści. „Jak mogłam dać się zwieść jej rzekomemu cierpieniu” - pomyślałam. Wilk przebiera się w jagnięcą skórę tylko wtedy, gdy chce się wdrzeć w sam środek stada...

Wstała pośpiesznie, naląła sobie łyk wódki różanej z kryształowej karafki, rzucającej tęczowe odbłaski. „Jeszcze jeden występek”

pomyślałam. Wypiła jednym haustem całą szklaneczkę, a potem spojrzała na mnie wyzywająco.

- Niechaj tak będzie! Przysięgam na tę świętą księgę, że zerwę z tym człowiekiem.

Czy to ci odpowiada?

Ja także wstałam i uśmiechnęłam się do niej porozumiewawczo. Ale w odpowiedzi zobaczyłam tylko jej ponurą twarz.

- Nie lubię cię, Beatrice, jednakże nie uczynię nic, by ci szkodzić, jeśli ty ze swej strony przestaniesz dążyć do mej zguby. Zawrzyjmy więc pokój. Jutro po nabożeństwie Alienor umówiła się w pawilonie myśliwskim z Rajmundem.

Natomiast król ma się spotkać z posłańcem hrabiego Tuluzy, który razem z nami wyruszy w dalszą drogę. Byłoby dobrze, aby Ludwik, i tylko Ludwik, ich zaskoczył

i położył kres tym schadzkom. Nie ma wątpliwości co do tego, że po przyłapaniu żony w takiej sytuacji król wyzbędzie się wyrzutów sumienia i weźmie cię do swego łóża... A tego właśnie pragniesz - powiedziałam ironicznie.

- Chyba powinnam ci podziękować - rzuciła ostrym tonem, zdradzającym rozdrażnienie.

- To zbyteczne. Obie wiemy, że zyskamy na tym. Zmierzałam już do drzwi, gdy zawołała.

-A ja sądziłam, że królowa jest ci bliska! Te słowa mnie zabołały. Trafiła w mój czuły punkt.

- Właśnie dlatego tak postępuję, ale ty tego nie zrozumiesz.

Z tymi słowami wyszłam z jej pokoju. Czułam, że mnie mdli.

- Ubierz się natychmiast i pójdz za mną, moja pani!

Alienor naciągnęła na swoje obnażone piersi wełnianą kołdrę, która zsunęła się w nogi łóżka podczas miłosnych igraszek z Rajmundem. Była blada. Jej kochanek wyglądał na zawstydzonego, lecz nie urażonego. Było oczywiste, że jest zażenowany, ale jednocześnie odczuwa ulgę. Kochał Alienor całym sercem, lecz wiedział, że to szaleństwo nie doprowadzi do niczego dobrego, zwłaszcza że Alienor chciała zostać w Antiochii i rządzić u jego boku. Lu-dwikją przerażał, w Antiochii czuła się u siebie. Co więcej, Konstancja, zirytowana wiarołomnością męża, spakowała walizki i wyjechała z dziećmi do rodziny. Jako kobieta inteligentna, doszła do wniosku, że jest to przejściowa miłostka, którą należy przeczekać.

I oto Ludwik stał przed Alienor, tak spokojny, że poczuła strach, ten sam, gdy chłostał ją do krwi w swoim namiocie. Przytuliła się do Rajmunda w nadziei, że da jej oparcie, ale on odsunął się od niej.

- Bądź posłuszna, moja pani! Twój małżonek jest królem Francji. Spojrzała na niego, jakby nie mogła uwierzyć w to, co mówi.

Rajmund najwyraźniej ją odtrącił, choć przedtem obiecywał złote góry.

Zdezorientowana, doszła do wniosku, że nie należy przeciągać sytuacji, i odrzuciła kołdrę. Zupełnie obojętnie założyła w ich obecności swoją suknię z błękitnego jedwabiu, tę samą, którą przedtem Rajmund miłosnym gestem zsunął z jej bioder.

Zadrżała, gdyż poczuła nagły chłód. Może sprawiła to złowróźbna cisza, groźniejsza niż krzyki czy wyzwiska.

- Chodźmy, panie - rzuciła w stronę Ludwika, powstrzymując gorzkie łzy rozczarowania.

Jeszcze raz Rajmund ją opuścił. Nie patrząc na niego, wyszła z pawilonu myśliwskiego, który od dwóch tygodni był schronieniem dla ich zakazanej miłości.

Będzie tęsknić do tych glinianych ścian! Ludwik ujął jej ramię, pozwoliła się prowadzić, jednak szła z dumnie podniesioną głową i zaciśniętymi zębami. Mimo wszystko była królową Francji. Czy mąż wyjmie miecz i przebije ją tu, w cieniu drzew? Czuła, że jest na nią wściekły.

Ludwik zatrzymał się na polance, gdzie czekał jego koń. Alienor zauważyła, że jej wierzchowiec, którego wprowadziła do stajni, był teraz uwiązany do drzewa. To przyprawiło ją o uśmiech. A więc Ludwik był na tyle opanowany, że troszczył się o takie szczegóły, zanim wszedł do nich. Czemu zostawił im tyle czasu, skoro mógł

wtargnąć wcześniej i nie dopuścić do tego? Od kiedy na nich czyhał? Czy ich podglądał? Zaczerwieniła się ze wstydu. Jakże namiętne mogły mu się wydać te sceny, skoro jego stać było zaledwie na namiastkę pieśczoł! Pomyślała, że zapewne cierpiał, widząc, że nie był w stanie dać jej tyle rozkoszy co Rajmund. Poczowała, że robi jej się go żal, i przystanęła.

- Ludwiku - szepnęła w porywie uczucia i ze łzami w oczach. Ale w odpowiedzi zobaczyła tylko chłodne, bezlitosne spojrzenie.

Cofnęła się przestraszona. Ludwik złapał ją za łokieć i brutalnie ścisnął.

- Zamilcz! Sam twój głos budzi we mnie odrazę! Jutro wyjeżdza-

my z Antiochii do Jerozolimy! Módl się, moja pani, aby widok grobu Chrystusa ukoił mój gniew i bym mógł ci wybaczyć. Na razie, do czasu otrzymania nowych rozkazów, pozostaniesz w swoim pokoju.

Ludwik przyszedł do mnie, gdy tylko zamknął królową w pokoju. Uczyłam właśnie damę Konstancji tkactwa, którego ja sama niegdyś nauczyłam się od mojej matki.

Wejście króla uciszyło rozmowy dam, które zarówno we Francji, jaki w Antiochii zainteresowane były przede wszystkim intrygami miłosnymi i plotkami.

Przysłuchiwałam się ich paplaninie z roztargnieniem.

- Czy możemy zamienić parę słów? - zwrócił się do mnie król uprzejmie, lecz zabrzmiało to jak rozkaz.

Panie spojrzały na mnie, a ja poczułam się nagle zażenowana obecnością Ludwika.

Odłożyłam szpulę do koszyka.

- Wasza Królewska Mość jest zbyt łaskawy.

- Czy mamy wyjść, panie? - zapytała, jękając się z przejęcia, księżna najbardziej zaprzyjaźniona z Konstancją. Nie trzeba było zbytnej przenikliwości, by pojąć, że zakochała się w królu, ale on machnął niecierpliwie dłonią.

- Nie. Pani Loanna musi się udać do królowej. Obawiam się, że nie może tu z wami dłużej pozostać.

- Na wszystkich świętych z raj! - zakrzyknęła stara kobieta o skórze pomarszczonej jak suszona śliwka. - Czy nasza dobra królowa jest aż taka chora, że przysyła ciebie, królu, a nie służącą?

Ludwik spojrział na nią tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z niedorzeczności swego postępowania. Czy naprawdę było z nim tak źle, że nie widział nic dziwnego w swoim zachowaniu? Zmusił się do uśmiechu i ujmując mnie za łokieć, odpowiedział niedbałym tonem:

- Oczywiście, że nie! Po prostu cierpi na straszliwą migrenę. Pani Loanna pomoże jej spakować kufry. Ja też chcę osobiście udzielić jej kilku wskazówek.

Plątał się w tłumaczeniach, zatem przecięłam je stanowczo:

- Wasza Wysokość jest królem.

Tylko w ten sposób mogłam usprawiedliwić jego zachowanie. Natychmiast wszystkie panie

pochyliły się nad robótkami. Przepuszcza-

jąc mnie uprzejmie w drzwiach, Ludwik rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie.

Kilka chwil później byłam już w gabinecie, który Rajmund oddał do dyspozycji króla, aby mógł rozmawiać swobodnie ze swymi poddanymi. Choć Rajmund był

seniorem Antiochii, pamiętał swoje zobowiązania z czasów młodości i teraz jeszcze czuł się do pewnego stopnia poddanym tego, który niegdyś był jego królem. Tym bardziej że czuł się winny z powodu swej miłości do królowej. Ludwik przemówił

do mnie bez ogródek:

- Jestem ci wdzięczny za informacje, jakich mi udzieliłaś. Alienor obecnie znajduje się pod strażą w swoim pokoju i opuści go dopiero jutro, gdy wyruszymy w drogę.

Wiesz zapewne, że wczoraj wieczorem rada postanowiła zakończyć krucjatę.

Rajmund się temu sprzeciwił, a królowa uparła się iść za nim wraz ze swymi przekłętymi Akwitańczykami. Posunęła się nawet do tego, że stwierdziła, iż w myśl prawa kanonicznego nasze małżeństwo jest nieważne. Dzięki tobie mogłem powiedzieć wszystkim, że przed wyjazdem armii królewskiej do Jerozolimy królowa odzyskała zmysły i postanowiła podążyć ze swym małżonkiem. Gdybym nie był pewien tego, że zastanę ją z Rajmundem, nie mógłbym wypowiadać się tak stanowczo. Teraz wiem, ile ci zawdzięczam. Królowa wyruszy pod strażą. Liczę na to, że przywołasz ją do przytomności. Musi przekonać swych poddanych, aby poszli za nią. Nie może być tak, że z powodu głupiej miłości porzucimy sztandar Chrystusa i część armii, już i tak osłabionej.

- Stanie się wedle życzenia Waszej Królewskiej Mości. Mogę zapewnić, że królowa będzie mi posłuszna. Wszelako chciałabym prosić o uprzejmość, już ostatnią...

- Słucham - mruknął Ludwik, zapewne w przekonaniu, że już wystarczająco dużo wzięł na swoje barki tego dnia.

- Pan de Saldebreuil, szambelan Waszej Królewskiej Mości, opowiada w swym dziele o naszej podróży z podziwu godną wiernością. Myślę jednak, że na ostatnie wydarzenia należy spuścić zasłonę miłosierdzia. O niektórych faktach lepiej się nie rozpisywać. Nie powinny one przejść do historii.

Na napiętej twarzy króla zagościł szeroki uśmiech. Skłoniłam się przed nim.

Podniósł mnie zdecydowanie i podziękował mi z wielką szlachetnością:

- Czy można aż tak bardzo mylić się w ocenie ludzi? Czemuż to dawałem posłuch tym, którzy cię szkalowali? Pani Loanno, możesz być pewna mej wdzięczności i dyskrecji.

Zgodnie z moimi przewidywaniami zastałam królową we łzach. Rzuciła mi się w ramiona, łkając i szlochając. Czekałam cierpliwie, aż się uspokoi.

- No już, moja kochana, cichutko. Co ty sobie myślałaś? Że możesz tu pozostać, trwając w nieprawym związku? Że staniesz się tytułarną kochanką Rajmunda? Co, twoim zdaniem, zrobiłby Kościół wobec takiego aktu uporu? Popatrz na mnie, Alienor.

Uniosła zapłakane oczy. Wyglądała jak młoda dziewczyna. Z czułością otarłam łzę spływającą po jej policzku.

- Od samego początku wiedziałaś, że to nie może trwać wiecznie. Rajmund nie ma prawa cię kochać.

- Ale on mówił... - szepnęła.

- Obiecanki cacanki. Oboje chcieliście w to wierzyć, ale nie sądzę, byś nie wiedziała, że kiedyś nadejdzie kres waszej miłości. Rajmund należy do przeszłości, musisz to zrozumieć. Jest jeszcze ważniejsza sprawa. Gdybyś upierała się przy swoim, skłóciłoby to rycerzy. Pomyśl o swoich ludziach, Alienor. Jesteś królową Francji, twoim obowiązkiem jest chronić lud i zjednoczyć go pod jednym sztandarem. Ci z północy czekają tylko na pretekst, aby dać upust swoim pretensjom. Błagam cię, me pobłądź jeszcze bardziej, skoro tak wiele zależy od ciebie.

Odczekałam chwilę i użyłam ostatniego argumentu:

- Ponadto jest jeszcze Maria...

Iskierka zapłonęła w jej oczach. Powiedziała głucho:

- Maria... Maria, moja maleńka... Och, Loanno, cóż ja najlepszego zrobiłam?

Myślisz, że Ludwik mi ją odbierze, gdy będziemy w separacji?

- Nie wiem, ale to możliwe. Wszystko się może zdarzyć. Błagam cię, najdroższa, poproś męża o przebaczenie i przysięgnij, że będziesz mu powolna. Akwitania stanie za tobą murem i zwyciężymy przed Panem.

- Na prośbę królowej Melisandy Ludwik chce zdobyć Jerozolimę, podczas gdy powinniśmy wyzwolić Edesę, która była naszym pierwotnym celem. On jest w wielkim błędzie, a tej kobiecie nie

wolno ufać. Myślę, że Rajmund jest lepiej poinformowany niż Ludwik, i wie, jaki ma być dalszy ciąg naszej wyprawy.

- Z pewnością, lecz Ludwik nie zmieni zdania.

- Mogłabym się odwołać do prawa kanonicznego... - szepnęła, spuszczać oczy.

Ta myśl nie była mi niemiła, lecz kiedy indziej i gdzie indziej. Na razie musiałam za wszelką cenę odsunąć Alienor od Antiochii i Rajmunda. Wzdychając głęboko, odparłam stanowczo:

- Dość tego, Alienor. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. W każdym razie Ludwik i tak cię

stąd zabierze. Błagam, moja królowo, zechciej posłużyć się rozumem. Tym bardziej że nie kochasz naprawdę Rajmunda!

Podniosła głowę z błyskiem furii w oczach.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Znam cię dobrze, Alienor. Podoba ci się w nim wszystko to, co straciłaś, zostając królową Francji: smak zakazanego owocu, długie spotkania pod oliwkami, na tarasach, które przypominają ci południe. Jego gorące dłonie, namiętne usta błędzące po twoim ciele. Kochasz w Rajmundzie wszystko to, czego ci brak, lecz powiedz, Alienor, gdzie się podziała twoja duma! Któregoś wieczoru przyłapałam spojrzenie Bernarda de Ventadoura. Zerkał na ciebie, gdy intonował balladę tak smutną, że wszyscy się wzruszyli. W twoich oczach malowała się czułość -

oczywiście nie tak gorąca jak namiętność do Rajmunda. Kochasz Bernarda i on kocha ciebie.

Łzy bólu ukazały się w kącikach jej oczu. Gdy przemówiła, jej podbródek znowu drżał:

- Bernard... Zdradziłam go. Jak on może mnie jeszcze kochać?

- Nosiłaś jego dziecko, Alienor. A on należy do mężczyzn, którzy przez całe życie kochają jedną kobietę. Jak Jaufre.

- Nie zniosę już uścisków Ludwika - szepnęła.

- Ktoś inny go zaspokoi - powiedziałam podstępnie. Spojrzała na mnie zdziwiona.

Nadeszła pora, by powiedzieć jej

prawdę o stosunkach łączących króla z Beatrice. Przyciągnęłam ją do siebie.

Zrezygnowana, złożyła głowę na moim ramieniu. Wtedy szepnęłam jej do ucha:

- Tej nocy król będzie leżał obok Beatrice de Campan i odtąd, moja królowo, me musisz się obawiać, że będzie zabiegał o twe względy.

Drgnęła, jakby ukłuta szpilką.

- Béatrice?

- Ależ, kochanie, nie powiesz mi, że nie wiesz o tym, co wszyscy odgadli już dawno.

Ludwik do tej pory nie został jej kochankiem dlatego, że nie wiedział, iż go zdradzasz. Dzisiejsze wydarzenia obudziły w nim chęć zemsty. Jeśli zamkniesz swe drzwi dzisiejszej nocy, zaspokoi go inna kobieta. Nie wątpię, że będzie to Béatrice, a ona zdoła zatrzymać go w swym łóżu.

- Na razie, lecz co się stanie, gdy wrócimy do Francji? - szepnęła drżąc. - Ludwik tak bardzo pragnie



dziedzica... Moim obowiązkiem jako królowej Francji jest dać mu go.

- Wszystko w swoim czasie, kochanie, wszystko w swoim czasie...

Kołysałam ją w ramionach, gładząc jej złote włosy, w których odbijało się światło dnia. Jaka piękna była Antiochia, jej lazuruwe niebo, barwy i wonie! Jak dobrze rozumiałam, że Aliénor chce tu pozostać, po tych smutnych miesiącach spędzonych w Cité de France. Głosem przerywanym ze wzruszenia zapytała:

- Czy mi pomożesz? Skoro muszę wyjechać... zaniesiesz bilecik ode mnie Rajmundowi, żeby wiedział, iż nie mam doń żalu i na zawsze zachowam go w sercu.

Podeszła do sekretery, wzięła pióro i pergamin, by skreślić drżącą dłonią parę słów.

Zapieczętowała list woskiem i swym pierścieniem odcisnęła w nim królewski znak.

Delikatnie go ucałowała i podała mi, spoglądając przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Rajmund przyjął mnie bezzwłocznie w wielkiej sali narad. Podałam mu pergamin.

Gdy przeczytał list, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. On także był

zrezygowany, zapewne od pierwszego dnia podświadomie przygotowywał się do tej chwili, kiedy po raz wtóry będzie musiał zrezygnować z miłości do swej siostrzenicy. Gdy uniósł głowę, zapytałam tylko:

- Czy mam przekazać jakąś odpowiedź?

- Proszę jej powiedzieć, że nigdy nikogo tak nie kochałem i nie będę kochał.

Postąpiła jednak słusznie, nie sprzeciwiając się swemu mężowi. Proszę powiedzieć jej także... - Przygryzł wargę i opanował wzruszenie. - Nie, już nic. Proszę jej nic nie mówić. Niech wierzy w to, że jest mi obojętna. Tym szybciej o mnie zapomni. Ale proszę nad nią czuwać, ona jest taka krucha...

Kiwnęłam głową, skłoniłam się lekko i wyszłam, zostawiając go sam na sam z samotnością. Przechodząc przed wspaniałym lustrem w hebanowej ramie, które zdobiło ścianę na korytarzu, zatrzymałam się. To, co zobaczyłam, zmroziło mi krew w żyłach: ujrzałam czarną kobietę wgrzyżającą się w bijące serce!

Odwróciłam się, ale byłam sama. Tuż obok znajdowała się sala muzyczna, z której dochodziły śmiechy i śpiew. Drżałam od stóp do głów, lecz gdy znowu spojrzałam do lustra, zobaczyłam tylko własną twarz - poruszoną i przerażoną.

Co oznaczała ta wizja? Czy był to znak, czy odbicie nekających mnie wyrzutów sumienia? Zupełnie zdezorientowana, zapragnęłam zobaczyć Jaufrego, którego nie widziałam od rana. Przyspieszyłam kroku i weszłam do sali muzycznej.

Jaufre siedział na drewnianym stołeczku obok swego ucznia Peyronneta, Panperd'hu i Bernarda de Ventadoura. Otaczały ich wianuszkami damy, w malowniczych pozach ułożone na miękkich poduszkach rozrzuconych na przykrytej dywanem podłodze. Rozpostarte fałdy ich sukni tworzyły wielobarwny kobierzec. Stałam oparta o framugę drzwi, niezauważona przez nikogo. Wszyscy spoglądali na człowieka w purpurowej tunice. Najwyraźniej był on ośrodkiem zainteresowania trubadurów i dam. Jego twarz byłaby piękna, gdyby nie ślady po ospie. Mężczyzna miał mniej więcej czterdzieści lat i mówił z miejscowym akcentem.

- Przysięgam, że nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej księżniczki. Jej oczy są barwy fiołkowej jak górskie irysy, a skóra delikatniejsza jest od drzewa sandałowego. Hebanowoczarne włosy połyskują na niebiesko. Ma tak cienką talię, że mógłbym ją objąć dłońmi. Można by sądzić, że Nasz Pan włożył w dzieło stworzenia jej cały swój kunszt.

- Tak pan o niej opowiada, panie Taliessin, że aż zazdrość bierze. Mężczyzna ciągnął dalej z uśmiechem:

- Piękne i szlachetne panie, nie musicie się niczego obawiać. Księżniczka Hodierna z Trypolisu kocha tylko jednego mężczyznę. Szczęśliwy ten trubadur, którego kazała mi przyprowadzić, aby sycił ją muzyką i miłością.

Zesztywniałam. Mężczyzna wdzięcznym gestem wskazał Jaufrego. Rozległy się burzliwe oklaski. Mój trubadur wstał i z uśmiechem

skłonił się damom. Przez chwilę myślałam, że zemdleję. Czy to możliwe, by Jaufre, mój Jaufre zwrócił się ku innej? Czy taka była cena mojej zdrady i znaczenie przeczucia?

Lawirując między sukniami dam, Jaufre podszedł do mnie. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w naszą stronę. Ujął moją rękę i donośnym głosem, który dochodził do mnie jakby z daleka, obwieścił:

- Niechaj księżniczka Trypolisu szuka pocieszenia gdzie indziej, gdyż dla mnie najpiękniejsza jest ta oto dama, do której wzdycham...

Nie usłyszałam końca zdania. Poczulałam straszliwy ból i ziemia usunęła mi się spod stóp. Ogarnęła mnie ciemność.

Ocknęłam się, czując w ustach gorycz. Jak przez mgłę widziałam zatroskane twarze i słyszałam głosy dochodzące do mnie jakby z wielkiej odległości. Rozpoznałam gorzki smak nalewki z zielonych orzechów. W moim ciele rozlało się ciepło, stopniowo wracała mi świadomość. Jaufre odstawił szklaneczkę na nocny stolik i szepnął:

- Nigdy więcej nie złożę takiego oświadczenia, skoro od razu mdlejesz, gdy je słyszysz.

Potem podłożył dłoń pod moje plecy i pomógł mi wstać. Słyszałam jakieś pytania, ale nie mogłam pojąć ich sensu. Głosem, który wydał mi się obcy, zapewniłam:

- Już mi przeszło, wszystko jest w porządku.

- Czy jesteś pewna, kochanie? - zapytał Jaufre, gdy wsparłam się na jego ramieniu.

Stałam na drżących nogach. Stopniowo odzyskiwałam ostrość widzenia.

- Nie wiem, co mi się stało.

- Nie jest miło dowiedzieć się, że ktoś inny pożąda obiektu naszej miłości... - rzekła kąśliwie księżna orleańska i krzyknęła, gdy któraś z dam dała jej bolesnego kuksańca w bok.

Jaufre obserwował mnie uważnie, więc uśmiechnęłam się do niego uspokajająco.

Zwracając się do mnie z galanterią, rzekł głośno i wyraźnie:

- Czy zechcesz, pani, bym odprowadził cię do pokoju? Jesteś jeszcze bardzo blada.

Potrząsnęłam przecząco głową i powiedziałam tym samym tonem:

- Proszę nie robić sobie kłopotu. Zapewniam, że wszystko jest w najlepszym porządku, drogi przyjacielu. Proszę więc, uwodź te damy, skoro czas temu sprzyja.

Jutro będziemy znów w drodze, a wtedy będą już słuchać innych wierszy.

Wszyscy byli zdziwieni. Panperd'hu, który stał obok Jaufrego, spytał:

- Co mówisz, panno de Grimwald? Słyszeliśmy, że królowa ma zostać tu dłużej, a Ludwik wyrusza ze swymi ludźmi. My, Akwitańczycy mieliśmy podążyć wraz z nią i wojskiem naszego gospodarza. Byłby to dla nas zaszczyt, gdybyśmy mogli skorzystać z zasłużonego wypoczynku u księżniczki Hodierny. W jej imieniu zaprosił nas pan Taliessin, jej wysłannik.

Pan Taliessin skłonił się z galanterią. Wspięłam się na palce, aby mnie wszyscy usłyszeli, i odpowiedziałam tonem rozmyślnie obojętnym:

- No cóż, trzeba będzie z tego zrezygnować lub pozostać w tyle, drogi przyjacielu.

Właśnie Alienor przysłała mnie, bym odszukała Gotfryda z Rancon. Ma on przynaglić swych rycerzy. Pogłoski, drogi Panperd'hu, raz są takie, potem zaś inne, podobnie jak natura kobiet - dodałam porozumiewawczo w stronę Bernarda de Ventadoura, który aż się rozpromienił.

Zwracając się do swych towarzyszy, Jaufre rozłożył ręce tak, jakby chciał objąć wszystkich słuchaczy, i oznajmił:

- Oto dobiegają końca dwa rozkoszne tygodnie. Ze swej strony jestem zbyt przywiązany do sztandaru mojej królowej, by nie odpowiedzieć najej wezwanie.

Zatem powinniście pozwolić mi, bym teraz opiewał Chrystusowe zwycięstwo.

Jakże słodkie będą wasze słowa w moich wspomnieniach. Pójdźmy, Peyronniecie!

Wyruszymy obaj przodem. Chciałeś rozpruć jakiegoś Turka, młody przyjacielu, i skomponować ode - ten moment nadchodzi. Pospieszmy się więc, zgodnie z życzeniem najszlachetniejszej królowej.

Jego współtowarzysze zakrzyknęli jednym mocnym głosem:

- Niech żyje królowa!

Jaufre ujął mnie delikatnie za łokieć i torował nam drogę w tłumie dam. Gdy znaleźliśmy się na osobności, przykląkł na jedno kolano, ujął ceremonialnie moją dłoń i szepnął:

- Przysięgam na Boga, że nie ma żadnej kobiety w moim sercu oprócz ciebie, i tylko śmierć może zwolnić mnie z przysięgi, jaką ci złożyłem.

Na chwilę umilkł, a ja rozkoszowałam się jego słowami - rozproszyły one natychmiast wszelkie moje wątpliwości.

- Wyjdź za mnie, Loanno de Grimwald.

Poczułam się znowu tak, jakby ziemia usunęła mi się spod stóp. W tejże chwili pojawili się pozostali trubadurzy, i grzmiący głos Panperd'hu wydobyl mnie z kłopotliwej sytuacji:

- Widzisz, panie Taliessin, twoja księżniczka poniosła porażkę - śmiał się. - Tych dwoje nie potrzebuje nawet ustronnego miejsca, by wyznać sobie miłość. Jest jak słońce, które przenika wszystko, i czysta.

Jaufre powstał z uśmiechem i dodał:

- To prawda, panie Taliessin! Niebawem będę najszczęśliwszym mężczyzną na tej ziemi.

- Na razie, panowie - rzekłam w najwyższym stopniu zakłopotana - muszę się oddalić, by wypełnić misję, którą powierzyła mi królowa. Zbyt dużo czasu już zmitrężyłam.

To rzekłszy, uciekałam tak szybko, jak mi na to pozwoliły drżące jeszcze nogi.

Tej nocy Jaufre nie mógł przyjść do mnie, gdyż Ludwik prosił, bym spała razem z Alienor. Chciał w ten sposób zapobiec próbie jej porwania. Cóż mogłam odpowiedzieć Jaufremu? Całym sercem pragnęłam nosić wreszcie jego nazwisko, ale miałam jeszcze wiele do zrobienia. Był taki cierpliwy! Już kilkakrotnie Alienor błagała mnie, żebym poślubiła mego trubadura. Plotkowano na temat łączących nas stosunków, gdyż moralność chrześcijańska, o czym wiedziałam doskonale, potępiała niezamężne kobiety uwikłane w taki związek.

Po wypadku z bazyleusem spowiednik króla zasugerował mu nawet, by wydal mnie za mąż jak najszybciej, gdyż jeśli się okaże, iż spodziewam się dziecka, lepiej będzie, bym była mężatką.

Na szczęście gwałt ten nie spowodował niepożądanych następstw. Miałam ten przywilej, iż znałam tajemną moc ziół, uniemożliwiających poczęcie. Miałam odnowić ich zapas w Konstantynopolu, gdzie można było kupić korzenie i zioła z wszystkich stron świata. Tutaj,

w Antiochii, niektórych z nich brakowało i wiedziałam, że niedługo będę ich zupełnie pozbawiona. Pozostanie mi obliczanie dni płodnych według cyklu księżycowego. Nauczyła mnie tego matka.

Poza tym była Aliénor. Dopóty, dopóki Ludwik trzymał się od niej z daleka, me piła naparu, jaki jej zaleciłam, ale czy mogłam być pewna, iż piła go po każdym zbliżeniu z Rajmundem? Jeśli teraz zajdzie w ciążę, będzie to straszne w skutkach, tym bardziej że idea, którą zasiała w moim umyśle, nabierała kształtu. Po powrocie do Francji będę się musiała starannie przyjrzeć pojęciu prawa kanonicznego i posłużyć nim umiejętnie. Potem zaaranżowanie spotkania Alienor i Henryka będzie dziecinną igraszką.

Henryk! Wiercąc się w łóżu, nagle przypomniałam sobie jego ciemne oczy i rudą czuprynę. Był już teraz mężczyzną. Miałam pewność, że spodoba się Alienor. Nie będę musiała długo jej przekonywać, by zechciała zamienić jedno królestwo na drugie, zachowując u swego boku mężczyznę, którego kocha. Tak, to wydawało się łatwe i serce radośniej zabiło w mej piersi. Jeśli nieporozumienia między Ludwikiem a Aliénor staną się większe, będę mogła pozwolić na to, by Jaufré włożył mi obrączkę na palec, a potem - mojemu rodowi zapewnić dziewczynkę, a rodowi Jaufrégo - chłopca. Gładziłam delikatnie swój serdeczny palec, na którym me było jeszcze żadnego pierścionka, i uśmiechając się z zadowoleniem, zapadłam w spokojny sen.

- To ty, Béatrice?

Ludwik otworzył drzwi pokoju i ze zdumieniem ujrzał stojącą na progu Béatrice, drobną i kruchą, z kagankiem w dłoni. Przepuścił ją w drzwiach, rozejrzawszy się uprzednio, czy nikt jej nie widział oprócz straży, którą ona z kolei umiała przekonać.

Béatrice szepnęła:

- Musiałam cię zobaczyć, królu. Zdawałeś się taki odległy przy stole, niewiele jadłeś i mówiłeś tak mało. Niepokoiłam się, pomyślałam, że może jesteś cierpiący.

Przyczyną są zapewne popołudniowe wydarzenia, a nie zbyt obfity posiłek -

powiedziała z naciskiem, spoglądając na niego namiętym wzrokiem.

Słyszając te słowa, Ludwik poczuł, że wzbiera w nim wściekłość, którą starał się hamować przez cały wieczór. Wyjaśniał wszystkim,

którzy domagali się wyjaśnień, że Aliénor cierpi na straszliwą migrenę. Rajmund nie dał się zwieść, ale grał potulnie swoją rolę, mówiąc wszystkim, że powinna odpocząć przed podróżą, skoro taką podjęła decyzję. Ludwik zauważył podejrzliwe spojrzenia wasali Aliénor przy wspólnym stole. Musiał się opanować, by nie pokazać po sobie, w jakim złym jest humorze. Wreszcie wszyscy się spakowali i wozy czekały przygotowane do drogi. Mieliśmy wyruszyć przed świtem.

- Panie?

Głos Béatrice przywrócił go do rzeczywistości. Delikatnie położyła gorącą dłoń na jego ramieniu. Patrzył na nią, lecz nie widział jej, wciąż bowiem przeżywał

wydarzenia wieczoru. Gdy poczuł palący dotyk jej dłoni, spojrział na nią smutno i ze zdziwieniem. Była taka słodka. Ujął jej dłoń, tak jak się trzyma ptaszka, by nie uleciał. Béatrice patrzyła oczami pełnymi miłości.

- Czy chcesz, abym cię zostawiła samego, królu? - rzekła głosem łamiącym się z pożądania.

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i zaczął całować z takim zapamiętaniem, że zakreśliło się jej w głowie. Otoczywszy jego szyję ramionami, Béatrice pozwoliła ukochanemu mężczyźnie ułożyć się na łóżku.

- Kocham cię - szepnęła, gdy oddech Ludwika połączył się z jej oddechem.

Biała, spokojna Jerozolima przyjęła nas jak ojczysta ziemia. Przez całą podróż Ludwik był jakby nieobecny i Alienor nawet nie próbowała przerwać milczenia.

Teraz stało się widoczne, że mieliśmy nie jedną armię, lecz dwie. Wojska północy nie mieszały się już z wojskami południa. Choć Akwitańczycy niechętnie pogodzili się z decyzją swojej księżniczki, nadal uważali, że król nie ma racji.

Od razu po naszym przyjeździe Ludwik poszedł się pomodlić na grobie Chrystusa, podkreślając, że w swych uczynkach kieruje się tylko wiarą. Gdy młody król Jerozolimy, wspierany przez swą matkę Melisandę, zaproponował oblężenie Damaszku, Alienor oburzyła się. Dlaczego Damaszku, a nie Aleppo czy Edessy?

Ludwik uciszył ją tonem nieznoszącym sprzeciwu i odesłał do pokoju. Wyszła, po-

łykając łzy. Powinna spoliczkować go i splunąć mu w twarz, uciec od niego jak najdalej, lecz zrezygnowana nie miała na to dość siły. Kazał jej pilnować jak więźnia, nawet spać nie mogła sama. Ludwik chciał pokazać, że to on jest panem, i Alienor bała się go. Lękała się, że ten konflikt zniweczy cel krucjaty, którym było połączenie dwóch różnych ludów w jeden. Przemilczała więc incydent i po kilku miesiącach przygotowań zjednoczone armie Francji, Niemiec i Królestwa Jerozolimy ruszyły na Damaszek.

Mieszkańcy Damaszku byli lepiej przygotowani na nasze przybycie, niż przypuszczaliśmy, więc od razu ugasili nasz wojowniczy zapal. Armia Konrada i młodego Baudouina wycofały się, a my pozostaliśmy, by oblegać miasto wbrew zdrowemu rozsądkowi. Ludwik nie chciał się uznać za pokonanego! Wkrótce więc z oblegających staliśmy się obleganymi. Turcy okrążyli nas, niebezpieczni i groźni.

Korzystając z osłony nocy wślizgiwali się do naszego obozowiska, by wziąć jeńców.

Dopiero rankiem odkrywaliśmy ślady ich pobytu. Potem zaczynało się piekło: krzyki naszych ludzi, których wydano damasceńczykom. Torturowano ich godzinami na murach miasta. Nie mogliśmy temu zapobiec. W końcu sadyści, śmiejąc się, zrzucali wymęczone ciała jeńców za mury. Na próżno Ludwik wznosił

wysoko krzyż, błagał o pomoc Boga aż do zachrypnięcia, płakał krwawymi łzami -

nic nie pomagało. Nie zwyciężył, gdyż upór kazał mu słuchać własnej pychy.

Dopiero po dwóch tygodniach zgodził się poddać.

Zwinęliśmy obóz i wróciliśmy, przegrani, do Jerozolimy. Ludwik udał się prosto na grób Chrystusa, ale nie znalazł tam spokoju. Wówczas, w geście pokory, poprosił, aby go publicznie wychłostano. Chciał w ten sposób odkupić śmierć tych, których życie złożył w ofierze. Całymi dniami modlił się w bazylice, płakał u stóp krzyża, krzyczał, błagał o przywrócenie sprawiedliwości i pokoju. Pewnego

ranka postanowił ponownie zawrzeć sojusz z wrogiem Rajmunda i bazyleusa Komnena -

Rogerem z Sycylii, którego zaproszenie poprzednio odrzuciliśmy. Powrót do Francji zdawał się ciążyć Ludwikowi. Nie ukończył misji. Alienor patrzyła na niego z niemym wyrzutem w oczach. Nie powiedziała tego głośno, ale rozwój wydarzeń przyznał rację jej i Rajmundowi.

Brała teraz odwet. Zdarzało się, że zmyliwszy strażę, przekradała

się do Bernarda de Ventadoura. Miała chyba nadzieję, że Ludwik się o tym dowie i przepędzi ją. To jednakże nie nastąpiło. Nadal oddawał się pieszczotom Béatrice, czerpiąc z nich nadzieję i pociechę. Nie miał prawa krytykować żony za niewierność, skoro sam nie był już jej wierny?

Jaufré i ja przeżywaliśmy chwile szczęścia. Chciałam w to wierzyć, bo on nie był już taki sam jak przed oblężeniem Damaszku. Jego młody i zdolny uczeń Peyronnet został porwany przez Turków. Odnaleziono go zgwałconego i uduszonego strunami mandory. Jaufré czuł się odpowiedzialny za jego śmierć.

Często był jakby nieobecny i całymi dniami milczał. Niepokoiliam się o niego, ale pomyślałam sobie, że czas zaleczy rany. Przez sześć miesięcy, bo tyle trwał nasz pobyt w Jerozolimie, starałam się ulżyć jego cierpieniom, po prostu trwając przy nim.

Nagle Ludwik postanowił wracać do Francji. Wojska królewskie odplynęły z Akry w Wielkanoc 1149 roku. Ludwik z ludźmi z północy i ukochaną Béatrice na jednym statku, Aliénor zaś i południowcy wraz z trubadurami, z wyjątkiem Panperd'hu, który udał się do Trypolisu - na drugim. Obie strony były rade, że nie muszą się tolerować nawzajem w drodze, która miała prowadzić najpierw na Sycylię, a stamtąd do domu.

Rano dotarliśmy do Peloponezu. Statek kołysał się na spokojnych falach morza.

Stojąc na mostku, Jaufré z lubością wdychał świeże powietrze. Ostatnio coraz częściej cierpiał na ataki migreny. Chwilami ból rozsadzał mu czaszkę. Do niedawna stopniowo ustępował. Jednakże od czasu przymusowego skoku do fosy, kiedy Robert z Dreux wyważył drzwi do mojego pokoju - wzmagął się. Jaufré nikomu o tym nie mówił. Tyle się wydarzyło, tyle było bolesnych wypadków, które pozostawiły w naszych sercach gorzyc i pozbawiły nas złudzeń. Każdy dźwigał

swój ciężar bez słowa skargi, a zatem i on milczał.

Westchnął boleśnie na wspomnienie zmasakrowanej twarzy Peyronneta. Nie wybaczy sobie tego, że zabrał go w tę podróż. W Blaye mógł zostać wielkim trubadurem. Miał po temu zdolności, głos, biegłość. Peyronnet mu zawierzył! A co on dał temu chłopcu w za-

mian? Straszne cierpienie i poniżenie, a na koniec śmierć! Los nie jest sprawiedliwy!

Jaufre machinalnie śledził lot mewy, która majestatycznie kierowała się ku brzegowi. Potem zwrócił się z czułością w moją stronę. W odpowiedzi uśmiechnęłam się doń. Stałam przy barierce obok Alienor. Ja też wdychałam chłodne powietrze, by poprawić sobie samopoczucie. Od naszego



wyjazdu odczuwałam stale mdłości, na które nie pomagały żadne środki. Codziennie rano zwracałam śniadanie za burtę. Nie niepokoiłam się tym zbyt, gdyż nie tylko ja cierpiałam na chorobę morską. Nasz kapitan, Antonio Gaviardi, barczysty mężczyzna, ratował się nalewką goździkową destylowaną w Tortozie, którą miał

zawsze przy sobie i popijał wielkimi łykami z manierki przywieszanej do paska. Nie był przystojny, lecz wdzięku dodawała mu czarna, kędzierzawa czupryna podtrzymywana opaską, gęsta wijąca się broda, w której srebrzyły się nitki siwych włosów, i niebieskie oczy. Ponadto jego przekorny sycylijski humor sprawiał, że był

niezmiernie interesującym towarzyszem.

Dzięki łagodnej pogodzie wyprawa nasza nabierała charakteru przejażdżki.

Napięcie ustąpiło, odkąd nie byliśmy narażeni na humory Ludwika. Z rozkoszą rozprawialiśmy o naszej słodkiej Francji. Morska bryza rozpędziła odór krwi, a my uczyliśmy się na nowo cieszyć życiem i śmiać się. Z pewnością nie byliśmy już tymi samymi ludźmi, którzy dwa lata temu, przed wyruszeniem na wyprawę, przyczepiali sobie do rękawów szkarłatne krzyże. Ja sama byłam załamana i przerażona widokiem mordowanych kobiet i dzieci, obrazem ciał, szarpanych przez sępy.

Czułam ból, którego nic ani nikt nie mógł ukoić. Mówiono, że ponieśliśmy klęskę na skutek błędu taktycznego, słabości wojska, braków w uzbrojeniu i złej aprowizacji oraz obecności kobiet w krucjacie. Mówiono o wszystkim, tylko nie o rzeczywistej przyczynie - o absurdalności tej wojny. Płakałam więc skrycie nad ignorancją ludzi, bezgraniczną głupotą i pychą, która ich popychała do ciągłego grabienia, a także nad tym, jak łatwo przychodzi człowiekowi wypierać się swoich grzechów.

Jaufre podszedł do nas i także oparł się o barierkę. Był blady, lecz i ja byłam blada, więc nie przypuszczałam, że cierpi z innego powodu niż choroba morska, atakująca nas bezlitośnie.

Fale uderzały o burtę statku powoli i miarowo.

- Popatrzcie! - zawołała Alienor.

Kilka delfinów wyskakiwało radośnie z wody, jakby na powitanie. Ich taniec rozbawił nas. Są chwile warte więcej niż całe złoto świata!

- One bez wątpienia są naszymi przyjaciółmi!

Odwróciliśmy się jednocześnie i spojrzeliśmy prosto w roześmianą twarz Gotfryda z Rancon, który podszedł do nas. Alienor zbeształa go:

- Na tych wodach mamy samych przyjaciół.

- Zwłaszcza odkąd statek naszego dobrego pana Ludwika musiał zawinąć do portu z powodu uszkodzenia! - odpowiedział z lekką nutką impertynencji.

Alienor wybuchnęła śmiechem.

- Miarkuj się, panie de Taillebourg! Chociaż muszę przyznać, że ja też cieszę się z tej niespodziewanej przerwy w podróży. Lecz zapomnijmy o królu, zgoda? Wróćmy do pań i tej nieszczęsnej Sybil-li. Możemy zadawać sobie zagadki, celujesz w tej grze. Przyłączycie się do nas? - spytała Jaufrego i mnie.

- Wasza Królewska Wysokość, wolałbym teraz opiewać piękno tańca morskich fal.

- W takim razie będę ci towarzyszyć - szepnęłam do Alienor, gdyż zrozumiałam, że Jaufre chciał pozostać sam.

Graliśmy przez jakiś czas, porzuciwszy Sybillę, która nie mogła dojść do siebie po swoich przeżyciach i wciąż spoglądała w dal szklanym wzrokiem. Potem, ukołysani falami i ciepłym słońcem, zatopiliśmy się w marzeniach. Od czasu do czasu otwierałam oczy, żeby zerknąć na Jaufrego. Stał na dziobie statku, mimo ostrzeżeń kapitana, który uważał to miejsce za niebezpieczne. Ale Jaufre nic sobie z tego nie robił. Z mandorą w ręku szukał rymów, czasem podkreślając je akordem.

Komponował, a ja patrzyłam na niego, bezgranicznie szczęśliwa.

- Statek od bakburty statek od bakburty!

Ledwie unieśliśmy głowy na ten okrzyk, byliśmy bowiem przyzwyczajeni do tego, że z jednej lub z drugiej strony pojawiał się jakiś okręt. Dopiero drugi okrzyk postawił nas na nogi:

- Statek od bakburty, sunie prosto na nas, kapitanie!

Antonio stał na wachcie i wpatrywał się w horyzont, osłaniając dłonią oczy.

Wydawał rozkazy, których nie zrozumieliśmy, lecz nie było takiej potrzeby.

Wszyscy wstaliśmy z miejsc, by przekonać się na własne oczy, czy grozi nam niebezpieczeństwo. Lekki okręt pod grecką banderą płynął z rozwiniętymi żaglami z wielką szybkością w naszym kierunku.

Alienor wydała lekki okrzyk i wskazała na północ. Zauważyła drugi okręt, który sunął tuż za pierwszym. Jednym skokiem znalazła się obok kapitana. Rzuciłam niespokojne spojrzenie w kierunku dziobu. Nie było tam już Jaufrego. Ogarnęło mnie uczucie paniki, natychmiast uspokoiłam się jednak, gdyż po chwili zauważyłam, że pojawił się na mostku. Wkrótce był już przy nas.

- Obawiam się, moje panie, że nie jest to przyjazny nam okręt. Lepiej będzie, jeśli zamkniecie się w swoich kabinach i opuścicie je, gdy będzie bezpiecznie.

Lecz Faydida z Tuluzy, której w Damaszku zadano paskudną ranę i miała teraz szramę w kąciku ust i na prawej skroni, uniosła kościsty podbródek i dumnie wypięła pierś:

- Stawiłyśmy czoło Turkom, czy myślicie więc, że ulękniemy się Greków? Nadeszła pora, by pomścić nasze towarzyszki porwane w Attalii!

I dla podkreślenia swych słów wydobyła z pochwy sztylet, który tylko ona miała przy sobie, a nie w kabinie.

- Pani Faydida ma rację - poparłam ją. - Musimy wesprzeć naszych mężczyzn. Do broni, panny!

Widziałam, że Jaufre zadrżał, lecz nie powiedział ani słowa. Tymczasem my wszystkie popędziłyśmy do kabin po broń.

Gdy ponownie pojawiłyśmy się na pokładzie, wasale Alienor byli już gotowi do obrony. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że nie zdołamy umknąć przed tymi lekkimi i szybkimi okrętami. Mimo sprawności naszego kapitana należało spodziewać się abordażu!

Alienor wydobyła miecz i przyglądała się zręcznym manewrom nieprzyjaciela, który zbliżał się od bakburty i przygotowywał do zrównania się z naszym statkiem.

- Jesteśmy zgubione - szepnęła Sybilla i padła z płaczem na kolana.

Potrząsnęłam nią z całej siły.

- Wstawaj, Sybillo! Wstań, rozkazuję ci! Podnieś się!

Patrzyła na mnie niewidzącymi oczami. Zrozumiałam, że oczami duszy widziała inną walkę i że nie można teraz na nią liczyć. Podniosłam ją i zaciągnęłam na schody prowadzące do kabin. Doszłam do wniosku, że nigdzie nie będzie bezpieczna, więc ukryłam ją za skrzynią i rzuciłam na nią pościel.

Zamknęłam za sobą drzwi i popędziłam w stronę schodów, lecz nagły wstrząs spowodował, że straciłam równowagę i upadłam. Przez chwilę byłam oszołomiona, lecz szybko wstałam i z mieczem w dłoni pomknęłam schodami w górę.

Na pokładzie trwała już zacięta walka. Grecy nie byli sprawnymi żołnierzami, lecz dobrymi marynarzami i mieli nad nami pewną przewagę. Na szczęście majtkowie kapitana Antonia wyjątkowo zręcznie wymachiwali szablami. Nasza sytuacja była jednak niepewna. Jeśli nadpłynie drugi okręt, znajdziemy się w kleszczach, a ponadto nasi wrogowie będą mieli przewagę liczebną. W tej samej chwili, w której postanowiłam użyć magii, prosto w moje ramiona wpadł młody Teodoryk de Moroit, ugodzony w bok. Jego napastnik, jasnowłosy olbrzym o pożółkłych ohydnych zębach, spojrzał na mnie pożądliwie. Ciało Teodoryka upadło na pokład.

Olbrzym skoczył na mnie z szybkością błyskawicy i zrozumiałam w lot, że najpierw muszę się go pozbyć, a dopiero potem działać. Uchyliłam się przed jego szpadą, która musnęła mój bok. Znow chciał mnie zaatakować, lecz jego wzrok padł na kamień księżycowy, który zawiesiłam na złotym łańcuszku na szyi. Uśmiechnął się z zaciekawieniem i cisnął miecz na ziemię. Jeszcze chwila i padłam pod jego ciężarem. Krzyknęłam, wypuszczając broń z ręki. Na próżno wrywałam mu się i biłam go w plecy pięściami, nie udało mi się go zrzucić z siebie. Wierzgając nogami, wzywałam pomocy, podczas gdy on, unosząc mnie, przeciskał się między walczącymi.

Moje krzyki usłyszał Gotfryd z Rancon, który nie bez trudu pozbył się dwóch Greków - chuderlawych, lecz zręcznych. Rzucił się na olbrzyma. Zobaczyłam, że jego miecz wbija się aż po rękojęć w skózaną kolczugę ochraniającą mego napastnika. Grek ryknął, zaskoczony, i odwrócił się. Wtedy zdołałam mu się wyrwać. W samą porę uskoczyłam w bok - olbrzym padał właśnie na pokład, obficie brocząc krwią.

Ale Gotfryd już na to nie patrzył, gdyż zwrócił się ku nowemu napastnikowi.

Cofnęłam się w stronę masztu z bocianim gniazdem i rozejrzałam bacznie dokoła.

Drugi okręt przybliżał się bardzo szybko. Wkrótce nastąpi abordaż i padniemy ofiarą tych złoczyńców. Nie było czasu na rozważania, czy zostanę spalona na stosie jako czarownica. Wszystko było lepsze niż śmierć mych towarzyszy, a przede wszystkim Jaufrego, którego nigdzie nie widziałam.

Jednym skokiem zerwałam się na równe nogi i uniosłam ręce ku niebu, rzucając okrzyk:

- Niechaj z ciemności i z dnia, z przepastnych głębin i z otchłani czasu powstanie czarny smok i niechaj tylko źli Grecy zobaczą jego ziejącą paszczę i poczują cuchnący oddech!

Wjednej chwili olbrzymi cień przesłonił tarczę słoneczną, a wokół mnie rozległy się okrzyki przerażenia. Na drugim z okrętów widać było oznaki paniki. Mężczyźni, już przygotowani do skoku na nasz statek, cofali się z lękiem. Na pokładzie naszego statku zaskoczeni nieprzyjaciele opuścili miecze, otwierając usta ze zdumienia i strachu. To wystarczyło, by nasi ponowili atak i odnieśli tym razem zwycięstwo.

Tylko ja spośród naszych ludzi widziałam bestię, której z nozdrzy buchał ogień. Ale było to tylko złudzenie. Gdy już wszyscy wrogowie leżeli na pokładzie, opuściłam ramiona i bestia znikła. Dopiero wtedy wszyscy zwrócili się w moją stronę, lecz nie rozumieli, co się zdarzyło. Wszyscy jednak zauważyli moje uniesione w górę ramiona, otoczone szkarłatną aureolą.

Ludzie tłoczyli się wokół mnie, o mało mnie nie dusząc. Nie to było jednak ważne.

Zrobiłam dobry uczynek i uratowałam moich bliskich. Uratowałam królową draśniętą w ramię, ocaliłam Jaufrego, który wstawał, kulejąc, uratowałam Sybillę, która nic nie widziała, lecz straciła przytomność pod górą pościeli, jaką ją przykryłam.

Nagle, jakby na komendę i za przykładem królowej, wszyscy przyklękli i zakrzyknęli: „Alleluja”.

Potrzeba mi było kilku sekund, abym zrozumiała, że moi przyjaciele, którzy nie dostrzegli potwora, uznali, że to Bóg im pomógł. Powinnam była roześmiać się z tego nieporozumienia, ale uczułam jedynie bezbrzeżną czułość. Jakże byli łatwowierni! Jacy byli bezbronni! Czy mogłam jednak czynić im z tego zarzut?

Jedno było pewne -działałam powodowana miłością. Może to było najważniejsze.

Wysłuchując dziękczynnych pieśni, poczułam nagle potworne zmęczenie.

Odwołanie się do magii było wyczerpujące, tym bardziej

że nigdy przedtem nie posługiwałam się czarami. Chwiejąc się jeszcze z wysiłku, podeszłam do Jaufrego, który wpatrywał się we mnie z miłosnym zapałem.

Wyciągnął do mnie ręce, lecz zanim padłam w jego objęcia, zobaczyłam coś przerażającego. On także zbladł i upadł na ziemię. Krzyknęłam z zaskoczenia i bólu, a potem zapadłam w ciemność.

Gdy się ocknęłam, noc kołysała łagodnie okrętem. Jaufre usnął przy mnie. Jego równomierny oddech i zaróżowione policzki uspokoiły mnie. Delikatnie pogłaskałam mego ukochanego po policzku. Od razu otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie.

- Wydaje mi się, że moja dobra wróżka ma się lepiej - szepnął, przyciągając mnie do siebie.

Poddałam się jego pocałunkom.

- Co się stało? - zapytałam, wtulając się w jego ramię.

- Nic takiego - zażartował. - Podniosłaś ramiona do nieba, więc niebo nas ocaliło.

Przynajmniej taką wersję zapisał kapitan w dzienniku pokładowym. Alienor dodała, że zapewne musiałaś widzieć Matkę Boską marynarzy, gdyż twoja twarz była rozjaśniona szczęściem i błogością. Co się zaś tyczy naszych jasnowłosych napastników, nikt nie wie, co oni widzieli - zapewne gniew boży. Potem -jak wszyscy święci znani z historii - zemdląłeś, aby lepiej przechować w sobie tchnienie boże. Marynarze wrzucili ciała poległych do morza i wyszorowali zakrwawiony pokład, ksiądz odprawił mszę za ich dusze, nasze dusze, a przede wszystkim za twoją duszę, która została wybrana. Piękna opowieść, która z pewnością przetrwa w pieśniach.

- Czyje napiszesz? - zapytałam z uśmiechem.

- Nie, moja piękna! Pozostawię innym dzieło sławienia twej pobożności. W

przeciwnym razie miałbym skrupuły, czy mogę poślubić świętą! A ponieważ, jak widzisz, jestem stały w swych zamiarach, powiesz mi, jaki to obraz zjeżył włosy na głowach tych złoczyńców?

- Smok.

- Smok? Taki ohydny jak z legendy? Wielogłowy, ziejący ogniem?

- Jeszcze gorszy, gdyż miał cuchnący oddech i wyłupiaste oczy, którymi toczył wokoło, o tak.

I podejmując jego grę, usiadłam i jęłam naśladować potwora. Wybuchnął swoim czystym, dźwięcznym śmiechem, który tak uwielbiałam. Potem znów przyciągnął

mnie do siebie.

- Kocham cię, Loanno de Grimwald.

- Ja też cię kocham, Jaufre de Blaye.

- Blaye będzie dobrze strzeżone, jeśli potrafisz trzymać wrogów na dystans, stosując takie sposoby. Do diabła, Loanno, mam do ciebie bezgraniczne zaufanie, ale jeśli przypadkiem ktoś cię zaskoczy na tych praktykach, zostaniesz posądzona o konszachty ze Złym. Czasami lękam się tego. Przypadek chciał, że na tym statku nie ma twoich wrogów, ale popatrz, co się stało w Antiochii. I jeszcze coś.

Wziął klejnot i podał mi go. To mój księżycowy kamień zawieszony na złotym łańcuszku. Uniosłam rękę do szyi.

- Zameczek jest wyłamany. W chwili, gdy do morza wrzucano tego, który wyglądał

na ich przywódcę, zobaczyłem w jego palcach ten łańcuszek. Nie muszę chyba dodawać, jak się śpieszyłem, by mu to odebrać. Dopiero wtedy zobaczyłem to.

Otworzył zaciśniętą dłoń, a ja rozpoznałam pierścień z pieczęcią Manuela Komnena.

- Nie zaatakowano nas przypadkowo, Loanno. Alienor sądzi, że to z jej powodu Grecy przeszli do czynów, gdyż chcieli znacznego okupu. Początkowo myślałem, że ma rację, ale teraz nie jestem już tego pewien. To ciebie szukał ten barbarzyńca.

Gotfryd z Rancon jest tego samego zdania. Komnen szukał zemsty.

Potrząsnęłam głową.

- To było tak dawno...

- Jesteś inna, Loanno, i dlatego albo się ciebie pragnie, albo chce się twej zguby.

Wyjdź za mnie jak najprędzej, zanim jakiś wasal na żołdzie twoich wrogów zdąży poprosić Ludwika o twoją rękę i ją otrzyma.

- Ludwik me uczyni tego bez mojej zgody.

- Najprawdopodobniej, ale czy możesz być tego pewna? Mury Blaye są w stanie zagrozić drogę niejednemu pretendentowi, a ja mam wielu sojuszników.

Ofiarowując ci swoje nazwisko i tytuł, daję ci też moje ziemie i ludzi, aby czuwali nad tobą o wiele lepiej niż niezdarny poeta.

- Daj mi jeszcze trochę czasu, ukochany. Gdy wrócę do Francji, Alienor rozstanie się z Ludwikiem na mocy prawa kanonicznego, a Anglia będzie miała swoją królową. Wtedy już nic nie będzie stało mi na przeszkodzie, a ja podążę ku swemu przeznaczeniu.

- Czy to jest obietnica?

- Całe moje życie jest obietnicą.

I dla przypieczętowania tej przysięgi ułożyłam się na jego ciele miękkim jak jedwab.

Wkrótce przybiliśmy do Palermo, gdzie dowiedzieliśmy się, iż statek Ludwika także został zaatakowany przez flotę bizantyńską. Uratowali go Normanowie z Sycylii.

Szczęśliwie, że dotarliśmy do bezpiecznej przystani bez żadnych przygód, znalazłyśmy się w Potenzy gdzie król Roger podjął nas z wielką uprzejmością.

Gdy stanęłam na twardej ziemi, od razu poczułam się lepiej. Ucieszyłam się, bo pomyślałam sobie, że wreszcie skończą się moje mdłości. Niestety szybko się rozczarowałam. W dwa dni po przybyciu w białym, słonecznym pałacu króla, znowu wyrwały mnie z łóżka wymioty. Wyprostowałam się, aby wytrzeć się nad srebrną miednicą, zerknęłam w zwierciadło i zobaczyłam swoją twarz. Od kilku tygodni nie zwracałam uwagi na swój wygląd, więc te sine kręgi pod oczami przestraszyły mnie. A potem nagle doznałam olśnienia.

Byłam w ciąży! Dotknęłam rękami brzucha. Był trochę powiększony, a moje piersi stały się nieco cięższe. Jak mogłam się tego nie domyślić? To prawda, że na statku nie miałam wiele czasu na zajmowanie się sobą. Poszukałam we wspomnieniach daty mej ostatniej niedyspozycji miesięcznej. Na to także nie zwracałam uwagi.

Chyba minęły trzy miesiące. Trzy miesiące! Zakręciło mi się w głowie, tak że musiałam się złapać łóżka. Trzy miesiące, a ja nie miałam pod ręką żadnych ziół

poronnych. Zadrżałam z niepokoju. Dziecko Jaufrego było tu, w moim brzuchu.

Powinnam skakać z radości, a ja myślałam tylko o tym, jak się go pozbyć.

Do oczu napłynęły mi łzy wściekłości, bezsilności i szczęścia. Czyż nie był to znak losu, że moja misja jest skończona i że muszę pomyśleć o własnym życiu? Jednak nie mogłam odejść, dopóki nie doprowadzę do spotkania Henryka z Aliénor.

Miałam jeszcze trochę czasu, ciąża stanie się widoczna za trzy miesiące... Nie, nie powiem nic Jaufreму. Wkrótce będziemy znowu w Ile de la Cité, a ja pojedę do Bretanii, na spotkanie z Henrykiem. Potem urodzę dziecko i zostanę żoną Jaufrego.

Wszystko potoczy się jak z płatka. Kiedy zmiany w mojej figurze staną się wyraź-

niejsze, mocniej ścisnę sznurówki gorsetu i zabronię przystępu do łóża mojemu trubadurowi. Na razie nic nie zauważył. Będzie musiał udać się do Blaye, za dużo czasu poświęcił krucjacie. Będę miała swobodę działania. Tak, wszystko powinno się udać. Pogłaskałam delikatnie swój brzuch.

- Moje maleństwo. Moja córeczko - szepnęłam z rozczuleniem.

Gdy Camille, moja pokojówka, weszła, by pomóc mi się ubrać, zastała mnie w tej samej pozycji, z zamyśloną miną. Moje myśli powędrowały ku tej błotnistej ziemi, tam gdzie przeżyłam najpiękniejsze chwile mego życia.

Ludwik zapowiedział się w pięć dni później. Był wychudły, a jego spojrzenie świadczyło o tym, że drażył go jakiś wewnętrzny demon. Przyszedł przywitać się z Alienor. Opowiedział, że podróż miał ciężką, cały czas był chory, i myślał tylko o tym, by pomodlić się na twardej ziemi. Roger z Sycylii pospiesznie więc kazał

odprawić mszę, podczas której uczyniono aluzję do Ducha Świętego, który zstąpił w odpowiedzi na moją modlitwę i pozwolił nam odnieść zwycięstwo nad Bizantyńczykami. Rozzłościło mnie to. Tym bardziej że biskup uznał za stosowne dodać, iż tylko czysta dusza dziewicy mogła zostać obdarzona łaską Pana.

Coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nikt nie powinien wiedzieć o mojej ciąży. Choć wszyscy byli pewni, że już nie jestem dziewicą, nikt - z wyjątkiem Denysa - nie mógł tego potwierdzić. Jaufre starał się zachować mój honor, opowiadając, że nasza miłość jest czysta i szlachetna, nazywał mnie swoją

„daleką" i wymykał się z mego łóża, zanim wszyscy wstali. Jednakże Beatrice de Campan była wystarczająco sprytna, by nie wierzyć w to, że łaska Boska dotknęła akurat mnie, która nie modliła się bez przerwy tak jak ona. Stefan z Blois również zerkał na mnie podejrzliwie.

Jaufre miał rację. Musiałam zachować ostrożność. Czarownice wytykano palcem jako wysłanniczki diabła. Choć lud je popierał, coraz częściej musiały się ukrywać w ostępach leśnych. Byłam pewna, że niebawem Kościół zmiażdży wszystkich tych, którzy się sprzeciwiają jego hegemonii, zasłaniając się szatanem jak tarczą, usunie tych, co myślą swobodnie, inaczej. Dopóki byłam przy Alienor, nie miałam się czego obawiać. Dziecko, które nosiłam pod sercem, mogło stać się przyczyną mojej zguby. Kościół rozgrzeszał zamężną kobie-

tę, która zaszła w ciążę z kochankiem, ale nie dopuszczał, by panna - taka jak ja -

afiszowała się ze swym wystającym brzuchem.

Po zakończonej mszy Roger z Sycylii odegrał wzorowo rolę gospodarza. Przez kilka dni uczy, uroczystości i polowania przeplatane były długimi nabożeństwami, w czasie których Ludwik sprawiał wrażenie bardziej rozmodlonego niż kiedykolwiek.

Zaniepokoiło mnie to, że trzymał się z dala od Béatrice, jakby jej unikał. Czy pokłócili się na statku? Jaki grzech ciążył na sumieniu Ludwika, że nie miał odwagi spojrzeć na dziewczynę, którą kochał? Rozpaczliwie próbowałam to wybadać, każąc go śledzić służącej, ale dowiedziałam się tylko, że król spotykał się kilka razy dziennie z biskupem i że odbywali oni długie rozmowy. Mogłam odwołać się do magii, żeby odkryć ich tajemnice, lecz wiązało się z tym zbyt duże ryzyko. W

każdym razie król unikał nie tylko Béatrice, ale i Aliénor, co uspokoiło moje obawy.



Ludwik zamieszkał w celi klasztoru przylegającego do katedry.

Po kilku dniach odbył rozmowę z Rogerem z Sycylii. Nie wiadomo, czego dotyczyła rozmowa, ale po spotkaniu Ludwik nie pojawił się na żadnym z bankietów, tłumacząc, że musi odbyć pokutę i pościć. Przez dwa tygodnie trzymał

się z dala od wszystkich, tak jak uczynił po oblężeniu Damaszku.

Roger z Sycylii był czarujący i dokładał starań, by dostarczyć nam rozrywek, tak że nie mieliśmy czasu zastanawiać się, co się dzieje z królem Francji. Cały czas wszelako pilnowałam się i nie jadłam za wiele, żeby mój stan jak najdłużej był

niewidoczny. Czułam, że dziecko we mnie żyje, wrażenie jedyne w swoim rodzaju.

Była to obecność ciepła i czułości, wypełniająca mnie całą, a pieszczoty Jaufrégo z każdym dniem wydawały mi się coraz bardziej kojące i zmysłowe. Po każdym akcie miłosnym czułam, że moje ciało nadal potrzebuje jego ciała. Było mi dobrze.

Aliénor krzyknęła rozziewając, wypuszczając z dłoni list. Nie zdążyłam jej podtrzymać, gdyż upadła na mozaikową podłogę bez czucia.

- Sole trzeźwiące! - zawołałam do służby.

Byłyśmy zajęte sporządzaniem nowych chorągwi, w których połączone były kolory Francji i Sycylii. Miałyśmy zamiar ofiarować je królom obu krajów. W pewnej chwili wszedł posłaniec, skłonił się przed Alienor i bez żadnych wyjaśnień podał jej pakiecik. Teraz właśnie ten list przekazała mi służąca królowej, Paola.

Najwidoczniej rozumowała podobnie jak ja. Podczas gdy Paola przytykała flakon z solami do nozdrzy Alienor, ja starałam się odcyfrować delikatne literki. Zrobiło mi się słabo. List podpisała Konstancja. Informowała nas o śmierci Rajmunda z Antiochii, który został ścięty podczas walk z Nur-ad-Dinem pod Marasz. A zatem Alienor miała rację, przeczuwając, że już go nie zobaczy, a upór Ludwika, pragnącego zdobyć Jerozolimę, stanie się przyczyną jego śmierci.

Usłyszałam bolesne westchnienie. Odwróciłam się w stronę Alienor, która ocknęła się i do końca pojęła fatalną treść listu. Uklękałam obok niej i objęłam ją mocno, a ona wybuchnęła straszliwym łkaniem.

Upływał właśnie miesiąc, odkąd Alienor odmówiła wychodzenia ze swego pokoju.

Przynoszono jej do łóżka chudy rosółek, który trzeba było podgrzewać kilka razy, zanim zdołała go przełknąć. Królowa była chora. Najwięksi medycy Sycylii czuwali u jej wezgłowia, lecz nie mogli znaleźć przyczyny jej choroby. Strapiony Ludwik odwiedzał ją często, ale w odpowiedzi na swe czułe starania otrzymywał jedynie pogardliwe spojrzenia i znużone gesty. Roger z Sycylii i jego żona byli prawdziwie zatroskani. Starali się, jak mogli, nie zaniedbali niczego, co mogłoby królowej sprawić przyjemność i przywrócić energię. I to właśnie był prawdziwy problem.

Alienor nie mogła się pogodzić ze śmiercią swego wuja. Upływały dni, podczas których już to płakała, już to brała się w garść. Wiedziałam jednak, że w gruncie rzeczy tak nie jest. Oczywiście odczuwała ból po stracie drogiej istoty, ale jeszcze bardziej nękały ją pretensje do króla. Rajmund walczył z wrogiem tam, gdzie uważał, że powinien, lecz cóż mógł uczynić bez wsparcia wojsk królewskich?

Rajmund nie był głupcem. Udając się na pole bitwy, wiedział, że czeka go pewna śmierć. O czymże pragnął zapomnieć, szukając śmierci, jak nie o siostrzenicy, dla której nie miał odwagi przeciwstawić się królowi Francji? To Ludwik był

odpowiedzialny za to wszystko, tylko on.

Stopniowo traciła apetyt, drażona nienawiścią i bólem. Nie oplakiwała swego kochanka, lecz siebie samą i swoją bezsilność wobec

przeznaczenia. Alienor chciała umrzeć, żeby - tak jak Rajmund - nie mieć poczucia, że jest tylko pionkiem na szachownicy historii Francji. Medycy na próżno łamali sobie głowy, żaden nie był w stanie zwalczyć tej cichej choroby. Nie opuszczałam jej ani na chwilę, starając się dać jej całą swoją miłość i troskliwość, ale też byłam bezsilna. Alienor musiała sama zmierzyć się ze swym bólem i w nim znaleźć siłę do przetrwania. Trzeba było czekać.

Jeden z medyków był zdania, że należy jej upuścić krew, by wyszły z niej złośliwe humory, inny - że trzeba natrzeć jej ciało pokrzywą, aby wyrwać ją z apatii, jeszcze inny - że nie ma nic lepszego niż gorące natryski, gdyż pomogą jej odzyskać siły żywotne. Zapewne zabiliby ją tymi zabiegami, gdybym co noc, gdy królowa spała, nie stosowała czarów, aby przegonić koszmary senne. Musiałam utrzymać ją przy życiu wbrew jej woli. Na szczęście znalazłam tu w obfitości melisę i miętę i poiłam ją herbatkami z tych ziół. Co rano odsłaniałam zasłony i zmuszałam Alienor do spoglądania na promienie słoneczne.

Trwało to ponad miesiąc i nagle, pewnego ranka, obudziła się z krzykiem i zaczęła płakać. Ciało jej wstrząsały konwulsje, wymiotowała żółcią. Służąca pobiegła po księdza, mniemając, że nadeszła pora ostatniego namaszczenia. Gdy ksiądz wszedł

do pokoju, Alienor wykrzyknęła - choć do tej pory nie chciała wymówić ani jednego słowa:

- Precz stąd, diabelski pomioście! Powiedz temu klesze, mojemu mężowi, że ze mną nie wygra!

Ksiądz cofnął się, oniemiały ze zgrozy. Oczy Alienor nabiegły krwią, co tak go przeraziło, że się aż przeżegnał. W tej chwili zrozumiałam, że była uratowana.

Jednym skokiem znalazłam się przy księdzu, który wyciągnął przed siebie rękę z krucyfiksem, jak na widok diabła, i odciągnęłam go na bok.

- Proszę, niech ksiądz zapomni, co tu widział. Królowa Francji przyjęła w nocy lek zaordynowany przez medyków i wydaje się, że dzięki niemu opuszczają apatia.

Sądzę, że wieczorem będzie już całkowicie zdrowa.

- Mógłbym przysiąc, że to jakiś diabeł ją opętał - odparł duchowny, dygocząc na całym ciele.

- Proszę nie zapominać, że ksiądz mówi ojej Wysokości, królowej Francji. Lepiej nie wypowiadać pochopnych osądów.

Spojrzał na mnie, a jego wzrok wyrażał mieszaninę obawy, stanowczości i zwątpienia. Jeśli sprowadzi do niej egzorcystę i okaże się, że się mylił, to biada mu.

Królowa opadła na łożo - leżała na brzuchu i płakała z głową wtuloną w poduszki, ściskając je ramionami tak mocno, jakby chciała się nimi udusić. Ksiądz uwolnił

ramię z mego uścisku i wyszedł z pokoju, uprzednio nakreśliwszy w powietrzu znak krzyża.

Pokojówka wcisnęła się w kąt i drżała jak liść osiki. Podeszłam do niej i poradziłam, żeby poszła odpocząć, przy okazji uprzedzając, żeby nam nikt nie przeszkadzał - ani medycy, ani król.

- Zrozumiałaś? Nikt!

Skinęła głową i pospiesznie wyszła.

Dopiero wtedy zbliżyłam się do łóżka i położyłam się obok Alienor. Wczepiła się we mnie i wciąż łkając, mówiła:

- Dlaczego śmierć nie chce mnie zabrać? Dlaczego?

- Cóż uczyniłaby z twoją młodością i urodą?

- Zabiłam Rajmunda... To przeze mnie przeciwstawił się decyzji Ludwika.

- I z twego powodu Ludwik uczynił tak samo. Wiem, co czujesz, ale nie możesz nic zmienić, kochanie.

- Był dla mnie wszystkim, rozumiesz? Wszystkim, co pozostało mi z domu. Z mego prawdziwego domu. Nie mam już nic. Nic...

- Masz Marię... - szepnęłam łagodnie, przypominając sobie, że dwukrotnie już myśl o córce dała jej odwagę podnieść się po ciosie.

Ale tym razem nie zareagowała.

- Ludwik zapłaci mi za to - rzekła po chwili, z nagłą stanowczością.

- Co mu zrobisz, moja kochana? Bóg nie oszczędził nikogo. Ani Rajmunda, ani ciebie, ani Ludwika. Odkąd zachorowałaś, król jest innym człowiekiem, wygląda jak cień. Śmierć twego wuja też go poruszyła. Wiem, że on sam czuje się winny.

- I jest winny! - krzyknęła, podnosząc głowę. - Jest winny! - powtórzyła.

- Nosi ten ciężar na sumieniu i musi żyć z poczuciem winy.

- Zażadam unieważnienia małżeństwa. Nie chcę już żyć z Ludwikiem, słyszysz? Nie chcę, żeby się do mnie zbliżał, nie chcę, żeby mnie dotykał, nie chcę nawet, żeby na mnie patrzył.

- Musisz w tym celu uzyskać audiencję u Jego Świątobliwości.

- Jeszcze czego!

Wyrwała się z moich ramion i zrzuciła kołdrę. Gdy energicznie postawiła na ziemi stopę, by wstać z łóżka, siły raptem ją opuściły i zakręciło się jej w głowie. Opadła z powrotem na łóżko.

Przemówiłam do niej jak do dziecka:

- Już od tygodni nie jesz ani nie wstajesz. Myślisz, że w ten sposób będziesz mogła sprostać racji stanu? Każę przynieść ci bulion.

- Do diabła z bulionem! - krzyknęła z wściekłością, masując sobie łydki. - Każ podać prawdziwe jedzenie. Mam apetyt na pularde i rybę, na sosy i desery, a nie zapomnij o winie.

- Uszczęśliwisz tym żądaniem naszego gospodarza, Wasza Królewska Mość -

powiedziałam, wybuchając śmiechem.

Wtem jej spojrzenie padło na moją talię. Wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta i krzyknęła zdumiona:

- Och!

Przestałam się śmiać. Nie mogłam dłużej ukrywać przed nią swego stanu.

Podeszłam do niej i klękawszy przy łóżku, ujęłam jej dłoń i położyłam na swoim brzuchu. W tej samej chwili dziecko się poruszyło i kopnęło tak, że aż drgnęła jej ręka.

- Jesteś w ciąży! Och, Loanno! To cudownie.

Objęła mnie czule jak siostrę. W jednej chwili była szczęśliwa, choć wydawało się, że zapomniała znaczenia tego słowa.

- Na razie nie wolno nikomu o tym mówić - poprosiłam.

- Chcesz powiedzieć, że...

Kiwnęłam głową. Przez chwilę miała taką minę, jakby chciała o coś zapytać. W

jednej chwili pojęła moją skomplikowaną sytuację.

- Trzeba będzie pomyśleć o ślubie, Loanno - powiedziała.

- Obiecuję ci, że uczynię to od razu po naszym powrocie do Francji. Tymczasem błagam, niech to zostanie między nami. Za nic na świecie nie chciałam przyspieszać biegu wydarzeń, a znasz przecież Jaufrego - gdy dowie się, że noszę jego dziecko, poprosi biskupa, aby natychmiast połączył nas węzłem małżeńskim.

- Jeśli będziesz za długo zwlekać, Kościół nie zgodzi się pobłogosławić waszego związku przed narodzinami dziecka. Nie udziela się ślubu pannie z widocznym brzuchem, to wbrew regułom. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie martw się o mnie. Pomyślałam o wszystkim. Natychmiast po naszym powrocie do Francji ty pozbędziesz się Ludwika, a ja poślubię Jaufrego.

- I zostanę sama...

- Bynajmniej, moja królowo, przysięgam ci uroczyście przed Bogiem.

- Jeśli stracę królestwo Ludwika, co mi zostanie oprócz Akwitanii? Wasale będą się starali wszelkimi sposobami mnie poślubić, aby zdobyć upragnione ziemie.

- Przyjdzie taki czas, kochanie, że Ludwik pożałuje swoich błędów. Zaufaj mi.

- Komu innemu mogłabym zaufać? Tak bardzo cię kocham.

- Ja także cię kocham. Nie mogłabym żyć bez ciebie.

Alienor zjadła tego dnia tyle, że wprawiała wszystkich w zdumienie. Późnym popołudniem pojawiła się na nabożeństwie w olśniewającej sukni - wychudzona i z podkrążonymi oczami, lecz bardziej majestatyczna niż kiedykolwiek. Przyjęła u boku króla komunię i nawet uśmiechnęła się do niego, choć był to uśmiech mściwy.

Odzyskałam moją królową, natomiast Ludwik miał teraz w jej osobie największego wroga.

Od dwóch tygodni nie dopuszczałam do łoża Jaufrego, tłumacząc się chorobą zakaźną przywiezioną z ciepłych krajów. Ścisłałam się możliwie najciaśniej, tak żeby sterczący brzuch nie był widoczny. Na szczęście moja budowa sprzyjała temu.

Matylda często mi opowiadała, że u mojej matki ciąża stała się widoczna dopiero na początku siódmego miesiąca. Wydawało się więc, że jestem pod tym względem do niej podobna, czego sobie niezmiennie gratulowałam. Pewne zaokrąglenie kształtów można było swobodnie tłumaczyć moim upodobaniem do obfitej kuchni śródziemnomorskiej, z której rzekomo nieumiarkowanie korzystałam podczas naszej wyprawy.

Jaufre niczego nie dostrzegał. Zresztą nie czynił mi wyrzutów z powodu izolacji, a nawet miałam wrażenie, że odczuł pewną ulgę. Zauważyłam, że od pewnego czasu był w kiepskiej formie, lecz jego milczenie i melancholię przypisywałam temu, że jego towarzysze opuścili nas, gdy znaleźliśmy się na Sycylii. Dzięki swoim uzdolnieniom byli zapraszani na występy, a teraz ruszyli na podbój Italii. Ponadto Bernard de Ventadour uznał, że rozsądniej będzie odsunąć się od królowej teraz, gdy planowała spotkanie z papieżem. Lepiej było nie narażać się na plotki. Wobec tego został z nami jedynie Jaufré. W

samodzielną drogę ruszyło też paru seniorów, upewniwszy się, że królewskiej parze nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Spieszno im było do Francji, gdzie zbyt długo już ich sprawami kierowały żony, synowie czy zarządcy.

Suger regularnie informował o kwestiach związanych z królestwem. Wydawało się, że panuje tam pokój, gdyż wszyscy byli tak zajęci krucjatą, że nie w głowie im było wszczynanie buntu czy walk z sąsiadami. Podkreślał jednak, że król i królowa powinni wracać jak najszybciej, albowiem teraz - gdy wielu seniorów wróciło już do swych włości - zaczęło się robić gorąco. Robert z Dreux pierwszy zaczął

przemyślać o buncie, odkąd na skutek wydarzeń w Antiochii popadł w niełaskę u króla, swego brata. Nie mógł pogodzić się z tym, że uknuty przezeń spisek, wymierzony poprzez mnie w królową, skończył się chorobą jego i Stefana z Blois, po której długo nie mogli dojść do siebie.

Gotfryd z Rançon wraz z wieloma Akwitańczykami również wrócił do siebie. Obie strony - północ i południe - miały do siebie nawzajem żal, który musiał prędzej czy później doprowadzić do konfrontacji.

Co do reszty Ludwik się nie wypowiadał. Wysłuchał decyzji Aliénor bez mrugnięcia okiem, zapytał, czy pomyślała o konsekwencjach swego czynu, i poprzestał na konkluzji, że nie wybaczy jej zdrady z Rajmundem, choć jego śmierć sprawiła mu prawdziwą przykrość. Oboje wyruszyli więc do Tusculum na audiencję u papieża z twardym postanowieniem separacji. Cały orszak składał się tylko z dziesięciu osób.

W przeddzień wyjazdu Béatrice de Campan poprosiła króla, by wydał ją za mąż, czym wprawiła wszystkich w wielkie zdumienie. Sam Ludwik także wydawał się poruszony. Z trudem przełknął jej prośbę i powiedział, że pomyśli o tym po powrocie do Francji. Ponieważ Béatrice była pupilką Sugera, do niego należało zatwierdzenie ewentualnego kandydata, wybranego przez nią wśród licznych pretendentów, którzy ją oblegali i których starania do tej pory stanowczo odrzucała.

Ludwik czuł się temu winny. Podobnie jak w stosunkach z Aliénor nie ugiął się przed potrzebami cielesnymi i wierzył niezłomnie, że śmierć Rajmunda była karą bożą za to, iż popełnił cudzołóstwo.

Dopóki czczył Béatrice jak święty posążek, Bóg im sprzyjał. Gdy jednak oddali się zakazanym igraszkom cielesnym, wszystko runęło. Ludwik pobłądził, stosując niedozwolone praktyki, które przez jego spowiednika zostały uznane za nieczyste.

Posty i pokuta niczego nie zmieniły. Nadal pragnął dotykać gładkiej, jedwabistej skóry Béatrice, jej spojrzenie sprawiało, że krew zaczynała się w nim burzyć.

Ludwik był nieszczęśliwy. Béatrice była nieszczęśliwa, a Aliénor triumfowała.

Wiedziała bowiem, że Béatrice nigdy nie zostanie królową Francji. Racja stanu zmusi Ludwika do poślubienia dziewczyny ze znacznym posagiem, którego Béatrice nie posiadała. Zapewne dlatego Béatrice skorzystała z przywileju, który nakazywał, by król wydał ją za tego wasala, któremu ufa najbardziej.

Papież Eugeniusz III przyjął ich surowo. Nie zapomniał o tym, że jego poprzednik obłożył klątwą królestwo Francji z powodu Pernelle i Raula z Vermandois. Nie spoglądał również przychylnym okiem na zarzuty króla stawiane małżonce i na fakt, że znowu odwołano się do prawa kanonicznego, jakby to była zwykła formalność.

Napomniawszy ich surowo, a jako pokutę zadał im medytację na temat świętych obowiązków małżeńskich.

Po kilku dniach, podczas których przeprowadzili wiele rozmów, miałam wrażenie, że sytuacja ulega zmianie. Oboje wydawali się przybici, a z rozmów wracali przygnębieni. Te rozmowy w trójkę trwały przez jakieś dziesięć dni, aż pewnego ranka Aliénor i Ludwik pokazali się razem, pod rękę. Podano do wiadomości, że spędzili noc w jednym pokoju i że papież doprowadził do ich pojednania. Poczulałam, że ziemia usuwa mi się spod stóp. Aliénor podeszła do mnie. Uśmiechnęła się przepraszająco. Wywnioskowałam z tego, że poprosiła Boga o wybaczenie i że je uzyskała. Pozostało nam więc tylko wrócić do Francji, żeby jak najszybciej uczcić tę szczęsną wiadomość i połączyć północ z południem wokół pogodzonej pary.

Teraz ja się załamalam. Wszystkie moje plany zostały zniweczone. Zdradziłam moich przodków, matkę, Matyldę - moją matkę chrzestną - i przede wszystkim Henryka. Nie mogłam poślubić Jaufrego, nie mogłam też wydać na świat jego dziecka, a byłam już w piątym miesiącu ciąży. Co gorsza, kochałam to życie pulsujące wewnątrz mnie. Czy istnieje coś ważniejszego niż miłość? Czy nie ostrzeżono mnie wtedy, gdy nie doceniłam jej znaczenia? Co mogłam zrobić, nie zdradzając siebie jeszcze bardziej, nie zdradzając tych, z którymi związane było moje przeznaczenie? Nie wiedziałam.

Jaufre sprawiał wrażenie szczęśliwego z powrotu do Francji. Wymogłam na nim obietnicę, że na razie nie poprosi Ludwika o moją rękę. Noc, która nastąpiła po tej straszliwej wieści o pogodzeniu się królewskiej pary, spędziłam sama, spoglądając przez okno i wypatrując za czarnymi, gęstymi chmurami księżycą, czczonego przez moich przodków. Gdy zapiał kogut, nadal nie znałam odpowiedzi na moje pytania.

Niebo nad miastem było wciąż czarne, tylko olbrzymie błyskawice rozdzierały ciężkie powietrze.

W sąsiednim pokoju Alienor i Ludwik znów spędzali razem noc i mimo odrazy, jaką Alienor doń czuła, zapewne się połączyli. Trzeba było wszystko zaczynać od początku. Po raz kolejny. Jak długo to potrwa? Alienor miała obowiązek dać Ludwikowi syna i choćby z tego powodu nie wolno mi było oddalić się z dworu.

Wszystko było takie niejasne - zarówno moje uczucia, jak i myśli.

Moja pokojówka Camille weszła, by pomóc mi się ubrać. Zbeształa mnie łagodnie, widząc, że moje posłanie jest nietknięte. W tej chwili zazdrościłam jej, że była nikim. Lecz - w gruncie rzeczy - czyż nie byłam tak samo zniewolona jak Camille?

Mimo mej pozycji, mimo kondycji byłam tylko bękartem księcia na służbie jednej królowej z laski innej królowej. Musiałam być posłuszna, byłam do tego zobowiązana. Wychowano mnie w poczuciu obowiązku wobec Anglii i należałam do niej, tak jak ta dziewczyna należała do swojej służby. Nagle miałam ochotę zadać jej ból, taki jaki sama odczuwałam, lecz coś mnie powstrzymało - może jej uśmiech, gdy sznurowała mój sterczący brzuch.

- Ściśnij mocniej - poprosiłam.

- Nie powinnaś, pani, tak mocno się ścisnąć, to nie jest dobre dla dziecka.

- Pilnuj swoich spraw.

Nie powiedziała nic, nawet nie mrugnęła okiem, a ja od razu pożałowałam swoich słów. Już tyle lat była u mnie na służbie, wierna i staranna, godna zaufania. Wraz ze mną pokonała wszystkie trudy wyprawy. Nigdy się nie skarżyła. Nigdy nie wykazała zniecierpliwienia. Zatrzymałam jej dłonie, które kończyły sznurować gorset; do oczu napłynęły mi łzy, których na próżno wyczekiwałam całą noc.

- Wybacz mi, Camille. Nie jestem dziś w formie.

- Wiem, pani - odpowiedziała z uśmiechem. - Teraz trzeba się spieszyć. Jego Świątobliwość odprawia uroczystą mszę za pogodzenie królewskich małżonków.

Powiadają, że ma ich ponownie pobłogosławić, gdy odnowią przysięgę małżeńską.

Wszyscy będą tam obecni i co pomyślą o takiej smutnej minie?

- Masz rację. Ale nikt nie może się domyślić, że jestem brzemienna. Nie wydaj mnie, Camille -



poprosiłam cicho.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Jakżebyś mogła, pani jest zawsze taka dobra dla mnie. Skończyła mnie ubierać i zaczęła szciotkować moje długie włosy,

zniszczone od mocnego słońca Orientu, jednak ja chciałam pobyc sama.

- Zostaw mnie. Sama to zrobię, to mnie uspokoi przed zejściem na nabożeństwo.

Ukloniła się z szacunkiem i bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi. Usadowiłam się przed lustrem oprawionym w delikatną ramę ze srebra i kamieni. Splotłam włosy w długi warkocz, sięgający mi niemal do ud. Zielone wstążki ładnie harmonizowały z aksamitną suknią.

Aby usunąć ślady nieprzespanej nocy, zabarwiłam policzki na różowo. Camille przyszła mi powiedzieć, że pod drzwiami czeka Jaufre. Odetchnęłam głęboko. Nie wiedziałam, czego chce: żebym dotrzymała obietnicy, a może, aby podczas mszy ogłoszono publicznie nasze zaręczyny?

- Niech wejdzie - powiedziałam po prostu.

Wstałam i opierając się o toaletkę, uniosłam głowę do góry. Skłonił się, a gdy pokojówka wyszła, podszedł, by ucałować mnie w czoło. Miał minę poważną i stanowczą zarazem.

- Wiesz, że Panperd'hu wrócił wczoraj z Trypolisu? Przekonał mnie, abym z nim ponownie wyruszył w drogę. Statek wypływa jutro o świcie.

Ta wieść przeszła mnie jak sztylet. Opadłam bezsilnie na fotel. Czy oprze się pięknej Hodiernie, która go tak pożałowała? Czy znudził się mną i chciał już teraz tylko jej? Zapewne był przygotowany na moje pytania, gdyż przykląkł i ujął moje dłonie. Były lodowate.

- Kocham cię bardziej niż wszystkich na świecie, Loanno, i nikt nigdy nie zajmie twego miejsca. Ale ponieważ para królewska pogodziła się, wiem, że nie możesz mnie jeszcze poślubić. Jeśli wrócę z tobą do Francji, Alienor będzie nalegała na nasz ślub. Nawet jeśli będzie to najpiękniejszy dzień w moim życiu, za nic na świecie nie chciałbym być przeszkodą w realizacji twoich planów. Od razu poproszę króla o twoją rękę i wiem, że mi jej nie odmówi. Obroni cię to do mojego powrotu przed natarczywymi pretendencjami. Gdy wrócę, chcę wierzyć, że los nas połączy, gdyż będąc tu sama, będziesz mogła działać zgodnie z obowiązkiem ciążącym na twoim sumieniu. W przeciwnym razie musiałabyś cofnąć swoje przyrzeczenie. Nie będzie trudno przekonać królową, że z powodu rozłąki nie możemy wziąć ślubu. Choć serce mam rozdarte, moja miłości, muszę tak postąpić, by cię nie utracić.

- Och, Jaufre, ja... - rozplakałam się.

Padłam na ziemię i tak leżeliśmy objęci, aż łzy mi obeschły. Chciałam, by ta chwila nigdy się nie skończyła, tak była słodka i taką niosła mi pociechę. Jaufre głaskał

mnie po głowie i szeptał czule, uspokajające słowa, przypominające starą kołysankę, którą śpiewała mi niegdyś matka. Tak bardzo kochałam tego mojego trubadura, tak dobrze mnie rozumiał!

- Spóźnimy się na uroczystą mszę. Tej nocy przyjdę do ciebie, nawet jeśli nie będziemy się kochać. Chcę usnąć w twoich ramionach, wdychając woń twojej skóry.

- Będzie, jak zechcesz. Kocham cię, Jaufre. Kocham cię. Gdybyś wiedział, jak...

- Pssst!

Położył palec na mych wargach, zmuszając mnie do milczenia.

- Śpiewak musi cierpieć, by móc tworzyć pieśni, wiesz przecież. Będę się karmił

twoją nieobecnością jak zimą, moja daleka. Należę do ciebie z całej duszy...

Chodźmy już, popraw suknie!

Otarł dłonią jakąś zblakaną jeszcze łzę i w kilka chwil później wkroczyliśmy do katedry. Odprowadzały nas na miejsce spojrzenia wszystkich zgromadzonych.

Papież Eugeniusz III pobłogosławił związek królewskiej pary i na prośbę Alienor ogłosił nasze zaręczyny. Jaufre i ja zostaliśmy pobłogosławieni znakiem krzyża, który przypieczętował nasze wzajemne zobowiązanie ku wielkiemu - jak mi się zdawało - szczęściu królowej. Dzięki szlachetności Jaufrego byłam bezpieczna -

żaden baron pragnący poprawić swoją pozycję na dworze nie mógł się już ubiegać o moją rękę.

Ponieważ ten problem został rozwiązany, pozostała jeszcze kwestia dziecka.

Gdy Jaufre przyszedł do mnie owej ostatniej nocy przed swoim wyjazdem do Trypolisu i naszym do Francji, musiałam użyć czaru, by mógł się ze mną kochać i nie rozpoznać mojego stanu. Wszystko poszło wspaniale, więc mogłam go przyjąć bez obawy. Byłam taka szczęśliwa, gdyż stęskniłam się niezmiernie za naszą bliskością i jego ciałem. Wczesnym rankiem Jaufre opuścił mnie, przyrzekając wieczną miłość. Nie dowiedział się, że noszę jego dziecko.

Jaufre de Blaye spoglądał przed siebie na fale rozcinane dziobem statku. Śpieszno mu było dotknąć twardej ziemi. Bóle głowy z każdym dniem się nasilały, ściskając skronie straszliwymi kleszczami. Chwilami nawet mętniał mu wzrok, tak że musiał

dokładać wysiłków, by dostrzec kontury przedmiotów. Tak bardzo potrzebował jakiegoś leku. Na nieszczęście nic ze sobą nie zabrał, przemilczał także swój stan, nie chcąc utrudniać wyjazdu. Panperd'hu bezustannie śpiewał pieśni na cześć pięknej pani z Trypolisu, w której się nieprzytomnie zakochał. Jaufre czuł, że jego śpiew wwierca mu się w czaszkę. Oparł się o burtę i pełną piersią wdychał słony zapach morza.

Panperd'hu odłożył instrument i podszedł do nagle pobladłego przyjaciela. Jaufre starał się zachować

równowagę na rozkołysanym pokładzie. Morze było wzburzone. Nastął już koniec października i na niebie od dwóch dni zbierały się ciężkie czarne chmury. Kapitan zapewniał, że nie będzie burzy. Był starym wilkiem morskim i można mu było zaufać. Panperd'hu oparł się o drewnianą burtę obok Jaufrego. Dziób w kształcie syreny zanurzał się coraz głębiej w fale.

- Marnie wyglądasz, mój przyjacielu - stwierdził ze smutkiem Panperd'hu.

- Chciałbym moje złe samopoczucie móc przypisać chorobie morskiej, obawiam się jednak, że to poważniejsza sprawa - odparł Jaufre, z grymasem cierpienia na twarzy.

- Houdar jest dobrym uzdrowicielem, przekonasz się. Powiadają, że dokonuje cudów, ale - na wszystkich świętych - nie pojmuję, dlaczego nic nie powiedziałaś Loannie. Ona też mogłaby przynieść ci ulgę swoimi ziołami. Wiesz dobrze, iż coraz więcej osób z otoczenia królowej korzysta z jej umiejętności.

- Nie chciałem jej niepokoić. To przejdzie, zbyt długo przebywałem na słońcu.

- Nie przekonasz mnie, Jaufre. Jestem od dawna twoim przyjacielem. Jeśli mi nic nie powiedziałaś, to zapewne miałaś jakiś inny powód, a ja nie umiem go odgadnąć.

- Wkrótce umrę, Panperd'hu - powiedział Jaufre obojętnym tonem. Zapadła ciężka cisza.

- Skąd masz tę pewność? Czy badał cię medyk?

- To się czuje, przyjacielu. Ty sam kilka razy mówiłeś, że czujesz ból idący z ziemi.

Ty i ja różnimy się od zwykłych ludzi. Jesteśmy wyczuleni na najłżejsze tchnienia.

To one mi to podpowiedziały. Gdy papież pobłogosławił nasze głowy w katedrze, poczułem tchnienie śmierci. Wtedy było to tylko ulotne wrażenie, od kilku dni wiem na pewno, że moje dni są policzone.

- Może ból przyćmiewa ci zmysły?

- Właśnie ów ból daje mi pewność. Żałuję, że nie skłoniłem Lo-anny do tego, byśmy się połączyli węzłem małżeńskim przed moim wyjazdem. Blaye nie będzie miało dziedzica, i obawiam się, że miasto przejdzie w obce ręce. Chciałbym, aby jakaś hrabina rządziła tam mądrze i miłościwie.

- Jesteś przygnębiony, Jaufre. Jutro przybijemy do brzegu. Houdar da ci do wypicia napar i od razu poczujesz się lepiej.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Na razie pozwól, że cię tu zostawię. Chwilami mam wrażenie, że czaszka zaraz mi pęknie. To staje się nie do zniesienia. Położę się, może poczuję się lepiej.

Jaufre zachwiał się. Panperd'hu ledwo zdążył go podtrzymać.

- Chcesz, żebym cię odprowadził? - zapytał pełen niepokoju, widząc głębokie fioletowe cienie pod

oczami przyjaciela.

- Nie, nie. Kołysanie pomaga mi, bo sam kołyszę się jak pijany. Lepiej pomódl się za mnie.

Oddalił się chwiejnym krokiem. Gdy znalazł się w kajucie, padł na pryczę. Po chwili ból nieco ustąpił, a Jaufre zaczął rozmyślać o złożonym przyrzeczeniu, o swojej ziemi, o szaleństwie, jakie go przepędziło tak daleko od niej. Łza popłynęła po jego zapadłym policzku.

- Widać brzeg. Okręt, który zawiadomił o naszym przybyciu, jest już w porcie.

Zapewne jest tam księżniczka Hodierna, gdyż uprzedzili ją wartownicy. Sam jej widok ukoji twój ból, Jaufre, zapewniam cię. Nigdy nie widziałem szlachetniejszej i zgrabniejszej pani.

- Już setki razy mi ją opisywałeś - ironizował Jaufre. - Czy naprawdę myślisz, że mógłbym ją pokochać, mimo że sercem i duszą należę do Loanny?

- Nie, na pewno nie, bo byłbym zazdrosny - oburzył się z komiczną przesadą Panperd'hu.

Jaufre próbował odróżnić kształty, które zarysowały się na wodzie, lecz mgiełka przesłoniła mu oczy. Niedawno się obudził. Ze snu wyrwał go okrzyk z bocianiego gniazda, że na horyzoncie widać ziemię. Odświeżył się i nałożył czystą tunikę. Nie przejrzał się w lustrze z obawy, że na swojej twarzy ujrzy wyraźniejsze niż poprzedniego dnia piętno śmierci. Panperd'hu udawał, że nic nie widzi, więc skła-mał mu, że czuje się lepiej. Prawda jednak była taka, że czuł ból silniejszy niż przedtem, a w uszach słyszał głośny, nieustanny szum, który zagłuszał słowa przyjaciela i rozmowy ludzi zgromadzonych na pokładzie. Wymachiwali rękami, chusteczkami. Na widok wysokiej postaci w sukni z mory Panperd'hu jęknął:

- To ona. Przyszła tu, mój przyjacielu. Jakże jest piękna!

Ale Jaufre widział tylko niewyraźny kształt skąpany w tęczowej aureoli. Przełknął z trudem ślinę i wykrztusił:

- Tak, jest piękna.

Lecz stary przyjaciel go nie słuchał. Cały drżący na widok księżniczki, machał ręką w jej stronę jak małe dziecko. Czy sam Jaufre nie drżał nigdy z radości? Po chwili statek uderzył w drewniany mostek, przez burtę wyrzucono kotwicę i sznury.

Olśniewająca pani z Trypo-lisu była już niedaleko - przyciągała wzrok zgromadzonych, tylko Jaufre widział jej postać jak we mgle, gęstniejącej w miarę tego, jak wzmagął się ucisk w pobliżu zastarzałej rany na prawej skroni.

Panperd'hu ujął go pod ramię, a on dał się pociągnąć, z wymuszonym uśmiechem na ustach, w stronę mostka. Wydawało mu się, że z każdym krokiem odczuwa coraz większy ból. Usłyszał śpiewny głos księżniczki, ale nie był w stanie uchwycić sensu wypowiedzianych słów. Zauważył rękę, którą mu podała Hodierna. Uchwycił się jej ostatkiem sił. Potem zrobiło mu się czarno w oczach i jakby z głębokiej przepaści posłyszał głos, który wzywał go łagodnie. Ten głos, rozpoznałby go na końcu

Świata

- śpiewał cudowną pieśń o miłości. Uśmiechnął się i zatonął w przepastnych ciemnościach.

Panperd'hu podźwignął bezwładne ciało przyjaciela. Hodierna krzyknęła z przerażenia. Niewiele brakowało, by trubadur, padając, przewrócił ją.

- Panie Boże Wszechmogący - szepnęła, klękając przy nieruchomym ciele Jaufrego, obok Panperd'hu, który przykładał ucho do piersi przyjaciela. - Czy on...?

Panperd'hu spojrzał na księżniczkę ze łzami w oczach.

- Niestety nie żyje, pani.

Hodierna stłumiła okrzyk, zasłaniając sobie usta ślicznymi, upierścienionymi palcami. Tak bardzo na niego czekała, taką miała nadzieję. Zachwiała się. Wokół

zapadła cisza, przerywana pytaniami gapiów. Głosem łamiącym się z przejęcia Hodierna z Trypolisu przywołała strażę, które przybyły tu jako jej eskorta, aby rozproszyły zbierający się tłum. Nie trzeba było jednak uciekać się do siły, gdyż na widok zbliżających się strażników ludzie zaczęli się rozchodzić, komentując szeptem całe zdarzenie.

- Proszę zanieść go do pałacu - rozkazała.

Czterej mężczyźni podnieśli ciało Jaufrego i zanieśli je do pałacu kamienistą drogą, wijącą się wśród drzew pomarańczy i oliwek.

Już nazajutrz Panperd'hu zaokrętował się, by ruszyć w drogę powrotną. Zadanie pochowania drogiego mu przyjaciela pozostawił Hodiernie. Chociaż księżniczka długo namawiała go, żeby został na pogrzebie, odmówił. Na podróż do Massilii potrzebował dwudziestu pięciu dni, a stamtąd od Paryża dzieliło go jeszcze piętnaście dni drogi. Poczytywał sobie za obowiązek zanieśenie smutnej wieści do stolicy. Nie chciał, aby została zniekształcona czy też opatrzona jakimś niepotrzebnym komentarzem. Wiedział lepiej niż inni, jak łatwo powstają legendy; już teraz po Trypolisie krążyły plotki, że trubadur zmarł w ramionach Hodierny.

Niewiele czasu potrzeba, by ta pogłoska zamieniła się w pieśń, a potem została uznana za prawdę, jak to już nieraz bywało. Musi się zatem spieszyć. Z sercem przepełnionym boleścią wyjechał z Trypolisu w ostatni dzień października 1149

roku.

Hodierna nie mogła oderwać oczu od delikatnych białych rąk skrzyżowanych na piersi trubadura spoczywającego na jedwabnym pościeliu. Ksiądz, który ją niegdyś ochrzcił, nalegał, aby zanieśiono zmarłego prosto do kaplicy i żeby przykryto go całunem. Jednak Hodierna stanowczo zaprotestowała. Spędziła wiele nocy, wyobrażając sobie jego ciało w swoim łóżu, starała się przywołać w pamięci jego uśmiech i wyobrazić sobie oczy trubadura płonące miłością do niej. Hodierna bowiem kochała Jaufrego z całego serca. Słyszała tyle pochwał pod jego adresem, że chciała go poznać, aby

przekonać się, czy rzeczywiście był taki, jak go opisano, i taki, jakiego pokochała. Matka napominała ją, twierdząc, że nie można tak wielbić kogoś, kogo się nie zna, ale ona nie dbała o to.

Hodierna kochała muzykę, lecz żaden trubadur nie zdołał tak poruszyć jej serca jak opowieści o Jaufrém oraz jego pieśni. Był właśnie taki jak w jej wyobrażeniach.

Umarł, uśmiechając się do niej, a jego odprężona twarz wyglądała tak, jakby chciał

powiedzieć księżniczce, że ją kocha. Hodierna była bowiem przekonana, że Jaufré darzy ją uczuciem, choć bard Taliessin, którego wysłała do Antiochii, twierdził

inaczej. Nawet jeśli kochał inną, zanim ją poznał, nie miało to żadnego znaczenia.

Hodierna była tak piękna, że wielu mężczyzn umierało z miłości do niej, a on z pewnością pokochałby ją równie mocno jak oni. Zresztą dowodził tego fakt, że mimo wszystko przyjechał do niej.

Zaczęła szlochać. To było takie niesprawiedliwe. Marzyła, a jej marzenie stało się koszmarem. Jaufré umarł w jej ramionach, podczas gdy ona chciała oddać mu swoje życie.

Od kiedy umarł jej ojciec, odrzuciła kilku pretendentów do tronu. Jej brat był za młody, by objąć tron, więc matka próbowała rządzić w jego imieniu. Kościół

niechętnie spoglądał na to, że los państwa spoczywa w rękach samotnej kobiety.

Czym był Trypolis?

Garstką ludzi skupioną za murami zamku na nabrzeżu. Co mogło kogoś interesować w tym królestwie, które w rzeczywistości nie było królestwem? Miasta broniła grupka wiernych żołnierzy, którzy umieli walczyć. Hodiernie nie spieszyło się do zamążpójścia i postanowiła czekać na powrót Jaufrego. Wtedy będzie należała do niego. Cała, bez reszty.

Jej matka była kobietą silną, władczą, lecz córce nie odmawiała niczego. Hodierna z tego korzystała. W ten sposób uzyskała zgodę matki na czuwanie we własnym pokoju przy zwłokach trubadura przez trzy dni poprzedzające pogrzeb. W półmroku pokoju, oświetlonego jedynie świecami, unosił się zapach kadzidła, niekiedy tłumiony zapachem lilii. Na zewnątrz, za niewielkimi otworami strzelnicy, toczyło się życie.

Gdy Hodierna obudziła się z niespokojnego snu, była już noc. „Jutro - powiedziała sobie, przeciągając obolałe członki - jutro Jaufré de Blaye zostanie pochowany w obcej ziemi”. Wstała i przeszła się po pokoju.

Już miała zadzwonić po służącą, gdy usłyszała jęk. Zamarła na miejscu. Była sama na sam ze zmarłym, skąd zatem ten dźwięk? Może to wiatr. Odwróciła się, spojrzała na twarz trubadura i krzyknęła. Oczy, które sama mu zamknęła, teraz były szeroko otwarte i wpatrywały się w nią. Przerazona, cofnęła się ku drzwiom, nie mogąc wydobyć żadnego dźwięku. I nagle znów usłyszała jęk, który wyrwał się z ust zmarłego, a po jego policzku potoczyła się łza.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i Hodierna musiała przesunąć się w stronę łóżka, żeby wpuścić służącą. Miała właśnie zapytać swoją panią, czego sobie życzy, gdy - zaintrygowana przerażeniem malującym się jej twarzy - również zauważyła to dziwne zjawisko. Zbladła i pospiesznie się przeżegnała.

Ale oto opanowana już Hodierna podeszła bliżej do łoża. Drżąc, uniosła jedną ze skrzyżowanych na piersi rąk trubadura, spodziewając się, że nie będzie mogła jej poruszyć, lecz ręka wzniosła się ku górze, a potem miękko opadła, gdy księżniczka ją puściła. Hodierna stłumiła radosny okrzyk. Za jej plecami przerażona służąca mamrotała modlitwę mającą oddalić złe duchy. Hodierna zwróciła się w jej stronę z nadzieją w sercu:

- Idź - rozkazała stanowczym głosem - i przyprowadź Houdara.

Biedaczka nie dała się dwa razy prosić, tak bardzo chciała uciec z tego pokoju. Gdy Hodierna wróciła do Jaufrego, jego powieki były przymknięte i znowu wyglądał jak nieżywy. Wtedy księżniczka wzięła jego bezwładną rękę w swoją dłoń. Ręka była zimna, lecz nie tak lodowata, jak ręka jej ojca w przeddzień pogrzebu. Nikt nie dotykał ciała trubadura od chwili, gdy go tu położono. „Już od dwóch dni nie żyje” - przemknęło Hodiernie przez myśl. Powinno nastąpić zeszywnienie. Tak się nie stało, zapewne dzięki jej modlitwom. Tak, była przekonana, że jej modlitwy dokonały cudu. Jaufre de Blaye żył. Jego dusza błądziła zapewne gdzieś, ale on był żywy.

Gdy tak rozmyślała, wszedł stary Houdar, medyk pałacowy. Miał poważną minę.

Służąca powiedziała mu już, co zobaczyła na własne oczy, a on uznał, że powinien przyjść z księdzem.

- Houdarze, mój drogi! - zakrzyknęła Hodierna, nie zwracając uwagi na starego spowiednika w czarnej szacie, który trzymał w pomarszczonych dłoniach oprawną w skórę Biblię. - Spójrz, proszę!

Uniosła rękę Jaufrego i puściła ją. Houdar ze zmarszczonymi brwiami śledził, jak ręka opada na łóżko. Tymczasem ksiądz zęgnął się znakiem krzyża i przyciskał

jeszcze mocniej do piersi świętą księgę. Houdar usiadł na łóżku. Teraz on chwycił

bezwładnie leżącą rękę. Obmacał ciało, a jego palce z łatwością się w nim zagłębiały. Następnie wprawnym ruchem poszukał pulsu, jednak nie znalazł, więc potrząsnął głową, jak zwykł czynić wtedy, gdy coś go intrygowało. Powstrzymał się od odpowiedzi na pytanie kilkakrotnie powtórzone przez Hodiernę:

- No i co?

Houdar podniósł opuszczone powieki Jaufrego i stwierdził, że oczy są wywrócone, następnie rozwarł mu szczęki i jeszcze raz się upewnił, że nie ma zeszywnienia.

Nie wyjaśnić wyjaśnić zagadki. Wstał i obszedł łóżko dookoła, obnażył jedną stopę i uniosł ją na wysokość swojej twarzy. Z determinacją ugryzł Jaufrego w łydkę, lecz nie było najmniejszej reakcji. A jednak w miejscu ukąszenia czerwona kropelka pokazała, że krew jeszcze krąży w ciele.

- No i co? - z naciskiem ponowiła pytanie Hodierna. Houdar potrząsnął głową, podnosząc głos, który w tej ciszy zabrzmiał donośnie:

- A więc, Wasza Wysokość, wszystko to jest bardzo dziwne. Powiedziałbym, że ten człowiek nie żyje, próba z nogą jest tego dowodem, podobnie jak z lusterkiem.

- Usłyszałam jego jęk, Houdarze, i widziałam wyraz twarzy. Jeszcze widać ślad łzy, którą wtedy dostrzegłam. Martwi nie płaczą.

- Droga Hodierno, widzę w tym dzieło szatana. Trzeba jak najszybciej złożyć zwłoki w ziemi, zanim, za sprawą jakiejś magii szatańskiej, nie odżyją - oświadczył ksiądz.

Hodierna poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Ojciec Wirgiliuszu - obruszyła się - jak możesz widzieć diabła w tym, co jest cudem! Ten człowiek jest jednym z kawalerów Chrystusa i gorąco wierzącym chrześcijaninem. Co więcej, czuwałam przy jego wezgielcu, towarzysząc mu nieustającą modlitwą. Jakże Zły mógłby opętać ciało tak dobrze strzeżone?

- Jego możliwości są nieograniczone, droga córko. Zważajmy, aby nas podstępem nie dosięgnął, i odprawmy nabożeństwo.

- Odmawiam, ojciec.

Hodierna postanowiła stawić mu czoło, tak bardzo była pewna swego.

- Nie możesz się, młódko, przeciwstawiać woli bożej.

- Ależ, ojciec, wola boża wlała życie w to ciało, nie możesz pochować żywego człowieka.

- Jego dusza należy do Boga. Nie należy już do tego ciała i jeśli nawet on będzie nadal żywy, to musisz, córko, zdawać sobie sprawę z tego, iż jest to tylko sprawa Złego. W przeciwnym razie bowiem wróciłaby mu świadomość. Poddać się losowi.

Jutro rano złożymy tego nieszczęśnika w ziemi. Każę przynieść trumnę, która zostanie zapieczętowana i odniesiona do kościoła, aby potępienie nie ogarnęło i nas, i żeby duchy Zła już nie mogły się wymknąć.

Hodierna załkała, lecz ksiądz nie zwrócił na to uwagi. Zrobił znak krzyża w powietrzu, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

- Nie płacz, księżniczko.

Houdar objął Hodiernę. Wszystko to wprawiało go w zakłopotanie. Był on człowiekiem nauki, który stanął w obliczu zagadki, i mimo szacunku, jakim darzył



opata, nie mógł przystać na to zbyt proste wyjaśnienie.

- Houdarze, musimy przekonać opata. Nie mogę uwierzyć w to, że ten człowiek nie żyje, słyszysz? On płakał, Houdarze. Czy demony płaczą po to, żeby niepokoić ludzi?

- Nie wiem, księżniczko. Ale wiesz, podobnie jak ja, że martwi należą do Boga, czyli do Kościoła.

- Ale on nie jest martwy i jesteś tego świadom.

- Nie wiem nic, Hodierno. To wykracza poza granice mojej wiedzy.

- Zbadaj go jeszcze raz! Proszę cię.

Hodierna uniosła na niego błagalny wzrok i starzec z rezygnacją usiadł ponownie na łóżku i poszukał pulsu na bezwładnym nadgarstku Jaufrego.

- Poszukaj w innym miejscu - zasugerowała dziewczyna.

Houdar puścił rękę i ułożył palce w zagłębieniu szyi Jaufrego. Kilka razy przesunął

je w różne miejsca, potem nagle znieruchomiał, poprawił palce i Hodierna dostrzegła na jego twarzy szeroki uśmiech.

- Miałaś rację, księżniczko. Czuję jego puls, bije bardzo słabo. Rozsunął tunikę i przyłożył ucho do piersi leżącego. Hodierna

wstrzymała oddech. Przez dłuższy czas Houdar tkwił tak nieruchomo, w zupełnej ciszy, potem wstał i kiwnął głową:

- Jest ledwie słyszalne, jakby spowolnione, lecz bije regularnie. Z jakiegoś powodu, nieznanego mi, ten człowiek jeszcze żyje. Podaj mi lusterko.

Hodiernajak na skrzydłach odfrunęła do sąsiedniego pokoju, skąd wzięła okrągłe lusterko oprawne w złoto. Gdy wróciła do pokoju, zaczęły bić dzwony pobliskiego kościoła. Nie zwróciła jednak na to uwagi. Houdar przyłożył lusterko do nozdrzy Jaufrego. Ukazała się lekka mgiełka, niemal niewidoczna, tak że trzeba było kilkakrotnie powtórzyć doświadczenie, by zyskać ostateczną pewność.

Houdar ujął Hodiernę pod ramię i spojrzał na nią z powagą.

- To nie wystarczy, by przekonać księdza Wirgiliusza, księżniczko. Mogę stwierdzić, że serce tego człowieka bije, lecz bardzo słabo. Trzeba pogodzić się z faktami. Mózg jego gaśnie, a dusza z pewnością opuściła ciało. Lepiej położyć kres jego agonii i pochować go w godny sposób.

Hodierna spojrzała na niego z przerażeniem.

- Czyś stracił rozum? Nie mogę uwierzyć w to, że ty, Houdarze, ośmielasz się mówić w podobny

sposób. Pochować żyjącą istotę? Jakimż to uczuciem, na Boga, kierujecie się obydwaj?

- Hodierno, wiesz, jak cię kochamy, ksiądz Wirgiliusz i ja. Znamy cię od urodzenia.

Co, twoim zdaniem, nastąpi, jeśli rozniesie się wiadomość, że człowiek uznany za zmarłego jest przechowywany w komnacie, że jego serce bije, ale nic nie czuje, nawet bólu? W najlepszym przypadku uznają cię za szaloną albo praktykującą czary. Obawiam się, że to ściągnie na nas wielkie nieszczęście, księżniczko. Wielkie nieszczęście.

Hodierna, wstrząśnięta, spuściła głowę. Niestety Houdar miał rację. W oczach większości ludzi ta prawda mogła być tylko dziełem sił tajemnych. Podniosła głowę, po raz kolejny przejęta szaloną myślą.

- Wiem, że masz rację, Houdarze, a jednak - czyż to nie jest wspaniały przypadek dla uczonego? Pamiętam starą historię śpiewaną przez trubadurów. Opowiada ona o cudzie dokonanym przez kobietę, która przez dziesięć dni była w letargu, a potem się przebudziła. Czy nie jest to podobny przypadek?

- To legenda, księżniczko, upiękuszona w poetyckiej opowieści.

- Jesteś istotą rozumną, Houdarze, i najwspanialszym medykiem świata. Jesteś jedyny w swoim rodzaju. Zbadanie go sprzyjałoby rozwojowi medycyny.

- Do czego zmierzasz, księżniczko? - zapytał podejrzliwie starzec.

- Urządźmy pogrzeb temu człowiekowi, aby wszyscy wypłakali się do woli, ale żeby nikt nie dowiedział się prawdy. Zanim położy się go do trumny, przeniesiemy jego ciało do lewego skrzydła pałacu. Nikt tam nie zachodzi. Jeśli wyzdrowieje, ogłosimy to. Jeśli umrze, pochowamy go po cichu. A ponieważ msza za jego duszę zostanie wcześniej odprawiona, Bóg nie będzie miał niczego za złe.

Houdar patrzył na nią wielkimi, przerażonymi oczami.

- To ty, słodka i delikatna Hodierno, prosisz mnie o to? Chciałabyś pochować pustą trumnę, w pogardzie dla sakramentów boskich?

- A czy nie większym grzechem jest grzebanie żywych, Houdarze? Czy to nie jest coś w rodzaju zabójstwa? Jestem przekonana, że to moje modlitwy i miłość, jaką odczuwam dla tego człowieka, dokonały cudu. Na wszystkich świętych niebieskich, Houdarze, pozwól Bogu zdecydować o jego losie.

Ale oto otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Wirgiliusz, a za nim czterej mnisi wnieśli drewnianą trumnę, którą ostrożnie ustawili na ziemi. Hodierna spojrzała na Houdara, a Houdar spojrzał na Hodiernę. Po tej wymianie spojrzeń, trwającej przez cały czas zprawiania modlitwy, podczas gdy zawijano Jaufrego de Blaye w całun, Houdar kiwnął głową i Hodierna z Trypolisu wiedziała, że wygrała.

Jedenastego listopada 1149 roku wróciliśmy do pałacu w Cite. Stare miasto nie zmieniło się w ciągu

dwóch lat naszej nieobecności. Ale my wszyscy się zmieniliśmy. Suger przyjął nas z zadowoleniem. Jego włosy były bardziej przerzedzone, lecz spojrzenie nie straciło nic ze swej przenikliwości. Z niepokojem zauważyłam, że zerknął na mój brzuch. Byłam w piątym miesiącu ciąży.

Pamiętałam, że Alienor w tym okresie brzemienności nie mogła już ukryć swych bardzo zaokrąglonych kształtów. Na szczęście ja utylam tylko nieznacznie, poza tym wszyscy poprawiliśmy się w czasie pobytu na Sycylii i w długiej drodze powrotnej do Paryża. Powinnam raczej powiedzieć - wszyscy oprócz Sybilli, którą powierzyliśmy Heloizie, i Ludwika, który nadal trwał przy swej drakońskiej diecie.

On także się zmienił. Nie był już przygaszonym mnichem sprzed wyprawy. Pod brzemieniem boskich spraw jego dusza okrzepła i stała się isticie królewska.

Natychmiast po naszym powrocie odbył długą rozmowę z Sugerem na temat spraw królestwa i odprawiono pierwszą mszę w opactwie Saint-Denis. Pozostawały jeszcze prace wykończeniowe, lecz nawa była imponująca. Byłam pod wrażeniem jej majestatu. Sklepienia ostrołukowe przypominały ręce wyciągnięte ku niebu.

Suger wygłosił długie kazanie na temat szaleństwa człowieka, który chce coraz więcej posiadać. Chciał w ten sposób przypomnieć, że czas wojny się skończył i trzeba myśleć o odbudowie. Następnie zmówił modlitwę za tych wszystkich, których pozostawiliśmy w Ziemi Świętej, a wtedy jeszcze raz opłakałam Denysa, którego ciągle wspominałam, i pomyślałam o Jaufrem, od którego nie było żadnych wieści.

Wtedy właśnie po raz ostatni wspomnieliśmy trudne chwile, tak bardzo spieszo nam było zapomnieć o nich.

Bernard de Ventadour przyjechał do Paryża wcześniej niż my i bawił się z małą Marią, która miała już trzy latka. Usunął się, gdy tylko pojawiła się królowa, zapewne mniemając, że w tej chwili nie było dlań miejsca. Dziewczynka, która nie pamiętała matki, zmieszła się, gdy Aliénor chciała ją wziąć na ręce, i ukryła się w spódnicach swej piastunki. Ponieważ jednak miała spokojne usposobienie, dała się obłaskawić. W chwilę później już bawiła się na kolanach matki, śmiejąc się do rozpuku.

Aliénor była szczęśliwa, że jest znów ze swą córeczką, ale nie bardzo cieszyło ją spotkanie z Bernardem. Jej pogodzenie z Ludwikiem wykluczało bowiem spotkania z trubadurem, mimo że wciąż jeszcze go kochała. Trzeba było dokonać wyboru i Aliénor wybrała.

A więc Bernard został wygnany po raz drugi. Nie ostrymi słowami króla Francji, lecz łzami rozsądku ukochanej. Odszedł zasmucony, choć przygotowany już na to zerwanie plotkami, jakie poprzedziły powrót pogodzonej pary królewskiej do pałacu.

Stare miasto wydało się nam jeszcze bardziej posępne niż przed wyjazdem. Ponure, brudne, śmiertelnie nudne. Cóż nam pozostało po przepychu Konstantynopola i Antiochii, białych murach, kwiatach i owocach dojrzewających w słońcu? Kilka doznań mniej lub bardziej szczęśliwych i szarość dokoła.

Béatrice ponowiła swą prośbę o wydanie jej za mąż. Ludwik i Suger wybrali jej męża wśród pretendentów: młodego seniora de Montmorency'ego, który miał tę zaletę, że był bliski seneszałowi Francji, a więc mógł przebywać na dworze.

Albowiem ani Suger, który uważał, że siostrzenica może mu się jeszcze przydać, ani Ludwik, który nie mógł jej zapomnieć, nie mieli serca jej oddalić. Tak więc miała pozostać w pobliżu.

Wiedziałam, że Béatrice ma za złe królowej, iż pogodziła się z Ludwikiem, na skutek czego król nie dopuszczał jej do swego łoża. Nie miała ambicji zostać królową Francji, zależało jej tylko na tym, by Ludwik ją kochał mimo wszystko i żeby nadal pozostawała jego kochanką. Jednak to nie było już możliwe. W swym zaślepieniu uważała, że to ja doprowadziłam do tego pojednania.

Dla ukoronowania wszystkiego Aliénor była znowu brzemienna. Było to oczywiste, a ja - która nosiłam dziecko Jaufrégo pod ser-

cem - nie miałam serca położyć kresu jej ciąży. Tym bardziej że wszystko wskazywało na to, iż znowu będzie to dziewczynka.

Trzeba było wszystko rozpocząć od nowa.

Tak, smutny był ten nasz powrót.

Siedemnastego grudnia 1149 roku Panperd'hu stanął przede mną, miętosząc w rękach brudną, wełnianą czapkę. Przybył prosto z drogi - brudny i pokryty kurzem od stóp do głów.

Przyjęłam go w sali muzycznej, opuściwszy Alienor i damy dworu, które grały w kości w sąsiedniej komnacie. Ich śmiech docierał aż do nas. Panperd'hu nie uśmiechał się. Nie chciał, abym go ucałowała, a gdy spojrzałam w jego smutne oczy, moja radość ze spotkania z nim pierzchła. Przestraszyłam się jego zakłopotania, kropli potu perlących się na jego czole, jakby miał gorączkę. Ale jego oczy nie były bynajmniej rozgorączkowane, lecz po prostu przygaszone.

- Gdzie jest Jaufre?

Jego oczy wypełniły się łzami. W oszczędnych słowach opowiedział mi o podróży, o tym, że Jaufre był pewny nadchodzącej śmierci. Mówił też o jego cierpieniu, o Hodiernie i wreszcie o swoim przyjacielu, a moim kochanku, którego porzucił na dalekiej ziemi, żeby przybyć tu i razem ze mną go opłakiwać. Czułam, jak wzbiera we mnie krzyk rozpacz, lecz nie zdołał się wydostać na zewnątrz.

Wszystko we mnie wołało: „Nie!”. Nie, Jaufre nie umarł. Wiedziałabym o tym, byłam magiem, czarownicą, wyczuwałam takie rzeczy, odgadywałam je, i ani razu nie jawiła mi się śmierć Jaufrego. A potem przypomniałam sobie wizję na statku: Jaufre pada na białe upierścienione ręce Hodierny z Trypolisu. Teraz miałam do siebie żal o to, że zlekceważyłam tę wizję i nie zapobiegłam wypadkowi.

Panperd'hu otworzył szeroko ramiona. Rzuciłam się w nie z uczuciem, że nie istnieję. Jestem niczym. Nie mam łez. Chciałam płakać, lecz zabrakło mi łez. On płakał zamiast mnie, zapewniał mnie o miłości Jaufrego, ale ja myślałam tylko o jednym: dlaczego mi nie zaufał. Przecież mogłam mu pomóc. Gdyby mi powiedział, że jest chory, gdybym sama to zauważyła! Miałam żal do niego, miałam żal do

siebie. Czułam ból i chciałam go wykrzyczeć. Pytałam, gdyż, wbrew wszystkiemu, czepiałam się jeszcze resztek nadziei:

- Jesteś pewien, że on nie żyje?

- Tak jak ty jesteś pewna, że nosisz jego dziecko - szepnął. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. A więc Jaufré wiedział.

Lecz Panperd'hu potrząsnął głową, tą piękną głową o długich włosach wzburzonych wiatrem.

- Nie, on nic nie wiedział, podobnie jak ja. Teraz dopiero poczułem, że się poruszyło

- usprawiedliwiał się, zmuszając się do uśmiechu.

I wtedy zaczęłam płakać - nad tym dzieckiem, które nie pozna swego ojca, tak jak ja nie znałam swojego, nad Panperd'hu, który tysiące razy stawił czoło śmierci, a teraz przybył oznajmić mi tę straszną nowinę, nad tą miłością, która mnie przepelniała i nie wiedziała, gdzie się podziać, nad tym

ulotnym szczęściem i wreszcie nad życiem, które było tylko pasmem błędów i nieszczęść.

Wypłakałam tyle łez, że starczyłoby ich dla ciężkich chmur na niebie, gdyby zechciały zrosić całą ziemię.

Aliénor stała się łagodna, cierpliwa. Ona także płakała. Cały dwór opłakiwał swego trubadura. Widząc, że jestem załamana, królowa wzięła sprawy w swoje ręce.

Natychmiast porozumiała się z Wilhelmem IV z Angoulême, swoim wasalem, kuzynem i suzerenem Jaufrégo, by brat zmarłego, Gerard, objął dziedzictwo.

Odpowiedź hrabiego d'Angoulême wstrząsnęła nami: Gerard Rudel zaciągnął się wraz z hrabią Tuluzy, by dołączyć do wyprawy krzyżowej, i zaginął podczas burzy na morzu. Aliénor zareagowała niezwłocznie i wydała rozkaz, by wyznaczony zarządca zaopiekował się hrabstwem Blaye.

Ja wiedziałam, że tam nie powrócę, zbyt wiele czyhało tam na mnie wspomnień, tak bardzo jeszcze intensywnych, że kazały mi powątpiewać w śmierć kochanka.

Czasami śnił mi się leżący na białych prześcieradłach pośród kwiatów. Wyglądał na pogrążonego we śnie. Wolałam go z całej siły, lecz mnie nie słyszał. Budziłam się w pocie i we łzach.

Aliénor mówiła, że muszę się z tym pogodzić dla dobra dziecka. Mojej córki. Jego córki. Naszej córki! Co się z nią stanie? Ludwik nie mógł wydać mnie za męża, zważywszy na mój stan. Żaden mężczyzna nie poprowadziłby do ołtarza kobiety dźwigającej sterczący brzuch jako jedyny posag.

Będę musiała wydać to dziecko na świat tak jak moja matka, w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt się o nim nie dowie niczego. Najlepszym rozwiązaniem byłby wyjazd do Normandii i poród u Matyldy. Nie mogłam się jednak zdecydować na porzucenie Aliénor w chwili, gdy za wszelką cenę musiałam działać na rzecz zniszczenia jej małżeństwa, choćby po to, by zapomnieć, jak bardzo mi brakjaufrego.

W kilka tygodni później nadeszła wiadomość z Angers. Korzystając z przedłużającej się nieobecności Stefana, który brał udział w krucjacie, Gotfryd Piękny zdołał wysunąć na pierwszy plan zalety Henryka przed Stefana i jego syna, przygotowywanego do objęcia sukcesji. W ten sposób stosunki Andegawenii z baronami i prałatami angielskimi stały się żywsze. Chociaż ci ostatni nienawidzili Matyldy, żywili ciepłe uczucia do Plantageneta, jak go nazywali, który przypominał swego dziadka. Natomiast Ludwik gorąco popierał Stefana z Blois. Aliénor, posiadająca tak znaczny posag, stawała się główną stawką w tej politycznej grze.

Byłam w szóstym miesiącu ciąży, Alienor zaś w czwartym. Jej ciąża była już widoczna, przytyła bowiem i jej kształty się zaokrągliły. Natomiast moja figura się nie zmieniła. Miałam nawet uczucie, że schudłam. Nogi moje przypominały patyki, jak wtedy gdy byłam małą dziewczynką, miałam też „solniczki” u nasady szyi.

Dziecko wysysało ze mnie wszystko. Także rozpacz.

Alienor opiekowała się mną z całym oddaniem. W miarę upływu lat jej domagająca się wyłączności miłość uległa zmianie. Może stało się tak dlatego, że ona także pokochała prawdziwą, bezinteresowną miłością mężczyznę. Bardziej niż kiedykolwiek byliśmy współpracownikami, bliskimi sobie, choć coraz rzadziej się kochałyśmy. Zapewne przyczyniło się do tego burzliwe życie, jakie wiodłyśmy od dwóch lat. Niewiele miałyśmy okazji, by pozostawać sam na sam i zaspokajać wzajemne pożądanie. I w gruncie rzeczy tak było lepiej. Nie mogłabym znieść jej rąk na swoim ciele. Alienor mówiła, że to z powodu ciąży, ale nie wierzyłam w to.

Miałam raczej wrażenie, że moje pragnienie miłości umarło razem z Jaufrem.

Jedyna pieszczota, jaką

mogłam znieść, to dotyk moich palców na brzuchu, gdy się rozbierałam i obserwowałam ruchy mojego dziecka.

Beatrice obracała na serdecznym palcu pierścień ze szmaragdem otoczonym diamentami. Był to pierścienek zaręczynowy od księcia de Montmorency'ego, otrzymany od jego matki. Pierścień był wspaniały, ale jej się nie podobał, podobnie jak nie podobał się jej sam narzeczony. Nie mogła zapomnieć Ludwika, nie mogła też pogodzić się z tym, że nie będzie blisko niego, że go już nie dotknie. Oczywiście spotykali się często w kościele, ale Ludwik nie patrzył na nią. Wpatrywał się aż do bólu w drewniany krzyż, na którym widniał zakrwawiony Chrystus.

A jednak kochał ją, wiedziała o tym. To nie od niej stronił, lecz od siebie samego.

Księżę de Montmorency był przystojnym mężczyzną i zapewne dobrym kochankiem, jeśli wierzyć plotkom. Prawdopodobnie będzie też dobrym mężem.

Widywała go na tyle często, by docenić jego zalety. Nie mogła jednak pogodzić się z myślą, że już za trzy miesiące zostanie jego żoną. Oczywiście natychmiast, gdy zostanie księżną de Montmorency, będzie miała o wiele więcej władzy niż do tej pory. Tak, zacznie częściej bywać na dworze niż obecnie i Ludwik będzie spoglądać na nią bez obaw. „Mężczyźni są niemądrzy - pomyślała - wyobrażają sobie, że bezpieczniej mieć za kochankę kobietę zamężną, bo jeśli zajdzie w ciążę, skandal będzie mniejszy”. Ta myśl była jej niemiła. Tak bardzo chciała dać Ludwikowi syna, o którym marzył.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaprosić królowej na przejażdżkę konno i zastawić na nią pułapkę - nie żeby zginęła, lecz żeby straciła dziecko. W gruncie rzeczy to nie do Alienor miała żal. Najbardziej nienawidziła mnie. Powtarzała sobie, że to ja ją zdeptałam, poniżyłam, złamałam i wreszcie rzuciłam w ramiona Ludwika po to, by potem tego żałował i ją odepchnął. Na próżno pocieszała się myślą, że Bóg mnie pokarał, odbierając mi najpierw Denysa, a teraz Jaufrego. Wiedziała, że tak długo, jak będę ją trzymała w swoim uścisku, nie zazna prawdziwego szczęścia.

Byłam cierniem w jej ciele. A co robi się z cierniem? Wyjmuje i wyrzuca.

Byłyśmy wszystkie bardzo zajęte przygotowaniem do ślubu Beatrice. Wszystkie damy dworu - te dawne, które wróciły razem

z nami z Ziemi Świętej, i nowe, świeże jak pączki róży, w większości jeszcze dzieci, nie miały więcej niż dwanaście lat - przędły, cesały wełnę, tkwały, farbowały, haftowały wyprawę, którą królowa chciała ofiarować Beatrice. Uprzejmie wyprosiłyśmy ją z naszych popołudniowych spotkań. Dołączała do nas dopiero wtedy, gdy zmienialiśmy zajęcie. Sprawiała wrażenie szczęśliwej ze zbliżającego się ślubu. A jednak zarówno Alienor, jak i ja wiedziałyśmy, że to małżeństwo było oszustwem. Najważniejsze było to, by dała wszystkim spokój. I rzeczywiście była czarująca i uśmiechnięta, nawet wobec mnie. Jak gdyby ktoś ją nagle odmienił.

Powinam była mieć się na baczności. W owym czasie jednak czepiałam się codziennych zajęć jak koła ratunkowego, żeby nie utonąć. Bez Jaufrego nie istniałam.

I choć starałam się zachować równowagę, coś we mnie pękło. Postanowiłam wyjechać w następnym tygodniu do Normandii, na dwór Gotfryda. Panperd'hu miał

mi towarzyszyć. Bezczyinnie spędzone ostatnie tygodnie ciążyły mu teraz i chciał

pierwszy móc ucałować moje dziecko. Od czasu jego powrotu bardzo zbliżyliśmy się do siebie i często rozmawialiśmy o Jaufrem. To nas pocieszało.

- Otwarte! - krzyknęłam, wycierając ręce. Poprosiłam, żeby mi powierzono farbowanie tkanin. Sprowadziliśmy ze Wschodu cudowne barwniki.

Rozpuszczałam je w wodzie

i zanurzałam w niej tkaniny. Gdy przybierały odpowiedni kolor, wyjmowałam je, rozkładałam i suszyłam. To zajęcie bardzo mnie odprężało. Pomagało mi kilka dziewcząt, które uważnie słuchały moich wskazówek. Miałam zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, ale w ich oczach byłam starą, doświadczoną kobietą. Jak zwykle panny śpiewały stare wyliczanki i plotkowały. Czasami musiałam im przerywać, tak bardzo rozwodziły się nad pikantnymi szczegółami. Poprzedniego dnia jedna z nich - piętnastolatka zaręczona z owdowiałym przed trzema laty starym baronem - zażartowała, że skoro udało im się, dzięki Bogu, uniknąć klasztoru, to nie mają zamiaru żyć jak zakonnice. Powinam była zganić ją za jej zuchwalstwo, nie miałam jednak serca. Przypominałam sobie, jak Alienor wygłosiła niemal tak samo brzmiące zdanie pod wierzbą w ogrodach de Tombriere. Jakże to było dawno!

- Pani Béatrice, jakże nam miło! - zakrzyknęła Margot, młoda, żywa dziewczyna o włosach czarnych jak skrzydło kruka.

Nowo przybyła dźwigała kosz. Wszystkie panny, zaciekawione, otoczyły ją wianuszkami niczym rój pszczoł. Podnosiły rąbek tkaniny, którą przykryty był

koszyk.

- Zabrać te łapki, potwory! - ze śmiechem besztła je Béatrice, przeciskając się do mnie.

Wytarłam ręce poplamione turkusową farbą w obszerny fartuch okrywający mój kaftan.

- Można by rzec praczka - powiedziała Béatrice, najwyraźniej rozbawiona moim strojem.



- Dalibóg - odparłam, ciesząc się, że tym razem w jej głosie nie było słyhać ironii -

fartuchów mamy pod dostatkiem. Możesz więc, pani, do nas dołączyć.

Béatrice roześmiała się wesoło.

- O nie, dziękuję! Zresztą ktoś mi powiedział, że te tkaniny zostaną użyte do jakiejś tajemniczej wyprawy, czyż nie?

W odpowiedzi usłyszała tylko chrząknięcia, panienki udały, że są bardzo zajęte pracą, lecz Béatrice przywołała je, mrugnawszy do mnie porozumiewawczo.

- Chodźcie tu, gaduły. Oto nagroda za wasz trud.

I szerokim gestem uniosła materiał, pod którym kryły się piękne złociste kulebiaki i butelka syropu. Natychmiast moje pomocnice znów zamieniły się w pszczołki.

Pospiesznie sprzątnęły ze stołu, odebrały z rąk Béatrice koszyk i przygotowały podwieczorek.

Ta nagła szczodroliwość wzruszyła mnie.

- Dziękuję, Béatrice - powiedziałam.

- Proszę mi nie dziękować. Pracujecie dla mnie, wiem o tym. Jesteś, pani, w żałobie.

Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia. -Usiądźmy przy stole - rzekła z lekkim uśmiechem. - Te łakomczuchy zostawią nam same okruszki.

W kilka chwil później jadłyśmy, wesoło żartując. Béatrice napełniała szklaneczki syropem, ja w tym czasie oddaliłam się w stronę kotła, by włożyć do niego tkaninę.

Chwilę zabawiłam, mieszając w kotle z farbą, potem wróciłam do stołu. Béatrice podała mi z uśmiechem szklaneczkę. Wypiłam jednym haustem, tak bardzo chciało mi się pić.

Béatrice wciąż się uśmiechała, lecz jej uśmiech wydał mi się teraz okrutny. Zrozumiałam od razu: ten dziwny smak w ustach, kleszcze ściskające moje skronie... Krzyknęłam z wściekłości i rozpacz.

- Co się stało, Loanno? Źle się czujesz?

Słyszałam jak przez mgłę głosy dziewcząt, które mnie otoczyły. Poczułam silny ból w dole brzucha i straciłam przytomność.

Znalazłam się w cudownej szaroróżowej mgłę. Było mi dobrze, spokojnie. Miałam wrażenie, że się unoszę. Towarzyszyła mi jakby muzyka, ale to nie były dźwięki, raczej szept przyjaznych głosów splecionych misternie w echo.

Przez chwilę wydawało mi się, że wróciłam do siebie, ale gdzie to było, nie wiedziałam. Potem mgły

się rozpięzchły i zobaczyłam długi, wąski korytarz z jasnym światłem na końcu, które nieodparcie przyciągało mnie do siebie.

Widziałam, że jest coraz bliżej, ale zapewne to ja przypląnąłam w jego stronę.

Przekroczyłam jego barierę, tak intensywną, że musiałam przymknąć powieki. W

jednej chwili otoczyła mnie jasność. W środku tego światła zobaczyłam postać Merlina.

Stał w długiej białej szacie druida. Wyciągnął do mnie piękne ręce. Uśmiechał się, w jego spojrzeniu malowała się bezbrzeżna czułość.

- Jesteś gotowa, moje dziecko? - Jego głos brzmiał jak harfa. Usłyszałam swoje pytanie:

- Dokąd idziemy, ojcze?

- Do granic czasu. Tam wybierzesz swój los.

- Jestem gotowa, ojcze - szepnęłam z ufnością.

Wtedy wyciągnął ramiona i otworzył przede mną horyzont. Mgła się rozpięzchła.

Znajdowaliśmy się przed wejściem do nędznej lepianki. Uniosła się zasłona ze skóry zwierzęcej i zobaczyłam matkę. Serce podskoczyło mi radośnie w piersi, lecz gdy chciałam ją objąć, uprzytomniłam sobie, że to nie jest Ginewra de Grimwald, lecz ktoś inny. Miała jej twarz, spojrzenie, sposób trzymania głowy, ale wydawała się olbrzymką. Merlin skłonił się przed nią, ja uczyniłam to samo. Uśmiechnęła się do mnie i podeszła bliżej. Dotyk jej rąk przypomniawszy mi odległe czasy dzieciństwa.

- Witaj, córko. Jestem teraz wielką kapłanką Avalonu, ale to nie jest ważne. Jesteś tu dlatego, że twoja dusza znajduje się w połowie drogi między życiem i śmiercią. My jednak - Merlin i ja - wiemy,

że twoja godzina jeszcze nie wybiła. Jednakże coś ciągnie cię w przepaść, tam gdzie nic nie istnieje, lecz nie możemy pozwolić ci odejść.

Nie rozumiałam, co chciała powiedzieć, lecz musiała mieć rację, gdyż bezbrzeżny smutek ścisnął mnie za gardło. Merlin położył mi rękę na ramieniu i powiedział po prostu:

- Chodź.

Natychmiast krajobraz uległ zmianie. Przede mną rozciągała się bezkresna tafla jasnej wody. Nic się w niej nie odbijało - ani drzewa pochylone nad nią, ani nasze twarze.

- Spójrz - powiedziała śpiewnym głosem Ginewra.

Powierzchnia wody zadrżała i pojawił się na niej obraz. Zobaczyłam krąg osób pochylających się

nad zwijającym się z bólu ciałem. To byłam ja.

- Pani Loanno - usłyszałam - wytrzymaj, już idzie.

- Oto ona.

Odsunęły się, a wtedy zobaczyłam przestraszoną twarz Aliénor. Była zadyszana, gdyż biegła mimo swego dużego już brzucha. Obok niej stał pałacowy medyk i jakaś inna postać. Na jej widok poczułam straszną wściekłość - Béatrice de Campan opowiadała jakąś nieprawdopodobną historię. Słyszałam wszystko i miałam ochotę krzyknąć, że kłamie, że umieram z powodu trucizny, którą mi dodała do szklanki, lecz z moich ust wykrzywionych cierpieniem nie wydobył się nawet szept.

Obraz zmętniał i pojawiła się inna scena. Rozpoznałam Henryka, który jechał konno obok swego ojca. Był w barwach książąt Normandii, za nimi podążała armia lansjerów i żołnierzy w zbrojach. Z przeciwnej strony nadciągała armia tysiąc razy liczniejsza, pod inną flagą. Była to armia króla Anglii - Stefana z Blois. Po jego stronie łopotał, jak na urągowisko, sztandar z kwiatem lilii królestwa Francji.

Zdawało się, że starcie jest nieuniknione, lecz między tymi dwiema armiami stanęła Aliénor. Wzniosła ramiona ku niebu. Ludwik i Henryk podbiegli do niej z uniesionymi mieczami, wykrzykując groźnie. Henryk był szybszy i przeciągnął ją na swoją stronę. Ludwik cofnął się przerażony. Stefan z Blois wrzasnął

nienawistnie. Przegrali z kretelem. Obaj z Ludwikiem okopali się na wzgórzu, za-tnęli tam flagę Anglii, potem odwrócili się i znikli. Henryk, który jechał tuż za Aliénor, rzucił się ku przodowi, ale to ona, schyliwszy się ku samej ziemi, podniosła chorągiew i rozpostarła ją, a wtórowały jej okrzyki potężnej armii.

Znow wszystko się zamgliło, a gdy mgła się rozproszyła, zobaczyłam wspaniały ogród. Na ławce siedział mężczyzna i cicho płakał. Podniósł głowę i wtedy poznałam Jaufrego. Lecz nie wyglądał tak jak wtedy, gdy się rozstaliśmy. Otworzył

usta, by mnie zawołać, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wtedy rozplakał się jeszcze bardziej. Jakaś cudownie piękna kobieta podeszła do niego i pomogła mu wstać. Musiała go podtrzymywać, taki był osłabiony. Stopniowo szedł coraz pewniejszym krokiem, a ogród zmieniał się, jakby mijały pory roku. Twarz Jaufrego się uspokoiła, ale nadal nie słyszałam jego głosu. Kobieta była wciąż obok niego, a gdy płakał, obejmowała go i całowała w czoło, jak małe dziecko.

Obraz jeszcze raz się zmącił i znowu widziałam siebie wśród kobiet. Leżałam, cierpiąc strasliwy ból. Usłyszałam krzyk:

- Boże wielki, spójrzcie, to krew!

Ktoś rozsunął mi nogi, moja suknia nasiąkała szkarłatną czerwień. Alienor pochyliła się nade mną i coś mówiła. Jej słowa docierały do mnie jakby z oddali.

- Błagam cię, Loanno, przecież możesz to zrobić, przyj, przyj. Uratuj dziecko, uratuj je!

W chwili, gdy uprzytomniłam sobie, że mój brzuch się rozdziera, pochyliłam się nad basenem, który wypełnił się wodą. Wśród kobiet rozległ się szept. Beatrice zbladła i wybełkotała, przerażona:

- Ona jest brzemienna!

Potem coś wyrwało się z mojego ciała, kobiety przeżegnały się. Czekałam na próżno na płacz dziecka. Nic nie było słycać. Wtedy zrozumiałam, że urodziło się martwe.

Beatrice de Campan zabiła je, a tylko ono trzymało mnie przy życiu. Nie miałam już żadnego powodu do walki. Moje odbicie w basenie zniknęło. Woda stała się czarna jak noc.

Szlochając, padłam w ramiona pani z Avalonu, a ona gładziła delikatnie moje rozrzucone włosy, jak wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Merlin milczał. Kiedy przestałam płakać, położył rękę na moim ramieniu, aby przekazać mi swoją energię i odnowić mnie. Tym razem jednak jego dotknięcie obudziło we mnie tylko gniew.

Wyrwałam mu się gwałtownie, krzyząc:

- Dlaczego? Dlaczego pastwicie się nade mną? Chcę umrzeć, słyszycie? Nie mieliście prawa mi jej odebrać! Idźcie stąd! Dajcie mi spokojnie wrócić na ziemię, abym znów była między swymi, nie mam teraz z wami nic wspólnego.

- Loanno de Grimwald, to, co widziałaś, jest przyszłością, od której zależy, czy będziesz żyła, czy umrzesz - szepnął Merlin.

- Kłamiesz, Jaufre nie żyje.

- Woda ze świętego źródła nie kłamie. Jeśli wybierasz śmierć, Jaufre zostanie na zawsze w królestwie Trypolisu, gdzie obecnie przebywa, a Anglia dostanie się ostatecznie pod władzę Stefana z Blois, gdyż Henryk zginie w boju.

- Jakie to ma znaczenie, on czy ktoś inny?! - krzyknęłam raz jeszcze, by się bronić, lecz w głębi duszy wiedziałam, że nie jest obojętne, kto będzie królem Anglii.

- Alienor da Henrykowi syna, którego imię przetrwa w pamięci pokoleń. Będzie wielkim królem, strażnikiem tradycji i wiedzy Ava-lonu. To nasz obowiązek -

nalegała Ginewra. - To twój obowiązek, córko, dopilnować, aby tak się stało.

- Czy mam jakiś wybór? - płakałam.

Pani Avalonu podeszła i przyciągnęła mnie do siebie, kołysząc czule i przygarniając do swego ciepłego ciała:

- Moja maleńka, niebawem będziesz nosiła pod sercem potomka mojego zaginionego rodu - takjakja

nosiłam ciebie. Proszę, zaufaj mi. Nic nie dzieje się przypadkiem, musimy czuwać nad przyszłością naszej ziemi. Stefan z Blois nie jest dla Anglii dobrym królem. Jest nieuczciwy, nielojalny i niszczy nasze tradycje.

Henryk bywa okrutny, uparty i porywczy lecz będzie sprawiedliwy i wszystkie swoje siły poświęci słusznej sprawie. Gdy wzejdzie ziarno, które zasiałaś, przekonasz się, że twoje poświęcenie nie poszło na marne. Obiecuję ci, że wybierzesz swoje życie. Avalon jest niczym dla ludzi i zapewne jestem ostatnią z jego władczyń. Wróżki służą gdzie indziej swoją mądrością. Wtrącamy się w bieg spraw tylko wtedy, gdy trzeba utrzymać na angielskim tronie dynastię naszych ojców. Nie zostałam wybrana do tego, by być następną władczynią. Ani Merlin, ani ja o tym nie decydujemy. Wiedz tylko, że twoja misja jest twoją ostatnią misją. Odtąd możesz wybierać sama. Cokolwiek uczynisz czy pomyślisz, jesteś wolna.

Odsuwając mnie łagodnie, podeszła do Merlina. Oboje uśmiechnęli się ufnie.

Nienawiść, którą wcześniej do nich poczułam, wróci-

ła teraz, ale zmieniła obiekt. Czułam w ustach gorycz zemsty. Uniosłam głowę do góry i zażądałam stanowczo:

- Stare prawo powiada: życie za życie, krew za krew. Jeśli podejmę swoje życie, chcę spokoju dla mojego dziecka.

Merlin skinął głową na znak zgody. Matka odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Życie za życie. Béatrice de Campan umrze!

Poczułam nagły skurcz bólu i zwymiotowałam. Przeniesiono mnie do mego pokoju.

Ze swojej podróży zapamiętałam kilka obrazów: twarze matki i Merlina, śmierć mojego dziecka i karę dla Béatrice. Zastanawiała się zapewne, dlaczego przeżyłam, skoro zadała mi straszliwą truciznę. Mogłabym ją zdemaskować, lecz kto by mi uwierzył, skoro trucizna nie zadziałała? Wyjaśnienie, jakie podała mi zapłakana Alienor, było bardziej wiarygodne: poroniłam od trujących oparów farby i tkanin, które wdychałam przez trzy dni. Urodziłam martwe dziecko, maleńką dziewczynkę, której mi nawet nie pokazano, żeby oszczędzić mi większych cierpień. Panperd'hu był u mego wezłowa. Ścisnął moją rękę i płakał. Po śmierci Jaufrégo uznał to dziecko za swoje. Odgadywał, co czuję.

Wieść rozeszła się tak szybko jak pożar po lesie. Od plotek aż wrzało. Domyślałam się, że wkrótce w moim pokoju pojawi się Suger we własnej osobie, żeby zmusić mnie do spowiedzi i oczyszczenia duszy. Zapewne wygłosi mi kazanie, z którego będzie wynikać, iż dziecko poczęte w grzechu nie mogło żyć i że Bóg wezwał je do siebie, by mnie ukarać. Nie dbałam o to.

Na razie oczekiwałam innej wizyty - tej zdrajczyni Béatrice - potwornej, bezbożnej Béatrice. Nie, nie zdemaskuję jej odrażającego uczynku, nikt nigdy się o nim nie dowie. Ale ona będzie żyła w strachu jutro i codziennie, będzie bała się tego, co może nastąpić. Tak, moje dziecko zostanie

pomszczone.

- Prosiłaś, pani, bym cię odwiedziła - szepnął słodki głosik. Zapewne uważała, że niczego nie podejrzywam. Odwróciłam się

do Panperd'hu i Aliénor:

- Chciałabym zostać sam na sam z panią Béatrice.

Aliénor spojrzała na mnie pytającym wzrokiem, ale ponieważ nie zadała mi tego pytania na głos, poprzestałam na uśmiechu.

- Jak chcesz - powiedziała wreszcie obojętnym głosem. - Chodźmy, panie Panperd'hu. Spacer dobrze nam robi, zwłaszcza moim nogom, które przypominają raczej pełne bukłaki niż trzcinę.

Wzięła trubadura pod ramię, pożegnała się z Béatrice i wyszła.

- Podejdź tu, Béatrice.

Podeszła bliżej. Pod pozorami pewności siebie odgadywałam niepokój. Usiadła na stołeczku, z którego dopiero co wstała królowa, i jęła lamentować:

- Jak straszliwą stratą jest śmierć tej małej istotki! Gdybym wiedziała, nigdy bym nie pozwoliła, byś się męczyła, przygotowując mi wyprawę.

Odczułam gwałtowny przypływ nienawiści. Nie starałam się ukryć gniewu. Zbladła, aja pozwoliłam całej złości wyjść z mej zmaltretowanej duszy:

- Dość tych duserów, Béatrice. Wiem, że to ty jesteś odpowiedzialna za wszystko, co się tu zdarzyło. Za dobrze znam się na truciznach, by nie rozpoznać szaleju, którego dodałaś do mojej szklaneczki z syropem. Nienawidzisz mnie tak bardzo, że chciałaś mnie otruć, ale nie można otruć czarownicy.

Zerwała się z miejsca:

- Kłamstwo! Rozumiem twój ból, ale...

- Cicho bądź! Siadaj!

Opadła posłusznie na krzesło. Przez długą chwilę nie przerywałam ciszy i nie spuszczałam oczu z Béatrice. Wreszcie zrozumiała, że nie uda jej się odgrywać ofiary. Syknęła z nienawiścią przez swe olśniewająco białe zęby:

- Nikt ci nie uwierzy. Nikt nie przeżyje takiej dawki trucizny, ja sama nie wiem, dlaczego cię nie zabiła. Twoje oskarżenia zostaną uznane za gołosłowne.

- Kto tu mówi o oskarżeniu, Béatrice? - rzekłam kpiąco. - Czy sądzisz, że jestem tak niemądra, by wnieść przeciwko tobie oskarżenie? Wzięto by mnie za szaloną, której cierpienie odebrało rozum.

Nie tego pragnę.

- A czegoż, u diabła, chcesz? Nie mogę ci zwrócić dziecka.

- Nie wiesz, kim jestem, Béatrice. Nie masz nawet pojęcia o mocach, które posiadałam. Przyłgnęłaś do mnie jak cuchnące łajno. Mogłaś być dobra, lecz jesteś nieodwracalnie zła. Sądziłam, że twoja miłość do Ludwika może posłużyć moim celom, i zachęcałam cię do

niej, ale to także zniszczyłaś. Za to wszystko będziesz musiała zapłacić. A ceną za twoje zbrodnie jest śmierć.

Zaśmiała się, lecz w jej śmiechu usłyszałam więcej lęku niż cynizmu.

- Jakąż to truciznę mi zaaplikujesz?

- Czarnoksiężnicy nie potrzebują trucizny. Posłuchaj moich słów, Beatrice de Campan: „Na mocy trzech kręgów i magii Avalonu przywołuję nad twoją głowę demony ciemności i przekleństwa ziemi, którą zbrukałaś. Zanim na twym palcu załśni obrączka czystości, zginiesz w mękach, a będzie to kara za zło, jakie wyrządziłaś innym”.

Beatrice drżała na całym ciele.

- To są czary - wybełkotała. - Spłoniesz w piekle albo na stosie! W odpowiedzi wybuchnął szyderczym śmiechem, od którego

zadrżały ściany.

- Trucizna nie odebrała mi życia, sądzisz więc, że zdołają dokonać tego płomienie?

Zresztą nikt ci nie uwierzy, tak jak i mnie. A teraz odejdz. Moje przekleństwo ciąży na tobie i cokolwiek uczynisz albo powiesz, niczego to nie zmieni. Zanim zostaniesz męzatką, umrzesz! Tkaniny, który farbowałam do twojej wyprawy, posłużą ci jako całun.

- Jesteś szalona! Zupełnie oszalałaś!

Odwróciła się na pięcie i dodając sobie kontenansu, poszła pewnym, powolnym krokiem w stronę drzwi.

Gdy wyszła, opadłam na poduszki i przymknęłam oczy. Nie żałowałam słów, które wypowiedziałam. Co gorsza, przyniosły mi ulgę.

W kilka tygodni później Alienor powiła dziewczynkę, której dano na imię Alicja.

Miała taką samą bladą cerę jak Ludwik i nikomu w pałacu nie przyszło do głowy przypisać jej narodzin zdradzie. Ludwik wziął dziecko w ramiona i choć żałował, że wciąż nie ma syna, ucałował serdecznie królową. Na Marię, która stała przy kołysce noworodka, nawet nie spojrzał. Alienor zobaczyła, że dziewczynce zakręciły się łzy w oczach, lecz nie odezwała się ani słowem. Postanowiła skłamać i opowiedzieć małej, jak po jej narodzinach ojciec wziął ją na ręce. Uważała, że gdy minie pierwsze wzruszenie, król nie będzie

się interesował tą córką bardziej niż pierwszą. Papież powiedział, że na znak pojednania urodzi im się syn, lecz i tym razem Bóg nie chciał wysłuchać ich modlitw. Może nie chciał, żeby syn ostatecznie ich połączył.

Był kwiecień 1150 roku. W ogrodzie pałacowym zakwitły pierwsze bzy. Po ostrej zimie zapowiadała się ciepła wiosna. Ludwik postanowił, że ślub Beatrice odbędzie się na Wielkanoc. Potem królowa i on wyjadą z odwiedzinami do wasali, u których nie byli jeszcze po powrocie z krucjaty. Ostatnie miesiące były wyczerpujące, by nie powiedzieć mordercze. Początkowo obowiązki dworskie były pewnym wytchnieniem, lecz brakowało im tego elementu niespodzianki i przygody, jakich zaznali na Wschodzie.

Alienor cieszyła się więc na myśl o podróży. Radowało ją także to, że wreszcie uwolniła się od swego brzemia, z którym czuła się ociężała i brzydka. Bardzo utyla i miała nadzieję, że zdoła odzyskać szczupłą talię. Na pewno uda się po pomoc do czarownicy z moczarów, chyba że ta umarła podczas naszego pobytu w Konstantynopolu.

Po połogu Alienor przystąpiła do przygotowań do uroczystości. Ja stanęłam na nogi, choć narodziny Alicji sprawiły mi ból, gdyż przypomniały mi moje utracone dziecko. Zostałam jej matką chrzestną, więc była też po trosze moja, a Alienor pozwalała mi przytulać ją, ile tylko chciałam. Bernard de Ventadour przysłał gratulacje, dzięki czemu dowiedziałyśmy się, że przebywał na dworze normandzkim, blisko Henryka. Sytuacja była tam bardzo napięta, gdyż Stefan z Blois naraził się baronom, lecz król opowiadał się po jego stronie.

Całkowicie oddałam się codziennym czynnościom. Z jednej strony dlatego, że przygotowanie wesela Beatrice przybliżało godzinę mej zemsty, a z drugiej -

ponieważ pozwalało mi to zapomnieć o koszmarach, które dręczyły mnie co noc.

Jaufre leżał obok mnie, na pościeli z kwiatów, i wyciągał do mnie ramiona. Nie miałam pojęcia, jak mam sobie tłumaczyć te sny. Wiedziałam tylko, że coś ważnego zostało mi objawione wtedy, gdy leżałam nieprzytomna, teraz jednak ukazywały mi się tylko strzępy jakichś wizji.

Beatrice unikała mnie. Całe dni spędzała w kościele. Z jej jowialności, a nawet udawanego entuzjazmu nie pozostało ani śladu. Złe języki powtarzały, iż dręczy ją poczucie winy z powodu mego



poro-

nienia, gdyż nie dość szybko wezwała pomoc, a poza tym na skutek jej zaręczyn musiałam ciężko pracować, słowem - czuła się odpowiedzialna. Może i tak było.

Béatrice mnie nienawidziła, lecz nie wierzyłam, że chciałaby śmierci mego dziecka.

Powinłam jej była wybaczyć, bo nie wiedziała o niczym, lecz nie mogłam. Czułam się tak, jakby sama myśl o jej śmierci dawała mi siłę do życia.

W Zielone Świątki od rana świeciło słońce. Z przyjemnością powitałam Gotfryda z Rançon, który przybył, by wziąć udział w turnieju. On także był szczęśliwy, że mnie widzi. Złożył mi wyrazy współczucia. Wieść o śmierci Jaufrégo obiegła cały kraj, a Gotfryd dobrze wiedział, jak ciężka była to dla mnie strata. Przyjechał dopiero tego ranka, inaczej niż pozostali seniorzy. Od śmierci Denysa nie odbył się żaden turniej, więc teraz nalegał, aby mógł walczyć za mnie w imieniu Denysa. Nie miałam serca mu odmówić, mimo plotek, które od razu zaczęły krążyć, gdy przyszedł się ze mną przywitać. Nie żałowałam tego, że zgodziłam się przyjąć jego hołdy, gdyż walczył

dzielnie z moją wstęgą na ramieniu.

Béatrice nie pokazała się. Nie widziałam jej od czasu naszej rozmowy. Zapewne przygotowywała się do ślubu, a może próbowała ostatnim wysiłkiem ocalić resztki duszy.

Dzień ten zakończył się wielką ucztą, podczas której wystąpiło wielu trubadurów i zonglerów. Myślałam przez cały czas tylko o tym, że już wkrótce pozbędę się najstraszniejszego wroga. Ten balsam na serce pomógł mi usnąć.

Kogut zapał o świcie. Lekka mgiełka unosząca się tuż nad ziemią zwiastowała słoneczną pogodę. Podczas niesporów kończących turniej miał się odbyć ślub Béatrice, a potem ucza weselna. Aliénor poprosiła mnie, abym czuwała nad stroną kulinarną uroczystości, tak aby wszystko tego wieczoru było doskonałe. Z samego rana udałam się zatem do kuchni i sprawdziłam, czy wszystkie produkty do sporządzenia ciast, pierogów i dań, które figurowały w menu, zostały dostarczone.

Aliénor dołączyła do mnie wczesnym popołudniem. Wydawała się zakłopotana.

- Masz jakieś zmartwienie? - zapytałam, mając w głębi duszy na

dzieję, że Beatrice sama przyspieszyła swe odejście, połykając truciznę.

- Ależ nie. Jest to raczej dobra nowina, chociaż nie wiem, czy cię ucieszy.

- Mów więc - powiedziałam ze śmiechem.

- Gotfryd z Rançon poprosił mnie o twoją rękę.

Ta wiadomość mnie ogłuszyła. Alienor wybuchnęła śmiechem, widząc moją ogłupiałą minę.

- Wiedziałam, że to cię zaskoczy.

- On chyba nie mówi poważnie - wybełkotałam, jeszcze wciąż pod wrażeniem tej wieści. - Stracił żonę i powinien odczekać czas obowiązkowej żałoby!

- To właśnie mi powiedział. Chciał, żebym to ja ci przekazała jego prośbę, po to, byś miała czas na zastanowienie się, zanim oficjalnie włoży ci na palec obrączkę. Czyż to nie rycerskie? - Ubawiona Alienor przyłożyła patetycznie dłonie do swej piersi.

- Przestań sobie kpić! Co mu odpowiedziałaś?

- Nic. Po prostu zapewniłam go, że poinformuję cię jak najszybciej o jego prośbie.

Czy dobrze uczyniłam?

- Tak, oczywiście. Dziękuję ci, kochanie.

- A więc uciekam, czekają na mnie z rozpoczęciem walk. Czy przyjdiesz? Twój piękny rycerz nie będzie mógł bronić barw osoby nieobecnej...

- Idź pierwsza. Muszę jeszcze wydać kilka poleceń.

W rzeczywistości potrzebowałam czasu, by zebrać myśli. Nigdy nie myślałam o tym, by zostać żoną innego mężczyzny niż Jaufre. Gotfryd z Rancon był przystojny, choć już niemłody, poza tym budził zaufanie. Już kilka razy miałam możliwość przekonać się o jego lojalności i odwadze. Żałoba miała trwać rok, dopiero potem mógł pomyśleć o ponownym ożenku. Miałam zatem rok do namysłu nad tą propozycją, która zmierzała do tego samego, czego chciał Jaufre: małżeństwo chroniło mnie przed zakusami wrogów i zalotami brutalnych i prostackich baronów.

Mam rok na ukończenie swojej misji, a potem może... Żywiłam dla tego człowieka jedynie szczere uczucie przyjaźni, ale ileż to udanych małżeństw opierało się tylko na tym! Czyż zaufanie nie jest najważniejsze? Mogłam z pewnością powiedzieć, że mam zaufanie do Gotfryda z Rancon. „Gdyby tylko Jaufre żył” - westchnęłam, próbując gęstego sosu. Kucharz

spojrzał na mnie z niepokojem, sądząc zapewne, że to westchnienie miało wyrażać krytykę pod jego adresem.

- Doskonały! - powiedziałam, by go uspokoić.

Wypiął dumnie pierś. Do złudzenia przypominał utuczonego indyka, uciekłam więc szybko, powstrzymując śmiech.

Turniej był wspaniały. Weterani i tym razem odnieśli zwycięstwo. Zapewne byli zdania, że dobrze jest walczyć tylko dla honoru. Podobnie jak poprzedniego dnia niewiele było zadraśnięć, a gdy każda z nas wręczyła trofeum swojemu zwycięzcy, Gotfryd z Rancon, który doszedł aż do finału walk, skłonił się przede mną z porozumiewawczym uśmiechem. Ja także uśmiechnęłam się do niego i zawiesiłam mu na szyi złoty medal ze statuetką rycerza przebijającego mieczem smoka,

symbolizującego siłę i zręczność.

- O pani - szepnął - twój uśmiech jest dla mnie największą nagrodą.

Odwrociłam wzrok, gdyż Gotfryd wpatrywał się we mnie tak, że czułam, jak się rumienię.

W tej samej chwili rozkołysały się dzwony Saint-Denis, wzywając na nieszpory.

Alienor dołączyła do Ludwika, a damy do swoich mężów, którzy poszli do pawilonów, by się nieco odświeżyć. Po dwudziestu minutach orszak ruszył w stronę opactwa. Właśnie miałam podejść do zaproszonych gości, gdy obok mnie zjawił się Gotfryd z Rancon:

- Czy przyjmiesz me ramię, pani?

- Z przyjemnością - odparłam.

A więc weszłam z nim pod ramię, z drzeniem w sercu, do katedry. Ostatni raz szłam tak z Jaufrem. Było to w Tusculum, gdzie papież pobłogosławił nasze zaręczyny.

Kilka chwil później w kościele zapełnionym po brzegi pojawiła się Beatrice we wspaniałej szacie ze śnieżnobiałego tiulu. Prowadził ją do ołtarza wuj, baron de Campan. Uśmiechała się niepewnie, skóra na jej twarzy była bielsza od sukni.

Wywołało to szepty wśród zgromadzonych gości. To zapewne ze wzruszenia -

wyraził ktoś przypuszczenie. Ale ja wiedziałam, że to coś innego. Był to strach.

Strach, który rósł, w miarę jak zbliżała się do ołtarza i do swego Boga rozpiętego na ogromnym krzyżu. Gdy doszła do ołtarza, przyszedł mąż ujął ją za rękę i poprowadził

przed oblicze króla i królowej. Ludwik również był blady, zapewne trudno mu było patrzeć na to, jak inny

mężczyzna odbiera mu ukochaną kobietę. Oboje poddani pochyłili się w pełnym szacunku ukłonie.

Następnie przyszli małżonkowie zwrócili się w stronę ołtarza, gdzie oczekiwał ich już Suger. Mówił długo o obowiązkach związanych z zawarciem małżeństwa, o obowiązkach względem króla Francji i o innych sprawach. Kilka razy Béatrice kaszlnęła tak, jakby zabrakło jej powietrza, potem jednak się uspokoiła. Wreszcie nadeszła chwila, w której baron de Montmorency wziął aksamitną poduszczykę, na której spoczywała złota obrączka, i podał ją narzeczonej, mówiąc głośno i wyraźnie:

- W imię Boga Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i z wiarą w moc świętego sakramentu małżeńskiego oddaję się ciałem i duszą tobie, Béatrice Elisabeth de Curves, baronowo de Cam-pan, aby zarówno w chwilach radości, jak i smutku mój miecz i moja miłość służyły ci z szacunkiem, wiernością i mądrością, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Uniósł delikatnie lewą rękę ukochanej i wsunął jej na palec złotą obrączkę. W tej samej chwili

Béatrice zaczęła się dusić. Uniosła do szyi przezroczyście dłoni, aby zerwać diamentowy naszyjnik, jakby to on był przyczyną jej słabości. Ale to nie pomogło. Potoczyła wokół wybałuszonymi, przerażonymi oczami, chciała krzyknąć, ale nie zdołała, padła w ramiona osłupiałego narzeczonego. Nikt nie zdążył zareagować. Po chwili wszyscy zerwali się jak na komendę, a Suger wraz z baronem de Montmorencym ułożyli dziewczynę na ziemi. W kościele było cicho jak makiem zasiał. Poblady Ludwik wbił paznokcie w oparcie tronu.

Suger pochylił się nad ciałem spoczywającym na posadzce, następnie podszedł do króla i szepnął mu coś do ucha. Sprawiał wrażenie poruszonego w najwyższym stopniu. Ludwik zachwiał się, tak że Alienor musiała go podtrzymać. Wszyscy troje skierowali się ku Béatrice. Wbrew wszelkim przepisom etykiety Ludwik - ze łzami w oczach - podniósł ją z ziemi. Baron wciąż nie mógł uczynić żadnego ruchu, skamieniały na widok białej postaci przypominającej delikatny kwiat. Król krzyknął raczej, niż powiedział, tak mocno jego głos zabrzmiał pod sklepieniami przepelnionymi ciszą:

- Przyjaciele, dziś miało być święto, jutro będzie dniem żałoby dla całego królestwa.

Béatrice de Campan porzuciła nas dla królestwa niebieskiego.

Goście kolejno podchodzili, by nakreślić znak krzyża na bladym czole Béatrice, bezwładnie zwieszającej się z ramion Ludwika. Aliénor chciała mu powiedzieć, że powinien to uczynić baron, lecz nie zdobyła się na to. Widziała, że Ludwik bezgranicznie cierpi. Przypomniało jej to ból, jaki odczuwała po śmierci Rajmunda.

Gdy nadeszła moja kolej, dotknęłam palcami zamkniętych powiek Béatrice i szepnęłam:

- Spoczywaj w pokoju.

W ten sposób zdjęłam z niej anatemę, którą jej zgotowała własna nienawiść, gdyż mimo satysfakcji, jaką odczuwałam, nie zniósłabym myśli, że na jej duszy ciąży moje przekleństwo.

Uczta, która potem nastąpiła, upłynęła w posępnej atmosferze. Baron de Montmorency nie pokazał się nawet na chwilę, czuwał bowiem przy zwłokach tej, która nie zdążyła zostać jego żoną. Ludwik siedział poblady, ledwie tknął podanych potraw. Po dłuższym czasie poprosił Aliénor, by pozwoliła mu się oddalić, a ona nie miała serca odmówić. Wiedziała, że razem z rodziną Béatrice król będzie się modlić za jej duszę. Rzecz dziwna, nie miała mu tego za złe. Ludwik był złamany cierpieniem, lecz zamiast odczuwać mściwą radość, na którą czekała od śmierci Rajmunda, było jej go żal. Zapewne miała świadomość, że Ludwik był sam.

Zupełnie sam.

Ja czułam radość w sercu i było mi lekko na duszy, jakby nic już teraz nie mogło mi zagrażać, jakbym wraz ze śmiercią Béatrice odwróciła ponurą kartę mej egzystencji.

Gdy Gotfryd z Rançon zaproponował, że odprowadzi mnie do pokoju, poprosiłam, abyśmy się przeszli w świetle księżyca, który swą olbrzymią tarczą oświetlał drzewa w ogrodzie. Moja prośba sprawiła mu przyjemność. Poszliśmy więc w stronę wieżyczek wznoszących się nad Sekwaną.

- Nie wyobrażałem sobie, że ta dziewczyna tak skończy - powiedział Gotfryd, aby przerwać ciszę.

- Niezależnie od wszystkiego skłamałabym, Gotfrydzie, gdybym powiedziała, że jej śmierć dotknęła mnie osobiście.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Byłbym zdziwiony, słysząc coś przeciwnego. Denys opowiedział mi o wszystkim, co ciebie dotyczy, Loanno.

Powiedział to półgłosem, jakby poufnie, ująwszy moją dłoń. Zadrżałam nagle, choć nie było zimno. Co takiego wiedział o mnie?

- Przed śmiercią powiedział mi, że nie jesteś taka jak inni ludzie. A także że bronisz interesów Akwitanii, a twoja misja ściągnie na ciebie wielu wrogów, z którymi trzeba będzie walczyć. Mówił, że jesteś dlań cenniejsza niż własne życie, niestety, dane mu było dowieść tego. Gdy umierał, obiecałem, że będę nad tobą czuwał.

Wtedy jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wiele miejsca zajmiesz w moim sercu. Zapewne dlatego, że nie wiedziałem o twoim bliskim związku z Jaufrem de Blaye. Potem dowiedziałem się, że i on odszedł, a wtedy to, co czułem do ciebie, nabrało rzeczywistego znaczenia. Poruszyło mnie to, że jesteś sama i bezbronna. Kocham cię, Loanno. Bynajmniej nie chcę się równać z takimi ludźmi jak hrabia de Blaye czy de Chatellerault. Byłbym też szalony, gdybym sobie roił, że i ty możesz mnie tak pokochać. A jednak jestem gotowy dać ci moje nazwisko, nie tylko po to, by cię chronić, gdyż tak obiecałem, ale żeby troszczyć się o ciebie aż do końca mych dni.

Mówił szczerze i z przejęciem. Instynktownie dotknęłam jego policzka. Jego atencja, delikatność uczuć poruszyła mnie do głębi. Przyciągnął mnie do siebie i namiętnie ucałował. Poddałam się tej pieśczości. Tak bardzo brakowało mi Jaufrego!

Ale ta myśl sprawiła, że odepchnęłam Gotfryda łagodnie, lecz stanowczo.

- Przebacz - bełkotał, wyobrażając sobie zapewne, że uznałam jego zapędy za niestosowne.

- Nie - powiedziałam szybko - to ja powinnam prosić cię o przebaczenie, Gotfrydzie.

Odkąd Jaufre nie żyje, czuję się rozpaczliwie samotna. A jeszcze bardziej, odkąd straciłam jego dziecko.

Zbladł, lecz nie odważył się tego skomentować. Był nade wszystko taktowny, jednakże ja uznałam, że powinien o wszystkim wiedzieć.

- Niebawem ukończę trzydzieści lat, Gotfrydzie. Byłoby niemądrze wyobrażać sobie, że nie poznałam żadnego mężczyzny. Jednak w moim życiu był tylko Jaufre.

A odkąd on nie żyje, nikt inny nie zajął jego miejsca w moim łóżku. Oczywiście według zasad

chrześcijańskich nie należało tak sobie folgować przed ślubem, lecz pragnę cię zapewnić, że opat Suger wygłosił już na ten temat kazanie, zsyłając na mnie gromy z jasnego nieba! Jak wiesz, Jaufre i ja mieliśmy się pobrać po jego powrocie z Trypolisu. Odjechał, nie wiedząc, że jestem brzemienna. Ukrywałam swój stan tak długo, jak mogłam, mając zamiar wydać dziecko na świat w Normandii, w tajemnicy przed wszystkimi. Za sprawą Beatrice de Campan poroniłam. Nie chcę teraz rozwodzić się nad wszystkimi okolicznościami, ale pragnę wierzyć, że masz do mnie wystarczająco wiele zaufania, żeby nie wątpić w moje słowa.

Kiwnął głową na znak zgody, a ja ciągnęłam dalej, patrząc nań znacząco.

- Wiem, że Beatrice została dziś ukarana przez niebiosa za tę zbrodnię i wiele innych. Właśnie dlatego nie mam wyrzutów sumienia, że czuję to, co czuję. Szanuję cię, Gotfrydzie, lecz nie mogę cię pokochać. Jaufre zabrał mi duszę, ona już do mnie nie należy.

Objął mnie i okrył swym płaszczem. Nie miałam serca odepchnąć go po raz drugi.

Zresztą poprzestał na tym. Z westchnieniem przytuliłam głowę do jego ramienia.

Jego poważny głos ukoił mnie.

- Tej zimy straciłem żonę. Była dzielną kobietą, dała mi dwóch synów. Nigdy jej nie kochałem, a ona odwzajemniała mi się tym samym. Wszelako pragnę wierzyć, że była ze mną szczęśliwa. Będę nosił po niej żałobę przez rok, tak jak każe obyczaj.

Następnie odzyskam wolność. Mogę na ciebie poczekać, Loanno. Może zdołasz nie tyle mnie pokochać, ile mieć dla mnie wystarczająco wiele czułości, by rozważyć moją propozycję. Wiedz, że od tej chwili nie będziemy o tym rozmawiać, ale przybiegnę na najmniejszy znak z twojej strony, za każdym razem, gdy będziesz mnie potrzebowała.

- Drogi Gotfrydzie, jeśli pewnego dnia zechcę kogoś poślubić, to z całą pewnością będziesz to ty.

Przytulił mnie czule i tak trwaliśmy przez dłuższą chwilę, słuchając, jak fale uderzają o zakotwiczone w porcie statki. Potem Gotfryd złożył pocałunek na moim czole i odprowadził mnie do pokoju.

Nagle poczuł pewność, że wystarczy, by otworzył oczy, a będzie znów widział i nareszcie dopasuje do tych nieznanych głosów twarz i imiona. Bardzo długo, nie wiedział jak długo, wyczuwał panujący dokoła nieustający ruch, splątane obrazy z innych czasów i innych miejsc. Gdzie był? Kim był? Nie wiedział. Miał tylko świadomość swego ciała, które nie odczuwało bólu, lecz ciążyło mu. Chwi-

lami wydawało mu się, że coś pamięta, ale natychmiast się to ulatniało. Aż do dzisiaj. Ale co oznaczało to słowo? Jaki to dzień, miesiąc, rok? Tego także nie wiedział. Obudziło go czyjeś imię. Imię, które wynurzyło się z otchłani pamięci.

Czy słyszał je kiedyś? Czy śniło mu się? Czyje znał? Powoli z gęstej mgły wynurzyły się rysy twarzy, spojrzenie, uśmiech. Hrabia de Blayc wymówił imię: Loan-na, Loanna, i otworzył oczy.

Przez wiele miesięcy, odkąd Jaufre de Blaye leżał pogrążony w letargu, po Europie krążyła legenda o trubadurze, który umarł w ramionach ukochanej. Spędził ten czas wśród czterech ścian ponurego, zapomnianego pokoju pałacu w Trypolisie. Houdar potraktował zagadkę jego pozornej śmierci jak wyzwanie. Przypadek niezmiernie go zainteresował. Doszedł do wniosku, że życie Jaufrego Rudela przypomina wegetację rośliny, którą trzeba odżywiać, ponieważ ona sama nie może tego uczynić.

Choremu kilka razy dziennie podawano wodę z cukrem oraz z solą, a także bulion na mięsie. Karmiono go przez lejek. Stopniowo oddech trubadura wyrównał się.

Czasami z jego gardła wydobywały się dziwaczne świsty, a ciałem wstrząsały dreszcze. Nie otwierał jednakże oczu i nic nie świadczyło o tym, że postrzega cokolwiek.

Houdar porozumiał się ze swymi kolegami po fachu. Uczynił to w największej tajemnicy. Zebrał w ten sposób informację o kilku podobnych przypadkach w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Połączył to z zasłyszanymi tu i ówdzie opowieściami o odkrytych podczas czyszczenia fos grobach. Ciała nie miały rąk złączonych na piersi, lecz były dziwnie powykręcane, jakby zmarli próbowali unieść wieko trumny. Ci ludzie najwyraźniej zostali żywcem pochowani, zapewne w stanie podobnym do tego, w którym znajdował się jego pacjent, a budzili się, gdy zabrakło im powietrza. Pogratulował więc sobie, że uległ błaganiom księżniczki i nie urządził

Jaufremu pogrzebu. Tak minęło pięć miesięcy. Jaufre Rudel był teraz przeraźliwie chudy, ale wracał do życia, na co wskazywały delikatne oznaki - drżenie palców, skrzywienia twarzy, westchnienia. Wszystkie te symptomy radowały Hodiernę i na nowo rozbudzały jej nadzieje.

Gdy pewnego poranka marcowego 1150 roku weszła do pokoju, zastała Jaufrego Rudela z oczami szeroko otwartymi. Oczy te przepełnione były łzami. Uklękła przed nim, obawiając się, że znowu pogrąży się w otchłani nieświadomości. Ale Jaufre powrócił z niebytu.

Towarzyszyło mu natrętne wspomnienie twarzy i imienia, które chciał wykrzyczeć, lecz nie zdołał tego uczynić. Zwrócił spojrzenie na kobietę, której nie poznawał, a ona płakała i uspokajała go:

- No, już, mój kochany! Wszystko będzie dobrze! To już koniec! Koniec czego? Z

trudem poruszył prawą ręką i dotknął tej pięknej dziewczyny. Gdy to mu się wreszcie udało, jego kościste palce poczuły ciepło, dawno już przezeń zapomniane, a ich dłonie połączyły się w czułym uścisku.

Hodierna krzyknęła z radości. Wygrała.

Z nastaniem kwietnia łagodny, ciepły powiew znad morza przyniósł do Trypolisu zapach róż i jaśminu. Statki przywoziły podróżników i trubadurów, którym brzydka pogoda w zimie nie pozwalała przybić do brzegu. Tej wiosennej odnowie przypisywano wyjątkowo dobry humor księżniczki Hodierny.

Jaufre de Blaye nabierał kolorów. Płyny, którymi go dotychczas karmiono, zastąpiły pożywniejsze potrawy, a pani domu wreszcie mogła opowiedzieć mu o tym, co się działo przez te długie miesiące.

Ze swego poprzedniego życia nie pamiętał niczego oprócz imienia, które ciągle doń powracało.

Houdar zbadał pacjenta: Jaufre Rudel żył, lecz był niemy, cierpiał na częściową amnezję, jego twarz wykrzywił grymas rozciągający lewą stronę w małym uśmiechu. Mógł poruszać prawą ręką i prawą nogą, lewa strona ciała pozostawała sparaliżowana, nie miał też czucia w kończynach. Houdar nie wiedział, czy to się kiedykolwiek zmieni.

Gdy Jaufre usłyszał opowieść o poświęceniu Hodierny, jego serce przepełniła gorąca wdzięczność. Jednak nie mógł powiedzieć, że ją kochał i właśnie z tego powodu tu przyplął. Kiedy nieco się wzmacnił, napisał na pergaminie imię, które wypełniało go całego. Chciał, żeby Hodierna powiedziała mu, kto to taki.

- Nie wiem, kim jest Loanna - odparła Hodierna zasmucona. - Może to twoja matka lub jakaś francuska dama, która była twoją żoną. Zapewne z czasem pamięć wróci ci na tyle, żebyś mógł sobie sam udzielić odpowiedzi na to pytanie. Na razie czeka mnie delikatna misja. Muszę opowiedzieć o twoim zmartwychwstaniu i moim grzechu opatowi. Obawiam się, że nie spodoba mu się, iż był oszukiwany, i ukarze mnie postem za to, że tak długo kłamałam. Przyjdę do ciebie niebawem.

Złożyła pocałunek na ciepłym czole Jaufrego i wyszła. Za nic na świecie nie chciała mu okazać swego rozczarowania. Jeśli Jaufre de Blaye zachował w pamięci tylko to jedno imię, oznaczało to, że musiało być dlań bardzo ważne. A przecież to ona, Hodierna, go uratowała i dzięki swej miłości przywróciła światu żywych. To, co było zrazu tylko kaprysem, stało się czułością i prawdziwym uczuciem nie do sławnego trubadura, lecz do człowieka zawieszzonego między dwoma światami. Ona była jego teraźniejszością i przyszłością. Będzie umiała sprawić, że ją pokocha, i gdy Jaufre Rudel odzyska pełną sprawność, jej stałość i potęga uczucia przytłumią obraz rywalki. Tak, była tego pewna. To tylko kwestia czasu.

Opat wysłuchał spowiedzi o straszliwym świętokradztwie. Gdy jął grozić Hodiernie gniewem bożym, uniosła wyżej głowę i oświadczyła:

- Które z nas musi bardziej błagać o przebaczenie? Ja, która ocalałam i uleczyłam, czy ty, który skazałeś na pochowanie żywcem chrześcijanina?

Opat odchrząknął zakłopotany i długo milczał. Wreszcie szepnął:

- Ponieważ Bóg rozwiązał ten dylemat, pójdźmy zobaczyć cud.

Hodierna, opat i Houdar odbyli długą naradę. Zastanawiali się, jak postąpić, żeby jak najlepiej przysłużyć się interesom królestwa. Jeśli wieści się rozniosą, dotrą też do hierarchów Kościoła. Świętokradztwem było to, że została odprawiona msza nad pustą trumną. Co więcej, Jaufre nie był w pełni sprawny, a Houdar nie umiał przewidzieć, czy kiedykolwiek odzyska władzę i pamięć. Postanowiono zatem zachować milczenie - człowiek był żywy, lecz trubadur umarł. A zatem nie było to kłamstwo. Powiedzą, że jest krewnym, który wraca do sił po długiej chorobie.

Będzie więc od tej pory mógł się przechadzać w ogrodzie na oczach wszystkich.



Ponieważ był niemy, nie istniało ryzyko, że powie coś niewłaściwego. Gdy całkowicie wyzdrowieje, oceni sam, co będzie najlepsze dla niego i dla jego bliskich.

Czas upływał. Dzień po dniu wiele sówicie opłacanych osób badało przypadek Jaufrego i proponowało sposoby leczenia - jeden bar-

dziej cudaczny od drugiego. Hodierna odsunęła wszystkie te, w których należało odwołać się do czarnej magii. Po wiośnie nastąpiło lato i Jaufrego przeniesiono do ogrodów Trypolisu, w których rosły drzewa pomarańczowe, cytrynowe, magnoliowce i palmy daktylowe. Mógł już siedzieć i Hodierna spędzała z nim jak najwięcej czasu. Porozumiewał się z nią na piśmie. Pewnego dnia, aby zrobić mu przyjemność, sprowadziła trubadura, którego poprosiła o zaśpiewanie pieśni Jaufrego Rudela. Człowiek ten lamentował nad utratą druha, nie rozpoznając w tym okaleczonym osobniku dawnego trubadura. Jaufre rozplakał się jak dziecko. Pod wpływem muzyki jego serce jakby otworzyło się. Zobaczył nagle obrazy: jakieś ręce złożone na białym prześcieradle, usta krzyczące „kocham cię”, delikatna, jedwabista skóra, papież kreślący na ich czołach znak krzyża - Loanna de Grimwald.

Wstrząśnięta Hodierna kazała odejść trubadurovi. Mocno objęła Jaufrego ramionami. Później, gdy wyczerpał cały zapas łez, pisał długo, a potem podał

Hodiernie wyznanie z prośbą o przebaczenie:

„Słodka, szlachetna przyjaciółko. Zapewne jestem najmniej uprzejmym z ludzi, skoro proszę Cię o spełnienie takiej prośby. Kocham Cię za wszystko, co dla mnie robisz od wielu miesięcy, bez wytchnienia, bez zastrzeżeń. Na zawsze pozostanę Twym dłużnikiem. Niestety ta pieśń napisana dla innej spowodowała, że otworzyła się rana tak świeża, iż nie mogę już dłużej myśleć o tym, co Ci zawdzięczam, lecz błagam, byś mnie wysłuchała. Wiem teraz, że tylko ona, Loanna de Grimwald, z którą zostałem połączony w obliczu Boga, zawsze będzie panią mego serca. Cóż mogę na to poradzić, ukochana przyjaciółko? Wejrzyj na moje nieszczęście! Czuję jej ból, gdyż przypuszcza, że nie żyję. Jej ból jest moim bólem. Nie mogę dłużej ukrywać przed nią prawdy. Ona musi wiedzieć, że żyję i że Ty troszczysz się o mnie z miłością. Albowiem jej, jeszcze bardziej niż sobie, chciałbym oszczędzić cierpienia. Wybacz mi, słodka, czuła Hodierno. Przepraszam cię tysiąckrotnie, przepraszam, że jestem niegodny Twego poświęcenia i miłości”.

Hodierna ukryła swoją rozpacz i żal. Pomyślała, że może byłoby lepiej, gdyby pozwoliła mu umrzeć, ale gdy spojrzała w jego pełne bólu oczy, jej gorycz znikła.

„Nie - powiedziała sobie - Loanna nie powinna się o niczym do-

wiedzieć”. Ujęła w swoje dłonie ręce Jaufrego i powiedziała zatroskanym głosem:

- Jaufre, kocham cię tak bardzo, że uczynię dla ciebie wszystko, ale nie mogę przystać na twe żądania, byłoby to szaleństwem. Popatrz na siebie, przyjacielu, jesteś teraz kaleką, nikt poza mną nie zdoła tego znieść. Twoja ukochana wielbi cię jako trubadura, hrabiego de Blaye, pełnego życia i kochającego, jego głos wyśpiewujący jej chwałę, jego pieszczoty i stałą obecność. Czy w chwili obecnej możesz jej to ofiarować? Nie, najdroższy przyjacielu. Ona uważa, że nie żyjesz, i niestety

trochę tak jest, gdyż ten mężczyzna, którym kiedyś byłeś, niewiele przypomina tego, którym jesteś teraz. Pozostała tylko dawna namiętność. Czy ona zniosłaby to, gdybyś już nigdy nie miał być tym, kim byłeś? Czy nie będzie to jeszcze większą dla niej torturą? Nie mogę uwierzyć w to, że chciałbyś przysporzyć jej bólu. Pozwólmy, by czas uczynił swoje, Jaufre. Jeśli pewnego dnia staniesz się znowu tym, kim byłeś, wtedy może jeszcze nie będzie za późno.

Jaufre opuścił głowę. Hodierna miała rację. Dzień wczorajszy minął. Trzeba będzie nauczyć się o nim zapomnieć. Tak, naprawdę miała rację! Jaka inna kobieta, poza nią, mogłaby pokochać takiego kalekę jak on? Tylko ona mogła głaskać jego rzadkie włosy, nie litując się nad jego losem, lecz przeciwnie - dodając mu odwagi do dalszej walki. Kim byłby, gdyby nie ona?

Tłumiąc zatem w sobie to, czego musiał się oduczyć, ujął jej twarz w swe kościste dłonie i złożył na jej ustach czuły, łagodny pocałunek.

Stało się to, czego spodziewano się już od kilku miesięcy. Stefan z Blois zacieśnił

sojusz z Francją, wspierając Ludwika w walce z jego bratem, Robertem z Dreux, który spiskował przeciwko Koronie. Teraz przebywał na stałe w Anglii, by głosić wszem wobec, że słusznie dostał mu się tron, a syn powinien być jego prawowitym następcą. Nadal panowała niezgoda między zwolennikami Henryka Plantageneta i stronnikami króla Anglii i coraz częściej dochodziło do nieporozumień. Wszystko więc wskazywało na to, że wybuchnie wojna domowa. W całym kraju rosła popularność Henryka, a on co-

raz bardziej zacieśniał więzy z tymi, którzy niegdyś odrzucili jego matkę. Zapewne dlatego starcia między obydwoma klanami były takie ostre. Anglia widziała w młodym Henryku króla, w Stefanie zaś nie - gdyż był człowiekiem nieuczciwym i okrutnym. Co więcej, Anglicy byli już zmęczeni wojną, która cały kraj pogrążyła w chaosie i nienawiści. Wiosną 1150 roku Gotfryd Piękny oddał Henrykowi księstwo Normandii na siedemnaste urodziny.

Pierwszym obowiązkiem Henryka było złożenie hołdu królowi Francji i uznanie jego zwierzchności. Postanowił, że nie uczyni tego. Ponieważ Ludwik VII popierał

jego rywala, nie było żadnego powodu, by składać mu hołd. Tym bardziej iż czuł

teraz wyraźnie, że potężnym ciosem było dlań pozbawienie go Akwitanii. Nie mógł

tego wybaczyć. A Henryk jeszcze bardziej niż ojciec czy dziad lub odleglejsi przodkowie lubił wojnę, był zawzięty i uparty.

W sierpniu 1150 roku Ludwik stracił cierpliwość i uznał, że nadszedł czas, by osadzić wreszcie tego zuchwalca. Henryk powinien zrozumieć, gdzie jest jego miejsce. Wbrew poglądom Sugera, który był zdania, że nie należy burzyć pokoju w królestwie, zaczął gromadzić wojska nad brzegami Sekwany - między Mantes a Melun.

Henryk także nie pozostawał mu dłużny. Nie mógł znieść tego, żeby król Francji groził jemu, prawowitemu dziedzicowi angielskiej korony, a popierał parweniusza i wiarołomcę, który stał mu kością w gardle. Nie uznawał się za wasala Ludwika. Nie miał zamiaru poddać się jego zwierzchności. Przez wiele tygodni wiały we Francji wichry wojny.

Właśnie wtedy Ludwik wezwał mnie do gabinetu.

Od bardzo dawna nie miałam okazji rozmawiać z nim sam na sam. Zresztą od śmierci Beatrice de Campan Ludwik nie lubił nikogo, nie słuchał nikogo, nie widywał nikogo. Jeśli słuchał doradców i swego senesza Raula z Vermandois, to dlatego, że on sam chciał postąpić właśnie tak, a nie inaczej. Alienor i ja ograniczałyśmy się tylko do doglądania bieżących spraw, dobroczynności i miłosierdzia, a moja znajomość ziół pozwalała ulżyć wielu chorym; ponadto szyłyśmy, tkwały, haftowały i przygotowywały uroczystości i procesje. Wszystko jednak zmierzało ku nieodwołalnemu

zerwaniu. Ludwik nie kochał już Alienor, a Alienor nie chciała dłużej pozostawać na drugim planie, jakby była zwyczajną matroną.

A więc gdy drzwi się za mną zamknęły i spojrzałam w posępną

twarz króla, na której rysowała się już wyraźnie sieć zmarszczek, ogarnęły mnie wątpliwości.

- Siadaj, Loanno - powiedział uprzejmie, przerywając w połowie mój rewerans.

Gdy mościłam się w bogato rzeźbionym fotelu, Ludwik otworzył sekreterę i odcisnął pieczęć na zwiniętym w rulon pergaminie.

Podszedł do mnie i usiadł na biurku stojącym naprzeciwko mnie. Miał odprężoną minę, której nigdy u niego nie widziałam. Zmarszczyłam brwi. Jego postawa świadczyła o tym, że szykuje się coś ważnego.

- Powiedziano mi już dawno, że księżniczka andegaweńska Matylda jest twoją matką chrzestną i że wychowywałaś się na dworze Gotfryda Pięknego.

- Tak jest w istocie, Wasza Królewska Mość - przytaknęłam nieufnie.

Co chciał przez to powiedzieć? Czy podejrzewał mnie o konszachty z człowiekiem, który stał się jego wrogiem?

- Ośmielałam się zatem przypuszczać, że łączą cię bliskie związki z ludźmi, którzy teraz narażają na szwank mój autorytet.

- Czy Wasza Wysokość domaga się, bym zajęła stanowisko w tej sprawie? -

spytałam, patrząc mu prosto w oczy. Nie podobała mi się ta zabawa w kotka i myszkę.

Uśmiechnął się i powiedział już łagodniejszym tonem:

- Ależ skąd, szlachetna pani. Wiem o twym przywiązaniu do Korony francuskiej i królowej, więc nie chciałbym cię stawiać wobec tak okrutnego dylematu. Zresztą to nie twoja duma została zdeptana, lecz moja.

- Czego więc oczekujesz ode mnie, panie?

Moje pytanie zapewne mu się spodobało, gdyż uśmiechnął się jeszcze szerzej, a w jego ciemnych oczach zabłyśły figlarne ogniki. Podał mi list, który trzymał w ręku.

- Potrzebuję posłańca, który odda ten list do rąk własnych tej niemądrej latorośli z podejrzanej rodziny. Wiele osób z mego otoczenia uważa, że należy najechać na jego ziemie i dać mu nauczkę, lecz nie jest to najlepszy sposób, żeby zmusić go do złożenia mi hołdu. I chociaż niczego bardziej nie pragnę niż skopać mu tyłek i ostudzić jego zapały, przychyliłam się do tej opinii. A przynajmniej taką zamierzam obrać drogę. Ufając twym uczuciom, żywię zarazem nadzieję, że pani Matylda cię

wysłucha i da posłuch rozsądkowi, gdyż jest to ostatni mój krok zmierzający do zachowania pokoju. Proszę cię niniejszym, pani Loanno, abyś zechciała udać się do Normandii i przekonała Henryka Plantageneta, by przestał się buntować przeciwko mnie.

- Zaufanie Waszej Królewskiej Mości przynosi mi zaszczyt, lecz Henryk pozostał w mej pamięci jako istota najbardziej kapryśna i zawistna, jaką znam. Wątpię, czy mnie usłucha.

- No cóż, w takim razie czeka nas wojna. Będę wspierał Stefana z Blois, zetnę w proch i pył Andegawenię i Normandię. Czy zostałem właściwie zrozumiany?

- Tak mniemam, Wasza Królewska Mość.

- Proszę więc teraz odejść. Im wcześniej odjedziesz, pani, tym lepiej będzie dla pokoju w królestwie.

Gdy dotarłam do swych pokojów, by spakować bagaże, ogarnęła mnie dziecinna radość. Od wielu miesięcy szukałam okazji, by spotkać się z Henrykiem i opracować wspólnie taktykę, która rzuci na kolana króla Francji oraz Stefana z Blois i doprowadzi do sojuszu z Akwi-tanią. Grę należało poprowadzić subtelnie.

Starałam się przekonać Alienor, że walka Henryka o odzyskanie dziedzictwa była zasadna i nawet jeśli ona, jako królowa Francji, potępiała nieposzanowanie zasad przez wasala, musiała uznać tego młodzieńca za przyjaciela, który zdoła wynagrodzić jej przykrości doznane ze strony męża.

Podróż była trudna. Na drogach tłoczyli się żołnierze i wiele razy musiałam okazywać rozkaz królewski, żeby mnie w ogóle przepuszczono. Tuż przed Chateau-du-Loir upał spadł na nas jak ogień. Wkrótce w powozie było gorąco jak w łaźni, a nasze czoła zrosił chorobliwy pot. Wychyliłam się przez drzwiczki i poprosiłam, aby zatrzymano konie. Camille, moja pokojówka, była spocona, ponadto w ciągu ostatnich lat bardzo przytyła i z powodu tuszy miała często duszności. Powinnam była się z nią rozstać i zatrudnić jakąś młod-kę, lecz tyle razem przeżyłyśmy, że nie miałam serca tak postąpić.

Powóz stanął obok stawu. Na przeciwległym brzegu wznosiła się na kamienistym wzgórku mała warownia. Na łące tłoczyli się ludzie różnych stanów - pielgrzymi, podróżnicy i zwykli gapie. Panował wesoły gwar. Odwróciłam się do Camille:

- Chodź ze mną, kochana. Kąpiel dobrze nam zrobi, a nasze obrzękłe nogi odpoczną w wodzie.

- Nie ma mowy, proszę pani - sapnęła na widok kąpiących się. - Co sobie pomyślą ci ludzie z gminu, widząc damę pluskającą się pospołu z nimi!

- Każdy człowiek, mały czy wielki, cierpi z powodu upału! No, chodźże, powiadam ci! To rozkaz! - dodałam, aby ją przymusić, wiedziałam bowiem, że jej spuchnięte nogi również domagają się wypoczynku.

Gdy pojazd zatrzymał się tak, aby nie zagradzać drogi, pociągnęłam ją mocniej.

- Panienko, to nie jest w porządku, nie, to nie jest w porządku - narzekała, unosząc spódnicę, by nadażyć za mną.

- Chodź tutaj - śmiałam się, trzymając ją za rękę. - Widzisz, kapryśnico, że to nie jest takie straszne - powiedziałam, gdy zanurzyliśmy bose stopy w ożywczej chłodnej wodzie.

- Ależ, panienko, patrz na nas!

- To nie ma znaczenia. Już nie mogłam wytrzymać. W tej chwili ktoś ochlapał nas.

Camille aż krzyknęła:

- Ty łobuziaku!

Chłopiec śmiał się na całe gardło, trzymając się pod boki. Był najwyraźniej zachwycony swoją psotą. Jego śmiech dobrze na mnie podziałał, a jeszcze lepiej chłodna kąpiel. Obudziło to we mnie odległe wspomnienia. W porywie radości nabrałam w dłonie wody i odpowiedziałam chłopcu tym samym.

- Panienko - zgorszyła się Camille.

Ale oto i nasz napastnik nie pozostał nam dłużny. Uznał za zabawne, że dobrze ubrana dama bawi się takjak on. Mimo wymówek Camille rozegraliśmy istną bitwę wodną, śmiejąc się do rozpuku. W pewnej chwili zanurzyłam się aż po pas w wodzie i w tej samej chwili usłyszałam za plecami czyjś lodowaty głos:

- Proszę wstać, panienko!

W głosie słyhać było nutki arogancji i rozdrażnienia. Zdziwiona, odwróciłam głowę, a śmiech zamarł mi w gardle. Wyciągał do mnie rękę, by pomóc mi wstać, mężczyzna średniego wzrostu, o ciemnych oczach i dość młody. Włosy miał

związane jedwabną wstążką, po ubiorze poznałam, że był szlacheckiego pochodzenia.

Przez chwilę wahałam się, jednak ujęłam podaną mi dłoń. Podniósł mnie, jakbym była snopkiem słomy.

- Już cię tu nie ma! - syknął w stronę łobuziaka.

- Bardzo to miły sposób podziękowania.

- Jeśli życzysz sobie tego, pani, możesz się narażać na śmieszność do woli, ale nie w moich włościach - odparł głosem pełnym wyrzutu.

Krew zawrzała w mych żyłach. Zadarłam podbródek i odparłam:

- Niechaj wielmożny pan wybaczy, że zmąciłam jego wody oraz spokój.

I unosząc ciężką od wody spódnicę, przemaszerowałam przed jego nosem, a za mną lamentująca Camille. Zapewne wyglądałam dość żałośnie, lecz nie dbałam o to. Już od dawna nie bawiłam się tak wspaniale. W tej samej chwili poczułam żelazny uścisk na ramieniu, więc się odwróciłam.

- Czy wiesz, kim jestem, moja panno?

Pan tych okolic mierzył mnie gniewnym wzrokiem. Zapewne nie doceniał mego humoru, ale nie dbałam o to, bo kimkolwiek był, był tylko wasalem Ludwika, a ja byłam królewską wysłanniczką, której powierzono ważną misję. Zresztą kapitan straży już podążał na odsiecz z mieczem w garści.

- Panie, zostaw mnie w spokoju, gdyż moi ludzie za chwilę uznają cię za wroga.

Mężczyzna dopiero teraz zauważył kwiat lilii na kaftanie kapitana. Zapewne nie miał pojęcia, że to moja eskorta.

Od razu mnie przeprosił, a ja dałam znak kapitanowi, by schował broń.

- Tysiącrotnie przepraszam. Nie wiedziałem, że to straż królewska.

- A zatem szczęście mi dopisało, wielmożny panie, choć nie śmiem wierzyć, że umiesz zachować się nieuprzejmie, nawet wobec łachmaniarki.

Rzucił mi nienawistne spojrzenie. Ponieważ jednak ta przymusowa kąpiel dobrze mi zrobiła, wybuchnęłam wesołym śmiechem, wsuwając mu pod rękę mokre ramię.

- Pogódźmy się, mój panie! Podążmy drogą, zanim któryś z tych łotrzyków obierze nas za ofiarę. Nazywam się Loanna de Grimwald, jestem damą dworu królowej Alienor. Przykro mi, że tak żałośnie się zaprezentowałam. Zbyt wielka to była pokusa w ten upał zanurzyć się w zimnej wodzie.

- Powiadasz, że nazywasz się Loanna de Grimwald?

Zatrzymał się na chwilę i przyjrzał mi się dziwnym wzrokiem.

- Na wszystkich świętych, panie, czy dotrzemy do tej drogi, czy też będziemy się zatrzymywać po każdym kroku? W takim tempie niebawem wyschnę i trzeba będzie zacząć wszystko od nowa.

Ale on wciąż wpatrywał się we mnie, jakby szukał w pamięci czegoś, co mu się wymykało. Potem nagle jego twarz się rozjaśniła, a szeroki uśmiech zupełnie zmienił jego rysy.

- Do diaska! Loanna de Grimwald! Tak dawno cię nie widziałem! Do diaska, zmieniłaś się bardzo, moja sroczo.

Teraz ja zaczęłam mu się przyglądać ze zdziwieniem. Pamięć nie dopisywała mi jednak tak dobrze jak jemu, gdyż nie mogłam sobie przypomnieć, czy kiedyś go widziałam.

- Doprawdy, panie, nie wydaje mi się, żebym cię znała, i z tego powodu uznaję twoje poufałe obejście za niewłaściwe.

- Czy mam ci odświeżyć pamięć? Jestem Bastien. Syn młynarza Benoita. Z Angers -

dodał. Zmarszczyłam w zamyśleniu brwi. Nieraz go wyprowadzałam w pole, gdy bawiliśmy się jako dzieci na podwórzu pana Gotfryda Andegaweńskiego. - Czyżbyś nie pamiętała?

Tak, teraz przypominałam sobie. Te czarne loki, podbródek, wszystko się zgadzało i teraz wydobywało się na powierzchnię splątanych wspomnień. Bastien prześladował mnie, gdy miałam piętnaście lat, zanim wyruszyłam do Broceliande.

Łapał moje gołębie i przywiązywał im do nóżek liściki, które doprowadzały mnie do szału, więc goniłam go po chlewie z dzikim wrzaskiem.

- Bastien! - szepnęłam nostalgicznie, uśmiechając się do swych wspomnień. - Boże wielki, przyjacielu, zmieniłeś się! Gdy cię widziałam ostatnim razem, byłeś unurzany w błocie aż po uszy. I to ty dziś oburzasz się, że kąpałam się w stawie? I w takim jesteś szykownym ubraniu? Co się zdarzyło, że się tak zmieniłeś?

- To długa historia. Mój zamek widać o tam, na wzgórzu. Zapraszam cię wraz z twą świtą na krótki wypoczynek, a opowiem ci całą historię.

Tak też uczyniliśmy i w kilka godzin później siedzieliśmy jeszcze, opowiadając sobie rozmaite historyjki i wspominając czasy dzieciństwa.

- Tak właśnie było - ciągnął Bastien - i gdybym nie wtrącił się i nie zawrócił z drogi tego potwornego dzika, nasz młody Henryk nigdy by nie włożył na głowę korony angielskiej. Mam parę śladów,

które ta bestia pozostawiła mi na pamiątkę, zanim padła. Henryk okazał mi prawdziwą wdzięczność. Jego hojności zawdzięczam swój nowy stan. Wasal, do którego te ziemie należały, nie pozostawił po sobie dziedzica. Natychmiast po jego śmierci Henryk postanowił nadać mi je wraz z nazwiskiem i tytułem. To było dwa lata temu i muszę przyznać, że nowe ubranie podoba mi się bardziej niż poprzednie.

- Jestem prawdziwie rada twemu szczęściu i ja takie jestem zobowiązana ci wdzięczność, przyjacielu, gdyż utrata Henryka byłaby wielkim nieszczęściem.

- A więc to, co ludzie mówią, jest prawdą? Kochasz Henryka tak jak on ciebie?

Nie mogąc i nie chcąc tego zrozumieć, wybełkotałam:

- Kocham Henryka jak brata, to prawda, i chcę wierzyć, że on kocha mnie jak siostrę.

- O pani - zaprotestował. - Czyżbyś nie wiedziała, jakie naprawdę uczucia żywi dla ciebie książę? Jako jego powiernik mogę cię zapewnić, że kocha cię nie jak swą siostrę, lecz raczej jak kochankę!

- Ależ to niemożliwe!



To stwierdzenie mną wstrząsnęło. „Oświadczyły” Henryka uważałam zawsze za dziecięcą zabawę. Co teraz? Czy będę musiała walczyć także z tym mężczyzną, któremu poświęciłam życie? Obaj mężczyźni, których kochałam, zostali mi odebrani przez nieubłagany los, a dziś miałam dwóch niechcianych pretendenta.

Czy moim przeznaczeniem było płatać się stałe w tych grach przypadku, nie mając schronienia dla serca spragnionego namiętności? Tak bardzo brak mi było Jaufrego!

Tak bardzo chciałam go mieć u swego boku. Tymczasem nie mogłam go widywać, słuchać ani nawet pomyśleć, że jest mój. Przemijający czas nie zdołał

zapełnić ogromnej pustki, jaka po nim została, wprost przeciwnie!

- Loanna, Loanna de Grimwald!

Henryk otworzył szeroko ramiona, gdy zobaczył mnie wchodzącą do wielkiej sali pałacu, w której zgromadziła się cała rodzina. Hamując jego zapędy, Matylda spojrzała nań z ukosa i to ona pierwsza podeszła, wyciągając do mnie przyjazną dłoń, podczas gdy ja pochylałam się w głębokim rewersie.

- Drogie dziecko, co za szczęście widzieć cię znów wśród nas! Objęła mnie i lekko ucałowała w oba policzki.

- Witaj, Loanno - przywitał mnie hrabia.

Gotfryd Piękny był wciąż jeszcze pociągający, mimo że wokół jego zielonych oczu zarysowały się już głębokie zmarszczki, a włosy na skroniach znacznie się przerzedziły.

- Ja też jestem bardzo szczęśliwa - odparłam szczerze. Ale oto Henryk stał już obok mnie i ciągnął mnie za rękę.

- Dawno już mieliśmy nadzieję, że przyjedziesz.

Uniosłam oczy, a wtedy zobaczyłam jego gorące spojrzenie i poczułam, że rumieniec wypęła na moje policzki. Nie wiem sama dlaczego, ale mnie to rozdrażniło. Cofnęłam uprzejmie rękę i odpowiedziałam, pochylając się lekko:

- Panie Henryku, jesteś teraz przystojnym młodzieńcem. Pozwolisz więc, że nie ucałuję cię na przywitanie.

- Do diaska - warknął, chwytając mnie za ramiona. - Co to za kokieteria, dlaczego brat nie może uściskać siostry?

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, wycisnął na moich policzkach dwa głośne całusy, a potem roześmiał się i rzekł:

- Co oni zrobili z tobą na dworze Francji, że jesteś teraz taką skromniwą?

- Henryku! - surowo skarciła go Matylda, pociągając mnie do stołu zastawionego owocami i serami.
- Chociaż wyrósł na wysokiego młodzieńca, wciąż jest jeszcze dzieckiem. Nie zwracaj uwagi na jego słowa, Canillette, jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej.
- Czy obraziłem cię, Loanno?

Wjego głosie zabrzmiał niepokój. Nie, nie obraził mnie. Po prostu w jednej chwili uzmysłowiłam sobie, jak słuszne były słowa Jaufrego, gdy zapewniał mnie, że jeśli go poślubię, uniknę niestosownych zalotów. Poczułam się więc jeszcze bardziej bezbronna. Odwróciłam się jednak, starając się przezwyciężyć ogarniający mnie smutek.

- Musiałbyś się znacznie bardziej starać, panie Henryku. Po prostu jestem zmęczona podróżą. Dzień był upalny. Wybacz mi, ale udam się na spoczynek. Po prymie będę nurzać się w szczęściu, jakim jest spotkanie z wami. Na razie pragnę dokonać ablucji i zapaść w zbawienny sen.

- Jakimiż jesteśmy głupcami, że tak cię obsiedliśmy! Pójdę z to-

bą, moje dziecko, i pokażę ci twój pokój. W koszyku zostawię dla ciebie jakieś smakołyki. Gdy obudzisz się głodna, będziesz mogła po nie sięgnąć. Twoja pokojówka już na pewno odpoczęła. Poślę po nią. Co się zaś tyczy eskorty, bądź

spokojna. Podejmiemy ich najlepiej jak się da. Mimo naszych sporów z królem Francji ci ludzie będą się tu mogli czuć jak u siebie. Chodźmy zatem. To prawda, że wyglądasz kiepsko.

I tak pod opieką Matyldy, która otoczyła mnie troskliwie ramieniem, udałam się pomału w stronę kamiennych schodów. Została jeszcze ze mną parę chwil, lecz nie dopytywała się o powód mego smutku, który chyba wyczytała w moim wzroku.

Zapewne położyła to na karb emocji, jakie ogarnęły mnie po przybyciu do tego do-mu. Wyszła z pokoju, gdy nadeszła Camille. Dopiero w jej krągłych ramionach rozplakałam się żałośnie. Camille powtarzała w kółko, nic nie rozumiejąc:

- No tak, to inna sprawa!

Ta inna sprawa to było wszystko: trucizna, która płynęła w moich żyłach, ponury los, jaki przypadł mi w udziale. Cóż takiego uczyniłam, że ściągnęłam na siebie takie kary? Poświęciłam wszystko jednej sprawie, którą uważałam za słuszną, ale w imię czego? W imię kogo? Królestwa zmarłych, z którego wynurzyli się moja matka i Merlin, by obarczyć mnie obowiązkiem? Czyż nie mogli mi zwrócić tego, którego kochałam? Moje ciało tęskniło do jego mocnego uścisku, namiętych ust i nabrzmiałego członka, do tego jedyne go mężczyzny, który potrafił zachęcić mnie do miłosnych igraszek, czułych i zmysłowych zarazem. Nie, nie mogłam się z tym pogodzić! Coś kazało mi nie wierzyć w śmierć Jaufrego. Myślałam, że śmierć Beatrice pomści moje cierpienia i pozwoli osiągnąć upragniony spokój. Ale to było tylko złudzenie. Jeszcze jedno złudzenie. Dziś wieczorem czułam się bardziej samotna niż porzucony pies. Mimo obecności Matyldy, Gotfryda i Henryka. Mimo ich ciepła. To im poświęciłam młodość i życie. Powinnam się tym zadowolić, ale tego wieczoru miałam do nich żal. Byłam tylko pionkiem w grze politycznej. Nie liczyłam się. Jedyne

bezinteresowne istoty, jakie znałam, to Denys i Jaufre. I obu ich utraciłam.

- Zostaw mnie samą! - rozkazałam pokojówce.

Zawahała się, lecz w moich oczach musiała wyczytać coś strasznego, gdyż przerażona wyszła, mamrocząc coś pod nosem. Nie chcę świadków. Nie, nie chcę.

Potrzebuję cierpienia, chcę, żeby cały ten

ból wyszedł ze mnie, gdyż dusił mnie zbyt długo. Jaufre, Jaufre, moja miłości, moja ziemio, moje światło, moje życie. Czyż mam być przeklęta na zawsze za to, że pozwoliłam ci odjechać? Ze nic nie zauważyłam i nic nie zrozumiałam!

W moich uszach zabrzmiał cichy, łagodny głosik, czysty jak wiosna. Czułam, że muszę uczeplić się tego głosu, i zaczęłam nucić, powtarzając za nim przez łyzy słowa, jak pełną rozpaczy modlitwę:

*Za pana uznam, z czyjej woli*

*Odnajdę miłowanie w dali,*

*Ale nie cieszy, tylko boli*

*To miłowanie moje w dali.*

*Ach, kij mi dajcie, płaszcz pielgrzyma!*

*Raz jeden stanąć przed oczyma*

*Tej, w której więzy jestem skutymy...*

Obudził mnie śpiew ptaków. W ustach czułam gorzki smak, powieki miałam opuchnięte. Na otwartym skrzydle okiennicy siedział gil. Wzleciał w niebo, gdy rozległy się dzwony z katedry w Rouen, wzywające na pierwsze nabożeństwo.

Zerwałam się z posłania, zapukałam do drzwi antyszambru, dokąd bardzo niegrzecznie wyprosiłam wieczorem Camille. Otworzyła mi natychmiast. Była ubrana i zapewne czekała na moje rozkazy. Z pewnością mój płacz nie dał jej spać, gdyż wyglądała na zmęczoną.

- Pomóż mi - powiedziałam cicho. - Nie mogę się nikomu pokazać z taką twarzą.

- Czy to się godzi doprowadzać do takiego stanu? - beształa mnie łagodnie, a widząc, że nie reaguję, spróbowała ostrożniej, przykładając na moje obolałe powieki wodę z róży i bławatka. - Czy nigdy nie myślałaś, pani, o przywdzianiu kornetu?

Podskoczyłam, ale to głupie pytanie okazało się zbawienne.

- Choć jestem zrozpaczona, to jeszcze daleko mi do Heloizy! - odparłam stanowczo.

Nie, z pewnością nie wybrałam sobie takiego losu, ale nie kochałam tak bardzo Boga, by porzucić dlań wszystko, co zostało z moich najpiękniejszych lat. Miałam doprawdy dość poświęceń! Nagle poczułam, że ta noc przyniosła mi spokój i zrozumienie. To była moja ostatnia misja. Wypełnię ją w imię moich przodków, w imię tych,

których poświęciłam dla tej sprawy, aby ich śmierć nie była daremna. Ale potem już koniec. Niechaj chrześcijański Bóg zetrze z ziemi wszelkie ślady pogańskich wierzeń, druidów i czarownic! Było mi wszystko jedno! Co się zaś tyczy Anglii, odnajdzie ona swoją drogę beze mnie.

Tak się właśnie stanie - albo nie.

Gdy weszłam na chór, wszyscy wierni klęczeli, a biskup odmawiał *Ojcze nasz*.

Stałam między dwiema kobietami, odzianymi w bogate szaty i pochyliłam głowę.

Henryk słuchał uważnie wszystkiego, co miałam mu do powiedzenia, od czasu do czasu kiwając głową lub marszcząc z dezaprobatą gęste brwi. Jednakże nie przerywał mi, dopóki nie skończyłam. Przysiadł na rzeźbionym biurku. Jego gęsta, ruda czupryna, którą niegdyś tak trudno mi było uczesać, teraz wiła się wokół jego głowy jak ognista aureola, łącząc się z gęstą, kędzierzawą brodą. Przypominał lwa szykującego się do skoku. Choć trudno mu było pogodzić się z tym, że jego najwierniejsza sojuszniczka starała się go skłonić do ustępstwa, nie pokazał tego po sobie.

- Twój czas jeszcze nie nadszedł, panie. Nie powinieneś ryzykować wojny z Francją, skoro nie masz wszystkich kart w ręku. Ludwik chce spotkania. Zgódź się więc na nie. W ten sposób poznasz Alienor i będziemy mogli zaproponować jej zemstę, której ona pragnie.

- Rozumiem cię dobrze, droga przyjaciółko. Ale ten dureń Ludwik doprowadza mnie do rozpacz. Nie mogę się przed nim ukorzyć.

- Winien mu jesteś hołd, Henryku!

- Nie jestem mu nic winien! Niedługo odbiorę to, co moje! Anglię i Akwitanię. I utracę tego gnojka jednym ruchem dłoni!

- Jesteś tak samo uparty jak dawniej - mruknęłam z rozczuleniem. - Na nic zda się twój upór, jeśli Ludwik poszczuje na ciebie swoje psy.

- Umiem się bronić!

- To bzdury! Jest potężniejszy od ciebie. Wiesz o tym doskonale. Tym bardziej jeśli wesprze go armia Stefana z Blois. Możesz być pewien, że to uczyni, a wtedy skłoni cię do posłuchu.

- A ty, Loanno, po czyjej jesteś stronie?

- Po twojej, panie. Czy wątpisz w to?

- A więc dowiedz tego. Zerwał się i objął mnie brutalnie.

- Szaleję za tobą, Loanno. Tak długo czekałem na tę chwilę. Jego grubiaństwo wzmocniło moją siłę woli i wściekłość. Choć

przewyższał mnie o trzy głowy, umiałam się bronić.

- Puść mnie, Henryku! W ten sposób nic ode mnie nie uzyskasz! Nie kocham cię!

Jednakże on, zaślepiony pożądaniem, przydusił mnie do biurka i energicznie rozsunął sznurówkę mego gorsetu. Nie zdołałabym mu przeszkodzić, gdyby nie popełnił błędu - nie zablokował moich nóg. Szybko podniosłam kolano i zadałam cios jego męskości. Zawył z bólu i puścił mnie. Pośpiesznie poprawiłam gorset i warkocz, z którego wymknęło się kilka kosmyków.

- Doprawdy, Henryku - powiedziałam spokojnie i mimo wszystko przyjaźnie -

musisz zaprzestać tej dziecinady. Niebawem staniesz się dla Anglii długo wyczekiwanym lwem. Jako monarcha sprawiedliwy i prawdziwy, będziesz musiał

nauczyć się panować nad swoimi prostackimi odruchami. Jesteś dla mnie jak brat i kocham cię taką właśnie miłością. Będę wiernie trwać przy tobie i będę najbardziej ci oddaną i uległą sługą, ale nigdy, rozumiesz, nigdy nie pozwolę na to, byś pozbawił mnie uczucia, jakie żywię dla ciebie, poniżając mnie jak byle ladacznice!

- Dobrze - warknął, krzywiąc się jeszcze z bólu. - Ale nie karz mnie w taki sposób, bo klnę się na Boga, że każę cię natychmiast ściąć!

- Na miłość tego właśnie Boga, Henryku, zaniechaj przemocy wobec kobiet. Nie dostaniesz od nich nic oprócz żalu i uległości, a przecież nie ma cudowniejszego daru niż miłość.

- Nie dbam o twoje rady! - ryknął. - Już mam czworo bękartów, co dowodzi, że wystarczy zaspokajać swe instynkty, żeby płodzić potomstwo.

„Biedna Alienor, pomyślałam, konfitury dla świni” - oto prezent, jaki dam Henrykowi. Ludwik był kochankiem księżeczki do nabożeństwa, a Henryk jest brutalną bestią. Co jest lepsze dla młodej, krwistej i spragnionej pieszczot osoby?

Natychmiast uzyskałam odpowiedź na to pytanie, gdy zapowiedział się jeden z tych mężczyzn, których widok napełniał mnie radością. Bernard de Ventadour, dowiedziawszy się o moim przybyciu, przyszedł po nowiny o królowej i dworze.

- Bernardzie! - zakrzyknęłam, biorąc go za rękę. - Tak dawno się nie widzieliśmy.

Jakże się cieszę!

- Witam cię, panie, i ciebie, panno de Grimwald - skłonił się dwornie.

Jak dawniej, był nieprawdopodobnie wręcz piękny. W jego włosach wiły się teraz srebrne nitki, które dodawały uroku jego szarym oczom.

- No cóż, przyjacielu, znowu przyszedłeś w chwili, w której najmniej się ciebie spodziewano - burknął Henryk, rozdrażniony tym nagłym wtargnięciem.

- Czy to nie ty, panie, prosiłeś mnie, abym korzystał z każdej okazji, gdy poczuję chęć śpiewania?

- Coś musiało mnie zamroczyć, że ci to zaproponowałem! Ale skoro już tu jesteś, a zaiste rzadko się zdarza, bym mógł usłyszeć kogoś, kto śpiewa piękniej niż ty, wybaczam ci. Moja matka jest w salonie wraz z kilkoma damami. Chętnie posłuchamy cię, gdyż twój śpiew złagodzi zapewne dolegliwość, o której nie chciałbym już pamiętać - dokończył, zerkając na mnie ponuro.

Wzięłam go pod rękę i podążyliśmy za Bernardem do salonu. Zebrane tam damy przędy, śpiewając starą piosenkę galijską. Ucieszyły się wielce na nasz widok.

Bernard usiadł na stołku, wziął cytrę i zaczął nam śpiewać swoje najnowsze utwory.

Szybko pojęłam, że wciąż oplakiwał swoje oddalenie od królowej. Bernard nie zapomniał o niej. A ponieważ teraz przebywał na dworze Henryka, niebawem znowu miał się znaleźć blisko niej. Jeśli Alienor poślubi Henryka, aby zemścić się na Ludwiku, w co nie wątpiłam, szybko jej się znudzą grubiańskie miłosne zapędy męża, a wtedy znajdzie drogę do tego, który wciąż jeszcze był na każde jej zawołanie. Życie składa się z ciągłych powrotów. Czemuż to dotyczy wszystkich, tylko nie mnie?

Jaufre siedział pochylony nad sekreterą.

- Po co to robisz? - rozległ się głos Hodierny. - Nie uda ci się skończyć tego listu, tak jak poprzednich.

Jakby na potwierdzenie jej słów Jaufre zmiął pergamin i wrzucił go do wiklinowego kosza. Zwrócił ku niej zrozpaczony wzrok.

- Wiem, jak ci jest trudno, przyjacielu, ale nic na to nie poradzisz - rzekła z westchnieniem. Smutek w oczach Jaufrego zabolął ją. Przytuliła jego głowę do swej piersi i gładziła go po niemal zupełnie pozbawionej włosów czaszce. Tym razem Jaufre nie płakał. Może po prostu zabrakło mu łez.

W ciągu minionych miesięcy wspomnienia stopniowo powracały. Blaye, dwór Francji, krucjata, jego samotność i pełnia, odkąd znalazł miłość. Jego namiętność była jak więzienie, w którym zamknął się z własnej woli, niezdolny do ucieczki.

Gdzie była teraz jego muza? Co robiła? Czy zapomniała o nim i była w ramionach innego? I choć było to możliwe, ponieważ uważała go za zmarłego, nie mógł nie odczuwać zazdrości, która doprowadzała go do obłędu. Gdyby tylko mógł pokochać Hodiernę... Niezawodną Hodiernę, która podała mu pomocną dłoń i nauczyła go chodzić, gdy odzyskał władzę w kończynach. Wprawiała się wraz z nim w pisaniu, nigdy się nie skarżąc, że jest dla niej ciężarem. Nie narzekała też na jego niemotę, a on utracił głos na zawsze. Gdy natężył struny głosowe, mógł wydobyć jedynie nieprzyjemne dźwięki. Jaufre trubadur już nie istniał.

- Zadajesz sobie ból, Jaufre, a ja nie mogę tego znieść, wiesz przecież. Ileż to listów zgniotłeś, ile razy pisałeś te same słowa, wylewałeś nad nimi te same łzy, wiedząc, że wszystko na nic! Nie jest dobrze ciągle przeżywać to, co minęło. Wierz mi, proszę, gdyż jestem ci życzliwa. Zapomnij o niej! Błagam cię!

Jaufre wyrwał się z jej uścisku, który zazwyczaj koił jego cierpienie. Przebywał w Trypolisie już od osiemnastu miesięcy. Od osiemnastu miesięcy zawdzięczał tej kobiecie coś cenniejszego niż życie. Tak bardzo chciałby okazać jej więcej uczucia, a nie tylko dozgonną wdzięczność.

Pochylił się znów nad sekreterą, wziął nowy listek pergaminu i zanurzył pióro w kałamarzu. Jego ręka nie była jeszcze pewna, ale dusza - tak. Po raz pierwszy znalazł

w sobie odwagę. Do tej pory brakowało mu jej, gdyż czuł na sobie ten czuły wzrok.

„Nie mogę, Hodierno - zaczął pisać niezdarną dłonią, a ona odczytywała poszczególne wyrazy, w miarę jak pojawiały się na pergaminie. - Choć bardzo bym tego pragnął, nie mogę zapomnieć Loanny de Grimwald. Wybacz mi, błagam Cię po tysiąc razy, ten ból, ja-

ki Ci zadaję i ten, którego Ci przysparzam nieświadomie. Przysięgam na Biblię, że chciałbym móc Cię kochać, gdyż bardziej niż ktokolwiek na świecie, bardziej nawet niż ona, zasługujesz na to, czego

pragniesz, lecz ten worek z kłopotami, jakim obecnie jestem, nie jest wart nawet jednego spojrzenia, skargi czy łzy, gdyż to ją tak rozpaczliwie kocham, Hodierno. Jak szaleniec, jak król, ale też jak przecinek, który nigdy nie kończy zdania. Wyrzuć mnie, zabij, ale - na litość - zrozum to, zanim mnie stracisz i uwolnisz od tych straszliwych rozterek".

Wypuścił pióro z ręki. Hodierna przełknęła łzy. Domyślała się tego od dawna. Miała jednak nadzieję. Ona także mogła, przez chęć zemsty, przez gniew, dokończyć to, czego natura nie chciała uczynić, i skazać go na śmierć. Jaufre nie był za to odpowiedzialny, lecz Hodierna z Trypolisu nie mogła postąpić wbrew sobie samej.

Jaufre nie był winien, o nie. Z bólem oparła dłonie na przygarbionych ramionach trubadura. Nie drgnął nawet, w nadziei, że ona wreszcie wyda ostateczny wyrok.

Ale ona wiedziała z góry, że już mu przebaczyła. Złożyła na jego głowie pocałunek lżejszy niż dotknięcie motyla i szepnęła:

- Nie dbam o to, czy mnie kochasz, Jaufré. Wystarczy mi, że jestem twoją przyjaciółką. Wyślę umyślnego po wieści z dworu Francji o tej, którą kochasz. W

ten sposób będziesz wiedział, co powinieneś uczynić, lecz - błagam cię - nie przyspieszaj biegu spraw. Proszę tylko o jedno. Potem będę już tylko twoją wierną i oddaną przyjaciółką. Kochaj się ze mną jeden jedyny raz. Daj mi to ciało, którym tak pogardzasz, byś z moich oczu mógł wyczytać, że nie jest ono ani odpychające, ani martwe. Kochaj mnie, Jaufre, nawet jeśli pieszcząc mnie, będziesz myślał o niej.

Poruszony do głębi, wstał, opierając się ciężko o krzesło. Hodierna płakała, ale on nie zauważył tego nawet w drzeniu jej głosu. Przyciągnął ją do siebie i poszukał jej delikatnie zarysowanych ust, jej cudownie rzeźbionej talii, drobnych piersi. Tyle czasu minęło. Czy on jeszcze potrafi? Czyjego ciało zdoła się zdobyć na poryw zmysłów, uspionych od tak dawna?

- Pomogę ci - szepnęła, jakby czytała w jego myślach. Położyli się na łożu stojącym naprzeciwko kominka, w którym

płonęło polano. Stopniowo odnalazł właściwe gesty, dał się oswoić jej pieszczotom, a gdy zdołał ją wreszcie wziąć, jęk dzikiej rozkoszy wydobył się z jego piersi. Trysnęły z oczu łzy, a poprzez nie wyłała się zeń cała boleść świata.

Ludwik z ponurą miną stał pochylony w modlitwie nad trumną swego najlepszego doradcy i przyjaciela. Z rozpaczą rozmyślał o ogromnej stracie, jaką poniosło całe królestwo. Był trzynasty stycznia 1151 roku. Opat Suger zgasł, zanim ziściły się jego dwa marzenia: utrzymać małżeństwo królewskiej pary i ukończyć budowę opactwa Saint-Denis.

Rzecz dziwna, ale jego śmierć mnie poruszyła. Za obliczem wroga krył się człowiek wielkiego kalibru, i gdyby z taką zaciekłością nie zwalczał moich projektów, chciałabym go mieć po swojej stronie. W gruncie rzeczy broniliśmy tej samej sprawy. Sugerowi marzyła się Francja silna i zjednoczona, a ja pragnęłam takiej samej przyszłości dla Anglii. Co mieliśmy sobie nawzajem do



zarzucenia? Nie było już czasu na przeżywanie wyrzutów sumienia. Co się stało, już się nie odstanie.

Udało mi się utrzymać trudny pokój, skłaniając Henryka do złożenia obietnicy hołdu Ludwikowi. Ten ostatni, ulegając Sugerowi, przyjął przeprosiny, które odsuwały w daleką przyszłość przyjęcie poddaństwa.

Tę wyrozumiałość Stefan z Blois uważał za niestosowną, ale Ludwik trwał przy swoim. Aliénor i on nie rozmawiali już ze sobą, ich zbliżenie było krótkotrwałe. Od kilku miesięcy Aliénor miała nowego kochanka - młodego hrabiego de Rocamadoura, który rozpoczął karierę w pałacu de la Cité w Zielone Świątki 1150

roku. Ludwik wiedział o tym. Mógł pognać swego rywala lub skazać go na wygnanie, jednak miał dość tych przyziemnych spraw. A ponadto był jeszcze Suger, który umierał, wiedział o tym, lecz błagał go, by pomyślał o konsekwencji swoich uczynków.

Ludwik pokornie podporządkował się mądrym radom starca. Zapewne bardziej niż inni bał się śmierci Sugera. Któż bowiem zdoła teraz zapłacić tę straszliwą samotność króla! Wraz ze śmiercią Sugera runęły fundamenty królestwa, które pograżyło się w żałobie. Ludwik wiedział o tym. Wiedziała o tym Aliénor. I ja też o tym wiedziałam.

Przez następne miesiące nikt nie umiał znaleźć sobie miejsca. Doradca Teodoryk Galeran czuł, że jego pozycja się umocniła. Odwrotnie niż Suger, podburzał

Ludwika przeciwko Henrykowi, wspieranemu przez Raula z Vermandois. Sprawa ciągnęła się do kwietnia 1151 roku. Przez ten czas Ludwik odzyskał siły. Jak zwykle decyzję podjął w czasie modlitwy. Następne Zielone Świątki odbędą się już po zwycięstwie nad Henrykiem lub nie odbędą się wcale.

Powiadomiłam o tym Matyldę za pośrednictwem mojej gołębiczy. Po moim ostatnim pobycie w Normandii zaniechałyśmy takiej formy porozumiewania się. Podobnie, i to w sposób całkowicie nieoczekiwany, nawiązałam kontakt z dawnym przyjacielem - Tomaszem Becketem, który przybył na jakiś czas do Paryża, by wziąć udział w dwóch spotkaniach. Pragnął założyć w Londynie uniwersytet i potrzebował w tym celu porad i opinii mistrzów. Było mi miło zobaczyć go znowu.

W Anglii zamieszkał w opactwie na brzegu Tamizy. Działał tam zręcznie i najlepiej jak umiał na rzecz przyszłości Henryka. Jego zdaniem Stefan z Blois był tyranem, który doprowadził kraj do wojny domowej. Nadchodziła godzina obalenia go za niezliczone głupstwa i niezręczności, jakie popełnił. Rozmowa z Tomaszem - taka jak dawniej, w beztroskich czasach - była dla mnie jak balsam. Coraz częściej budziłam się w nocy spocona, z uczuciem, że ktoś jest przy mnie, jakiś cierpiący cień człowieka o wychudzonej twarzy. Jaufre. To on nawiedzał mnie bezustannie, otwierał usta, pisał listy, szeptał jakieś słowa, lecz nie dochodził do mnie żaden dźwięk. Nie rozumiałam już niczego. Każdego ranka budziłam się, mając niezbitą pewność, że chciał zaprzeczyć swojej śmierci. To szaleństwo. Chyba popadłam w obłąd.

W ciągu ostatniego roku kilkakrotnie widziałam się z Gotfrydem z Rancon. Podczas każdego z tych spotkań czuliśmy, że łączy nas prawdziwa przyjaźń. Dotrzymał

obietnicy i nie narzucił mi się ze swoją miłością. Czulałam ją w jego spojrzeniu, w gestach, dotyku. Ale już w tym roku, pod koniec żałoby, będzie się domagał ode mnie odpowiedzi. Rozsądek kazałby ze spokojem pomyśleć o ślubie, ale targały mną sprzeczne uczucia. Jak mogłabym poślubić kogoś innego niż Jaufre, skoro tak bardzo mi go brakowało? A jednak czyż nie był

to jedyny sposób na to, by się obronić przed tym szaleństwem, które z każdym dniem coraz bardziej ogarniało moją duszę? Zwierzyłam się z tego królowej, która bez wahania poparła prośbę hrabiego. Ona także była zdania, że jest to najlepsze, co mogę uczynić. Podczas tego spotkania szukała mych pieszczot, lecz - rzecz dziwna -

nie mogłam jej odpowiedzieć tym samym. Od śmierci Jaufrego nie zdołałam się do nikogo przystosować. Nie mogłam się z nikim kochać. Jakże zdołam przyjąć swego męża tak, jak każda żona obowiązana jest uczynić? Aby zapomnieć o tych wszystkich pytaniach, na które nie mogłam znaleźć odpowiedzi, rzuciłam się w wir działań mających doprowadzić do końca moją misję.

Niestrudzenie tkaliśmy pajęczą sieć wokół Alienor. Często rozmawiałyśmy o Henryku i wiele razy zdarzyło się tak, że to ona kierowała rozmowę na jego temat.

Pocieszała ją myśl, że ktoś mógłby stawić czoło jej mężowi. Ona sama nie znaczyła już nic w królestwie Francji - Ludwik często ją karcił, nawet publicznie. Niegdyś młoda królowa zerwałaby się z miejsca, wykrzyczała głośno swoje racje, a Ludwik by jej uległ. Teraz już nie miała nań wpływu.

Była gotowa. Wystarczy, że raz spojrzy na Henryka, a gdy on ją zniewoli, zgodzi się podążyć za nim. Alienor miała bowiem uczucie, że obecnie nie żyje naprawdę. Jej piękny kochanek był rozrywką dla zmysłów, lecz nie zaspokajał potrzeby władzy, która stanowiła rację jej istnienia.

Na Zielone Świątki zanosilo się na pogodę ciepłą i wilgotną. Od kilku dni niebo było pochmurne. Powietrze było ciężkie, panowało powszechne napięcie, które znalazło też wyraz w rozmowach. Nic zatem dziwnego, że gdy wasale królewscy zebrali się w wielkiej, wysoko sklepionej sali, ozdobionej barwami poszczególnych prowincji, Ludwik nie zdołał zapanować nad sobą. Ceremonia poprzedzająca otwarcie turnieju zmierzała do tego, by wszyscy odnowili przysięgę poddaństwa wobec króla.

Tymczasem - jak szeptano w przeddzień - przy Saint-Denis nie widniały jeszcze barwy Normandii. Alienor, która siedziała u boku króla - drżała na całym ciele i szukała oczami rudego olbrzyma, o którym tyle jej mówiono.

Upłynął jednak cały ranek, a ja stawałam się coraz bardziej niespokojna. Nigdzie nie było Henryka. A przecież moi ostatni posłańcy przynieśli pocieszające nowiny.

Ludwik zaczął nerwowo pukać palcami w oparcie fotela.

Dopiero około południa herold zaanonsował księcia Normandii. Zgromadzeni odetchnęli z ulgą i odwrócili się w stronę wejścia, by zobaczyć osobę, która spowodowała takie zamieszanie.

Niestety, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, był to Gotfryd Piękny. Podszedł bliżej i pokłonił się. Był sam.

Ludwik zmarszczył brwi. Oczywiście był to pewien postęp, ale... Zadał brutalnie nękające go pytanie:

- No cóż, hrabio, gdzie się podziewa słynny książę Normandii, na którego wszyscy tak niecierpliwie czekamy?

W jego tonie słyhać było hamowaną złość i Gotfryd Piękny doskonale to wyczuwał. Wyprostował się na całą swą majestatyczną wysokość i spojrzał w twarz królowi:

- Niestety, Wasza Królewska Mość. Książę Henryk, mój syn, od ośmiu dni jest złożony niemocą. Najlepsi medycy czuwają przy jego łożu i nakazali mu kwarantannę, tak bardzo tajemnicza wydaje im się ta choroba. Książę przesyła za moim pośrednictwem najszczerze prośby o wybaczenie za to uchybienie i zapewnia, że złoży Waszej Królewskiej Mości wizytę, gdy tylko ozdrowieje.

- A cóż to za choroba? - spytał kpiąco Ludwik, który nie uwierzył w ani jedno słowo.

- Niestety, panie, nie wiemy. Młody książę Normandii jest bardzo słaby, musisz w to uwierzyć.

- A jeśli nie uwierzę? - uniósł się król.

- Byłoby to wielkie nieszczęście dla wszystkich, Wasza Królewska Mość. Dobrze by się stało, gdyby niecierpliwść twoja przemieniła się w rozważę i żebyś wysłał, panie, do Rouen medyka, który będzie mógł nie tylko udzielić światłej rady, ale i usprawiedliwić nieobecność Henryka.

- Możesz liczyć na to posunięcie, hrabio Andegawenii, ale na Boga, jeśli okaże się, że twój potomek nie jest umierający, przysięgam, że zginie od tego oto ostrza! -

warknął Ludwik, kładąc niecierpliwą dłoń na główce miecza.

Jego głos był taki surowy, że Alienor skurczyła się w fotelu. Ludwik przywołał

Teodoryka Galerana, który stał nieopodal, i stanowczo rozkazał:

- Niech Grimaud de Morois, mój najlepszy medyk, natychmiast

wyruszy w drogę wraz z eskortą. Ma się jak najszybciej znaleźć u wezglowia rzekomo chorego księcia Normandii. Co się zaś tyczy ciebie, książę, jesteś moim gościem, ale nie możesz wyjechać z Paryża, nie powiadamiając mnie o tym.

- Czy mam się uważać za więźnia? - zachnął się Gotfryd.

- Na Boga, nie - odparł Ludwik, a potem dorzucił nieco cynicznie: - W każdym razie dopóki nie powróci mój medyk. Módl się więc, panie, aby sprawozdanie o stanie zdrowia Henryka pokrywało się z twoimi słowami!

Gotfryd schylił głowę.

„Pożałujesz, że mnie tak upokorzyłeś”.

- A teraz niechaj rozpoczną się uroczystości! - oznajmił Ludwik zgromadzonym.

Na to obwieszczenie zagrały trąbki i tłum rozpierzchnął się jak stado barwnych ptaków. Nie od razu mogłam podejść do Gotfryda Pięknego. Postanowiłam zatem, iż odszukam go po wywiązaniu się ze swych obowiązków, do których w tym uroczystym dniu należało doglądanie kuchni. Przygotowywano tam pasztety, wędzono szynki, dziczyznę, sporządzano sosy, przystawki i mnóstwo dań, które miały być podane na królewski stół.

Kilka godzin później wyszłam za ogrodzenie pałacowe, aby udać się do Saint-Denis, gdzie miał się rozpocząć turniej.

Krążyłam na Granoe między namiotami i pawilonami, aż odnalazłam obóz andegaweński. Gdy się zaanonsowałam, Gotfryd właśnie kończył ześrubowywać swoją zbroję przy pomocy giermka.

- Loanna, drogie dziecko! - zakrzyknął na mój widok. Powitałam go i natychmiast wyłożyłam cel swej wizyty.

- Drogi wuju, jak jest naprawdę z tą chorobą?

Odprawił ruchem dłoni swego pomocnika, który właśnie skończył przymocowywanie naramiennika.

- Sam założę hełm. Idź! Zajmij się moim koniem. I dopnij popręgi. Gdybym spadł z konia w obecności króla, czułbym się upokorzony.

Gdy zostaliśmy sami, nalał sobie szklaneczkę wina cynamonowego i mnie także poczęstował, a potem ochryplym głosem rzekł:

- Niestety, Henryk jest naprawdę chory.

- Czy to poważna sprawa?

- Lekarze nie sądzą, by jego życie było w niebezpieczeństwie, ale jest bardzo osłabiony. Na szczęście ma mocny organizm i jest odporny na wiele chorób, choć niestety nie na wszystkie. Niezależnie od wszystkiego to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Naprawdę postanowił przybyć i skorzystać z okazji, by poznać królową!

- Nie należy zwlekać, wuju. Ona jest gotowa stanąć po jego stronie. Ludwik jest doprowadzony do ostateczności tą sytuacją. Miałam nawet zamiar poprosić Bernarda z Clairvaux o pomoc, by wpłynął na króla, jeśli Henryk się nie ugnie. Nie sądzą jednak, by chciał się wtrącić.

- Henryk jest bardziej uparty niż ja. Jeśli zgodził się przybyć na zaproszenie Ludwika, to tylko po to,

by otwarcie mu się przeciwstawić, a nie ugiąć.

- Cóż to za charakter! Zwrócę się więc do Bernarda z Clairvaux. Na razie mam nadzieję, że ten szarlatan de Morois uzna Henryka za chorego.

- Oby Bóg cię wysłuchał. Chodźmy, muszę dać nauczkę księciu de Montmorency'emu, który kilka razy niefortunnie się wyraził. Będzie mi miło cisnąć nim o ziemię.

Tak się też stało. I było to tym wspanialsze, że Ludwik obrał sobie za faworyta właśnie księcia de Montmorency'ego.

Posiłek przebiegł w wesołej atmosferze, mimo groźby, która wisiała nad Gotfrydem Andegaweńskim i jego synem. Oczekiwano powrotu delegacji, a ja miałam swoje własne niepokoje. Jak w poprzednim roku Gotfryd z Rancon walecznie bronił mych barw i złożył u mych stóp trofeum. Tym razem wiedziałam jednak, że było to znaczące. Przy długim stole śmiech wybuchał raz po raz, śpiewano i opowiadano sobie anegdoty, a on siedział na ukos ode mnie. Zbliżała się chwila, w której poprosi mnie o rozmowę.

Na długo przed świtem, po nadużyciu jedzenia oraz win z Akwitanii, wielu biesiadników stoczyło się pod stół. Gdy królowa pożegnała się z mężem i jego gośćmi, wstałam wraz z nią, w nadziei, że uniknę rozmowy, której tak się obawiałam. Nie byłam jednak dostatecznie szybka, gdyż zastałam hrabiego u stóp schodów prowadzących do mych apartamentów. Przywitał się z nami grzecznie, zamienił kilka słów z królową, następnie życzył jej dobrej nocy i zaproponował mi swoje ramię.

- Czy zechcesz się ze mną przejść, Loanno?

Poszliśmy na spacer po parku. Ścisnęło mnie w gardle. Milczałam przez dłuższy czas, a on nie śmiał przerwać ciszy. Z każdym krokiem mój nierozumny strach rósł

tak bardzo, że musiałam się hamować, by nie uciec. Hrabia poprowadził mnie na ubocze, z dala od oczu i uszu ludzkich, tam gdzie rozkwitał jaśmin, roztaczając oszałamiający zapach.

Gdy byliśmy już ukryci za olbrzymim krzakiem, stanął naprzeciwko mnie.

- Drzysz, droga przyjaciółko. Czy wierzysz mi, że ja drzę jeszcze bardziej niż ty?

Oto już rok upływa od chwili, gdy zwierzyłem ci się ze swych myśli. Moje uczucie do ciebie rośnie z każdym dniem, Loanno. Na samo wspomnienie pocałunku, którym mnie wówczas obdarzyłaś, ogarnia mnie płomień. Okres żałoby dobiega końca. Jedno twoje słowo może uczynić mnie najszczęśliwszym lub najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na ziemi!

Zamiast mu odpowiedzieć wybuchnęłam łkaniem.

Wziął mnie w ramiona, jak tamtej nocy po śmierci Beatrice. Wydawało mi się, że to było dawno i niedawno zarazem. Wtedy wiedziałam, a przynajmniej myślałam, że wiem. Dziś czułam się jak okręt, który nie może zawinąć do portu, huśtany falami wzniecanymi przez burze. Z tych burz wychodziłam coraz bardziej obolała.

- No już, moja słodka... - szepnął uspokajająco.

Słowa te odniosły odwrotny skutek. Zbladłam i odsunęłam się od niego.

- Proszę, nie nazywaj mnie tak nigdy - powiedziałam nieswoim głosem.

Teraz on zbladł. Patrzył na mnie boleśnie przez dłuższą chwilę, potem westchnął głęboko i opadł na stojącą nieopodal kamienną ławeczkę.

- Istnieje taka żałoba, której nie kończy ani czas, ani obyczaj, czyż nie tak? - zapytał po prostu.

Łzy na nowo napłynęły mi do oczu, z trudem kiwnęłam głową.

- Rozumiem. Co się więc z tobą stanie, Loanno de Grimwald? Czy pójdziesz do klasztoru jak nieszczęsna Heloiza? Czy też skończy się na tym, że się otrujesz?

To nie było pytanie cynika. Wolałabym zapewne, by tak było.

Mogłabym go wtedy znienawidzić. A tymczasem nie byłam w stanie nawet się poruszyć. Byłam załamana.

- Proszę, siadaj, jesteś taka blada. Obawiam się, że nawet najłagodniejszy powiew wiatru może cię unieść.

Usłuchałam go. Objął mnie ramieniem i przemówił łagodnie jak do dziecka:

- Jesteś taka krucha i delikatna, Loanno. Denys de Chatellerault miał rację i Jaufre de Blaye również. Obiecałem, że będę nad tobą czuwał, i oto mam wrażenie, że doprowadzam cię do zguby, chociaż moim pragnieniem było dać ci odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Co mam uczynić? Najpierw zacząłem cię szanować, a dopiero potem pokochałem. Czyż muszę dowodzić, jaką te słowa mają wartość dla mnie? Jestem tylko niezbyt moźnym seniorem, to prawda, zaciętym i wojowniczym, a czasem zbyt popędliwym. Ale przy tobie jestem niczym. Uczynię wszystko, co zechcesz, wiesz przecież, ale nie mogę pozwolić, abyś pogrążyła się coraz bardziej w tym szaleństwie, jakie na ciebie czyha. Jaufre de Blaye nie żyje, Loanno, i nikt niestety nie może tego odmienić. Cokolwiek uczynisz, uszanuję twój wybór, ale nie potępiaj samej siebie. Proszę cię o to niejako pretendent, ale jako przyjaciel, któremu niegdyś zaufał Denys.

Miał rację. Po tysiącokroć. Musiałam sięgnąć do samej siebie, w głąb, zebrać całą wolę, jaka mi jeszcze pozostała, żeby przemówić. Chciałam, żeby zrozumiał. Z

trudem powiedziałam urywanym głosem:

- Nie mogę się z nikim kochać, Gotfrydzie. To dla mnie nie do pomyślenia...

Wydawało mi się, że to wyjaśnia wszystko. Cierpienie, brak ukochanego, rozdarcie i wyrzeczenia. Zapewne to wyczuł, gdyż westchnął, lecz odwrócił się, by spojrzeć na mnie.

- Czy to jedyny powód, dla którego odrzucasz moją propozycję? Skinęłam głową, jednak nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy.

Wtedy okazał mi niezwykłą wprost dobroć i nigdy mu tego nie zapomnę. Delikatnie ujął moje dłonie w swoje ręce i szepnął:

- Spójrz na mnie, Loanno. Spójrz.

Uniosłam oczy i napotkałam jego pełen czułości wzrok.

- Nie brakuje mi uległych kochanek i jeśli dasz mi przyzwolenie, będę dyskretny.

Przysięgam na Boga, że będziesz mogła dzielić moje życie, nigdy nie będąc przeze mnie nagabywana. Umiem czekać,

Loanno, tak długo, aż twoja rana się zablizni i wróci ci zdolność kochania, gdyż osoba tak młoda jak ty nie zdoła stłumić swojego popędu. A jeśli doczekam tej chwili, będę najbardziej uważającym kochankiem na świecie. Wszelako jeśli to nigdy nie nastąpi, trudno -mam dwóch synów i nie grozi mi bezpotomna śmierć.

Wyjdź za mnie. Nie masz nic do stracenia, zapewniam cię.

- Dajesz mi słowo, Gotfrydzie?

- Przysięgam na honor i stanowisko.

Czułam, że mówi szczerze. Nie mogłam poślubić go i zapomnieć. Ale mogłam poślubić go i zachować wspomnienie o Jaufrem. To mi odpowiadało. Przykro mi było skłaniać Gotfryda do takiej ofiary, nie dając nic w zamian. Już nic. Byłam pusta. Skoro on się na to godził, obraziłabym go, odrzucając jego ofertę matrymonialną.

- Poślubię cię.

Nie zapomniałam o mojej misji, z której powodu odrzuciłam kiedyś oświadczyzny Jaufrego. Te powody jeszcze były aktualne i jeśli Gotfryd mnie chciał, będzie musiał jeszcze poczekać. Wewnątrz mnie istniały różne osoby - jedna krzyczała, że chce umrzeć, podczas gdy ta druga mówiła, że mam jeszcze czas, a trzecia szeptała, że dokonałam słusznego wyboru. Odeгнаłam je wszystkie i powiedziałam głośno:

- Poślubię cię, Gotfrydzie, ale wiesz, że mam dyskretną misję do spełnienia.

- Przypominam sobie... - szepnął poufale.

- Nie sądz, proszę, że jestem intrygantką, Gotfrydzie. Mój ojciec był

Akwitańczykiem, a matka - Angielką. Nie mogę się zaprzeczyć swego pochodzenia.

Wychowałam się razem z Henrykiem Plantagenetem i gdyby naszym wrogom nie udało się zadać ostatecznego ciosu ojcu Alienor, Akwitania należałaby dziś do Anglii. Podobnie jak sama Alienor nie mogę zgodzić się na to, by codziennie poniewierał nią mąż o usposobieniu mnicha. Urodziłam się, by służyć królowi angielskiemu, i dopóki Alienor nie zostanie jego małżonką poślubioną w obliczu Boga, nie mogę wziąć na siebie żadnych innych zobowiązań. Jaufre wiedział o tym i czekał na zakończenie tego przedsięwzięcia. Jesteśmy teraz bliżsi celu niż kiedykolwiek przedtem. Pozwól mi jeszcze dokończyć to, do czego służyć miało moje nędzne życie. Potem odwrócę tę kartę, która kosztowała mnie utratę trzech najdroższych mi istot.

- Pojmuję. Znałem już wcześniej twoją historię. Ja też muszę ci wyznać prawdę, Loanno. Denys zobowiązał mnie do opieki nad tobą, bo wiedział, iż może mi zaufać.

Jestem od ciebie starszy o piętnaście lat, a jak wiesz, mój ojciec był przyjacielem księcia Wilhelma. Byli sobie bardzo bliscy. Gdy Wilhelm wrócił z pewnego potajemnego spotkania w Fontevrault w 1137 roku, zwierzył się memu ojcu. Pochlebiała mu propozycja Gotfryda Pięknego i cieszył się, że może się wreszcie przestać martwić o przyszłość Akwitanii i swej starszej córki. Podśledzałem ich rozmowę niechcący. Miałem wtedy trzydzieści lat i chciałem z ojcem załatwić sporną sprawę skradzionego stada. Wilhelm miał głos wyjątkowo donośny, słyszałem więc każde jego słowo. Od pierwszego naszego spotkania wiedziałem, kim jesteś, Loanno. Gdy Denys powierzył mi swoją tajemnicę, zrozumiałem, że jeszcze nic nie zostało ukończone. To nie był przypadek, że zgodziłem się czuwać nad tobą, Loanno.

- Byłeś przy mnie przez te wszystkie lata i nic nie powiedziałeś! Gotfrydzie, nie zasługuję na ciebie.

Uśmiechnął się łagodnie. I wtedy, tylko dlatego, że jego wyznanie przyniosło mi taką ulgę, złożyłam na jego ustach pocałunek. Objął mnie natychmiast i żarliwie ucałował. Tak, poślubię tego mężczyznę - nie z miłości, gdyż nie miałam już miłości do ofiarowania, ale za to kim był: sprawiedliwym i szlachetnym, dumnym i prawdziwym mężczyzną.

Uroczystości zakończyły się oświadczeniem królewskiego medyka, który zapewniał, że Henryk nie jest w stanie udać się do Paryża.

„Wyżej wymieniony jest czerwony na ciele i pokryty bąblami, które nie wróżą nic dobrego. Oddycha ciężko i mimo podawanych specyfików nie spada mu gorączka.

Ponadto jest rozdrażniony, źle znosi leki i odmawia przyjmowania naparów z ziół.

Bez przerwy jęczy i żąda, by podać mu udziec dzika, ale zjada niewiele, gdyż z powodu choroby nie dopisuje mu apetyt. Gdyby nie był takim krnąbrnym pa-cjentem, z pewnością wyzdrowiałby szybciej. Gdy u jego łóżka pojawi się spowiednik, przeklina i wyrzuca go z pokoju. Jak w takich warunkach prosić Boga, aby zmiłował się nad nim? Na szczęście pacjent jest silnej konstytucji i na pewno wyzdrowieje. Oby niebiosa przebaczyły mu wszelkie zniewagi, jakich się dopuszcza. Do wiadomości Kościoła i Waszej Królewskiej Mości".



Oświadczenie medyka rozbawiło Ludwika i natychmiast opuściła go złość. Wysłał

do Henryka posłańca z życzeniami rychłego wyzdrowienia:

„Oby - pisał w zakończeniu - Bóg w swej łaskawości pozwolił ci pojawić się przed obliczem króla i z pochylonym czołem oddać mu hołd”.

Nie trzeba chyba dodawać, że zamiast złagodzić złość i gniew Henryka list ten spowodował istną lawinę przekleństw!

Spokój nie trwał długo. W kilka dni później niemiłe wiadomości dotarły na dwór Francji. Gotfryd Piękny od trzech lat pozostawał w konflikcie z seneszalem Ludwika w Poitou. Był nim Giraud Berlai, niewysoki, ciemnowłosy mężczyzna, wychudły, ślepy na jedno oko. Spotkałam go kilkakrotnie, lecz nie przypadł mi do gustu. Ajed-nak zdobył sobie zaufanie Ludwika. Podczas krucjaty Gotfryd Piękny, z nieznanego mi powodu, uwięził Girauda Berlai, ściągając na siebie gromy ze strony Kościoła. Sprawa zakończyła się groźbą ekskomuniki i uwolnieniem seneszala. Od tej pory stosunki między obydwojma mężczyznami były co najmniej napięte.

Zmęczony stałym zagrożeniem ze strony Berlai, który stale go prowokował, bezpieczny za fortyfikacjami swego zamku w Mon treuil-Bellay, Gotfryd Piękny przeszedł do ofensywy. Intuicja podpowiedziała mi od razu, że czuł się dotknięty tym, iż podczas Zielonych Świątek król podał w wątpliwość jego słowa. Hrabia andegaweński był dumny. Zadanie ciosu Ludwikowi poprzez jego seneszala było sprytnie obmyśloną zemstą, lecz nie przysłużyła się ona sprawie pokoju, na której rzecz działaliśmy.

- Atakował rozgrzanymi do czerwoności pociskami! - Purpurowy z wściekłości Ludwik uderzał pięścią w stół. - Ten diabeł podpalił miasto i kazał otoczyć wszystkie wyjścia. Z łatwością pojmał Girauda i jego ludzi, których wykurzył jak szczury! Jestem już zmęczony ciągłymi podszeptami, złośliwościami, wojnami!

Nadeszła pora, by ci smarkacze - i ojciec, i syn - wytarzali się w prochu i ukorzyli przed swoim królem. Jeśli to rychło nie nastąpi, klnę się na świętego Dionizego, polegną od miecza boskiego!

- Co masz zamiar uczynić? - spytała Aliénor, zalękniona o los swego wasala.

- Właśnie teraz moje wojska zapewne zbliżają się do Arques w Normandii.

Zrównają z ziemią, spalą i wyrwą z korzeniami wszystko, do gołej ziemi! Zmuszę tych prostaków, by się ugięli. Zresztą udaję się tam osobiście przyjrzeć się działaniom, które popiera papież. Właśnie rzucił ekskomunikę na tych zdrajców i niedowiarków. Stefan z Blois zawiadomił mnie, że jego syn Eustachy przeprowadza się przez kanał La Manche z posiłkami i dołączy do moich wojsk. Jest szczęśliwy, że pomagam mu pozbyć się wroga! Jeszcze przed końcem tego miesiąca sprawa będzie rozstrzygnięta!

Aliénor wyszła z sali obrad z bijącym sercem. Pobiegła do ogródka z ziołami, gdzie panował miły chłód. Spędzałam tam dużo czasu, pielęgnując rośliny, co stało się moim najważniejszym zajęciem. Gdyby bowiem trzeba było liczyć tylko na medyków, którymi otaczał się Ludwik, wiele osób zmarłoby na skutek ciągłego upuszczania krwi!

- Są zgubieni! - rzekła Aliénor po zrelacjonowaniu wieści, które usłyszała.

- Jeszcze nie, królowo. Wyślijmy posłańca do Bernarda z Clairvaux. Tylko on może powstrzymać rozlew krwi.

- Boję się, Loanno.

Patrzyła na mnie jak ptak uwięziony w klatce. Czy to możliwe, żeby się zakochała w mężczyźnie, którego widziała tylko raz, i to wtedy, gdy był dzieckiem?

- Czemu tak się interesujesz przyszłością Henryka? - spytałam wprost.

Poczerwieniała.

- Tobie mogę powiedzieć wszystko, Loanno. Nie wiem, co się stało, ale z pewnością nagromadziła się we mnie złość do Ludwika. Chciałabym zbuntować się przeciw niemu, upokorzyć go, tak jak oni to czynią. Chcę, żeby usłyszał mój głos i podporządkował mi się. Nie mogę nie być po stronie jego wrogów. To zaspokaja moje pragnienie zemsty i łagodzi gniew. A ponieważ stanęłam po ich stronie, sama zaprzeczyłam swojej roli królowej Francji, która powinna stać obok męża. Aleja bardzo chciałabym, podobnie jak oni, nie być mu podporządkowana.

Była gotowa. Ujęłam jej rękę i poprosiłam, by usiadła wraz ze mną pod jabłonią, na świeżej majowej trawie, która pięknie wyrosła w tym 1151 roku.

- Teraz muszę ci wyznać prawdę, Alienor. Nieważne, co później postanowisz.

Wychowałam się na dworze pani Matyldy. Jak wiesz, moja matka była jej doradczynią. Kocham Henryka jak brata i nie będzie dla ciebie nowiną, jeśli powiem, że leży mi na sercu jego przyszłość. Tak dalece, że postanowiłam już dawno temu poświęcić się dla niego. Wtedy nie wiedziałam, że znajdę w tobie drogą sercu przyjaciółkę.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Loanno?

- Kilka miesięcy przed moim przybyciem do de l'Ombriere twój ojciec Wilhelm spotkał się z Gotfrydem Pięknym. Obiecał, że po powrocie z Compostelli poda przyczyny, które skłoniły go do umieszczenia cię w klasztorze.

- Pamiętam. To był szalony pomysł!

- Nie. Pomyśl chwilę. Gotfryd Piękny przybył do opactwa Fontevrault prosić twego ojca o to, by wydał cię za mąż za Henryka.

- Co takiego?

Alienor zbladła jak płótno.

- Henryk był wówczas dzieckiem, a gdy twój ojciec, w imię interesów ich obydwu, zgodził się zaręczyć cię z Henrykiem, jedynym wyjściem było umieszczenie cię w klasztorze do czasu, gdy Henryk dojrzeje do ożenku. To może ci się wydać niedorzeczne, przyznaję, lecz Akwitania często bywała narażona na ataki króla Francji. Łącząc się w sojuszu z Andegawenią, Maine i Normandią, stawała się po-tężniejsza niż on, pominawszy fakt, że wtedy Anglia opowiedziałyby się za panią Matyldą. Twój ojciec zmarł, zanim mógł wyjawić ci prawdę. Nie mam na to żadnego dowodu, lecz

nie mogę uwierzyć w to, że ta nagła choroba była przypadkowa.

- Myślisz, że został zabity? Ale po co?

- Aby na miejscu jednego króla osadzić innego. Akwitania to okazały posag, przyznasz chyba.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wszystko to jest takie... Ale ty, co ty robisz w tym wszystkim?

- Pani Matylda uznała, że klasztor nie jest szczególnie zabawnym miejscem dla piętnastoletniej dziewczynki, choć istotnie stanowi obronę przed zachłannymi baronami akwitańskimi. Wysłano mnie tam z tobą, bo po pierwsze, tak się zainteresowane strony umówiły, a po drugie - żebym się z tobą zaprzyjaźniła i swoją obecnością złagodziła surowość reguły klasztornej, do której cię przymuszono.

- Manipulowano mną!

- Nie, królowo, nigdy, przenigdy na świecie. Aliénor, spójrz na mnie.

Wyglądała na głęboko dotkniętą.

- Kocham cię, Alienor, i to, co było między nami, nie ma nic wspólnego z sojuszami i grami, w jakie bawią się dorośli. Od chwili, gdy te plany runęły, byłam przy tobie i starałam się, żeby wszystko przybrało dla ciebie jak najlepszy obrót. Ale wszystkie ich przewidywania się spełniły. Nie masz nic wspólnego z Ludwikiem, natomiast wiele łączy cię z Henrykiem. Może nadeszła pora rozdzielić to, co zostało złączone zdradą i krwią.

- Chcesz, żebym się rozstała z Ludwikiem i poślubiła Henryka?

- Postąpisz, jak ci serce rozkaże. Ale wiedz, że część jego nienawiści do króla Francji bierze się stąd, że porwano mu sprzed nosa to, co było obiecane.

- Czyżby mnie kochał? Przecież jest taki młody!

- Pamiętasz ten dzień, kiedy pod wierzbą płaczącą w parku de l'Ombrière zapytałam cię, co byś czuła, gdybyś spotkała kogoś, kto cię kocha, ale wykorzystuje swoją władzę - tak jak ty?

- Tak, pamiętam - odparła z uśmiechem. Nagle jej oczy się rozjaśniły, tak jak dawniej.

- Odpowiedziałam ci, że z pewnością bym go pokochała, pod warunkiem, że nie będzie zaniedbywał mego łoża na rzecz wojny... albo Boga - dodała ze śmiechem.

- Henryk nie ma w sobie nic z księdza!

- Wiem. Opinia o nim dotarła aż tutaj. Podobno spłodził już czterech bękartów.

Czterech chłopców, Loanno! Czy nie sądzisz, że nie mogłam dać syna Ludwikowi właśnie z tego powodu, iż mężczyźni sprzeciwili się woli boskiej?

- Jestem tego pewna.

- Jednak Gotfryd Piękny został ekskomunikowany...

- Za drobiazg. Za to, że dwukrotnie podniósł rękę na Girauda Berlai, który jest oficerem królewskim. Gdyby ten dureń nie zaczął sobie kpić, kiedy Gotfryd Piękny zgodził się go wypuścić, nic takiego by nie nastąpiło.

- A jednak.

- Bernard z Clairvaux może unieważnić ekskomunikę, jeśli Henryk się ugnie.

- Ale czy zechce to uczynić? - spytała, a jej mina wyrażała powątpiewanie.

- Jeśli to miałby być warunek, pod którym wreszcie zostanie dotrzymana obietnica, a ty zostaniesz jego żoną... - rzuciłam, mrugając do niej porozumiewawczo.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, okrągłymi jak spodki. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Z jej spojrzenia rozumiałam, że zaspokoi w ten sposób zarówno chęć zemsty, jak i rozrywki. I nagle stanęła przede mną dziewczynka z de TOmbriere, planująca kolejnego psikusa. Spontanicznie ści-snęła mnie w objęciach tak mocno, że o mało mnie nie udusiła, i wycisnęła na mym policzku głośny pocałunek.

- Kocham cię, kocham, Loanno de Grimwald!

- To nie powód, by mnie udusić - zazartowałam ze śmiechem. Rozluźniła objęcia.

- Czuję, że się nieźle zabawimy kosztem drogiego Ludwika -szepnęła przewrotnie.

- Na razie trzeba zawiadomić Bernarda z Clairvaux, zanim krew splami ziemię, która będzie należała do ciebie.

- Zmusimy go, by połknął swoją Biblię!

- O kim mówisz, o Bernardzie czy o Ludwiku?

- Może o nich obu! - rzuciła z nieskrywanym zadowoleniem.

W trzy dni później Bernard z Clairvaux przybył do opactwa Saint-Denis, by odprawić mszę. Nie należało to do jego prerogatyw, jako że na miejsce Sugera wyznaczono nowego przeora, ani też nie miał takiego zwyczaju. Ludwik nie obruszył się bynajmniej, a to dlatego, że przygotowywał się do połączenia ze swymi wojskami, które właśnie pokonały hrabiego d'Arques'a i opanowały miasto, nie napotykając oporu. Jego ludzie, zasileni przez wojsko Eustachego z Blois, syna obecnego króla Anglii, rozłożyli obozowisko wokół murów, co było po prostu demonstracją siły. Ani Gotfryd, ani Henryk nie drgnęli, a Ludwik miał zamiar domagać się tego, co mu się należało, już po przybyciu na miejsce.

Było zatem rzeczą naturalną, że chciał skorzystać z przybycia Bernarda z Clairvaux, by święty mąż pobłogosławił go przed wyruszeniem na tę osobistą krucjatę.

Został przyjęty bardzo chłodno. Bernard wyjawiał bez ogródek swoje stanowisko.

Nawet jeśli postępowanie hrabiego andegaweńskiego było niestosowne, podobnie można określić zachowanie Ludwika. To, co Suger zdołał połączyć, zostało zdeptane, pogwałcone. Nie w taki sposób należy rozstrzygać sporne kwestie!

Tonem nie znoszącym sprzeciwu rozkazał Ludwikowi zaprzestać demonstracji siły i stanowczo oświadczył, iż należy niezwłocznie przywrócić pokój za wszelką cenę.

To samo powie osobiście Gotfrydowi Pięknemu i jego synowi, proponując siebie jako arbitra w tym sporze.

Ludwik zamyślił się. Spodziewał się czegoś więcej niż zwykłych przeprosin.

Jednakże ustąpił. Głos Bernarda był jak burza na pustyni - wszyscy schylali głowy i chronili dusze.

Rzecz dziwna, Gotfryd i Henryk uczynili to samo. Jednakże znałam ich na tyle, by wiedzieć, że to nie perspektywa kary boskiej wpłynęła na ich postanowienie, lecz raczej ogromna armia, która rozłożyła się pod ich bokiem. Natomiast nie dało się przewidzieć, jak będzie przebiegało spotkanie wyznaczone na lipiec 1151 roku!

- Czegóż chcesz? - zapytała kwaśno Alienor na widok Ludwika, który stanął w drzwiach jej pokoju.

Kładła się już spać i właśnie miała zgasić świecę, gdy usłyszała pukanie. Pomyślała, że to ja, więc naturalnie poprosiła gościa, by wszedł. Była tak zaskoczona, że na jej twarzy odmalował się grymas niechęci.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

Ludwik nie sprawiał wrażenia groźnego. Kiwnęła głową, podciągając wyżej prześcieradło. To z kolei wywołało uśmiech na ustach króla. Bez ceregieli usiadł na łóżku, natomiast Alienor - jakby w odruchu obronnym - odsunęła się na bok.

- Tyle czasu minęło - westchnął Ludwik, muskając dłonią poduszkę, na której wiele razy kładł głowę.

- Jestem zmęczona, Ludwiku, przejdź zatem do rzeczy - powiedziała z naciskiem Alienor i ostentacyjnie ziewnęła.

- Do rzeczy? Czy to niezwykła rzecz, że mąż składa wizytę swej żonie? Tak, oczywiście. Gdyż między nami panuje całkowity rozłam i przyznaję z przerażeniem, że nie czuję już do ciebie nic. Jesteś mi obojętna. Co uczyniliśmy Bogu, że tak pokarał nasz związek?

Alienor ugryzła się w język. Chętnie wyrzuciłaby z siebie prawdę, którą dopiero poznała, ale doszła do wniosku, że lepiej milczeć. Milczała zatem. Bała się Ludwika, jeszcze bardziej teraz, gdy był taki

przybity, niż wtedy, gdy pokazywał

siłę.

- Jestem samotnym człowiekiem, Alienor. Bardzo samotnym, mimo że mam przy sobie najpiękniejszą kobietę w całym królestwie. Jaki błąd popełniłem? Czy nie dałem ci spełnienia? Z pewnością potrzebowałaś więcej pieszczot. Ja też ich nie doznaję, ale nie odczuwam ich braku. W moim sercu jest tylko nienawiść, pretensje i gorycz. Co się zaś tyczy żalu o to, co mnie ominęło, trzeba było czegoś więcej niż moje łzy, by z nich uczynić różańce. Nie mam nawet pewności, czy byłem dobrym królem.

Alienor - mimo woli - poczuła, że gardło ma ściśnięte. Nigdy Ludwik tak się przed nią nie odsłonił, nigdy nie widziała go w takim stanie. Jej gniew nagle zniknął, gdy usłyszała jego stłumione łkanie i szept:

- Nic nie mówisz. Masz rację. Nie zasługuję na nic więcej niż twoją obojętność.

Wówczas położyła dłoń na jego ramieniu, które zmęźniało już od dźwignania miecza.

- Nie sądź tak, Ludwiku. W gruncie rzeczy nie jesteś mi obojętny. To nie my zdecydowaliśmy o naszym związku. Myśleliśmy, że mimo dzielących nas różnic dojdziemy do porozumienia. Nadal twierdzę, że gdyby Suger nie stanął między nami, byłoby to możliwe.

- Niech spoczywa w pokoju. Z pewnością czasem się mylił, ale szczerze wierzył, że nasz związek jest pobłogosławiony przez Boga. Martwi mnie to. Czyżbyśmy zmarnowali piętnaście lat naszego życia, a nasze małżeństwo było pomyłką?

- Możesz myśleć, co chcesz, Ludwiku. Ze swej strony patrzę teraz na wszystko inaczej. Bóg nie dał nam syna - czyż nie świadczy to o tym, że nasz związek jest bezprawny? Czy nie jesteśmy tylko grzesznikami w obliczu Boga?

- Co masz na myśli?

Ludwik zbladł. Z pewnością zanim zadał to pytanie, znał już odpowiedź.

- Jesteśmy krewnymi, a więc powinniśmy byli anulować nasze małżeństwo.

- Przecież sam papież uznał, że tego pokrewieństwa nie ma.

- Papież chciał zgody w królestwie. I nie sądzę, by postąpił niesłusznie w tym względzie. Ajednak prawda jest taka, Ludwiku, że interes człowieka nie liczy się w obliczu Boga. Jeśli przez piętnaście lat nie zdołałam ci dać następcy, którego tak oboje pragnęliśmy, to powód mógł być tylko jeden.

- To co z nami będzie? Przyszedłem tu z nadzieją, że otworzysz ramiona i przyjmiesz mnie jak dawniej. Tron potrzebuje dziedzica, a ty, mimo wszystko, co mówiłem i myślałem, jesteś wielką królową, Alienor.

- Nie mogę, Ludwiku. Wybacz mi. Nie mogę. Uśmiechnął się z goryczą.

- Innym oddawałaś się ciałem i duszą. Nie, nie zaprzeczaj, proszę, bo zadałabyś mi jeszcze większy ból. Jestem zmęczony kłamstwami. Wiem i to wystarczy. Powiedz mi tylko, co oni ci dali, czego nie dostałabyś ode mnie.

Przełknęła ślinę i zmartwiałym głosem powiedziała:

- Kochali mnie, Ludwiku. Naprawdę i z całego serca. Spojrzał na nią ze zmienioną bólem twarzą.

- Może nie jest jeszcze za późno? - zapytał, ujmując delikatnie jej rękę.

- Nie, Ludwiku. Błądzisz teraz, bo doskwiera ci samotność. Nie można ożywić ognia zimnym popiołem. A gdybyś nawet ty zdołał to uczynić, ja jestem wypalona.

Za późno, Ludwiku.

Potrząsnął głową w milczeniu, jakby chciał ocenić, czy ma rację. Potem złamanym głosem powiedział:

- Jesteś zmęczona. Zostawię cię w spokoju.

Nie odpowiedziała. Nie miała mu nic do powiedzenia. Nie pragnęła go już. A nawet zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek go pragnęła.

Zanim zamknął drzwi, odwrócił się jeszcze.

- Czy kiedykolwiek kochałaś mnie tak jak swoich kochanków?

- Tak, Ludwiku. Westchnął z bólem.

- Wobec tego zasłużyłem sobie na to, co się stało.

Dopiero gdy drzwi zamknęły się za przygnębionym i opuszczonym królem Francji, Alienor zdała sobie sprawę z tego, że płacze. Nie skłamała. Kochała go, z pewnością nie trwało to długo, ale ko-

chała go, dopóki nie została zraniona, dopóki nie uświadomiła sobie, że nie wie, czy poślubił ją, czy Biblię.

Miała wyruszyć na spotkanie królestwa i mężczyzny, który był jej przeznaczony.

Myślała, że w ten sposób zemści się na Ludwiku, lecz nagle uświadomiła sobie, że jest jej to obojętne. Wyznanie Ludwika sprawiło, że zapomniała o swych pretensjach. Obudziło w niej natomiast litość i czułość. W gruncie rzeczy Ludwik był taki jak ona - oboje potrzebowali miłości. Prawdziwej i bez reszty. Usnęła z lekkim sercem i śniła o mężczyźnie z uśmiechniętą twarzą, okoloną gęstwiną rudych włosów.



Gotfryd z Rançon z uśmiechem skłonił się przed królową. Dobiał końca czerwiec 1151 roku - dżdżysty i posepny. Trzynastego lipca Gotfryd Piękny i Henryk Plantagenet mieli przybyć wraz z królem Francji przed oblicze Bernarda z Clairvaux. Odkąd obie strony zgodziły się na spotkanie ze świętym człowiekiem, potyczki ustały. Jednak nie oczyściło to atmosfery i wszyscy przygotowywali się do konfrontacji. Nie mieli do siebie nawzajem zaufania.

Oto dlaczego, gdy pan de Taillebourg poprosił o uroczystą audiencję u królowej i króla, ściągnęło to wiele osób. Na korytarzu panował niebywały hałas. Gotfryd z Rançon od dwóch tygodni przebywał w pałacu de la Cité i ciągle chodziliśmy na spacer. Nie miałam serca odmówić mu przyjemności afiszowania się ze mną.

Teraz, gdy Aliénor potwierdziła, że Ludwik nie będzie się sprzeciwiał anulowaniu ich małżeństwa, nie miałam żadnego powodu, by odwlekać ogłoszenie naszych zaręczyn.

Wśród zgromadzonych rozległ się szmer, gdy pan de Taillebourg głośno poprosił o moją rękę. Powinno mi być przyjemnie, ale poczułam tylko ukłucie w sercu, a moje oczy zwilgotniały od łez smutku. Cóż bym dała za to, żeby pojawił się tu nagle Jaufré.

Gdy król i królowa wezwali mnie przed swe oblicze, poszłam w ich stronę, starając się iść dostojnie i z uśmiechem na ustach.

- Loanno de Grimwald - odezwał się król - ten mężczyzna, szlachetny i miły, pragnie pojąć cię za żonę. Czy wyrażasz zgodę?

- Jeśli moja królowa na to się zgodzi, tak - szepnęłam głosem, któremu chciałam nadać zdecydowane brzmienie.

- Królowa daje ci swoje błogosławieństwo - odparła wzruszona Alienor.

Wiedziała, że moja rana po śmierci Jaufrego jeszcze się nie zabiłiła. Oczywiście od dnia mojego ślubu na zawsze zostanie pozbawiona moich pieszczot, ale już dawno znalazła sobie na moje miejsce kilka zręcznych służących.

Była szczęśliwa z mego powodu i miała nadzieję, że wreszcie znajdę spokój.

Gotfryd chciał, żeby ślub odbył się natychmiast. Nie przystałam na to i poprosiłam o odłożenie go na wrzesień. Chciałam doprowadzić do końca swoje sprawy bieżące i zasiać przyszłe. Na to również wyraził zgodę. Król ustalił datę ślubu na trzydziestego września i postanowił, że ten dzień będzie świętować całe królestwo.

Nie co dzień wydaje się za mąż starą pannę!

Wszyscy mnie całowali, składali nam gratulacje, ale gdy tylko znalazłam się sama w swoim pokoju, wykrzyczałam swój ból:

- Och, Jaufre, cóż ja najlepszego zrobiłam!

Ta nowina wstrząsnęła Jaufrem Rudelem, na chwilę zaparło mu dech w piersiach.

Loanna de Grimwald, jego Loanna, ma wyjść za mąż za Gotfryda z Rancon! Musiał

przysiąc na chwilę, z obawy, że upadnie. Hodierna uklękła przed nim i szepnęła mu do ucha:

- Musisz pogodzić się z rzeczywistością, Jaufre. Nie mogła cię oplakiwać w nieskończoność.

Spojrzał na nią spłoszony, potem odwrócił się do człowieka, który przyniósł im tę wiadomość. Kilka miesięcy temu Hodierna wysłała go, aby zebrał informacje.

Dowiedziawszy się o zaręczynach, które zwolniły Jaufrego z przysięgi, Hodierna odczuła dziecięcą radość. Teraz jednak zastanawiała się, czy jej ukochany nie umrze z rozpacz, gdyż nadzieja na dobre wieści sprawiła, że poczynił znaczne postępy na drodze do zdrowia. Obecnie Jaufre mógł już chodzić o własnych siłach. Opierał się jeszcze na lasce i był przygarbiony, ale poruszał się bez niczyjej pomocy i odzyskał

wszystkie władze. Z wyjątkiem jednej, najważniejszej - mowy. Jaufre nagle wstał i złapał kawałek pergaminu leżący na sekreterze. Napisał na nim kil-

ka pytań i podał pergamin Hodiernie. Pokręciła przecząco głową. Wolą nie zadawać tych pytań posłańcowi, gdyż obawiała się, że odpowiedzi mogą zadać Jaufremu jeszcze większy ból. Ale miał prawo wiedzieć. A ona tak bardzo go kochała.

- Kiedy ma się odbyć ten ślub?

- Trzydziestego września tego roku - odparł śniady posłaniec.

- Co jeszcze wiesz na temat tej damy?

- To smutna historia, Wasza Wysokość! Powiadają, że kochała pewnego mężczyznę, trubadura. Tego, którego pochowano tu, u nas, kilka lat temu. Wkrótce po śmierci wybranka poroniła. Nikt nie wiedział, kto był ojcem dziecka, ale plotkowano na ten temat w pałacu, gdyż nie było przedtem wiadomo, że jest brzemienna. Powiadają jeszcze, że przeżyła, bo bardzo chciała nadal służyć królowej. Zmizerniała, stała się cieniem samej siebie, aż do chwili, gdy hrabia de Taillebourg poprosił o jej rękę króla Francji. To wszystko, co wiem, ale to bardzo przykra historia, gdyż może mi Wasza Wysokość uwierzyć na słowo, że jest to bardzo miła dama.

- Czy ona go kocha?

- Nie wiem, Wasza Wysokość. Zgodnie ze wskazówkami nie zbliżałem się do niej i wiem tylko to, co mi o niej opowiedziano. Niektórzy przypuszczają, że zgodziła się na ślub, aby przezwyciężyć rozpacz, inni uważają, że zaplanowała to królowa.

Chciała wreszcie wydać za mąż swoją najwierniejszą damę dworu, której cnota została narażona na

szwank. Jeszcze inni zaś powiadają, że ten człowiek ją uwiódł, no i wreszcie są tacy, którzy twierdzą, że zapalała doń namiętnością. Plotka ma wiele twarzy.

- A ty, przyjacielu, który widziałeś ją, choć się do niej nie zbliżyłeś, co o tym sądzisz?

- Co ja sędzę? Ze za jej uśmiechem kryje się straszliwy smutek-powiedział

posłaniec, odwracając się od Jaufrego.

Trubadur siedział nieruchomo. Hodierna wywnioskowała zatem, że już nie będzie zadawał więcej pytań.

- Możesz odejść, przyjacielu - powiedziała do posłańca, podając mu wypchaną skórzaną sakiewkę.

Gdy zostali sami, Jaufre rozplakał się, co od dawnajuz stało się jego zwyczajem.

Czasami uronił parę łez, czasem szlochał długo i nic nie mogło go uspokoić. Teraz po prostu łzy ciekły mu z oczu. A wraz z nimi - uchodziło zeń życie. Nie miał już siły.

Hodierna ujęła go za rękę.

- Spójrz na mnie, Jaufre.

Podniósł- na nią oczy, które wyrażały niezmierny ból. Nagle zrozumiała - nigdy, przenigdy, niezależnie od tego, co uczyni, nie zdoła rozdzielić tych dwóch serc. I wtedy zdobyła się na czyn, którego przyrzekła sobie nigdy się nie dopuścić, i powiedziała to, czego nie chciała dotąd powiedzieć:

- Jutro wypływa statek. Jedź! Jedź, przyjacielu. Tylko ona może zdecydować o twym życiu lub śmierci. Jedź zatem!

Wstał pomału i przyciągnął do siebie to przepiękne ciało, które posiadał tylko raz, i uścisnął tak mocno, jakby chciał na zawsze zapamiętać, co jej zawdzięcza.

W sali recepcyjnej pałacu de la Cité zgromadziły się tłumy. Wszyscy chcieli być obecni podczas historycznego spotkania Gotfryda Pięknego i króla Francji. Co więcej, to, że był tu również Bernard z Clairvaux stojący jak sędzia w zwyczajnej, prostej szacie szarego koloru i z drewnianym krzyżem na wątlej piersi, sprawił, że panowała taka cisza, iż słyhać było jedynie szelest szat zgromadzonych.

Gotfryd Piękny i jego syn Henryk podeszli bliżej. Szli krokiem pewnym, spoglądając z góry na tych, którzy się przed nimi rozstępowali. W sali rozległ się szmer dezaprobaty. Za nimi postępowali dwaj żołnierze, a między nimi więzień skuty łańcuchami - Giraud Berlai.

Ludwik przygryzł z wściekłości wargi. Ale oto już Bernard uniósł rękę, nakazując ciszę. Gotfryd Piękny i Henryk pozdrowili go, pomijając króla Francji. Głos zabrał

Bernard z Clairvaux, przerywając złowrogie milczenie:

- Bądźcie pozdrowieni, panowie. Spotkałem się z Jego Świątobliwością papieżem.

Zgodził się znieść ciążącą na was ekskomunikę, jeśli uwolnicie tego człowieka, którego potraktowaliście jak zwyczajnego złodzieja jabłek, nie zważając na jego pozycję i stanowisko. Niezwłocznie zdejmijcie zeń okowy i uznajcie go za wolnego.

Gotfryd Piękny bynajmniej nie ugiął się wobec tego wezwania. Oznajmił mocnym głosem:

- Odmawiam, ojcze. Jeśli przewinieniem jest przetrzymywanie więźnia, do którego ma się prawo, nie chcę być uniewinniony!

Wśród zebranych na nowo zapanowało poruszenie. Bernard z Clairvaux spojrział

groźnie:

- Zważaj na to, co mówisz, hrabio Andegawenii, w przeciwnym razie jaką miarką ty mierzysz, taką i tobie wymierzą!

Ale Gotfryd Piękny i jego syn odwrócili się plecami do Bernarda i odmaszerowali do drzwi.

Giraud Berlai powiedział do Bernarda, zanim strażnicy zmusili go do wyjścia:

- Nieważne, ojcze, co się ze mną stanie. Oby tylko Pan Nasz wszechmogący usłyszał krzyki moich niewinnie skazanych ludzi.

Na to Bernard zawołał za nim:

- Nie lękaj się o nich, synu, albowiem niewinni są szczęśliwi pod opieką Boga.

Bernard z Clairvaux musiał użyć całej potęgi swego autorytetu, by powstrzymać mściwą rękę Ludwika. Gdy tłum rozproszył się, król Francji chciał już wydać rozkaz natychmiastowego zatrzymania Gotfryda Pięknego i Henryka Plantageneta.

- Nie czyn nic, bo złamiesz przyrzeczenie - zaprotestował Bernard.

- Na świętego Dionizego, to on naruszył pokój! - uniósł się Ludwik.

- Bynajmniej, mój synu. Podtrzymał swoje stanowisko. Ale to tylko oznacza odłożenie partii. Musimy uszanować jego wybór. Wie, jaki jest mój pogląd. Bóg osądzi i tylko On. Umiesz się modlić, Ludwiku. Wobec tego módl się o to, by ludzie poparli pokój boży!

I tym razem Ludwik poszedł się pomodlić.

A jednak to nie jego dłonie złożone do modlitwy i nie jego mamrotanie mogły sprowadzić na drogę Chrystusa tych ludzi, których upór i duma tak dobrze były mi znane.

Podczas gdy Ludwik modlił się na klęczniku obok Bernarda z Clairvaux, Alienor i ja pogalopowałyśmy do lasu Vincennes, gdzie znajdowało się obozowisko Gotfryda Pięknego. Nie było nam łatwo dostać się do środka, gdyż wszędzie rozstawiono strażę. Musiałam powiedzieć, kim jestem, a wtedy nie zwlekając, zaprowadzono nas przed oblicze hrabiego, już nie pytając o tożsamość mej towarzyszk-

ki. Dopiero gdy byłyśmy bezpieczne w namiocie Gotfryda, Alienor odsłoniła twarz.

Henryk, który stał obok ojca, aż drgnął, gdy ją rozpoznał.

- Przychodzę tu jako przyjaciółka, a niejako królowa Francji, panowie - powiedziała Alienor serdecznie.

- W takim razie jesteś tu, pani, mile widziana - odparł Henryk, podsuwając jej krzesło.

Musnął lekko dłoń królowej, gdy siadała, a ona w odpowiedzi zarumieniła się.

Spodobało się to widać Henrykowi, gdyż uśmiechnął się jak młody wilk. Miałam ochotę go ofuknąć, ale powstrzymałam się. Było jasne, że się sobie nawzajem spodobali. Wspaniale!

- Obraziliście, panowie, zarówno królową, jak i Kościół. Kiedyś mój dziadek Wilhelm trubadur postąpił podobnie, nie mogę więc czynić wam z tego zarzutu. Jest to bowiem w akwitańskim stylu. Muszę zresztą wyznać, że spodobała mi się wasza wymiana zdań i zapewne postąpiłabym podobnie, gdybym się znalazła w waszym obozie.

- Od ciebie, pani, tylko zależy, czy się w nim znajdziesz! - rzucił Henryk, wciąż tak samo delikatny w obejściu.

Ale i to zapewne się spodobało Alienor, gdyż jej wargi rozciągnęły się w kpiarskim uśmiechu, odsłoniła przy tym swoje białe ząbki.

- Ależ, drogi książę, wydaje mi się, że już w nim jestem - odparła wesoło. -

Przybyłam z następującą propozycją: uwolnijcie Girauda Berlai. To zwykły pajac.

Zgódźcie się złożyć hołd królowi Francji. Uzyskacie pokój, tak cenny przy tworzeniu królestwa.

- Już to wszystko słyszeliśmy. Co proponujesz, pani, w zamian za to? - zapytał

Gotfryd Piękny, który rzucał w moją stronę niespokojne spojrzenia, gdyż nie znał ostatnich decyzji królowej.

- Siebie, panie.

- Siebie? - Henryk uśmiechnął się szyderczo. - Chciałabyś pani zająć miejsce tego durnia Berlai?

- Miałam na myśli inne okowy, przyjacielu - uśmiechnęła się Alienor.

Teraz już tylko oni prowadzili grę. Gotfryd zrozumiał, o co chodzi, i uspokoił się, pozostawiając synowi dzieło porozumienia się z królową.

- A o jakich to okowach myślisz, Wasza Królewska Mość?

- O małżeńskich, niemądry chłopcze. Wydaje mi się, że potrzebna ci jest odpowiednia kobieta, która poskromiłaby cię nieco!

- A dlaczego mniemasz, że pragnąłbym tego? - rozżłościł się Henryk, ugodzony do żywego.

- Akwitania!

Gotfryd Piękny roześmiał się wesoło, narażając się tym na złe spojrzenie Henryka.

- Wasza Królewska Mość zapomina o drobnym szczególe, tym mianowicie, że jest małżonką króla Francji!

- Ukorz się prze królem, Henryku Plantagenecie, a na Pismo Świąte, które znieważyłeś, przysięgam, że w ciągu nadchodzącego roku nie tylko moje małżeństwo zostanie unieważnione, ale również zostanę twoją żoną, co powinno było już dawno nastąpić.

- Jeśli skłamałaś, Alienor z Akwitanii, żadna forteca nie będzie dostatecznie mocna, żeby cię obronić przede mną.

- A kto ci powiedział, drogi książę, że chciałabym się przed tobą bronić? - spojrzała nań wyzywająco.

Wiedziała, że ich związek będzie namiętny, jak to się zdarza osobom tak podobnym do siebie.

Ta wymiana zdań zakończyła nasze spotkanie. Gdy nad zamkiem zapadła noc, zręczna postać wspięła się po murze wznoszącym się nad Sekwaną, aż do uchylonego okna pokoju królowej.

Henryk Plantagenet zeskoczył lekko na podłogę. Skrzypienie desek obudziło Alienor, która szybko siadła na łóżku. Już chciała krzyknąć, gdy potężna dłoń Henryka zamknęła jej usta. Szepnął jej do ucha:

- Cicho, królowo. To tylko twój przyszły mąż. Zanim ci ustąpię, chciałbym się upewnić, czy i ty umiesz się poddać mnie. Jeśli krzykniesz, wybuchnie skandal. A tego byś z pewnością nie chciała!

Potrząsnęła głową i dopiero wtedy zabrał rękę z jej ust. Alienor poczuła na wargach smak krwi.

- Ty brutalu - jęknęła - skaleczyłeś mnie.

- To jeszcze nie koniec, królowo!

I nie pozostawiając jej czasu na wahania, wciągnął ją pod siebie tak szorstko, jak miał zwyczaj czynić z kobietami, i wraz z nią zanurzył się w otchłań rozkoszy, o jakiej dotąd nie miała pojęcia.

Następny dzień był dla Ludwika torturą. Kipiał gniewem. Wahał się między chęcią przypodobania się Bernardowi z Clairvaux a wysłania grupy żołnierzy do lasu Vincennes, tak aby po ich przejściu pozostały tylko trupy. Z jednej strony był Bóg, z drugiej diabeł - znowu wahał się między dobrem i złem, między rozsądkiem a zmysłami, między karą a zbrodnią, które zawsze nękały jego duszę. Ludwik zmagał

się ze sobą przez cały dzień, a nad stare miasto nadciągała burza. Gdy nastąpiła noc, nie mógł już wytrzymać napięcia i ciszy, gdyż nic się nie zmieniało. Szybkim krokiem udał się do krypty, gdzie pochowany był jego ojciec. Tam umiał być długo sam. Grobu strzegł tylko zwyczajny drewniany krzyż. Suger chciał dać na to miejsce inny krzyż, bogato zdobiony, jednak Ludwik się nie zgodził. To był krzyż jeszcze z czasów jego dzieciństwa, ku któremu tyle razy się zwracał, tyle razy służył mu jako obrona przed pokusami. I teraz przykląkł przed nim - nie żeby się pomodlić, gdyż nie czuł już skruchy, lecz żeby uzyskać rozgrzeszenie z nienawiści, która go przepęliiała. Za krzyżem jeden z kafelków, którymi wyłożona była podłoga, był

odklejony od powierzchni. Ludwik uniósł go bez trudu i wyjął z kryjówki bicz.

Dawno go nie używał. Ostatnim razem zdarzyło się to po nocy spędzonej z Beatrice de Campan, niedługo przed jej śmiercią. Przyszła tu za nim. Miała poślubić innego, ale on odepchnął ją niezdarnie. Beatrice błagała go, aby wziął ją jeszcze jeden raz, zanim - jak się wyraziła - utraci go na zawsze. Później dopiero uświadomił sobie, że tylko ona go kochała. Tylko ona jedna oddałaby za niego życie. Tej nocy kochał ją także z całej swej duszy. Potem przyszedł tu, przejęty odrazą do swych uczynków i rozkoszy, jaką w nich oboje znaleźli. Ludwik uniósł bicz. Te wspomnienia pomogą mu zmyć hańbę. Uderzył raz, potem drugi, następnie - gdy poczuł ból rozlewający się po całym ciele - jął się smagać raz za razem, coraz mocniej, aż upadł zalany krwią.

Tej nocy Alienor nasłuchiwała każdego skrzypnięcia. Cały dzień trwała w oczekiwaniu, że Henryk dotrzyma obietnicy i ukorzy się przed Ludwikiem. Ale nie uczynił tego. Jej ciało domagało się jego szorstkich pieszczot. Kilka razy, słysząc hałas za oknem, wstawała i wypatrywała w ciemnościach postaci Henryka. Ale minęła cała noc,

a ona nie zdołała zasnąć, rozbudzone zmysły nie dawały jej spokoju. Na próżno -

Henryk nie przyszedł.

Bernard z Clairvaux przybył do opactwa, gdzie miał wygłosić kazanie do tłumu, wypełniającego bez reszty świątynię Saint-Denis. Dzwoniono już na tercję. Ludwik odziany był w szatę tak samo bezbarwną jak suknia Bernarda, którą osłaniał swe zmaltretowane ciało. Aliénor stała obok, wyprostowana. Umalowane policzki ukryć miały ślady nieprzespanej nocy. Nie patrzyli na siebie. Zwróceni w stronę Bernarda, mieli jednak nadzieję na to samo, lecz z innych powodów. Gdy zaskrzypiały drzwi, oboje odwrócili głowy. Zobaczyli zbliżających się mężczyzn - Gotfryda Pięknego i Henryka Plantageneta. Szli z rękami złożonymi jak do modlitwy. Między nimi szedł

uśmiechnięty Giraud Berlai, już bez okowów.

Bernard nakreślił w powietrzu znak krzyża. Tłum z niedowierzaniem przyglądał się temu nieoczekiwanemu przemarszowi. Mężczyźni powoli skierowali się do ołtarza.

Nikt nie powiedział słowa. Dwie postaci pochylili się jednocześnie i uklękły przed świątobliwym mężem. Trzeci zaś, ten uwolniony, ucałował z czcią rąbek szaty Bernarda. I wtedy zabrzmiał potężny głos, który sprawił, że zadrżały mury:

- Bracia, niechaj pokój boży będzie z wami!

Ojciec i syn przeżegnali się, potem z godnością powstali z kolan, pozostawiając na miejscu tego, który niedawno jeszcze był ich więźniem, i weszli między tłumnie zgromadzonych wiernych. Przechodząc obok Aliénor, Henryk uniósł głowę i obdarzył ją dobrze mi znanym uśmiechem dzikiej bestii.

W kilka godzin później, w wielkiej sali pałacu de la Cité, u stóp tronu, na którym siedział król Francji u boku królowej, Henryk ukląkł, aby złożyć przysięgę swemu władcy. W imieniu papieża Bernard z Clairvaux zniósł ekskomunikę, która ciążyła nad głowami ojca i syna. Gdy Ludwik położył przyjaźnie dłoń na ramieniu Henryka, zobaczyłam w oczach młodzieńca błysk okrucieństwa. Zbliżała się godzina zemsty.

Ogarnęło mnie uczucie ulgi, gdy razem z wszystkimi mogłam wreszcie udać się do jadalni.

Pod koniec sierpnia wydarzenia w Normandii zaczęły się toczyć bardzo szybko.

Eustachy z Blois, zagniewany tym, że został wyłączony z nowego porozumienia zawartego przez Bernarda z Clairvaux, postanowił zmobilizować tych spośród angielskich i normandzkich baronów, którzy mu sprzyjali. Baronowie opowiadający się za Henrykiem i Gotfrydem Pięknym zatrzymali się w Paryżu. Było oczywiste, że oba obozy zetrą się w brutalnej walce. Zanim jednak Eustachy zaczął wcielać swój plan w życie, Gotfryd i Henryk - uprzedzeni przez szpiega - wyruszyli mu naprzeciw.

W okolicy Chateau-du-Loir, w tym samym jeziorze, w którym rok temu splukałam pył z podróży i spotkałam się z Bastienem, postanowił się wykąpać Gotfryd Piękny.

Od kilku dni kaszlał na skutek panującej w Paryżu wilgotności. Gotfryd się zaziębił.

Czy ta kąpiel miała ochłodzić rozpalone gorączką ciało? Nie wiadomo. W każdym razie po wyjściu z wody Gotfryd nie mógł dosiąść konia, taki był osłabiony. Henryk natychmiast kazał go przenieść do pobliskiego domu i pozostawić pod opieką gospodarzy, a sam pospiesznie wrócił do swych włości.

Samo pojawienie się Henryka czerwonego ze złości wystarczyło, by przywrócić pokój, który o mało nie został zburzony i wciąż był niepewny. Wkrótce potem Henryk dowiedział się o śmierci Gotfryda Pięknego, którego zabrała gorączka płucna. Zakręciło mu się w głowie - teraz on był tu panem. Pozostało tylko czekać, aż Aliénor dotrzyma obietnicy. Wtedy Ludwik będzie już tylko pionkiem, który Henryk łatwo zmiecie jednym ruchem ręki.



Wyjechaliśmy z Paryża w tym samym czasie co Plantagenet. Nie dało się tam oddychać. Nad ściekami unosiły się odrażające wonie, docierające aż do naszych apartamentów. Nie pomagały kwiaty, których bukiety wszędzie rozstawiono.

Jednak nie tylko z tego powodu Aliénor chciała wrócić do Akwitanii.

Nazajutrz po wyjeździe Henryka pospieszyła do gabinetu, w którym jej mąż rozmawiał z Teodorykiem Galeranem. Stary człowiek ulotnił się na jej widok. Nie przepadali za sobą i gdy tylko było to możliwe, unikali się nawzajem.

- Wybacz, Ludwiku, że ci przeszkadzam, lecz tej nocy przyśnił mi się koszmarny sen, w którym upatruję znak niebios. Muszę ci o tym opowiedzieć.

- Mów, nie lękaj się, królowo.

- Zalewała nas ogromna rzeka krwi, a z mego brzucha wychodziły ohydne karły, złowróźbne i mściwe. Krzyczałam z przerażenia, wzywając Boga, aby obronił nas przed demonami. Wszelako głos Bernarda z Clairvau'x przebił się przez diabelski chichot i oskarżył nas: „Hańba wam, niedowiarki, żeście skonsumowali związek, o którym wiedzieliście, że jest przez Kościół zakazany! Czeką was za to kara. Wasze dusze będą się smażyć w piekle, a spółzone przez was dzieci będą potworkami”.

Widzisz, Ludwiku, jeszcze teraz drzę cała.

Podwinęła rękaw, żeby pokazać gęsią skórkę, jaką pokryła się jej delikatna ręka.

Ludwik odwrócił głowę. Tego się właśnie spodziewała, układając plan.

- Zapomnij o tym, Alienor. To tylko zły sen.

- Nie, Ludwiku. Pamiętasz naszą rozmowę tamtej nocy? Mówiliśmy o tym, że Bóg nas pokarał, nie dając nam syna. Naprawdę jesteśmy spokrewnieni. Bernard z Clairvaux sam to potępił, przecież pamiętasz.

Ludwik nie mógł tego nie pamiętać. Suger powiedział mu, że świątobliwy mąż napisał do niego list. Było to wtedy, gdy Raul z Vermandois próbował anulować swoje małżeństwo, gdyż pragnął ożenić się z Pernelle. Alienor i Ludwik chcieli go wspomóc, powołując się na prawo kanoniczne. Odpowiedź Bernarda była ostra.

Ludwik uczyniłby lepiej, gdyby się zajął swoim pokrewieństwem z królową, zamiast niepokoić się tym, co Kościół potępił.

Ludwik o tym pamiętał. Suger starał się przez wszystkie te lata przekonać go, że to bezzasadny niepokój, że Akwitania jest łakomym kąskiem i że pokój w królestwie zależy od tego, kto ją posiada. Dziś nie był już pewien niczego. Suger nie żył.

Bernard wciąż groził, królowa nie zdołała dać mu dziedzica, co gorzej, nie pożądał

jej na tyle, by wypełniać obowiązki małżeńskie.

- Słyszysz, Ludwiku? - powtórzyła Alienor, która roztropnie pozwoliła mu przez chwilę zagłębić się w myślach. Teraz jednak uznała, że milczenie się przedłuża.

- Słyszę, co mówisz. Czego więc sobie życzysz? Pozbyć się męża, do którego czujesz tylko odrazę? Czy naprawdę odkupić nasze dusze?

- Chcę o wiele więcej, Ludwiku. Chcę zbawić Francję. Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Alienor jednak spojrzała mu

prosto w oczy i szczerze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nasze małżeństwo jest porażką. Jest też rzeczą jasną, że nic dobrego z niego nie wyniknie. Wiemy to oboje. Przeciwwstawić się woli Pana to doprowadzić do ruiny tę ziemię. Jestem przekonana o tym, odkąd przyśnił mi się ten koszmarny sen. Co zostanie po nas, jeśli na tronie nie będzie dziedzica? Widzisz przecież, jak twój brat Robert podżega do buntu. Jeśli nie będziesz miał syna, nastąpi chaos, ludzie będą się zabijać o władzę, o ziemię. Nie chcę tego, Ludwiku. Ty też tego nie chcesz. Nie jestem dobrą żoną i zasłużyłam sobie na to, byś mnie odprawił. Jeśli to jednak uczynisz, do tronu będą pretendować także nasze córki. Anulujmy ten związek, wróćmy na łono Pana. Ożeń się z kobietą, która da ci dziecko, a ono zbawi Francję.

- A co się stanie z tobą?

Jego głos był cienki jak u chłopczyka, od którego się żąda, aby już dorósł i był samodzielny.

- To nie jest ważne - odparła Alienor, wzruszając ramionami. - Na jakiś czas pragnę udać się z wizytą do tej nieszczęsnej Sybilli z Flandrii. Przebywa w klasztorze, w którym ją zostawiliśmy, wracając z krucjaty. Myślę jednak, że Fontevrault będzie lepsze jako miejsce schronienia. Tam będę mogła odkupić grzechy modlitwą.

- Nie wyobrażam sobie ciebie w klasztorze.

- Wolę być w klasztorze niż przysporzyć ci nowych cierpień. Łzy w oczach Alienor bardziej poruszyły serce Ludwika niż

wszystko, co powiedziała. Już wieki całe nie widział jej płaczącej. Zastanawiał się nawet, czy była po temu jakaś okazja. Fakt, że na sam koniec tak się przed nim odsłoniła - po tylu latach niezgody, nieufności i nienawiści - wzruszył go. Odważył

się dotknąć jej policzka i zebrał palcem srebrną kropelkę.

- Piętnaście lat. Musiałem czekać na to piętnaście lat - wyszeptał - by zobaczyć cię jako godną tego

tronu, który teraz mi zwracasz. Jutro wyruszymy do Akwitanii i złączymy oficerów z fortecy. Potem będziemy działać w tym kierunku, jaki obrałaś.

- Czy wybaczysz mi, Ludwiku, całe zło, które ci wyrządziłam?

- Tylko jedna istota mogłaby tego dokonać, gdyby jeszcze żyła - jęknął boleśnie król, mając na myśli Beatrice de Campan. - Niestety, choć mogę przestać cię nienawidzić, więcej uczynić nie jestem w stanie. Zostaw mnie teraz samego. Muszę zebrać myśli.

Alienor natychmiast wyszła, z lekkim sercem. Ludwik nie podejrzewał niczego.

Zaśmiała się krótko, wbiegając po schodach. Niedoczekanie, by miała spędzić młode lata w klasztorze! Czy naprawdę Ludwik był tak niemądry, żeby choć przez chwilę wierzyć, iż przestała kochać władzę, którą on jej odebrał? Otworzyła drzwi do swego pokoju i przywołała pokojówki:

- Pospieszcie się, moje ślicznotki, jutro wyjeżdżamy!

Alienor chciała zakończyć przygotowania do mego ślubu w Poitiers, gdzie byliśmy takie szczęśliwe. Był dziesiąty września. Za niecałe dwadzieścia dni będę żoną człowieka, którego wybrał rozsądek. Za kilka miesięcy Alienor przestanie być królową Francji.

Graliśmy właśnie w piłkę w ogrodzie z dziećmi Pernelle i małą Marią, gdy posłaniec przyniósł smutną wiadomość o śmierci hrabiego andegaweńskiego.

Chciałam natychmiast wyruszyć na pogrzeb, ale królowa mnie odwiodła od tego zamiaru. To nie byłoby właściwe, przecież mogłam tutaj modlić się o wieczne odpoczywanie dla niego. A ponadto jeśli teraz wyjadę, nie zdążę na swój ślub. Miała rację. Może tego właśnie się spodziewałam w głębi duszy. Ze coś mnie jeszcze powstrzyma. Coś wbrew mnie samej.

Gdy przebywałam w Poitiers, przyjechał z wizytą Gotfryd z Ran-con. Był

uprzedzająco grzeczny, pytał mnie o radę we wszystkim, co związane było z przygotowaniem do ślubu, nalegał, abym nosiła wspaniałą naszyjnik z diamentów, który odziedziczył po babce. Byłam posłuszna wszystkim jego kaprysom, nie narzekałam i cały czas się uśmiechałam. Było mi wszystko jedno. Ceremonia, suknia, kwiaty, goście, stół, błogosławieństwo papieskie. Wszystko. I im bardziej zbliżał się ów dzień, tym bardziej czułam się wypalona i smutna. Alienor pocieszała mnie jak mogła. Zapewniła mnie nawet, że to śmierć tego, którego uważałam przez wiele lat za ojca, tak mnie załamała. Ona natomiast była pełna radości życia. I nie bez powodu - przedwczesna śmierć Gotfryda zwiększała jej posag i przyszłą władzę!

Zajmowałam się małą Alicją, która wciąż pragnęła nowych odkryć. To dziecko było tak delikatne jak jej ojciec, inne niż Maria, która odziedziczyła po Alienor ciemną karnację i okrągłe kształty. Za każdym razem, gdy Alicja przychodziła przytulić się do mnie, płacząc

z powodu jakiegoś zadrapania, napływały mi do oczu łzy. Nie mogłam nie myśleć o tym, że moja córeczka miałaby tyle lat co ona i mówiłaby do mnie mamó, jak Alicja do Alienor.

- Alicja boi się, boi się! - krzyczało dziecko i czepiało się moich spódnic.

Od poprzedniego wieczoru gościliśmy w pałacu książęcym grupę mnichów pielgrzymów wracających z Compostelli i zmierzających na północ. Na ich prośbę Alienor z całą serdecznością udzieliła im gościny i udostępniła pokoje. Rano, po mszy, przechadzali się w chłodzie ogrodu, dyskutując przyciszonym głosem. Ale to nie ci w pelerynach narzuconych na wychudłe ramiona przestraszyli małą. Lękała się człowieka w kapturze na głowie, który trzymał się na uboczu. Przysiadł na ławce pod murem oplecionym bluszczem.

- Alicja boi się, boi się! - powtórzyła mała, z całej siły próbując odciągnąć mnie w inną stronę.

Poprzedniego dnia zgubiła bursztynowy naszyjnik, który Alienor dała jej na urodziny. Poprosiła mnie, bym jej pomogła go poszukać. Jako matka chrzestna nie mogłam jej odmówić niczego i teraz nie byłam w stanie odwrócić wzroku od tego człowieka, który ją tak przeraził. Coś kazało mi stanąć nieruchomo i tkwić tak w miejscu. Może po prostu było to uczucie litości. W każdym razie, zamiast odejść, wzięłam Alicję na rękę:

- Nie bój się, kochanie, to tylko zmęczony pielgrzym! Chodźmy! Stanowczym krokiem skierowałam się do mnicha siedzącego na

ławce. Gdy byłam zaledwie kilka metrów od niego, usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Odwrociłam się i zobaczyłam mnicha, który szedł w moją stronę. Zatrzymałam się więc, żeby poczekać na niego. Miał śniadą cerę i mówił z obcym akcentem, którego nie umiałam zidentyfikować:

- Jaśnie panienko, chyba ci ciężko.

- W samej rzeczy - odparłam uprzejmie.

- Czy to twoje dziecko?

- Nie, to córeczka naszej królowej. No, Alicjo, pokaż buźkę, nikt nie ma zamiaru cię zjeść.

- Nie chce! Boi się! - uparcie powtarzała malutka.

- A czego się tak boisz, śliczna dziewczynko?

- Twojego towarzysza, panie, który siedzi tu na ławce - odparłam za nią. - Chciałam właśnie podejść do niego i porozmawiać z nim, aby Alicja zobaczyła, że nie ma się czego obawiać.

- Niestety, panienko, obawiam się, że to niemożliwe - odparł mężczyzna, uśmiechając się ze smutkiem. - Nasz przyjaciel jest niemy, a kaptur ma naciągnięty na twarz z powodu brzydkiego grymasu, który szpeci jego twarz.

Poczułam nagle, że ogarnia mnie straszliwy smutek, choć nie wiedziałam dlaczego.

- Zabierz stąd dziecko - ciągnął mnich, gładząc Alicję po główce. - Wierz mi, lepiej, żeby nie zobaczyła jego twarzy.

- Nie boję się kalek. Istnieją zeszpecenia głębsze i boleśniejsze, które uroda i młodość zρέcznie ukrywają.

- Wiem, moje dziecko. Ale ona jest za małą, żeby to zrozumieć.

- Masz rację, panie. Jednakże miłosierdzie nie ma wieku.

- Okazując je, zraniłabyś go, panienko. Jest on mężczyzną dumnym, więc błagam cię, zostaw go w spokoju.

- Jak sobie życzysz, ojcze.

Usłuchałam go, jednak nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam ostatnie spojrzenie na człowieka, który nawet nie drgnął.

Wciąż myślałam o tym zdarzeniu, tym bardziej że kilkakrotnie wydawało mi się, iż widzę przygarbioną postać pielgrzyma, kuśtykającego w pobliżu. A zatem, gdy tego samego wieczoru Alienor powiedziała, że cała grupa odjedzie rano, poczułam ulgę i smutek zarazem.

Tej nocy przyśnił mi się Jaufre. Stał nieruchomo, kilka metrów ode mnie, a gdy chciałam go dotknąć, napotykałam tylko pustą pelerynę. Obudziłam się o mglistym poranku. Byłam zrozpaczona i wyczerpana całonocną walką z cieniem.

Po wyjściu z kościoła przyglądałam się grupce pielgrzymów z kosturami, szukając mimo woli wzrokiem tego, który mnie tak zaintrygował.

- Czekasz na Jej Królewską Mość?

Odwróciłam się i zobaczyłam mnicha, z którym gawędziłam poprzedniego dnia.

Kiwnęłam głową, nie mając wszakże odwagi wyznać mu, że jego towarzysz wzbudził we mnie niezdrową ciekawość.

- W takim razie sądzę, że nieprędko ją zobaczysz, gdyż odbywa właśnie ważną rozmowę z biskupem. Wszelako, jeśli zechcesz się pani przejść w moim towarzystwie, będę niewymownie wdzięczny.

- To będzie zaszczyt dla mnie, ojcze.

Poszliśmy zatem ramię w ramię w stronę rzeki. Przy samej ziemi snuły się jeszcze mgły, ale niebo było już zupełnie jasne. Zapowiadał się duszny dzień.

- A zatem opuszczacie już nas, ojcze.

- Niestety, córko. Są takie miejsca, w których proste dusze nie powinny zbyt długo przebywać, mogą bowiem zapomnieć o surowych regułach naszego zakonu.

- Nie widziałam na nabożeństwie twojego towarzysza. Czy jest cierpiący?

- Ależ nie, po prostu wczoraj po nieszpórach odłączył się od naszej grupy. Zapewne uznał, że nasze drogi się rozeszły. Co czujesz do niego?

To pytanie przygwoździło mnie do miejsca. Mój rozmówca przyglądał mi się z mieszaniną chytrych i czułości, nie do końca dla mnie zrozumiałą.

- Nie krępuj się. Ułomność ludzka wywołuje różne reakcje. Ciekaw jestem, co tobą powoduje - ciągnął słodziutko.

- Nie jestem skrupowana - skłamałam. - W istocie nie wiem, co czuję, gdy go widzę.

- Czy żal ci go?

- Nie!

Krzyknęłam, nie zdając sobie z tego sprawy. Ptaki nagle przestały ćwierkać.

- Nie, to nie to - powiedziałam już łagodniejszym tonem.

Nie pojmowałam, co się ze mną dzieje. Może kalectwo pielgrzyma w kapturze przypomniało mi moją własną ułomność, to straszliwe rozdarcie, które targano moją duszę i serce. Może miałam ochotę zbliżyć się do ludzi, którzy cierpieli podobnie jak ja - z powodu odrzucenia, takiego jakie mnie spotkało.

Nagle, mimo woli, zaczęłam gwałtownie szlochać i wreszcie wyjąkałam:

- Och, mój ojciec, gdybyś wiedział!

- Opowiedz mi o wszystkim - powiedział z prostotą, pociągawszy mnie nad rzekę, pod olchę, w cień pochylnych do ziemi gałęzi.

Usiadłam na płaskim kamieniu, próbując stłumić łkanie. Mnich podał mi z uśmiechem chusteczkę. Osuszyłam oczy i wytarłam nos jak dziecko.

- Przebacz, ojciec. Nie wiem, co mnie napadło.

- Widzisz, moje dziecko, nie ma większego grzechu niż kłamstwo - powiedział po ojcowsku, siadając obok mnie.

- Czy kłamstwem nazywasz to, że płaczę przy tobie zamiast się śmiać?

- Tylko twoje serce zna odpowiedź na to pytanie.

- Nie znam nawet twojego nazwiska.

- Ono nic ci nie powie. Wszelako Bóg wyposażył mnie w dar pocieszania cierpiących. Nie lękaj się zatem i otwórz się przede mną.

Odetchnęłam głęboko, a potem powiedziałam szybko:

- Mam poślubić mężczyznę, którego nie kocham, aby zapomnieć o tym, którego utraciłam. Oto cała moja historia. Czyż nie jest smutna, ojcze?

- Gdyby ten, którego straciłaś, jeszcze żył, poślubiłabyś go?

- Bez wahania i z całego serca! - krzyknęłam, a w moim głosie pobrzmiwał jeszcze szloch.

- Nawet gdyby był garbaty, kulawy i niemy? - ciągnął dalej z uśmiechem.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, dokąd zmierza, ale jednego byłam pewna:

- Nie obchodzi mnie jego powierzchowność, przecież to jego duszę kochałam! A była ona piękniejsza i czystsza niż całe piękno świata. Bez niego jestem niczym, nie istnieję. Po prostu żyję z dnia na dzień, rozumiesz mnie, ojcze? Nie mogę zapomnieć. Szaleję. Pomóż mi, błagam...

Patrzył, jak wylewam łzy, których czas nie zdołał osuszyć. Patrzył

i uśmiechał się z czułością. Otworzył szeroko ramiona, a ja schroniłam się w nich, zagubiona i niepotrzebna nikomu, odkąd Jaufre mnie opuścił. Gdy uspokoiliam się, szepnął mi po ojcowsku do ucha:

- Jeśli to ty jesteś Loanną de Grimwald, tak rzeczywistą jak twoje łzy i twój ból, wobec tego przynoszę ci pokój boży.

Wypuścił mnie z objęć i wydobyl z sakwy zwinięty pergamin. Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Teraz ja ci opowiem historię, córko. Jest to historia człowieka, którego przypadkiem spotkałem na Sycylii. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo bardziej złamanego cierpieniem. Nie mówił, lecz rozumiałem język gestów, którego nauczyłem się w młodości. Pokochałem go jak brata. Widzisz, drogie dziecko, zawsze myślałem, że miłość do Boga jest o wiele bardziej szlachetna i czystsza niż miłość, jaką obdarza się ziemskie istoty. Dzięki temu człowiekowi zrozumiałem, że byłem w błędzie. Albowiem tak jak ja nie miałem żadnego innego celu w życiu poza miłością do Boga, tak dla niego była to miłość do kobiety. Smutno mi było z jego powodu, gdyż przyznaję, że nie miałem kobiet w wielkim poważaniu. Często są one bowiem przekupne, płochy i nie dochowują wierności. Poprosił mnie, aby mógł do nas dołączyć, a ja zgodziłem się. Przystaliśmy na to, żeby zatrzymać się w Poitiers na dłuższy postój, gdy dowiedział się, że ta kobieta właśnie tu przebywa. Oto wszystko, moje dziecko. Teraz tylko od ciebie zależy, czy pogodzę się w rodzajem żeńskim.

Drżałam na całym ciele, gdy brałam do ręki ten pergamin. Słuchałam jego słów z zapartym tchem.

Złamałam woskową pieczęć i zaczęłam czytać.

*Do Loanny de Grimwald*

*Moje życie!*

*Moja duszo!*

*Moja krwawiąca rano!*

*Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że Twoje serce należy wciąż do mnie. Mój nowy przyjaciel nie wyjawilby mojej tajemnicy nikomu innemu. Pisałem te słowa setki razy i setki razy darłem pergamin, tak trudno mi prosić Cię o przebaczenie.*

*Jestem od dawna martwy, zapomniałem już o tym, iż kiedyś żyłem. Jestem martwy, bo jestem nikim. Człowiek, którego wczoraj widziałaś w ogrodzie, płakał, osłaniając twarz kapturem, bo zobaczył cię taką piękną i smutną, a jest tak odmieniony, tak okrutnie zmieniony, że nie wierzę w to, iż chciałabyś jeszcze kiedyś zbliżyć się do niego. Gdy dotarła do Ciebie wieść o trubadurze, który zmarł w ramionach księżniczki, gdy odmawiano modlitwy nad moją trumną, kobieta - ta druga - zaciekle walczyła o moje życie.*

*Wbrew wszystkim. Wydobyła mnie z nicości jak druga matka - cierpliwością i miłością.*

*Wróciłem do świata żywych, ale jako strzep człowieka. Nie miałem odwagi narzucać Ci mego kalectwa. Chciałem zapomnieć o tobie, Loanno, tak jak Ty - byłem tego pewien - zapomniałaś o mnie. Ale nie zdołałem zapomnieć. Za kilka tygodni będziesz mężatką, a cóż ja mogę Ci ofiarować w porównaniu z tamtym? Nic, nic. Nawet mojej ziemi, gdyż jestem martwy.*

*Nie chcę Cię prosić o to, byś poświęciła dla mnie życie. Nie zasługuję już na Ciebie.*

*Dokończ dzieła, którego matka natura nie dokonała, z litości i miłości. Przepędź*

*mnie, Loanno, dobij mnie. Za trudno mi patrzeć na swoje odbicie, gdy porównam je z Twoją urodą. Powinienem umrzeć naprawdę, abyś Ty mogła żyć. Lecz bez Twoich słów, które będą dla mnie wyrokiem, nie mogę odebrać sobie życia. Uwolnij nas obydwój. Błagam Cię. Jaufre*

*Płakałam, czytając ten list, ale to nie były już te same łzy co przedtem. Jaufre żył.*

*Musiałam przyjrzeć się temu podpisowi, żeby się co do tego upewnić. Nie oszalałam, moja intuicja mnie nie zdradziła.*

*- Gdzie on jest? Mnich potrząsnął głową.*

*- Nie wiem, drogie dziecko. Zwyczajnie poprosił mnie, abym przekazał ci to przesłanie, jeśli uznam, że jesteś godna jego zaufania.*

*- Nie chcę go stracić po raz drugi, rozumiesz, ojczy? To nieważne, że on nie ma mi już nic do*



zaofiarowania. Nie chcę nic prócz jego miłości.

- Powiedział po prostu na odchodnym: „Jest tylko jedno miejsce, gdzie jestem naprawdę u siebie”. Czy dobrze zrozumiałem? Trudno odczytać język znaków.

Ale ja już wiedziałam. Wiedziałam, gdzie mogę go znaleźć. Zerwałam się, uśmiechnęłam, patrząc prosto w okrągłą, przyjazną twarz mnicha. Płomień, który zamigotał w jego oczach, sprawił, że przez chwilę poczułam tchnienie innej rzeczywistości.

- Nie znam jeszcze twego imienia, ojczu.

A wówczas odpowiedział mi uśmiechem, który ostatecznie mnie przekonał, że się nie mylę.

- Poszukaj w swoim sercu, dziecko.

Pochyliłam się nad nim, ucałowałam lekko jego policzek.

- Dziękuję... Merlinie.

Zaśmiał się krótko, jakby zadzwonił dzwonek z krainy wróżek, a rój kolorowych motyli zatańczył wokół gałęzi olchy.

- Idź.

Pobiegłam. Gdy dotarłam wreszcie na szczyt wzgórza, aby zwrócić się na właściwą drogę, odwróciłam się - nie było tam już nic, tylko kamień, drzewo i woda. A dokoła tysiące gwiazd migotały miłością i światłem.

- Nie mogę cię poślubić, Gotfrydzie, Jaufre żyje!

Ta wiadomość nim wstrząsnęła. Gotfryd z Rancon przyglądał mi się w osłupieniu.

Znalazłam go przed stajnią. Czekał na mnie. Zapomniałam, że mieliśmy się udać na konną przejażdżkę wzdłuż rzeki. Zapomniałam o wszystkim, nawet o ślubie. Nawet o tym życiu, które wiodłam przez ostatnie dwa lata. O moim życiu bez Jaufrego.

Miałam zmierzwione włosy i rozpłomienione policzki. Zapewne wyglądałam na szaloną i uprzytomniłam to sobie, gdy doszedłszy do siebie, zapytał ostrożnie:

- Co ci się stało, Loanno? Czy nie przebywałaś zbyt długo na słońcu? Sprawiasz wrażenie rozgorączkowanej.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że łamię mu serce. Postarałam się wyciszyć swoją niecierpliwość i porywczosć. A poza tym nie było to odpowiednie miejsce do tego rodzaju rozmów, tym bardziej że moje rozkojarzenie przyciągało spojrzenia postronnych osób.

- Wsiądźmy na konie, Gotfrydzie. I wybac mi moje zachowanie.

Był na tyle taktowny, że nie powiedział nic więcej - za to go ceniłam i poważałam.

W kilka chwil później galopowaliśmy nad brzegami rzeki Clain, a ja starałam się zebrać myśli. Sam fakt, że Jaufre żyje i że muszę rozsądnie uporządkować wszystko, zanim go odnajdę i wykrzyczę swoją miłość, był dla mnie torturą. Tak bardzo chciałam, aby nie uciekł. Żeby nie wątpił w moje uczucie. Gdy moje wzburzone myśli przybrały bardziej logiczny bieg, zatrzymałam się.

To samo uczynił Gotfryd. Zapewne czuł, że na coś się zanosi, gdyż zerkał na mnie niespokojnie przez całą drogę i nie przerywał milczenia.

Przed nami rozciągała się łąka, za nią stał młyn, którego skrzydła obracały się powoli. Słychać było szum fal i odgłos żaren mielących

zboże. Z okien młyna unosiły się obłoki mąki. Wieś wydawała cudowne zapachy.

Jakże lekka się czułam!

Gotfryd splótł swoje palce z moimi. Pozwoliłam mu na to. Gdy usiadłam w trawie, zajął miejsce obok mnie, nie wypuszczając z ręki mej dłoni. Był moim przyjacielem, więc zrozumie wszystko.

- Przez te wszystkie miesiące opiekowałeś się mną, Gotfrydzie, i dałeś mi więcej niż inni mężczyźni - zaczęłam - i przysięgam przed Bogiem, że byłam gotowa jeśli nie pokochać cię, to przynajmniej odwzajemnić twoją czułość i szlachetność. Ale to, czego się teraz dowiedziałam, wzburzyło mnie tak, że nie mogłabym cię poślubić, nie zdradziwszy ciebie, siebie i mężczyzny, którego kochać nie przestałam. Jaufre de Blaye żyje. Te wszystkie lata były dla niego koszmarem i to go powstrzymywało przed ujawnieniem się. Dzisiaj wrócił z Trypolisu i mimo całego mojego uczucia dla ciebie należę do niego ciałem i duszą. To jemu przyrzekłam siebie.

Ręka Gotfryda ścisnęła moje palce aż do bólu. Gdy zamilkłam, spostrzegłam, że jego twarz wykrzywiła się cierpieniem i że starał się za wszelką cenę opanować, żeby nie krzyczeć.

- Chciałbym w to wierzyć, Loanno. Obawiam się jednak, że tę nieprawdopodobną historię mogli wymyślić ludzie działający na twoją zgubę. Czy przyszło ci do głowy, że to kłamstwo lub pułapka? - zapytał głosem, który w zamierzeniu miał być spokojny i stanowczy, lecz lekko drżał.

- Zapewne, przyjacielu, byłabym nieufna, gdyby tę wiadomość przyniósł mi ktoś inny. Ale właśnie temu posłańcowi zawierzyłabym nawet życie. - Wyjęłam zza gorsetu list i podałam mu. - Ten charakter pisma jest mi zbyt dobrze znany, żeby wątpić w jego prawdziwość.

Przeczytał cały list. Potem, zduszonym głosem, powiedział:

- Czy naprawdę tego chcesz? Życ z kaleką? On sam powiada, że nie zasługuje na ciebie.

- Właśnie tym jednym zdaniem dowiódł, że zasługuje na jeszcze więcej, niż mogłabym mu dać. Gotfrydzie, tylko przed tobą mogę odsłonić się cała, nie kłamiąc.

Ty wiesz, jakie miałam wątpiwości, nie ukrywałam ich przed tobą. Pogodziłeś się z nimi. Zrozum,

że ja sama nie należę już do siebie.

- Wiem.

Spojrzał na mnie swoimi dużymi czarnymi oczami. Był w nich ból, sprawiło mi to przykrość.

- Wybacz mi, Loanno. Powinienem cieszyć się twoim szczęściem, ale nie mam siły.

To, co mógłbym zaakceptować kilka miesięcy temu, gdybyś mnie odrzuciła, teraz, tuż przed naszym ślubem, trudniej mi przyjąć. Nie tylko ja czekałem na ten związek.

Moje dzieci, cała rodzina i poddani - wszyscy żywiliśmy nadzieję na to, podbiłaś bowiem serca wszystkich. Nie mogę cię jednak do niczego zmuszać. Martwy Jaufre był przeszkodą, nie mogłaś mnie pokochać, choć byłaś gotowa dać mi czułość i przywiązanie. Ale skoro wrócił, cały czas usychałabyś z tęsknoty za nim.

Cokolwiek się stanie, nadal będę cię chronił, tak jak przysięgałem. Nie mam do ciebie żalu. Kocham cię, Loanno de Grimwald, ale nie wracaj nigdy do Taillebourga, proszę.

Kiwnęłam głową ze ściśniętym gardłem. Wiedziałam, ile kosztowało go zwrócenie mi wolności. Wiedziałam, ile będzie musiał znieść kpin i deprecjonujących go uwag.

- Na ciebie jeszcze mniej zasłużyłam niż najaufrego.

- Obyś nigdy nie żałowała tego, co zniszczyłaś! - jęknął. - To wszystko, czego mogę ci życzyć.

Trzymał jeszcze moją rękę. Uwolniłam ją, żeby zdjąć z szyi złoty łańcuch z diamentami i zsunąć z palca pierścień ze szmaragdem, który od niego dostałam.

Uśmiechnął się z goryczą.

- Zawsze będę odczuwała dla ciebie wdzięczność, Gotfrydzie, za to, co mi ofiarowałeś. Na zawsze będę ci oddana.

- Wiem o tym.

Znów uśmiechnął się ze smutkiem. I wtedy, łagodnie, pogładziłam go po chropawym policzku i zamiast wyrazów pożegnania dotknęłam jego ust swoimi wargami. Nie drgnął nawet. Nie poruszył się także wtedy, gdy wstałam, dosiadłam mojej klaczy i pomknęłam w stronę Poitiers.

Alienor zareagowała podobnie. Patrzyła na mnie w osłupieniu, gdy wykrzykiwałam jej swoje szczęście. Potem powiedziała z pretensją w głosie:

- Oczywiście możesz się związać z kaleką, ale że odnajdujesz w tym szczęście, tego doprawdy nie rozumiem!

- Alienor! - oburzyłam się. - Jaufre żyje, wrócił do mnie, a ty nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- To niedopuszczalne, aby moja pierwsza dama dworu zerwała

zaręczyny na kilka dni przed ślubem. Co pomyślą Akwitańczycy? A ludzie z Taillebourga? Oczywiście ciebie nie obchodzi to, że będę tu miała na głowie bunt i na marne pójdą moje starania o umocnienie więzów między moimi ludźmi przed rozstaniem z królem!

A więc o to jej chodziło! I to po tym wszystkim, co dla niej - anonimowo - zrobiłam.

Poczułam gorycz w ustach. Miałam do niej żal przede wszystkim dlatego, że ona za nic miała moje szczęście, ale też dlatego, że miała rację. Czy to było rozsądne, będąc blisko celu, wywoływać skandal? Od tak dawna snułam intrygi, by zapracować na jej przyszłość! Ale nie chcę skazać Jaufrego na drugą śmierć. „Nadejdzie dzień -

powiedział mi kiedyś, dawno temu - w którym będziesz musiała wybrać między miłością do niej i miłością do mnie”.

Ten dzień właśnie nadszedł. Przeznaczenie Alienor dopełniało się. Nie potrzebowała już mojej pomocy. Wypełniłam swoją misję i nie miałam już żadnych zobowiązań wobec nikogo oprócz siebie.

Wobec tego, uwalniając się od nawyku wiecznego ustępowania, zaczęłam mówić:

- Już za późno, królowo. Zerwałam zaręczyny z Gotfrydem z Rancon, a on na to przystał. Wyjeżdżam, by połączyć się z Jaufrem. Teraz już nic mnie nie powstrzyma. Oczywiście wolno ci wypędzić mnie razem z nim, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej dla ciebie. Obejdę się bez eskorty, jeśli tak będzie trzeba, obejdę się bez dóbr i bez wszystkiego. Kiedyś powiedziałaś mi, że Jaufre jest brzydki i że nie pojmujesz, co mnie w nim tak pociąga. Widzisz, ta brzydota jest dla mnie piękna.

Bez niego kwiaty nie mają barw i nie pachną. Przykro mi, że nie możesz tego zrozumieć.

Zapanowało ciężkie milczenie, pełne wyrzutów i pretensji. Potem westchnęła z rezygnacją i powiedziała już łagodniejszym tonem:

- Widzisz, nie zmieniłam się, Loanno. Zawsze byłam zazdrosna o Jaufrego. Masz rację. Jego śmierć odczułam głównie dlatego, że ty cierpiałaś, ale też w gruncie rzeczy poczułam ulgę, ponieważ należałaś już do mnie bez reszty. Miałaś poślubić Gotfryda z Rancon, ale nie miało to dla mnie znaczenia, ponieważ go nie kochasz.

Nigdy nie zrozumiem, co pociąga cię w Jaufrem Rudelu. Pozajego głosem. Są takie tajemnice, które trudno przeniknąć. Ty jesteś jedną z nich. Ale wiesz, że nie mogłabym żyć, gdybym cię utraciła. Wybierz sobie ludzi, którzy cię odwiozą. Ja sobie tutaj poradzę, ale nie opuszczaj mnie. Jeszcze nie teraz.

- Wrócę, obiecuję ci.

- Ostatnim razem, gdy mi to powiedziałaś, wyjeżdżałaś do Blaye, pamiętasz? Wtedy wiedziałam, że to on zwyciężył. Bądź szczęśliwa. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, królowo.

Objęliśmy się mocno i czule. Piętnaście lat temu wpadłaby zapewne w straszliwą wściekłość. Ale mała dziewczynka stała się damą. Alienor dojrzała. Była wciąż porywczą i upartą, jednak zyskała też prawdziwą szlachetność, która przydawała sprawiedliwości jej osądom. Matka miała rację: Anglia będzie miała wielką królową.

Zaledwie zaczynało świtać, gdy pod eskortą dwudziestu konnych ruszyłam galopem w kierunku Blaye. W Angouleme musieliśmy zmienić konie. Czułam się tak, jakbym z każdym krokiem wymazywała ból ostatnich dwóch lat. Właśnie dzwonili na sekstę, gdy dotarliśmy do murów miasta.

Zostawiłam eskortę w Saint-Martin-Lacaussade na drodze rzymskiej, nieopodal szpitala, i sama, z bijącym mocno sercem, lecz zdecydowanie, skierowałam się do bramy miasta.

Wzdłuż rzeki Saugeron rozciągały się barwne łąki. Wrześniowe wonie unoszące się dokoła ożywiły moje wspomnienia. Minęło piętnaście lat, a mnie zdawało się, że wszystko zdarzyło się wczoraj! Przejechałam przez most spinający rzekę i zobaczyłam skalisty występ -wiedziałam, że tam zastanę Jaufrego. W tym miejscu czekał już kiedyś na mnie, a ja nie miałam odwagi podejść do niego i tylko z daleka słuchałam łkania jego cytry. Wystarczyłby jeden nieostrożny ruch i ześlizgnąłby się po skale aż na sam dół. Nagle ta myśl uczepliła się mego umysłu. A jeśli było już za późno? A jeśli nie miał odwagi na mnie czekać? Może jednak postanowił skrócić swoje dni, tak jak pisał w liście? Nie, nie!

Uwiązałam konia do potężnego dębu. Krzaki janowca zasłaniały skraj lasu. Nie było ich ostatnim razem. A może zablądziłam? Może go tu nie ma? Zabrakło mi tchu w piersiach. Z drżeniem rozsunęłam gałęzie. Siedział tyłem do mnie, z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Pod moimi stopami zaszleściła sucha trawa.

Odwrócił głowę i serce ścisnęło mi się z bólu. Jakże był odmieniony! Mogłam jeszcze uciec, zapomnieć o tej zabiedzonych twarzy, zrytej zmarszczkami cierpienia, zniekształconej dziwnym grymasem. Mogłam odwrócić się doń plecami i tym samym wydać wyrok skazujący. Z jego spojrzenia wyczytałam oczekiwanie na wyrok. Czekał, aż będzie mógł skoczyć w otchłań i zginąć. Umrzeć i zapomnieć o wszystkim. Lecz nie uczyniłam tego i przepełniona bezbrzeżną czułością padłam na kolana tuż obok niego.

- Moje kochanie, moje najśłodsze kochanie - szepnęłam ze łzami w oczach, gładząc siną szramę na jego prawej skroni.

On także zapłakał. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jego warg. To nie miało znaczenia. Widziałam jego oczy, ogromne jak morze. Szare i wilgotne jak ocean. I wtedy zaczęłam do niego przemawiać, bo on nie miał odwagi mnie dotknąć, nie śmiał w to uwierzyć. Mówiłam, płacząc, a moje łzy mieszały się z jego łzami. Każde słowo pieczętowałam pocałunkiem. Teraz kochałam go jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Kocham cię, kocham, kocham - powtarzałam, chcąc zagłuszyć jego zwątpienie. -

Nic się nie zmieniło, Jaufre, jestem wciąż twoja i zawsze będę twoja. Zabiorę cię do krainy, w której

wszystko jest możliwe. Zwrócę ci głos, zwrócę ci marzenia, oddam ci swoje życie, jeśli jeszcze go pragniesz. Nie mogę bez ciebie żyć, nie mogłam i nie chcę. Nie dbam o to, co się może stać, nie dbam o twoje blizny. Ożeń się ze mną -

chcę być twoją żoną na zawsze, na zawsze!

I wtedy dopiero jego usta przylgnęły do moich warg. Smakowały morzem i miodem.

Suche źdźbła jęknęły pod ciężarem naszych ciał. Było jak dawniej - w powietrzu unosił się zapach lilii. Potoczyliśmy się daleko, aż do smugi cienia rzucanej przez zagajnik. Zaczął rozbierać mnie tak delikatnie, że przestałam oddychać. Moje nagie teraz ciało, od dawna spragnione pieśczoł, rozjaśniło się jego światłem, a gdy mnie wziął, poczułam, jak w wym łonie wybuchają tysiące gwiazd, i oboje osunęliśmy się w ten sam wszechświat szczęśliwości.

Potem jednak musiałam stawić czoło rzeczywistości i cierpieniu Jaufrego. Był

odmieniony, to prawda, ale ja byłam gotowa zaakceptować jego nową twarz, przyzwycząić się do niej. Nie musiał mówić, i tak go rozumiałam. Było mi łatwo podążać za jego myślą, ale nie mogłam się pogodzić z ich treścią. Choć szalał z radości, że znów jesteśmy razem, uważał, że czynię to z litości. Nie wyobrażał

sobie, bym

należała do innego mężczyzny, ale nie chciał, abym była z nim, tak bardzo czuł się upośledzony. Moje zapewnienia niczego nie zmieniały. Wtem znalazłam rozwiązanie. Ktoś mi je podszeptał. Ale kto? Merlin? Matka? Ci, którzy powtarzali, że miłość jest największą potęgą? Jakież to Bóg potrafiłby dokonać takiego cudu?

Bóg chrześcijan czy druidów? Nieważne. Musiałam zaprowadzić Jaufrego do Broceliande.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, kiedy oznajmiłam mu, że wyjeżdżamy natychmiast. A mimo to skinął głową. Był zdruzgotany. Poszedłby za mną na koniec świata. Uczyniłby dla mnie wszystko. A tego z kolei ja nie mogłam zaakceptować.

Byłam gotowa oddać serce i duszę człowiekowi, który przewycięża swoją ułomność, stawiając jej czoło, nie chciałam się jednak wiązać ze szmacianą lalką bez życia. Miałam w sobie więcej miłości, niż potrzeba było, żeby odnaleźć Jaufrego Rudela, niezależnie od tego, jak wyglądał.

Eskorta Alienor podążała za nami bez zadawania zbędnych pytań. Jaufre otulił się swoją szatą pielgrzymią, tak że me było go wcale widać. Podróż była długa i męcząca. Jaufre me mógł długo utrzymać się w siodle. Zatrzymywaliśmy się często i odpoczywaliśmy. Tak więc dopiero pod koniec października 1151 roku stanęliśmy pod lasem mojego dzieciństwa. Wielokrotnie musiałam dawać odpór rozbójnikom i złodziejazkom, posługując się czarami. Odwoływanie się do magii wyczerpywało mnie, zmierzałam jednak ku swemu przeznaczeniu z ufnością. Wypełniłam swoją misję wobec Anglii. Dzisiaj przybyłam zażądać tego, co mi się należy, i miałam poczucie, że to na mnie czeka.

Zameczek stał na wzgórzu i spoglądał z góry na miasteczko Broceliande. Od tak dawna zarządzał nim jakiś człowiek, że zapomnieliśmy, iż była to nasza własność.

Przybyłam tu po piętnastu latach nieobecności. Wiedziałam, że muszę sama udać się do lasu. Poprosiłam zarządcę, żeby zechciał gościć eskortę aż do mego powrotu. Nie wyraził sprzeciwu, przyzwyczajony przez moją matkę do tego, by nie zadawać żadnych pytań.

W nocy nie mogłam spać. Wpatrywałam się w Jaufrego oświetlonego płomykiem świecy ustawionej z boku. Spał jak dziecko z uśmiechem małej małpki na ustach, z głową wtuloną w moje ramię. Ostatni odcinek drogi wyczerpał go całkowicie. Gdzie się po-

dział ten nieustraszony trubadur, który jeździł od zamku do zamku, śpiewając pieśni i zbierając laury? Zgasły iskierki złości i humoru w jego oczach; zginęła werwa, czułość - to filuterna, to kpiąca. Jakże się zmienił przez te dwa lata! A przecież nadal go kochałam, mimo że tak podupadł.

- Jutro! - szepnęłam. - Jutro, jeśli będzie trzeba, oddam życie, aby zbawić twoją duszę.

Naciągając prześcieradło na jego wychudłe ramię, przytuliłam się do niego i zamknęłam oczy, by znów upajać się zapachem lilii.

Wyruszyliśmy o świcie, gdy wszyscy jeszcze spali.

Bez trudu odnalazłam ścieżkę biegnącą wśród wrzosów i dębów. Podążaliśmy nią w głąb lasu i znaleźliśmy się w krainie wrózek. W krainie druidów i niczyjej zarazem.

W moim świecie.

Ścisnęłam Jaufrego za rękę i poprowadziłam go jak dziecko dróżką wyłożoną białymi kamieniami. Przed nami unosiły się roje motyli, spomiędzy ich skrzydeł

dolatywał chichot elfów. Jaufre był oczarowany. Patrzył szeroko otwartymi oczami

- chciał wszystko zobaczyć, wszystko pojąć. Nawet światło docierające przez listowie dębów było nierzeczywiste. Było mi dobrze. Wkrótce usłyszałam szemranie źródła. Byliśmy już blisko. Skręciliśmy za znaną mi skałę i oto ujrzałam źródło w całej swojej krasie. Wyglądało zupełnie tak samo jak wtedy, gdy je widziałam ostatnio. Wytryskiwało ze skały kwarcowej, woda kaskadą spadała do wyżłobionego erozją basenu. Po prawej, u kresu drogi, stał ołtarz skalny i krąg z kamieni wznoszących się ku niebu, ku nadziei. Merlin tu był - czułam to.

Puściłam rękę Jaufrego, który stał świadomy, że przeżywa chwile jedyne w swoim rodzaju.

Jak wówczas, gdy byłam adeptką, uklękłam przed dolmenem, z dłońmi zwróconymi ku górze. Między moimi ramionami widniał księżyc okrągły jak piłka na błękitnym, bezchmurnym niebie.

- Ojciec - szepnęłam. - Oto jestem, pokorna i spokojna w obliczu twojej dobroci.

Usłysz tchnienie, które mnie obejmuje, wejrzyj na mój ból i radość. I na wszystko, czego muszę się

jeszcze nauczyć.

Dobiegł mnie dźwięk przypominający szelest koronki i jedwabiu. Jaufre też usłyszał

ten dźwięk. Jednocześnie spojrzeliśmy w tym sa-

mym kierunku. Na powierzchni basenu tysiące gwiazd, migocząc i wirując, utworzyły obraz. Taki jak ten, który zapamiętałam. Otulona w szatę z wody spływającej kaskadami ukazała się postać Merlina w całej swej przejrzystości i urodzie mędrca. Jaufre padł na kolana i złączył dłonie jak do modlitwy. Było to niezbyt dla mnie przyjemne, ale jakiś głos wewnętrzny szepnął mi: „Wszyscy bogowie stanowią jedność”. Uklękłam obok Jaufrego.

- Ojczy, ty wiesz, o co chcę cię prosić. Kiedyś przyprowadziłeś tego człowieka do mnie, teraz ja przyprowadziłam go do ciebie, bo zasługuje na miłość.

- Nie mam żadnej władzy, Loanno de Grimwald. Tylko miłość ją ma. Tylko miłość jest magią.

- A jednakja nie mogę nic uczynić, aby uleczyć jego rany, a ty możesz wszystko.

- Jesteś tego pewna?

Zadrżałam z niepokoju. Spodziewałam się, że podniesie rękę i Jaufre wróci do swej dawnej postaci.

- Hrabio Jaufre de Blaye, przekroczyłeś granicę świata ludzi i znalazłeś się w innym świecie, który nie należy ani do życia, ani do śmierci, lecz do czasu. Jest to przestrzeń prawdy, gdzie stajesz przed sobą samym. Nowicjusze rzadko są tu dopuszczani. Przyjmuję cię tutaj jak syna. Czy jesteś gotów poświęcić to, co jest dla ciebie najcenniejsze, dla miłości tej oto kobiety? Czy jesteś gotów dołączyć do nas, łącząc się z nią? Czy jesteś gotów przyjąć nauki druidów i przekazywać je w największej tajemnicy? Czy jesteś gotów narodzić się na nowo, zapominając o tym, kim byłeś, pozostając w swym ciebie?

Nagle zrozumiałam, że Merlin nic nie daje za darmo. Wybrał sobie dziedzica.

Opanowała mnie głucha wściekłość. Miałam ochotę odejść i zabrać ze sobą Jaufrego, lecz on - jakby czytał w moich myślach - odwrócił się do mnie i spojrzał

wzrokiem łagodnym i ufnym jak pieszczota. Mój gniew stopniał.

- Nic cię tu nie trzyma, Jaufre - szepnęłam. - Będę cię kochać takiego, jaki jesteś.

Mało mnie obchodzi twój wygląd zewnętrzny. Masz wolność wyboru.

A wtedy, łagodnie, ujął moją rękę i uniósł ją do ust. Potem odwrócił się do Merlina i skinął głową na znak zgody.

Serce biło mi jak szalone. Nie wiedziałam, czy jestem szczęśliwa, zalękniona czy zagniewana.



- Wiem, co czujesz, Loanno - szepnął Merlin. - Ale nie można niczego uzyskać bez poświęcenia. Życie za życie. Czyżbyś o tym zapomniała? Nie mam władzy. Czy jesteś gotowa zaakceptować to, by on oddał siebie w ofierze? Czy ty również jesteś gotowa zrezygnować z tego, kim jesteś? Wiedz, że jeśli oddasz siebie temu człowiekowi, staniesz się zwykłą kobietą. Będziesz obdarzona intuicją i darem jasnowidzenia, ale nigdy więcej nie będziesz mogła odwołać się do mnie ani do tego miejsca, które jest twoją kolebką. Tu kończy się twój ród.

- Dokonałam już wyboru, ojcze. - Uścisnęłam palce Jaufrego. -Należę do niego.

Wydawało mi się, że Merlin uśmiecha się. Jego mocny głos przerwał ciszę i zagłuszył szmer wody.

- Dziś jest dzień Samaina. Wiesz, co to oznacza. Dziecko poczęte tej nocy będzie sprawować władzę nad ciemnościami, rozsądzać, co jest dobrem, a co złem, zadawać tortury i okazywać miłosierdzie. Jego rządy będą sprawiedliwe. Czy zgadzasz się na to, Loanno de Grimwald?

- Tak, ojcze.

- Czy ty także godzisz się na to, Jaufre de Blaye? Jaufre zdecydowanie skinął głową.

- Począwszy od dziś, jesteście elementem pozytywnym i negatywnym zarazem: brzydotą i pięknem, światłem i cieniem. Na równowadze tych elementów opiera się wszechświat. Niech to będzie prezent ślubny ode mnie, Loanno de Grimwald.

Długie ręce Merlina uniosły się ku niebu, między nimi zgromadziły się duże czarne chmury. Dalej niebo nadal było przejrzyste i błękitne.

- Niechaj wrota czasu będą dla tych dwóch dusz obrączką ślubną - między wczorajszym a jutrzejszym, między światem wrózek i światem ludzi. Niechaj nigdy się nie zagubią i oby, dzięki miłości, zawsze odnajdywali się niezależnie od swego wyglądu, i niechaj nie pamiętają, ani kim byli, ani jakie składali dotąd przysięgi.

Niechaj wreszcie ta miłość, którą się dzisiaj połączą w obliczu praojców, poprowadzi ich ku działaniom na rzecz dobra ludzi - w sprawiedliwości, wolności i miłości.

Rozległ się grzmot i przez chwilę miałam wrażenie, że niebo rozerwie się jak pergamin. Ale nic takiego się nie stało. Gwiazdy lśniły tak mocno, że musieliśmy odwrócić oczy. Cała polanka tonęła w złocie i mgłach.

- Ja nie mam władzy, tylko miłość jest magią! - usłyszałam raz i jeszcze.

I wtedy zrozumiałam.

- Chodź - szepnęłam do Jaufrego, wstając z kolan. Jemu też pomogłam uczynić to samo.

Skapani w świetle nieskończoności, podeszliśmy do stóp jedyne go dolmenu, który rysował się przed nami, nie oślepiając nas. Przyciągnęłam Jaufrego do siebie.

- Jestem twoja na wieki, Jaufre. Kocham cię.

Położyliśmy się na płaskim kamieniu. Przyjęłam Jaufrego z uczuciem, że wraz z mym łonem otwiera się cały wszechświat. A gdy on krzyknął, dając mi swoje nasienie, pojęłam, że nasza ofiara została przyjęta.

Wydawało nam się, że w świecie wróżek spędziliśmy kilka godzin, w rzeczywistości byliśmy tam dwa tygodnie. Gdy wyszliśmy z lasu, czułam, że noszę w sobie dziecko Jaufrego. Merlin powiedział prawdę. Jaufre już nie utykał, a jego twarz odzyskała dawną subtelność. Paskudna szrama na skroni znikła. Jednak jako trubadur umarł w Trypolisie. Jaufre odzyskał głos, ale był on chropawy i gruby, me można go było nawet porównać z tym, który tyle razy doprowadził mnie do łez wzruszenia. Nie wiedziałam, czy umiał ocenić, jak wielką poniósł ofiarę. Stracić głos - to tak jak stracić duszę. Zapewnił mnie, że była to nikła strata w porównaniu z tym, co udało mu się odzyskać. Byłam zbyt szczęśliwa, żeby w to nie wierzyć, jednak czułam, że to me jest takie proste. Jeszcze na dolmenie instynktownie uniosłam rękę do szyi. Nie miałam już mego kamienia księżycowego. Przez chwilę myślałam, że zgubiłam go w czasie naszych miłosnych zmagania, ale natychmiast odrzuciłam tę myśl. Kiedyś wręczył mi go Merlin jako symbol wiedzy, przynależności do rodu kapłanek Avalonu. Straciłam go w chwili, gdy wyrzekłam się świata, którego częścią przestałam już być. Dziwne, ale odczułam ulgę. Jak gdyby zdjęto mi z szyi coś, co dusiło mnie przez wiele lat. Byłam wolna! Nareszcie byłam wolna!

Aliénor powitała mnie ciepło i serdecznie objęła ramionami.

- Wyglądasz olśniewająco! - zawołała. - Nie mogę uwierzyć w to, że nie zrezygnowałaś ze swego niemądrego pomysłu, który oddalił cię ode mnie!

- Obiecałam, że wrócę, królowo. I oto jestem - odparłam, odwzajemniając jej pocałunek.

Królowa nie była sama. Grupa dam grała w kości w obszernej sali pałacu książęcego. Aliénor nie tylko zamieszkała w Poitiers, ale w kilka miesięcy zdołała tu odtworzyć dwór z czasów swego dzieciństwa, z czasów trubadura Wilhelma. Ze wszystkich zakątków pałacu dochodziły dźwięki cytry, lutni, mandor i fletni. Gościło tu też wielu żonglerów i akrobatów. Wasale Aliénor, rozłożeni na różnobarwnych poduszkach, oddawali się licznym rozrywkom, aby zapomnieć o tym, że zaczęły się już pierwsze przymrozki. Nikogo nie dziwiła nieobecność Ludwika, który - jak powiadano - załatwiał ważne sprawy w oddalonych zakątkach swego królestwa. W

Poitiers panowała atmosfera szczęśliwości. Aliénor przygotowywała się do wycofania. Podszedł do nas jakiś mężczyzna i już samo to wystarczyło, żeby wszyscy podnieśli zaciekawione spojrzenia. Gotfryd z Rançon ogłosił publicznie unieważnienie naszych zaręczyn, wszyscy zatem oczekiwali, że będzie dla mnie niemiły. Skłoniłam się przed nim. Nie obawiałam się jego gniewu. Zresztą gdy uniosłam głowę, rzekł do mnie z uśmiechem:

- Chciałem powitać cię pierwszy, Loanno.

- Po królowej - łagodnie zwróciła mu uwagę Aliénor.

- Pod każdym względem jestem twoim wasalem, Wasza Królewska Mość - skłonił

się dwornie Gotfryd z Rançon.

- Cieszę się, że cię widzę, Gotfrydzie. Jako księżniczka Akwitania jestem zachwycona, że mimo wszystko zachowaliście dobre maniere, moi drodzy - dodała głośniejszym głosem, tak aby wszyscy usłyszeli jej słowa.

- Nie mam nic do zarzucenia pani Loannie, z wyjątkiem może stałości uczuć, lecz moim zdaniem jest to cnota, którą wielu powinno osiąść.

- Jakże ci zazdrozczę, przyjacielu, tej przenikliwości i wspaniałomyślności -

bąknęła Aliénor. - Wyjdźmy stąd, gdyż hałas zagłusza naszą rozmowę, a chciałabym pomówić z wami z dala od niedyskretnych uszu. Tak nagle wyjechałaś, Loanno, że odczuwam ogromną potrzebę dłuższej rozmowy.

Aliénor stanowczym gestem wzięła nas pod rękę i pociągnęła. W kilka minut później siedzieliśmy w jej gabinecie, sącząc likier śliwkowy i chrupiąc ciasteczka.

Nie miałam powodu ukrywać przed nimi prawdy, przynajmniej tej jej części, którą można było wyjawiać. Oczekałam więc, aż Gotfryd z Rancon opowie mi, jak wytłumaczył anulowanie naszego małżeństwa, a potem przedstawiłam im fakty.

- Nie chciałam, aby się wyśmiewano ze mnie, z ciebie, z nas i z mojej rodziny. Nie chciałam też, aby został zdeptyany honor królowej i króla, którzy udzielili nam swego błogosławieństwa.

- Pan Gotfryd przybył po twoim wyjeździe - dodała Alienor. - Pragnął, aby małżeństwo anulowano z powodu bliskiego pokrewieństwa. To zabawne, nieprawdaż?

Uśmiechnęłam się, gdy usłyszałam tę aluzję do jej własnej sytuacji, ale królowa ciągnęła dalej:

- Prałaci, których sownie obdarowałam, po starannych poszukiwaniach w dokumentach wydali na żądanie pana de Taillebourga certyfikat, w którym wyjaśniają, jak doszli do tej smutnej konkluzji.

- Moja rodzina uznała to za znak od Pana, albowiem nasz związek mógłby doprowadzić do prawdziwego nieszczęścia. Lepiej, że zostało to wykryte teraz niż po ślubie.

- To niewiarygodne, Gotfrydzie, że tyle trudu i starania włożyłeś w podtrzymanie mego dobrego imienia.

- Oczywiście, że byłem rozczarowany i zraniony, nie przeczę, że byłaś mi bliska.

- Gotfryd zwierzył mi się ze wszystkiego - dodała królowa - łącznie z tym, co opowiedziałaś tylko jemu. Mówił, że ci obiecał, iż nie zbliży się do twego łóża, dopóki na to nie przyzwolisz, co naprawdę było niezmiernie rycerskie. To pomogło mi zrozumieć twoją decyzję. Oboje postąpiliśmy najlepiej, jak się dało, kierując się miłością do ciebie. A Bóg jeden wie, jak bardzo cię kochamy!

Łzy napłynęły mi do oczu. Choć byłam szczęśliwa, przybyłam tu jednak ze ściśniętym sercem, gdyż nie wiedziałam, jak zostaną przyjęta po tej wolcie, i napotkałam otwarte szeroko ramiona. Po raz pierwszy w życiu wszystko układało się po mojej myśli.

- A teraz opowiadaj. Czy to prawda, że nasz drogi trubadur rzeczywiście żyje?

- To bardzo długa historia, królowo. Odnalazłam Jaufrego de Blaye, ale niestety ten, który poruszał najtwardsze serca swym cudownym głosem, umarł w Trypolisie.

Patrzyli na mnie, nie rozumiejąc, o czym mówię. Ciągnęłam więc dalej:

- Jaufre padł ofiarą dziwnej choroby. Najpierw przypuszczano, że nie żyje. I, na Boga, gdyby nie Hodierna z Trypolisu, która była w nim zakochana, pochowano by go żywego. Ukryła go i pielęgnowała, dopóki nie odzyskał świadomości i sił. Potem pozwoliła mu odjechać do mnie. Mówi się czasem, że za urodą kryje się zły charakter. Ja także tak uważałam. Dziś wiem, że tak nie jest. Nie ma na świecie piękniejszej kobiety niż ona, lecz jej dusza i serce są szlachetniejsze jeszcze niż powierzchowność. Chroniła go i hołubiła lepiej, niż ja zdołałabym to uczynić.

Kalectwo Jaufrego było zatem tylko próbą moich uczuć. Jaufre wygląda tak jak wtedy, gdy rozstałam

się z nim na Sycylii - wychudzony, łysy, ale bez śladu ułomności. Stracił jedynie głos. Nie jest niemy, ale jako trubadur już nie istnieje. Nie ma jednak to dla mnie większego znaczenia. On jest, a ja go kocham.

- Jakaż to dziwna historia! Co zamierzasz uczynić? - spytała rozczulona Alienor.

- Poślubić go. Dać ojca dziecku, które utraciłam, i temu, które teraz noszę w łonie.

Alienor stłumiła okrzyk, a ja delikatnie położyłam rękę na swoim brzuchu.

Zobaczyłam, że oczy Gotfryda lekko zmętniały, ale nic nie powiedział.

- Skąd możesz już...

- Wiem o tym, czuję i to wystarczy. Potrzeba mi tylko błogosławieństwa was dwojga.

- Trzeba najpierw zwrócić Jaufremu jego dobra w Blaye i ogłosić wszystkim tę nowinę.

- Ależ nie, królowo. Jaufre nie przeżyje żarcików, które zapewne będą krążyć na jego temat. Nie zniesie też spojrzeń pełnych litości ani ludzi pokazujących go sobie palcem ze słowami: „Popatrz, to był kiedyś wspaniały trubadur!”. Nie! Umrze raczej

- tak cenny był dla niego dar, który utracił. Pozwólmy, aby legenda rozwijała się swoim torem. Będzie sławiła jego imię i opowiadała o jego nieszczęściu.

Wystarczy, że będzie znowu tylko panem de Blaye. Na tej ziemi będą rosły jego dzieci.

- Nic nie mówić! Ale jak to jest możliwe?

- Nie ma nic prostszego, Alienor. Doświadczenie, jakie stało się jego udziałem, uczyniło go twardszym i wygląda teraz na starszego, niż jest w istocie. Nikt go nie rozpozna, mimo pewnego podobieństwa. Głos Jaufrego będzie najlepszym tego świadectwem. Jego brat Gerard, który wsiadł na okręt w Aigues-Mortes, aby wyruszyć z krucjatą, został uznany za zaginionego na morzu, sama mi o tym powiedziałaś, gdy była mowa o dziedzicach hrabstwa de Blaye. Zmieńmy Jaufrego w Gerarda, za przyzwoleniem jego kuzyna i suzerena. Nie ma nic łatwiejszego.

Wystarczy, że powiemy, iż był w niewoli w Ziemi Świętej, jak to się stało z wieloma naszymi bliskimi, i że z tej niewoli udało mu się w końcu zbiec. Gdy tylko wróci do kraju, królowa Francji może mu nadać Blaye, gdyż dobra te należą mu się jako bliskiemu krewnemu zmarłego. Trubadur Jaufre stanie się w ten sposób Gerardem II Rudelem. Od dawna nikt w Blaye nie widział Gerarda. Komu chciałoby się podawać w wątpliwość jego pochodzenie czy nazwisko?

- To nie jest głupi pomysł - zgodziła się Alienor.

- I jest dla nas dobrym rozwiązaniem - dodałam, odwracając wzrok od Gotfryda, gdyż serce mi się ścisnęło, gdy patrzyłam na jego smutek.

- I znów będę musiał dźwigać ciężar tajemnicy - powiedział z westchnieniem. -

Odkąd znalazłaś się w Akwitanii, cokolwiek czynię, Loanno de Grimwald, twoje życie jest związane z moim. Nigdy cię nie zdradzę. Ani ciebie, ani jego, ani mej księżniczki, niezależnie od sztandaru, pod jakim wystąpi.

- Gotfrydzie z Rançon - oznajmiła z powagą Aliénor, kładąc mu rękę na ramieniu -

wierzaj mi, że jeśli istnieje w Akwitanii ktoś, komu powierzyłabym bez wahania swoje życie, to jesteś nim ty. Odtąd już się nie rozstaniemy. Podczas mej nieobecności będziesz w moim imieniu pełnił najwyższe urzędy na mych ziemiach.

Nikt nie powie, że jestem istotą niewdzięczną. Co się zaś tyczy ciebie, Loanno de Grimwald, przywołaj swego ukochanego. Niechaj przybędzie złożyć hołd swej księżniczce w zamian za nadanie mu ziemi, by mógł wrócić do Blaye jako pan.

Pożegnałam ich z lekkim sercem. Jaufre czekał na mnie z niecierpliwością w oberży nieopodal pałacu. Kiedy powiedziałam mu o wszystkim, objął

mnie gorąco, lecz ja nie umiałabym powiedzieć, czy uczynił to z wdzięczności, miłości czy cierpienia.

- Jestem twoja, najdroższy - wyszeptałam. - Na zawsze. Na zawsze, Jaufre!

- Nie lękaj się o mnie. Czuję się doskonale - odparł spokojnie.

I to mi wystarczyło, bym doszła do wniosku, że jest wprost przeciwnie.

Gdy przykląkł przed królową, serce przestało mi na chwilę bić. Lecz Alienor nie żartowała z niego. Podeszła po prostu i podniosła go za oba ramiona, uśmiechnęła się szeroko i ucałowała po przyjacielsku jego zapadłe policzki.

- Jaufre twardy, Jaufre cudowny, Jaufre cierpliwy, Jaufre zakochany - Bóg wszechmogący okazał ci miłosierdzie, to znaczy, że bardziej niż ktokolwiek z nas jesteś godny szacunku i przyjaźni. Jaufre Gerardzie Rudel, poprzez krew, która płynie w twych żyłach, mianuję cię Gerardem Drugim hrabią de Blaye. Pod jednym wszelako warunkiem.

Spojrzałam na nią z niepokojem, ale królowa była uśmiechnięta.

- Rozkazuję ci ożenić się jeszcze tej wiosny. Co więcej, wybieram ci na żonę obecną tutaj Loannę.

Wzięła mnie za rękę i połączyła ją z ręką Jaufrego.

- Niechaj się stanie według twego życzenia, królowo - rzekł skrzekliwym głosem Jaufre.

Alienor drgnęła, gdy usłyszała ten dźwięk, ale nie pokazała po sobie niczego, co on mógłby uważać za oznakę litości.

- Wiadomość zostanie ogłoszona jak najrychlej. Obejmiesz w posiadanie Blaye już jutro. Ten nakaz otworzy przed tobą wszystkie drzwi.

Stanowczym ruchem wziął z rąk królowej zwój pergaminu. Czułam, jak trudno było mu pogodzić się z tym, że ofiarowywano mu to, co było jego. Nie zdradził się jednak. Od tej chwili z pewnością zasługiwał na przyzwisko Rudel. Lata medytacji i cierpienia uczyniły go twardszym i bardziej opanowanym. Był teraz człowiekiem zamkniętym w sobie, on, który był samym światłem i ciepłem. Czy właśnie tego człowieka kochałam? Odpowiedź natychmiast wypły-

nęła prosto z mego serca i z całą mocą. Tak, tak! Będę czekać z ufnością, aż czas zagoi rany. Wierzę, że zdołam przywrócić uśmiech na twarzy mojego ukochanego.

Sprawię, że znowu stanie się sobą. Czas będzie działał na moją korzyść. Będziemy dla siebie, będziemy ze sobą. Położyłam dłoń na brzuchu. Nasze dziecko rozgrzewało mi serce. I nagle palce Jaufrego, splecione z moimi palcami, stały się mniej lodowate.

Zima upłynęła nam na podróżach. Boże Narodzenie 1151 roku spędziliśmy w Limoges, gdzie dołączył do nas zachmurzony Ludwik. Odbył z królową długą rozmowę. Krążyły na ten temat najprzedziw-niejsze pogłoski, jednak we wszystkich powtarzała się wieść o wkrótce mającej nastąpić separacji. Od tej chwili rozdzieliliśmy się - południowcy poszli za królową, a ludzie z północy - za Ludwikiem. W dzień Matki Boskiej Gromniczej zatrzymaliśmy się w Saint-Jean d'Angely. W tym małym miasteczku Ludwik ogłosił publicznie, że rozstaje się z królową.

Alienor nie była rada z tego, że rozprawiano głośno o tym, co zostało postanowione po cichu. Nie obawiała się jednak, że ucierpi jej reputacja. Bywała już w większych opałach. Feudałowie, którzy do tej pory zważali na to, by nie uchybić królowi, spoglądali na nią pożądliwie. Poślubić Alienor oznaczało posiąść Akwitanię. A był

to posag nie do pogardzenia.

- Jedź - powiedziała królowa. - Uprzedź Henryka, co tu się knuje. Obawiam się, że moja droga do niego będzie obfitować w przeszkody. Niechaj się przygotowuje, by mógł im stawić czoło. Niech wyznaczy trakty, którymi będę mogła podróżować w miarę bezpiecznie.

Tak też się stało. Wyruszyłam pod solidną eskortą do Angers. Byłam w piątym miesiącu ciąży i nie powinnam galopować na koniu, ale nie czułam lęku. Mimo że nie miałam już czarodziejskiej mocy, intuicja mówiła mi, że tym razem nie stracę dziecka.

Niepokój Alienor był uzasadniony. Kazała Jaufremu wrócić do Blaye. Na miejscu czekało wiele spraw wymagających uporządkowania. Podczas jego nieobecności niewłaściwie zarządzano dobrami. Zaopatrzony w pełnomocnictwa od królowej, złożył wizytę swemu

suzerenowi i kuzynowi, który przyklasnął decyzji o uznaniu pana de Blaye za zmarłego. Lepiej było - zarówno wobec Boga, jak i ludzi - żeby człowiek, którego rzekomo pogrzebano w Trypolisie, nie pojawił się między żywymi. Następnie Jaufre udał się do Lusignan. I tu także nie mógł ukryć prawdy. Stary przyjaciel Uc objął go i płacząc, przysięgał, że dochowa tajemnicy. Od tej pory Jaufre odzyskał

energję. I swoje miejsce. Obecnie trudności, które wydawały mi się nie do przewyciężenia, zniknęły. W jego listach pojawiały się już iskierki humoru, który tak lubiłam. Z zapałem przygotowywał nasze wesele, wyznaczone na koniec maja.

Z pewnością nasze dziecko przyjdzie na świat wcześniej, ale to nie miało znaczenia.

Nic już nie miało znaczenia. Kiedy przejeżdżałam przez zwodzony most, który prowadził do miasteczka mego dzieciństwa, pomyślałam, że tu, w tych murach, w których wyrosłam, po raz pierwszy spojrzę na mnie szare oczy Jaufrego.

Wyjechałam po trzech dniach, gdy z Henrykiem i panią Matyldą opracowaliśmy plan, który wydał nam się najodważniejszy.



Alienor przebywała w tym czasie w Beaugency i czekała na synod zwołany przez króla. Dwudziestego pierwszego marca przybyli wielcy feudałowie królestwa i arcybiskupi Reims, Bordeaux, Sens i Rouen. Krewni Ludwika VII przedłożyli soborowi oskarżenia Alienor o wiarołomność. Przyjęła je bez zmrżenia oka, wiedząc, że Ludwik dotrzyma umowy. Rzeczywiście synod wykazał, że rozwód jest konieczny, ale nie uznaje małżeństwa za niebyłe. A zatem rozstrzygnięto problem: Ludwik i Alienor byli krewnymi w trzeciej linii. Oboje pochodzili od Wilhelma -

Alienor po mieczu, Ludwik zaś po kądzieli, w szóstym pokoleniu. Alienor była wolna. Nareszcie!

Tego samego wieczoru, otuleni w szerokie czarne opończe, wymknęliśmy się tajemnym przejściem, aby połączyć się z eskortą złożoną z Gotfryda z Rancon, Bertanda de Moreuila i innych sojuszników. Chcieliśmy jak najszybciej usunąć Alienor z pola widzenia chciwych zalotników. Pędząc co koń wyskoczy, mogliśmy dotrzeć do Poitiers w dwa dni.

Gotfryd z Rancon był wściekły, gdy się przekonał, że i ja biorę udział w wyprawie.

Przekonywał, że taka eskapada nie jest odpowiednia dla kobiety w ciąży. Ponadto mogłam nagłą niedyspozycją

opóźnić ucieczkę. Aleja się uparłam. Zasłużyłam na to, żeby dotrzeć do mety.

Chciałam być tą, która doprowadzi Alienor do Henryka.

Trawa była miękka jak aksamitny dywan. Dzikie róże wydzielały słodką woń, która przyciągała roje pszczoł. Było nam tak dobrze. Rozsiedliśmy się na ziemi, a nasze spocone z wysiłku wierzchowce pasły się nieopodal. Galopowaliśmy bez wytchnienia od Tours, gdy, tknięta przecuciem, które nigdy jeszcze mnie nie zawiodło, uprzedziłam Alienor, że niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Byliśmy o kilka mil od Port-de-Piles, gdzie mieliśmy przeprowić się przez rzekę Creuse. Gotfryd z Rancon poparł mnie bez wahania. Było to bowiem idealne miejsce na zasadzkę.

Natomiast Alienor była sceptyczna. Nikt poza nią samą i naszą grupą nie znał naszej marszruty. Ja jednak upierałam się przy swoim, więc - jak zawsze - zaufała mi.

Gotfryd pojechał przodem z dwoma zwiadowcami, a nas zostawił na skraju lasu otoczonego polami. Dalej otwierała się droga, a przy każdym rozstaju wznosił się kamienny krzyż przystrojony w wiosenne kwiaty. Ten odpoczynek był dla mnie zbawienny. Od początku tego miesiąca dziecko poruszało się gwałtownie w moim łonie, jego taniec zachwycał mnie i wzruszał. Zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że taka szalona jazda nie służy zaawansowanej ciąży, ale nie wybaczyłabym sobie nigdy, gdyby Alienor dostała się komuś innemu, a nie Henrykowi. Oczywiście Henryk na pewno byłby wobec swego rywala znacznie mniej uległy niż wobec króla. Chwilowo nie dbając o to, leżałam po prostu na plecach z rękami pod głową i

- cała szczęśliwa - śledziłam przesuwane się po niebie obłoki, którym moja wyobraźnia nadawała rozmaite kształty. Alienor nie mogła usiedzieć na miejscu.

Zrywała się na każdy szelest, wchodziła na głązy, by śledzić ruch na drodze, przeciągała się, potem znowu układała się obok mnie.

- Uspokój się wreszcie - zbeształam ją. - Niepotrzebnie zużywasz siły.

- A jeśli miałaś rację? Jeśli oni wpadli w zasadzkę i nie wrócą?

- Gotfryd jest wystarczająco przebiegły, by nie ryzykować bez potrzeby, kochanie.

Miotasz się tak, że właśnie twoje gwałtowne ruchy mogą ściągnąć na nas uwagę przejezdnych, którzy wezmą cię za wieśniaczkę i zaczną się do ciebie zalecać.

Westchnęła głośno.

- Masz rację. Ale to wszystko mnie drażni. Widzisz, do czego doszłam. Wczoraj jeszcze byłam szanowana przez wszystkich, a dziś muszę się chować jak jakiś zbójca, który ucieka przed karą.

- Pomyśl raczej o tym, że jeszcze niedawno Ludwik pękłby z wściekłości, gdyby się dowiedział, że wychodzisz powtórnie za męża. A propos, czy nie uważasz, że byłoby w dobrym tonie, gdyby Henryk poprosił go o twoją rękę? - zapytałam, przekomarzając się z nią.

- Niech Ludwik idzie do diabła! On i jego klesze królestwo! Dowie się wtedy, kiedy dowiedzą się inni! A jeśli go to rozzłości, tym lepiej!

- Myślałam, że nie masz już do niego żalu.

- Nie mam żalu, ale nie będę już zginać karku przed królem! Zapanowało długie milczenie. Straże rozstawione dokoła kryły się

w cieniu dębów. Mimo woli w uszach zabrzmiał mi nagle dawny głos Jaufrego.

Serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałam o tym ochrypłym głosie, którym przed wyjazdem do Blaye zapewniał mnie o swej miłości. Teraz przyszła kolej na mnie -

wzdychałam tak smutno, że Alienor zwróciła w moją stronę swe piękne czoło, na które opadało pasemko złotych włosów.

- O czym myślisz?

- O Jaufrem - odparłam drżącym głosem. - Tak mi go brak.

- Już niedługo. Niedługo ty i ja połączymy się ze swymi ukochanymi.

Spojrzałam na nią czule.

- Kochasz Henryka, Alienor?

W jej oczach zalśniła przekora. Wybuchnęła perlistym śmiechem:

- Czy go kocham? Tak, kocham go. Ale nie pytaj mnie dlaczego. Podobnie jak nie umiałabym ci powiedzieć, dlaczego każdy trubadur przypomina mi Bernarda de Ventadoura. Czy nie uważasz, że porywy serca są czymś dziwnym? Jak można wielbić osoby tak różne, tak odmienną miłością, a mimo to silną?

- Wiem, że to możliwe. Jestem tego pewna.

Mówiąc to, pomyślałam o moim rozdarciu między nią a Jaufrem, nie mówiąc o moim uczuciu do Denysa, którego niezatarte wspomnienie tkwiło zawsze w moim sercu. Nie zapytałam Alienor, czy znajdzie się dla mnie miejsce u jej boku, bo z góry wiedziałam, ja-

kiej mi udzieli odpowiedzi. Już mnie nie potrzebowała. Mogłam odejść, nie lękając się o nic, gdyż zostanie ze swymi dwiema miłościami. W trudnych chwilach, których z pewnością nie zabraknie, będzie przy niej Bernard de Ventadour. Henryk i ona zostali ulepieni z tej samej gliny, oboje mieli gorący temperament i silny charakter. Będą walczyć ze sobą i kochać się namiętnie, ale czeka ich wspaniała przyszłość. Tak było napisane. Moja rola była skończona. Dokonałam wyboru.

Teraz potrzebował mnie Jaufre. Moje myśli przerwał tętent kopyt.

- To pan Gotfryd — oznajmił zwiadowca siedzący na gałęzi dębu. Był sam i od razu zeskokczył z konia.

Alienor podbiegła do niego.

- Miałaś racje, Loanno. Nie mniej niż czterdziestu żołnierzy zorganizowało zasadzkę przy moście. Nie można było przejechać bez walki, i na Boga, gdybyśmy tamtędy jechali, już byś, księżniczko, była związana.

- Gdzie nasi ludzie?

- Obserwują łotrów i dołączą do nas w umówionym miejscu, musimy bowiem przebyć rzekę w innym miejscu.

- Czy zdołałeś rozpoznać tych, którzy chcieli nam zgotować takie przyjęcie? -

spytałam zaciekawiona.

- Tak i, na Boga, to właśnie każe mi zachować ostrożność. To ni mniej, ni więcej tylko Gotfryd Andegaweński!

- Gotfryd? Ależ on ma szesnaście lat!

- Kim jest ten chłystek? - zaniepokoiła się Alienor.

- Rodzonym bratem Henryka. Ciągłe kręcił się przy nas, gdy Henryk obierał

najbezpieczniejszą trasę do Angers. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a to mu było na rękę! To prawda, że Henryk zostawił mu niewielką część dziedzictwa po ojcu.

Ten chłopak nie jest wcale głupi. Szybko pojął, że zagarnięcie Akwitanii oznacza powiększenie jego włości i zemstę na bracie. Oto masz jeszcze jednego przyjaciela, Alienor. A co się tyczy reszty, Gotfrydzie, masz rację. Jeśli unikniemy pułapki tutaj, wpadniemy w nią gdzie indziej.

- Nie uwierzę, że Henryk nie wiedział o spisku - złościła się Alienor. - Chętnie bym zaryzykowała, aby wystawić na próbę jego miłość do mnie.

- Odradzam ci to. Nie wolno dopuścić do konfrontacji. Wieść o tym szybko się rozejdzie i Ludwik dowie się, jak wielkie jest zain-

teresowanie tobą. Nie zapominaj o tym, że może umieścić na twej drodze kogoś, kto będzie mu wierny i zabierze dla Francji to, co chcesz oddać Anglii.

W kilka chwil później ruszyliśmy w drogę, starannie omijając miejsca, w których Gotfryd Andegaweński zastawił pułapkę. Musieliśmy przejść rzekę Vienne w bród.

Przerażone konie z trudem walczyły z prądem, gdyż woda sięgała im po pyski.

Jeden z seniorów znalazł się w wodzie, wywołując głośny wybuch śmiechu, ale nikt nie umiałby powiedzieć, czy śmialiśmy się dlatego, że rozbawiła nas ta sytuacja, czy z powodu napięcia.

Gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu, dalej jechaliśmy już bez postojów, nie zważając na zmęczenie. Na widok murów Poitiers odetchnęliśmy z ulgą. Byliśmy uratowani.

Na święta wielkanocne 1152 roku Aliénor znów była księżniczką Akwitanii, a wraz z tytułem powróciły do niej wszystkie jej ziemie i dobra. Maria i Alicja, które przyjechały ze swymi piastunkami znacznie wcześniej i spokojniejszymi drogami niż my, bawiły się spokojnie w parku i niewiele się interesowały szumem panującym w pałacu. Wszystko bowiem, co dotyczyło ślubu, łącznie z najmniej-szymi szczegółami, było utrzymywane w najściślejszej tajemnicy i tylko kilka osób wiedziało, że Aliénor załatwia nie tylko codzienne sprawy.

Mało kto się zdziwił, gdy u wrót miasta pojawił się Henryk Plantagenet. Seniorzy przybyli tuż po nim. Oczywiście przypuszczano, że Aliénor zaczyna porządkować sprawy księstwa i ponownie nawiązuje sojusze ze swymi wasalami i sąsiadami.

Nadchodzące wydarzenie nabierało tym większej pikanterii.

Gdy Jaufré pojawił się w mieście, serce ścisnęło mi się z bólu. W drodze spotkał

kilku dawnych kolegów trubadurów, którzy go nie rozpoznali, i wyśpiewywali na cale gardło. Rozstał się z nimi, gdy byli jeszcze całkiem młodzi, i to on był ich mistrzem, jak również Panperd'hu, który zaginął bez wieści. Zniknął wkrótce potem, gdy ogłosiłam swój zamiar poślubienia Gotfryda z Rançon. Obiecał wrócić na mój ślub. Tak mi go teraz brakowało! Jak bardzo byłby szczęśliwy, widząc znów Jaufrégo u mego boku!

Po drodze trubadurów witały grupki dzieci i zwyczajnych gapiów.

Za nimi jechał Jaufre na koniu, patrząc z powagą na wesołą zgraję. Powitałam ich i skierowałam do kuchni, by mogli spożyć posiłek, zgodnie z obyczajami panującymi w tym domu. Potem, powstrzymując wszelkie odruchy czułości, niewłaściwe w tym miejscu, podeszłam do Jaufrego, który za wszelką cenę starał się być uśmiechnięty.

Tak bardzo śpieszno mi było zostać z nim sam na sam.

- Chodź - szepnęłam i pociągnęłam go za sobą.

Poszedł za mną bez sprzeciwu. Gdy drzwi mego pokoju zamknęły się za nami, namiętnie objęłam Jaufrego. Odwzajemni! mi uścisk z siłą, która mnie zdumiała po długim okresie apatii. Jaufre wziął się już w garść.

- Wybacz mi, moja słodka. Pragnąłem przyjechać wcześniej, ale nie mogłem się wyrwać, gdyż chciałem oddać moim ludziom wszystko, co im zabrano podczas mojej nieobecności. Zarządca obłożył ich ciężkimi podatkami. Kupował broń i opłacał najemników, rzekomo w celach obronnych. Nie wiem, co naprawdę zamierzał zrobić z tymi pieniędzmi, ale będzie musiał się wytłumaczyć z tego przed Alićnor i Ukiem, gdyż nie sądzę, żeby uczynił to na ich polecenie. Co się zaś tyczy reszty, musiałbym jeszcze długo ci opowiadać o wszystkim, lecz mam tylko jedno pragnienie - odnaleźć ciebie jeszcze piękniejszą i godną pożądania niż kiedykolwiek.

- Och, Jaufre! Tak bardzo cię kocham!

Nasze usta połączyły się w namiętnym pocałunku. Mimo to wyczuwałam nękające go cierpienie, żal i tęsknotę za utraconym głosem. Wziął mnie na stojąco, przyciśniętą do zimnego muru.

Dopiero potem, z twarzą ukrytą w moich włosach, zaczął płakać cichutko.

Kołysałam go bez słowa, z sercem pełnym rozpaczy, gdyż wiedziałam, jak ciężkie będzie dźwigał brzemień do chwili, gdy bolesne wspomnienia stopniowo ulegną zatarciu w zetknięciu z miłością

i wdzięcznością, jaką codziennie starałam mu się okazać jako jego żona, a zarazem matka, siostra i kochanka.

Później odwrócił mnie do siebie i spróbował wyczytać coś z mego wzroku, ale zobaczył tylko nieskończoną cierpliwość i żar miłości. To go uspokoiło. Wreszcie uśmiechnął się i szepnął mi do ucha:

- Teraz, moja ukochana, będziesz miała dwoje dzieci do niańczenia.

- Jestem cierpliwa, jak tylko może być matka. I mam w sobie tak wiele miłości, że to nie będzie dla mnie trudne.

- Wobec tego jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Czy wiesz, co towarzyszyło mi przez całą drogę od Angouleme? Historia trubadura, który pojechał

za morze, by połączyć się ze swą ukochaną, i umarł w jej ramionach, gdy tylko zszedł ze statku. Zaczynam się przeistaczać w piękną legendę. Co za ironia!

- A także jakie szczęście! Pomyśl, że gdyby nie to, popadłbyś w zapomnienie. Żadna z pieśni nie przyćmi tych, które ty śpiewałeś, Jaufre. Ale brakuje mi ich o wiele mniej, niż brakowało mi ciebie. Inni je śpiewają, a ta legenda dowodzi, że nie chcą, aby te pieśni umarły. Posłuchaj ich. Podobnie jak temu dziecku, którego się spodziewam, powinieneś im pozostawić to, co najlepsze - taki nadszedł czas. Nie płacz nad sobą, Jaufre, twoja muzyka żyje dziś jeszcze bardziej niż wczoraj. Tylko od ciebie zależy, czy zdołasz odnaleźć w sobie te uczucia, które stały się źródłem twoich pieśni. Nie możesz śpiewać, Jaufre, ale twoje palce nie utraciły biegłości.

Czy to nie ty mówiłeś, że instrument jest jak ciało kobiety? Tylko miłość może sprawić, że zacznie wibrować. Miłość do muzyki wciąż w tobie żyje. Nie gaś jej.

Westchnął głęboko i delikatnie mnie odsunął.

- Nie mówmy już o tym, dobrze? Jesteś piękna. Nieskończenie piękna, a ja cię kocham - dodał, pieszcząc mój brzuch.

- Ja też cię kocham, Jaufre.

- A więc chodź ze mną do kuchni. Umieram z głodu.

- Poczekaj, muszę doprowadzić się do porządku.

W kilka chwil później zadysponowałam dla niego kawał pieczeni gruby na trzy palce i fasolę na gorąco, z kawałkami boczku.

W kuchni panowała wesoła atmosfera. Trubadurzy nie przestawali żartować, plotkować, śpiewać kuplety i sprośne piosenki. Jeden z nich posadził sobie na kolanach służącą, tłusciutką jak gąska; ciemne warkocze dziewczyny podskakiwały do rytmu wybijanego stopą trubadura.

- Panno de Grunwald - rzucił najstarszy z nich, Bernard Marti, który wiele razy towarzyszył Panperd'hu - czy możesz nam wyjaśnić przyczyny tego zamętu?

- O nie, mój przyjacielu. Śmiejcie się, igrajcie, zabawiajcie się tak długo, jak chcecie, lecz strzeżcie się, by zbyt nie obciążać swoich żołądków. Albowiem gdy znajdziecie się przed obliczem waszej księżniczki, będziecie gulgotać o wiele głośniejszym niż wasze instrumenty!

Moja tyrada została nagrodzona gromkim śmiechem. Wzięłam dzbanuszek wina i podałam Jaufremu. On się nawet nie uśmiechnął. Jadł na skraju stołu, nie podnosząc oczu znad talerza.

Jeden z trubadurów zdumiał się i uznał za stosowne powiedzieć:

- Na Boga, drogi przyjacielu, jesteś taki ponury. Czy udajesz się na pogrzeb?

Jaufre nie odpowiedział. Przez chwilę miałam zamiar się wtrącić, ale nie zrobiłam tego. Jaufre musi

się nauczyć radzić sobie z rzeczywistością. Skoro zapragnął tu przyjść po wszystkim, co mu powiedziałam, to zapewne nie bez powodu. Może sam chciał konfrontacji, choć jednocześnie się jej obawiał.

- Do diaska! - natarczywie ciągnął młodzik. - To nieuprzejmie być takim milczkiem.

Czy jesteś może niemy?

Swoje pytanie zakończył miną, która wywołała śmiech zebranych. Łzy napłynęły mi do oczu. Rozmyślnie odwróciłam się plecami do stołu, żeby przejrzeć zawartość spiżarni i odzyskać równowagę.

- Powiesz nam, jak cię nazywają? A może wolisz to napisać?

I znów rozległ się śmiech, wywołany - jak się domyśliłam - nową miną. Dopiero wtedy Jaufre odezwał się złamanym, lecz donośnym głosem, który zmusił ich do milczenia:

- Wiedz, młody głupcze, że niektórzy mówią, choć nie mają nic do powiedzenia.

Może tobie przeszkadza, że mnie nie znasz, ale ja wiem się dobrze, nie znając ciebie.

Rozległ się pomruk dezaprobaty. Odwróciłam się w jego stronę z drżeniem.

- Na Boga wszechmogącego, panie, czy nie lubisz muzyki? -ciągnął rozgniewany młodzik.

Jaufre zmierzył go wściekłym wzrokiem.

- To, co nazywasz muzyką, jest w twoim wykonaniu zaledwie jej prostacką namiastką. Pozwolisz zatem, że nie będę spożywał posiłku w twoim towarzystwie.

Trubadur, ugodzony do żywego, zerwał się jednym skokiem. Tym razem musiałam interweniować, żeby słowna utarczka nie skończyła się bójką. Stałam między nimi.

- Uspokójcie się! Ta kłótnia jest bezprzedmiotowa. Pokój, moi przyjaciele, pokój! W przeciwnym razie będzie to zniewaga dla pani tego domu.

- Na razie znieważono tylko nasze umiejętności, pani Loanno,

i mimo całego szacunku, jaki żywię dla pani, nie mogę znieść, aby jakiś nieznajomy przemawiał do mnie w taki sposób. Niechaj mnie przeprosi.

Ale Jaufre był nieubłagany:

- Uczynię coś lepszego, młody arogame. Udzielę ci lekcji.

Z powagą przechylił się ponad stołem i sięgnął po mandorę, którą jakiś trubadur porzucił, by

wychylić kielicha. Młodzieniaszek zaśmiał się, jego towarzysze mu zawtórowali. Serce mi się ścisnęło, lecz nie ze strachu, ale z czułości. Pierwsze akordy zabrzmiały zgrzytliwie, Jaufre bowiem dawno nie grał, ale trwało to tylko kilka sekund. Jaufre przymknął oczy i odnalazł w sobie tę miłość, która go przepełniała, ten kontakt z instrumentem, jakiego był tak długo pozbawiony. I wtedy jego wspaniały talent zadziwił wszystkich, śmiechy przycichły.

Nie było w kuchni ani jednej osoby, która by nie przerwała swego zajęcia, by zamienić się w słuch. Ogarnęło mnie takie samo intensywne uczucie jak wówczas, gdy usłyszałam go po raz pierwszy w de l'Ombriere. Tak jak i wtedy, mimo całego bólu zawartego w wygrywanych przezeń dźwiękach, twarz Jaufrego rozjaśniła się jakby od wewnątrz. Gdy przestał grać, rozległa się burza oklasków. Młodzieniaszek, wzburzony i wzruszony, zbliżył się z szacunkiem.

- Och, panie, to ja jestem ci winien przeprosiny! Zasłużyłem na lekcję pokory, ale może teraz zdołamy się dowiedzieć, kim jest ten, który przewyższa nas wszystkich swoimi umiejętnościami.

- Nie jestem trubadurem - rzucił Jaufre. - Mój głos zupełnie się do tego nie nadaje i powinienem raczej milczeć niż się rozwodzić. Ale masz rację, dobre obyczaje nakazują się przedstawić: nazywają mnie Gerard Rudel, hrabia de Blaye.

Po tych słowach rozległ się szmer. Bernard Marti zbladł i zapytał:

- Często słyszałem od mojego mistrza, pana Panperd'hu, o przyjacielu, którego ukochał. Był to trubadur, nosił ten sam tytuł co ty, panie, i niestety zginął w Ziemi Świętej. Czyjesteś, panie, jego krewnym?

- Tak jest w istocie. Rozumiecie zatem, panowie, że miałem najlepszego nauczyciela muzyki.

- Jakaż to tragedia dla całej naszej braci trubadurów, że straciliśmy mistrza nad mistrze! Sądzę, że byłby dumny, gdyby cię mógł usły-

szyć, panie. A choć nie potrafisz śpiewać tak jak on, to i tak masz godną podziwu biegłość i potrafisz wzbudzać uczucia, tak jak on potrafił.

Jaufre skinął głową. Służąca napełniła jego kieliszek lekkim czerwonym winem.

Wypił je jednym haustem, a za nim uczynili to samo trubadurzy, którzy - nie czekając już dłużej - schwycili instrumenty i wrócili do grania, przerywanego przez nasze przybycie.

Gdy Jaufre wstał od stołu, poszłam za nim. Wyszedł z pałacu i skierował się w milczeniu ku rzece. Nie chciałam przerywać toku jego myśli. Wiedziałam, jaki będzie musiał zadać sobie gwałt, by zmierzyć się z sobą samym.

Gdy dotarł do olchy stojącej na brzegu rzeki Clain, odwrócił się w moją stronę i objął mnie czule. I wtedy łagodnie, jakby od tych słów zależała cała moja przyszłość, wyszeptalam:

- Dziękuję.



W trzy dni później, osiemnastego maja 1152 roku, rozzwoniły się dzwony katedry świętego Piotra. Na chórze, gdzie zebrali się najwierniejsi przyjaciele, uszczęśliwiona księżniczka Akwitanii przyjęła obrączkę, którą włożył jej na palec Henryk, hrabia Andegawenii i książę Normandii.

Gdy nowo poślubieni małżonkowie ucałowali się, ogarnęła mnie niezmierna radość.

W tej samej chwili poczułam w brzuchu ból tak ostry, że aż krzyknęłam. Wszystkie spojrzenia skierowały się w moją stronę. Spojrzałam na Jaufrego spłoszonym wzrokiem, gdyż pojęłam, co się dzieje. Poczułam, jak między moimi udami spływa ciepła, lepka ciecz, po czym nastąpił nowy skurcz, tak silny, że skręciłam się z bólu.

- Słodki Jezu! - krzyknęła pani Matylda, która oczywiście przybyła na uroczystość. -

Ona rodzi!

Pośpieszyła w moją stronę, wyprzedzając Alienor i Henryka, który krzyknął głosem donośnym, lecz radosnym:

- Widzicie, przyjaciele, że moje małżeństwo jest darem od Boga! Ale, do diaska, Loanno de Grimwald, czy mogłabyś choć raz zachować się tak jak zwyczajni ludzie?

Eloin, moja córka, spoczywała przy mej piersi. Była śliczna jak pączek róży.

Rodziłam długo i w strasznych bólach, ale teraz czułam się dobrze. W pokoju było jasno, a malutka łapczywie ssała moją pierś. Właśnie to mnie obudziło ze snu.

- Twoja matka byłaby z ciebie dumna, Canillette - powiedziała pani Matylda, głaszcząc mnie po głowie.

Uśmiechnęłam się do niej, szczęśliwa. Twarda Matylda, nieustępliwa Matylda, patrzyła na mnie tak, jakbym była jej dzieckiem. Alienor także się uśmiechała. Jej twarz promieniała prawdziwą i szczerą radością.

- Zapewne umieras z głodu, każę ci przynieść lekki posiłek. Zjesz spokojnie, zwłaszcza że ten mały aniołek usnął - stwierdziła.

Rzeczywiście, Eloin leżała z półotwartymi ustami, błogo przytulona do mojej piersi, którą widać było przez rozchyloną koszulę.

- Moja córeczka, moje słońce - szepnęłam, podczas gdy pani Matylda pochylała się nade mną, żeby przenieść małe zawiniątko do kołyski.

Gdy zostałam znowu sama, z moich oczu popłynęły łzy szczęścia, a wzrok pobiegł

do kolebki, w której spała moja córka. Potem przyszedł Jaufre i wtedy rozplakałam się z rozczulenia. Ucałował mnie namiętnie i szepnął:

- Dziękuję.

W niecały miesiąc później, dziesiątego czerwca 1152 roku, kierowałam się w stronę Blaye. Henryk i Alienor poszli własną drogą. Spełniło się ich przeznaczenie.

Oboje byli świadkami na moim ślubie z Jaufrem. Uroczystość była skromna i odbyła się dyskretnie, gdyż niezamężne matki były źle widziane przez Kościół. Dla mnie nie miało to znaczenia. Merlin połączył nas pod kamiennym ołtarzem mocniejszymi więzami niż jakiegokolwiek inne. Natychmiast po chrzcinach Eloin Jaufre wrócił do swych dóbr, aby przygotować wszystko na nasz przyjazd - mój i naszej córki, której rodzicami chrzestnymi zostali Henryk i Alienor.

Obok mnie cwałował Gotfryd z Rancon, który uparł się, żeby mi towarzyszyć, a także Panperd'hu, który wrócił kilka dni po wyjeździe Jaufrego. Postarzał się i był

zmęczony. Perypetie miłosne odcisnęły na nim swe piętno. Postanowił zatem na jakiś czas schronić się

w klasztorze. Nie miałam serca ukrywać przed nim prawdy. Zresztą nawet gdybym tego nie uczyniła, rozpoznałby z pewnością swego najdroższego przyjaciela.

Zapłakał nad losem odzyskanego brata i został ze mną, by potem odwiedzić mnie do Jaufrego. Zmierzałam spokojnie ku swemu nowemu przeznaczeniu.

Teraz doznałam spełnienia. Wieszczka z Broceliande stała się kobietą. Prawdziwą kobietą. Przy jej piersi spoczywała kolejna mała wieszczka.

Po bezchmurnym niebie przeleciał nad nami klucz dzikich gęsi, w pobliskim lesie pohukiwała sowa. Nie obudziło to jednak Eloin. Spokojny krok Granoe kołysał ją do snu. I wtedy zobaczyłam rój różnobarwnych motyli, których delikatny śmiech słyszałam tylko ja. Uśmiechnęłam się do siebie, a z głębi mego serca wypłynęła pieśń, którą Panperd'hu zanucił wraz ze mną:

*Gdy dnie wydłuża maj zielony,*

*Miły mi śpiew ptaszęcia w dali,*

*Myślę, wędrując w inne strony,*

*O miłowaniu mym w oddali...!*

**pieśni cytowane za: *Brewiarz miłości. Antologia lir*)>kt staropro-wansalskiej, w opracowaniu Z. Romanowiczowej, Wrocław 1963.**